Ks. K.

NIEDZIAŁKOWSKI

WRAŻENIA
Z PIELGRZYMKI
DO
ZIEMI ŚWIĘTEJ

Biblioteka
UMK
Toruń
338078

r. 4.50
50

Wrażenia z Pielgrzymki

do

Ziemi Świętej

przez

Ks. Karola Niedziałkowskiego

Z licznemi ilustracyami w tekście

PETERSBURG
NAKŁADEM KSIĘGARNI K. GRENDYSZYŃSKIEGO
1898

WRAŻENIA Z PIELGRZYMKI DO ZIEMI ŚWIĘTEJ

Ks. Karol Niedziałkowski Kanonik
Lucko Żytomierski

702235

WRAŻENIA Z PIELGRZYMKI

DO

ZIEMI ŚWIĘTEJ

PRZEZ

Ks. KAROLA NIEDZIAŁKOWSKIEGO

Z LICZNEMI ILUSTRACYAMI W TEKŚCIE

PETERSBURG
NAKŁADEM KSIĘGARNI K. GRENDYSZYŃSKIEGO
1898

BIBLIOTEKA
UNIWERSYTECKA
w Toruniu

Drukiem W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie

338078
K. 334/64

CZĘŚĆ PIERWSZA

PRZEDMOWA.

Nikt się zapewne nie zdziwi, gdy powiem, że z książek traktujących o Ziemi Świętej, możnaby sporą ułożyć bibliotekę; o czemże bo częściej i więcej można było pisać, jeźli nie o tym uprzywiliowanym kraju, który stał się środkowym punktem dziejów ludzkich? To też liczba autorów opisujących Palestynę, od Św. Hieronima począwszy, a na ks. Vigouroux skończywszy[1]), jest ogromną.

Dawniej zajmowano się nią przeważnie ze stanowiska biblijnego, historycznego, archeologicznego, w wieku naszym zbadano ją i pod względem przyrodniczym tak, że kto obecnie chce naukowo poznać Ziemię Świętą, materyałów wielką obfitość znajdzie w każdym bardziej rozpowszechnionym cudzoziemskim języku. Wiadomości znowu więcej dostępne ogółowi rozszerzają niezliczone, a ciągle pomnażające się opowiadania i opisy przeróżnych pielgrzymek, których i my posiadamy kilka. Wiedziałem o tem, gdym zamierzył i obiecał spisywać moje wrażenia i byłem, przyznaję, w niejakim z tego powodu kłopocie. Z jakiego punktu widzenia, myślałem, przedstawię moim czytelnikom owe wrażenia i wspomnienia?

O naukowych badaniach i sprawozdaniach nie było co myśleć, bo kilkanaście tygodni podróży na to było za mało; nęciło mnie bardzo poznanie stosunków religijnych wewnętrznych i zewnętrznych każdego z wyznań chrześcijańskich (rzecz dotąd nigdzie przezemnie nie spotkana), ale na to trzeba było conajmniej kilka lat mieszkać

[1]) Obecnie właśnie wychodzi ważny i ciekawy jego *Dictionnaire de la Bible.*

na Wschodzie i znać dokładnie wschodnie języki; osobiste moje przygody i wrażenia, wcale nie nadzwyczajne, mogłyby wtenczas chyba zająć, gdybym je umiał zajmująco opowiedzieć, a tego nigdy nie próbowałem; mogłem, co prawda, zdać jako tako sprawę ze stanu miejsc świętych, które zwiedziłem, ale najprzód wszystkich ich nie zwiedziłem, a powtóre, daleko lepsze wiadomości znaleźć można w dziełach specyalnych choćby np. w *Guide indicateur des sanctuaires et lieux historiques de la terre Sainte par le fr. Liévin de Hamme;* — zresztą w naszych pismach spotykałem najświeższe pod tym względem notatki ks. Jełowickiego, który w Palestynie rok prawie bawił i mógł wszystko widzieć i poznać dokładnie. Ciągle więc powracało pytanie — jak pisać?

Odpowiedź znalazłem, gdy podróż moja ku końcowi już się chyliła. Postanowiłem sobie spisać moje wrażenia, które z naukowej strony nie będą miały może żadnego znaczenia, dla wielu jednak mogą być pożyteczne z powodu w i e r n o ś c i k o l o r y t u.

Winienem wytłómaczyć, co przez to rozumiem. Fantastyczne na tle wschodniem powieści dzieciństwa, marzenia poetów, pełne entuzyazmu opowiadania podróżników to sprawiły, że mamy nadzwyczaj pochlebne wyobrażenie o Wschodzie. Poeta »na skrzydłach pieśni« chce unieść swą najmilszą »nad brzegi Gangesu« (Heine). Młodzieniec, znudzony »konwencyonalną atmosferą naszego cywilizowanego świata« jedzie do Konstantynopola, by »na chwilę wyrwać się, zapomnieć, puścić wodze wyobraźni, skąpać się w potokach świateł i barw gorących, odżyć życiem od codziennego odmiennem wśród jaskrawych łachmanów i kapryśnie wijących się zaułków wschodniego miasta«. (Gnatowski). Gdy kto w rozpoetyzowanej wyobraźni buduje sobie jakieś rajskie gniazdo, to je uwije wśród fal szafirowych, na szczycie jednej z wysp Książęcych lub archipelagu greckiego, które poeta ogłosił za najcudniejszy kącik na ziemi. (Byron). Gdy wreszcie dusza pobożna zamarzy o miejscu cichego spoczynku, gdzie się jednoczy świętość i uroczy wdzięk natury, niechybnie pomyśli o Ziemi Świętej, bo i ona w wyobraźni ogółu przedstawia się owianą czarem historyi, wspomnień religijnych i opuszczonej przez ludzi ale pięknej przyrody. Autor najpopularniejszej u nas pielgrzymki, ks. Arcybiskup Hołowiński, napisał właściwie formalny poemat, tyle tam poetycznych

opisów, pięknych widoków, tyle rozrzewnienia ze strony pielgrzyma, prostoty i wszelkich dobrych przymiotów ze strony mieszkańców. Ks. Pelczar znacznie jest trzeźwiejszym, ale za to Ks. Gondek w swych, pisanych dla ludu »Wspomnieniach z pielgrzymki do Ziemi Świętej«, jest w ciągłej ekstazie. Jeśli napisze kartkę o jakiem miejscu, to z pewnością doda dwie rozmaitych rozmyślań, modlitw i zachwytów. Nawet Manna »Podróż na Wschód«, barwnem opowiadaniem pokrywa smutną rzeczywistość. Cóż już mówić o francuskich pisarzach? Tam wciąż zachwyt bez granic. Podróż odbywa się gładko i pięknie, jak przechadzka po parku, ludzie »tak dobrzy, jak ich cukierki« (Siemieński), a na każdem miejscu świętem takie wspaniałości, że pióro ich nie opisze, i takie słodycze, że język ich nie wypowie.

W powrocie z Ziemi Świętej, byłem zmuszony zabawić w Jaffie dłużej niż chciałem, chwytałem więc, co było pod ręką, by skrócić nieznośnie wlokące się godziny i zabrałem się do podręcznej biblioteki brata Witalisa, przełożonego nad hospicyum. Natrafiłem na opis przez księdza francuskiego pobytu w Betlejemie. Jakie to tam, podług niego, pyszne hafty pokrywają ściany świętej groty, co za wspaniałość nabożeństwa, jak tam rozkosznie modlić się! Na dwa tygodnie przedtem byłem właśnie w tem miejscu i w swoim czasie opowiem, jak w niem modlić się rozkosznie; ale pierwej wierzyłem tym opowiadaniom, jak dotąd wierzą im prawie wszyscy. Wprawdzie ks. Dorszewski inaczej te rzeczy przedstawiał; ciągle wspomina w swych »Zapiskach i wrażeniach z podróży do Ziemi Świętej i Egiptu« o dziczy i pustyni, ale myślałem sobie: chory był kanonik, więc wszystko czarno widział.

Z tem przekonaniem wyjechałem. Już jednak na samym początku drogi zaczęły mi się przedstawiać rzeczy w świetle i kolorze zupełnie innym, niż w opisach: wiadoma zaś rzecz, co światło i kolor znaczą w malarstwie i w naturze. Otóż zamierzyłem opisać, to co widziałem w świetle i kolorycie prawdziwym. Może mnie jednak kto posądzić o zarozumiałość i zapytać, jakie też mam dane do mniemania, że moje obrazy będą prawdziwszymi od innych? Słuszna, bym na to odpowiedział. W czasie podróży, zwłaszcza na morzu, mając sporo czasu do rozmyślania, zastanawiałem się nieraz nad tem, skąd po-

chodzi owo zabarwienie na różowo opisów Wschodu wogóle, a Ziemi Świętej w szczególności.

Zdało mi się, żem doszedł przyczyn tego zjawiska i niektóre z nich, najważniejsze może, tu wymieniam. Więc najpierwszą będzie zdolność do entuzyazmu, który w ludziach młodych, nastrojonych poetycznie, wrażliwych, do takiego dochodzi stopnia, że z małych rzeczy robi olbrzymie, z pięknych — »boskie«, z brzydkich — piękne, że oczy zasłania pięknie zabarwionemi szkłami, przez które wszystko wydaje się cudownem.

Tak samo, może jeszcze silniej, działa entuzyazm religijny. Człowiek rozpłakany na Golgocie lub u stajenki Betlejemskiej nie zwraca zwykle uwagi na otoczenie, a raczej widzi je opromienione tem światłem i ciepłem, które we własnem nosi sercu. Za drugą przyczynę uważałbym właściwość ogromnej większości ludzi patrzenia na rzeczy przez okulary autora, którego się książkę przeczytało. Jeżeli, mówiąc o Konstantynopolu, Perthusier słów nie znajduje, Tournefort powiada, że mowa ludzka jest niezdolną wyrazić tego, co się czuje w duszy na widok Stambułu, Pouqueville sądzi, że jest przeniesionym do innego świata, La Croix jest upojonym, wicehrabia Marcellus wpada w zachwyt najwyższy i t. d.[1]) — to jakże można wraz z nimi nie wpadać w zachwyt na widok tego miasta? Byłoby to oznaką braku estetycznego wykształcenia, a takim profanem nikt nie chce się okazać.

Ponieważ autorowie pielgrzymek do Ziemi Świętej, pod wpływem pobożnego entuzyazmu przedstawiają zwykle miejsca święte otoczone nimbem jasności, więc i ich następcy idą w te ślady. Słyszą głosy proroków na górach judzkich, widzą ślady Zbawiciela i Apostołów na piaskach; pusta a spalona Palestyna staje się podobną do błękitu, o którym mówi poeta:

»Tak zebrał wszystkie chmury z siebie,
Że ledwo nie widać Pana Boga w niebie.«

Trzecią w końcu przyczyną nazwałbym, chwalebną zresztą, chęć przysporzenia Ziemi Świętej jak największej liczby pielgrzymów. Co do mnie, to posiadam przymioty przeciwne — wolno je uważać

---

[1]) De Amicis. *Konstantynopol.*

za wady lub zalety. Nigdy nie doznawałem ataków entuzyazmu lub zapału, a najgłębsze i najsilniejsze uczucia nie mogły stępić zmysłu krytycznego, który wiecznie jak szydło z worka wyłaził, — czasami wcale nie pożądany. Mając płynąć do wysp Książęcych siedziałem na statku koło wielkiego mostu na Złotym Rogu i czekałem. Patrzałem na błękit nieba, na śliczny lazur morza, na ruch różnorodnej ludności, doskonale pamiętałem o dziejowych przejściach i znaczeniu Carogrodu; pomimo tego wydały mi się gorzką ironią słowa de Amicisa: »wietrzyk przynosi od Czarnego morza woń dziesięciu tysięcy ogrodów« bo w rzeczywistości zewsząd dochodziła mnie woń smoły, dymu węgla kamiennego i chyba »dziesięciu tysięcy« kloak, mających ujście do Złotego Rogu.

Kiedym klęczał u Grobu Pańskiego, byłem bardzo wzruszony; pomimo to doskonale czułem, że zapach napełniający świątynię nie pochodził wcale z wody różanej, lecz z bardzo wyraźnej mieszaniny gazów siarki, wodoru i amoniaku. Na Kalwaryi doznawałem najsilniejszych bezwątpienia uczuć w mem życiu; ale pomimo to doskonale słyszałem, że Ormianie śpiewający gdzieś na dole, beczeli haniebnie i fałszowali, jakby zgoła sumienia im brakowało.

Podobnie nie mogłem się nigdy nauczyć patrzeć na rzeczy oczami innych ludzi. Wierzyłem jużci opisom i opowiadaniom, ale kiedym zobaczył przedmiot opowieści, doznawałem zawsze wrażeń samodzielnych, często bardzo różnych od tych, które słyszałem. Oczywiście, wrażenia moje nie zawsze były zgodnemi z rzeczywistością; — dla braku znajomości danego przedmiotu, lub z powodu niedokładnego przypatrzenia się, myliłem się nieraz, czułem jednak i doznawałem wrażeń swoich własnych. W moich opowiadaniach z pielgrzymki tak samo pomylę się nieraz z pewnością, boć *humanum est errare*, ale to jedno przyznać sobie muszę, że co czułem — czułem sam, nie na słowo innych.

W końcu i co do trzeciego punktu, pozwolę sobie różnić się w zdaniu od bardzo wielu z moich towarzyszy w powołaniu i kolegów po piórze. I ja, jak oni, pragnąłbym szczerze, by jak największa liczba pobożnych pielgrzymów zwiedzała corocznie Ziemię Świętą, ale chciałbym, by ich tam prowadziła prawda, nie złudzenie. Palestyna jest miejscem jedynem dla pokuty i zadośćuczynienia i w tym celu

posłałbym do niej każdego, kto zdolny do tak dalekiej podróży; miałbym jednak sobie za grzech niemały, gdybym wyprawił kogo jako turystę, bo tam dla niego tylko męka i rozczarowanie — podług mego zdania. Nietylko mego zresztą. Na wyjezdnem z Jaffy, byłem z pożegnaniem u przełożonego tamtejszego zakładu braci szkół chrześcijańskich, poznanego uprzednio. Ten wśród rozmowy zapytał mnie: »Jakie też wrażenie ksiądz kanonik wynosi z Ziemi Świętej?« I utkwił we mnie swe rozumne i przenikliwe oczy. Odpowiedziałem, że pod względem duchownym znalazłem więcej, niż się spodziewałem, ale pod każdym innym spotkało mnie najzupełniejsze rozczarowanie. A ten mi na to z uśmiechem: — »Nie słyszałem jeszcze *ani jednego* pielgrzyma, któryby wyjeżdżając stąd, co innego powiedział«. To też on i wszyscy księża, z którymi mówiłem, litują się bardzo nad rozentuzyazmowanymi pielgrzymami-turystami, których tu sprowadzają różowo zabarwione opisy, bo z tego wynikają nieraz smutne bardzo skutki. Wcale też nie są wdzięcznymi takiego rodzaju autorom.

Czy jednak wrażenia z podobnemi usposobieniami odbierane nie będą grzeszyły wadą przeciwną, czy nie będą czarniejszemi od rzeczywistości? Chcąc być zupełnie szczerym, przyznam, że się tego trochę obawiam. Zdrowie wątłe, trudami, klimatem i szpetnem jadłem, pod koniec zwłaszcza podróży, mocno wyszczerbione, jużci nie przyczyniało się do przyjemnych wrażeń, więcej jeszcze mogły wpłynąć na ich ostudzenie pewne właściwości mego charakteru, które sprawiały, że niejedna rzecz zaciekawiająca bardzo wielu, była dla mnie obojętną, inne znowu obojętne dla przeciętnego turysty czy pielgrzyma, były mi nad wyraz wstrętne i obmierzłe. Czując to do siebie, mam zamiar być bardzo wstrzemięźliwym w sądach o rzeczy i popierać je zawsze dowodami i przykładami. Pozwolę za to sobie nieraz przytaczać fakta drobne i podrzędne na pozór, dlatego, że z nich można lepiej często poznać ludzi, niż z czynności, przygotowanych i obmyślanych. Tyle uważałem za potrzebne wypowiedzieć, by uprzedzić moich czytelników, co w opowiadaniu mojem znaleźć mogą, a teraz przystępuję do rzeczy.

ROZDZIAŁ I.

Z domu do Konstantynopola.

12 września — 24 września 1894 roku.

Pewnego zimowego poranku 186* roku, siedziałem z kilku kolegami na lekcyi archeologii biblijnej w Petersburskiej Akademii Duchownej. Chociaż była już 9 godzina, w audytoryum paliły się jeszcze lampy, bo na dworze było mroczno i smutno, jak tam nieraz bywa w chmurne, wilgotne, a krótkie dni zimowe. Ja jednak nie uważałem na to, bo myśl i wyobraźnia moja latały daleko, daleko za sinemi morzami, pod skwarnem, lazurowem niebem Palestyny. Profesor wykładał właśnie geografię dawnego królestwa Judzkiego, a wykład uzupełniał rysunkami omawianych miejscowości i co więcej opowiadaniami z własnej do Ziemi Świętej pielgrzymki. Byłem zasłuchany i o świecie Bożym zapomniałem. Właśnie mowa była o Karmelu; profesor tedy prawił o nim różne ciekawe rzeczy, opowiadał o Eliaszu i prorokach, o bł. Szymonie Stoku i eremitach, którzy tam dawniej mieszkali, o pięknym klasztorze, stojącym teraz na przylądku, o wspaniałym widoku z tarasu klasztornego i o morzu szumiącem nieustannie u stóp góry. Ks. B. nie domyślał się nawet, jak pilnego miał we mnie słuchacza. Jam już wtenczas górę Karmelu widział i słyszałem jak morze tłukło się niespokojnie na dole.

Ta lekcya była pierwszem ziarnem rzuconem do młodego serca, wyrosła z niego potem chęć silna, a w końcu mocne postanowienie odwiedzenia miejsc świętych. Przeczytałem pielgrzymek kilkadziesiąt, kilkanaście ich miałem w mej bibliotece, gromadziłem rysunki, mapy, fotografie. Z tych studyów wyłoniła się w końcu przedemną Ziemia Święta z całą dokładnością, niby wielka wypukła mapa. Znałem jej skały, pustynie i doliny, znałem jej źródła i rzeczki, wiedziałem wybornie gdzie jest jaki klasztor lub historyczna ruina; dość było wspomnieć głośniejszą miejscowość, żeby mi zaraz cała jej historya stanęła w pamięci — i bywało nieraz, że rozgadawszy się, opowiadałem tak żywo i szczegółowo, iż nawet ci, co zwiedzali Ziemię Świętą pytali mnie, czy dawno tam byłem.

Miałem więc w pamięci i wyobraźni Palestynę wcale dokładnie, a przytem owianą urokiem wielkiej przeszłości i wielkich nieszczęść — widziałem jak na wesołych pagórkach i dolinach Galilei rozbijają namioty poetyczni beduini, jak po skalistych ścieżkach Judei kroczą powoli pielgrzymi z Europy, jak na miejscach świętych czuwają i modlą się świątobliwi zakonnicy, i lampy cicho płoną, nalane najczystszą oliwą.

Tak przeszło lat 30 i oto stoję na samym końcu ogromnego okrętu po środku morza Czarnego — nademną niebo, podemną woda i nic więcej dokoła. Po burzach równonocnych pogoda ustalała się powoli; słońce, choć to było południe, świeciło jakoś łagodnie i blado, a niżej do krańców horyzontu słały się delikatne jasne obłoczki. Morze odbijało słońce i obłoki i właśnie w tę stronę posuwał się okręt. Zdawało mi się, jakbym z nim razem wkraczał w krainę ciepła i światła; a dalej, za tym jasnym horyzontem rozścielały się przed oczyma wyobraźni nieziemskie piękności Bosforu i Carogrodu, na lazurach morza Jońskiego leżały wyspy greckie, niby zaklęte drogie kamienie i kwiatów wiązanki, a jeszcze dalej nad zielonymi szczytami Libanu odwieczne cedry szumiały z cicha pieśń starą o Salomonie i Hiramie, na cyplu Karmelu stał cień olbrzymi Eliasza, za pięknymi pagórkami Galilei, wśród skał samotnych drzemało miasto, smutne, ciche a święte, z niego powstawał olbrzymi Krzyż zakrwawiony i rósł mi w oczach od krańca do krańca świata, cień jego padał na dalekie piramidy i pokrywał sfinksa, co legł na straży u stóp ich. Uśmiecha

się zagadkowo, i tak się zapatrzył na słońce wschodzące, tak się zamyślił o czasach dawno minionych, że nie czuł i nie spostrzegł, jak go piaski pustyni zasypały po cichu.

I ja to wszystko mam zwiedzić! Co za pełnia wrażeń religijnych, naukowych, artystycznych czeka na mnie! Będę je chwytał tem łacniej, że mam kilkanaście tygodni zupełnej swobody, że interesy, troski i kłopoty zostawiłem daleko po za sobą. Ach tak, ale też tam została garstka przyjaciół i blizkich moich, a z nich prawie wszyscy mają jakąś ciężką troskę na sercu i pochylili czoła ku ziemi w trudnej pracy na życie, a teraz jeszcze przybył im niepokój o mnie. Uczułem rodzaj zgryzoty sumienia; pocieszałem się tem tylko, że gdy wrócę, to im będę pisał i opowiadał o cudach i dziwach widzianych i będzie dla nich ta opowieść niby wiatr wonny z dalekiej szczęśliwej Arabii, ochłodzi im czoła i serce rozweseli.

Trzeba jednak opowiadać porządnie, to jest od początku. Postanowiwszy wyjechać tej jesieni, zabrałem się do przygotowań, które mi poszły gładko nadspodziewanie. Wyruszyłem z Żytomierza 12 września. Na kilkanaście dni przedtem spadły śniegi w górach Olbrzymich i w Karpatach, więc stamtąd wiał ciągle wiatr halny, przejmując, jeśli nie do szpiku, to w każdym razie do kości. W wagonie nie dbałem oń, ale trzeba było miejscami dojeżdżać końmi, bom też zboczył trochę z prostej drogi dla pożegnania się z rodziną. Udawało mi się jednak szczęśliwie przebywać przestrzenie nie mające drogi żelaznej w chwilach czasowego uspokojenia się wichru. Po kilku dniach jazdy rzemiennym dyszlem stanąłem w Odesie.

Ktoś ze znajomych poradził mi hotel, który okazał się szpetnym żydowskim zajazdem (hôtel d'Angleterre) ze wszystkiemi obrzydliwościami tego rodzaju hotelom właściwemi. Niedawno byłem wśród swoich, otaczało mnie ciepło rodzinnego kółka, teraz oto jestem sam jeden w chłodnym pokoju, wśród obcego mi miasta, zmęczony nocą bezsenną; — rażące przejście i wstęp do dalszej podróży bardzo niewesoły.

Zrobiło mi się jakoś niewyraźnie. Niedługo jednak to trwało. Proboszcz miejscowy ks. R. zaprosił mnie uprzejmie do siebie, księża otoczyli najżyczliwszą gościnnością, odszukałem znajomych i szkolnych kolegów i kilka dni czekania na okręt upłynęły mi już zupełnie dobrze, spokojnie, ba, wesoło nawet.

Czekając na odejście parostatku, chodziłem tymczasem po Odesie i przypatrywałem się jej ciekawie, bom pierwszy raz ją widział. Zbyt to znane miasto, bym potrzebował je opisywać, zresztą, krótko w niem byłem, więc też krótko o niem wspomnę, mając na względzie tych którzy tam wcale nie byli. Odesa nie ma pięknego położenia jak naprzykład Kijów lub Praga czeska, choć leży nad morzem. Pokryła ona znaczną część wybrzeża piasczystego i monotonnego i podobną jest do wielkiej szachownicy. Ulice jej szerokie przecinają się pod kątem prostym i rozdzielają domy, jeśli niezupełnie jednakowe, to nie odznaczające się niczem szczególnem. Uchodzi też Odesa za miasto wygodne ale nudne i nieestetyczne. Byłem także tego zdania, lecz potem, gdym się skąpał w potokach świateł i barw gorących, »gdym czas jakiś pomieszkał wśród łachmanów i kapryśnie wijących się zaułków wschodniego miasta«, o jakże piękną wydawała mi się Odesa, jak tęskniłem do jej jednostajności, kwitując na resztę życia mojego ze słońca, barw, łachmanów i wszystkich możliwych powabów wsi, miast, miasteczek i wszystkiego co jest na Wschodzie.

O architektonicznej piękności niema co mówić. Jużto odrazu widać, że miasto powstało pod egidą Merkurego, a o Apollina i dziewięć muz nie troszczyło się wcale (wyjąwszy chyba Terpsychorę).

Handel to wzniósł i wznosi ciągle Odesę, która się teraz rozrosła w ogromne miasto o 350,000 mieszkańców, z których 110,000 żydów. Więc, powiadam, o piękno Odesa dba niewiele i mało go w niej widziałem. Oprócz bardzo pięknego obrazu Wniebowzięcia N. Panny, w wielkim ołtarzu kościoła katolickiego, bardzo ładnego pałacyku w stylu włoskiego odrodzenia, gdzie mieści się jakaś instytucya kredytowa, i może jeszcze domu biblioteki publicznej, nic mej uwagi nie zwróciło. Jest tam kilka pomników, ale te nie zrobiły na mnie, pod względem estetycznym, dodatniego wrażenia. Na początku bulwaru, naprzeciwko giełdy stoi olbrzymie bronzowe popiersie Puszkina. Gdyby ono stało gdzieś na skale, na kolumnie, gdzieś wysoko, jednem słowem, — mogłoby być ozdobą; postawione nizko, razi nieprzyjemnie. Ci, którzy je ustawili na nizkiej podstawie, tuż przed oczami widza, dali dowód wyraźny, że się artystów nie radzili, bo może ich zresztą w Odesie niema. Na drugim końcu bulwaru stoi pomnik księcia Richelieu. Ten znowu dobroczyńca miasta przedsta-

wiony jest podług panującej dawniej mody *à la romaine*. Okryty rzymską togą, z pod której wygląda goła noga i bose stopy, ma minę, jakby szedł w prześcieradle użyć kąpieli w morzu szumiącem na dole. Wiem, że takie były pojęcia w pierwszej połowie naszego wieku, ale nie mogę się wstrzymać od ruszenia ramionami, gdy widzę wojaków, eleganckich światowców, albo poważnych księży uwiecznionych w stroju, w którym ich tylko chyba w łaźni widziano.

Widok portu i morza od pomnika Puszkina w Odesie.

Mieszkańcy Odesy szczycą się wielce nowym teatrem; przypomniał mi on bardzo któryś z teatrów wiedeńskich. Może on i ładny, ale wydał mi się zanadto wykrygowanym, linie architektoniczne połamane i pokręcone, posągi także w kontorsyach — chyba, że teatr wymaga tego rodzaju architektury. Nie znam się na tem dostatecznie.

Błądząc po ulicach Odesy przekonałem się, że ją jednak zbyt ogadali i okrzyczeli. Piasku i pyłu, o którym dawniej wciąż pisano i mówiono, niema dziś ani śladu, bo miasto całe wybrukowane bardzo

dobrze i porządnie. Od czasu przeprowadzenia wodociągów wody nie brak, zieloności coraz więcej; koło teatru naprzykład bardzo ładny skwer, ulice także wysadzone drzewami. Toż samo powiedziałbym co do widoku na morze. Ciągle słyszałem powtarzających: »zepsuli widok na morze, pobudowali kolej obwodową, port, magazyny, nie widać już morza«. Przesada; morza widać bardzo dużo, pomimo portu, magazynów i okrętów. I to rzecz dziwna, że w Odesie port i okręty mają przeszkadzać, a w Konstantynopolu, gdzie dziesięć razy więcej jest przeróżnych statków i budowli, jeśli wierzyć opisującym, dodają one owszem do piękności widoku i stanowią jeden więcej przedmiot zachwytów. Zawsze bo ludzie potrzebują powtarzać, jeżeli nie pacierz za panią matką, to różne frazesy i zdania *en vogue*.

Na Lanżeronie i na Fontanach, dużym i małym, morza widać jeszcze więcej i nic go nie zakrywa; wyprawiano mnie tamtędy, ale wiatr zimny nie dodawał ochoty do zamiejskich wycieczek, a co najbardziej nie potrzebowałem szukać widoku na pełne morze, bom się wkrótce miał na niem znaleźć. Przypatrywałem mu się tymczasem z bulwaru. Między pomnikiem Puszkina a giełdą jest bardzo piękne i wygodne miejsce ku temu. Wśród krzewów i kwiatów stoją ławki, a na nich nigdy nie brakuje widzów; byłem często w ich liczbie i zadumany patrzałem na morze, jak ciemne i ruchome ciągnęło się daleko ku południowi aż do krańców horyzontu. Co za tym horyzontem czekało wędrowca, który po morzu dalej jak do weneckiego Lido nigdy jeszcze nie pływał? Patrzałem więc zamyślony i niespokojny i wciąż mi powracały słowa poety:

»O morze, wpośród twoich wesołych żyjątek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy niebo się chmurzy,
A na ciszę długiemi wywija ramiony«...

więc zaklinałem owego głowonoga, by w swej pożytecznej gimnastyce nie ustawał, pokąd ja nie wrócę, potem, przez zimę odpocznie sobie do syta. I wyznać muszę, że zacny polip nie był głuchy na zaklęcia — wywijał prawie zawsze »długiemi ramiony«.

Czasami wprawdzie przestawał i burza mnie wtenczas ścigała, ale najpierwej rzadko to stosunkowo bywało, a powtóre i robakowi spoczynku potrzeba. Nie miałem mu tego za złe, bom się też w końcu do morza nieco przyzwyczaił.

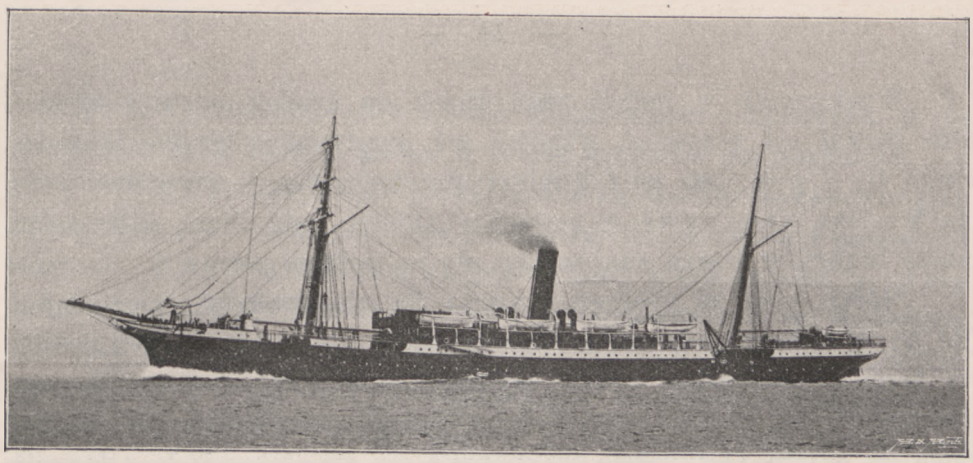

Okręt Czichaczew.

Nadszedł wreszcie dzień 22 września, w którym po południu okręt odchodził. Uczynny mój znajomy pan Z. W. zawiózł mnie do portu i pod samym okrętem z dorożki wysadził. Zadziwiłem się nie mało, gdym takie monstrum morskie zobaczył, jak *Czichaczew* [1]), nigdy bowiem podobnie wielkiego okrętu nie widziałem. Dość powiedzieć, że miał on 400 stóp długości, a 7.000 ton objętości. Widok taki dodał mi otuchy, bo podobnego gmachu lada fala nie poruszy. Wszedłem tedy na okręt, zająłem kajutę, mój znajomy pożegnał mnie i wrócił do swych obowiązków — zostałem sam jeden wśród obcych mi tłumów.

Żegnano się na wszystkie strony; niewiasty całowały się i płakały — mężczyzni kłaniali się kapeluszami, powiewali chustkami. Mnie nikt nie żegnał. Pocieszałem się myślą, że za 10 do 11 tygodni będą mnie za to witali — byle tylko witali, byle gdzie przedtem nie powitały mnie rekiny, o których bez abominacyi myśleć nie mogłem, albo inne morskie straszydła, których poznać także nie bardzo byłem ciekawy. Ale oto *Czichaczew* zaryczał trzy razy przeraźliwym głosem, zdejmują mostek — ruszamy. To jest właściwie nie my ruszamy, ale nas ruszają. Parostatek jest tak wielki, że stojąc przy samym brzegu, nie może manewrować, więc go odciągają pierwej. W tym celu z przeciwnego boku majtkowie na przodzie okrętu nawijają linę uczepioną do nieruchomej beczki portowej, ze strony znów steru pracują nad tem dwa małe parostatki, klekocąc i pytlując bez ustanku.

[1]) Nie należy go mieszać z innym, znacznie mniejszym parostatkiem tegoż nazwiska, który przed kilku laty rozbił się na skalach Jaffy. Widziałem jego resztki, dotąd sterczące nad wodą.

Wyciągnięto w końcu nasz statek na środek portu i dopiero tam począł się poruszać, wkrótce też wypłynął za groblę portową. Stało się — *alea jacta est* i Rubikon przekroczony; — stanowczo jadę na Wschód. Odsuwamy się powoli od Odesy; dość długo widać żółte, puste brzegi, w końcu znajdujemy się na pełnem morzu.

Morze — co za poetyczny wyraz dla mieszkańców stałego lądu! Ile to westchnień słyszałem: »żeby choć raz morze zobaczyć«, ile to marzeń ten jeden wyraz wywołał — ba, ileż to razy ja sam pragnąłem tej chwili, której się w końcu doczekałem, bo oto jestem na morzu. Oczywiście przypatruję mu się ciekawie i — doznaję zawodu.

Przyzwyczailiśmy się słyszeć, czytać i wyobrażać sobie morze jako bezmiar, a na nim okręt jako łupinę orzecha.

Zapełnie tego wrażenia nie doznawałem; morze nie przedstawia się jako bezmiar, ani okręt jako łupina. Z okrętu bardzo trudno znaleźć miejsce, z któregoby bardzo wiele morza oglądać było można, zawsze coś przeszkadza; najlepiej stać u steru albo na przodzie, ale i stamtąd nawet morze nie wygląda tak wspaniale, jak, siedząc w domu, myślimy. Okręt jest nie wysoki (bo wysokość piętrowego domu, to jeszcze nie wiele) i nie można z niego objąć dalekiej przestrzeni, a ta nawet, którą widzimy, wydaje się mniejszą niż jest, bo niema na niej żadnych przedmiotów, pomagających oku do otrzymania wrażenia wielkiej odległości.

Okręt znowu wcale nie wydaje się łupiną, owszem robi wrażenie wielkiego budynku i jest nim w samej rzeczy. Żeby otrzymać wrażenie, o jakiem mowa, trzebaby chyba wznieść się wysoko w górę. Wtenczas moglibyśmy porównać okręt z otaczającem go morzem i wydałby nam się bardzo małym. Toteż przyznam, że daleko wspanialej wydawało mi się morze z brzegu, naprzykład z tarasu klasztornego na górze Karmelu. Naprawdę było wspaniałe, a pływające po niem statki wydawały się łupinami, jeśli nie zwykłego, to przynajmniej kokosowego orzecha. Natomiast na okręcie doznawałem innego, bardzo szczególnego wrażenia. Statek płynął dość szybko (12 mil, tj. 21 wiorst na godzinę), więc rozdzielał gwałtownie wodę na obydwie strony, która pieniąc się i bałwaniąc, rozchodziła się dość daleko, wskutek zaś złudzenia optycznego zdawało się, że statek stoi

a może niby ogromna rzeka płynie ciągle wstecz. Sprawiało mi to z początku lekki zawrót głowy w czasie spacerów po pokładzie.

Niedługo jednak trwało przyglądanie się morzu, bo zadzwoniono na obiad, a przy nim podróżni przypatrywali się sobie i poznawali potrosze. Było nas niewielu i zajmowaliśmy tylko dwa stoły. Przy pierwszym siedziało greckie towarzystwo z kilku dam i kilku mężczyzn, kapitan i dyplomata akredytowany przy dworze ateńskim. W klatce z papugami nie mogło być gwarniej niż przy tym stole — damy gadały (oczywiście wszystkie razem) kilkoma językami; — dodać też muszę, chcąc być prawdomównym opowiadaczem, że papugi chyba o bardziej błahych przedmiotach między sobą nie skrzeczą. Słuchając tych rozpraw (a słuchać musieliśmy wszyscy) myślałem sobie: i wartoż to było tracić pieniądze na naukę kilku języków, żeby w każdym prawić o podobnych błahostkach. Coprawda, nie same Greczynki tak robią. Szczególnie utrapionym był przez nie nasz dyplomata. Był to niemłody, schorowany, nad wyraz dystyngowany i uprzejmy człowiek. Źle bardzo na tem wychodził. Greczynki formalnie go prześladowały, taką im widocznie sprawiało przyjemność wymawianie co kilka słów wyrazu *Excellence*.

To też biedna ekscellencya nie mogła wyjść bezkarnie z kajuty, zaraz ją ktoś z greckiego towarzystwa brał w opiekę i oprymował. W Konstantynopolu rozstałem się z nimi, ale mi mówiono potem, że *Excellence* dźwigał krzyż swój aż do Pireusu. Niezawsze to dobrze być ekscellencyą i w dodatku zbyt uprzejmą.

Po jedzeniu, towarzystwo helleńskie lokowało się na pokładzie i taki tam sprawiało harmider, że uciekałem od niego na drugi koniec statku; natomiast delfiny, zaniepokojone hałasem, całemi stadami pływały z tej strony, wyskakując na wyścigi jeden nad drugiego, by zasięgnąć języka, co to za gwałt niezwyczajny tam w górze.

Przy moim stole sprawowaliśmy się bardzo statecznie, jedząc, patrząc w milczeniu jeden na drugiego, słuchając zresztą z musu greckiego paplania, tylko siedzący obok mnie profesor odeskiego uniwersytetu rozprawiał półgłosem z dwoma młodymi ruskimi urzędnikami z Aten, o bizantyńskiej archeologii i o przesadzonych pretensyach Greków do wielkości, chociaż pod każdym względem są mali, — na co mu w milczeniu dawałem zupełną aprobatę.

Niedługo jednak i u nas trwał spokój; zakłóciło go młode żydowskie małżeństwo, siedzące u drugiego końca stołu. Byli to ludzie bardzo przyzwoici, bardzo grzeczni; mieszkali w Japonii i do niej teraz wracali. On wcale poprawnie mówił po rusku, między sobą rozmawiali po angielsku, znali też niemiecki i francuski języki, i nie byłoby im nic do zarzucenia, gdyby nie nieszczęsne żydowskie pyszałkowstwo. Pani tak usiłowała ciągle zwracać na siebie uwagę, że mi ustawicznie przypominała mrówkę z bajki Kryłowa, co to w tym samym celu wlazłszy na wóz z sianem i wjechawszy tak do miasta, awanturowała się tam na wierzchu.

Gorzej jednak nierównie dokuczył nam jej mąż, który jak siadł na konika Japonii, to jeździł na nim aż do końca. Wymówił kto jakiś wyraz, a ten zaraz: »A wiecie co to znaczy po japońsku?« Wspomniał ktoś o galernikach, ten zaraz: »u nas w Japonii«... o misyonarzach katolickich: »u nas w Japonii«... słowem, czy była mowa o maśle czy o motylach, o drzewach czy o materyach wełnianych, o telegrafach czy o polowaniu na wilki, zawsze musieliśmy z łaski jego wstąpić do Japonii i dowiedzieć się, jak tam pod tym względem rzeczy stoją. Prześwidrował mi uszy tą utrapioną Japonią.

Pierwsza w życiu noc na morzu przeszła mi bardzo spokojnie. Przypomniałem sobie wprawdzie czyjąś myśl w podobnej okoliczności, że tam przez grubość deski czeka śmierć i otchłań, ale mnie to nic nie rozczuliło. Gdzie bo śmierć na biednego człowieka nie czeka? Kiedyś go złapie nawet; nim to jednak nastąpi, zasnąłem smacznie.

Obudziłem się; okręt sunie wciąż naprzód, cicho wszędzie, słychać tylko przytłumiony stuk maszyny, a księżyc blado świeci przez okrągłe okienko. Popatrzałem w nie; — morze, prawie zupełnie czarne, bałwani się przy okręcie, a światło łagodne kładzie się na falach, na białej pianie i na dalekiej drgającej wodzie. Obraz pełen łagodnej melancholii i wdzięku.

Nazajutrz poznałem się ze zwykłą towarzyszką dłuższej morskiej podróży — nudą. Niewiadomo co z sobą zrobić; o pracy umysłowej nie było co myśleć, modlić się można było tylko w swej kajucie, bo zresztą wszędzie przeszkadzano; towarzystwa znajomego nie było, — więc przyglądałem się morzu. Nie powiem, żeby było bardzo pięknego koloru — jakieś ciemno-błękitno-stalowe. Wiatr wciąż dął dość

silny i ostry, wzbudzając na morzu fale, pokryte na wierzchu pianą. Żeglarze ruscy nazywają je *zajączkami*, Francuzi zaś *moutons*. Nasz *Czichaczew* nie uważał na nie i ani się nawet zachwiał, później jednak przekonałem się, że morskie zajączki są daleko od ziemskich szkodliwsze, że są to nawet zgoła niemiłe stworzenia.

Wielką rozrywką było, że dzwonek kilka razy wzywał nas do stołu, i tak się jakoś dzień skończył, a późno w nocy stanęliśmy na kotwicy u wrót Bosforu. Chodziłem, zaglądałem — nic nie widać, tylko ognie i ciemne masy skał. Niema rady, trzeba czekać do jutra. De Amicis powiada, że przez całą noc poprzedzającą wjazd do Konstantynopola, oká nie zmrużył. Nie naśladowałem tak chwalebnego przykładu, bo też nie byłem ani Włochem, ani młodym, ani poetą; wszakże poszedłem spać, obiecując sobie wielkie estetyczne rozkosze na jutro. To też zaledwo na »górach zaświtał dzionek«, i jeszcze słońce nie zaczęło się pokazywać po azyatyckiej stronie, już byłem na pokładzie.

Byłem — bo musiałem; majtkowie bowiem, spuszczając szalupy, takie wyprawiali harce właśnie nad moją głową, że musiałem patrzeć na jutrzenkę, choć niekoniecznie byłem jej widoku ciekawy. Wyszło potem słońce z za góry i obaczyłem na prawo w oddali skały cyaneńskie, które to miały pływać kiedyś w starożytności; bliżej przylądek skalisty, z lewej strony także wysoką skałę, a na niej zrujnowany stary zamek, przed sobą obszerną szafirową, zlekka pomarszczoną zatokę, ujętą w ramy niezbyt wysokich pagórków. Z boku wyglądał maleńki minaret przytulony do wzgórza, gdzieniegdzie kryły się chatki wśród drzew, a dalej mgła biała zasłaniała wszystko.

Cicho i pusto dokoła; czasami ptak przeleciał, lub przemknęło samotne czółenko. Podjechaliśmy trochę dalej i stanęli naprzeciwko *konaku* t. j. fortecy czy zamku, z po za okopów którego patrzyły na nas działa; widzieliśmy w nim jakieś budynki, zapewno koszary, i żołnierzy chodzących na warcie. Rozpoczęły się długie formalności sanitarne i paszportowe; nudne one były bardzo, ale miały tę dobrą stronę, że mgła tymczasem się podniosła i mogłem dobrze już widzieć to, co miałem opisywać.

Znany jest powszechnie wykrzyknik De Amicisa na widok Konstantynopola: »a teraz opisuj szaleńcze!« Rzeczywiście, trzeba być

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

szaleńcem, żeby się rzucić na taką imprezę. Żadne opowiadanie nie jest zdolne odtworzyć dokładnie w naszej wyobraźni choćby tak prostej rzeczy, jak naprzykład chatka w ogrodzie. Najgorszy rysunek zrobi to wierniej, niż najdłuższe i najbardziej szczegółowe opisy. Krajobrazy możemy malować słowem, tylko za pomocą krótkich a dobrze wybranych rysów, które wznawiają w naszej wyobraźni znane skądinąd, a podobne obrazy i budują obraz żywy, ogólnie może podobny, ale nigdy taki sam jak opisywany, a nawet w wyobraźni każdego czytelnika inny. Jeśli szczegółów jest za wiele, mieszają się one nam w głowie i obraz znika za mgłą. Wiedzieli o tem Sienkiewicz i Mickiewicz; — opisywali krótko, ale każdy rys był mistrzowską ręką kładziony, to też ich krajobrazy widzimy. Proszę natomiast odtworzyć widoki opisywane przez p. Witkiewicza w »Na przełęczy«. Tyle tam szczegółów, tak rzecz każda drobiazgowo opisana, że po przeczytaniu danego ustępu, nie pozostaje w głowie ani ogółu, ani szczegółów, tylko szczery zamęt.

Tej samej metody trzymał się De Amicis; za nim znów poszedł autor »Listów z Konstantynopola«. Wyszli na tem najgorzej, bo jeśli z małym widokiem nie można sobie w opisie dać rady, to cóż mówić o takim olbrzymim? Podali mnóstwo szczegółów okraszonych poezyą, z których ogólnego pojęcia wyrobić w sobie nie sposób. De Amicis nadto pozwalał sobie na taką przesadę, mówiąc grzecznie, że tylko ramionami można ruszyć, gdy się opis z rzeczywistością porówna.

Nie mając pretensyi do mistrzowstwa w opisach, podam tylko w krótkości kilka szczegółów o Bosforze. Jest to cieśnina łącząca morze Czarne z morzem Marmora i jedyne ujście dla zbytku wody pierwszego. Przesmyk ten, długi 15 mil morskich, t. j. prawie 26 wiorst, idąc z północnego wschodu na południowy zachód, wije się i wykręca na różne strony, formując liczne zatoki, raz ścieśniając się, to znowu rozszerzając. Wskutek takiego zmiennego kierunku, widz miewa bardzo przyjemne niespodzianki, bo często odkrywa się nagle obszerny i piękny widok, tam, gdzie zdawało się, że góry nawet przejścia okrętowi nie zostawią.

Prawdą jest także, co powszechnie mówią, że w miarę zbliżania się do Konstantynopola, rośnie stopień piękności brzegów Bosforu. Obydwa

brzegi, a zwłaszcza europejski, pokryte są prawie bez przerwy domami, wioskami, miasteczkami i rozmaitemi pamiątkami dawnych czasów. Wspomnę tylko o tych, które mi się bardziej godnemi uwagi wydały. Więc zaraz na początku, stoją na azyatyckim brzegu wspomniane już puste mury genueńskiego zamku. Na drugim brzegu był podobny, lecz teraz w ruinach. Dalej po tej samej stronie najwyższa nad Bosforem góra Olbrzyma, a na niej grób tego bezimiennego bo-

Wejście do Bosforu z morza Czarnego.

hatera licznych baśni muzułmańskich i chrześcijańskich. Naprzeciwko rozściela się szeroko wielka zatoka, a na jej końcu u stóp góry miasto Bujuk-Dere, (co właśnie po turecku znaczy wielka zatoka), za nią więcej na południe Terapia.

Obydwa miasteczka mają pałace letnie różnych ambasadorów Na stronie azyatyckiej dalej zasługują na wzmiankę leżące nad piękną zatoką miasteczko Bejkos, Sułtanieh (pałac sułtański) i wioska fig (Indżir-kioi). W miejscu gdzie się Bosfor najbardziej zwęża, (550 metrów) i gdzie formuje prąd zwany szatańskim (szejtan akindisi), stoją naprzeciwko siebie dwa zamki europejski i azyatycki (Ru-

meli hissar i Anatoli hissar). Pierwszy z nich został zbudowanym przez Mahometa II na rok przed wzięciem Konstantynopola.

Za azyatyckim zamkiem wpadają do morza dwa strumienie zwane niebieskimi, a między nimi znajduje się dolina służąca za miejsce piątkowego spaceru eleganckiemu towarzystwu tureckiemu. Są to *słodkie wody azyatyckie.*

Tak na obydwóch brzegach ciągną się jedna za drugą wioski i miasteczka, aż do europejskiej Orta-kioi i azyatyckiej Czengil-kioi, których przekraczać nie będę, bo czas mi wracać do okrętu, stojącego przy *konaku* i załatwiającego się z formalnościami. Skończyły się one wreszcie. Dano nam *praktykę* i ruszyliśmy.

De Amicis opowiada, że na jego okręcie od kapitana zacząwszy, a skończywszy na ostatnim Turku z pokładu, wszyscy byli w nastroju uroczystym, wszyscy pałali niecierpliwością, wszyscy zwracali głowy, oczy i serca ku Konstantynopolowi; — szczęście, że palacze swych pieców nie opuścili i nie wybiegli także na pokład, bo okręt by nie dopłynął i nie byłoby może książki, której do końca świata nikt nie przewyższy ilością wykrzykników i superlatywów.

Na naszym *Czichaczewie* było zupełnie inaczej. Kapitan stał na swej galeryi i komenderował, oficerowie biegali zafrasowani z rachunkami, pocztą, pakunkami, majtkowie zajęci byli służbą, podróżni zbierali manatki; w salonie Greczynki siedziały przy pianinie, a żydówka mysim głosem kaleczyła im śliczną piosnkę Rubinsteina; na kanapie zaś mąż jej przyłapał kogoś i piłował Japonią. Bosforowi przypatrywałem się ja tylko i dwaj czy trzej jeszcze podróżni.

Przebiegałem po pokładzie tędy i owędy, patrzałem pilnie i — doznawałem rozczarowania. Jakto, zapytacie zdziwieni, więc Bosfor nie jest piękny? Owszem, piękny. Gdzie jest szafirowe morze i niebo, gdzie są góry i trochę drzew, tam trudno, żeby piękna nie było.

Bosfor jest naprawdę pięknym, ale byłby daleko piękniejszym, gdyby nie był tak srodze przechwalonym. Naczytawszy się pochwał, śpiewanych na najwyższą nutę, wyobrażamy sobie rajskie obrazy, tymczasem nie znajdujemy ich wcale. Bo proszę: — cieśnina jest długą około 30 wiorst, więc choćby tam były same cuda natury, wrażliwość takby się stępiła, że mnóstwo pięknych widoków zginęłoby dla nas i czulibyśmy znużenie. Daje się to właśnie czuć na Bosforze,

tembardziej, że cudów natury wcale tam niema. Góry właściwie nie górami, lecz pagórkami, a te pagórki po większej części mają jednakową, bardzo monotonną podługowatą formę. U stóp ich rozkładają się wioski i miasteczka szkaradnie zapchane domami i domkami, zbudowanymi bez najmniejszego pojęcia o pięknie architektonicznem, natłoczonymi jedne na drugie, zasmarowanymi kolorami, które bardzo rażą oko, choć entuzyaści wyrażają się poetycznie, że takie a takie miasteczko »świeci tysiącami kolorów«. Naprawdę kolorów jest nie tysiąc, lecz trzy tylko: — mocno żółta ochra, jakaś brudno czerwona farba i sina ultramarina; czwartym może być kolor starych, poczerniałych, często poobrywanych desek, któremi tureckie domy bywają poobijane, bez żadnego tynku ni farby.

U dołu pagórki mają ogrody i trochę drzew, ale wyżej są zupełnie łyse, puste i szare, bo bez jednego źdźbła trawy. Przypuszczam, że na wiosnę znacznie piękniej wyglądają, gdy słońce jeszcze zieloności nie wypaliło. Gdyby te pagórki nie były tak do siebie podobne, gdyby je przerywały od czasu do czasu skały i urwiska, gdyby były pokryte zielenią lasów, gdyby w końcu wioski i miasta były lepiej

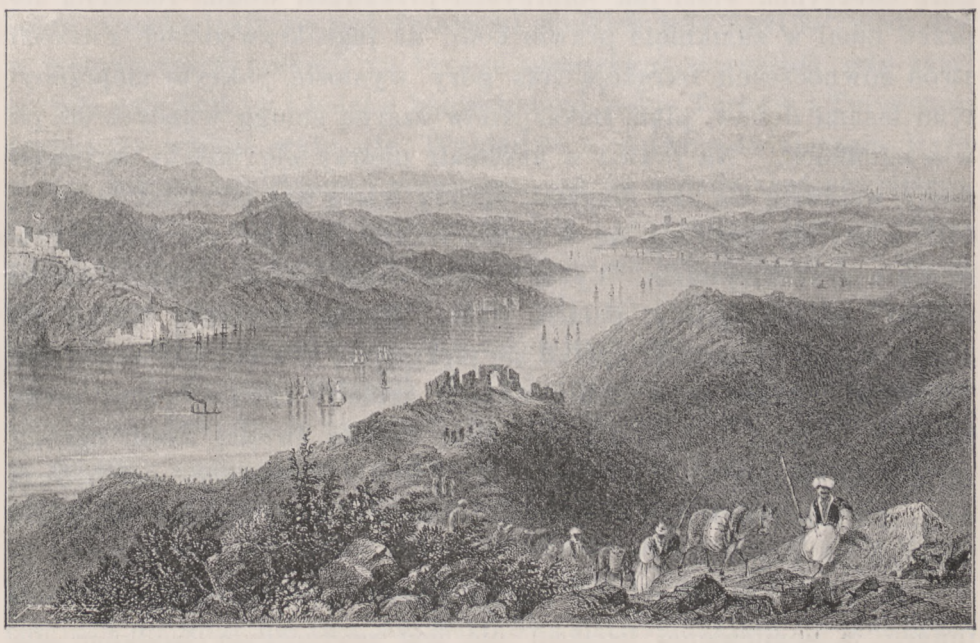

Widok wschodniej części Bosforu.

Bujuk-Dere.

zabudowane, Bosfor byłby rzeczywiście bardzo pięknym. I teraz, gdy zejdą się przypadkiem te warunki, widoki są prześliczne. Pamiętam naprzykład na brzegu azyatyckim w jednem miejscu zatoka rozszerzyła się niby szerokie jezioro. Bliżej nas pięło się ku górze brzydkie kolorowe miasteczko, ale dalej nad samą wodą wznosił się wspaniały biały pałac, za nim zielone tło ogromnego ogrodu, a za ogrodami niewysokie góry.

Widok był naprawdę śliczny, ale takich jest niewiele, tymczasem autorowie podróżnicy opisali Bosfor tak... że opisy do rzeczywistości zupełnie niepodobne.

Oto parę przykładów: Autor „*Listów z Konstantynopola*“, minąwszy górę Olbrzyma, widzi jak »olbrzymia przestrzeń wodna rozściela się przed nami w zamknięte prawie koło; na jego krawędziach z trzech stron równocześnie okrążają nas góry wyniosłe, pokryte nieprzebytymi lasami dębów, pinii, bukszpanów czarną smugą wijących się po wierzchołkach... Na prawo w amfiteatr piętrzy się miasto, ogromne domy wspinają się nad domami, ogrody wiszą nad płaskimi dachami, białe minarety wzbijają się w niebo, lekkie i dumne, jak palma królująca w arabskiej oazie. Wyżej jeszcze widać szerokie łany... i znowu miasto i znowu ogrody, pałace, wille... Byłem olśniony; spełnił się więc sen mój długoletni, spełnił się piękniejszy o wiele, niż marzyłem. Widzę więc przed sobą stolicę świata, królowę mórz i lądów, pełną blasków i czaru, — próbuję wyszukać kopułę świętej Zofii, ogrody seraju, las cmentarza w Skutari... Ależ to nie Konstantynopol (mówią mu)... To dopiero B u j u k - D e r e... Więc cóż dalej będzie? W głowie zaczyna się kręcić«...

Bodajto być młodym i poetą! Jeżeli cały ten ustęp (i wiele innych w pomienionej książce) nie jest poetycznym środkiem dla podniecenia zajęcia w czytelniku, to chyba był pisanym znacznie

potem, gdy się widziane obrazy pomieszały razem w pamięci autora.

Przypuściwszy nawet, że literat jadący umyślnie do Konstantynopola, tak nie znał topografii Bosforu, że mógł Bujuk-Dere wziąć za Stambuł, trudno pojąć, jakim sposobem widział rzeczy, których tam jako żywo niema. Bujuk-Dere leży u stóp niezbyt wysokiej góry, ze strony zachodniej pokrytej drzewami, z przeciwnej zupełnie bezleśnej; mówią, że naprawdę jest to dość duże miasto, ale zdaleka wydaje się jak jeden szereg domów, zbudowanych tuż nad morzem, i nie widać wcale, jak się one wspinają jedne nad drugimi. Jak tam było szukać kopuły św. Zofii, kiedy każdemu wiadomo, że ona jest na pagórku, a tu pagórek lasem pokryty, nie domami. Z powodu tego lasu, niema tam także żadnych zgoła łanów, niedopiero szerokich; góra bowiem zwęża się coraz i kończy dość spiczasto.

Widok rzeczywiście piękny, ale chyba nie olśniewający; — mnie przynajmniej nie olśnił bynajmniej.

De Amicis ucieka się do jeszcze silniejszych figlów literackich. Dopływa np. do Anatoli-hissar i powiada: »Ze strony przeciwnej, patrząc przez lornetkę, można było dostrzedz grupy pań, muzułmanek, które przechadzały się pod drzewami słodkich wód Azyi lub siedziały w malowniczych kółkach na brzegu *niebieskiego strumienia*, gdy tymczasem roje kaików i łodzi z baldachinami, pełne Turków i Turczynek szybowały wzdłuż wybrzeża. Wyglądało to dziwnie świątecznie. Było w tem coś arkadyjskiego i miłosnego, coś, co rodziło chęć niezmierną rzucenia się ze statku w przejrzyste fale i popłynięcia tam na jedno z tych uroczych wybrzeży, aby wychodząc na brzeg zawołać: »Niech się co chce stanie, ale to nad moje siły opuścić tę ziemię; tu śród muzułmańskiej szczęśliwości chcę żyć i umierać!«

To ci dopiero rozpalił się młodzieniec do muzułmańskiego szczęścia! Szkoda, że go przez rok jaki nie kosztował; — nie wątpię, że rzuciłby swoją Arkadyę, choćby mu przyszło wpław przez »przejrzyste fale« dostawać się na pierwszy lepszy europejski okręt.

Czego warta muzułmańska szczęśliwość, nikomu chyba nie tajno. De Amicis sam zresztą daje w swem dziele liczne jej ilustracye; pociągnęła go tutaj nie ona, ale tylko owe przechadzające się pod drzeawmi »panie muzułmańskie« — no, i żeby było przynajmniej dla

kogo skakać do morza! Kto nie widział, nie wyobrazi nawet sobie jak te damy szpetnie wyglądają. Są one zwykle małe, pękate, aż do stóp nakryte zasłonami bronzowemi albo czarnemi i wyglądają jak duże pozasłaniane samowary chodzące. Widok ich mógł rozentuzyazmować chyba tylko młodego, gorącego Włocha i to jedynie w najbardziej upalne dni kanikuły, kiedyto złośliwe humory uderzają do głowy i wypędzają z niej stateczność i rozsądek.

Tak to sobie radzą młodzi literaci-entuzyaści, kiedy zdaleka przychodząc, opowiadają o tem, co widzieli i co zdawało im się, że widzieli. Ja entuzyastą nigdy nie byłem, tylko niebaczny wierzyłem im na słowo i za to teraz doznawałem zawodu.

Dojechaliśmy wreszcie do Orta-kioi; statek zawrócił na prawo i rozwinął się przed oczyma mojemi widok naprawdę wspaniały. Z lewej strony, azyatyckiej, pałac sułtański Bejlerbej i tegoż nazwiska miasteczko, dalej Istauros, Kusgundżuk i początek wielkiego miasta Skutari, nad którem wznosi się nagi szczyt najwyższej tu góry Bulgurlu. Ze strony prawej większy przepych i większy ruch; — oto ludne tureckie przedmieście Beszikta sz, ogromne koszary, pałace baszów. Nad morzem wskazują mi sułtański pałac Cziragan, gdzie przebywał, a może i dotąd przebywa brat i poprzednik panującego dziś sułtana, Murad V. Nad pałacem piętrzą się wysoko ogrody, a gdzieś tam w górze wśród nich ukryta rezydencya Abdul-Hamida, Jildiz-kiosk.

Dalej długą, białą linią wystaje z morza fantastyczny Dolma-Bagcze, ulubione mieszkanie Abdul-Azisa. Wysoko na górze widzę czarny las cyprysów i zgaduję, że to wielki cmentarz Pery. Tuż przy nim ogromny gmach ambasady niemieckiej. Potem już drzew i ogrodów coraz mniej, tylko domy jeden przy drugim, niby szara lawa kamienna, schodzą aż na dół ku wodzie, po stoku wzgórza. W połowie

Pałac Dolma-Bagcze nad Bosforem.

pochyłości wystrzela na nie znana mi z rysunków wieża — po niej poznaję, że to Galata.

Wprost przed nami wybiega w morze przylądek, na którego szczycie stoją pałace i widać drzew wierzchołki. To przylądek seraju — a dalej w głąb lądu jedna masa kamienna, tylko na wierzchołkach pagórków wznoszą się przysadziste meczety, około których smukłe jak strzały minarety strzelają w górę.

Cała przestrzeń ogromna między temi ramami zalana morzem lazurowem, po którem roją się łodzie i statki jak mrowie, na które słońce rzuca całe pęki złotych promieni, odbijających się w wodzie, a od tego blasku mrużą się oczy i widzą niejasno ogromne miasto, przesłonięte delikatną zasłoną z powietrza, mgły i promieni. Zaprawdę widok wspaniały!

Okręt zwalnia biegu, zwraca na prawo i stajemy na kotwicy naprzeciwko Galaty, — tej samej Galaty, gdzieto ongi Zagłoba »palmę otrzymał« i jedno oko postradał.

Wzywają nas na śniadanie, więc posłuszny wezwaniu, idę do spełnienia niezbyt ciężkiego obowiązku, nim się z *Czichaczewem* rozstanę. Tymczasem zaledwie w połowie go spełniłem, gdy wpada służący jeden, po nim drugi z wiadomością, że jakaś »znaczna osoba« przypłynęła z miasta i chce się ze mną widzieć.

Pomny na starą maksymę łacińską: »co czynisz, czyń dobrze«, dokończyłem śniadania i wyszedłszy na pokład, widzę, że to mój dawny znajomy, pan Maryan L., huśta się w łodzi na falach i srodze się na mnie niecierpliwi. Był on w Konstantynopolu, dowiedział się, że mam w tych dniach być tam także, wziął więc przewodnika i z nim wyjechał na moje spotkanie.

Bodajto mieć, a zwłaszcza na obczyznie spotykać, poczciwych znajomych! Nie wiedziałem nawet na razie, jaką mi przysługę wyświadczył, alem się bardzo ucieszył, zobaczywszy twarz znajomą. W jednej chwili zebrałem manatki, pożegnałem kapitana, lżej odetchnąłem na myśl, że o Japonii nic już nie będę słyszał i zbiegłem do łodzi, gdzie obok nas znalazł się jeszcze wysłaniec hotelu *„Byzancyum“*, w którym miałem zamieszkać.

Płyniemy do brzegu, ale nie tak to było łatwo, jak się komu zdaje. Trzeba było ciągle wymijać łodzie, kaiki, szalupy, okręty; — głowa

chodziła jak na zawiasach. Tu z szumem przemknął o kilkanaście kroków za nami spacerowy parostatek, a fale przez niego wzburzone podrzucają łódź naszą wysoko; w tej chwili widzimy, że leci na nas jak strzała kaik, którego kaidżi nas nie widzi, bo wioślarze siedzą obróceni plecami ku przodowi łodzi; więc krzyki i hałas. Jedziemy dalej obok potworu czarnego, który wodę wyrzuca otworami, czarnym dymem wybucha z komina i poświstuje sobie cza-

Galata i wielki most nad Złotym Rogiem.

sami. Rety! — toż gdyby się ruszył, coby z nami było? Robi mi się na tę myśl zimno — nie, gorąco — zdaje się nawet, że zimno i gorąco razem.

Niema jednak czasu na rozmyślania, bo gdy my sobie płyniemy bez żadnej złej myśli, wysuwa się na nas cichutko z za jakiegoś statku ogromna zasmolona barka, na której przodzie wiszą na powrozach kloce na łokieć przeszło długie (nie wiem do czego służące) Wysuwa się i jedzie wprost na nas; — umykamy co tchu na stronę — i tak lawirujemy, krzycząc, kręcąc głowami, czasami odpychając rę-

kami łodzie, zbyt ciekawie wścibiające nosy między nasze głowy, aż wreszcie dopływamy do komory celnej.

Tutaj dopiero tartas i rwetes. Na brzegu dom długi, obszarpany i brudny, od niego spuszczają się do morza schody drewniane, stare, poniszczone; przed schodami zbita masa czółen, łodzi, kaików, a na nich chodzą, skaczą, krzyczą i gestykulują dziwne postacie oliwkowe, umorusane, czarne, w zawojach, fezach, kaftanach, koszulach, gałganach; na schodach i nad schodami takiż sam tłum i tak samo miota się i wrzeszczy.

Chcemy się dostać do schodów — niepodobna. Nasi przewodnicy coś tam gadają z tymi co na schodach, dwaj czy trzej z nich skaczą po łodziach do nas, chwytają tłómoki i wracają tąż samą drogą. My za nimi. Skoczyłem na czółno jedno, drugie — jakaś czarna, ogromna łapa schwyciła mnie za rękę, dwie oliwkowe podparły z boku, kogoś potrąciłem, coś przewróciłem, wreszcie znalazłem się na schodach i w komorze celnej.

Nie wyobrażałem sobie podobnie nędznego wejścia do stolicy państwa otomańskiego. Stałem w najbrudniejszej sieni, zapchanej tragarzami i różnego rodzaju obszarpańcami. Zobaczyłem moje kufry i ręczne pakunki pod strażą młodego hotelowego, wydostałem klucze i czekam kolei.

A byłbym dobrze wyszedł na czekaniu! Koło mnie trzej celnicy stali nad sakwojażem jakiegoś Niemca, napełnionym różnemi narzędziami; jeden z nich trzymał właśnie w ręku niklową szpryckę, właściciel jej tłómaczył im po niemiecku, że to zgoła rzecz niewinna, a oni patrzyli i milczeli. Koło nich stał ich sekretarz, z niewidzianej wielkości księgą i ołówkiem w ręku; ten także patrzał i milczał. Brali się do rzeczy z taką flegmą, jakby czas się dla nich już skończył, a wieczność zaczęła, w której, jak wiadomo, niema zgoła racyi do pośpiechu.

Tak niegdyś, jeśli wierzyć Grekom, sędziowie Hadesu, Minos, Eak i Radamant badali gruntownie życie nieboszczyka, jak ci trzej celnicy zawartość niemieckiego pudła; nie wiem tylko czy mieli sekretarza i czy ten miał taką księgę *in folio*.

Hotelowy, widząc, że to na długo się zanosi, patrzy błagalnie na jednego z tych panów, woła: Effendi, effendi! i wskazuje na moje

manatki. Effendi jednak nie widzi i nie słyszy. Wtem wszedł stary przewodnik, który się przede drzwiami rozpłacał, i zaraz rzecz zmiarkował. Jako człek doświadczony wiedział, że u ludzi ze Wschodu wzrok i słuch nie osobliwy, ale dotykanie dziwnie wyrobione. Podszedł więc do czwartego effendiego, stojącego pod ścianą, jak posąg obojętności, dotknął prawą ręką jego prawicy i posąg ożył. Zbliżył się do moich rzeczy, popatrzył, popróbował, skinął ręką i za chwilę wyszliśmy z budy.

Rzuciłem raz jeszcze okiem na Niemca i trzech effendich — on gadał, a oni wciąż stali ze szprycką w ręku i milczeli. Spotkałem go później w mieście; szedł rozindyczony i klął w żywe kamienie. Musiało mu się powodzić w Konstantynopolu...

Wyszedłszy z komory celnej, znaleźliśmy się na ulicy, — gdybyż na ulicy! Był to jakiś ciasny przesmyk, którego całą szerokość zajął wóz zaprzężony w dwa siwe woły i tylko ogromne ich rogi sterczały nad poruszającą się koło nich falą ludzi i zwierząt. W pozostałą przestrzeń wolną wepchało się kilka objuczonych osłów idących w przeciwną stronę; poganiacze ich pokazywali sobie pięści i coś głośno a szybko gadali; — może życzyli sobie po turecku dobrego dnia i wszelkich pomyślności. Tragarze wkładali na wóz paki mniejsze i większe, osły dzwoniły brzękadłami, a jeden ryczał, jak to osły umieją; przekupnie wrzeszczeli, jakby ich kto ze skóry obdzierał — słowem: Sodoma i Gomora!

Przepchaliśmy się jakoś pod ścianą, wpadłszy jedną nogą do ścieku i zaczepiwszy parę razy suknią o coś, czy o kogoś, dostaliśmy się do dorożki i pod wodzą przewodnika ruszyliśmy pod górę. Rzeczy powędrowały inną drogą, na plecach *hamalich* a pod opieką hotelowego.

Jedziemy tedy uliczkami krętemi, brudnemi i stromemi. W drodze nic prawie nie mówiłem, tylko głowę obracałem na wszystkie strony. Patrzałem na domy dziwne, na ludzi osobliwych, na towary nie widziane, wąchałem wonie nieznane, słuchałem wrzasków nigdy nie słyszanych, rozszerzałem oczy ze zdziwienia i pytałem mej duszy zdumionej: dokądżeśmy się to, o duszo moja, dostali? A ona nic mi odpowiedzieć nie mogła, bo też pierwszy raz znalazła się w stolicy bisurmańskiej. Wjechaliśmy w uliczkę tak ciasną, że kto żyw

chował się przed nami do pierwszej lepszej dziury; stamtąd zawróciliśmy na szerszą ulicę i znaleźliśmy się wkrótce przed hotelem *„Byzancyum“*.

Ulokowawszy się tam i przyszedłszy do siebie, oceniłem dopiero należycie szczęśliwy pomysł p. Maryana; bo jakbym ja sam przeszedł przez te czyścowe turecko-celne utrapienia? Stałbym tam dotąd obok Niemca i ćwiczył się w świętej cierpliwości. Niema to, powtarzam, jak mieć zacnych znajomych i spotykać ich na obczyznie!

ROZDZIAŁ II.

Ośm dni w Konstantynopolu.

24 września — 1 października.

Z książek poświęconych w literaturze naszej, w ciągu bieżącego stulecia, Konstantynopolowi, najstarszą chyba będzie: »Dziennik podróży do Turcyi odbytej w 1814 r.« przez hr. Edwarda Raczyńskiego Następnie arcybiskup Hołowiński, wówczas jeszcze kanonik żytomierski, jadąc w 1839 r. do Ziemi Świętej, zwiedził to miasto i dość pobieżnie opisał; M. Mann poświęcił mu połowę 3-go tomu swej »Podróży na Wschód«; w bliższych nas czasach M. Siemiradzka, przetłómaczyła z włoskiego głośną książkę De Amicisa »Konstantynopol« Gnatowskiego »Listy z Konstantynopola« uważam za naśladowanie poprzedniego dzieła, za rodzaj wyścigu literackiego, kto barwniej i kwieciściej opisze ten gród, który uważać za cud przyrody i rąk ludzkich weszło w modę w ostatnich lat dziesiątkach.

Kto chce rozkołysać wyobraźnię i usposobić się do marzeń poetycznych, może z dobrym skutkiem czytać obie powyższe książki, napisane z niezaprzeczonym talentem (tylko co do ich dokładności liczne poczyniłbym zastrzeżenia); kto jednak pragnie zaznajomić się z rzeczywistym stanem rzeczy nad Bosforem, niech przeczyta Antoniego Zaleskiego »Z wycieczki na wschód — notatki dziennikarza«. Z książki tej, choć to mają być tylko notatki, dowie się czytelnik bez porównania więcej prawdy, niż ze wszystkich poematów »o królowej morza i lądów«; — ze zdziwieniem wyczyta w niej ile to nędzy wszelakiej kryje się wśród tak szumnie opiewanych piękności, a przytem

powinienby jeszcze pamiętać, że jeśli opowieści o czarach, dziwach są niesłychanie przesadzone, to nędza i mizerya wszelaka w książce A. Zalewskiego, zaledwo dotknięta; na jej wyczerpujące opisanie trzebaby bardzo dużo czasu i papieru poświęcić.

Wymieniłem tu kilka dzieł o Konstantynopolu, które znam i posiadam, zapewne są inne jeszcze, których nie znam albo nie przypominam sobie, nie mówiąc o literaturach obcych. Wobec więc obfitości źródeł informacyjnych, nie będę rozwodził się szeroko nad topografią, ani nad historyą Carogrodu, bo zresztą ani mógłbym tego uczynić, po kilkodniowym zaledwie w nim pobycie, ani to wchodzi w zakres mej podróży, inny cel główny mającej na oku. Przytoczę tyle tylko danych o miejscowości i przeszłości, ile ich potrzeba będzie dla lepszego przedstawienia kilku obrazków jakie tu naszkicować zamierzyłem.

Konstantynopol składa się właściwie z trzech wielkich miast; z tych dwa w Europie, trzecie w Azyi. Pierwszem jest miasto Franków, leżące u końca prawie Bosforu. Składa się ono z wielu dzielnic, między któremi najważniejszemi są Pera i Galata.

W miejscu gdzie się kończy Galata, wrzyna się w ląd w kierunku północno-zachodnim, bardzo długa i około 500 metrów szeroka zatoka morska, zwana Złotym Rogiem. Za nią na zakrzywionym ku górze półwyspie leży właściwy Konstantynopol, przez Turków zwany Istambuł t. j. miasto (wyraz pochodzący ze źle wymawianego greckiego *eis ten polin*). Rozsiadł się on na siedmiu pagórkach, z których sześć bieży wzdłuż zachodniego brzegu Złotego Rogu, siódmy oddzielony od nich łożyskiem potoku Lycus, zajmuje zachodnio-południową część miasta i kończy się nad morzem Marmora.

Tym sposobem Stambuł jest z trzech stron oblany morzem, ze strony lądu od zachodu strzegł go potężny mur potrójny i głębokie rowy. Na północnym końcu muru, przy Złotym Rogu jest obecnie dzielnica Ejwan-seraj (dawniej pałac cesarzów bizantyjskich i dzielnica Hebdomon); przy południowym, strasznej pamięci, zamek siedmiu wież Jedi-kule; prawie po środku sławna w dziejach brama Św. Romana, dziś Top-kapu t. j. brama działa, bo przed nią w 1453 r. stało i burzyło ją wielkie działo Orbana.

Od strony morza dawniej miasto także było otoczone wysokim murem, dziś pozostał on tylko nad morzem Marmora, po stronie zaś

wschodniej zburzono go powoli, albo włączono do innych budynków. Między półwyspem a brzegiem azyatyckim kończy się Bosfor, a zaczyna morze i właśnie po drugiej stronie na pochyłości góry Bulgurlu, nad piękną zatoką rozłożyła się trzecia część Konstantynopola, miasto Skutari. Te wiadomości topograficzne, jak na teraz wystarczą.

Wspomniałem wyżej, że zatrzymałem się w hotelu *„Byzancyum“*; przed laty mieszkał w nim De Amicis i poświęcił mu nawet cały rozdział p. t. »W hotelu«. Głośny potem podróżnik widocznie pierwszy raz wówczas wyjechał za granicę włoską; dziwił się i cieszył naiwnie, że przy stole spotykał przedstawicieli różnych narodowości, a tak był zachwycony Kynstantynopolem, że oburzał się na kogoś, narzekającego na brak w nim chodników (trotuarów). Co jednak dziwnego być może w tem, że w stolicy Turcyi nie sami Włosi zasiadają przy stole, albo dlaczego brak chodników, tak naganny i niewygodny w najlichszem miasteczku, ma być zaletą w rezydencyi padyszacha? Ja także znalazłem hotel bardzo podobnym do wieży Babel; — kogo w nim nie było i jakim językiem nie mówiono! Spotkałem tam nawet dwie znajome mi osoby z moich stron, które w towarzystwie kilku innych jeszcze dążyły do Ziemi Świętej.

Przy obiedzie przypatrywałem się tej różnorodnej mozaice ludzkiej, zmieniającej się nieustannie, niby płynąca woda; była jednak wśród tej ruchomej fali i nieruchoma granitowa skała. Naprzeciwko mnie siedziała niemłoda już para małżonków Anglików. Po obiedzie ona mężowi z wdziękiem nalewała herbatę, on ją wypijał ze spokojnem i zadowolonem obliczem. Ci nie zmieniali się. Dziesiątego dnia po przyjeździe popłynąłem dalej, a ich zostawiłem na tem samem miejscu, na jakiem zastałem. Przeszły dwa miesiące, zwiedziłem Palestynę i kawałek Egiptu, użyłem wschodniego nieba, słońca, ziemi i ludzi, że ledwo dech we mnie kołatał i wracałem do domu, marząc tylko o tem, by jak najprędzej wszystkie owe rozkosze Wschodu daleko zostawić za sobą. Okręt nasz zatrzymał się w Konstantynopolu prawie na dwa dni całe, więc pojechałem do miasta dla załatwienia niektórych interesów i wpadłem do »*Byzancyum*» na śniadanie. Ledwom usiadł i podniósł głowę, widzę przed sobą na tych samych miejscach tęż samą parę angielską i jakby to wczoraj dopiero było, ona mu z wdziękiem nalewa herbatę, on ją wypija ze spokojnem

zadowolonem obliczem. Osłupiałem na widok takiej stałości i aż mi się zimno zrobiło na myśl, coby to ze mną było, gdybym ja tak musiał dwa miesiące tu przesiedzieć; — na ich twarzach jednak panował najzupełniejszy spokój i szczęśliwość. I nie jestże prawdą, że *de gustibus non disputandum?*

Poznałem się także wtenczas po raz pierwszy z kuchnią konstantynopolitańską. Hotel nasz miał pretensyę do karmienia nas po francusku, jeśli jednak istniała kiedy na świecie pretensya bez żadnej podstawy, to ona nią była z pewnością. W gastronomii jestem profanem, więc nie mogę opowiedzieć co tam i jak dawano, bom i wówczas nie zawsze wiedział, co jadłem; pamiętam tylko, że dobre bywały winogrona i ryby, reszta zaś tak dziwna i tak jakoś przyrządzona, że mój żołądek najsroższe mi z tego powodu czynił wymówki i groził formalną rebelią. Więc zjawiały się nieliczne, mocno podejrzanej świeżości, czerwonawe kawałki mięsa srodze opieprzone, podlane sosem bez nazwy, tonące w jarzynach zgoła mi nieznanych; więc jarzyny mdłe i ckliwe — dobrze jeszcze jeśli trafiły się *zucci* (podobne do ogórków, lekko kwaskowate) albo pomidory, które dawano tarte i faszerowane, całe i poszarpane; więc befsztyki i rostbefy, krew surową sączące, obrzydliwe; więc ptaki wielkości włoskiego orzecha, kury i kurczęta poćwiertowane na drobne kawałki.

Wszystko to było dziwne albo nawet zgoła obmierzłe dla człowieka wiedzącego, jaki jest smak barszczu i kapuśniaku, jadającego kluski i pierogi z serem i pieczeń huzarską i zrazy z kaszą gryczaną — no, ale trudno, kiedy się wyjechało dla czynienia pokuty, trzeba poznać mortyfikacyę, jakoż i mortyfikowałem się, połykając one wszystkie trucicielskie szarpaniny; przekonałem się potem, że to było jeszcze, jak Francuzi powiadają, *du pain bénit* w porównaniu ze specyałami czekającymi na grzesznego pielgrzyma bardziej ku południowi.

Nazajutrz po moim przyjeździe *Czichaczew* odpływał w dalszą drogę i właśnie na nim znajomi moi zamierzyli kontynuować swą pielgrzymkę. Odprowadziłem ich na okręt, pożegnałem życzeniem szczęśliwej podróży i odziedziczyłem po nich przewodnika zwącego się Stratis Spanos, a tytułującego się »dragomanem, przewodnikiem i kuryerem hotelu Byzancyum«. Był to spadek bardzo potrzebny

i pożyteczny. Bez tłómacza i przewodnika chodzić po Konstantynopolu i dać sobie w nim rady nie można; ten zaś znał miasto wybornie, umiał prowadzić i był uczciwym w rachunkach. Znał też pięć języków, w tej liczbie i ruski. Za to znajomość historyi, jak u wszystkich zresztą cziczeronów, pozostawiała bardzo dużo do życzenia. Opowiadał mi takie rzeczy, że gdyby prochy byzantyjskich historyków istniały gdzie jeszcze, toby się pewno poruszyły z oburzenia i zgrozy. Podziwiałem w nim natomiast inny dar bardzo ciekawy: tak zręcznie umiał dawać *bakczysze*, że nigdy go złapać na tem nie mogłem; że jednak dawał, najlepszy dowód miałem w tem, że wszystkie drzwi odmykały się przedemną, że imamowie w meczetach skwapliwie nakładali mi papucie na nogi, że kłaniały mi się uprzejmie białe turbany, czerwone fezy, uśmiechały się przyjaźnie usta i oczy mrugały dobrotliwie. Zręczności jego w dawaniu wyrównywała chyba zręczność obdarowywanych w braniu — tak to ciągła wprawa i ćwiczenie najtrudniejszą rzecz, łatwą mogą uczynić.

Z tym tedy nowym towarzyszem wracałem ze statku i kazałem zawieźć się do ogrodów Seraju. Płynęliśmy zwolna, wymijając znowu jak wczoraj statki przeróżne, odwracając oczy od moknących dość gęsto w lazurowej fali obrzydliwych trupów bydlęcych, a choć mój pięciojęzyczny dragoman próbował rozmowy, zbywałem go półsłówkami, bo mnie pochłaniały przypomnienia i myśli o dziwnem przeznaczeniu tego kawałka ziemi, do którego przybić miała łódź moja.

Mało jest na świecie miejsc wzbudzających równie straszliwe wspomnienia jak ten pagórek stworzony, zda się dla szczęścia i wesołości. »Tu mieszkał Mahomet II, powiada pani de Gasparin, tu panowali sułtani, tu kazali dusić swoich braci, czasami własnych synów — tu też ich samych duszono. Faworyty walczyły tutaj przebiegłością i okrucieństwem; *niemi* seraju (kaci), chowali stryczki pod kolebkami pełnemi róż; iczoglany (paziowie), dolewali trucizny do wonnych sorbetów; janczarowie w dniach buntu wpadali tutaj i mordowali, wznosili i obalali sułtanów; wielcy wezyrowie w długich kaftanach z brokatu w tych alejach knuli intrygi zabójcze; te mury słyszały rzeczy okropne, widziały zabójstwa tajemne, gdy obok sal, w których tańczyły odaliski, topiono sztylet w łonie sułtanki; to morze pokry-

wało nieraz swojemi drobnemi falami worek skórzany, zawierający biedne młode ciało oplecione gadzinami, podrzucane konwulsyami, bardziej z bojaźni męki niż śmierci. Jak daleko sięga wspomnienie znajduje tu tragedyę. Cesarstwo byzantyńskie wydzierało oczy pretendentom do tronu, których polityka ottomańska poprostu mordo-

Przylądek Seraju.

wała; roczniki obydwóch narodów przedstawiają jednakową kałużę krwi i błota«.[1])

Za czasów pogańskich osada grecka *Byzancyum* zajmowała właśnie tę północno-wschodnią część półwyspu, do której płynąłem; po Konstantynie Wielkim na południowo-zachodnim końcu wzniosły się cesarskie pałace, tutaj zaś był pałac, klasztor i magazyny Mangana, oraz inne gmachy. W XII wieku pałace cesarskie zostały opuszczone, bo monarchowie przenieśli się do pałacu Blakernu, gdzie

[1]) Cytuję Guide-Joanne. De Paris à Constant. 233.

dziś dzielnica Ejwan Seraj i z czasem poszły w ruinę. Na 30 lat przed wzięciem Konstantynopola nie było już ich śladu. Mahomet II zajął całą północno-wschodnią część półwyspu na swój *seraj* [1]). Następcy jego wznosili coraz inne kioski i budynki i wzgórze to przez cztery wieki było siedliskiem władców Turcyi. Mahmud II zniechęcony tragedyami, które poprzedziły jego wstąpienie na tron (1808—1837) zamieszkał w Cziraganie, stary seraj oddano na mieszkanie starym sułtankom i wysłużonym niewiastom haremu.

Następca Mahmuda, Abdul Medżid, zbudował tam jeszcze jednak nad samem morzem prześliczny pałac. W czasie wojny krymskiej urządzono w seraju koszary i szpital dla żołnierzy francuskich; odtąd ogrody jego stały się dostępnemi dla wszystkich (oprócz części zarezerwowanych). W 1865 roku wielki pożar zniszczył pałac nadmorski; niema teraz nawet jego śladu, a kolej żelazna, którą poprowadzono przez ogrody, wzdłuż muru nadmorskiego, dokończyła zniszczenia. Dziś bardzo znaczna część Przylądku seraju jest zupełnie odkrytą i pozostały tylko fundamenta, wystające nad wodą na jakie półtora łokcia.

Przybiliśmy do małego tarasu, zanieczyszczonego węglem kamiennym; po rozrzuconych kamieniach wyszedłem na ląd i ujrzałem przed sobą bardzo dużą płaszczyznę, wznoszącą się łagodnie ku górze, pustą zupełnie. Nad morzem kilku żołnierzy trzepało mundury, na pochyłości kilka psów goniło natrętnego przybysza z innej ulicy; gdzieniegdzie walały się jakieś złomy kamienne, zresztą nic — ani drzewa, ani krzaku, ani jednego źdźbła trawy [2]). Cicho, pusto — tylko słońce pali bez miłosierdzia. W dali widać jednak jakieś drzewa — pójdźmy tam. Przeszliśmy mostek nad parowem, w którym idzie kolej żelazna i znaleźliśmy się wśród drzew. Co za rozczarowanie! Te drzewa wyglądają jak niedobitki, jak kaleki. Jedne usychają, tylko para gałęzi jeszcze świeci zielenią, inne o połamanych konarach sterczą smutnie, dalej są jeszcze resztki alei, ale już niema śladu

---

[1]) Seraj po turecku znaczy pałac — nie harem, jak wielu mniema; kiosk zaś, nie rodzaj altany, jak u nas weszło w użycie nazywać, ale mały pałac — niby oficyny pałacowe.

[2]) Od wyjazdu z Odessy nie widziałem nigdzie trawy, chyba wyjątkowo przy źródle.

pieczołowitości i starania. Tylko na szczycie pagórka, ogrodzone murem wysokim, stoją kioski i budynki seraju, a z pomiędzy nich wyglądają drzewa w lepszym stanie. Widać także dobrze kolumnę Teodozyusza, niegdyś niedostępną i niewidzialną.

I tożto są owe pyszne, cieniste ogrody, które podrażniona wyobraźnia ciekawych wędrowców zaludniała nieziemskiej piękności istotami? Te zapylone, niechlujne drożyny, miały być niegdyś wysypane srebrzystym piaskiem i deptane lekkiemi stopami, po których ślad ledwo zostawał; na tych połamanych gałęziach, wśród tych drzew popielatych od pyłu, śpiewały słowiki, tu gdzieś kwitły róże i kwiatów tysiące!

Poszedłem napowrót ku morzu i zostawiłem przewodnika przy łodzi — chciałem być sam, bo mi się myśli w głowie, a uczucia w sercu kłębiły gwałtownie. Przypomniałem sobie proroctwo Izajasza o Babilonie: »I będzie on Babilon zawołany w królestwach, zacny pychą Chaldejczyków: jako Pan wywrócił Sodomę i Gomorę. Nie będą w nim mieszkać aż do końca i nie osadzą go aż do narodu i narodu, ani tam rozbije namiotu Arabczyk, ani pasterze tam odpoczywać będą. Ale się tam będą chować zwierzowie i napełnią się domy ich smokami i mieszkać tam będą strusiowie, a kosmaczowie tam skakać będą; i będą się odzywać sowy w domiech jego, a syreny we zborach rozkosznych« [1]).

Przyszły mi na myśl słowa Firdussi'ego, które powtórzył Mahomet II, wchodząc do opuszczonego pałacu byzantyńskich cesarzy: »Wstrętny pająk rozściela swe sieci w salach królewskich, a ze wspaniałych szczytów Eraszabu śle kruk swą pieśń złowróżbną«. Teraz można to do następców i dziedzictwa jego zastosować. Ogromny gmach ottomańskiego państwa oddawna już zarysował się i zaczął rozpadać na części; wewnątrz rozmaite pająki osnuły go gęsto sieciami swojemi; zewnątrz historyczna Nemezys, albo mówiąc wyraźniej, sprawiedliwość Boska, na porysowanych ścianach i sklepieniach, pisze Baltazarowemi zgłoskami — »Ruina«.

Wiedziałem o tem oddawna, a depcąc teraz po części tych ruin niezmiernych, doznawałem prawdziwej a rzadkiej rozkoszy — wi-

[1]) Izaj. XIII. 19—22.

działem, że pokrzywdzonej sprawiedliwości zadość się wreszcie staje. Bo przecież olbrzymie państwo muzułmańskie, toż to najdoskonalsze w swoim czasie uosobienie idei szatańskiej, to wcielenie okrucieństwa, niewoli, rozpusty, wszelakich zbrodni, wszelakiej głupoty; wszak ono powstało na krzywdzie, łzach, ruinie całych narodów, których jedyną winą względem muzułmanów było to, że się im oprzeć nie mogły. Jakież uczciwe serce nie zadrży z radości na widok rozpadania się tego potwornego Molocha?

Autor psalmu 136 kończy go tą energiczną apostrofą: »Córko Babilońska, nędznico!... błogosławiony, który pochwyci i roztrąci dzieci ci twe o opokę«. Zastosowałbym to do tego, czy do tych błogosławionych, którzy roztrącą, rozmiażdżą, na proch zamienią i precz ze świata wymiotą ten zlepek fałszu, głupoty i zbrodni, który się zwie mahometanizmem. Czyjekolwiek to ręce uczynią, niech się święcą i błogosławione będą, bo zniszczą »rzecz obrzydliwą przed Panem«, uczynią zadość sprawiedliwości i będą mścicielami niepomszczonych krzywd, krwi i łez ludzkich.

Tak rozmyślając, szedłem wzdłuż morza i zdało mi się, że słyszę, jak z pagórka, z za murów, z pałaców, ze wszystkich kątów tej ogromnej siedziby, wznosił się jeden ogromny płacz i narzekanie, jedno nieustanne wołanie o pomstę do Nieba tych tysięcy kobiet, które wszystkie miały prawo do życia i miłości, a uwiędły tutaj gwoli kaprysu i rozpusty jednego; tych bladych książąt, którzy tam zmarnieli pod sklepieniami klatki ptasiej; tych sług i dygnitarzy, których głowy setkami wisiały na hakach przy bramie Wspaniałej, tych milionów nieszczęśliwych, którym rozkazy stąd wydane niosły mord, pożogę, niewolę i muzułmańską głupotę.

Zdało mi się, że widzę wstępujący z tego wzgórza i rozścielający się szeroko smrodliwy dym występków, na których widok Sodoma i Gomora zakryłyby sobie oczy ze wstydu. A tymczasem u stóp mych morze szeptało łagodnie, drobne fale rozbijały się z lekkim szumem o granitowe i marmurowe podwaliny, jakby niosły cichą skargę tych wszystkich, którzy w nich poginęli; w oddaleniu w różnych kierunkach przelatywały czajki morskie, piszcząc żałośnie.

Lud tutejszy utrzymuje, że to są dusze potopionych w Bosforze i w morzu Marmora i że latają tak bez ustanku opowiadając ludziom

o swej krzywdzie — i o muzułmańskiej szczęśliwości, wśród której De Amicis pragnął żyć i umierać. Przedemną ciągnęła się bez końca ku zachodowi przestrzeń lazurowa, mieniąc się, cieniując, odbijając promienie słoneczne, nad nią wznosiły się daleko, zamglone wyspy Książęce; wynurzały się ku południowi brzegi i pagórki azyatyckie, a wszystko kąpało się w ciepłem, przeźroczystem powietrzu. Takie to wszystko było piękne, czyste, szerokie, swobodne, jakby dla wykazania różnicy pomiędzy naturą stworzoną przez Boga a mieszkaniem i dziełami człowieka.

Lecz oto zaczynają się mury dawne, greckie; patrzałem na nie z ciekawością i z uczuciem jakiejś nieokreślonej zadumy, towarzyszącej zwykle oglądaniu dawnych historycznych pamiątek. W $^2/_3$ wysokości ściany ciągnie się pas białych kamieni, na nich dotąd pozostał napis grecki. Szedłem wązką drożyną między morzem a murami; pusto tu było zupełnie, tylko jakiś żebrak w białym zawoju, schylał się co chwila, wybierając coś ze śmieci przez morze wyrzuconych i chowając do torby. Widzę wielki skład drzewa — tu kiedyś był piękny kiosk marmurowy. Dalej w załomie murów przytuliła się ka-

Mury miejskie w stronie północno-wschodniej.

wiarnia, przy niej trochę gości; tu gdzieś dotąd jest otwór, przez który wrzucano do morza zaszyte w worku z psem i wężami kobiety. Widać wysoki taras na czterech łukach, na tarasie kiosk, to sławny Giul-Hane (kiosk róż), w którym w 1839 r. podpisany *hatti szeryf*, uznający urzędownie wyznania chrześcijańskie. Za nim ruiny arcydzieła zbytku i wykwintu Indżulu-kiosk (kiosk pereł) — aż wkońcu zamykają drogę koszary kawaleryi, niegdyś stajnie pałacowe.

Wróciłem, bo dość już było tej samotnej przechadzki, mury zresztą ciągną się jednakowe przez kilka kilometrów, aż do *Jedi-kule*. Wsiadłem tedy do łodzi i nie pamiętam już, jaką uliczką dostałem się do stojącej niedaleko od Złotego Rogu *Jeni Walide dżami*.

Dżami (meczet) sułtanki Walidy.

Tu muszę zrobić uwagę, że świątynie muzułmańskie, wzniesione przez sułtanów i ich rodziny, albo odznaczające się wielkością, nazywają się *dżami*, mniejsze zaś *mesdżid*, skąd nasze *meczet*. Niewielkie kaplice nad grobami sułtanów nazywają się *tiurbe*. Meczet *Jeni Walide* (ponieważ *dżami* mało jest u nas znany, więc podawnemu używam wyrazu *meczet*), lubo nazywa się nowym, (*jeni* — nowy, jest

najstarszym z czterech noszących tę nazwę; fundowała go w 1615 r. sułtanka, wdowa (Walide) po Achmecie I, a matka Murada IV i Ibrahima I (myli się więc Gnatowski, mając go za najnowszy, a ks. Hołowiński, nazywając tę sułtankę żoną Ibrahima I). Z zachodniej strony ma on dziedziniec, otoczony krużgankiem, z dwóch stron którego wznosi się po dwa minarety o bardzo pięknych galeryach; my jednak poszliśmy stroną północną, wychodzącą na wązką, gwarną i błotnistą ulicę. Wprawdzie jest ona wcale dobrze brukowaną, ale dla ochrony od pyłu zaprowadzono sikawki do polewania, a że to niedawno widocznie zrobiono i gorliwość polewaczy jeszcze nie ostygła, więc polewają tak gorliwie, że wprawdzie pyłu niema, ale jest błoto.

Tak samo dzieje się na wszystkich eleganckich ulicach, szczególnie na Perze. Ulica przechodzi pod wielkim łukiem kamiennym, nad którym są pokoje sułtańskie, przytykające do meczetu. Do nich to prowadził mnie mój doświadczony Spanos i dobrze zrobił, bo warto je było oglądać. Podeszliśmy do długiego drewnianego budynku, przy drzwiach którego siedział siwobrody imam, paląc spokojnie nargile. Konieczny bakczysz przeleciał niedostrzeżony do kieszeni strażnika świątyni i weszliśmy do korytarza, idącego wciąż w górę. Trudno sobie wyobrazić, co to za szkaradne było przejście wśród śmiecia i rumowiska; to jedno tłómaczy w części stan taki że przed trzema miesiącami było trzęsienie ziemi i uszkodziło ściany. Stamtąd weszliśmy do kilku pokoi, w których sułtan ze świtą swoją zatrzymuje się, gdy do tego meczetu przyjeżdża na piątkową modlitwę.

Widocznie bardzo dawno tu nie był, bo wszystko w stanie wielkiego zaniedbania. Ściany wykładane są ślicznemi taflami starej porcelany o błękitnym rysunku, w każdym pokoju innym. Okna kolorowe stanowią cenny a rzadki okaz tureckiej sztuki w tym rodzaju. Na drzwiach ładne drewniane desenie (popsute farbą) i inkrustacye z perłowej masy. Słowem, prawdziwie królewski apartament, gdyby tylko był dobrze utrzymany. Z tych pokoi weszliśmy do loży sułtańskiej w meczecie i oglądałem go z góry. Wszystkie, dawniejsze przynajmniej, meczety, budowane są podług jednej modły, różnice są tylko w szczegółach, ponieważ one dla ogółu czytelników byłyby

obojętne, a nawet niezrozumiałe bez rysunków i planów, więc o nich zamilczę zupełnie, o ogólnym zaś planie meczetów będę mówił później. Teraz powiem tylko, że ten wydał mi się dużym i pięknym, że jest wyłożony białym marmurem, zżółkłym już od czasu, że ma piękne ozdoby z tafli porcelanowych; zresztą mniej go od innych pamiętam, bo późniejsze wrażenia znacznie obraz jego zatarły.

Po wyjściu z meczetu, dążąc do domu, a raczej do hotelu, znaleźliśmy się wkrótce na niewielkim placu *Baluk-bazar*, zapchanym tak, że z trudnością można było drogę sobie utorować. Szły tam dorożki, w małych sklepach sprzedawano przeróżne drobiazgi, cisnęły się tłumy wędrujących przekupniów, wykrzykując co siły w piersiach i nieustannie mieszały się z sobą dwa prądy przechodniów: idących do Galaty i wracających do Stambułu.

Trzymając się pilnie rękawa mego przewodnika, znalazłem się na sławnym, głośnym, opisywanym, rzekłbym, prawie opiewanym, wielkim moście nad Złotym Rogiem. Wyobrażałem go sobie jako ósmy, a już co najmniej jako dziewiąty cud świata, tymczasem... ale pierwej słówko o jego historyi. Pierwszy most w tem miejscu rzuciła sułtanka Walide, matka Abdul Medżyda, w 1845 roku; — był on drewniany na łyżwach. Kiedy się zestarzał, towarzystwo angielskie zbudowało nowy, dotąd istniejący. Na dużych, żelaznych, nie zanurzających się barkach, stoją żelazne wiązania, a na nich bardzo zwyczajny dębowy most. Źle jednak mówię »zwyczajny« — właśnie jest on niezwyczajny. Gdyby taki most (mówię nie o mocy jego, lecz o stronie zewnętrznej) był gdzieś w Koziegłowach lub Wilczych Łapach, mógłby uchodzić za dziwo — w Konstantynopolu zgorszył mnie nie na żarty. Proszę sobie wyobrazić najgrubszą i najzwyczajniejszą ciesielską robotę, dyle stanowiące pokład mostu grube wprawdzie, ale krzywe, nie przystające do siebie; pomiędzy nimi ogromne szpary, przez które widać błękitne morze; blachy żelazne niezdarnie przykrywają otwory między przęsłami, podejmowanemi dla przejścia okrętów, a brzęczą przeraźliwie za lada potrąceniem nogą. I to ma być ów cud i dziw Carogrodu, o którym się tyle słyszało, a o którym Gnatowski powiada: »środkiem niewidzianej piękności płyną fale ludzkie«. Powiem, jak Podbipięta do Zagłoby: »Mój dobrodzieju, chyba kpiny?« Niedość tego; dawny most Walidy nie został całko-

wicie zniesiony, lecz szczątki jego pozostały przy obydwóch końcach nowego (idąc ze Stambułu po prawej stronie). Na tych resztkach pobudowano budy drewniane, a w nich sklepy, golarnie i t. p.

Otóż chyba gdzieś w żydowskiej mieścinie można znaleźć coś bardziej starego, czarnego, koszlawego, mizernego nad resztki owego mostu i nad sklepiki na nim sterczące. Pomiędzy nimi do przystani małych parowców prowadzą schodki drewniane, koszlawe, mokre, zabłocone, bez poręczy. Żeby się dostać do statku, trzeba przechodzić przez inne statki, skakać po łodziach, błąkać się po zakamarkach jakichś zakazanych. Wszystko razem sprawia wrażenie niedbalstwa, opuszczenia i brudu, co tembardziej razi, że na obydwóch końcach mostu stoi po czterech poborców w białych chałatach, którym ręce mdleją od pobierania myta (10 para=2½ kopiejki, od każdego pieszo idącego; tylko żołnierze są wolni, zresztą nawet żebracy płacą). Możnaby z tych pieniędzy zbudować marmurowy most pozłacany, bo przy olbrzymim ruchu miliony wpływają do kieszeni poborców,— choć prawda, że niewiadomo, co z nich wypływa, bo kontroli niema żadnej, a gdyby i była, to możeby jeszcze mniej wypłynęło.

Ostatecznie, doznałem tu wielkiego rozczarowania, bo most choć długi na 450 metrów, jest stosunkowo za wązki, a pod względem ochędóstwa, pierwszy lepszy most w mieście powiatowem stanowczo go przewyższa.

Swoją drogą, tłum tu i ścisk ogromny, a widok na obydwie strony rozległy i ciekawy. Przeszedłszy most i parę uliczek przepełnionych i zapchanych, stanęliśmy u wejścia do tunelu, które trzeba było zdobywać, rozpychając gromadę chłopców, rzucających się na każdego z pudełkami zapałek woskowych. Regularnie za każdym razem, gdym się wynurzał z ciemni tunelowych, lub chciał w nie zapuścić, musiałem odbijać atak tych łobuzów, dokuczliwych jak komary. Kolej podziemna wyniosła mnie w parę minut na górę i wkrótce znalazłem się w *Byzancyum*, gdzie ze Spanosem ułożyliśmy plan wycieczek jutrzejszych, mających się zacząć od zwiedzenia muzeum w kioskach seraju.

Wspomniałem już wyżej o tem, że jeszcze Mahomet II zaczął budować pałace na szczycie pierwszego pagórka, sam on jednak mieszkał z początku w starym seraju *(eskiseraj)*, na tem miejscu,

gdzie obecnie gmach seraskieryatu. Po nim jeszcze niejeden sułtan budował i dodawał, nim stanął obecny seraj. (Pokazywano mi niewielki kiosk zbudowany z rozkazu dzisiejszego sułtana). Opisywać go szczegółowo nie będę, bom część jego tylko zwiedził, ale postaram się w kilku słowach dać ogólne o nim pojęcie. Wśród rozległych ogrodów, rozłożonych z trzech stron na pochyłości pagórka, ciągną się długim, nieprawidłowym czworobokiem, ukośnie z północy na południe, pałac i jego dziedzińce. Wejście główne jest ze strony południowej przez bramę Wspaniałą albo cesarską *(bab-i-humajum)*. Wchodzi się przez nią na ogromny dziedziniec janczarów. Z lewej jego strony jest dawny kościół św. Ireny i mennica. Na przeciwległym, północnym końcu dziedzińca, w lewym rogu, jest szkoła sztuk pięknych i muzeum starożytności, pośrodku zaś muru brama *Orta-kapu*, przez którą wchodzi się na drugi, znacznie mniejszy dziedziniec; lewą jego stronę zajmuje sala tronowa, prawą kuchnie pałacowe. Przez trzecią Bramę Szczęścia *(bab-i-seadet)*, wkracza się do właściwego seraju. Tam jest wejście do sali tronowej, biblioteka, skarbiec, a przed nim *klatka ptasia (kafess)*, to jest pokój czy pawilon okratowany, w którym sułtani więzili swych braci i książąt, mogących być dla nich niebezpiecznymi. (Tam był trzymany Abdul-Azis przed swą śmiercią tragiczną).

Na samym końcu znajduje się niedostępny dotąd dla giaurów pawilon, *Hirka-Szeryf-Odassi*, chroniący płaszcz Mahometa, jego chorągiew, łuk i t. p.

Na tem poprzestanę, odsyłając ciekawych do opisów podróżników, zwłaszcza De Amicisa, który w rozdziale swej książki »Stary seraj«, bardzo żywo i zda mi się, prawdziwie opisał życie, jakie tu niegdyś prowadzono. Dodam jeszcze tylko, iż zwiedzający zgadzają się na to, że wewnątrz nic niema szczególnego, że prawdziwie wspaniałą jest tylko sala tronowa, a kiosk Bagdadzki sam jeden tylko ma wartość artystyczną, że w skarbcu obok przedmiotów nieocenionej wartości, są fatałaszki, a umeblowanie pałacu przypomina dom zamożnego bourgeois [1]).

[1]) W tych szczegółach, jak również w przytaczaniu dat, nazw miejscowości i rzeczy, których sam dobrze nie widziałem, lub nie pamiętałem, szedłem prawie wyłącznie za wskazówkami »De Paris à Constantinople« z kollekcyi »Guides Jo-

O naznaczonej godzinie przybyliśmy do muzeum przez bramę ogrodową, *Souk-czesme kapu*, to jest ze strony przeciwnej tej, którą zwiedzaliśmy wczoraj. Jechaliśmy ładną aleją, mając z obydwóch stron drzewa i krzewy w dobrym stanie; przewodnik mi mówił, że ta część ogrodu jest zasadzona i utrzymana staraniem dyrektora muzeum. Wkrótce zatrzymaliśmy się na niewielkim dziedzińcu, zapełnionym rozmaitymi zabytkami starożytności. Z lewej strony wznosił się sławny *czynili-kiosk* (porcelanowy), z prawej inny znowu pałacyk o piętrze; weszliśmy do ostatniego. Z przyjemnością przechadzałem się po wielkich i wysokich salach, rozpatrując się przytem ciekawie w zbiorach. Były tam mumie egipskie, sarkofagi rozmaite, wykopaliska z różnych krajów, dziś do Turcyi należących; na piętrze mnóstwo pieczęci, walców, mniejszych i większych kamieni, pokrytych najrozmaitszem pismem. Co to za ciekawe mogły być napisy! — cóż kiedy patrzyłem na nie i nic nie rozumiałem. Doznawałem za to obficie tego dziwnego wrażenia ciekawości, smutku i zamyślenia, jakie mnie zwykle ogarnia przy zetknięciu się z zabytkami czasów dawno minionych. Gdzie ręka, która ten napis ryła na kamieniu, jakiem było serce, wyjęte z tej oto mumii, co czarna i nieruchoma, w swych zwojach i pieluchach leży przedemną? Biedne mumie! Zawsze na nie patrzę ze współczuciem, — na to się zakonserwowały i kryły w najniedostępniejszych schowankach, by po tysiącach lat leżeć w muzeum jako ciekawy okaz i bawić przechodnia; — smutny los!

Perłą tego kiosku, a może i całego muzeum, jest doskonale zachowany, przepyszny sarkofag z białego marmuru, którego boki pokryte są wypukłorzeźbą, przedstawiającą bitwy Aleksandra Macedońskiego; dlatego zapewne nazywają go grobem jego. Nie mogłem się dość nań napatrzeć i nacieszyć się nim — prawdziwe arcydzieło! Podziwiać należy szczęśliwy traf, jakim ten skarb przechował się tak dobrze, bez żadnego uszkodzenia, że nawet ślady farb na figurach są widoczne. Nie jest to jednak grobowiec Aleksandra, lecz zapewne

---

anne«. Na opisy podróżników nie spuszczałem się prawie nigdy, bo pełne poezyi — i niedokładności — i gdybym chciał poprawiać te tylko, które sam spostrzegłem, mógłbym sporą broszurę ułożyć. Dla próby tylko w tym rozdziale pozwoliłem sobie niektóre sprostować i obawiam się, czy nie znudzę czytelników tą może zbyt częstą polemiką.

któregoś z jego wodzów, który może poległ w czasie oblężenia Tyru, bo też w tamtych stronach go znaleziono. Gdy byłem na Karmelu, więc w niedalekiem sąsiedztwie, opowiadano mi bardziej szczegółowo, że go znaleziono niedaleko Sydonu w piasku, w ogrodzie pewnego wieśniaka i że sułtan przysłał umyślnie po niego osobny statek.

A cóż ten wieśniak, zapytałem, otrzymał pewno także jakąś gratyfikacyę przy tej sposobności? Trzeba było widzieć zdziwienie mego interlokutora. — Co, co, co? — zawołał — gratyfikacyę? Chcieli go jeszcze do więzienia zasadzić, ledwo się wyratował. Prawda, naiwne zadałem pytanie, przecież Tyr i Sydon należą także do krajów, które oświeca »szczęśliwość muzułmańska«.

Czynili-kiosk był zbudowanym jeszcze przez Mahometa II., a nazywa się tak dlatego, że był wyłożony porcelaną; dotąd są jej resztki na froncie. Wewnątrz rozkład jest prosty a piękny. Z przedsionka wchodzi się do wielkiej sali w kształcie krzyża greckiego, wyciętego w kwadracie; na przecięciu ramion wznosi się kopuła, po czterech rogach odciętych od krzyża cztery inne sale. Tutaj stoi mnóstwo wykopalisk i posągów, które, o ile pamiętam, większą mają wartość historyczną niż artystyczną.

Skończywszy oględziny, ukośną drogą wjechaliśmy na pierwszy dziedziniec seraju. Roztoczył się przed nami ogromny a nieregularny plac, noszący bardzo wyraźne ślady opuszczenia. W głębi widać bramę *orta-kapu* (tj. środkową), prowadzącą na drugi dziedziniec. Ma ona dwoje drzwi, a nad nią, czy pod nią, mieszkał kat, który chwytał na stryczek lub ścinał wskazane mu ofiary, gdy wracały od sułtana, nie marząc nawet o niespodziance, czekającej ich między temi drzwiami. Jakże takie wejście było odpowiedniem przy mieszkaniu szafarza »muzułmańskiej szczęśliwości!«

Kierując się ku bramie *bab-i-humajum*, przejeżdżamy obok olbrzymiego, wypróchniałego platanu janczarów; jeszcze się jednak zielenią niektóre gałęzie. Przypomniał on mi podobną, a chociaż mniejszą od niego, to jednak ogromną, tak samo wypróchniałą wierzbę, stojącą na grobli w mej wiosce rodzinnej. Oczywiście, wieśniacy byli i są przekonani (bo stare drzewo dotąd żyje), że w tej wierzbie »złe« mieszka i że w nocy chodzić koło niej nie dobrze; w Kostantynopolu »zły« nie potrzebował się tulić we wnętrzu drzewa, bo miał do woli

mieszkań od złota i marmurów (nie mówiąc o sercach ludzkich), więc też w platanie janczarowie będący na służbie jeść sobie gotowali.

Nie rozumiem wprawdzie, jak przy tem drzewo z dymem nie poszło, ale że tak było, twierdzi Guide-Joanne. Ks. Hołowiński opowiada, że na tym dziedzińcu stał ogromny moździerz, w którym tłuczono — ulemów; ja go już nie dostrzegłem. Dla zrozumienia tej manipulacyi trzeba wiedzieć, że ulemów, jako ludzi duchownych, dla ich wielkiej doskonałości nie godziło się ścinać mieczem; otóż sułtanowie, szanując z jednej strony religię, ściśle się do tego prawa czy zwyczaju stosowali, z drugiej jednak, nie chcąc bezkarnie puszczać rzeczywistych czy domniemanych wybryków tych »świętych mężów« wymyślili powyższy sposób wyprawiania ich do raju Mahometa i między chóry hurysek. W ten sposób zdołali za jednym nakładem praktykować dwie bardzo wysokie cnoty – pobożność i sprawiedliwość. Jużto trzeba przyznać, że przy dobrej woli i odrobinie dowcipu można dojść do zadziwiających kombinacyi, mających na celu dobro doczesne i wieczne bliźniego.

W rogu tego dziedzińca, jak wyżej wspomniałem, stoi kościół św. Ireny, najstarszy z tutejszych. Zbudowany przez Konstantyna W., restaurowany przez Justyniana i Leona Izauryjskiego, nigdy nie był meczetem, lecz został zamienionym na skład broni i muzeum artyleryi do którego wejście niezmiernie utrudnione. Ma się tam znajdować miecz Mahometa Zdobywcy, naramienniki Tamerlana, szabla Skanderbega, klucze wielu miast zdobytych itp. Około tego kościoła na dziedzińcu przechowały się niektóre z nagrobków cesarzy byzantyńskich; są one z porfiru i zielonego marmuru. Konstantyn W. zbudował prawie w środku miasta kościół śś. Apostołów, jako miejsce spoczynku dla przyszłych cesarzów Wschodu. Po zdobyciu Kostantynopola, Mahomet II kościół zburzy, a na jego miejscu grecki architekt, jakby dla ironii zwący się Christodulos, tj. sługa Chrystusów, zbudował meczet Mechedie (przebudowany w 1768 przez Mustafę III). Grobowce cesarskie zostały rozproszone, a kilka z nich leży na dziedzińcu zwycięzców, głosząc, choć nieme, starą jak świat prawdę o znikomości chwały ziemskiej.

Wyjechaliśmy z dziedzińca prze bramę Wspaniałą *(bab-i-humajum)* zbudowaną jeszcze przez Mahometa II. Oprócz historycznej wartości

i strasznych wspomnień z nią związanych, nie odznacza się ona niczem nadzwyczajnem i bynajmniej tak bardzo wspaniałą nie jest. Główną jej osobliwością są po bokach dwie podługowate nisze, w których zawieszano na hakach głowy ściętych dygnitarzy. Nad bramą na czarnym marmurze jest napis przez Mahometa II ułożony: »Niech Ałłach na wieki utrzymuje chwałę jej posiadacza, niech Ałłach umacnia jej podwaliny«.

Tuż za bramą mały placyk przedziela nas od św. Zofii; pierwej jednak nim do niej wejdziemy, musimy zatrzymać się przy małem arcydziele stojącem pośrodku, tj. przy fontannie sułtana Achmeta III. Jest to niewielki czworokątny budynek z białego marmuru. Na czterech rogach występują jakby małe pawiloniki czy wieżyczki, rozczłonkowane maleńkiemi kolumenkami, pomiędzy któremi próżnię zapełniają bronzowe, misternie poplątane kraty. Każda z czterech ścian ma niszę obramowaną wschodniego stylu łukiem, w niej kran, a pod nim marmurowy zbiornik. Na ścianie zwróconej ku św. Zofii napis sztuczny i skomplikowany, wskazujący datę fontanny; kończy się on tak: »odkręć kran, chwaląc Boga, pij wodę i módl się za sułtana Achmeta«. Budynek pokryty jest dachem ołowianym, zakończonym kopułą, cztery mniejsze wznoszą się po czterech rogach, a szeroki i bardzo wystający okap otacza dach naokoło.

Taki jest ogólny rys tego prawdziwego arcydzieła tureckiej sztuki, która zbyt wielką ich liczbą pochwalić się nie może, ale nie sposób opisać, a nawet z fotografii i rysunku urobić sobie nie można pojęcia o tem, jakie to jest piękne cacko, jak się złote napisy na różnokolorowych tablicach pięknie zlewają z ogólnem tłem pociemniałego już od czasu marmuru. Gdyby podobna fontanna była w jakiem chrześcijańskiem mieście, otoczonoby ją staraniem, pięknym skwerem, pięknemi żelaznemi sztachetami; tutaj stoi na zapylonym, brudnym, źle utrzymanym placu.

Nie darmo Damiani, wicekonsul austryacki w Jaffie (o którym nieraz wspomina ks. Hołowiński i Mann) każdą swą rozmowę kończył: bo to widzisz pan, *Turchi non sono gabasze* (zamiast c a p a c i) tj. Turcy nie są zdolni... do czegobądź dobrego, oczywiście.

Ale oto przed nami św. Zofia *great attraction* całego Konstantynopola, otoczona dokoła mnóstwem przeróżnych budowli, nie pozwa-

lających wyrobić sobie żadnego wyobrażenia o tem, jak niegdyś zewnątrz wyglądała. Nad tłum dachów i domów wznoszą się tylko szczyty ścian i ogromna kopuła w pośrodku czterech minaretów. Spanos mi powiada, że te ściany są marmurowe, ale Turcy pomalowali je w szerokie pasy żółte i wązkie *sang de boeuf* — jakżeby inaczej być mogło — przecież *Turchi non sono gabasze.*

Za czasów ks. Hołowińskiego trzeba było wyrobić sobie ferman sułtana albo przekupić imamów, żeby zwiedzić tę świątynię; dziś za

Widok zewnętrzny św. Zofii.

opłatą rubla zwiedza ją, kto zapragnie; tyle tylko, że nie wolno wchodzić przez *atrium*, tj. główny dziedziniec. Weszliśmy tedy bocznemi drzwiami. Skorom tylko wszedł, zobaczyłem zpoza kolumn i filarów takie rzeczy, żem nie chciał słuchać, co mi przewodnik prawił o porfirze, syenicie, złocie, zatrzymując na każdym kroku (że też oni zawsze i wszędzie jednacy!).

Wkroczyłem odrazu do nawy środkowej, stanąłem przy głównych drzwiach — i teraz jeszcze, pisząc te wyrazy, doznaję wzruszenia, gdy o tej chwili wspominam. Pozbyłem się mego Spanosa,

by mi nie przeszkadzał i patrzałem i wpadałem powoli w stan, którego niezmiernie rzadko, bo tylko na widok pierwszorzędnych arcydzieł, doświadczam. Czułem, że mi się coś w sercu i piersiach rozszerzało, że patrzałbym bez końca i że będę musiał gwałt sobie zadać, by przerwać to oczarowanie. Przedemną wznosiła się ogromna świątynia, zakończona daleko półokrągłą absydą. Cała nawa, uformowana z potężnych marmurowych filarów, pomiędzy nimi różnokolorowe wspaniałe kolumny wznoszą się jedne nad drugiemi. Wszystko zaś zlewa się w jakiś czerwono-szarawy ton z błękitnym odcieniem i idzie w górę wysoko, bardzo wysoko, aż w końcu zaczyna się tło z ciemnego złota, na którem, również jak na kolorowych marmurach, starość wycisnęła piętno powagi i harmonii; piętrzą się ciemno złote sklepienia, nad niemi wznoszą się półkopuły, nad temi zaś kopuła niezrównanej piękności. Jest ona płaską (więc arcydziełem techniki budowniczej), a w miejscu, gdzie się opiera na bębnie, ma mnóstwo okien przedzielonych ściankami takiej szerokości jak okno. Sprawia to wrażenie niezmiernej lekkości. Zdaje się, że to nie kopuła z kamienia, ale żywa dłoń opiera się na palcach.

Widziałem kościoły większe od św. Zofii, ale żaden na mnie takiego wrażenia nie uczynił. Pochodzi to, jak mi się zdaje, stąd, że gdzieindziej przestrzeń jest podzieloną, rozczłonkowaną architektonicznemi częściami budowli, tu ona jest ujętą w całość prawdziwie po mistrzowsku i tą właśnie całością, ogromem swoim i artystycznem ujęciem w granice, sprawia tak silny a rozkoszny efekt.

Usiadłem na ławce przy drzwiach, nasycałem oczy niezrównanym widokiem, a jednocześnie przesuwały się w pamięci obrazy z przeszłości tej świątyni. Po dniach tryumfu nastąpiły dni upadku i długiego konania, które się tutaj odbijały. Tutaj św. Jan Chryzostom nauczał, tu celebrował św. Ignacy, tu odbywały się kłótnie i spory, uroczystości dworskie i kościelne, — ale wszystkie obrazy wyrugował ostatni, straszny a krwawy. Co tu dziać się musiało 29 maja 1453 roku! Świątynię napełniał jęk, płacz i modlitwa; nic już jednak pomódz nie miało — podwoje rozwarły się z trzaskiem, wpadł, wyjąc, hufiec bisurmanów, a na ich czele Mahomet II i jechał konno aż do ołtarza; potem rzeź, krzyk, rzężenie konających, a zdobywca podniesiony wy-

soko, przyłożył we krwi unurzoną rękę do ściany, na znak, że rozpoczynają się nowe czasy, era — muzułmańskiej szczęśliwości.

Zwiedzałem potem świątynię i jej boczne nawy, widziałem ślad, dotąd zachowywany, wskazano mi także drzwi w miejscu, gdzie miał zniknąć kapłan, co Mszę odprawiał, gdy Turcy wtargnęli. Przerwał ją i wszedł do kaplicy, a mur natychmiast zamknął się za nim i dopiero wtenczas się otworzy, gdy chrześcijanie Turków wypędzą, a kapłan wyjdzie, by skończyć przerwaną przed wiekami świętą Ofiarę. Tak głosi legenda [1]).

Wyszedłem z sercem ściśnionem i prawie przygnębiony. Jak bo smutno widzieć, że już nie »wstrętny pająk« ale tysiąckroć wstrętniejszy błąd rozsiadł się w tych murach wspaniałych, że w świątyni wzniesionej »Przedwiecznej Mądrości« króluje arcygłupota, że gdzie Bóg miał cześć prawdziwą odbierać, czczą i wychwalają rozpustnika i oszusta. Kiedyż nareszcie wyjdzie ów kapłan z ukrycia, kiedy wyrzucone zostaną muzułmańskie błahostki, szpecące przecudną świątynię, kiedy te mury prastare usłyszą znowu śpiew anielski: »Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!«

We dwa miesiące potem byłem znowu w Aja-Sofia. Wilgotna pora roku napełniła jej wnętrze srebrzystym oparem, a listopadowe słońce, przerywając niekiedy chmury, rzucało blade promienie do środka świątyni, która pusta, samotna i milcząca, stała niby spowita w żałobę niepocieszona wdowa, niby pomnik na grobie wielkości, która nie wróci już nigdy. Z tem wrażeniem ją opuściłem. Czuję jednakże, że winienem czytelnikom moim coś bardziej pozytywnego, niż moje wrażenia, więc oto trochę opisów i odrobina historyi.

Kościół św. Zofii wzniesiony został z rozkazu i za staraniem Justyniana, przez dwóch znakomitych architektów Artemiusza z Trallu i Izydora z Miletu i poświęcony Przedwiecznej Mądrości (sophia po grecku znaczy mądrość). Cesarz chciał, żeby świątynia przez niego wzniesiona zaćmiła wszystko, co dotąd wspaniałego świat posiadał. Kosztów też nie szczędził, a choć lud później twierdził, że Justynian otrzymał z Nieba imię świątyni, jej plan i pieniądze, to

[1]) W czasie restauracyi św. Zofii przez Fossati'ego odkryto w tem miejscu kaplicę i schodki do niej prowadzące; zrobiono drzwi, które mi pokazywano.

jednak wiadomo, że pochłonęła ona dochody całych prowincyi i jeszcze trzeba było długi zaciągać. Całe państwo rzymskie dostarczyło, co miało najcenniejszego pod względem artystycznym. Świątynie Balbeku, Aten, Delos, Cyzyku, Egiptu, oddały swe marmury, granity i pyszne starożytne kolumny. Na kopułę wyrabiano specyalne cegły na wyspie Rodos, które były tak lekkie, że 12 ich ważyło zaledwo tyle, co jedna zwyczajna. Co dwanaście pokładów cegieł czy kamieni, wkładano do ścian relikwie świętych, przy śpiewach i modlitwach kapłanów. Ściany wyłożono marmurem, kapitele i gzymsy były złocone, sklepienia pokryte mozaikami i madlowidłami na tle złotem. Jakie skarby cesarz ofiarował w sprzętach kościelnych, zadługo by było wyliczać. Budowa, przy której ciągle pracowało 10.000 robotników, trwała lat 16, kościół poświęcono z ogromnym przepychem w 548 r. Przy poświęceniu jego, Justynian uniesiony bardzo zrozumiałą radością i dumą, zawołał: »Chwała Bogu, który mnie uważał za godnego wykonać takie dzieło. — Zwyciężyłem cię Salomonie!«

W jedenaście lat potem kopuła upadła wskutek trzęsienia ziemi. Izydor młodszy odbudował ją, przyczem zmniejszył nieco średnicę i podparł z zewnątrz filary. W 897 r. znowu trzeba było naprawić świątynię. W 1453 roku zamieniono ją na meczet, który trzej sułtani ozdobili czterema po rogach minaretami, a Murad III umieścił na wierzchu kopuły olbrzymi półksiężyc, zapłaciwszy za samą pozłotę jego 50.000 dukatów.

W pierwszej połowie XIX wieku stan meczetu był tak groźny, że Abdul-Medżyd zdecydował się na radykalną restauracyę pod kierunkiem włoskiego architekta Fossati (1847—1849). Ostatnie trzęsienie ziemi (1894) uszkodziło było nieco kopułę, ale nieznacznie.

Widziałem właśnie jak ją poprawiano, a gdym wracał do domu, już wszystko było skończone. Kościół ma kształt podłużnego czworoboku prawie 76 metrów długości (bez absydy) na 70 szerokości. U wejścia, przez całą szerokość gmachu, są dwa przedsionki: zewnętrzny i wewnętrzny; byłem tylko w tym ostatnim (bom wszedł bocznemi drzwiami). Już ten przedsionek, szeroki na 10 metrów, zapowiada co czeka wędrowca za jego progiem! Ściany wyłożone marmurem, sklepienie złocone; były dawniej mozaiki, teraz jeszcze niektóre z pod pozłoty wyglądają; dziewięcioro drzwi prowadzi do

wnętrza; nad środkowemi dotąd zachowała się bronzowa tablica, a na niej Duch św., zstępujący na Ewangielię, leżącą na tronie.

Przekroczywszy te drzwi, znajdziemy się w kościele, podzielonym na trzy nawy. Oczywiście środkowa największa i najwyższa. Po jej środku, na czterech olbrzymich filarach, wznosi się owa kopuła, na świat cały głośna (65 metrów wysokości od posadzki, a prawie 33 w przecięciu). Filary, jak zwykle, połączone olbrzymimi łukami, nad nimi bardzo nizki stosunkowo bęben, a na nim bezpośrednio opiera się kopuła, przecięta u dołu 40 sklepionemi oknami. Przyzwyczajeni jesteśmy do tego, że zwykle za łukami podpierającymi kopułę, zaczyna się sklepienie wszędzie równe; tu dzieje się inaczej, bo do łuków od prezbiteryum i od drzwi wchodowych przypiera półkopuła, która znowu wznosi się nad trzema mniejszemi półkopułami.

Przyznaję, że chociaż nieraz badałem architekturę św. Zofii, miałem jej rysunki i fotografie, nie mogłem zrozumieć, na co te półkopuły jedne nad drugiemi; pojąłem to dopiero na miejscu. Nadają one taką lekkość całej budowie, że opowiedzieć ani opisać jej nie sposób — widok poprostu niezrównany. Boczne łuki po prawej i lewej stronie są zapełnione czterema ogromnemi kolumnami, na nich galerya, a nad niemi znowu cztery kolumny, nad temi gzyms i ściana aż do wierzchu łuku, w ścianie znowu dwa szeregi okien, jeden nad drugim.

Na tych krótkich danych poprzestaję, bo, jak słusznie powiada Gnatowski: »żaden opis nie potrafi nigdy oddać nieopisanego czaru i harmonii tego cuda świata. Jak odmalować coś, zupełnie niepodobnego do tego wszystkiego, do czego przywykło nasze oko i zmysł estetyczny... jak dać wyobrażenie o uroku dziwnym, jaki mają te kopuły złociste, skupione pod skrzydłami matki, te galerye coraz wyższe, coraz lżejsze i cieńsze z emporyami ciemnemi w głębi, te archanioły mozaikowe nad czterema filarami i kryształowe pozłacane inkrustacye na sklepieniach, ten przepych barw, których niepodobna było zabielić w całości, i dziwne efekta światła odbijającego się o marmury i mozaiki!« [1]).

Teraz jeszcze słówko o tem, jak się Turcy w św. Zofii urządzili.

---

[1]) Listy z Konstantynopola 156.

Ponieważ trzeba oddać *unicuique suum*, więc należy sprostować, co wyżej powiedziano o »pobieleniu« — a co nie u samego tylko Gnatowskiego czytałem. Nic nie zabielono w Aja-Sofia, lecz mozaiki pokryto masą jakąś, którą potem pozłocono jak całe sklepienie. W odcinkach łuków pod wielką kopułą były cztery sześcioskrzydłe cherubiny; otóż skrzydła zostawiono, a twarze pozakrywano im rodzajem róży czy gwiazdy złoconej, co bardzo szczególnie wygląda; zresztą na sklepieniach w miejscu zworników, pomalowano arabeski różnokolorowe. Jedyną piękną, przez Turków wymyśloną ozdobą, jest we wnętrzu kopuły złoty napis na tle zielonem, głoszący, że »Bóg jest światłością nieba i ziemi«. Litery bardzo misterne, długie na 9 metrów, wyglądają jak arabeski. Wszystko inne zresztą jest mizernem i nędznem, a taką wydaje się parodyą wobec wspaniałego chrześcijańskiego budynku, jak mahometanizm sam jest karykaturą wiary chrześcijańskiej.

Więc najpierw w absydzie m i g r a b, tj. framuga wskazująca kierunek Mekki; około niego z prawej strony ambona dla czytającego koran ulemy, z ładną balustradą i śpiczastem zakończeniem. Na ścianie wisi stary dywan, na którym miał modlić się Mahomet, naprzeciwko loża sułtańska; w głębi meczetu, oparte na nizkich kolumnach galerye dla śpiewaków — wszystko to najzupełniej ze stylem świątyni niezgodne.

Na początku głównej nawy z dwóch stron stoją dwie olbrzymie marmurowe urny w kształcie gruszki (mieszczące po 1.250 litrów wody), przeniesione przez Murada III z wyspy Marmora. Przy samych drzwiach dwa niewysokie podwyższenia otoczone poręczą. Posadzka pokryta matami ukośnie leżącemi, bo kościół był budowany bez względu na przyszłą potrzebę muzułmanów kierowania się do Mekki. Najgorzej szpecą kościół ogromne, brzydkie, zielone tarcze, na których złotemi literami wypisane jakieś sentencye i wielkie żelazne obręcze, zwieszające się ze sklepienia, naokoło których poprzyczepiano mnóstwo lampek z wodą; — domyślam się, że dolewają, gdy trzeba, oliwy. Podobno są jeszcze jaja strusie zawieszone na sznurach, — nie pamiętam jednakże tego dobrze.

Gdy zwiedzałem Aja-Sofię, na jednem z owych podwyższeń przy drzwiach siedział suchy, surowy duchowny, a przy nim przy-

kucnąwszy na kolanach, młody softa recytował lekcyę, kiwając się bez ustanku. Przy jednej urnie jakiś nabożny lał wodę z kranu na obnażoną rękę, przy drugiej inny, stojąc na jednej nodze, a zawinąwszy na drugiej ubranie aż po udo, oblewał ją wodą z urny, wykrzywiając się i mrucząc formuły modlitewne. Dwaj czy trzej mężczyzni, siedząc po kątach, czytali głośno koran, czasami odzywały się, nie wiem skąd, piski chłopięce; kilku muzułmanów przechadzało się w skarpetkach, trzymając w ręku trzewiki, kilku wreszcie spało rozciągnąwszy się na matach w spokojnem miejscu.

Przewodnik pokazywał mi muzułmańskie osobliwości: kawałek wilgotnej zawsze kolumny, okno czy szparę, skąd chłodnawy wiatr zawsze wieje, szybę marmurową, która iskrzy się, gdy słońce na nią padnie. Osobliwości, ozdoby, nabożeństwo wraz z wiarą obecnych panów tego miejsca, jednoczyły się w jedno niesłychanie przykre uczucie; — wyszedłem, unosząc prawdziwie smutny kamień na sercu.

Od św. Zofii bardzo niedaleko do meczetu Achmeta, drugiej perły Konstantynopola. Przejechawszy plac *Aja-Sofia-mejdan*, znaleźliśmy się na dawnym hipodromie, dziś zwanym At-mejdan, i zobaczyliśmy gmach wspaniały, wznoszący się z pomiędzy drzew coraz wyższemi kondygnacyami, a zakończony szeroką, płaską kopułą. Po rogach jego strzelały śmiało cztery smukłe minarety, zdobne w potrójne galerye dla muezzinów; dalej nieco wznosiły się jeszcze dwa, o podwójnym tylko pierścieniu. Meczet ten dźwignął Achmet I w 1601 r. Był to bardzo gorliwy muzułmanin i nie szczędził kosztów dla godnego uczczenia Ałłacha; sam nawet, jak twierdzi podanie, co tygodnia dzień jeden pracował z robotnikami. Ta chęć pobożna skłoniła go do zbudowania sześciu minaretów i naruszenia przez to przywileju meczetu w Mekce, gdzie musiał za to siódmy dobudować.

Meczet Achmeta i plac hipodromu, dziś At-mejdan.

Rzeczywiście, na co tylko zdobyć się mogła sztuka muzułmańska,

wszystko tam zostało użyte i powstała świątynia wewnątrz i zewnątrz wspaniała. Zewnątrz wyglądałaby nawet bardzo pięknie wśród swoich czterech minaretów, gdyby nie mnóstwo kopułek i przeróżnych dodatków, których znaczenia nie rozumiem, a które zupełnie mącą i łamią harmonię linii. Wnętrze zato nic nie pozostawia do życzenia.

Zatrzymaliśmy się przed furtką i weszliśmy na dziedziniec boczny; ruch na nim i wrzawa, bo pod cieniem drzew rozłożyli się przekupnie, chodzą kupujący — widok pstry i ciekawy. W rogu tego dziedzińca po lewej stronie stoi *tiurbe* założyciela; ominąwszy je weszliśmy do bocznego przedsionka, aleśmy się zatrzymali, bo nikogo nie było, ktoby nam dał pantofle.

Trzeba bowiem wiedzieć, że prawo czy zwyczaj nie pozwala do meczetu wchodzić w obuwiu. Muzułmanie chodzą boso, albo w skarpetkach, trzymając obuwie w ręku. Giaurowie nie chcieli się poddać temu prawu, więc żeby nie obrazić wiernych i nie stracić bakczyszu niewiernych, imamowie wymyślili ogromne papucie skórzane, które Europejczycy wdziewają, nie zrzucając trzewików. Takim sposobem i wilk bywa syty i koza cała. Otóż tych papuci brakowało nam; więc Spanos stanął we drzwiach i klaszcząc w dłonie jak na pachołka, zaczął krzyczeć: *terlik, terlik!* (pantofle). Natychmiast przybiegł skwapliwie biały zawój (oznaka duchownego) niosąc dwie pary *terlików* i zaczął mi jedną z nich bardzo skwapliwie a usłużnie wdziewać na nogi. *Qualis mutatio rerum* — coby na to przed 50 jeszcze laty powiedziano!

Tak przystrojeni weszliśmy do środka. Żeby czytelnik mógł sobie przynajmniej w głównych rysach wyobrazić cośmy tam zobaczyli, muszę słówko powiedzieć o architekturze większych meczetów stambulskich. Wiadomo, że jeśli pod jakim względem, to w sztuce Turcy prawdziwie »*non sono gabasze*«; sztuka turecka oryginalna ma zakres niezmiernie ograniczony, a w budownictwie bodaj tylko wytworzyła niektóre ornamentacye i owe wystające okapy, o których wspomniałem, mówiąc o fontannie Achmeta III. Kiedy więc zachciało się im wznosić wielkie świątynie dla swej religii, musieli uciec się do Greków, którzy też chętnie na ich usługi się oddali. Greccy architekci oczywiście budowali w tym stylu, jaki znali, t. j. w starym byzantyjskim; to też meczety, przynajmniej dawniejsze, są zupełnie kościołami

chrześcijańskimi, — jest nim także i meczet Achmeta. Dlatego nie zgodziłbym się na zdanie ks. Hołowińskiego, że »wszędzie się tu przebija duch koranu« — duch ten bowiem widoczny chyba w urządzeniu i w straszliwej pustce wewnętrznej, bo styl gmachu, jak rzekłem, jest zupełnie chrześcijańskim. Jest on jak większość tego rodzaju świątyń, greckim równoramiennym krzyżem w kwadracie; na skrzyżowaniu ramion, na czterech olbrzymich filarach wznosi się kopuła. Filary są niezmiernie grube, okrągłe, wyłożone marmurem białym rzeźbionym w laski.

Wydaje się, że każdy filar jest niezmiernym pękiem grubych lasek, albo raczej cienkich kolumn (obwód filaru 31 metrów). W połowie wysokości przecina je taśma, a na niej napisy pobożne; kapitele w kształcie stalaktytów. Filary połączone śmiałymi łukami, a do każdego z nich przypiera półkopuła (u Św. Zofii tylko z dwóch stron) nad niemi zaś wznosi się kopuła płaska jak w Św. Zofii, ale trochę mniejsza.

Cały meczet, oprócz sklepienia, wyłożony był bardzo cenną starą porcelaną z szafirowymi rysunkami, ale dużo jej wypadło, jeszcze więcej wykradli dla bakczyszu strażnicy duchowni (jak mnie z kompetentnej strony zapewniano), tak że teraz musiano sztukować braki malowidłem; na razie tego się nie dostrzega i meczet wygląda bardzo pięknie. Wyszliśmy drzwiami głównemi do *atrium*, które stanowi prześliczny kryty krużganek z trzech stron przytykający do meczetu i tworzący z nim czworobok. Pośrodku bardzo ładna fontanna dla ablucyi.

Przewodnik mój pobiegł szukać dorożkarza, który się gdzieś zaprzepaścił, a ja tymczasem poszedłem oglądać dawny hipodrom (*At-mejdan*), który dotyka jedną stroną do meczetu Achmeta. Plac ten dziś jeszcze ogromny (300 metrów długości) dawniej był znacznie większym. Otaczały go zewsząd marmurowe loże i krużganki, zdobiły posągi i fontanny. Państwo się rozpadało i murszało, skarb i obywatele ubożeli, ale miejsce zabawy musiało być świetnie utrzymanem. Zawsze bo tak dzieje się z upadającymi narodami, że im mniej przyczyn do radości, tem więcej się bawią; tak robiono w starym Rzymie, tak samo i w nowym. »Wśród areny tej obszernej odbywały się wyścigi czterech partyi cyrkowych, walki krwawe zielonych z błękitnymi; złote rydwany przelatywały jak błyskawice przed cesarzem

w purpurze, w perłowym dyademie, w koliach, zausznicach i bransoletach lśniących od brylantów, przed trybunami i książętami w togach uroczystych, złotem szytych, przed ludem rozgorączkowanym, kapryśnym i szalonym, jak fale morza. Co go obchodzić mogło, że dokoła barbarzyńcy odrywali jedną prowincyę cesarstwa za drugą i u bram stolicy wymuszali upadlające haracze? On swobodny, bez troski, klaskał w dłonie cyrkowemu zwycięzcy, wznosząc go do najpierwszych w państwie dostojeństw« [1]).

Dziś ten świadek moralnego upadku i znikczemnienia otoczony lichymi budynkami (oprócz pięknego meczetu Achmeta), leży pusty, opuszczony, w zupełnem zaniedbaniu. Pośrodku, na osi dawnego hipodromu, dotąd smutnie sterczą trzy starożytne pomniki, ale cały plac pokryty głębokim pyłem, pełen wybojów, kup śmiecia, przedstawia widok zaniedbania. Nie napełniał on mnie jednak smutkiem — chyba przeciwnie. Do wszystkich miejsc, gdzie się ludzie nad ludźmi znęcali, mam wstręt nieprzezwyciężony; do Jedi-kule zanic jechać nie chciałem, choć mię namawiano; tak samo jak w Europie omijałem skrzętnie wszelkie *piombi, pozzi, mosty westchnień,* kryjówki *(oubliettes)* burgów rycerskich, lub izby tortur po średniowiecznych ratuszach; mało co mniejsze obrzydzenie budzą we mnie pamiątki bezmyślnej zabawy, jak ten właśnie At-mejdan. Opuszczenie jego nie martwiło mnie wcale. Gdyby nawet wszystkie miejsca, w których ludzie w zapomnieniu o czci własnej, obowiązku i przyszłości swych następców, oddawali się bezmyślnej i grzesznej zabawie, zamieniły się w pustynię, gdyby je zasypano śmieciem, gdyby zarosły chwastem i pokrzywą, przyznaję, że oglądałbym te ruiny ze spokojem najzupełniejszym i z zadowoleniem nawet. Co innego, gdy patrzę na spustoszone świątynie, na obronne mury w gruzach, na resztki historycznych budynków, na cichy a pusty zakątek, gdzie kiedyś pracowano, modlono się, gdzie kwitło życie rodzinne, czyste radości domowego ogniska, godziwe zabawy i godziwe kwiaty ludzkiego żywota; wtenczas opadają mnie rojem wspomnienia, cisną się do głowy poetyczne ustępy, szepcą przeróżne głosy, które wszystkie w końcu zagłusza

[1]) Gnatowski, «Listy z Konstantynopola» 73.

ten, co to przed tysiącami lat wyrzekł: «wszystko jest marność i utrapienie ducha».

Za czasów tureckich na tym placu paziowie sułtańscy ćwiczyli się w rzucaniu dzirydem, tu także rozpoczęło się wymordowanie janczarów. Trzy starożytne pamiątki, o których wspomniałem, są: obelisk Teodozyusza, kolumna wężowa i kolumna murowana. Obelisk wysoki 30 metrów z czerwonego granitu, pokryty z czterech stron dobrze zachowanymi hieroglifami, przywieziony był z Heliopolis i ustawiony przez cesarza Teodozyusza, na sześciennej marmurowej podstawie. Cztery jej boki pokryte są płaskorzeźbami i napisami łacińskimi i greckimi. Rzuciłem na jeden z nich okiem i trafiłem na wiersz *„Theodosio omnia cedunt“*.

Jak jednak, w uszach późnych następców, dziwnie brzmią pochwały czasowych bóstw, bohaterów, znakomitości! Napis trwa jeszcze, ale Teodozyusz dawno ustąpił i jego państwo ustąpiło, i fale brudne, które je zalały, także dziś ustępują. Jakże słusznie Bossuet mowę swoją nad trumną »króla — słońca«, zaczął od wykrzyknika: »Bóg jeden jest wielki!«

Kolumna wężowa jest niezmiernie ciekawym pomnikiem. Składa się ona z trzech bronzowych splecionych z sobą węży, których głowy rozchodziły się na trzy strony, a na tych głowach wspierał się trójnóg złoty, poświęcony Apollinowi. Głowy wskutek przesądów poodtrącali chrześcijanie i muzułmanie, tak że obecnie cielska tylko, zwinięte w śrubę, stoją jeszcze na placu. Jedyną zachowaną dotąd głowę wężową widziałem w muzeum starożytności w seraju. Kolumna ta stała niegdyś przed świątynią delficką i była ulaną z łupów wziętych w bitwie pod Plateą na podziękowanie za zwycięstwo nad Persami. Na dolnych zwojach węży wypisano imiona 31 państw greckich, które brały udział w tej bitwie. Dawniej wszystkie te trzy pomniki były dość wysoko zasypane ziemią i śmieciem; w ostatnich latach odkopano ich podstawy i pokazało się, że poziom placu podniósł się na 3 metry. Dziś, otoczone baryerą, wyglądają one jakby ze studni.

Kolumna murowana wzniesioną była przez Konstantyna Porfirogenitę [1]) i pokryta miedzianemi, pozłacanemi blachami; można było

[1]) Kiedy cesarze rzymscy zajmowali jeszcze południowy brzeg miasta, był tam nad samem morzem pałac zwany Porfirowym, który zajmowały cesarzowe,

na nich czytać bardzo pretensyonalny napis: »Cesarz Konstantyn Porfirogenit kazał odnowić ten cud świata, rywalizujący z kolosem rodyjskim«. Blachy i napis oddawna zniknęły; podobno jeszcze krzyżowcy je obdarli w czasie łacińskiego panowania. Ostatnie trzęsienie ziemi mocno nadwerężyło tę kolumnę, ale z niemałem podziwieniem mojem, widziałem ją otoczoną rusztowaniem i poprawianą.

Z At-mejdanu ciasną i krótką uliczką udaliśmy się do sławnej cysterny *Bin-bir-derek*, t. j. tysiąca i jednej kolumn, zwanej tak dlatego, że ma ich — dwieście dwanaście. Od imienia swego założyciela, zwie się ona jeszcze cysterną Filoxena. Ponieważ grunt Konstantynopola nie dawał dobrej wody, więc cesarze bardzo się troszczyli o dostarczenie jej miastu w odpowiedniej ilości. Uczeni utrzymują, że w pierwszych dwóch wiekach po Konstantynie W., zbudowano około 20 ogromnych zbiorników wody; dotąd przechowało się ich do tuzina. Cysterna, do której dążyliśmy, należy do najlepiej zachowanych i największych. Zatrzymaliśmy się na niewielkim, niesłychanie brudnym i zaniedbanym placu. Wśród nędznych krzaków i rozmaitych złomów, widać niewielki drewniany chlewek. Jest to wejście do cysterny, które nam skwapliwie otworzył gospodarz, otrzymawszy odpowiedni bakczysz.

Zeszliśmy po kamiennych schodach do ogromnego podziemnego gmachu, długiego 80 metrów a 50 szerokiego. Suchy on dziś zupełnie, tylko grunt bardzo nierówny. Między kolumnami od bardzo już dawna kręcą swe sznury i wiją ozdoby szmuklerze. Sklepienie krzyżowe podtrzymuje 212 kolumn w 15 równoległych rzędach, oddalonych od siebie o 3 metry. Kolumny te były niegdyś bardzo wysokie i składały się z trzech części, stojących jedna na drugiej, a na spojeniu otoczone szerokim kamiennym pasem czy obręczą. Z czasem woda naniosła tyle mułu i osadu, że cała dolna część kolumn i dwie trzecie średniej są obecnie pod ziemią, a jednak to co dotąd widoczne, wznosi się jeszcze na 10 metrów. To też ktoś wyrachował, że kiedy cysterna była w dobrym stanie, przestrzeń jej zawierała 325,400 metrów sześciennych, a woda w niej zawarta mogła wystarczyć w ciągu 10 dni na wszystkie potrzeby 360,000 mieszkańców. W górze są rzadkie

gdy się spodziewały potomstwa. Książęta urodzeni w tym pałacu mieli przydomek *porphyrogenitus*, t. j. urodzony w Porfirowym pałacu.

okienka przepuszczające niepewne światło, to też ciągły tu zmrok panuje, niedozwalający objąć należycie wzrokiem całości tego wspaniałego zabytku byzantyjskiego budownictwa.

Już to trzeba oddać sprawiedliwość dawnym architektom Byzancyi, że dobrze umieli budować, z tego jednak nie wypływa bynajmniej, żeby ich zasługi przesadzać. Autor »Listów z Konstantynopola« powiada naprzykład: »Dotąd jednak ogromną przestrzeń sklepioną i wysoką, jak średniowieczna katedra, podpiera dwieście kilkadziesiąt filarów olbrzymich, granitowych i marmurowych, ozdobionych artystycznie, jakby miały unosić stropy cesarskich pałaców«. Co słowo to przesada. Do wysokości katedr średniowiecznych bardzo jeszcze daleko, bo 10 metrów, to jest około 5 sążni, toć jeszcze nic tak nadzwyczajnego, lada kościołek parafialny bywa wyższy; dalej nie są to bynajmniej filary tylko kolumny (58 centymetrów w przecięciu) a to różnica ogromna; w końcu o artystycznem ich ozdobieniu nikt nawet nie myślał, gdy je wznoszono — bo i na co to potrzebne pod ziemią i w wodzie?

Są to najzwyczajniejsze kamienne kolumny, zakończone zamiast kapitelu, sześcienną kostką kamienną, u dołu ściętą nieco po rogach.

Ten sam autor powiada dalej: »przez szczeliny jednej ze ścian pokazują rodzaj pieczary ciemnej, głębokiej, w którą, podług podania, przez setki lat wrzucano głowy przestępców. Nie wiem, czy podanie prawdziwe, to pewne, że w gmachu tym podziemnym, tak strasznym w zalegającym go mroku, wyobraźnia wytwarza same okropności — widzi głowy krwawe jeszcze, ciała połamane kołem, kości ludzkich stosy«.

Podanie fałszywe, owszem niema go wcale i chyba przewodnik sfabrykował je na poczekaniu, a fantazya napróżno widziała krwawe straszydła. Owa czarna szczelina była poprostu otworem, przez który woda wpływała. Głów tam żadnych nie rzucano, bo nie byłoby sensu zatruwać wodę potrzebną do użytku, ale jest podanie, że do cysterny w razie napadów i niebezpieczeństw, mieszkańcy wrzucali swe kosztowności, jak u nas do stawów w czasie tatarskich zagonów. Równie bezpodstawną jest legenda, naprawdę do niedawna krążąca wśród ludu, o cysternie Konstantyna W., zwanej podziemnym pałacem *(Jeri-batan-seraj)*, że miała się ona ciągnąć bez końca. »Jak o pielgrzymach

zbłąkanych w pieczarach kijowskich i ginących tam z głodu i strachu, lub wychodzących na świat gdzieś w Smoleńsku, po długiej wędrówce w ciemnościach, opowiadają i tutaj dziwne historye o śmiałkach, co próbowali dotrzeć do granic cysterny. Jedni przepadli bez wieści, inni po tygodniach całych wypłynęli na morze przy jakimś dalekim pustym brzegu, napół obłąkani z przerażenia« [1]).

W ostatnich czasach poznano się bliżej z tą cysterną i przekonano, że ma koniec, jak wszystko na ziemi. Długość jej wynosi 111 metrów, a szerokość 60, sklepienia z cegły podpiera 336 kolumn wysokich na 12 metrów, a podzielonych na 28 rzędów wzdłuż i na 12 wszerz. Widzimy więc, że w samej rzeczy jest to olbrzymi zbiornik, ale do nieskończoności nieskończenie mu jeszcze daleko.

Od *Bin-bir-derek* wcale już blizko do ostatniego celu dzisiejszej mojej wycieczki, *Berestanu*, to jest wielkiego bazaru. Po drodze do niego widziałem spaloną kolumnę, pod którą miało być zakopane palladium Konstantynopola, i zwiedziłem tiurbę Mahmuda II. Jest to niewielka, okrągła kaplica, nakryta kopułą. Zbudowana w stylu odrodzenia, wyłożona wewnątrz białym marmurem i zdobna jońskimi pilastrami, niczem nadzwyczajnem się nie odznacza. Pośrodku stoją dwa wielkie grobowce sułtanów Mahmuda i syna jego Abdul-Azisa, przykryte dywanami czy tyftykami; w głowach, na wysoko sterczącej nasadzie, sułtańskie fezy, zdobne w kity i drogie kamienie. Obok kilka mniejszych nagrobków kobiet rodziny panującej. Dokoła balustrada pięknie inkrustowana masą perłową; pokazują też cenne manuskrypta koranu; chociaż pismo niezrozumiałe było dla mnie, z przyjemnością patrzałem na ładne arabeski, tylko strzegący grobowców imam nie pozwalał giaurowi dotykać tego skarbu i sam swojemi świętemi, acz brudnemi rękoma karty przewracał.

Przy drzwiach, na konsolach, zauważyłem dwa duże i piękne zegary; powiedziano mi, że Napoleon I darował je Mahmudowi. Zapewne cenny to był dar, ale pomimo tego zegary w grobowcu wydały mi się niekoniecznie na miejscu. Co po zegarach temu, dla kogo czasu już niema i nigdy nie będzie! Około tiurbe jest nie wielki, ale dobrze utrzymany cmentarzyk, na którym, sądząc z pomników, sama arystokracya spoczywa.

[1]) Listy z Konstantynopola IV.

Nigdy nie mogę być na cmentarzu, żeby zaraz nie stanęło przedemną zapytanie: Co się obecnie dzieje z tymi, których prochy tu spoczywają? Tak samo było i tutaj, a odpowiedź nastręczała się bardzo przykra. Tłumy, spoczywające na opuszczonych dalekich cmentarzach, tłumy prostaczków, ubogich, te zachowały może w sercu uczucia i zasady przyrodzonej cnoty i sprawiedliwości; one wierzyły źle, ale ślepo i choć nie wiem, jak je Bóg osądził, jestem spokojny, że uwzględnił wszystko dobre, jakie w nich było. Ale tych bogatych, dygnitarzy, dyplomatów, baszów, tych ćwiczonych we wszelkich szalbierstwach i przysłowiowej przewrotności, wylanych na wszelakie wyuzdanie i okrucieństwa, o tych losie trudno myśleć bez wielkiej trwogi, bo co w nich było do uwzględnienia? I nic im nie pomogą ordery rżnięte na kamieniu, pomniki z marmuru i krzaki róży dokoła rosnące!

Jeszcze jedna ulica i jesteśmy przed wielkim meczetem Nuri-Osmanie-dżami. Nie wchodzę do niego, bo mniej więcej taki sam jak inne, lecz wysiadamy z powozu i przez bramę, na której dotąd pozostał dwugłowy orzeł byzantyjski, wchodzimy do bazaru.

W Konstantynopolu jest ich kilka, a może i więcej. Są bazary specyalnych towarów, np. ryb, wonności (egipski), siodlarzy; inne znowu otwierające się tylko w pewne dni tygodnia; targi takie *(czarczi)* są rozproszone po różnych dzielnicach; wielki Bazar zaś, leżący w dolinie między drugim a trzecim pagórkiem, zgromadza w sobie wszelkie możliwe towary i wyroby. Zapewne niejeden z moich czytelników przypomina sobie barwny opis jego przez De Amicisa, i nie można zaprzeczyć, że jest to miejsce dla przychodnia z Zachodu bardzo ciekawe ze względu na towary, typy ludności, obyczaje handlowe i sam budynek nawet, zupełnie różne niż u nas. Co do mnie, to na większą część tych ciekawości byłem obojętny. Towarów wschodnich nigdy wielkim zwolennikiem nie byłem i widziałem ich zresztą tyle, że nadzwyczajnych nowości nie spodziewałem się zobaczyć, różnorodne typy wschodnie od dawna już znałem, a co do strojów, to także byłem z nimi ostrzelany. Zresztą kto przez długie lata był współczesnym krynolinie, a niezbyt dawno jeszcze widział potworność tiurniury, temu już lada co zaimponować nie mogło.

Byłem ciekawy tylko samej miejscowości i sposobu zabudowania. Bezestan zajmuje ogromną przestrzeń i jest jakby miastem w mieście. Ulice i uliczki krzyżują się i plączą tak, że bez przewodnika możnaby tam chodzić chyba tydzień cały, nimby się wyjście znalazło; są tam fontanny do ablucyi, jest nawet mały meczecik, są place. Ulice bazaru są sklepione i oświetlone z góry, po bokach z obydwóch stron sklepy.

Trzęsienie ziemi obaliło ze $^2/_3$ bazaru, który teraz przedstawiał widok bardzo smutny, bo ledwie resztki jego ocalały, ale mi to wcale nie przeszkadzało, owszem, ułatwiało zadanie. Ponieważ gruzy były już uprzątnięte, mogłem zaglądać wszędzie i widzieć owe tajemne komory, w których się taiły skarby, podług De Amicisa, nieprzebrane, bajeczne. Widziałem tedy cele sklepione, małe, ciemne, źle wytynkowane, jeszcze gorzej pobielone, brudne oczywiście i niechlujne. Jedne chowały się w ziemi, do innych prowadziły schodki wyślizgane; — o jakiejkolwiek estetycznej zachciance lub o porządku, nikt tu nie marzył nawet. Bruk haniebny, trzeba było dobrze patrzeć pod nogi, żeby nie upaść i nosa nie rozbić. O cenach i wartości sprzedawanych tu towarów nie mówię, bo się na nich nie znam i są mi zgoła obojętne, ale co do samego miejsca i zabudowań, to mi one przypominały dawne, ciasne sklepiki po naszych starych miastach, gdzieś w zatraconych ich kątach, gdzie to sprzedają stare rupiecie i przeróżną tandetę. Może to dla kogo ciekawe i pociągające, sprzeczać się o to nie będę, ale że pięknego w tem nic niema, to pewna. A swoją drogą dość popatrzeć na twarze tutejszych kupców, na ich miny i oczy, żeby doznać wrażenia obdarcia ze skóry żywcem; ba, gdybyż to z jednej skóry! oniby zdarli tyle, ileby ich narosło.

Mało kupowałem w Konstantynopolu, ale gorzkie wspomnienie z tych okazyi wyniosłem. Na towarach oczywiście okpili i obdarli, do tego odrazu byłem przygotowany, ale prawie zawsze jeszcze wetknęli do rąk pieniądze, których nikt potem brać nie chciał. Przywiozłem je do domu, na miłą Wschodu pamiątkę.

Nazajutrz, we Czwartek, odbyłem przyjemną wycieczkę do Skutari, ale o niej, równie jak o sobotniej do Wysp Książęcych, mówić zamierzam w rozdziale następnym, więc teraz z kolei opowiem łaskawemu czytelnikowi o ciekawej ceremonii piątkowej, t. j. o *selamliku*.

Powszechnie wiadomo, że wskutek zwyczaju, który się w prawo niejako zamienił, sułtan co Piątku obowiązany jest odwiedzić który z meczetów i odprawić w nim modlitwę, czy też być obecnym przy niedługiem muzułmańskiem nabożeństwie. Wizyta taka, mająca może więcej na celu okazanie ludowi, że sułtan wyznaje i praktykuje wiarę, której jest naczelnikiem, niż przekonanie go, że żyje (jak to zwykle tłómaczą), odbywa się z wielkim przepychem i uczestnictwem wojska.

Ildiż-kiosk i meczet Hamidieh.

Śpieszą na nią mahometanie, a może jeszcze więcej od nich śpieszą cudzoziemcy, dla prostej ciekawości. Obecnie panujący sułtan nie lubi udzielać się publiczności, więc, żeby nie jeździć daleko, zbudował dla siebie koło Ildiz-kiosku nowy meczet, *Hamidieh*, który stale odwiedza, dla cudzoziemców zaś niewielki kiosk w ogrodach swego pałacu, a tuż nad ulicą, żeby się wygodnie mogli *selamlikowi* przypatrywać. Z tej uprzejmości sułtańskiej mogą korzystać przyjezdni z zagranicy, poleceni przez swoje ambasady lub konsulaty. Zaraz w pierwszych

dniach mego pobytu w Konstantynopolu, odwiedziłem z powodu interesów konsulat russki, gdzie z wielką uprzejmością był dla mnie pierwszy dragoman p. Czachotin. Jest to młody jeszcze człowiek, z miastem i jego stosunkami doskonale obeznany (czytałem parę jego artykułów o Konstantynopolu w russkiej *Nivie*), więc też o niem wiele mi ciekawych rzeczy rozpowiadał. W poglądach na Konstantynopol zgadzaliśmy się zupełnie, owszem, szedł on znacznie dalej niż ja, i chociaż innemi słowy, — był tegoż zdania, co stary Damiani, że — *Turchi non sono gabasze*. Otóż p. Cz. zaproponował mi wzięcie biletu na *selamlik*, z czego skwapliwie skorzystałem, i dał potrzebne wskazówki. Kiedy więc nadszedł piątek, nająłem powóz, i około 11 stawiłem się ze Spanosem w konsulacie. Dano mi tam bilet i kawasa [1]) i po niejakim czasie ruszyliśmy ku Ildiz-kioskowi. Przebywaliśmy ciasne i zawsze zatłoczone ulice. Czasami spotykaliśmy oddziały ułanów tureckich, na pięknych koniach, jądących dwójkami, to znowu strojne w nowe mundury kompanie piechoty, czekające pod murami, lub na jakim małym placyku rozkazu do dalszego marszu.

Zbliżyliśmy się do widzianego jeszcze z Bosforu gmachu niemieckiej ambasady, i do stojącego ponuro, po drugiej stronie ulicy, wielkiego cmentarza Pery (muzułmańskiego). Nie miałem czasu przypatrywać się gmachowi, który jest wielki i dość ciężki; natomiast wbiegłem na chwilę na cmentarz. Co za smutny widok! Pod lasem cyprysów ciągnie się ulica, czy droga, pełna pyłu i kamieni, u wejścia walają się jakieś bryły i gruzy, pomiędzy drzewami ani kwiatka, ani jednego źdźbła trawy; nic, tylko stare, poobalane, w najwyższym nieporządku pomniki grobowe. Po drodze wlókł się z trudnością obdarty żebrak i para psów spała w cieniu. Nad grobami stoją czarne, z wierzchu zapylone cyprysy. Stoją jak skamieniałe, w skwarnem, cichem powietrzu, bez szumu, bez ruchu; zdaje się, że drzewo to jakby stworzone dlatego, by rosło nad grobami zmarłych bez nadziei, że przeznaczone na to, by je sadziła boleść zasztywniała w rozpaczy,

[1]) Kawasami nazywają żołnierzy tureckich, zawsze muzułmanów, będących na służbie przy osobach lub instytucyach, mających prawo do odznaczenia i wyższości. Są oni oznaką urzędowego charakteru osoby, przy której się znajdują. Noszą mundury tej instytucyi, której służą. Pieszo i konno poprzedzają swego dygnitarza, w powozie siedzą na koźle.

bez promyka jakiejś ulgi i pociechy. O ileż piękniejsza i milsza sadzona na naszych grobach płacząca wierzba, o liściach złocistych, albo

»...nasza poczciwa brzezina,
Która jako wieśniaczka, kiedy płacze syna,
Lub wdowa męża, ręce załamie, roztoczy
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy!
Niema z żalu, postawą tak wymownie szlocha!«

Nasze wiatry chwieją niemi gwałtownie, nieraz do ziemi nachylą, jak boleść ku niej i ludzi nagina, ale wolę płacz i boleść jawną, niż rozpacz skamieniałą, niemą i nieruchomą, jak te czarne cyprysy.

Przejeżdżamy obok bramy pałacu *Dolma-Bagcze*. Brama wspaniała, ale w tym samym stylu co i cały pałac, t. j. mieszanina wszystkich stylów. Znajdujemy się w końcu na obszernym pustym placu, żelazną baryerą oddzielonym od siedziby sułtańskiej.

Wpuszczają nas do bramy, przy której już zaczynają się widzowie gromadzić, przeważnie tureckie kobiety w białych zasłonach. Przed kioskiem sporo ludzi, trochę wojskowych, a gospodaruje tam młody adjutant sułtański, w pysznym mundurze z czerwonymi wylotami. Oddaję mu bilet i wprowadzają mnie do niewielkiego pokoju o trzech oknach; dwa dalsze zajęte przez towarzystwo francuskie, w którem rej wodzi słuszna dama, o bardzo nieprzyjemnym wyrazie twarzy; w pierwszem zaś siedzą dwaj zażywni panowie. Sadowię się tuż za nimi i siedzę kamieniem, bo tu sprawdza się dosłownie przysłowie francuskie: *qui va à la chasse, perd sa place.*

Siedzimy tedy bezczynnie z pół godziny; przypatruję się towarzystwu — nic szczególnego; przypatruję się meczetowi, który tuż przedemną, tylko trochę niżej a bliżej do sztachet, — także nic szczególnego. Dość duży, czysty i dobrze utrzymany. Styl zupełnie inny niż dawnych. Aż w końcu z wielkim pędem wpada ze 20 dwukołowych wózków pełnych żółtego piasku. Przybiegli ludzie z łopatami, w jednej chwili wysypali nim całą ulicę i zniknęli równie szybko, jak się zjawili. Natomiast przyszli inni z gęstemi grabelkami i wybrali wszystkie kamienie, a po nich jeszcze inni pilnie wybierali ręką, co pozostać mogło. Tymczasem schodzili się wojskowi; na ulicy przed naszym kioskiem, na dziedzińcu meczetu, pełno już było szlif, fezów, broni i jaskrawych mundurów.

Słyszymy na dole głośną, grzmiącą muzykę. To idzie oddział ułanów na siwych koniach. W ręku, prosto jak świece, trzymają lance z czerwonemi chorągiewkami. Uszykowali się wzdłuż baryery na placu. Po chwili znowu muzyka — i z dołu dwójkami ciągnie długi szereg kawaleryi na koniach gniadych. Stają około ułanów i oddzielają zupełnie meczet i pałac od placu. Za nimi dopiero zaczęła ściągać się piechota. Przed moim oknem idzie najpierw siwy, wąsaty pułkownik, z gołą szablą w ręku, za nim dwaj oficerowie, za tymi oddział trębaczy z z trąbkami przy ustach, jakby mieli zaraz trąbić (choć milczą), następnie dobosze z pałeczkami na bębnach, a za nimi muzyka pułkowa grająca wcale dobrze jakiś marsz dziwny; za muzyką dopiero wojsko z bagnetami u ramienia, z rozwiniętą chorogwią pułkową, w nowych mundurach, z wielką paradą.

Od dzieciństwa lubiłem patrzeć i zajmować się każdem wojskiem, bo mnie jego siła, porządek, karność i odwaga pociągały. Usposobienie to nie zmieniło się dotąd, więc i teraz patrzałem z zajęciem i ciekawością wielką, »jak na teatrum w mięsopust«. Za oddziałem w granatowem uniformie przeszedł drugi, pstry jak papugi: kamasze miał białe, czerwone spodnie, granatowe spencery i dokoła czerwonych fezów zielone zawoje. Tych i następne oddziały, tak samo jak pierwszy, poprzedzali trębacze, dobosze i muzyka, grająca ten sam marsz, tylko w tym razie bardzo niefortunnie fałszując. Maszerują zabawnie drobnym krokiem, może dlatego, że idą pod górę, fizyognomie osobliwe, całkiem nie nasze, ale postawa dobra i mina marsowa. Zdaje się tylko, jakby się sami dziwili swoim nowym ubraniom, i jakby im w nich było jakoś nieswojo.

Za nimi przeszli marynarze z okrutnymi tasakami w ręku, dalej piechota mająca kołnierze wyłożone jak u majtków. W miarę przybywania, formowali szpaler od pałacu, z obydwóch stron ulicy, koło kiosku i naokoło meczetu — nikt nie mógł teraz dostać się do środka. Pod mojem oknem stanęły zielone zawoje, a z drugiej strony owa piechota z wyłożonym kołnierzem; dalszy strój stanowiły buty z krótkiemi czarnemi cholewami, białe »niegodne wspomnienia« i ciemnogranatowe kurtki. Na komendę pułkowników wojsko postawiło broń u nogi, i zapanowała względna swoboda. Moi *vis à vis* powyjmowali chustki z kieszeni, otrzepali niemi najpierwej bardzo dokładnie zapy-

lone buty, a potem obtarli spocone twarze i głowy. Przyniesiono im wody — jeden drugiemu podawał i pili, bo słońce piekło i parzyło niemiłosiernie. Widok był piękny i ciekawy. Dokoła spokojni, nieruchomi, z bronią u nogi, stali potomkowie tych, przed którymi drżały niegdyś trzy części świata. Mundury świeciły jaskrawymi kolorami, chorągwie opadały szerokiemi fałdami na drzewce, zdobne złotym półksiężycem, i bagnety migotały na słońcu. Przed szeregami stali osiwiali oficerowie, opierając się na szablach; na placu przed meczetem roił się tłum cały wojskowych i dygnitarzy. W dole ku bramie, jak od płatów śniegu, bieliło się od zasłon tłumu niewieściego, a za nim, po przez rzadkie drzewa rosnące wzdłuż sztachet, widać było długi rząd jeźdźców stojących nieruchomo; ich lance sterczały w regularnych odstępach, a leciutki powiew wiatru łagodnie poruszał czerwonemi chorągiewkami. Za meczetem, za mieszaniną drzew, dachów, domów, widać było daleko szeroką wstęgę Bosforu, za nim cienką smugę zieleni, i szare góry azyatyckie. Nad tem wszystkiem gorące, jasne słońce, toczące się po błękicie bez chmur. Jakież to wszystko wydawało mi się dziwne, jakie różne od tego, com przed tygodniem jeszcze widział, wśród czego wychowałem się i wzrosłem! Zdawało się czasami, że to doprawdy jakieś »teatrum w mięsopust«.

Tymczasem, gdy tak rozmyślałem, służba pałacowa, murzyni, jakieś zawiędłe bezwąse figury ustawicznie spacerują wśród wojska, nosząc z pałacu do meczetu przeróżne przedmioty, w różnej wielkości futerałach! Coby oni tak długo nosić mogli? Wpadłem na domysł, że chyba przybory do kawy, którą sułtan może w swoich pokojach (a ma je przy każdym meczecie) po modlitwie pić będzie. Ale oto i nam ją także lokaje roznoszą w maleńkich filiżaneczkach, po turecku zgotowaną. Pijemy, a na ulicy ruch wzrasta; toczy się jakiś gruby czerwony basza, biegają młodzi oficerowie, z bramy pałacowej wychodzą dwa szeregi generałów i dostojników i maszerują do meczetu — ale jak! Widać, że im w wojsku życie zeszło (co prawda, było wśród nich kilku na końcu, którzy widocznie Marsowi nie służyli, ale także nadrabiali miną) — i tylko słychać miarowe stąpanie, miarowo chwieją się ręce, trzęsą się szlify i ordery, błyskają drogie kamienie, brzęczą szable.

Przeszli i uszykowali się na dziedzińcu meczetu, od drzwi sułt-

tańskich do bramy. Zaimponował mi ten widok. To stopniowe natężanie przepychu i przygotowań, podniecało ciekawość i podnosiło mniemanie o potędze człowieka, którego oto wyczekują tysiące, którego poprzedza tłum dostojników, maszerując, jak zwyczajne *gemajny*.

Po kilku minutach ozwał się głos trąbki — rozległ się trzask suchy — to całe wojsko, jak jeden człowiek, wzięło broń na ramię. Drugi sygnał — prezentują broń. Jedzie naprzód sułtanka walide (matka sułtana), za nią w trzech karetach, żony sułtańskie, co grzeczniejsze, potem młodzi książęta. Na dziedzińcu zaczyna grać muzyka — to sam sułtan wyjeżdża. Poprzedzają go konno generałowie, ale nikt na nich uwagi nie zwraca. Rozlega się nieustający okrzyk wojska — i wśród czterech pieszych masztelarzy, w przepysznych niebieskich złotem szamerowanych strojach, w odkrytym powozie, ciągnionym parą prześlicznych bułanych koni, pokazuje się sułtan, a na przedniem siedzeniu bohater z pod Plewny, Osman pasza. Widziałem sułtana doskonale, jechał powoli, salutując nerwowym ruchem ręki ku piersi i czołu witające go okrzykami wojsko. Wyglądał bardzo poważnie; z postawy widać, że ten człowiek, to wielki pan, przywykły do rozkazywania. Twarz miał stroskaną i zapracowaną — i nic dziwnego. Abdul-Hamid jest najpracowitszym człowiekiem w całem swojem państwie, a każdemu wiadomo, że kłopotów i trosk mu nie brakuje. Za powozem monarszym znowu tłum dostojników pieszych, następnie wiedziono luzem kilka arabskich osiodłanych wierzchowców, a za całym orszakiem murzyn pieszo idący, prowadził parę ślicznych arabów zaprzężonych do koczyka bez kozła.

Kiedy sułtan wjechał na dziedziniec meczetu, po nad wrzawę wojska i muzyki, wzniósł się głos jakiś trylujący, wysoki, niesłychanie przenikliwy, a idący skądś z góry. Spojrzałem w tym kierunku i zobaczyłem na galeryi minaretu muezzina, w ogromnym białym turbanie. Miotał się tam, wymachiwał rękoma, a wrzaskiem swoim głuszył wojsko i trąby. Powinszować gardła! Sułtan wszedł do meczetu przez osobne wejście, i zaraz dał się słyszeć ze środka głos śpiewaków, którzy odzywali się kilka razy; wojsko tymczasem na komendę, bez żadnego respektu dla gości padyszacha, zwróciło się ku nim plecami a przodem ku meczetowi.

Tymczasem częstowano nas herbatą. Po niedługim czasie wido-

cznie nabożeństwo skończyło się, bo wojsko w takim samym porządku jak przyszło, odchodzi, i tylko trochę go przy sztachetach zostało; natomiast pod mojem oknem gotuje się nowe widowisko.

Służba przyprowadziła kilkanaście muców, i powsadzała na nie tyleż ślicznych chłopaków, dziesięcioletnich może (zaledwo trzej byli starsi), ubranych po wojskowemu, w butach ze sztylpami, w mundurkach ze szlifami, w białych oficerskich rękawiczkach, przy pałaszach; dano im małe lance ułańskie z chorągiewkami, i malcy pod dowództwem 3 oficerów uformowali szpaler. Trzeba było patrzeć, jak się to maleństwo nadymało, jakie sobie nadawało miny wspaniałe, jak udawało jeźdźców wytrawnych. Patrząc na nich, bawiłem się jak na »teatrum w mięsopust«.

W końcu sułtan, posiliwszy się widocznie, wyszedł, szereg dostojników oddał mu głęboki pokłon, a on wsiadł do owego koczyka z siwymi końmi i sam powożąc, ruszył do domu. Część dworu biegła za nim piechotą, zdaje się, że byli to dworzanie »podlejszego gatunku« a i ci nie spieszyli się zbytecznie. Potem jechały kobiety, a za niemi młodzi książęta, których to właśnie mali adjutanci stali pod mojemi oknami.

Skończył się selamlik; małych rycerzy służba pozsadzała z koni, a ja zadowolony z widowiska, powróciłem do hotelu, gdzie przetrąciwszy jajecznicą, że to był piątek, zaraz wybrałem się na oględziny Złotego Rogu i Fanaru, t. j. dzielnicy greckiej.

Wspomniałem wyżej, że zatoka ta ciągnie się z południa na zachód; jest ona długa na 11 kilometrów (t. j. 10 wiorst), szeroką 450 — 500 metrów, głębokość dochodzi 45 metrów. Ponieważ zewsząd od wiatrów zasłaniają ją wzgórza, więc stanowi naturalny port, z powodu swej głębokości, dla największych wojennych okrętów dostępny, a pod względem obszerności, wygody i bezpieczeństwa, chyba jedyny na świecie. Z tych względów słusznie nazywa się Złotym Rogiem (rogiem dlatego, że ku końcowi zagina się na kształt rogu) — jeśliby jednak kto myślał, a z pewnością wielu tak myśli, że dla swej piękności, toby się srodze omylił. Wprawdzie z obydwóch stron ciągną się wzgórza i doliny, przylądki i zatoki, — cóż kiedy wszystko pokryte jest masą kamienną domów i różnych budynków, jedne na drugie włażących, szarych, brudnych, niełądnych. Bliżej ku wodzie,

domki stają się jeszcze mniejsze, i jeszcze brudniejsze; całe wybrzeże pokryte drewnianemi szopami, łaźniami, składami, wygląda bardzo prozaicznie; przy nich tłok wielki zasmolonych łodzi. Tylko ze wschodniej strony lepiej nieco przedstawia się zatoka *Kassim-pasza*, nad nią arsenały, morskie ministeryum, szkoły i t. p.; na wzgórzu ogrody czy cmentarze.

Powiadają, że dalej, gdzie przedmieście Ejuba, i jeszcze dalej, gdzie *słodkie wody europejskie* wpadają do Złotego Rogu, że tam więcej drzew, i oko ma na czem spocząć, ale tam nie byłem, bo dążyłem do bliższego nieco Fanaru. Przepłynąłem pod drugim mostem, minąłem wojenną flotę turecką, stojącą na kotwicy, i skierowałem się ku brzegowi. Wylądowałem, dostawszy się z wielką zawsze biedą, z powodu licznych łodzi, na brudne, zarzucone wiórami wybrzeże i krętą uliczką skierowałem się ku głównej ciekawości Fanaru — ku patryarchatowi. Część ta miasta nazywa się fanarem dlatego, że kiedyś, wobec grożącego napadu, mury jej naprawiano nawet w nocy, przy latarniach (fanari).

Wchodzę tedy na dziedziniec, mijamy bramę zamkniętą, a Spanos, wskazując na nią, powiada, że od kiedy powieszono w niej patryarchę Grzegorza II (w czasie rokoszu greckiego), stoi tak zamkniętą zawsze, i nikt przez nią nie wchodzi.

Znaleźliśmy odźwiernego, który nam cerkiew otworzył; wiedziałem z góry, co tam zastanę, ale kiedym wszedł, byłem pomimo to zdziwiony widokiem, jaki miałem przed sobą. Któżby nie myślał, że Grecy, choć wypędzeni z dawnych siedzib, przez 4 z górą wieki mieszkając w Fanarze, zdobyli się na wspaniałą świątynię dla swego patryarchy, spadkobiercy tylu historycznych imion, noszącego tytuł »ekumenicznego«, przez Turków uznanej, swej głowy religijnej i narodowej? Tem łatwiej godziłoby się tak myśleć, że przecież Grecy byli, a podobno i są bankierami państwa ottomańskiego, że sami mieszkają w pałacach, że nawet zgoła grosza nie żałują na cele swe publiczne. A jednak najzwyczajniejszy *sobor* w powiatowem mieście russkiem jest często większym i lepiej utrzymanym, niż ta świątynia patryarchalna. Jest ona tak małą, że wątpię, czy w najlepszym razie może pomieścić więcej nad 600 ludzi. Kolumny z cegły, pomalowane zwykłą olejną farbą, rozdzielają ją na trzy nawy, w środkowej, wzdłuż

kolumn, z obydwóch stron od carskich wrót aż do drzwi, idą stalle dla duchowieństwa bardzo zwyczajne; wśród nich odznacza się tylko tron patryarchy i ambona — oboje wykładane masą perłową, a miały służyć Św. Janowi Chryzostomowi.

Spanos utrzymywał nawet, że Święty sam je zrobił, ale jużto historyczna erudycya mego cicerone żadnej u mnie wiary nie znalazła. Carskie wrota wszędzie są tutaj inne trochę niż w Rosyi; mianowicie nie są całe zabudowane jak drzwi, ale dochodzą tylko do połowy wysokości oddrzwi i są podobne do furtki, podnoszącej się nieco ku środkowi, gdzie umieszczają zwykle dwugłowego byzantyjskiego orła. Pokazano mi jeszcze trzy trumny z ciałami Świętych i kilka obrazów uniesionych ze Św. Zofii. Tym ostatnim przypatrywałem się ciekawie; cenne to pamiątki, ale trudno sobie wyobrazić, jak są pod względem pędzla brzydkie — owszem wprost okropne. Widziałem potem i inne jeszcze stare obrazy, ale wszystkie takie same. Tu muszę jednak wspomnieć dla niejakiej rehabilitacyi Greków, że uprzednio zwiedziłem nową ich cerkiew św. Trójcy, obszerną i piękną, przy głównej ulicy Pery. Zbudowana jest w stylu prawie czystego Odrodzenia, tak, że wziąłem ją za kościół katolicki. Zdobią ją malowidła zdolnego malarza, Greka (niedawno umarł, nazwiska nie pomnę), który długo bawił we Włoszech.

Obrazy jego noszą tego widoczne ślady, przypominając bardzo renesansowe malowidła, bez ich rozwydrzenia, a mają bizantyjską powagę, bez sztywności i martwoty. Byłoby bardzo dobrze, podług mego zdania, gdyby nasi religijni malarze poznali się bliżej i lepiej z bizantyjską szkołą, tyle wyśmiewaną; umiejąc malować znaleźliby tam pod nieudolną formą, to, czego im brakuje — chrześcijańskie pojęcie przedmiotu.

Patryarchat jest to gmach bardzo nieforemny, wysoki, długi, bez żadnego stylu. Byłem go bardzo ciekawy, a szczególnie sali synodalnej, ozdobionej portretami »wszystkich patryarchów od upadku Konstantynopola«, jak zapewniał któryś autor-turysta, »a z tych wizerunków można było (jakoby) wyczytać całą historyę Greków do dnia dzisiejszego«.

Prowadzono mnie tedy do owej sali; podrodze w jednej z sieni stał olbrzymi fotel, w którymby trzej ludzie śmiało pomieścić się

mogli. Spanos złożył go także na Św. Jana Chryzostoma, chociaż inkrustacye są już najzupełniej tureckie. Synod obraduje w sali ani zbyt wielkiej, ani wysokiej, ani czemkolwiek odznaczającej się — w sali najzwyklejszej: w każdem mieście gubernialnem, w pierwszej lepszej juryzdykcyi, są większe i okazalsze. Podłoga drewniana, malowana olejno, ściany i sufit malowane karukowo za pomocą zwyczajnych szablonów, pośrodku stół duży, naokoło fotele nowoczesne, białymi pokrowcami zasłane. Na ścianach owe portrety, których tak byłem ciekawy. Nic z nich, przyznaję, wyczytać nie zdołałem. Jest ich zaledwo kilkanaście, widocznie z bieżącego i najdalej z połowy przeszłego stulecia. Dawniejsze wszystkie są szkaradnymi bohomazami, z których żeby coś wyczytać, trzeba być lepszym niż ja czytelnikiem. Ledwo pięć czy sześć ostatnich portretów, dobrze malowanych, a z tych jeden tylko zdawał się przedstawiać rysy człowieka o chytrych i przebiegłych oczach. Obok tej sali jest druga mniejsza, gdzie odbywają się konferencye tajne. Nic w niej nie zauważyłem szczególnego, oprócz chyba ślicznych stalorytów z arcydzieł Rafaela i innych malarzy zachodu. W sali tronowej, nad tronem patryarchy, wisi obraz przedstawiający Mahometa II, nadającego patryarsze Gennadyuszowi prawa cywilne i religijne nad Grekami.

Wyszedłem bynajmniej nie zbudowany. Patryarchat zrobił na mnie wrażenie, jakby jakiegoś urządzenia czasowego; nie dostrzegłem śladów, jakie zostają po ludziach osiadłych stale, miłujących swój kąt, myślących o jego przyszłości — a już sztuki ani na lekarstwo. Gdzie się podział ten sławny dawniej gust grecki? Czyżby Fallmerayer miał racyę, że z dawnych Greków, prócz nazwiska i zepsutego języka, nic nie pozostało?

Chcąc zamknąć ten szereg przelotnych szkiców ze Stambułu, wspomnę jeszcze o »chwale i radości« jego, jak poeci tureccy nazywają meczet Sulejmana Wielkiego. Żeby się dostać do tej dżami, przewodnik mój wybrał inną niż zwykle drogę. Pojechaliśmy przez drugi most, szerszy, i, jak mi się zdało, przyzwoiciej wyglądający od pierwszego (zbudowany przez kompanię francuską). Na nim stoją także celnicy, ale się nie męczą zbieraniem myta, bo most prawie pusty, ledwo czasem kto przejdzie. Ulice, w które wjechaliśmy, lubo ciasne i źle utrzymane, jednak nie tak pełne jak w dzielnicach bliż-

szych morza. Ruch zwiększył się trochę, gdyśmy się zbliżyli do wodociągu Walensa. Wspaniałe to dzieło dawnych czasów, wygląda jak olbrzym potężny a piękny, wśród brzydkich karłowatych potomków. Otoczyły go nowe domy, małe w porównaniu z nim, brzydkie, pstre, gdy on poważnie wśród nich odbija swym szarym, starym granitem.

Cesarze greccy poprawiali go troskliwie; za czasów tureckich raz go tylko wyrestaurował Soliman W.; odtąd zaś pozostawiony jest sam sobie. Pomimo to służy dotąd i prowadzi wodę do całej tej dzielnicy. W tem miejscu ma on podwójne piętro łuków; w dolnych pomieściły się teraz mieszkania i sklepy, szpecąc je niemiłosiernie.

Lecz oto przed nami obszerne zabudowanie i gmach Sulejmanie. Zajmuje on prawie cały szczyt trzeciego pagórka i przytyka do placu seraskieryatu. Otacza go obmurowany dziedziniec, którego długość ma wynosić 1000 kroków; rosną na nim piękne drzewa, szczególnie za meczetem, gdzie jest cmentarz i mauzolea Sulejmana i Roxolany. Meczet otoczony mnóstwem budynków mieszczących zakłady dobroczynne, szkoły duchowne; niedaleko też jest mieszkanie *szejch-ul-islama*, najwyższego naczelnika muzułmańskiego duchowieństwa w Turcyi. Zbudował go Sulejman albo Soliman Wielki w ciągu 16 lat (1550 do 1566), jest więc on pomnikiem najwyższego rozkwitu tureckiego państwa.

Część zachodniego wybrzeża Złotego rogu; na wzgórzu meczet Sulejmana.

Gmach ten, chociaż był wzniesiony przez tureckiego architekta Sinana, — w ogólnym zarysie nie różni się wcale od innych meczetów, budowanych przez Greków, i jest tak samo jak one świątynią chrześcijańską. Przypomina bardzo św. Zofię. Stanowi on tak samo

jak ona czworobok (69 metrów długości, 63 szerokości), podzielony na trzy nawy. W środku na ogromnych czterech filarach wznosi się wspaniała kopuła, trochę mniejszej średnicy i o 20 stóp wyższa. Tak samo jak w św. Zofii od prezbyteryum i od wschodu do łuków, na których wznosi się kopuła, przypierają dwie półkopuły, a łuki boczne tak samo u góry zamurowane ścianą, mającą dwa rzędy okien i opierającą się na dwóch z każdej strony ogromnych kolumnach, stojących między filarami.

Chociaż postanowiłem sobie oszczędzać czytelnikom moim zbytecznych przykładów niedokładności w opisach podróżników, muszę tu znowu jeden przytoczyć, dla pokazania, jak spostrzeżenia i opowiadania są często powierzchowne i z jak licznemi zastrzeżeniami trzeba je (a więcej jeszcze zachwyty i uniesienia) przyjmować.

Oto czytam w opisach Sulejmanie u Ks. Hołowińskiego, Czachotina, Miss Pardoe[1]), że kopuła meczetu wznosi się na czterech olbrzymich kolumnach z czerwonego granitu; — tymczasem najprostsza znajomość architektury wystarczy, by dostrzedz odrazu błąd rażący. Na kolumnach nigdy kopuły, zwłaszcza wielkiej, postawić nie można, dla tej prostej racyi, że to jest podstawa zbyt wątła dla tak olbrzymiego ciężaru. Gnatowski znowu powiada, że kopuła spoczywa »na czterech olbrzymich filarach z czerwonego granitu, najwyższych i najgrubszych w Stambule, z których jeden służył niegdyś za podstawę posągowi Justyniana, drugi podtrzymywał marmurową Venus w Augusteum, a dwa przywieziono z Egiptu«. I znowu rażąca niedokładność, bo filar budowany z wielu kamieni czy cegieł, jako ciężar zbyt wielki i złożony, za podstawę posągom służyć, ani przewożonym być nie może.

Prawdą jest natomiast, że kopuła opiera się na filarach, owe zaś tylko małe ścianki zapełniające szczyty dwóch bocznych łuków, a mające w sobie liczne okna, opierają się na czterech kolumnach, stojących po dwie w środku łuków. One to służyły za podstawę posągom albo były przywiezione z Egiptu. Wnętrze meczetu bardzo gustownie ozdobione arabeskami i napisami; drzwi główne znajdują się w rodzaju niszy, ozdobionej w górze stalaktykami z marmuru, takież same

---

[1]) Les beautés du Bosphore. Londres 1838 (piękne staloryty).

ozdoby spotyka się i w innych miejscach, naprzykład w rogach łuków pod kopułą. W absydzie są piękne okna kolorowe, dwa z nich miały być zdobyte na Persach. Chodziłem po tej ogromnej świątyni, przyglądając się, podziwiając i powtarzając sobie: wspaniałe, wspaniałe!

Cóż kiedy pomimo wszystkiego, pomimo piękna, wspaniałości, zbytku, nie można obronić się dziwnie smutnemu uczuciu pustki. Wszystkie meczety robiły na mnie wrażenie domu, w którym nikt nie mieszka. Liche i skąpe urządzenie wewnętrzne potęgowało jeszcze to uczucie. Zdawało się, że to jest piękny pałac, z którego właściciel wyniósł się i zostawił tylko trochę niepotrzebnych sprzętów, powiększających jeszcze wrażenie pustki i opuszczenia.

Niedaleko od meczetu wznosi się tiurbe Solimana W. Jest to arcydzieło sztuki, którego opisywać nie podejmuję się wcale, bo tylko rysunek dać może niejakie pojęcie o tem istnem cacku. Należy ono do niewielkiej liczby pomników usprawiedliwiających pojęcie o dawnej wspaniałości Wschodu.

Autor listów z Kostantynopola powiada, że tu, przy Sulejmanie, »spoczywa Rusinka jego ukochana... Roxolana«. Tak nie jest. Umiłowana żona Solimana (przez Turków zwana Chasseki-Churrem, tj. wesoła pani) ma osobne mauzoleum, podobne do mężowskiego, ale nie tak wspaniale ozdobione i dość niedbale utrzymane. Przy Sulejmanie leżą Sulejman II., Achmet II. i kilka księżniczek.

Na koniec mych wycieczek po Stambule odkładałem oglądanie dawnych murów Konstantynopola, które po ostatniej wielkiej walce leżą takie, jakimi wówczas zostały i tylko je czas jeszcze bardziej pokruszył. Niestety, dla różnych powodów musiałem odmówić sobie tej przyjemności. Pocieszałem się wprawdzie tem, że widziałem sporą część murów nadmorskich, ale pomimo tego przykro mi było, żem od projektu odstąpić musiał; żałowałem zwłaszcza bramy św. Romana, przy której padł ostatni cesarz bizantyński. Jużto do panów Nowego Rzymu wielkiej sympatyi nie czuję; wiem prawdzie, że byli między nimi władcy mądrzy i dobrzy dyplomaci, byli dzielni wojownicy, czasami też bywali i zacni ludzie, ale w wyobraźni mojej przedstawiają się oni zawsze sztywni, nadęci, strojni w szaty zasypane klejnotami, jak ich przedstawiają dawne mozaiki — pozujący na bogów.

Konstantyn XI. stanowi wyjątek; ten jeżeli stanie przedemną, to

go wyobrażam sobie tylko, gdy z rozpaczą w sercu rzuca się w sam środek wpychającego się do miasta nieprzyjaciela, a potem leżącego bez życia ze złamanym mieczem w dłoni, gdy go wrogowie poznają po resztkach purpurowego płaszcza i cesarskich orłach na trzewikach.

Dziwna to jednak rzecz, jak u artystów niewiele jest inwencyi w wyborze przedmiotu; skoro kto odkryje jakieś źródło, jakąś żyłę kruszcową, rzucają się do niej wszyscy i naśladują jedni drugich — gdy tymczasem niewyczerpane skarby czekają przez wieki nietknięte.

Uwagę tę robię właśnie z powodu upadku Konstantynopola. Historycy i uczeni jużci doskonale wiedzą, czem ten wypadek był w dziejach, ale poeci i malarze zaniedbali ten temat prawie zupełnie.

A jednak co to za wspaniały przedmiot do epopei, do tragedyi! Upadek Troi niczem jest wobec upadku tysiącoletniego państwa, wobec następstw, jakie on za sobą pociągnął, wobec sytuacyi w najwyższym stopniu dramatycznych, ba, tragicznych poprostu.

Jakie to tam musiały być narady, krzątania się, zabiegi, wobec ściskającej się coraz bardziej obręczy nieprzyjaciół, jakie noce bezsenne i gorzkie, tego monarchy bez wojska i bez państwa prawie, przechadzającego się po pustych salach Blakernu i widzącego konieczność ostatniej rozprawy, a prawie pewność zguby! Jakie tam były rozdzierające pożegnania, co się działo u św. Zofii, gdy w dzień walki wódz i wojsko przystępowało raz ostatni do Komunii św., ile epizodów w czasie rozpaczliwej obrony — i wreszcie dzień ostatniego szturmu, gdy przy ryku działa Orbana, najwybrańsze hufce tureckie rzucają się do bramy św. Romana, tam, gdzie na murach wiatr unosi zwoje cesarskiej purpury, gdzie błyska miecz w ręku ostatniego bohatera Byzancyum.

A potem sceny rzezi, gwałtu, poniżenia, rozpaczy, przy których blednie ruina Troi i wkońcu zamknięcie długich dziejów wielkiego państwa, które miało przynajmniej to szczęście w nieszczęściu, że na ostatniej ich karcie legł bohater, który umiał walczyć do końca i zginąć, gdy tego było potrzeba. Tak, mojem zdaniem, upadek Konstantynopola to wielki temat dla poety i malarza; tylko że poety trzeba na miarę Homera lub Dantego; malarza — co najmniej Matejki. Żałuję, żem nie widział bramy św. Romana!

Dotąd skreśliłem, jak umiałem, kilka obrazków Konstantynopola;

teraz należałoby coś ogólnego o nim powiedzieć i spróbować zebrać w jedno rozprószone wspomnienia, ale dokładne zrobienie tego, dla kilkodniowego gościa, jest czystem niepodobieństwem. Jeśli jednak kto ciekawy, jakie też wyniosłem ogólne stamtąd wrażenie, to mu powiem, że wielkiej ciasnoty i brudów. Ulice są nadzwyczaj wązkie, główna ulica Pery ma pięć metrów szerokości, a tylko w miejscach wypalonych w r. 1865 dochodzi ona *aż* do dziesięciu metrów.

W Stambule jest także jedna ulica również po pożarze rozsze-

Ulica w dzielnicy tureckiei w Stambule.

rzona na rozkaz Abdul-Azisa. Zresztą ciasnota niezmierna. Po obydwóch stronach takich ulic wznoszą się kilkopiętrowe kamienice, wskutek czego ulice podobne są do korytarzy, boczne zaś i mniejsze, chyba do korytarzy wagonowych. Przyzwyczajony do ulic szerokich i niezbyt wysokich domów, doznałem w Konstantynopolu wrażenia braku powietrza i duszenia, tęsknoty za widokiem nieba i przestrzeni, których tu wcale nie widać. Wskutek takiego sposobu zabudowania, nie można zdać sobie sprawy z tego, jak domy wyglą-

dają — giną one w jakiejś pstrej masie murów, okien i szyldów. Zresztą wiadomo, że Turcy nigdy artyzmem nie grzeszyli, że nawet pałace sułtańskie, rzadko ze względu na piękność architektoniczną zasługują na uwagę, więc o innych domach niema co mówić.

Spotykałem wprawdzie budowle, które lubo może niezupełnie prawidłowe, wydawałyby się dobrze, gdyby miały trochę miejsca około siebie; cóż, kiedy nikną zapchane, zakryte, zakrzyczane przez sąsiadów licznych, blizkich i pospolitych.

Ogrodów publicznych prawie niema. Na Perze widziałem jeden, a na Pankaldi drugi, ale oba tak malutkie, że u nas w Ż. prywatnych takich samych na kopy prawie możnaby rachować. Główne ulice są dobrze brukowane, chociaż wieczne na nich błoto, gdy deszcz pada — z łaski niebios, gdy pogoda — z łaski polewaczy; na bocznych za to bruk niegodziwy. Zabłądziwszy raz na Perze, po tym właśnie karko- i nogo-łomnym bruku poznałem, że nie we właściwym idę kierunku. Chodników mało, a i z tych niewielka pociecha. Na węższych śpią psy pokotem, na szerszych stoją dziesiątkami nizkie, wyplatane słołeczki, a na nich wysiadują spokojnie ludziska, pijąc kawę i paląc nargile.

Na ulicach sklepów i sklepików co niemiara, na głównych są nawet bardzo wystawne — cóż kiedy i wśród tej wystawy dziwne zdarzają się rzeczy, uderzające niemile oczy i nos. Obok pysznego magazynu z wystawą ślicznych bronzów i porcelany stoją jatki, w których odarte ze skóry barany i ćwierci wołowiny wiszą tuż przy ulicy, tak że kilka razy ledwie o nie nosem nie zaczepiłem. Zawsze mnie prześladowała w czasie przechadzek woń nieprzyjemna skrzepłego łoju baraniego.

Potem znowu magazyny damskich strojów, egzotycznych roślin i kwiatów, a tuż zaraz otwarta od ulicy garkuchnia grecka, w której warzą się takie specyały, że pies by ich u nas nie jadł, choćby dla wielkiej ilości pieprzu, który do nich wchodzi.

W Stambule, obok częstych jatek zauważyłem jeszcze mnóstwo sklepów owocowych; muszą tam pochłaniać niezmierne ilości jarzyn i owoców, bo się z niemi rozminąć nie można. Na głównych ulicach jest dość czysto, ale za to temu, co się dzieje na bocznych, nie każdyby uwierzył. Na ulicy naprzykład wiodącej do św. Zofii, tuż koło pałacu sułtańskiego, widziałem kupę śmieci sięgającą pierwszego piętra.

Niechlujstwo, brudy, śmiecie, wszelkiego rodzaju nieporządki, widnieją tam na każdym kroku. Niedaleko wielkiego bazaru ledwo

Ulica w Galacie.

przejechać mogłem, dlatego, że gruzy z niego i sąsiednich domów, zniszczonych przez trzęsienie ziemi, wynoszono i rozsypywano po bliższych ulicach.

Do osobliwości Konstantynopola należą psy wałęsające się wszędzie. Są to najzwyczajniejsze kurty, mieszańce bez śladu jakiejkolwiek rasy, a liczą się chyba na setki tysięcy. W dzień wylegają się, gdzie im się podoba. Na chodnikach rozkładają się grupami, czasami do tuzina wynoszącemi, lokują się w rynsztokach, pod ścianami i śpią cały dzień spokojnie.

Podziwiałem ten ich spokój i obojętność na gwar i ruch, o jakim nie każdy jarmark daje dokładne wyobrażenie. Pies unika tylko powozu, a gdy znajdzie kącik wolny od najazdu, wyciąga się i śpi jak zabity. Próbowałem kilka razy — ruszałem psa nogą, podnosiłem mu pysk laską — on otworzy do połowy zaspane oko i znowu śpi spokojnie.

Rzeczywiście rzadko widziałem, by kto tu psa nogą kopnął — zwykle ludzie ustępują im miejsca i schodzą z chodnika, by psiego »kiejfu« nie mącić. Za to w nocy wraca kąśliwym czworonogom uśpiona energia ze zdwojoną mocą i na ulicach robi się piekło. Ledwo się ściemni, słychać bliżej lub dalej złowrogie warczenie i pełne piekielnej pasyi szczekanie. Następnie układa się duet, potem kwartet, wkońcu *tutti* i to *con furia*. Doprawdy, że chyba nigdzie tak wściekle gryzących się i ujadających psów nie słyszałem. Trwa to tak długo, aż nadbiegnie policyant. Wtenczas słychać tylko świst *kurbacza* i gwałt psi. Na kwadrans cicho, a potem *da capo* i znowu kurbacz i tak aż do świtu. Potem tylko w dzień bohaterowie nocnych awantur liżą czasami otrzymane w ciemnościach rany i guzy, tę zwykłą nagrodę waleczności. Na szczęście tak zawsze byłem zmęczony, że tylko początek psich koncertów słyszałem, ale moi współlokatorowie często uskarżali się na bezsenne z tego powodu noce. Środkiem ciasnych ulic, między wysokiemi kamienicami od rana do nocy przesuwał się i płynął, niby rzeka wezbrana, tłum ludzki, różnobarwny i różnojęzyczny. Zapełniał on nietylko chodniki, albo raczej miejsca, gdzie one być powinny, lecz całą ulicę od krańca do końca, a nad tym tłumem krzyk, gwar i hałas nieustanny.

Prawdziwie nie rozumiem, dlaczego ks. Hołowiński mówi, że na

ulicach Konstantynopola panuje taka cichość, że aż dziwne robi wrażenie. Chyba gdzieś daleko na pustych ulicach cisza i samotność, ale na głównych harmider nie do opisania. Przechodnie z sobą gwarzą, przekupnie roznoszą ryby, owoce, słodycze i krzyczą raz po raz tak, że u nas o tem wyobrażenia nie mają, bo trzeba długiej wprawy gardła i piersi do takiego wrzasku. Przechodzą osły obładowane i dzwonią, przewodnicy krzyczą, przy drzwiach sklepów stoją komisanci (zwłaszcza bliżej wielkiego mostu) i ciągle na cały głos recytują jakąś litanię bez końca; grzmią dorożki i okrzyki woźniców, chodzą tramwaje, a konduktorowie i policyanci uszy rozrywają trąbkami, wkońcu moc żebraków zaklina przechodniów w rozmaitych językach, nie żałując bynajmniej gardła. Istna plaga ci żebracy, zwłaszcza dla przejezdnych, których odrazu zwietrzą. Niema rady na to utrapienie, ale oby czytelników moich, jeśli się do Konstatypola dostaną, los chronił przynajmniej od młodych żebraczek tureckich. Najzjadliwszy owad w lipcu łatwiej odpędzić, niż pozbyć się tych dokuczliwych podlotków. Idzie za tobą pół wiorsty, jedną ręką szturga cię w bok, albo po ramieniu klepie, drugą pokazuje na swą głowę, przytem ustawicznie coś trzepie i płaczliwym głosem wciąż powtarza: c z e l e b i, c z e l e b i (panie).

Jeśli wzruszony litością lub znudzony natręctwem, dasz parę groszy, toś zgubiony. Za każdym razem z żebraczką się spotkasz i będzie szła za tobą wiorstę, dasz znowu, pójdzie dwie wiorsty, a wieść o dobroci twego serca rozejdzie się tak szybko, że cię otoczy cały hufiec mniejszych i większych żebraków i żebraczek.

Jakkolwiekbądź, chociaż niezmiernie od naszych natrętniejsi, konstantynopolitańscy żebracy są nowicyuszami przy palestyńskich — tam to dopiero mistrze! Ale o nich może pomówimy później.

Typy a zwłaszcza ubiory tak się mieszają w oczach przybysza, że trzebaby chyba wybierać pojedyńcze postaci i zaraz notować ich strój, żeby się w tej chwili nie zatarł jakimś innym. Ja przynajmniej, nie mając zgoła daru pamiętania najpiękniejszych toalet, a co gorsza, ani zauważanie ich nawet, wyniosłem z ulic Konstantynopola wrażenie dziwnej mieszaniny, w której jednak blasku niewiele, a najczęściej spotyka się granatowy kolor ubrania i czerwony fezów.

Frankowie płci obojej ubierają się jak na zachodzie; co prawda,

były tam jakieś różnice w stroju kobiet, ale choć oko je widziało, umysł profana natychmiast o nich zapomniał. Zresztą niepotrzebniebym się trudził, bo De Amicis i Gnatowski opisali je bardzo szczegółowo, choć ze zwykłą poetyczną przesadą. Oto para przykładów: »Obok znowu, powiada ostatni, uderza cię wyniosły, szlachetny profil Greka z Archipelagu, w szerokich bufiastych spodniach szafirowych, podobnych do spódnicy, rozszerzających się z tyłu w worek sięgający ziemi, w kurtce i dolmanie ozdobnym, przewieszonym przez ramię, z czapką frygijską ciemną, której koniec spada na plecy — strój w opisie wyglądający dziwnie, w naturze przepyszny i z rzadkim wdziękiem noszony«. Na wszystko zgoda, ale tego to już w żaden sposób nie potrafię zrozumieć, jak z »wdziękiem« nosić można owe »niegodne wspomnienia«, wydłużone z tyłu w worek sięgający ziemi. Prawidło architektoniczne, że każda ozdoba budowy, nie mająca celu, nie jest ozdobą i szpeci całość, da się do wszystkiego, co do piękności pretensyę rości, zastosować, — a więc i do ubrania. Otóż ten worek jest zupełnie bezcelowym; gdyby człowiek miał ogon, mógłby służyć za futerał, ale że go nie ma, więc jest czemś tak szpetnem i niemądrem, że chyba niedawno (oby na wieki!) pogrzebana tiurniura, może mu w obrzydliwości wyrównać.

W innem znowu miejscu powiada autor wspomniony, że amator »za łachman, którym się okręca woziwoda, zapłaciłby kilkaset dolarów, czy nawet dukatów«; absolutnie biorąc, rzecz to możliwa, ale nabywca za taką cenę przepaski woziwody, byłby oczywiście w stanie umysłu nienormalnym.

Woziwoda wszędzie, a w ubogiej, nędzą otoczonej Turcyi więcej niż gdzieindziej, opasuje się ścierką trzech groszy nie wartą. Nie trzeba myśleć, że tam gdzieś na wschodzie walają się tyftyki, indyjskie szale i perskie dywany; są one zapewne, ale mniej ludzi może je kupić na miejscu, niż u nas, bo tam bieda i nędza powszechna. Mann opisuje piękny ubiór kaidżich; dziś ani śladu już owych muślinowych strojów, w jakich mieli występować. Kaidżi świecą łachmanami, a w najlepszym razie zwyczajnym, niewybrednym strojem przewoźników.

Co do kobiet, to mahometanki chodząc w dużych oponach, ściągniętych w pasie sznurkiem, czy tasiemką, wyglądają brzydko. Zresztą

ze strojów damskich pamiętam jeden tylko. Zdobił on starą kobietę, nie wiem jakiej narodowości; miała na głowie czarną jedwabną chustkę, spiętą pod spiczastą brodą, dalej była kurtka ciemno zielona, a z pod niej wypływały szarawary tabaczkowego koloru, szerokie — no, chyba jak Czarne morzę (że użyję porównania Gogola). Czarne trzewiki kończyły ten strój oryginalny. Szła sobie babina z fantazyą wielką, robiąc rumor łokciami, i jak w piosence: »kuma sobie siedziała, motek nici zwijała«, a kum jej się dziwował, »że tak pięknie zwijać umie«, tak i ja dziwowałem się staruszce, że się tak pięknie wystroiła.

Kiedy mowa o ubiorach kobiecych, trzeba coś i o samych kobietach powiedzieć. Czytałem wiele o tem, że »kobiet tak pięknych jak greckie, niewiele na świecie. Dwunastoletnie dziewczynki mają profil i kształty bogiń, wykutych przez Lizyppa lub Praksytelesa«, i w prostoduszności mej wymyślałem, że naprawdę po ulicach Fanaru i Pery spacerują Heby, Junony i Dyany. Tymczasem, chodząc i jeżdżąc od rana do zmroku po ulicach Konstantynopola, płynąc zresztą przez parę tygodni na okręcie w towarzystwie licznych Greków i Greczynek, nie widziałem w nich nic nadwyczajnego. Włosy czarne, pleć matowa, zresztą takie same jak inne kobiety; nosy tylko mają garbate i większe, niż inne. Nic podobnego do Heby ani Junony nie spotkałem; natomiast zdarzyło mi się widzieć kilka doskonałych wzorów Meduzy. Albo co było domysłów, co usiłowań, żeby zobaczyć, jaka twarz kryje się pod jaszmakiem Turczynki! — całe rozdziały poświęcono temu przedmiotowi. Od ostatniej wojny rusko-tureckiej można bardzo łatwo zadowolić swą ciekawość, bo w Konstantynopolu przynajmniej połowa muzułmanek nie zasłania już twarzy wcale, albo takim woalem jak kobiety chrześcijańskie.

Zdaje mi się, że tylko powab tajemnicy i zakazanego owocu, był przyczyną tej wielkiej ciekawości, bo także nic tam osobliwego nie widziałem. Tak samo czarne włosy, cera matowa, tylko rysy ściągłe i wyraz jakby smutku na twarzy, którą często szpeci nos długi bardzo, jaki u żydówek spotykamy. Dzieci za to tureckie bywają śliczne. Na pokładzie jednego statku widziałem chłopczyka może dziesięcioletniego, pięknego jak malowanie. Owi malcy, którzy na *selamliku* witali młodych książąt, prawie wszyscy byli także bardzo ładni.

Kończę ten rozdział poświęcony Stambułowi, miastu muzułmań-

skiemu. Kilka obrazków i scen, garść wrażeń, trochę uwag kilkodniowego, a więc z konieczności powierzchownego obserwatora, nie mogą ani wyczerpać przedmiotu, ani rościć pretensyi do zupełnej dokładności, są one jak fotografie widoków i scen Konstantynopola, które mam w kupionym tam albumie — przedstawiają pewne, wybrane trochę na chybił trafił, strony olbrzymiego mrowiska — i nic więcej.

Kto nie może widzieć oryginału, musi na tych obrazkach poprzestać, a resztę »w swem sercu dośpiewać«. Chciałbym jeszcze tylko odpowiedzieć na pytanie, które z pewnością wielu czytelników moich zechce mi zadać: »Więc cóż sądzić ostatecznie o Konstantynopolu, czy to miasto piękne czy brzydkie?« Już z tego, com wyżej mówił, łatwo zgadnąć, że podziwiając szczegóły, dla ogółu miasta bynajmniej zachwytu nie żywiłem; a teraz, zastrzegając, że mówię tylko o samem mieście, nie okolicach, powiem, że jest ono ciasne, brudne, pełne śmiecia, źle brukowane, z małą liczbą ogrodów, niknących prawie wśród murów, szkaradnie zabudowane; widoku żadnego niema, chyba z wysokich i wyjątkowo położonych punktów; oryentować się nie sposób, bo domy wysokie i ciasno stojące wszystko zasłaniają.

Czy takie miasto może być pięknem? Konstantynopol ważny niesłychanie pod względem politycznym, strategicznym, handlowym, posiada niezmierne skarby archeologiczne, pierwszorzędne wspomnienia historyczne, ma pewną liczbę, może nawet dość znaczną, arcydzieł architektury, niknących w tłumie brzydoty, ale jako miasto uważam je za bardzo brzydkie i smutne, a dla dłuższego pobytu zwyczajnych śmiertelników wprost nieznośne. Taka opinia o nim wszystkich podróżnych, nie mających pretensyi do literatury i artyzmu; choćbym też miał być do profanów i nieuków zaliczony, piszę się w zupełności na ich zdanie.

Kiedy ktoś, kto mało widział, ktoś młody, entuzyasta, ciekawy, ktoś chcący zabłysnąć pięknością stylu, zaimponować fantastycznie malowanymi obrazami, przyjedzie do Konstantynopola, a zabawi w nim nie dłużej nad parę tygodni, będzie oczarowany i zachwycony; zostanie w jego pamięci tylko Aja-Sofia, Sulejmanie, pałace sułtańskie, lazur Bosforu — wszystko cudne, świeże, czarodziejskie. Zwyczajna fatamorgana młodości! Zdąży za nim człowiek doświadczony,

spokojny, bez złudzeń, — bo bez młodości, zobaczy co piękne i ciekawe, ale go to nie olśni. Wzrok badawczy bardzo prędko pod jaskrawymi pozorami dostrzeże, że »wstrętny pająk rozściela swe sieci w salach królewskich, a ze wspaniałych szczytów Eraszabu kruk śle swą pieśń złowróżbną«.

ROZDZIAŁ III.

Skutari. — Wyspy Książęce. — Kościoły.

Nasi podróżnicy lubią porównywać Perę i Galatę do obozu nieprzyjacielskiego, Stambuł do oblężonego miasta, w którem muzułmanizm jeszcze się broni, choć ciągle ustępuje, Skutari zaś ma być redutą mahometańską, silną dotąd i niezdobytą. Ma to być siedlisko tureckich patryotów i pobożnych prawowiernych, tam się oni czują u siebie, tam im żadna przepowiednia przyszłych giaurów zdobyczy, nie mąci spokojnego używania życia. Ile w tem jest prawdy, nie mogłem dociec, anim się o to starał; wiem, że Skutari (u Greków Chrysopolis, po turecku Uskudar) jest rzeczywiście miastem tureckiem, bo na 50.000 mieszkańców liczy zaledwie 5.000 Greków i Ormian, mieszczących się w górnych dzielnicach; zresztą sami tu muzułmanie (jest jeszcze maleńka garstka katolików). Niema też tam hoteli europejskich, nie można nigdzie posilić się ani przenocować, i Frankowie, czyniąc wycieczki do tego miasta, muszą mieć z sobą zapasy żywności, a na noc wracać do Konstantynopola.

Skutari posiada kilka ciekawych meczetów, ale zbyt mało miałem czasu, bym je mógł zwiedzić; chciałem natomiast poznać inne jego osobliwości, o których też po kolei mówić będę.

27 września wsiadłem z przewodnikiem na parostatek utrzymujący komunikacyę ze Skutari. Droga niedługa. Wyjechawszy z labiryntu statków, łodzi i kaików, mogliśmy doskonale widzieć to miasto,

Mapa okolic Konstantynopola.

rozłożone w amfiteatr na zachodniej pochyłości Bulgurlu, nad piękną zatoką. Niedaleko od azyatyckiego brzegu widzimy wzniesioną na skale niewielką a oryginalną »wieżę dziewicy« (Meharszegid) przez Franków niewłaściwie zwaną wieżą Leandra.

Podług tureckiej legendy, sułtan trzymał tu ukochaną córkę, której wróżka przepowiedziała śmierć od ukąszenia węża. Ponieważ nieszczęście wszędzie człowieka znajduje, więc do księżniczki dostał się wąż, przyniesiony w koszu kwiatów, i ukąsił ją, ale nadbiegł

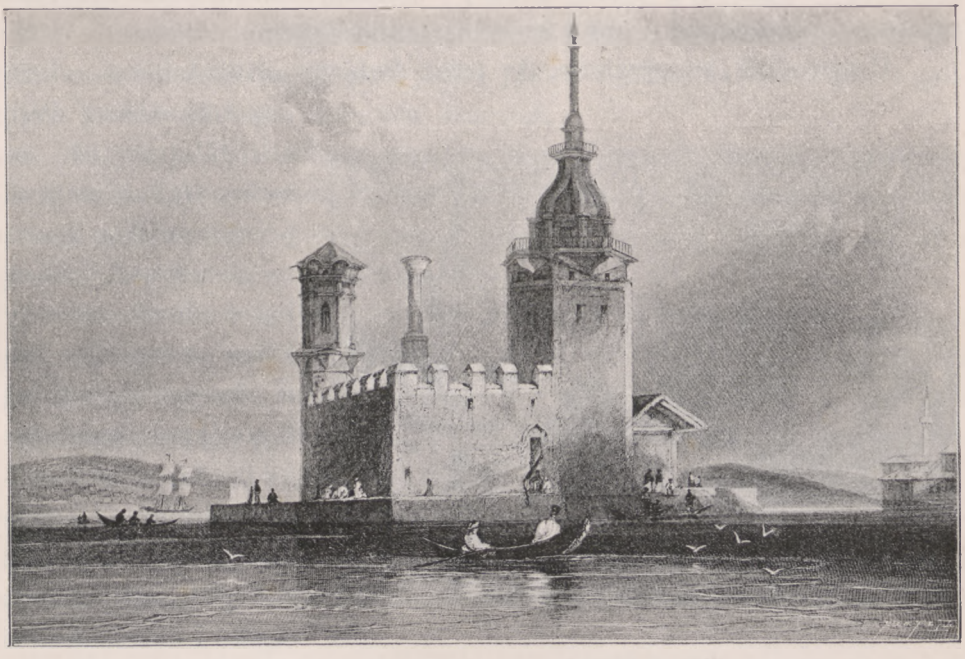

Wieża dziewicy.

rozkochany w niej książę perski, ranę wyssał — i wszystko skończyło się jak najlepiej. Dziś zamiast uroczej księżniczki (bo jużci musiała być uroczą) mieszkają tam ordynaryjni stróże latarni morskiej — gdyż na taki użytek służy dziś poetyczna wieża. Przy wylądowaniu oczywiście tłum, ścisk i harmider. Bierzemy dorożkę i każemy się wieść na szczyt Bulgurlu. Jedziemy czas jakiś przez miasto iście tureckie; ulice wązkie, źle brukowane, mnóstwo straganów z owocami i jarzynami, domy drewniane z wystawkami i muszarabi, tj. kratami drewnianemi w oknach. Wznosimy się coraz wyżej, zo-

stawiamy po prawej stronie »dzielnicę bez modlitwy«, zwaną tak dlatego, że niema w niej meczetu ani kościoła żadnego, i wjeżdżamy do części miasta ormiańskiej.

Czysto tu i spokojnie. W miarę tego, jak oddaliliśmy się od morza, ulice stawały się coraz bardziej pustemi — tu prawie nikogo już nie spotykamy. Czasami drobnym truchtem przejedzie effendi na najętym koniku, za którym właściciel jego »drałuje« piechotą, ocierając pot kroplisty z lica. Spotykamy karetkę, w niej damy tureckie o czarnych oczach, o twarzy bladej i smutnej; czasami towarzystwo ormiańskie dzwoni do domu szczelnie zamkniętego.

Przewodnik mi powiada, że teraz kobiety ormiańskie zarzuciły zupełnie dawny strój, odróżniający ich narodowość i ubierają się po europejsku. Niema czego żałować, bo strój był wcale nieosobliwy Ulica zamieniła się w drogę wysadzoną figami i platanami, długą bardzo, a brukowaną szkaradnie. Jedziemy powoli, bo to i pod górę, więc koniom ciężko i dorożkarzowi szkoda powozu, a nam naszych kości.

Ulica w Skutari.

Drzewa grubo pokryte pyłem, ziemia wszędzie szara i popielata. Mijamy różne kioski i domy zamożnych, którzy tu szukają chłodu i czystego powietrza; w końcu po godzinnej jeździe zatrzymujemy się na placu, wyglądającym wcale pokaźnie. Pozycya ładna, powietrze świeże, kilka schludnych domów, gospoda jedna i druga, obszerna altana pokryta zielenią i źródło z najlepszą na cały Konstantynopol wodą. Tyle zalet aż nadto wystarcza, by plac ten uczynić miejscem zebrań chrześcijan w niedzielę, mahometan w piątek.

Zostawiliśmy tam konie, a sami wstępowaliśmy już wyżej pie-

chotą. Droga zresztą bynajmniej trudną ani przykrą nie była. Coraz to zpoza drzew i gałęzi przezierają takie widoki, że chce się krzyknąć z podziwu i zachwytu; nie odwracam się jednak i idę dalej, bo choć nie groził mi los żony Lotowej, ale chciałem mieć odrazu widok najpiękniejszy. Pod samym szczytem pokazuje mi przewodnik piękne zabudowania i pałac Abdul-Azisowego syna, »który ma tu swój harem i wszystko co potrzeba«. Zdanie to powtórzył mi Spanos ze trzy razy, tak mu widocznie ten pałacyk zaimponował. Ale oto i szczyt, na którym widać jedyne drzewo — starą sosnę z dwiema czy trzema tylko gałęziami, a opodal namiot, mieszczący kawiarnię; dalej już trochę, na przeciwległej pochyłości jakieś nędzne zabudowanie z polnych kamieni i nieco młodych drzewek.

Gdyśmy byli blizko szczytu, z pod sosny wstała wypasiona łaciasta suka i podeszła do nas, łasząc się, kręcąc ogonem i robiąc tak przyjazne miny, jakby jaka gospodyni, witając miłych, a rzadkich gości. Zapraszała nas formalnie.

Wiadomo, że dobry przykład rodziców jest najlepszym środkiem dobrego wychowania dzieci, więc i tutaj za matką przypadł do nas jej paromiesięczny synek w susach i lansadach, jakby z nami od urodzenia swego przebywał. Takie to było stworzenie wesołe, rozbawione, z oczu patrzyło mu takie szczere zadowolenie z życia i istnienia, że z prawdziwą przyjemnością spoglądałem na tę małą bestyjkę. Dobrze to choć wśród zwierząt spotkać czasami szczęśliwą istotę. Stanąłem w końcu na wierzchu i oglądnąłem się... a!... co za widok!

U stóp moich zbiega aż do morza Skutari, z prawej strony Kuskundżuk, z lewej daleko Kadi-Kioi; mniejsza jednak o nazwy, oko widzi tylko mnóstwo domów, przerywanych czasami większymi budynkami, rozrzuconych po pagórkach, po dolinach, widzi drzewa, kawałki pól, ogrody, cały szereg gór mniejszych i większych. Wśród nich szeroką wstęgą wije się kapryśnie Bosfor i ginie ku wschodowi między zwartymi pagórkami gdzieś koło Bujuk-Dere.

Z Bosforu powstają kioski, wille — widzę dobrze Cziragan, Dolma-Bagcze długą białą taśmą oddziela się od szafirowej toni. Tysiączne domy wybiegają coraz wyżej, na przedmieściach przeplatane ogrodami, na Perze, Galacie, Stambule stanowią prawie zwartą

kamienną masę, z której wyrastają poważne baniaste meczety, a ostre minarety tryskają wysoko. Ku południowi spalona, szeroka dolina, zewsząd otoczona górami Anatolii, przecięta drogą, wijącą się po niej, jak nieco jaśniejsza, popielata wstęga, a wszystko otulone tą mgłą błękitnawą, która nic nie zakrywa, wszystkiemu zaś nadaje pozór niezrównanej czystości, lekkości i wdzięku.

Ku zachodowi szafirowy Bosfor rozszerza się w morze, które z początku błękitnawe, dalej pod promieniami słońca wydaje się za-

Widok ze szczytu Bulgurlu.

lane roztopionem srebrem, na którem, we mgle błękitnawo srebrnej, pływają Wyspy Książęce, niby jakaś tajemnicza, zaczarowana kraina. Niedaleko od góry latał duży ptak drapieżny, a jego ciemne ciało, rysując się na tle jasnem, służyło do tem lepszego odbicia tego cudnego widoku, na który się składały: słońce, powietrze i morze. Na skałach tu i owdzie rosły sosny i dzikie krzewy, wiatr z nich zbierał zapachy i niósł na górę, a jam je łowił i oddychał całą piersią, wynagradzając sobie nieznośne odory miejskie. Patrzyłem, patrzyłem

i myślałem sobie, że jednak warto morze przepłynąć, żeby taki widok zobaczyć. Jeśli gdzie i kiedy, to teraz i tutaj można było powiedzieć:

»W wieczór, zrana, zwierciadlana
Fala pije niebios smug,
Na wód dole, na skał czole,
Jedna piękność, jeden Bóg!«

A cóż to musi tu być na wiosnę, pokąd słońce nie wypali jeszcze trawy, ziół i kwiatów polnych!

Napatrzywszy się, obszedłem szczyt góry, która, choć najwyższa tutaj, wcale wysoką nie jest, bo tylko 240 metrów nad powierzchnią morza. Ktoś z podróżników-autorów nazwał ją lesistą, cały atoli las stanowi owa jedna pokaleczona sosna, o której już wspomniałem; i jest to bardzo szczęśliwem na ten raz, bo gdyby szczyt był zarośnięty, nie możnaby było z niego używać tak pięknego widoku.

Od strony Azyi jest na tej górze maleńki domek z kamieni ułożony, prawdziwe schronienie ascetów. Mieszkają w nim czasami derwisze; przy domku niewielki cmentarz, otoczony kamiennym wałem, pośrodku duża mogiła, w której ma jakiś turecki święty spoczywać; nad grobem jego, na drewnianym drągu umocowana latarnia. Jest jeszcze kilka innych mogił i trochę młodych drzewek. Nasyciwszy wzrok, trzeba było pomyśleć o mniej poetycznym, a bardziej koniecznym posiłku, więc też pod sosną spożyliśmy śniadanie, w które się Spanos roztropnie był zaopatrzył w hotelu. Kafedżi częstował nas kawą, a młody piesek wyprawiał najpocieszniejsze skoki — słowem, istna majówka — choć w końcu września.

Wspomniałem o kawie. Chociaż już nieraz przytoczyłem zdanie Damiani'ego, że *Turchi non sono gabasze*, muszę wszakże wyznać, że do niewielkiej liczby rzeczy, które dobrze robią, należy kawa. Umieją oni ją gotować w sposób wyborny, a zupełnie inny niż u nas i podają w malutkich filiżaneczkach. Ponieważ staram się zawsze być bezstronnym i co dobre, choćby nawet wśród Turków, znajdzie u mnie uznanie, więc pijałem zwykle dwie takie dozy, jedną za siebie, a drugą na intencyę dalekich przyjaciół, którzy tego nektaru może nigdy nie skosztują. Tak też i tutaj zrobiłem.

Rozglądałem się znowu czas jakiś, ale trzeba było wracać, bo jeszcze wiele mieliśmy do zrobienia. Powrót okazał się piękniejszym,

niż pobyt na szczycie. Widok stamtąd, choć arcypiękny, był zbyt rozległy; nie można go było objąć jednym rzutem oka, a nadto brakowało mu pierwszego planu. Był to jakby obraz malowany świetnie, ale bez ram. Tymczasem niżej drzewa stanowiły właśnie takie ramy i pierwszy plan, a przytem zbyt obszerny widok dzieliły na części, mogące się odrazu pomieścić w kącie ocznym. To też, kiedy z pomiędzy gałęzi i liści zielonych czasami już nawet żółtawych albo nawet czerwonawych ukazywało się szafirowe niebo, szafirowy Bosfor, srebrne morze Marmora, Stambuł cały we mgle błękitnej, domy i domki białe wśród zielonych ogrodów, przezroczystą modrą gazą zlekka przesłonięte, to było coś tak czarującego, że żadne słowo, tembardziej opis oddać tego nie zdoła. Istne rajskie widzenie. I znowu, jak w kościele św. Zofii, czułem, że mi się pierś i serce rozszerzały od pełni rozkoszy estetycznej. Stawałem co krok, patrzałem i oczu nie mogłem oderwać. Gdybym stąd tylko zobaczył Konstantynopol i zaraz odjechał, podzielałbym wszystkie zachwyty De Amicisa. Wieleż to rzeczy, jak to miasto, zdaleka wydają się rajskiem zjawiskiem a zblizka, jak ono, są tylko brudną i cuchnącą zbieraniną najpośledniejszych i najbardziej pospolitych przedmiotów.

Spanos nie dał mi dużo czasu tracić na kontemplacyę; kazał iść dalej. Znowu tedy przeszliśmy koło książęcego kiosku i znowu posłyszałem, że on tu ma *„son harem et tout ce qu'il faut"*. Znalazłszy się na placu, wsiedliśmy do powozu. Jechałem, a w duszy pełno mi było przestrzeni, szafiru, srebra, mgły przezroczystej, błękitnej, zapachu wrzosu, sosny i górskiego powietrza.

Mijamy Skutari i dążymy do osobliwości tutejszej, wielkiego muzułmańskiego cmentarza (bujuk-mezaristan). Za miastem spotykamy rzadkie domki i jedziemy wśród pól popielatych i spalonych; tylko gdzieniegdzie przy drodze sterczą nagie, smutne badyle. Nie mogę się dotąd przyzwyczaić do takiego braku zieloności i przez cały czas mej podróży nie przywykłem do niego.

Widać już przed nami ogromny, czarny las cyprysów, to właśnie ów cmentarz. Byłem go niezmiernie ciekawy. Wierząc opisom podróży po Wschodzie, wyobrażałem sobie muzułmańskie cmentarze jako miejsca pełne poezyi i melancholijnego wdzięku. Groby miały być pilnie uczęszczane i dobrze utrzymywane; wdowy i sieroty, pod-

lewając kwiaty, miały tam często łzy ronić i wzdychać do cienia najlepszego (ojca), małżonka, kochanka; pomiędzy alejami cyprysów spacerowały, tajemniczo zakwefione, postacie Turczynek; nad grobami dumali prawowierni, współsennemi źrenicami oglądając już chwałę wielkiego proroka.

To, com dotąd widział, zachwiało bardzo takie poetyczne wyobrażenie. Wielki cmentarz Pery w zupełnem zaniedbaniu i żywej duszy na nim nie spotkałem, oprócz zbłąkanej pary psów; na małym cmentarzu *(petits champs)* rozlokował się ogród municypalny i orkiestra niemiecka przygrywa teraz cieniom muzułmanów; inne znowu poprzedzielane ulicami, koleją konną, a cyprysy na nich stoją senne, smutne i usychają powoli.

Cmentarz skutaryjski wyobrażałem sobie inaczej, boć to wybrane pole spoczynku najgorliwszych, najbogatszych i najbardziej prawowiernych; tu się oni od wieków grzebali, chcąc po śmierci nawet być zdala od ziemi, która kiedyś mogłaby wpaść w ręce niewiernych. Jakoż widziałem przed sobą las ogromy, ciągnący się 3 do 4 wiorst, zawierający milion grobów i sto tysięcy starych cyprysów. Silny ich zapach owiał nas i wkrótce znalezliśmy się w tym lesie. Stoi on w szczerem polu, nieogrodzony, nieokopany. Koła powozu nurzają się w pyle, jedziemy lichą drożyną, skręcamy tu i owdzie, ale wszędzie ten sam widok niesłychanego opuszczenia. Wśród cyprysów grób przy grobie, kamień przy kamieniu, a wszystko zniszczone, stare, zapadłe, często ledwo widoczne. Pomniki poobalane jedne na drugie, jakby jakiś uragan niszczący przeszedł pomiędzy nimi. Oprócz cyprysów, żadnej zieloności, tylko szare kamienie i popielata spieczona ziemia.

Jeżeli kiedy płakano nad tymi grobami, jeżeli je odwiedzano i pielęgnowano, to te czasy dawno minęły. Muzułmanie nie troszczą się teraz o groby swoje ani o cmentarze, owszem, sami kradną pomniki grobowe na budowle, a drzewa cyprysowe po kryjomu ścinają na wyroby stolarskie. I myślałem, jadąc: gdzie są dziś ci wszyscy, którzy tutaj spoczęli przed wiekami? Co się dzieje z temi kobietami, co uwiędły w cieniach haremu, co całe życie spędziły wśród intryg, jako przedmiot przyjemności, jako służebnice swych mężów i panów? Gdzie są ci mężczyźni, co nieśli mord i pożogę do serca Europy i na

krańce Azyi, co tonęli w rozpuście, okrucieństwie i chciwości, a mieli siebie za wybranych i wiernych, bo się kiwali w piątki nad koranem, nie pili wina i skrupulatnie pilnowali ablucyi? »Gdzież się podzieli? — kto powiedzieć może?«.

A cichy wiatr wstał od morza i chodził między cyprysy, wzbudzając szum smutny i przeciągły. Był on w mych uszach jakby długiem westchnieniem niezgłębionego smutku tego miliona grobów, nad którym ani jeden krzyż się nie wznosi, jakby ciężką skargą miliona spoczywających w nich piersi, że prorok fałszywy zawiódł je na bezdroża, jakby dalekiem echem narzekania, gdzieś zpoza ziemi płynącego, tych wszystkich, którzy zmarli zdala od prawdy i miłości, a teraz — »gdzież się podzieli? — kto powiedzieć może?«.

Czułem, że smutek mnie coraz większy ogarniał. Skończył się wreszcie las cyprysowy, a przed nami znowu zabłysło niedalekie morze. Przez obszerny pusty plac, leżący obok ogromnych koszar z wieżami po rogach, dążyliśmy do wysokiego muru, z po za którego widniały drzewa. Zagłębiwszy się w posępne rozmyślania, niebardzo zważałem na to, dokąd jadę i nie oczekując niczego nadzwyczajnego, stanąłem przed bramą szczelnie zamkniętą. Przewodnik zastukał, wpuszczono nas, przestąpiłem próg — i oczy szeroko ze zdziwienia otwarłem, bo czarodziej nie mógłby bardziej zażącej zmiany dekoracyi sprowadzić. Z pomiędzy niedbalstwa, pyłu, opuszczenia i czarnych cyprysów, znalazłem się w ogrodzie, jak raj zielonym i pachnącym. Był to cmentarz żołnierzy angielskich, zmarłych tu w czasie wojny krymskiej. Ścieżki zarysowane regularnie, wysypane zwirem, utrzymane doskonale; trawa wprawdzie wypalona jak wszędzie, ale pyłu ani na lekarstwo, a jakich tam drzew, krzewów i kwiatów nie było! Drzewa przeważnie iglaste, albo raczej żywiczne, bo choć nie zawsze miały igły, wydawały zapach żywicy bardzo przyjemny i mocny. Zapamiętałem sosnę z bardzo długiemi, jasno zielonemi igłami; słała swe gałęzie aż po ziemi i wznosiła się jakby jakaś puszysta, drzewna piramida. Drugie drzewo bardzo ciekawe, niby kaktus, niby kandelabr, liści nie ma, tylko gałęzie wygięte, jak ramiona świecznika i całe pokryte zielonemi łuskami.

Wśród krzewów bielały marmurowe nagrobki oficerów i skromnie podnosiły się mogiły żołnierzy. Doszedłem do sztachet żelaznych

ciągnących się bardzo daleko wzdłuż urwistego brzegu morskiego. Naprzeciwko, we mgle błękitnej, leżał Stambuł, z którego tutaj żaden odgłos nie dochodził, a dokoła roztaczało się morze Marmora, wydające się teraz z dołu jakby roztopionym szafirem z odbłyskami złotymi, na samym zaś końcu szerokie pasmo złote odbitego słońca, oddzielało je od horyzontu. Cisza dokoła niezamącona niczem, tylko w oddali przeszedł parowiec, buchając kłębami dymu, tylko u stóp moich szumiało i gwarzyło morze, a lekkie fale biegły jedna za drugą i konały na piasku, zostawiając po sobie odrobinę leciutkiej, białej piany. Oparłem się o kraty i słuchałem morskiego gwarzenia; przypomniało mi ono, że przed wielu laty, na szerokiej piaszczystej równinie, okolonej dalekiemi, sinemi górami, blademu, cichemu dziecku, biegły jak te spokojne fale, jedne za drugimi dni spokojne i jasne, i jak wszystko co jasne, ubiegły zbyt prędko, zostawiając po sobie nieginące nigdy wspomnienie...

Głos Spanosa, wzywającego mnie gdzieindziej, przerwał rozmyślania moje. Opatrywałem z nim razem pomnik wzniesiony pośrodku cmentarza. Na ogromnej podstawie *alla rustica*, stoi węższy nieco cokół, a na rogach czterej olbrzymi aniołowie, oparci oń plecami, trzymają w ręku wieńce żałobne. Na tym dopiero cokole wznosi się ogromny obelisk. Wszystko z granitu angielskiego, albo raczej szkockiego. Z czterech stron w czterech językach napis głosił, że pomnik ten królowa Wiktorya łącznie z narodem wzniosła ku uczczeniu pamięci oficerów i żołnierzy zmarłych w Konstantynopolu w 1854 do 1856 roku.

Wszystko to bardzo piękne, szkoda tylko, że krzyża niema na szczycie obelisku — zresztą może temu stoją miejscowe muzułmańskie prawa na przeszkodzie; daleko więcej mnie raziło, że brakowało go na wielu grobach. Po drugiej stronie ogrodu-cmentarza chowają teraz członków tutejszej angielskiej kolonii. Bądź co bądź, ten cmentarz chrześcijański, i widziany tylko co mahometański, były dla mnie jakby uosobieniem różnicy między krzyżem i półksiężycem, unaocznieniem w małej i podrzędnej rzeczy wielkiej prawdy Chrystusowej: »z owoców ich, poznacie je«.

Nadeszła w końcu godzina odwiedzin innej znowu osobliwości Skutari — *tekke* derwiszów wyjących, którzy co czwartku odprawiają

swoje szczególniejsze nabożeństwo. Wjechaliśmy znowu między cyprysy i grobowce tureckie, ale już inną drogą, widocznie główną, bo więcej uczęszczaną. Spotykamy przechodniów, kobiety, spoczywające na podmurowaniach wedle drogi i przejeżdżamy obok fabryki nagrobków, którym się mogłem teraz lepiej przypatrzeć. Stanowi je płyta leżąca poziomo, a w niej pośrodku wyżłobiony mały dołek, nie wiem do czego służący, po obudwóch końcach płyty dwa kamienie ustawione pionowo, na których siadają dwaj aniołowie (imion ich nie pamiętam), odprawiający sąd nad duszą zmarłego. Kamienie te bywają zakończone fezem, dawniejsze zaś turbanem, miewają także formę przewróconej maczugi i są pokryte napisami. Na grobach kobiet pionowe takie kamienie są płaskie, zakończone rzeźbionym kwiatem.

Na końcu mezaristanu kawiarnia, a przed nią ci wszyscy, którzyby przed laty rozmyślali na grobach. Teraz siedzą bardzo licznie na stołeczkach, palą fajki, a czy o wieczności medytują, oczywiście wiedzieć nie mogłem. Pierwej jeszcze pokazał mi Spanos między grobowcami rodzaj rotundy wspartej na kolumnach. Jest to mauzoleum konia Mahmuda II. Spotkał go zaszczyt złożenia swych kości na świętej ziemi wśród prawowiernych dlatego, że pochodził jakoby od klaczy Mahometowej El-Barak, na której to prorok, jak wiadomo, odbywał swe podróże do nieba, ilekroć obecność jego była tam potrzebną.

Powóz nasz zatrzymał się przed ogródkiem, w którym stało *tekke* derwiszów. Już w sieni posłyszałem, że za skórzaną zasłoną modlono się gorąco i głośno.

Uiściwszy się z bakczyszu, wszedłem za zasłonę i ujrzałem następujące widowisko: Niewielka sala — z trzech stron przytyka do niej niższa nieco galerya, otwarta do środka, na zewnątrz mająca okna. Nad słupami oddzielającymi galeryę wznosi się jeszcze ściana na jaki metr i ubrana jest niby fryzem, bębnami wiszącymi jeden przy drugim. Między słupami baryera, wewnątrz, wzdłuż niej, posłane kożuchy baranie, pośrodku zaś leżą dwa inne. W czwartej ścianie mihrab malowany na zielono. Koło niego dwa lichtarze ze świecami. Cała ściana popstrzona napisami, mihrab obwieszony czemś błyszczącem, co mi przypominało stare pałasze i pistolety. Na górze nad

nim na zielonej desce napis. I pod tą ścianą także kożuchy. Między świecznikami we framudze siedzi, zwinąwszy pod siebie nogi, szejch z siwą brodą, wyschły i zawiędły staruszek w czarnej sukni z szerokimi rękawami, mając z każdej strony po dwóch asystentów. Ręce skrzyżował na piersiach i kłania się zlekka. Jest to zresztą z jego strony najprostszy obowiązek grzeczności, bo naprzeciwko siedzi na kożuchach jedenastu pobożnych, którzy czytają coś głośno i kiwają się ku niemu szybko a mocno, jak konie opędzające się owadom w czasie lipcowych upałów.

Ta pobożna praktyka trwała już więcej niż godzinę. Od pierwszego zaraz wejrzenia nie podobało mi się niezmiernie takie urządzenie miejsca modlitwy z galeryą dla widzów i to »niewiernych«; podejrzliwie więc patrzę, co będzie dalej, choć wiem, że nic dobrego nie będzie. Trwa to nudne kiwanie się jeszcze z pół godziny, bez żadnych ważniejszych objawów, tylko galerya widzów zapełnia się przeważnie kobietami. Czytający umilkli, a derwisz wśród nich siedzący zaczął zawodzić wysokim, nosowym i trylującym głosem, spadając czasami o sekstę. Potem szejch wstał i grobową intonacyą coś czytał, a oni mu odpowiadali: *amin, amin.* Stanął pośrodku pokoju, zrzucił zwierzchnią suknię i ukazał się w podartym chałacie, i znowu odmawiał modlitwy.

Do stojących pobożnych od czasu do czasu przychodził ktoś z zewnątrz i stawał w szeregu. Gdy szejch przestał się modlić, na kożuchach środkowych usiadło ze sześciu obszarpańców i nuż zawodzić niezgodnymi głosami, a stojący poczęli powoli schylać się i prostować, mrucząc najniższym możliwie głosem jakąś formułę, z której zdołałem tylko pochwycić »Ałłach il Ałłach«, przyczem odrzucali się w tył, wyginając jednocześnie brzuch i prawy bok naprzód.

No, teraz się na dobre zaczęło, pomyślałem. Było w tem coś dzikiego i nieczłowieczego. Szejch krzyczy, aż do ziemi przysiada, chór jego wrzeszczy, jedni do sasa drudzy do lasa, wszyscy wymachując rękami, a tamci mruczą, niby złe psy, niby dzikie zwierzęta w klatkach; czasami któryś strasznym, gardłowym głosem wrzaśnie »Ałłach« — i znowu wraca do pomruku. Śpiew chóru staje się coraz szybszy, tamci też coraz prędzej się kłaniają. Pot leje się im po twarzach, więc zrzucają turbany i chałaty. W tym czasie wbiegło

i stanęło koło balustrady kilka ślicznych tureckich dziewczynek, może pięcio lub sześcioletnich; patrzyły na to osobliwe nabożeństwo, śmiały się do siebie i coś tam gadały; a tu ruchy pobożnych stają się wprost konwulsyjnymi. Był między nimi olbrzymi murzyn, który z prawdziwą wściekłością oddawał się tej praktyce, miotał się jak w konwulsyach, albo raczej jak prawdziwy opętaniec. Łamią w końcu wszelki porządek i stają się podobni do kilkunastu chorych, rzucających się w epilepsyi. Murzyn za każdym pokłonem wykręca się wściekle na prawo i na lewo, błyskając ślepiami, okazując twarz rozbestwioną, wyszczerzając białe zęby i rozwarte obrzydliwe wargi. Proszę dodać do tego coraz dzikszy wrzask chóru, coraz groźniejszy i chrapliwszy ryk owych niby modlących się, a łatwo będzie zrozumieć, że wstręt i obrzydzenie niewymowne mnie przejmowało.

Powiadam do siedzącego obok mnie Francuza: *On se croirait dans une maison de fous.*

— *Mais parfaitement*, odpowiada mi, a z twarzy jego widzę, że doznaje uczuć do moich podobnych. Posiedziałem jeszcze kilka minut, ale niesmak doszedł do najwyższego stopnia. Czegóż mam czekać, pomyślałem, wiem, że za jaki kwandrans, wrzeszcząc »Allahu« popadają na ziemię z pianą na ustach i nieprzytomni, a przecie kto dobrowolnie na rzecz wstrętną i głupią patrzy, staje się niejako uczestnikiem głupstwa — więc do drzwi i za zasłonę. W sieni tymczasem mój przewodnik najspokojniej rozmawia z trzema Turkami, którzy w przedsionku domu modlitwy palą fajki i piją kawę. Jeden z nich szpetną francuzczyzną powiada mi; »Czego pan wychodzi? Teraz będzie rzecz najciekawsza, oni popadają na ziemię, a szejch będzie potem deptał po dzieciach (owych kilku dziewczątkach). Jabym miał patrzeć na takie obrzydliwości? Niech lepiej waszego szejka i jego derwiszów kaczki...

Wyszedłem oburzony, zacisnąwszy zęby. Przeszedłem piechotą aż do morza, a Spanos nie mógł się doczekać odemnie ani jednego słowa o wrażeniach moich z tego domu opętanych, czy obłąkanych, oprócz zapowiedzi, że jutro nie pójdę już do derwiszów kręcących się, jak było postanowiono. Do razu sztuka.

Wsiadłem do kaiku i dopiero w czasie przeprawy uspokoiłem się nieco. Wspominałem już nieraz o kaiku; wyraz ten powszechnie

znany, gdyby jednak go kto nie rozumiał, to mu powiem, że oznacza on łódź, tak samo będącą specyalnością Konstantynopola, jak gondola — Wenecyi. Jestto tedy łódź (raczej może czółno), bardzo długa, a wązka tak, że tylko dwie osoby mogą siedzieć obok siebie. Przecięcie jej szerokości dałoby figurę bardzo do trójkąta zbliżoną; przód jest wydłużony i ostry. Wskutek takiej budowy, kaik porusza się niezmiernie lekko i zwinnie, zdaje się ślizgać po wodzie, ale też i wywraca się bardzo łatwo. Trzeba siadać na samym spodzie i siedzieć bardzo spokojnie; w razie niepogody przejażdżka w kaiku po morzu jest zupełnie niemożliwą.

De Amicis ile razy wspomni o kaikach, prawie zawsze dodaje »złociste» albo »pozłacane« tak, że człowiek nie-poeta, a umiejący trochę rachować, mimowoli zapytuje siebie: a skądże tam tyle tego złota? Wszak pozłocenie tylu setek a nawet tysięcy czółen, musi grubo kosztować. Zagadka rozwiązuje się łatwo, jeżeli uwzględnimy pewne retoryczne figury, pozwalające powiększać i upiększać bez ścisłego określenia granic. Kaików złoconych nie widziałem ani na lekarstwo, bo podobno tylko sułtan jegomość i wyżsi dygnitarze, gdy płyną z ceremonią wielką, używają tak błyszczących statków; wszystkie zaś kaiki są, poprostu malowane na jasno żółty kolor zwyczajną ochrą, może z domieszką kanarkowej farby. To żółte i złoto żółte, więc snują się setki złocistych kaików«, a czytelnik dobroduszny myśli sobie: »Ooo! widocznie interesa Turcyi wcale dobrze stoją«.

Ponieważ pogoda była śliczna, a falowanie bardze łagodne, więc mogłem śmiało płynąć; morze kołysało mnie lekko, tylko kiedy parostatek przeszedł niedaleko, wzburzona przez niego fala podrzucała moim kaikiem jak łupiną orzecha, on jej podstawiał swój dziób i mknął dalej jak strzała. W czasie takiego huśtania zrozumiałem, dla czego dzieci, gdy je silne ręce podnoszą ku górze i spuszczają ku ziemi, cieszą się, śmieją i klaszcząc w łapki, wołają: »Jeszcze, jeszcze!« Rzeczywiście wrażenie bardzo przyjemne. Płynąłem ze trzy kwadranse, ciesząc się pogodą, morzem i niebem, patrząc na miasto, to znowu śledząc delfiny, gdy który wyskoczył niedaleko, albo pilnując przewoźnika, by się zbyt nie zbliżał do parowców, ciągle się snujących. Wróciłem do hotelu, i chodząc po małym, pustym wówczas korytarzu, odmawiałem kanoniczne pacierze. Dotąd pamiętam, jak

słodką była mi wtenczas modlitwa samotna i cicha, jak pięknymi wydawały się, zawsze piękne psalmy. I oto natrafiłem na ustęp, który mnie przeniósł do naszej ubogiej, ciasnej katedry, w jasny i ciepły, jak dzisiejszy dzień letni. Przy wielkim ołtarzu stoi kapłan z kadzielnicą w ręku i prosi, by modlitwa jego wstępowała przed oblicze Boże, jako dym kadzenia, by Pan położył straż ustom jego, by serce jego nie skłoniło się ku słowom złośliwości, ku wyszukiwaniu tłumaczenia dla grzechu. Po obu stronach presbyteryum stoją białe szeregi modlącego się w cichości duchowieństwa, dalej kościół pełen pobożnego ludu, szepcącego pacierze, a z chóru z muzyką organów płyną słowa psalmu: *Conserva me Domine, quoniam speravi in Te* [1]). Organy brzmią coraz słabiej, a przyciszone głosy, splotłszy się w cudny akord, nucą dalej: *dixi Domino, Deus meus es Tu,* i stanęły nieruchomie na chwilę, jak czasem gromada śnieżnych ptaków zawisa w błękitach, trzepocąc zlekka skrzydłami; wnet jednak podniesione silnem uczuciem, dążą chromatycznym pochodem ku górze z coraz większą potęgą i siłą. I znowu zawisły nad basami, które w dole zostały, niby owe jasne, lekkie obłoki w upalny dzień, wznoszące się nad ciężkiemi ciemnemi chmurami. I bywa, że wiatr ciepły porwie się od ziemi, wionie na te obłoki i razem z wilgocią stawów, zapachem lasów, wonią zboża i kwiatów, poniesie je gdzieś daleko i wysoko — tak samo między głosy ludzkie wśliznęły się pocichu organy, i poniosły je na skrzydłach harmonii daleko za sklepienia kościelne, za obłoki niebieskie, zabierając z sobą modlitwę i serca słuchaczy, powtarzających, jak oni: »Rzekłem Panu, Bogiem moim Tyś jest«. A przez okna kościelne spadały snopy światła, po nich wspinał się dym błękitnawy kadzidła i rozszerzał się w górze, niby skrzydła białego anioła, zbierającego myśli podniesionych ku Niebu serc ludzkich i składającego je u tronu Najwyższego, jako wonność kadzenia, albowiem »kadzidłem są modlitwy świętych« [2]) jak mówi Apokalipsa.

Mając przed oczyma duszy te dwa tak różne obrazy, znowu po raz nie wiem który, mogłem widzieć przepaść między dziełami z Boga

[1]) Ps. XV 1, 2. Zachowaj mnie Panie, bom nadzieję miał w Tobie. Rzekłem Panu, Tyś jest Bogiem moim, albowiem dóbr moich nie potrzebujesz.

[2]) Rozdział VIII, w. 4.

płynącemi, a dziełami człowieka. To też z serdeczną wdzięcznością powtórzyłem: »rzekłem Panu, Bogiem moim Tyś jest« — *Dixi Domino, Deus meus es Tu, quoniam bonorum meorum non eges.*

Bardzo naturalną jest rzeczą, że takie ekscentryczne widowisko musi w umyśle każdego patrzącego budzić pytanie, co ono ma oznaczać, skąd się bierze, jak je trzeba rozumieć. Różni to różnie tłumaczą; mnie nabożeństwo derwiszów wyjących, równie jak i wirujących nie wydaje się bynajmniej rzeczą niezrozumiałą — owszem widzę w niem objaw pewnej właściwości ducha ludzkiego bardzo dobrej i podniosłej, tylko fatalnie w tym razie skrzywionej. Czy to derwisze muzułmańscy, czy pustelnicy i zakonnicy buddyjscy, fakirowie bramińskich Indyi, czy chassydzi żydowscy, czy wreszcie asceci chrześcijańscy, wszyscy oni idą za popędem natur wyższych i szlachetniejszych, nie mogących poprzestawać na zadowoleniu chuci ciała i zwykłem wegetowaniu. Ludzie ci czują, że nie ciało, ale duch panować powinien, że pożądliwość ciała zetrzeć i zniszczyć potrzeba, i dążą do tego, tylko nie wszyscy drogą właściwą. Asceci chrześcijańscy, prowadzeni łaską Bożą, kierowani duchem Bożym, w kościele Chrystusowym mieszkającym, zabijają w sobie »starego człowieka« t. j. złe skłonności i pożądliwości ducha, a jeżeli przy tem dostaje się i ciału, to zawsze w tym celu, żeby wzmocnić ducha — zawsze dla własnego lub bliźnich dobra i postępu. Wszyscy inni pracują krwawo, znęcają się nad ciałem, gorzej niż pokutnicy chrześcijańscy, ale zupełnie napróżno, bo nie idą po drodze wiodącej do celu: zapominają o duchu.

Fakir, wiszący całe życie na gałęzi, albo siedzący nieruchomie do śmierci na jednem miejcu, niszczy i dręczy ciało swoje, dręczą je także i derwisze, ale jakaż z tego korzyść? Nie mówię już o korzyści nadprzyrodzonej, ale nawet przyrodzonej niema żadnej. Bliźni z tego kiwania się i ryku najmniejszej nie odniosą korzyści, a i sam derwisz, choć może cały miesiąc nie będzie się mógł ruszyć po takiej gimnastyce, jeżeli był chciwym, próżniakiem, niepowściągliwym, gniewliwym, pozostanie nim i potem, bo największe zmęczenie ciała samo przez się ducha nie przerobi.

Bądź co bądź, nabożeństwo derwiszów, oburzające, jak każda parodya rzeczy świętej, wstrętne, jak każde głupstwo, jest objawem,

który mocno świadczy przeciwko zwolennikom prądów materyalistycznych. Chrystus Pan powiada, że mieszkańcy miast pogańskich na Sądzie ostatecznym wołać będą przeciwko Żydom, którzy nie przyjęli Prawdy, gdy do nich przyszła, tak też i ci biedni obłąkani, siedzący w ciemnościach, zawstydzą bardzo wielu zrodzonych w światłości, na którą oczy zamknęli dobrowolnie.

Na trzeci dzień po opisanej wyżej wycieczce odbyłem drugą, którą nazywam wyprawą w lazury, bo cały dzień wśród nich mi przeszedł. Była to przejażdżka do Wysp Książęcych. Wyjechaliśmy wcześnie, bo między 8-mą a 9-tą. Statek dość długo kręcił się, trąbił i świstał, nim się wydobył z labiryntu innych statków, nie potrąciwszy szczęśliwie o żaden; potem już ruszył prosto do pierwszej stacyi Kadi-kioi, miasteczka leżącego na brzegu azyatyckim, za cmentarzem angielskim, o którym mówiłem, a naprzeciwko Konstantynopola.

Za czasów greckich w tem miejscu było miasto Chalcedon, głośne czwartym soborem powszechnym, który się odbył 451 r., w kościele św. Eufemii. Turcy go potem zburzyli, a kolumn i kamieni użyli do budowy meczetu Sulejmana. Dziś, nawet położenie tego kościoła nie da się z pewnością oznaczyć. Przed półwiekiem Kadi-Kioi było niewielką wioską, teraz jest sporem miasteczkiem, które na mnie z tego względu zrobiło przyjemne bardzo wrażenie, (z daleka), że tonie w ogrodach i zieloności. Jest też ulubionem letniem mieszkaniem bogatszych urzędników i kupców, którzy po dziennej pracy w Stambule, śpieszą tu na odpoczynek w kole rodzinnem. Widziałem z pokładu kościół katolicki, dość spory, z dwiema wieżami. Kilka osób wsiadło na statek, i ruszyliśmy dalej. Na mieliźnie przy brzegu kołysało się z falą kilka czajek, dalej latała biała mewa a morze mieniło się rozmaitymi kolorami i odcieniami kolorów, bo niebo było chmurne, i słońce to kryło się zupełnie, to znowu pokazywało swe oblicze, albo je przesłaniało lekką gazą obłoków, sprawiając ciągłą zmianę światła i barw.

Siedziałem na wyższym pokładzie, i cieszyłem się tą grą prześliczną, patrzałem, jak szafir cieniował się fioletem, jak fiolet przechodził w ciemny kolor chmur, jak z błyskiem słońca morze odcinało się złotą wstęgą od ubielonego obłokami horyzontu. Maszyna okrętowa klekotała monotonnie, drobne fale z lekkim, ale ciągłym szumem,

rozbijały się o kadłub statku, zostawiającego za sobą długą jasną drogę. Było mi bardzo dobrze i wpadałem w ten stan na pół bezwiednego, ale miłego oczarowania, jakiego muszą Turcy doznawać, gdy z fajką w zębach cały dzień patrzą na wodę, mrugając oczami. Gdzie to jednak na ziemi znaleść można stan zupełnej błogości? Nie było go i na statku naszym, bo wkrótce zjawiło się utrapienie, które kroplę żółci do mego szafirowego kielicha wpuściło. Był niem kafedżi t. j. posługacz kawiarni okrętowej. Stary, zawiędły, z długim nosem Grek, łaził po całym okręcie, trzymając nanizany na zatłuszczonym rękawie stos obwarzanków, wielkich jak obręcze; kilka z nich przełamanych na dwoje, trzymał w brudnej łapie, a w brudniejszym od niej jeszcze papierku, jakieś specyały, których, że kosztować nie myślałem, więc i rozpoznać nie starałem się. Łaził tedy i jęcząc jak czajka, wrzeszczał: »kafediiiiz, kafediiiiz, kafediiiiz, kafe, limonada!... no?« Było nas na wyższym pokładzie 10-ciu tylko, ale w ciągu godziny jazdy, ze dwanaście razy był on pomiędzy nami. Przyjdzie, stanie i jęczy: »kafediiz, kafediiz«, choć nikt nic nie bierze.

Nie dość tego; ledwo zejdzie z oczu — i zaraz znów na dolnym pokładzie, z pod płótna, którem był nakryty, wydobywa się jęczące i przeciągłe: »kafediiiz, kafediiiz, kafe, limonada... no?«

Powracaliśmy z wycieczki około 4-tej popołudniu. Dosyć już było dla mnie lazurów i błękitów, zwłaszcza, że powiał wiatr chłodny, a przytem gdy się wstało o 6-tej, łaziło po skałach i schodach, a po obiedzie nie zdrzemnęło ani trochę, więc i na najpiękniejszej modrej fali, ciało ułomne może za Morfeuszem zatęsknić. Jakoż i moje zatęskniło, zeszedłem pod pokład do sali, gdzie kilku mężczyzn już spało. Naśladując tak piękny przykład, ległem na ławie, alić ledwo skórzany materac czy poduszkę położyłem pod głowę, słyszę nad sobą na pokładzie: »kafediiz, cognac, limonada!« Błogie ciepło rozeszło się wkrótce po strudzonych członkach Morfeusz skleił mi oczy, aż tu nad moją głową: »kafediiz, cognac, limonada... no?« — patrzę, stoi między nami śpiącymi z obwarzankami w ręku i jęczy. To ci dopiero zmora obmierzła! Czy gdzie na Zachodzie można spotkać podobnie dokuczliwe i bezkarne natręctwo?

Archipelag Książęcy składa się z 9 wysp, z których pięć zupełnie teraz nie zamieszkałych, i chociaż na Oxyi i Anterobinthos

są ruiny klasztoru, a na Platii dawnego byzantyńskiego więzienia, nikt ich jednak prawie nie zwiedza, bo cały interes zwrócony ku czterem, głównym wyspom, leżącym prawie na prostej linii jedna za drugą; są to Prote, Antigona, Chalke i Prinkipo. Zwą je Książęcemi bo były dawniej, zwłaszcza ostatnia, miejscem rozrywki, nieraz także więzienia, cesarzy, książąt i patryarchów konstantynopolitańskich. Właśnie kiedym się do nich zbliżył, przychodziły mi na myśl te smutne, zdetronizowane postacie z wydartemi oczami, pędzące tu długie nieraz lata, w więzieniu lub w klasztorze. Ks. Hołowiński wylicza ich spory poczet.

Wyspy nazywano także dla pięknego położenia i klimatu *demonesi* t. j. szczęśliwemi. Nie dla wszystkich jednak one takimi były; i na nich cierpiano wiele, płakano gorzko. Czy jest jednak na ziemi kąt jaki, wolny od łez i cierpienia? Gdyby się człowiek chciał smucić wszędzie, gdzie ludzie płakali, toby go melancholia zjadła bardzo prędko. Tą uwagą oddaliłem od siebie smutne cienie cesarzowych: Ireny i Zoe; cesarzów: Romana, Bardanesa, Rangaba, Dyogenesa pobożnego patryarchy Michała Oxyty, św. Metodyusza i wielu innych i zająłem się pilnem oglądaniem wysp.

Oto przed nami Prote (t. j. pierwsza) dość duża kamienista góra; ziemia na niej jak i na wszystkich zresztą, czerwona, z powodu znajdującej się w niej miedzi. Dużo głazów, trochę krzaków, domów ze 30, Antigona ma już więcej zadrzewienia. Chalke (t. j. miedź) składają dwie duże wyniosłości, połączone szeroką wklęsłą przełęczą, i kilka mniejszych pagórków. Od strony Antigony, w bardzo ładnej pozycyi, właśnie na owej przełęczy wśród lasów, jest szkoła handlowa; dawniej był to klasztor. Od strony Prin-

Wyspy Chalke widziane z Prinkipo.

kipo nad morzem, rozłożyło się wesołe i schludne miasteczko z cerkwią niedaleko przystani. Nad brzegiem rządowa szkoła marynarska, podobno w nieszczególnym stanie. Na wzgórzu, seminaryum patryarchy greckiego; słyszałem że ostatnie trzęsienie ziemi bardzo je było uszkodziło. Okręt zawijał do każdej z tych wysp, ale nie wysiadałem, bo dążyłem do Prinkipo, największej i najpiękniejszej. Skorośmy na nią wylądowali, wziąłem powóz i pojechaliśmy stroną wschodnią.

Droga szła wzdłuż morza, wznosząc się powoli. Ziemia wszędzie czerwona i widocznie nieosobliwa, bo drzewa nad drogą szły tępo; za to winograd czarny, którym cała pochyłość ku morza pokryta, udaje się tu bardzo dobrze. Spotykamy rzadkie domy, trochę ogrodów, a w nich figi, oliwki, cyprysy, ale widok na morze był tak piękny, że poszedłem piechotą, żeby się nim cieszyć dłużej i dowoli mu się napatrzyć. Wjechaliśmy w lasek sosnowy. Sosny są tu znacznie mniejsze od naszych, rozłożyste i rozgałęzione, igły mają bardzo długie, cienkie, jasno zielone; okrywają gałęzie jakby kitami. Drzewa wyglądają niby pióropusze zielone.

Nietyle mnie jednak zajęły same sosny, ile zapach cudny, jaki wydawały; dużo pachnących rzeczy w mem życiu wąchałem, ale pierwszy raz z takim się spotkałem zapachem. Był to jakby jakiś balsam nadzwyczaj subtelny, przepełniający powietrze, a tak miły i delikatny, że trzeba go czuć i oddychać nim, żeby mieć o tem pojęcie; był to jakby wiatr z zaczarowanego kraju błogości i szczęścia.

Dla dopełnienia wrażeń przyjemnych, z pomiędzy drzew coraz błyskało morze i pokazywały się góry brzegu azyatyckiego. Dojechawszy do miejsca, gdzie stały ze dwa domki i tyleż kawiarni, i gdzie młoda para francuska z wesołym uśmiechem używała huśtawki, poszliśmy dalej piechotą, i po 10 – 15 minutach drogi doszliśmy do szczytu, zajętego przez grecki klasztorek św. Jerzego. Wznosi się on na południowym cyplu góry, w nieporównanie pięknem miejscu; zdawałoby się, że znajdę tutaj i dzieło ludzkie równie piękne — było jednak zupełnie inaczej. Klasztorek maleńki, widocznie ubogi, bez żadnego planu budowany, czepiający się pochyłości skalnych, a w dodatku bardzo uszkodzony przez ostatnie trzęsienie ziemi. Obaliło ono jedną ścianę cerkiewki, którą też mogłem wygodnie obejrzeć. Miałem nowy dowód obojętności Greków w rzeczach religii;

cerkiewka nędzna, jakby jaka cela więzienna, nie bielona od lat chyba pięćdziesięciu, uposażona w najlichsze sprzęty! Obok jest kaplica św. Jerzego, ta ocalała, i znacznie lepiej była utrzymaną. Pokazują w niej obraz tego świętego, bardzo czczony przez Greków. Spanos przed nim żegnał się pobożnie, całował go, i rzucił na tacę 20 czy 30 para, które potem do mego rachunku doliczył. Widziałem tam parę obrazów jeszcze z dawnego Konstantynopola — okropne.

Klasztor nie zajmował mnie zbytecznie, bo też nic nie miał ciekawego, ale spieszno mi było do najwyższego miejsca na niedalekiej skale. Kroczyłem więc wązką ścieżyną wśród krzaków i kamieni, a za mną biegła młoda kasztanowata kózka, strzygąc uszami i becząc tak żałośnie, jakby się skarżyła na ciężką krzywdę wyrządzoną sierocie. Niestety mój wielojęzyczny przewodnik pozostał pod altaną na gawędę i butelkę wina, czy piwa, ze znajomym mnichem, więc nie było komu wytłómaczyć mi, o co szło biednemu stworzeniu.

Przeskakując z głazu na głaz, wdrapałem się na najwyższy. Ale jak opisać, co zobaczyłem? — Poprostu znalazłem się wśród błękitów i lazurów w najrozmaitszych odcieniach. Z dwóch stron, jak daleko oko sięgało, widać było jakby ramy ze stałego lądu. Na północ majaczał ledwo widzialny Konstantynopol, a za nim Skutari; na wschód szerokim pierścieniem zachodziły góry Azyatyckie, ale i one i Carogród otoczone były mgłą srebrną, bo dzień był ciepły, ale obłoczny, jak to u nas czasami w gorące lato. Ze strony zachodniej, morze szło w dal bez granic, ale tutaj właśnie było ono tak cudownie lazurowe, że nie wiem, do czego kolor jego przyrównać. Nawet nie do lapis lazuli; bardziej był ciepły, lekki, przeźroczysty Bliżej do koła także rozlał się lazur, tylko w surowszym i chłodniejszym tonie. Niebo nademną kłębiło się fantastycznie obłokami, nim się zupełnie wypogodziło, a naokoło owiewał mnie zapach mirtu, wszędzie tu dziko rosnącego wśród skał.

Naprzeciwko, za jarem, bielał maleńki klasztor, czy cerkiew św. Mikołaja; obok wznosiły się inne wyspy, i one same tylko miały pozór rzeczywistości, bo wszystko co dalej, i co w górze wydawało się widzeniem ze złota, mgły i błękitów. Utonąłem w błogiej kontemptacyi i marzyłem sobie: gdyby na tym cyplu stał piękny kościółek, i koło niego schludny klasztor z porządną biblioteką, a w klasztorze

kilkunastu braci jednego ducha, jakby tu dobrze było mieszkać, modlić się i pracować! Ale marzenie prędko pierzchło. Cudowne zapewne morze szafirowe, ale to nie nasze równiny, i nie nasze pola, falujące zbożem, nie nasze łąki pięknie zielone, tak pstre od kwiatów; niema tutaj jędrnego zapachu naszych sosen wysokich, ani rzek wijących się po dolinie, ani swoich ludzi, więc kiedy tu już osiedli Grecy, to niechże sobie siedzą i niech każdy przy swojem zostanie.

Wracaliśmy drugą stroną wyspy. Przeszedłszy piechotą czas jakiś po wązkiej ścieżynie wśród głazów i dzikich krzewów, znaleźliśmy nasz powóz, czekający tu wskutek poprzedniego zlecenia. Ks. Hołowiński powiada, że na Prinkipo zesłaną była cesarzowa Irena, zrzucona z tronu przez kanclerza swego Nikefora, właśnie w chwili, gdy marzyła o połączeniu Wschodu i Zachodu przez małżeństwo swoje z Karolem W. Stąd przeniesiono ją na Lesbos, gdzie wkrótce umarła; ciało jej powróciło tu do klasztoru przez nią zbudowanego, gdzie dotąd spoczywa i gdzie ten grób sam jeden pozostał, między wszystkimi grobami cesarzów Byzantu. Czy nie został w błąd wprowadzony nasz znakomity pielgrzym? Zwłoki Ireny złożono w klasztorze Kammarai, z tej strony wyspy, ale tego klasztoru już nawet ruin niewiele pozostało. Czyżby przez lat pięćdziesiąt taka mogła zajść zmiana?

Przebywam miasteczko tegoż co wyspa nazwiska, i nacieszyć się niem nie mogę, zwłaszcza po śmieciach, brudach i szpetnych odorach Konstantynopola. Śliczne wille i pałacyki toną wśród drzew i kwiatów, ulice doskonale utrzymane; raźniej mi się jakoś zrobiło na duszy bom się znowu znalazł wśród europejskiej cywilizacyi. Mój przewodnik tryumfował. Urodzony na Tenedosie czy Mitylenie, dzieciństwo i młodość tutaj spędził, uważał więc Prinkipo za swoją ojczyznę.

— A co, a co? — powtarzał — tu już nie Turcy gospodarzą, lecz Grecy — zaraz widać.

A jam szczerze przyklaskiwał, bo naprawdę jest to jeden z najpiękniejszych zakątków, jakie widziałem — jakie być powinny na wyspach »szczęśliwych«. Nie obeszło się jednak bez tego, żebyśmy tam nie spotkali rzeczy niekoniecznie dobrych. Przejeżdżaliśmy koło pięknego pałacyku, stojącego w ślicznym ogrodzie, który był otoczony

wysokiemi, żelaznemi sztachetami, wpuszczonemi w jeszcze wyższe, marmurowe słupy. Na słupach stały posągi nagich kobiet, naprzemiany — z siedzącymi chartami. Brak wstydu i poczucia ludzkiej godności, uraził mnie — choć to wielu za błahostkę by poczytało, a może nawet za rzecz dobrą.

W cieniu siedziały przy jedzeniu, zapewne właścicielki — takie tłuste, takie wypasione, czerwone! Poganki, pomyślałem sobie. Po niezliczonych schodach zstąpiłem do bardzo przyzwoitego hotelu, »Kallipso«, położonego nad samem morzem. Kazałem sobie podać obiad na tarasie i gdy apetyt zaspakajałem bardzo dobrem jedzeniem, wzrok używał prawdziwej rozkoszy, patrząc na szafirowe morze i na dalekie brzegi Azyi, zaokrąglające się niby w Zatokę Neapolitańską. Po obiedzie zwiedziliśmy jeszcze trochę miasto i poszliśmy do katolickiego kościoła. Liczba katolików stale tu mieszkających jest bardzo niewielką, około 120 tylko, ale na lato przybywa ich daleko więcej; parafia ta założona w 1860 r. i powierzona OO. Reformatom. Znalazł się bogaty dobroczyńca, który wybudował wcale obszerny i doskonale utrzymany kościół; obok niego jest też niewielki klasztorek, a w nim jeden kapłan i dwaj braciszkowie. Klasztorek był w części zrujnowany przez trzęsienie ziemi; w kościele trochę tylko tynk poopadał. Ozdobą kościoła są bardzo piękne trzy obrazy w ołtarzach, nieznanego mi dotąd włoskiego malarza Gagliardi'ego, przedstawiające apoteozę św. Pacyfika w wielkim ołtarzu, w bocznych św. Zofię z trzema córkami i św. Ignacego Lojolę. W kościele braciszek zakonny z trzepaczką w ręku robił porządek, nie zwracając oczywiście na przybyszów żadnej uwagi. Spanos powiada mi po cichu: *„parlate lui; è anche Polacco“*; podchodzę tedy i witam: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus«. Mało mu trzepaczka z rąk nie wypadła, tak się zdziwił. Wszedł też i przełożony, zaprosił na turecką kawę — i był ciągle jakby na niemieckiem kazaniu, bo braciszek, rad z rzadkiej okazyi, trzepał bez ustanku po polsku.

O 4-tej wsiadłem na parostatek i znowu tę samą odbywałem drogę i znowu słyszałem: »cognac, café, limonada«. Po obiedzie można było tego użyć; kazałem dać sobie limonady. Gdy przyszło do obrachunku, widzę, że kafedżi dał mi mniej, niż należało, tych szpetnych blaszek, które w Turcyi uchodzą za zdawkową monetę. Kwe-

renda dlaczego i jak? — Powiada mi, że mu się należy za danie reszty. Oburzam się. Jakto? To nietylko ci trzeba płacić za tę twoją »kiepską« limonadę, ale jeszcze i za to, że mi dasz resztę z 20 kop. Na to młody jakiś włoch, słuchający tego certowania się, powiada mi z uśmiechem: *„Siamo in Turcia, signore* — tu się za wszystko płaci«. I udzielił mi kilka bardzo ciekawych informacyi.

Rzeczywiście, tu się za wszystko płaci. Chcesz wejść do publicznego ogrodu -- płać; przechodzisz przez most — płać. Płacisz w jurysdykcyach za stemple, w telegrafach i pocztach za telegramy i listy, a nie masz drobnych tyle ile właśnie potrzeba — płać 5% od całego pieniądza, z którego ci resztę wydadzą. Kupujesz coś na statku, czy w bufetach kolejowych — taż sama historya. W sklepach wprawdzie tego nie robią, ale za to wtykają pieniądze na nic nikomu niepotrzebne.

Na koniec moich wspomnień z Konstantynopola odłożyłem sprawozdanie o kościołach i stosunkach wyznaniowych. Pod tym względem panuje tutaj istna wieża Babel. Żeby się w tym labiryncie zoryentować, trzebaby chyba długie lata tu mieszkać i tem się specyalnie zająć, — a pytanie, czy i wtenczas doszłoby się do czego. W Konstantynopolu liczba ludności jest nieznaną. Jedni ją szacują na 600.000, inni podnoszą do miliona. Turcy spisu nie robią; widocznie są przekonani, że skoro Ałłach wie, ile prawowiernych i niewiernych mieszka w Stambule pod skrzydłem padyszacha, to ludziom niema racyi mieszać się do tej sprawy. Utrzymują, że chrześcijanie stanowią połowę ludności miasta; — czy to prawda, nie wiem, ale wątpię. Wśród chrześcijan najliczniejsi są Grecy, potem idą podobno Ormianie jakobici, a po nich katolicy. Zbadanie stosunków religijnych, choćby tylko tych ostatnich, byłoby pracą nielada. Choć wiara jedna, jest kilka obrządków, kilka narodowości; nadto wpływy polityczne, tradycye historyczne wyrodziły tu mnóstwo różnic i specyalnych miejscowych praw, zwyczajów, przywilejów.

W końcu i na katolików widocznie wpływa turecki zwyczaj spuszczania się we wszystkiem na Ałłacha, bo nie mogłem wyjść z podziwienia, widząc, jak oni sami mało wiedzieli o sobie. Nie mogłem się u miejscowych księży niczego pewnego dopytać; jeden mówił tak, drugi inaczej, trzeci jeszcze inaczej. Zaraz w pierwszych dniach

mego pobytu w Konstantynopolu złożyłem wizytę JE. Arcybiskupowi Wikaryuszowi patryarchalnemu; ten, zapytany przezemnie w tej materyi, wskazał mi dzieło Belin'a, dokończone przez kapucyna Arsenyusza de Chatel, w którem będę mógł znaleźć potrzebne mi wskazówki, lecz tylko co do obrządku łacińskiego [1]). Jest to spory tom (547 str.), bardzo bez zaprzeczenia ciekawy, ale potwierdzający to, com powiedział wyżej o wielkiej gmatwaninie stosunków religijnych w Konstantynopolu, nawet na łonie jednego wyznania i jednego obrządku.

Opierając się na tem dziele i na *Carte écclesiastique de l'empire ottoman d'aprés les Missiones catholicae 1893*, będę mógł udzielić trochę danych statystycznych. Dwa tu są główne obrządki katolickie: łaciński i ormiański; inne nie liczne. Ormianie mają swego patryarchę, a cała jego dyecezya konstantynopolitańska liczy 10.000 wiernych, 70 kapłanów i 16 kościołów i kaplic. W Konstantynopolu ma być nie więcej nad 5000 Ormian katolików. Łacińską dyecezyą rządzi Wikaryusz patryarchalny, którym jest obecnie Arcybiskup tytularny Palmiry, Augustyn Bonetti ze zgromadzenia misyonarzy (zwanych na Wschodzie Lazarystami, od domu macierzystego św. Łazarza w Paryżu). Parafii w mieście i okolicach jest 11, z tych świeccy księża mają dwie, Gruzini dwie, Grecy Melchici jednę, a sześć zakonnicy. Ci, oczywiście, mają klasztory przy swoich kościołach parafialnych; oprócz tych jest jeszcze kilka domów zakonnych i kościołów nieparafialnych.

Takimi są: Misyonarze, Jezuici, Augustyanie, Kapucyni (w Kadikioi), bracia nauki chrześcijańskiej i Maryanie. Oprócz męzkich znajduje się tu 8 domów zakonnych żeńskich: szarytki, siostry syońskie, siostry z Ivres od Niepokalanego Poczęcia, Franciszkanki, Dominikanki, Oblatki od Wniebowzięcia, Franciszkanki z Calais (pielęgnują chorych) siostrzyczki ubogich.

Łacinników w całej dyecezyi 45.000 (z tych w Konstantynopolu około 20.000), księży 197, braciszków zakonnych 67, a 90 kościołów i kaplic. Belin twierdzi, że do 1840 r. katolicyzm zostawał tu jakby w uśpieniu, a kiedy energiczny Arcybiskup Wikaryusz Hillereau

[1]) Histoire de la latinité de Constantinople, par A. M. Belin. Paris 1894.

zabrał się do budzenia go z tego stanu, spotykał przeciwników we własnych podwładnych i niewiele mógł dokazać, jak to zwykle na początku bywa. Ale inicyatywa była zrobiona i wzbierające w całej Europie katolickie życie odbiło się i tutaj. Byłem zbudowany, czytając, ile to teraz przy każdym kościele i parafii jest bractw, kaplic ile szkół niższych i średnich utrzymują księża świeccy i zakonnicy, płci obojej, ile szpitali obsługują.

Poprawiło to w moich oczach znacznie opinię katolików konstantynopolitańskich, którzy może z łaski awanturników i wydrwigroszów, schodzących się tu od czterech wiatrów, nie są bynajmniej u ludzi *en odeur de sainteté*. Nie chcę nużyć czytelników wyliczaniem tego wszystkiego, ale dla przykładu, mówiąc o kościołach przezemnie widzianych, wspomnę o dziełach *(oeuvres)* jednego z nich.

Zaraz w czasie pierwszej mojej przechadzki po Perze zacząłem szukać kościołów, a chociaż wiedziałem, że są gdzieś niedaleko, chociaż ze trzy razy tuż koło nich przeszedłem, nie znalazłem ani jednego, tak są ukryte i tak trudno je rozpoznać dla ciasnoty ulicy. Na drugi dzień dopiero ktoś z hotelu zaprowadził mnie do kościoła XX. Reformatów pod wezwaniem N. Panny. Wchodzi się przez bramę sklepioną, bez żadnych kościelnych oznak, potem trzeba zejść po jakich 40 stopniach i dopiero wchodzi się do kościoła niezbyt wielkiego. Nic dziwnego, że nie można go znaleźć. Wewnątrz kościół jest dobrze i starannie utrzymany i niezbyt dawno (1874) wymalowany dość gustownie. W wielkim ołtarzu ma obraz Matki Boskiej zwanej *de Draperis*, że przez tę rodzinę był ofiarowany. W jednym z bocznych ołtarzy jest bardzo czczony obraz N. Panny »z listem«, zapewne tak zwany od pisma, które w ręku trzyma. Co jednak ono ma oznaczać, nie dowiedziałem się. W klasztorze mieszka 10 kapłanów i 3 braciszków; przełożonym jest włoch typowy, o bladej dość twarzy, a czarnych oczach i brodzie. Zamiłowany w studyach archiwalnych, spisał swego klasztoru i parafii historyę, którą mi nawet pożyczał, ale korzystać z niej dla braku czasu nie mogłem. Parafią zarządza O. Mikołaj Kiefer, rodem z W. Ks. Poznańskiego. Odprawiwszy pierwszą Mszę, byłem zaproszony na kawę. O. Mikołaj poprowadził mnie na chór kościelny, a stamtąd, za otwarciem niewielkich drzwi, znalazłem się w refektarzu. A to dopiero szczególne urządzenie, pomyślałem sobie.

Obok refektarza kuchnia, — że to zawsze jestem ciekawy klasztorów, więc prosiłem o pozwolenie wejścia do środka. Znalazłem ciasnotę i ubóstwo. Korytarze są tak nizkie, że ręką dostałem sklepienia; cele o jaki łokieć wyższe. O ogródku lub dziedzińcu ani mowy; o piędź za murami klasztoru zaczynają się obce terytorya; jedynem miejscem odpoczynku jest niewielki taras, może 12 kroków długi, a 8 szeroki, z którego mają widok na Bosfor.

Mają też bibliotekę bardzo porządnie ułożoną, a zajmującą dość duży pokój od podłogi do sufitu. Idąc do niej, zobaczyłem drzwi jednej celi otwarte, a w celi na łóżku leżał chudy stary zakonnik. Był to braciszek, kucharz klasztorny, który przez lat 50 służył klasztorowi, a teraz dogorywał samotnie, zdala od ziemi, z której wyszedł. Na dworze był upał, słońce piekło nieznośnie, on leżał przykryty kołdrami i habitami. Stanąłem przy łożu, a on się do mnie spokojnie uśmiechnął. Zapewne już dawno dogorywająca lampka jego życia wypaliła się — i odpoczął.

Klasztor ten i inne które na wschodzie widziałem, są arcyniewygodne, często nie mające warunków najkonieczniejszych do życia, bo powietrza i miejsca; mogą one tylko zrazić ludzi, którzyby do nich bez powołania wstąpili, a *złamane* dusze do resztyby się tu połamały; ale ja w cichości podziwiałem bohaterstwo tych, nikomu nie znanych ascetów, którzy w ubóstwie pracy, poniżeniu, zdala od swoich, pozostają w nieznośnych warunkach, dlatego tylko, żeby służyć bliźnim swoim. Pomimo tego, pomimo surowej reguły, miłym był bardzo, nietylko spokój, ale dobry humor w klasztorze panujący. Brat zakrystyan, siedzi sobie w zakrystyi, majstruje koło różańców i ornatów, i oczy mu się śmieją; przełożony wesoły i uprzejmy, brat kanafarz także, słowem wszyscy ilu ich tam widziałem. Jeden tylko O. proboszcz miał minę, jakby ciągle zafrasowanego człowieka. W tym kościele najczęściej odprawiałem Mszę św., spotykając się w zakrystyi z kapłanami przeróżnych zakonów i obrządków.

Raz po Mszy, zobaczyłem wielkie przygotowania: urządzono katafalk, na chórze zebrało się kilkunastu chłopaków, mając na czele młodego zakonnika — miał się odprawiać wielki anniwersarz żałobny. Czekam, jak też zaśpiewają, bom jeszcze śpiewów tutejszych nie słyszał. Wychodzi Msza, odzywają się organy — bardzo przyjemny

głos mają; aż na znak dany, kiedy nie wrzasną chłopcy, natężywszy wszystkie siły — gwałtu, jakby im kto szydło po sam trzonek w ciało wraził. Chciałem zaraz pierzchnąć, alem się przemógł. Słucham chwilę — nie, nie wytrzymam, więc zwinąłem chorągiewkę i w nogi. Bystre oko magistra chóru dojrzało mnie jednak na prezbyteryum. W parę dni potem wracam z refektarza przez chór, a oni tam znowu do koncertu się szykują; przemykam się cichaczem, ale braciszek mnie złapał i pyta: »A *signor canonico* był wtenczas na Mszy żałobnej i słyszał; a cóż, pięknie moi chłopcy śpiewają?« — „*Sicuro, sicuro,* mają zdrowe gardła« — ale dodałem w duchu, niech uszy moje już tych słowików więcej nie słyszą. Niestety, słyszały i daleko gorsze rzeczy słyszały, ale o tem potem.

Niedaleko kościoła N. Panny, przy tej samej głównej ulicy Pery, znajduje się kościół św. Antoniego, a przy nim niewielki klasztorek XX. Bernardynów (8 kapłanów i 4 braciszków). Jest to najstarsza w Konstantynopolu parafia łacińska. Ciekawą byłoby rzeczą wyliczenie różnych przejść kościoła i klasztoru; mogliby z niego czytelnicy mieć pojęcie o wielkości zaparcia się, męstwa i wytrwałości tych ludzi, przez wieki całe, gdy szło o utrzymanie stanowiska, na jakiem ich Bóg przez przełożonych postawił. Nie wdaję się jednak w historyę bo obawiam się być rozwlekłym; wspomnę tylko o zakładach, do tej parafii należących. W klasztorze mają szkółkę elementarną dla 40 –50 chłopców (z tych pewna liczba na ich utrzymaniu); szkółkę dziewcząt od tegoż klasztoru zależną, prowadzą siostry z Ivres od Niepokalanego poczęcia. Dalej zakonnicy udzielają pomocy duchownej w szpitalach: włoskim, municypalnym i niemieckim. Przy kościele zawiązane stowarzyszenie tercyarskie, liczące 110 członków, i co miesiąc mające swe zgromadzenia; nadto bardzo liczne zgromadzenie »paska świętego Franciszka« i św. Antoniego Padewskiego.

Na przedmieściu Pankaldi widziałem największy ze zwiedzonych przezemnie tutaj kościołów, katedrę pod wezwaniem św. Ducha, zbudowaną przez arcybiskupa Hillereau w 1846 r. Kościół składa się z trzech naw; boczne mają w górze galeryę, na których mieszczą się w czasie Mszy dziewczęta z pensyonatów, zależnych od tego kościoła. Prezbyteryum ma sklepienie, zresztą w całym kościele sufit zdobny kasetonami. Ksiądz organista, który mnie oprowadzał, pokazywał

na chórze nowe organy, ale jakiejś dziwnej budowy, o tak skomplikowanych regestrach, że nie wiem, jak on sobie z nimi radę daje.

Już w Konstantynopolu zauważyłem, co później wszędzie na Wschodzie widziałem, że organy od przodu są zakryte transparentami z obrazem jakiego świętego, albo poprostu parawanem czerwonym lub zielonym. W czasie gry, gdzieś się on podziewa. Organy zwykle mają formę szaf — nasze bez porównania ładniejsze. Głos także inny; nie umiem tego określić, ale wydał mi się bardziej miękkim, takim jak w naszych starych — teraźniejsze mają bardziej twardy i jędrny. Pochodzi to podobno od przewagi dud i piszczałek drewnianych nad metalowemi.

Byłem bardzo ciekawy kościoła św. Ludwika, ale w żaden sposób odkryć go nie mogłem. U XX. Bernardynów pokazano mi uliczkę idącą w dół, tuż koło ich kościółka. Wahałem się — uliczka była wązka, brudna, zaśmiecona, czyżby to było wejście do poselstwa francuzkiego, przy którem jest ten kościół? Tak jednak było. Uliczka pochylała się bardzo i wkrótce z przyjemnem zdziwieniem, znalazłem się na obszernym dziedzińcu poselstwa. Pałac duży, zieleni mnóstwo, z prawej strony kościół. Niewielki on co prawda, ale zewnątrz i wewnątrz doskonale utrzymany. Wszedłem. Kiedym się przypatrywał obrazom w trzech ołtarzach i kościołowi, spostrzegłem, że na prezbyteryum wchodzą młodzi duchowni z brodami i wąsami, i że coś ich niezwykle dużo. Poszedłem do zakrystyi, by zasięgnąć języka i dowiedziałem się, że tu jest seminaryum, że właśnie ma być zaraz *le salut*, i że przełożony O. Marceli, kapucyn, jest obecnie na dziedzińcu.

— Prowadź mnie na dziedziniec (już klasztorny, nie zaś do poselstwa należący). Znalazłem się na dużym placu, do którego przytykał z jednej strony kościół, z dwóch innych ogromny dom dwupiętrowy, z czwartej ogródek, za którym niżej był ogród poselstwa. Dalej widać było mieszaninę domów, Bosfor i Azyę.

Weselej mi się zrobiło na widok przestrzeni i drzew, a kapucyn, którego miałem przed sobą, dopełniał przyjemności. Był to starzec niewielkiego wzrostu, o dużej, siwej brodzie, niezmiernie żywem oku i wesołej jowialnej twarzy. Najsympatyczniejszy człowiek. Dowiedziałem się od niego, że te gmachy on sam pobudował, seminaryum

on sam założył i kieruje niem przy pomocy kilku księży i trzech braciszków. Wszystkich wychowańców było 48, z tych 16 stanowiło seminaryum większe i nosiło sutannę, reszta zaś miała świeckie suknie.

Poszedłem zwiedzić zakład, cele kleryckie, mieszkania Ojców; tymczasem, gdym z przełożonym w ubogiej jego celi gawędził, skończyło się nabożeństwo, najwięcej podobne do naszej adoracyi N. Sakramentu, i na dziedzińcu zawrzało. Poważniejsi chodzili gawędząc, większość grała w palanta, podskakując, śmiejąc się i nie żałując gardła. Kapucyn mi wskazywał z góry: oto ten pochodzi z Trebizondy, tamten ze Smyrny, ten z Adryanopola — bo trzeba wiedzieć, że seminaryum to jest wspólne dla wszystkich dyecezyi łacińskich Turcyi europejskiej i Małej Azyi (nie włączając Ziemi św.) i że przed O. Marcelim nie było żadnego seminaryum. Więc skądże brali się księża, i czy nie dawał się czuć ich brak? Wszystkie zakony miały i mają swe nowicyaty i te dostarczają największego kontyngensu kapłanów; świeccy zaś przyjeżdżali z Zachodu albo kształcili się sami przy innych księżach, jak kto mógł. Oczywiście takiego rodzaju przygotowanie niewiele było warte i katolickie świeckie duchowieństwo na Wschodzie było w bardzo nędznym stanie pod względem naukowym, a podobno i nietylko naukowym. Patryarcha jerozolimski Valerga, chcąc temu zaradzić, założył u siebie prawidłowo zorganizowane seminaryum, teraz powstało drugie w Konstantynopolu; daj Boże, żeby owoc tych usiłowań był obfity i dobry!

Za to pod względem liczby stosunek przedstawia się bardzo pomyślnie. Turcya, łącznie z państwami hołdowniczemi, liczy 24,147.440 całej ludności, w tem katolików różnych obrządków jest 797.600, którzy posiadają 1.359 kościołów i kaplic, obsługiwanych przez 1.806 kapłanów zakonnych i świeckich oraz 289 braciszków klasztornych. Obrządki zaś katolickie w państwie ottomańskiem są następujące: a) łaciński, w nim 1 patryarchat (Jerozolima), 1 wikaryat patryarchalny (Konstantynopol) [1]), 2 wikaryaty apostolskie, 2 delegacye apostolskie, 4 arcybiskupstwa, 3 biskupstwa; b) ormiański — 1 patryarchat, 2 arcybiskupstwa, 15 dyecezyi; c) syryjski — 3 archidyecezye, 6 dyecezyi;

[1]) Konstantynopolitański wikaryat patryarchalny jest zarazem i delegacyą.

d) koptyjski (w Egipcie) 1 prowikaryat apostolski; e) syryjsko-chaldejski — 9 dyecezyi; f) maronicki — 7 dyecezyi; g) grecko-melchicki — 4 archidyecezye, 7 dyecezyi; h) słowiański — 2 wikaryaty apostolskie.

Oprócz tego rozmaitego rodzaju misye i misyjne zarządy sprawują zakonnicy: Franciszkanie, Bernardyni, Reformaci, Kapucyni, Karmelici, Dominikanie, Pasyoniści, Lazaryści, Jezuici, Misyonarze afrykańscy z Lyonu, Zmartwychwstańcy, Augustyanie, Trapiści i księża Gruzini.

ROZDZIAŁ IV.

Z Konstantynopola do Jerozolimy.

2 — 10 Października.

Głośny uczony węgierski Arminiusz Vambery przed 32 laty powziął śmiałą i oryginalną myśl zwiedzenia w przebraniu muzułmańskiego derwisza niedostępnych wówczas środkowo azyatyckich chanatów Turkmenów. Dostawszy się po niesłychanych trudach i niebezpieczeństwach do Chiwy, poznał tam niejakiego Szukrulla-Beja, który, jako poseł chana, mieszkał niegdyś czas dłuższy w Konstantynopolu. Otóż ten ostatni, zobaczywszy przed sobą mieszkańca Stambułu (za jakiego się Vambery podawał) zawołał: »Ach, effendi, skąd ci przyszedł pomysł przyjść do tego okropnego kraju, a szczególnie porzucić ten raj ziemski, który nazywają Stambułem?« [1]).

Nie dziwię się wcale owemu bejowi, bo po okropnościach i dzikości ówczesnej Chiwy, Konstantynopol mógł mu wydawać się rajem, ale na to trzeba było chyba aż ze stepów turkestańskich przywędrować. Ja przybywałem z kraju cywilizowanego, więc Carogród nietylko mnie nie zachwycił i nie wydał się rajem, lecz owszem, po zaspokojeniu pierwszej ciekawości, zacząłem się w nim czuć coraz gorzej i ostatnie dwa dni przepędziłem w tęsknem oczekiwaniu okrętu z Odesy, na którym mógłbym płynąć dalej. Przyznaję się do tego otwarcie, choćby kto miał o mnie powiedzieć, co p. Bełza powiedział o niezadowolonych z Wenecyi. Otwarłem jego książkę: »Na lagunach«

[1]) Voyages d'un faux derviche dans l'Asie centrale, 2 edition, 114.

i trafiłem na ustęp, w którym autor powiada, że są ludzie skarżący się na Wenecyę dlatego, że po kanałach pływają skórki cytrynowe, i woła patetycznie: »jacy oni biedni!« — tam, gdzie tyle zaszło historycznych wypadków, gdzie mieszkały takie znakomite rody, gdzie tyle zgromadzonych skarbów sztuki, zważać na skórki cytrynowe — biedni, nieszczęśliwi! Bardzo to pięknie ze strony prawnika i podróżnika, że tak pełen jest współczucia, ale zdaje mi się, że zanadto bierze do serca los owych »biednych«. Nie są oni tak bardzo biedni, ani tak umysłowo, czy estetycznie upośledzeni jak się autorowi zdaje, i daleko więcej mają racyi, niż on im przyznaje. Mogę coś o tem powiedzieć, bo właśnie do takich należę. Mniejsza już o to, że owe wszystkie arcydzieła architektury i rzeźby wyglądają niezmiernie jakoś drobno w porównaniu z tem, jak je sobie wyobrażaliśmy; piękno nie od wielkości, lecz od harmonii zależy; daleko gorzej, że najczęściej są one w arcysmutnym stanie.

Jak tu sądzić np. o posągach na bibliotece Sansovina, kiedy całe w plamach czarnych i białych, sama też biblioteka także jest podobnie upstrzoną przez czas i niepogody. Mam wcale dobrą chromolitografię wnętrza chrzcielnicy w kościele św. Marka; wygląda ślicznie i myślałem, że dziwo zobaczę, tymczasem, kiedy wszedłem do niej i zobaczyłem ją brudną, zaniedbaną, zapyloną, nie mogłem na razie uwierzyć, że to to samo, co takie czyste i piękne na obrazku. Jednak i to jeszcze rzecz mniejsza. Piękno potrzebuje, żeby się z niem oswoić, żeby je smakować powoli; przy dłuższym pobycie i głębszem czerpaniu czułoby się estetyczną rozkosz, pomimo smutnych zewnętrznych naleciałości. Trzeba jednak, żeby można takim badaniom, takiemu smakowaniu oddawać się, żeby moralne, a przynajmniej fizyczne warunki były do zniesienia możliwe. Zapewne, kto wiele miłuje, wiele znieść może, ale nie każdy jest tak zapalonym, żeby wszystko zewnętrzne było dlań obojętnem; czasami bowiem takie są te zewnętrzne okoliczności, że wytrzymać ich niepodobna.

Tak bywa w Wenecyi, tak i w Konstantynopolu. Prawda, że oryginalne i piękne są kanały, ale pływające po nich nieczystości czynią je obrzydliwemi, bo to nie jest prawdą, że tylko cytrynowe skórki można na nich zobaczyć; ba, gdybyż tylko to! Śliczny jest lazur Bosforu i morza Marmora, ale jeszcze dziś obrzydzenie mną

wstrząsa, gdy przypomnę sobie rozdętą i oblazłą z sierci, moknącą w niem padlinę. Naczytawszy się u Kremera, jak to on przyjemnie marzył wieczorem na Piazzecie, gdy morze gadało z nim cicho, poszedłem tam raz także o tej porze. Gdy zagadało, nie wiedziałem dokąd uciekać, taki dokoła rozszedł się szpetny odór. Będąc w Wenecyi, paliłem się na słońcu w dzień (prawda, że byłem w najgorszej porze roku, bo w lipcu), dławił mnie fetor do zniesienia z lagun i kanałów, dusiłem się w nocy w pokoju pełnym dymu z jakichś ziół suchych, broniącego od komarów, jadło miałem niegodziwe, żebraków zatrzęsienie, od wydrwigroszów opędzić się nie mogłem, słowem, warunki najgorsze. Po czterech dniach uciekłem, bo też niepodobna wymagać od człowieka przechodzącego coś w rodzaju tortur moralnych i fizycznych, żeby się jednocześnie zachwycał archeologią i pięknością linii. Zresztą czystość, porządek, dostateczna ilość miejsca, świeżego powietrza, roślinności, są także koniecznymi warunkami piękna; gdzie tego niema, wszystko traci na wartości. Najpiękniejsza kobieta, jeśli się ukaże w brudnych łachmanach i z żałobą za paznokciami, zepsuje całe wrażenie, jakieby skądinąd mogłaby wowołać. Wenecya ma takie łachmany i taką żałobę niechlujną, a Konstantynopol jeszcze więcej niż ona, więc też dusiła mnie jego ciasnota, obrzydł jego nieporządek i nadzwyczaj niemile raziło wszystko, co dostrzegłem w dziedzinie obyczaju, ustroju społecznego i państwowego.

Chcąc doświadczyć przyjemności i mieć piękny widok, trzeba z miasta wyjechać i patrzeć na nie zdaleka, a im dalej tem lepiej. Już to trzeba przyznać, że trudno o piękniejszą pozycyę nad tę, jaką samo miasto posiada, a choć Turcy nic nie zrobili, żeby jej piękność wyzyskać, a bardzo dużo, żeby ją zeszpecić, to jednak nie mogli zatrzeć ani rozmaitości gruntu, ani pięknych konturów ogólnego planu. Morze jest piękności niezrównanej i największą może częścią składową w koncercie piękności. Gra światła w wodzie i powietrzu i ich odbicie na masach kamiennych miasta najwięcej chyba przyczyniają się do zachwytów podróżnika.

Co do mnie, to, jak już podobno wspomniałem, nie mogłem nic pięknego upatrzeć w tej lawinie domów niekształtnych, brudnych, natłoczonych jak śledzie z beczce, prawie bez drzew i przestrzeni. Kiedy patrzyłem z odległości nie zbyt wielkiej, Konstantynopol wydawał

się niby zbiorowiskiem skał i złomów skalnych, o kolorycie smutnym brudno-czerwonawo-szarym; dopiero kiedy odpłynąłem dość daleko i błękitna warstwa powietrza zlała w jedno niezgodne szczegóły i zasłoniła brudny koloryt, wtenczas to ogromne miasto wydawało się pięknem i tajemniczem. Jakkolwiekbądź, dzień odjazdu zbliżał się; trzeba było kończyć przygotowania, a najpierwej załatwić się z formalnościami paszportowemi.

Jeszcze w Odesie powiedziano mi, że paszport ruski powinien być koniecznie wizowanym przez tureckiego konsula, bo inaczej nie wpuszczą mnie do Konstantynopola; pojechałem tedy do konsulatu tureckiego, gdzie mi bardzo prędko tę formalność załatwiono i kazano zapłacić 20 piastrów, tj. 1 rs. 80 kop. Wydało mi się to trochę za drogo za nieczytelny podpis i trzy wiersze drukowanej formuły, ale pomyślałem sobie: wiem, że finanse moich przyszłych gospodarzy mocno są nadwerężone, niech więc im moje złotówki za upominek służą; może mi będą radzi. Jakoż tak dalece byli radzi, że nie było końca wymaganiom coraz nowych datków. Więc w Konstantynopolu uprzedzono mnie znowu, że odeska wiza już na nic, ale trzeba wziąć turecki paszport, tak zwane *teskere*. Posłałem więc Spanosa do odpowiedniego bióra z ruskim paszportem i drugimi dwudziestoma piastrami, a on mi przyniósł papier z sułtańską tughrą [1]), w której mnie polecano gościnności i dobremu przyjęciu cesarsko-tureckich urzędników. Oczywiście wpisano tam nazwisko, które miało być mojem, ja go jednak przeczytać nie mogłem. To rzecz naturalna, lecz dziwne to, że i Turcy także nie mogli, bo przy każdej komorze, coraz inny urzędnik turecki coraz inaczej je przekręcał. A wyczytywali, patrząc na mnie, takie dziwolągi, że choć kiwałem głową, że to niby ja mam być owym »wyżej wymienionym«, alem się jeno w duchu dziwił, na co to przyjść może mazurskiemu nazwisku, gdy je bisurmańskie pióra pisać, a usta wymawiać zaczną.

Nadszedł wreszcie dzień 2 października; parostatek »Car« mniejszy od »Czichaczewa«, ale jednak wcale duży, od wczoraj stał przed

[1]) Tughra jest to coś niby herb państwa. Któryś z sułtanów, nie umiejąc pisać, przykładał do papieru rękę i ten znak ozdobiony i wykaligrafowany, dotąd widnieje na czele wszystkich dokumentów. Gdzieś tam tylko we środku dodają imię panującego sułtana.

Galatą. Niemając nic już do roboty, wybrałem się na statek wcześnie, i dobrze zrobiłem. Przez komorę celną po raz drugi przeprowadził mnie Spanos, ale za to uniknąłem napaści przy okręcie. Wiedzieć bowiem należy, że w Turcyi nietylko trzeba przechodzić przez rewizyę celną, wjeżdżając do miasta, ale i wyjeżdżając z niego, gdyż rząd każe sobie płacić 2% od towarów miejscowych. Szczególny zaprawdę sposób opieki nad swoim własnym przemysłem! Prawo to służy za pretekst do niezliczonych przykrości, a raczej do nieustannych łapówek. W ostatnich czasach celnicy tureccy ze szczególną zawziętością rzucali się na książki wszystkie bez wyjątku, nawet brewiarze kapłańskie, a między książkami najwięcej prześladowali rozmaite »guidy« i Baedekery. Drukowanego przewodnika po Konstantynopolu niema żadnego, prócz cytowanego przezemnie *„De Paris à Constantinople“*, a ten właśnie jest konfiskowanym bez pardonu. Trzeba go przemycać. Nie dość jednak i tej powtórnej rewizyi i opłaty bakczyszu. Stojąc już na wysokości pokładu, widziałem, jak przypłynęła łódka z flagą policyjną, a siedzący w niej policyant, niby pająk na niebaczne muchy, rzucał się na każdego, chcącego wsiąść na okręt, i nietylko oglądał paszporty, lecz brał się do przerzucania rzeczy, dopóki mu nie dano odczepnego, co najmniej 2 franki. Czasami gorliwość bywa tak wielką, że w połowie drogi między komorą a okrętem czyha jeszcze inna łódź taka sama i w tym samym celu. Jużto sprawiedliwość każe przyznać, że jak w czem, ale w wymyślaniu okazyi do bakczyszu Turcy są niesłychanie *gabasze*. Około piątej po południu »Car« podniósł kotwicę i rozpocząłem drogę wprost do Ziemi świętej.

Słońce chyliło się coraz niżej, gród Konstantynopola odsuwał się coraz bardziej, niknął we mgle oddalenia i tylko czasami na jakim metalicznym szczycie mocniej odbił się się promień słoneczny; »Car« hucząc i szumiąc pruł błękitne fale. Stałem na pokładzie, ciesząc się tem wszystkiem, co mnie otaczało i puszczając wodze myślom, które bezładnie skakały od teraźniejszości do przeszłości, od naszych pól i lasów do wypalonych, skalistych, smutnych brzegów tutejszych.

A jednak te brzegi, tak teraz smutne dla oka, to klasyczna ziemia historyi: po tych wodach pływały, po tych lądach deptały najrozmaitsze ludy, zacząwszy od wyprawy Argonautów, do zastępów,

które przed kilkunastu laty obozowały pod San Stefano. Kogo tu nie było! Persowie i Grecy, Słowianie i Rzymianie, Arabowie i Turcy, Włosi i Anglicy, Krzyżowcy idący obalać państwo półksiężyca i podpierająca go koalicya 1853 roku. Na tych wybrzeżach błąka się pamięć wielkich wrogów Romy, Hannibala i Mitrydatesa, tu w Nikomedyi płonęły stosy i obficie lała się krew chrześcijańska, tu w Chalcedonie i niedalekiej Nicei radzili poważnie ojcowie wyzwolonej z niewoli religii; ale któżby mógł przypomnieć wszystkie imiona i wypadki z temi miejscami związane? Trzebaby chyba sporego na to rozdziału.

Noc zupełna pokryła nas swym płaszczem gwiaździstym na środku morza Marmora; więc już nie widziałem ani wyspy, która swe imię dała dawnej Propontydzie, ani cieśniny dardanelskiej, którą dopiero płynąc z powrotem zobaczyłem.

Morze Marmora i Wyspy Książęce widz. z wieży Seraskieratu.

Oba jej brzegi są pełne miejsc historycznych. Więc po stronie europejskiej miasto Gallipoli, pierwsza zdobycz Turków w Europie, którzy w czasie trzęsienia ziemi 1357 r. przez rozwalone mury wdarli się do środka. Właściwie nazywa się ono Kallipolis, tj. miasto piękne, ci jednak, którzy je zwiedzali, utrzymują, że najmniejszego nie ma prawa do takiego przymiotnika.

Naprzeciwko leży Lampsak, głośny dawniej z rozwiązłości swych mieszkańców. Gdzieś tu niedaleko ujście rzeczki Egos Potamos, sławnej zwycięztwem Sparty nad flotą ateńską, które zakończyło długą wojnę peloponezką.

W mieście, gdzie w morze wchodzi przylądek Nagaraburnu, przesmyk jest najciaśniejszym; szerokość jego wynosi tylko 1.000 sążni. Tu dawniej stały miasta: w Europie Sestos, w Azyi Abydos

i tutaj miał Leander pływać w nocy do swej kochanki Hero, kapłanki Wenery w Abidos. Naśladując starożytnego młodzieńca, niejeden w nowszych czasach pływak tej samej sztuki dokonał. Może to bardzo niedobrze, prozaicznie traktować poetyczne legendy, ale mnie się powyższa niekoniecznie prawdziwą wydaje, bo wątpię, czy nawet w mrocznej starożytności znalazłby się taki... niepraktyczny oryginał, któryby w nocy przepływał cztery wiorsty i nie domyślił się, że prędzej i bezpieczniej można tę drogę odbyć w łódce. Zresztą może tak było; trudno naszą miarą mierzyć dawne czasy, bo się one zmieniają wraz z ludźmi; ja np. robię z tego powodu bardzo prozaiczną uwagę, a ks. Hołowiński legendowym kochankom płomienną poświęcił stronicę.

Na brzegu azyatyckim, niedaleko już od ujścia Hellespontu, stoi miasteczko Dardanelle, tak nazwane, że dawniej było tu miasto Dardanos. Oprócz fortyfikacyi, nic w Dardanellach niema szczególnego. W mojej pamięci jest ono chyba ze wszystkich miast obcych najdawniej zapisane. »Pan dyrektor«, który pierwszy wdrażał stopy moje do chodzenia po ścieżkach, wiodących ku świątyni mądrości, był mocno przekonanym, że koło Dardanellów są jakieś szczególne osły, i czasami na ten temat czynił alluzye i porównania, napełniające mnie wielką konfuzyą. Dlatego, chociaż już dawno wszystkie jego nauki wywietrzały mi z głowy, o Dardanellach pamiętałem.

Niestety, spoczywałem smacznie, kiedy przed świtaniem okręt nasz zatrzymał się tam na chwil kilka, ale że to i ciemno jeszcze było i rzeczy zaczętych i pożytecznych przerywać nie lubię, więc snu nie przerwałem sobie i nie miałem zręczności sprawdzenia, o ile mój pierwszy »dyrektor« był biegłym naturalistą. Kiedy się ubrałem i wyszedłem na pokład, chcąc widzieć Troadę, »Car« minął już ujście Skamandru i opływał przylądek Kum-burnu; górę Idę widać było doskonale.

Więc to tu, na tym niewielkim skrawku ziemi, toczyły się walki, których echo dotąd po wszystkich rozlega się krajach, chociaż nie były to jakieś zapasy wyjątkowe, nie obejmowały zbyt wielkich przestrzeni, nie miały zbyt wielkiego wpływu. Był to jeden z niezliczonych rozbójniczych napadów; a zdarzały się bez żadnego porównania większe i zaciętsze. Ot, niedaleko szukając, sąsiedni Abydos

ma w swych dziejach jeszcze tragiczniejszą kartę. Oblężony przez Filipa Macedońskiego, bronił się zażarcie. W końcu mieszkańcy, widząc, że się nie oprą przemocy, wyrżnęli swe kobiety i dzieci, a potem pozabijali się wzajemnie do ostatniego. Macedończyk wszedł do cmentarza. Jednak o Abydosie, Saguncie, Kartaginie i tylu innych wiedzą tylko erudyci i historycy; o Troi słyszał każdy choć trochę oświecony człowiek. Czemu tak? Dlatego, że walkę i zgon Troi ozłociła swą poświatą poezya.

Małożto naprzykład wydarzyło się wypadków bez żadnego porównania ważniejszych, niż smutne losy i śmierć dwojga kochanków, a jednak o pierwszych słyszał tylko uczony, a o Leandrze i Hero, o Romeo i Julii wie każdy i każdy się nimi interesuje, także dla tej samej przyczyny; ozłociła ich, ubrała kwiatami poezya i żyją. Dowód to, jak piękno ma silny wpływ na serce człowieka, jak czuła w nim jest struna poezyi, tj. ideału, pomimo wszystkiego co materyaliści prawić mogą.

Ksiądz Hołowiński pisze do brata w swej »Pielgrzymce«: »łatwo pojmiesz smutek, że nie mogłem wylądować na tę klasyczną ziemię«, i dalej prawi z wielkim entuzyazmem, konkludując, że jest to »kraj zaczarowany«. Nie wiem, czy jestem synem mojej epoki, która już nie zostaje pod wpływem klasycyzmu, czy też to tylko moje osobiste usposobienie, ale we mnie wspomnienia Iliady wcale entuzyazmu nie budziły i nie budzą. Jestem szczerym wielbicielem Homera jako poety, podziwiam jego geniusz, ale podziw mój nie rozciąga się do przedmiotu, który on uwiecznił. Cały świat odtworzony w Iliadzie, żyje i rusza się — to prawda, i w tem jest zasługa geniusza; świat ten mógł zachwycać pogan, ale nasz smak udoskonalony przez chrześcijanizm, ale poczucie moralne przezeń wydelikacone, nie wiem czy może zachwycać się i rozkoszować ludźmi i stosunkami, opiewanymi przez Homera.

Mnie przynajmniej wcale nie pociągał ani Achilles gniewny, gwałtowny, wlokący po ziemi zabitego Hektora, ani Ajax podobniejszy do zbója, niż do bohatera, ani wojownicy, żarłoczni, chciwi, nieraz tchórzliwi. Nawet najsympatyczniejszemu z nich Hektorowi nie mogłem darować jego ucieczki dokoła murów miasta. Rozumiem doskonale, że takimi, a może gorszymi nawet byli ówcześni ludzie; rozumiem

i oceniam należycie niezrównane mistrzowstwo, z jakiem Homer ich odwzorował, ale kiedy z Achillesem porównam Godfreda de Bouillon i tylu innych chrześcijańskich rycerzy; z Hektorem tyle milionów nie żołnierzy już, ale kobiet chrześcijanek, umierających po bohatersku, i to nie od uderzenia włócznią, lecz w najstraszniejszych torturach, to uczuwam, że jeżeli poeta był olbrzymem, opiewani przez niego bohaterowie byli pigmejami wobec rzeczywistych postaci chrześcijańskich; widzę, co któryś z Ojców powiedział o pogańskiej filozofii, że ona mniej zdołała wymarzyć, niż chrześcijanie spełniają faktycznie. Doznaję więc, czytając Homera, wrażenia, jakiego się doświadcza, gdy od rzeczy doskonałej przechodzi się do bardzo pierwotnej (powtarzam, że mówię tu wyłącznie o treści, nie o formie).

O to zresztą mniejsza; bądź co bądź, przenieść się żywcem w świat tak dawno zamarły, widzieć i czuć, jak on czuł niegdyś także coś znaczy i ma swój urok, są jednak w poezyi starożytnej, a po części i w naśladującej ją nowożytnej, dwa względy, które mi się już stanowczo fałszywymi i złymi wydają. Pierwszym nazwałbym wprowadzanie bohaterów obdarzonych nadludzką mocą, a więc właściwie nie ludzi. Nie ulegający zranieniu Achilles, posiadający czarodziejski róg Astolf, władająca zaczarowaną kopią Marfiza, czy Bradamanta, są przeciwnikami, z którymi wszelka walka stanowczo niemożliwa. Taka przewaga nadludzka sprzeciwia się najpierw uczuciu sprawiedliwości; chrześcijańscy rycerze dzielili równo między walczącymi nawet »wiatr i słońce«: tu bohater ma wszystko, przeciwnik jego nic — zamiast walki, widzimy rzeź, a to rzecz ani sprawiedliwa, ani poetyczna. Potem, system taki osłabia w wysokim stopniu zajęcie i interes. Z góry wiem, że Achilles zawsze zwycięży, że gdy Astolf zatrąbi, wszystko legnie jak martwe, że każdy spadnie z konia, kogo dotknie zaczarowana kopia. Interes stanowi właśnie sama walka, natężenie sił, rozmaite wybiegi, kombinacye ważenie się szali na tę i na ową stronę.

W końcu powiem, że jest to zgoła przeciwne prawdzie, a więc dalekie od poezyi rzeczywistej, która przedmiot jakiś zwyczajny podnosi ku prawdzie, pięknu, dobru i przez to poetycznym go czyni. W rzeczywistości podobnych faktów nie widzimy i nie pożądamy ich bynajmniej; taki Achilles lub Astolf byliby dla rodzaju ludzkiego

istną klęską i najstraszliwszym biczem bożym; wprowadzenie ich do poezyi z góry już ją samą sprowadza do poziomu bajki. W rzeczywistości jest owszem tak, że nawet sam Pan Bóg ukrywa niejako swą wszechmoc, że występuje tylko w ostateczności i to najczęściej zakrywając się ludźmi. Pozwala walczyć z sobą, ale ludzi zbuntowanych nie wysadza odrazu z siodła jak Marfiza, ale znosi w ciągu całych stuleci i zwykle zbrodnie ludzkie zwalcza przez ich złe skutki, przez innych dobrych ludzi, powiedziałbym, przez posunięcia pionków, którymi szachuje zamiary swych przeciwników, ale tak, że choć widać posunięcia, rękę dopiero potem, kiedyś i to baczniejsze tylko oko dostrzeże.

Pan Bóg czekał na rozwój naturalny człowieka tysiące lat i zesłał Syna Swego, gdy rodzaj ludzki ugrzązł w błocie bez ratunku; przez 300 lat chrześcijanie walczyli, rozwinęli się i dojrzeli, a poganizm zgnił do reszty; wtenczas dopiero zjawiła się przepowiednia *„in hoc signo vinces“*. To też używanie takich bohaterów, wprowadzanie *„deus ex machina“*, można było wytłumaczyć chyba w zaraniu wszelkiej sztuki i tylko w błędnej wierze poganizmu; u chrześcijan jest ono tak rażącem, że niesmak i wstręt prawdziwy budzi, bo przeciwnem jest prawdzie, razi uczucie ludzkie i zdradza nieumiejętność poety radzenia sobie w kłopocie innymi, naturalnymi środkami.

Jeszcze więcej rażą takie pojęcia w sztukach plastycznych. Postać zwyczajnego człowieka łomoce i miażdży, jak trzcinę, dziesiątki postaci większych i silniejszych od siebie, a tymczasem artysta nie ma środka uwydatnienia pierwiastku, który te cuda działa. Herkules np. zwalcza centaury. No, nie można zaprzeczyć, dość to pokaźna figura, ale każdy centaur trzy razy od niego potężniejszy, a jednak on jeden dziesiątek takich potworów wiąże sobie jak barany; a czemże to się dzieje? Na obrazie tego nie widać i patrzący doznaje wrażenia, jakby patrzył np. na ogromny ciężar oparty na cienkiej podporze. Możemy wprawdzie wiedzieć, że podpora żelazna, niemniej przeto oko doznaje niemiłego wrażenia. Na rysunkach Dore'go np. często jakiś rycerz maleńki, prawda, że srodze buńczuczny, stoi wśród olbrzymów, którym nie dostaje do pasa. Olbrzymy zębami zgrzytają, uciekają nawet, a niewiadomo czego, bo jego miecz wygląda przy nich jak scyzoryk, a postać tak drobna, że dość byłoby jednemu z nich złapać go w garść, żeby zetrzeć na tabakę.

O wiele gorszym jest drugi element pogańskiej poezyi t. j. Bóstwo tak pojęte, jak np. w Iliadzie. Bogowie pogańscy są to ludzie potężni, piękni cieleśnie, obdarzeni siłą i rozmaitymi przywilejami, ale przytem najgorzej wychowani, najbardziej poziomych skłonności, a często wprost opryszki i lamparty.

Otóż trzeba chyba w Boga nie wierzyć, żeby widzieć obojętnie Imię Jego przyczepione do podobnie haniebnych łotrzyków; chrześcijanin wierzący doznaje wtenczas takiego uczucia, jakiego doznawałby syn, gdyby widział, że za kochaną jego i czczoną matkę, podaje się jakaś bezczelna i rozpita ladacznica.

Kiedy sobie figlują i dokazują jakieś trytony i syreny, jak w nowszej poezyi czarodzieje i wróżki, kiedy zresztą i bogowie nic gorszącego nie robią, to człowiek doznaje wrażenia bajki, czasami nawet przyjemnego; gdy jednak natrafi w Iliadzie np. na scenę, do której Sienkiewicz robi alluzyę w »Wyroku Zeusa«, gdy ci nieśmiertelni zaczną kłócić się i hańbić, upijać się, kraść, uwodzić i t. d., wstręt niewymowny mną wstrząsa, boć to święte Imię Boskie po błocie się tarza.

Zresztą, kiedy takie rzeczy czytam u pogan, czuję politowanie pewne nad ich ślepotą i upadkiem, ale u poetów i artystów chrześcijańskich, podobne naśladownictwo jest rzeczą poprostu niegodną i nie do darowania. To też nie mogę bez obrzydzenia patrzeć na drabów przez chrześcijan rzeźbionych i ustawianych na miejscach publicznych, a przedstawiających Neptunów, Marsów, Apollinów — i myślę patrząc na nich: jacy jednak artyści ubodzy być muszą w pomysły, kiedy nie znajdują dla swego dłuta i pędzla przedmiotu w prawdziwym świecie, ale wciąż powracają przez kilka wieków do do przeżytych i przeżutych bajek, dawno minionej przeszłości!

Przepraszam czytelnika za tę przydłuższą, a może nudną tyradę, ale najpierw, nie mamy w tej chwili nic lepszego do roboty, bo płyniemy wzdłuż pustych brzegów Małej Azyi, a powtóre, nie mogłem oprzeć się chęci zwrócenia i tutaj uwagi na objaw, który spotykam stale. Jeżeli pilnie zaczniemy badać chrześcijanizm, to wszędzie i we wszystkiem bez wyjątku zobaczymy, że wypływa z niego prawda i rozum, piękno i dobro. Przeciwnie, dość jest na krok od niego zboczyć, żeby zaraz spotkać fałsz, brzydotę, zło i głupotę — nadewszystko głupotę.

Płynęliśmy, jak rzekłem, wzdłuż brzegów Małej Azyi, tych samych, o których dziwnej piękności słyszało się od dzieciństwa, na których się może w młodości budowało zamki napowietrzne; przychodziły mi na myśl opisy i poetyckie tych stron obrazy, w rodzaju n. p. następującego:

»Znacie kraj, gdzie laur chwały i cyprys żałoby
Godłem są dni obecnych i wieków minionych?«
. . . . . .
Kraj cedrów w niebo rosłych i winnic nektaru,
Kraj niewiędnącej wiosny i wiecznej pogody;
Kędy skrzydła zefirów od woni ciężaru
Słabieją przelatując różane ogrody?
Gdzie, śród gajów zieleni, błyszcząca cytryna,
Dziś jeszcze, Hesperyjskie sady przypomina;
W jagodach złoty balsam oliwy dojrzewa,
A w cieniu drzew jej słowik, nie przestając, śpiewa.
Kraj gdzie ziemi zieloność i niebios lazury
Walczą o piękność barwy przed słońcem bez chmury [1]).

Toż właśnie kraj, który się oto przed okiem mojem roztacza, ma być tym wiecznie zielonym rajem, brzmiącym śpiewami słowików, tchnącym róż zapachem — tymczasem, płynąc dzień jeden, drugi, trzeci i t. d., widzę tu i wszędzie skały i ziemię wysuszoną na pieprz, nietylko pozbawioną trawy i kwiecia, jak o tem wspominałem, ale nawet drzewa i najmniejszej krzewiny. Góry i rozdoły rozmaitych form i wielkości zmieniają się ustawicznie, nie zmienia się tylko wszędzie ten sam kolor żółtawo-cynamonowo-szary. Nawet oddalenie nie zabarwia tych skał spieczonych na błękitno, jak to u nas bywa, chyba będzie bardzo znaczne. Przyczyną tego jest bezwątpienia brak wszelkiej roślinności, a więcej jeszcze suchość i przeźroczystość powietrza. Jest ona tak wielką, że stojąc na górze Oliwnej w Jerozolimie, widziałem morze Martwe, a za niem góry Moabickie, z taką dokładnością, iż mogłem doskonale rozróżniać załomy skał i zawsze widziałem ten sam szary koloryt, prawie bez błękitnego odcienia, choć odległość w prostej linii była co najmniej wiorst 20. Nieraz czytając o takiej przezroczystości powietrza południowego, zachwycałem

[1]) *Byron.* »Narzeczona z Abydos«.

się nią na niewidziane — może ma ona jakie inne zalety, ale pod względem malowniczości, wolę nasze powietrze północne, tak pięknie błękitem malujące góry i przedmioty dalekie, tak łagodzące kontury, dodające lekkości i poezyi wszystkim przedmiotom, które na Wschodzie skaczą do oczu z jakimś brutalnym realizmem.

Płynę tedy, a na widok tej pustyni pryskają i rozwiewają się jak mgły ułudne, wszystkie wyidealizowane tych miejsc obrazy; natomiast stwierdzam naocznie prawdziwość wschodniego przysłowia: »gdzie stąpił koń turecki, tam trawa nie rośnie«. Nie spotykamy ani jednej wioski, ani jednego domu — jedyny ślad ludzki to opuszczony stary zamek na wyspie Mytelene, sterczący smutnie wśród skał nagich i dzikich. Pomimo wszystkiego ranek dnia tego był prześliczny, powietrze ciepłe i lekkie; oddychało się z przyjemnością (niestety, był to jedyny taki ranek), to też dobry humor wszystkich ogarnął; kto żył wyległ na pokład; śpiewy, gawędy, wesołość ogólna; dopiero wzmagający się upał pozapędzał nas do zacienionych kątów, nim dzwonek powołał wszystkich na śniadanie o 11-tej. A warto było w niem uczestniczyć, bo stół na »C a r z e« doskonały. Była w tem zasługa kapitana, niezmiernie dobrodusznego i poczciwego Niemca z nad Bałtyku. Lubił on, jak Zagłoba, zjeść »co dobrego byle dużo« i mówić o gastronomii, a że zwykle siadywałem obok niego, więc się nasłuchałem mnóstwa pożytecznych rozpraw i poznałbym był wiele ważnych sekretów, gdyby nie to, że do kulinarnej sztuki najmniejszych nie mam zdolności i że nasz kapitan, znający pięć czy sześć języków, mówił nimi tak niewyraźnie, że trudno go było zrozumieć, nawet wtenczas, gdy nie jadł.

Nad wieczorem wpłynęliśmy do ogromnej zatoki smyrneńskiej, dla przebycia której potrzebowaliśmy około dwóch godzin; wieczór już prawie był zupełny, gdyśmy zobaczyli przed sobą Smyrnę. Zatoka ogromna, zakończona w półkole górami; u stóp ich, nad samem morzem ciągnie się miasto, które zresztą dość wysoko wspina się po prawej stronie naszej, po górze, zwanej przez ks. Hołowińskiego czasami Pagus ale częściej Pelagus. Zdaje mi się, że pierwsza nazwa prawdziwa, bo wątpię, żeby Grecy górę nazywali morzem (pelagos — morze).

Okolica przedstawiała się dość mglisto, bo słońce już było zaszło

a w tych strefach zmroku prawie niema. Za to zdaleka mieliśmy śliczny widok na port, w którym okręty jaśniały światłem odbijającem się w wodzie. Gdyśmy wjechali do środka, cały urok zniknął; znaleźliśmy się wśród zwykłego gwaru portowego. Trzeszczały żórawie okrętowe, krzyczeli majtkowie, wniebogłosy wrzeszczeli przewoźnicy i barkarze, z miasta, a właściwie z wybrzeża, niemniejszy dochodził nas harmider.

Stanęliśmy niedaleko wybrzeża, spuszczono schodki i wśród młodzieży spragnionej widowisk i uciech miejskich, znaleźli się ochotnicy do ekskursyi; niektórzy dopiero nad rankiem wrócili. Co do mnie, zostałem na pokładzie i miejsca nie mogłem sobie znaleść. Pomimo nocy gorąco było niewypowiedziane. Góry kamienne, napalone słońcem, oddawały cały żar swój, a w zatoce zewsząd niemi zasłonionej najmniejszego nie było powiewu, za to odory z okrętów i z miasta rozchodziły się swobodnie. Siedziałem tedy i wspominałem na troje świętych pacholąt w ognistym piecu babilońskim; zdało mi się, jakbym stał gdzieś niedaleko od niego, tylko, że zamiast hymnu, jaki oni śpiewali, dochodziła mnie operetkowa muzyka z dwóch czy trzech *cafés chantants*, będących tuż w sąsiedztwie naszem.

Na drugi dzień mając parę godzin czasu, wybrałem się z kimś ze znajomych na zwiedzanie miasta. Wybrzeże *(quai)* jest dość szerokie, dobrze brukowane i byłoby przyjemną ulicą, gdyby nie nieznośny fetor z morza i słońce piekące bez pardonu. W samem mieście (a zwiedzaliśmy tylko dolną część jego) ulice wązkie i kręte; widzieliśmy ich dużo, bo przewodnik zwykłym tutaj wybiegiem, wodził nas tam gdzie trzeba, a więcej jeszcze, gdzie nie było trzeba, byle dłużej wodzić i więcej wziąć; bazar wydał mi się porządniejszym niż w Konstantynopolu. Tu także spotkałem po raz pierwszy całe karawany wielbłądów, kroczące powoli. Z kościołów zwiedziłem nową katedrę, gmach dość duży i ładny. Sklepienie bocznych naw jego, wschodnim obyczajem, całe w małych kopułkach. Na presbyteryum ogromne obrazy świętych patronów Wschodu, ale pędzla wcale nieosobliwego. Przed kościołem pomniki marmurowe arcybiskupów Smyrny: Mussabini'ego (przy którym był tu ksiądz Hołowiński) i Spaccapietra, który ten kościół postawił. Zwiedziłem także dawną katedrę t. j. kościół XX. Franciszkanów, byłem u Kapucynów, nic jednak osobliwego nie

dostrzegłem w obydwóch kościołach. Przy greckiej cerkwi widziałem trochę wykopalisk z Efezu.

Krótko byłem w tem mieście, zwanem pompatycznie »perłą Wschodu«, mogę jednak upewnić czytelnika, że nigdybym się nie domyślił, iż zwiedzam »perłę«, gdybym o tem w książkach nie czytał. Chyba tylko mieszkańcy Wschodu mogą uledz podobnemu złudzeniu.

Ksiądz Hołowiński, jak zwykle prawi o piękności tego miasta. Zdaje mi się, że nad wybrzeżem i dalej za miastem jest trochę ogrodów, ale zieloność ich ginie jak mała plamka wobec ogromu całego otoczenia, składającego się z gór skalistych i pustych jak zawsze. Na górze Pagus, nad miastem, wznosi się smutnie stary zamek jeszcze z czasów byzantyńskich. Pamiętam, jak mnie zajmował opis wycieczki ks. H. na tę górę i nad rzeczkę Meles, gdzie to się miał Homer urodzić. Melesu byłbym naprawdę ciekawy, a jeszcze więcej *stadium*, gdzie byli umęczeni św. Polikarp, Pioniusz i wielu innych, ale na górę pustą zupełnie, przez brudne uliczki tureckiej dzielnicy, przy nieznośnym upale, chybabym się nie wybrał, choćbyśmy dłużej nawet stali niż do 11-tej przed południem.

Dodam jeszcze tylko, że o handlu, z którego Smyrna tak głośna, dochodziły mnie bardzo niepochlebne wieści. Utrzymywano np., że towary wschodnie, które tam sprzedają się jako smyrneńskie, w rzeczy samej wyrabiają się w Wiedniu i Hamburgu. O oryginalne zaś wyroby niezmiernie trudno i w małej ilości znaleść może je tylko prawdziwy znawca i towaru i miasta.

Wyruszyliśmy przed południem, przebyliśmy znowu zatokę, a okrążywszy Chios (Szio), zaczęliśmy przerzynać się przez Archipelag ku Atenom i wciąż mijaliśmy opiewane przez Byrona

»Wyspy szczęśliwe, w każdej porze roku
Zarówno miłe i sercu i oku!
Gdy was przychodzień z gór Kolonny wita,
Wraz nagły urok źrenice mu chwyta,
I myśl pogrąża w dumy tajemnicze.
Tu szklanne morza cichego oblicze,
Na falach drobnych, jak uśmiechu dołki,
Gór okolicznych odbija wierzchołki.
. . . . . .
. . . . . .

Tam na skał wierzchu, u ścieku poników
Błyszczy się róża, królowa słowików.
. . . . . .
Tam w polu tyle jest kwiecia dla wianków,
Tam w lecie tyle cienia dla kochanków,
Tam groty dla nich ciosane umyślnie« [1]).

W tem wszystkiem prawdą jest, że groty dla kochanków bez wątpienia znalazłyby się w obfitości, ale kwiecie dla wianków, to już chyba na wiosnę tylko. Wszystkie spotykane wyspy, bez żadnego wyjątku, były to skały i góry, najzupełniej pozbawione nietylko róży, »królowej słowików«, ale najlichszego ziółka nawet.

Może we środku, gdzieś dalej, kryły się ludzkie mieszkania, a przy nich jakie krzewy i drzewa; ze strony morza absolutnie nic takiego nie spotkaliśmy, coby pozwalało przypuszczać, że tu są żywe istoty, bo i zwierzęcia żadnego nie widziałem. Czasami tylko daleko, na lazurowej toni, tkwiła nieruchomie maleńka łódka rybacka o białym żaglu. Zdawać się mogło, że płyniemy wśród jakichś krain zaczarowanych, albo po jakiejś planecie, nie przez ludzi zamieszkałej. Za to morze było stale tak piękne, tak cudownie szafirowe, że wszystkie pochwały poetów są najzupełniej usprawiedliwione, a może nawet zamało ich jeszcze. To też lubiłem cieszyć się niem i lubować, siedząc na ławce, a ciepło, pogoda i nieustanny, jednostajny szum wody, roztrącanej piersią okrętu, sprowadzały bardzo przyjemny stan, pośredni między marzeniem, dumaniem i jakby lekkim snem na jawie. Nazywają to podobno stanem hypnotycznym — mniejsza o nazwę, ale rzecz bardzo miła.

O zachodzie słońca mieliśmy wspaniałe, a raz tylko przezemnie widziane zjawisko optyczne. Nie wiem wskutek czego, ale całe niebo, całe powietrze i całe morze zapaliło się jednym ogniem niezmiernym. Straciliśmy zupełnie różnicę między tymi trzema żywiołami, a okręt nasz był poprostu w jakiemściś morzu światła — i to nie takiego łagodnego, srebrnego, jakie widziałem na morzu Czarnem, ale prawdziwie złotego promienia i żaru. Z tyłu tylko za okrętem woda była szafirową. Widziałem podobne zjawisko na obrazie Ajwazowskiego i nie chciałem wierzyć, by mogło być prawdziwem; zobaczyłem

[1]) »Giaur«.

je teraz w całej rzeczywistości i wyższości, jaką ma natura nad malowidłem. Tak, tylko co się tyczy światła i morza, nie doznałem na Wschodzie zawodu; naprawdę wspaniałe i wyższe nad wszelkie opisy. Przypomniał mi ten zachód ustęp z pielgrzymki ks. Hołowińskiego, który tu przytaczam:

»....Nie mogę zamilczeć błogiego wrażenia, jakie na mnie wywarła żegluga po Archipelagu. Ciemny błękit nieba ubierały daleko liczniejsze niż u nas gwiazdy, rozkoszne powietrze tchnęło całą wonią bogatej Azyi, którem się tak słodko upajać.... Porozrzucane gęsto wysepki, cobyś wziął za owe szczęśliwe wyspy, o których ci niańki bajały w dzieciństwie, te wysepki, gdzie tyle wspomnień poetyczna Hellada przywiązała i te wreszcie ogniwa cywilizacyi wschodniej z grecką... Morze w ciągu naszej żeglugi leżało ciche, gładkie i złotawe od żółtej tu atmosfery, i nieraz w prześlicznych nocach wśród igraszek wesołych delfinów, oczarowany pięknością przyrodzenia i sławnemi wspomnieniami Grecyi, które moją wyobraźnię tak lubo kołysały w pierwszej młodości, wytężałem wzrok, czy rzeczywiście nie ujrzę Aryona żeglującego na delfinie i nadstawiałem ucha, aby przynajmniej doleciał mnie czarujący dźwięk jego lutni... Jeszcze przypadek powiększył urok tej żeglugi, kilka bowiem chat rybackich objął pożar na wyspie Piskopia, a wielka łuna, oświecając część morza i brzeg skalisty, czyniła zachwycającą sprzeczność z resztą okolicy, pokrytej cieniem. Zdawało się, żeśmy wśród zaczarowanej nocy Fausta, kiedy się błąkał po Grecyi i brakowało tylko syreny, coby te strofy powtórzyła:

Chwała morzu! chwała fali,
Co się blaskiem ognia pali!
Chwała ogniowi i wodzie!
Chwała tej cudnej przyrodzie!

Chwała powiewom przyjemnym,
Chwała tym jaskiniom ciemnym;
Bądźcie sławione wespoły
Wszystkie wy cztery żywioły!« [1])

Ustęp ten, na pozór poetycznie napisany, jest dla mnie wzorem wzbudzania w czytelniku zachwytu za pomocą sztucznych środków

[1]) Pielgrzymka. *Szio. Samos. Patmos. Kos.*

i opisów, często wzajemnie sobie przeczących. Jakim sposobem np. atmosfera mogła być tam żółtą i złocić morze, kiedy sam autor o kilka wierszy wyżej powiada, że błękit nieba był ciemny; przeciwnie, morze, niebo, powietrze, wszystko tu jest szafirowe, i bardzo wątpię, czy jest gdzie żółta atmosfera na ziemi. Jakim sposobem, dalej, można było wziąć za szczęśliwe wyspy te skały niepłodne, bezwodne, bez zieleni, skąd na morzu »cała woń bogatej Azyi«, — czy skały okoliczne ją wydawały? Powietrze rzeczywiście bardzo tu miłe, ale zupełnie morskie, woni bogatej Azyi tam ani śladu, bo Azya, w tych przynajmniej miejscach, tylko w kamienie bogata. Najbardziej mnie jednak razi to wmawianie w czytelnika, że wytężał wzrok, by zobaczyć Aryona i to w dodatku po nocy, i nastawiał ucha, by jego lirę posłyszeć. Do jakiego jednak stopnia wpływ wieku jest silnym, kiedy człowiek poważny i umysł wyższy, mógł wmawiać w siebie, że wypatruje i słucha osoby, o której doskonale wiedział, iż nigdy nie istniała.

Podobne ustępy znajdują się i u hr. Raczyńskiego, który o brzegach Bosforu powiada: »tu brzmiała lutnia Orfeusza, kiedy bohater ten z Argonautami po złote runo płynął i kiedy jego modły rozhukanego morza uśmierzały bałwany«, choć wie przecie, że jeżeli Orfeusz płynął po tych wodach, to jego pieśni i modły tak samo uśmierzały bałwany morskie, jakby i nasze uśmierzyły — albo nawet jeszcze mniej. Zbliżając się znowu do Troi, wobec dawnego przylądku Lectos, mówi: »zajęty wspaniałym obrazem, jaki wystawiają wspomnienia Iliady, nie mogłem pozierać obojętnie na to miejsce, na którem niegdyś stanęła Juno, dążąc z wyspy Lemnu na górę Idę. Pasem Wenery strojna, jakże ona piękną była! Nigdy właściwiej matką bogów zwaną być nie mogła«.

Ten ostatni ustęp wydaje mi się nieocenionym i przywołuje wspomnienie nie Iliady, lecz zachwytów Donkiszota nad pięknością »niezrównanej Dulcynei«, które tak samo istniały w wyobraźni tylko.

Tak to wpływ poganizmu jest szkodliwym w najdrobniejszych i najmniejszych nawet rzeczach. Przejęci fałszywemi pojęciami pogańskiemi, poważni i rozumni ludzie bawią się na zimno w wynurzanie zachwytu za pomocą środków zużytych, gdy tymczasem zamiast tych wszystkich syren, Aryonów, delfinów, Junon, historycznie fał-

szywych, estetycznie w tym przynajmniej razie nikłych i bez znaczenia, jakże daleko więcej mówi okrzyk Psalmisty na widok piękności przyrody: »Panie, Panie nasz, jakoż dziwne jest Imię Twoje we wszystkiej ziemi, albowiem wyniosła się wielmożność Twoja nad niebiosa«. Zamiast oddawania chwały (jak to każe czynić syrenie poganin Goethe) morzu, fali i żywiołom, Dawid daleko piękniej i słuszniej wzywa żywioły, by swemu Stwórcy i Panu raczej chwałę oddały: »Chwalcie Pana na niebiesiech, chwalcie Go na wysokościach, chwalcie Go wszyscy aniołowie Jego, chwalcie Go wszystkie wojska Jego, chwalcie Go słońce i miesiącu, chwalcie go wszystkie gwiazdy i światłości...«

Po świetnym zachodzie słońca nastąpił wieczór prześliczny, ciepły i cichy; na pokładzie zapanowało powszechne rozmarzenie; tu siedzi zadumana postać niewieścia i patrzy w gwiazdy, tam chodzi ten i ów, nucąc i pogwizdując z cicha, z salonu słychać muzykę, na ławce koło steru rozciągnął się jakiś mężczyzna i lata myślą Bóg wie jak daleko; mnie także chciało się pójść za ogólnym nastrojem i pochodzić, rozmyślając, ale mi się to nie udało. Z pokładu trzeciej klasy cała kompania dziewczynek greckich, smagłych, brudnych i nieuczesanych wtargnęła do nas, umieściła się na ławce do zwijania lin okrętowych i urządziła nam koncert wokalny *gratis*. Nikt im nie dawał oklasków, bo miauczały haniebnie, ale artystki tak były z siebie zadowolone, że ani myślały przestać i było zupełnie, jak to jakiś asceta o wieczności powiedział: gdzie myślisz, że się wieczność kończy, tam się ona dopiero zaczyna. Ledwo skończyły jedno, zaczynały drugie, tak, iż przypomniało mi się zdanie Sienkiewicza, (»Listy z Afryki«) że Herod był niesłusznie spotwarzaną wielkością — i zdałby się bardzo w tej chwili na pokładzie, nie dla rzezi oczywiście, ale dla zapędzenia tych syren do łóżka.

Nie stało się zadość memu egoistycznemu życzeniu; dzieci piszczały, aż się pospały i wtenczas dopiero mogłem w spokoju używać cudownej nocy. Gwiazdy świeciły jasno, odbijając się w wodzie i »łódź moja płynęła nabijaną światłem drogą«, księżyc blizki zachodu, przeglądał się ukośnie w drobnych falach, tworząc dziwne gzygzaki światła; zdawać się mogło, że to ogień wybucha w wodzie, to tu, to owdzie. Gwiazdom przypatrywałem się pilnie co nocy; widać było

nowe konstellacye, jak np. Oryon, widzialny u nas tylko w zimie; gwiazda polarna zjawiała się coraz niżej; aż ostatniej nocy przed Aleksandryą obie niedźwiedzice gdzieś mi się tak zawieruszyły na niebie, że ani ich, ani naszej gwiazdy północnej odszukać już nie mogłem.

Na drugi dzień od rana płynęliśmy wśród pustych i skalistych brzegów Attyki. Mijamy górzystą wyspę — to Egina, oto druga mniejsza — to Salamina. Ileż wspomnień wywołują te nazwiska! Ale krzyczą Grecy: Ateny, Ateny, patrzcie, Akropolis! Przypatruję się bardzo ciekawie. Wśród gór wyższych i nagich zupełnie, widać niewielki pagórek, także nagi, a na nim mury, zdaje się, dostrzegłem nawet przez szkła, kolumny; u dołu miasto. Nigdzie nie widać nic innego, oprócz skał i kamiennych budynków; wprawdzie wewnątrz są jakie takie ogrody (jak mówią), ulice wysadzane drzewami, ale zdaleka wydaje się to niesłychanie smutne i piękny opis Aten w »Wyroku Zeusa« Sienkiewicza jest czysto fantastycznym; nie można chyba powiedzieć naprawdę tego, co w tem opowiadaniu »w dal godzący« Apollo rzekł do Hermesa: »Trzeba przyznać, że Atene cudną sobie obrała siedzibę«. Siedziba jest i była zawsze dość smutną, a jednak to miejsce skaliste, tak skąpo od natury obdarzone, tak słuszną zyskało sobie sławę na cały świat. »Attyka — powiada ten sam pisarz (Wycieczka do Aten) – jest przecie intellektualną macierzą całej cywilizacyi. Bez niej, niewiadomo gdziebyśmy byli i czembyśmy byli. Jest ona słońcem świata starożytnego, a po swym zachodzie dziejowym pozostawia jeszcze blask tak mocny, że z tych promieni narodzi się renesans po średniowiecznej pomroce«.

Rzeczywiście nie było chyba na świecie narodu bardziej obdarzonego przez Boga wszystkimi darami natury, nad Greków — i cóż oni z nimi zrobili? Krótki stosunkowo czas, w którym dobrze ich używali, posłużył do wytworzenia nieprzestarzałych nigdy wzorów doskonałości w sztuce plastycznej, poezyi, wymowie, historyi, rzucił niezagasły nigdy blask chwały na ich dzieje, ale potem wszystko zmarnowali, roztrwonili. Grek stał się synonimem przewrotności, rozwiązłości, lekkości umysłowej i moralnej; został stałym pierwiastkiem zepsucia w dziejach, tak że ono przewyższa stokrotnie wszystko, co dobrego dawni Grecy zrobili. Tej późniejszej ich roli przebaczyć

im nie mogę i mam szczególny wstręt do tego narodu; nie mogę tylko zdecydować, kiedy byli gorszymi. Gdy czytam dzieje starożytne, zdaje mi się, że nowożytni są lepsi, kiedy zaś przeglądam ich historyę chrześcijańską, myślę, że Grecy poganie byli jednak mniej zepsuci. Mam wstręt szczególny do nich właśnie dlatego, że mogliby byli tak dużo zrobić dobrego, a zrobili tak mało stosunkowo do swych zdolności; za to — złego bez miary. Prawdą jest, że *corruptio optimi, pessima* (zepsucie najlepszego, najgorsze).

Pireus, połączony koleją żelazną z Atenami (18 minut drogi), posiada port dobry i obszerny, tylko wejście do niego niewygodne; mówiono mi, że rząd grecki sam nie ma pieniędzy na jego rozszerzenie, a przez ambicyę nie zgadza się, by to zrobiły cudzoziemskie przedsiębiorstwa. Dokoła portu wzgórza niewysokie, na nich miasto, a za niemi widać wyższe góry. Pozycya byłaby bardzo piękną, gdyby nie zupełny brak roślinności; w całem mieście widziałem ze cztery niewielkie drzewka, wyglądające trwożliwie z za murów. W oddaleniu pokazywano mi na pustem skalistem wzgórzu pomnik Byrona, a dalej niewielki gaik; jest to ogród i willa królewska. Jak ci ludzie tu żyją na tych kamieniach pustych i rozpalonych! A jednak mnóstwo bogatszych ucieka tu na lato z Egiptu, gdzie gorąco dochodzi 45° R. i więcej.

Właśnie znaczna ich liczba wsiadła na nasz okręt, jadąc z powrotem; przybyło także mnóstwo wyrobników, handlarzy itp., którzy w celach zarobku odbywają z Grecyi pielgrzymkę na południe. Zrobiło się więc jeszcze gwarniej na »Carze«. Około statku na morzu wrzało i kotłowało zapamiętale — to przewoźnicy takie piekło tam wyprawiali. Mieliśmy już próbkę ich krzykliwości w Smyrnie; tu, chociaż byli daleko hałaśliwsi, wydali mi się jednak cichymi barankami wobec aleksandryjskich i jafskich. Staliśmy krótko, bo tylko parę godzin, poczem ruszono dalej. Cały dzień ten płynęliśmy wśród Cykladów, nazajutrz jeszcze tylko ukazały nam się zdaleka zamglone góry Kandyi, niby obłoki nad morzem, i już potem nic widzieliśmy nic, prócz nieba i wody; — ja co prawda, widziałem pierwszy raz w życiu słońce wychodzące wprost z morza. Zrana szóstego dnia po opuszczeniu Konstantynopola (a była to niedziela), zbliżaliśmy się do Aleksandryi; widać żółty pasek na horyzoncie; to już Afryka, to najdawniejsza kraina historyczna, ziemia niewoli — Egipt.

Znudzeni długą wodną podróżą, jesteśmy wszyscy na pokładzie, patrząc, jak się ten pasek płowy ku nam przysuwa. Wtem wydaliśmy okrzyk podziwu: część morza, dotąd szafirowa, zmieniła się nagle w zieloną, a te dwie barwy stały obok siebie tak bezpośrednio, nie mieszając się wcale, że połowa okrętu naszego była na szafirowem morzu, a druga na zielonem. Ktoś nam tłómaczył to zjawisko tem, że to wody Nilu tak daleko wchodzą do morza. Płynęliśmy jednak po tej zieleni z półtorej godziny, potem znowu był szafir aż do brzegu. Wreszcie ukazała się dość wyraźnie Aleksandrya; kamienne miasto na piasczystem wybrzeżu; tylko po prawej stronie widać było za miastem szereg palm wysokich.

Wpływamy do portu; przypatruję się z zajęciem cytadeli zbombardowanej przez Anglików podczas powstania Arabiego baszy i dotąd nie naprawionej; około niej pałac chedywa i latarnia morska. Gdy coraz powolniej zbliżamy się do granitowego wybrzeża, widzimy tam tłum pstry, niesłychanie hałaśliwy i niespokojny. Skaczą, biegają, wymachują rękami; na okręcie także ożywienie: znajomi i krewni poznają się, witają chustkami i kapeluszami.

Widok portu w Aleksandryi.

Stanęliśmy tuż przy granitowym brzegu; ustawiają mostek, ale tłumowi tak pilno wtargnąć do nas, że żandarmi nie mogą go uspokoić. Zauważyłem starca z siwą już brodą, ale niezmiernie, jak widać, cholerycznego temperamentu, który się rwał przed wszystkimi. Żandarm, ogromny murzyn, w żółtem letniem ubraniu, mitygował go widocznie i czarną swoją pięść, bardzo okazałych wymiarów, tkał mu pod sam nos. Kiedy w Europie stróż porządku przemowę do publiczności tak wyrazistym popiera gestem, wszyscy go zrozumieją odrazu; zawzięty Egipcyanin nie chciał, czy nie mógł tego pojąć, i jakby to była nie pięść, lecz bukiet kwiatów, pchał się po

dawnemu. Wtenczas żandarm odchylił się trochę w tył i gruchnął nogą natręta w samą pierś, uczynił zaś to tak zgrabnie, żem odgadł odrazu, jak często mu się zdarza przemawiać w taki sposób bezpośrednio do serca swych braci. Stary też zrozumiał w końcu, czego od niego chciano i uspokoił się znacznie, za to ja oburzyłem się straszliwie. Potem jednak, kiedym parę miesięcy pobył na Wschodzie, przekonałem się, że ludzie tutejsi nie rozumieją niestety innej wymowy i innych argumentów i to upodlenie człowieka, upadek jego do poziomu bydlęcia, a nawet niżej (bo bydlę często łagodność i dobroć rozumie), było jednem z najbardziej przykrych wrażeń mej pielgrzymki. Biedni ludzie!

Gdy mostek ustawiono, cały tłum niecierpliwy rzucił się na nasz okręt i skacząc, wyjąc, gestykulując w jednej chwili go zalał. Tak musiały wyglądać miasta, zdobywane ongi przez barbarzyńców, tylko że nad naszymi najeźdźcami pilnie czuwano i przy wszystkich drzwiach wiodących do wnętrza, stała straż okrętowa. Za to pokłady zostały zajęte; wrzeszczące kolorowe figury skakały na dno składów okrętowych, windując stamtąd bardzo zręcznie tłomoki i paki ogromne. Z okrętu znowu również, z krzykiem i nawoływaniem, wybierali się przyjezdni; żaden opis nie da wyobrażenia o tem, co się tam działo. Co do mnie, za pomocą znajomej już służby okrętowej przeniosłem moje rzeczy i sam przeszedłem na pokład stojącego obok drugiego ruskiego okrętu »Oleg«, który za parę godzin miał wyruszyć do Jaffy. Nie korzystałem jednak z czasu, by oglądać Aleksandryę, jak to zrobili towarzysze mojej podróży, lecz poszedłem spać do kajuty, bom upadał ze znużenia.

»Oleg« był to mały okręt (1.500 tonn), na który właśnie ładowano towary. Żóraw okrętowy obracał się na wszystkie strony, aż się okręt chwiał trochę, łańcuchy na blokach zgrzytały przeraźliwie, ze wszystkich stron brzmiał hałas straszliwy, a nad nim dominowała komenda majtków: wiraj, wiraj, — hajda, — stop itd.

Pomimo tego wszystkiego zasnąłem. Nieraz mnie zapytywano, gdym mą peregrynacyę opowiadał, dlaczego jechałem do Aleksandryi, czemu nie wprost do Jaffy, poco to przesiadanie? Ponieważ odpowiedź może komu posłużyć za pożyteczną wskazówkę, więc ją tu umieszczam. Komunikacyę Odesy ze Wschodem utrzymuje »Ruskie

towarzystwo żeglugi parowej i handlu«. Między zaś Odesą i Aleksandryą posiada ono dwie tak zwane »linie«: jedna dłuższa wzdłuż wybrzeży, druga krótsza wprost do Aleksandryi. Statki pierwszej zatrzymują się w Konstantynopolu, Dardanellach, Athosie, Salonice, Pireusie, Chiosie, Smyrnie, Trypolisie, Bejrucie, Jaffie, Port-Saidzie i Aleksandryi. Na tę drogę potrzeba dni 16, bo wyruszywszy z Odessy we Wtorek, staje się w Aleksandryi szesnastego dnia we czwartek i czeka tam do niedzieli, kiedy przychodzi okręt linii prostej; ten zaś z Odesy idzie tylko dni dziewięć i zatrzymuje się w Konstantynopolu, Smyrnie, Chiosie (raz na dwa tygodnie tylko), Pireusie i Aleksandryi. Jadący do Jerozolimy, przesiada się teraz na okręt dłuższej linii, wracający do Odesy tą samą drogą, w odwrotnym kierunku; wprawdzie wypłynąwszy z Aleksandryi w niedzielę, w Jaffie stanie dopiero we wtorek zrana, zawsze jednak, porachowawszy wszystko, zyskuje cztery doby czasu, jedzie prawie cały czas na wielkim okręcie, więc ma większą wygodę, bezpieczeństwo i mniej ulega morskim kaprysom.

Ukończono przygotowania i »Oleg« wyszedł z portu; zaledwo jednak dostał się na pełne morze, zaraz poznałem, że rzeczy zmieniły się na gorsze. Wiatr był silny, ale na morzu »zajączki«, okręt mały i słabo naładowany, zaczął huśtać się bardzo poważnie. Wytrzymałem godzinę, drugą, ale dłużej nie było możności; na pokładzie niema gdzie się schować, a wiatr tak dmucha, jakby mu zawadzało, że my tam jesteśmy; a przytem huśtanie się, to całkiem nie odpowiednia rozrywka dla człowieka poważnego. Zaczynam doznawać dziwnego niesmaku. Poszedłem na dół, ale tam jeszcze gorzej, bo wszystkie męzkie kajuty pierwszej klasy były nad samą śrubą okrętową. Kiedym się położył na łóżko, skakałem i trząsłem się z nim razem, jak żaden człowiek w najgorszej febrze nie skacze. Przytem ciasno i duszno. Stało mi się jasnem, że morska choroba ze mną zabiera znajomość. Zawsze nie lubiłem niepotrzebnych znajomości, ale przyznaję, że chyba żadnej z takiem obrzydzeniem nie zawierałem, jak tę właśnie. Na szczęście w pierwszej klasie nie było ani jednej kobiety; kajuty ich i salon, oddalony od śruby, stały pustkami, więc się w nim ulokowałem i na jakiejś sofie przeleżałem i przespałem noc całą bez nadzwyczajnych dolegliwości.

Około dziewiątej zrana stanęliśmy w Port-Saidzie. Znowu po-

wtórzył się ten sam co w Aleksandryi napad przewoźników i komisantów. Do mnie i do dwóch ruskich urzędników przyczepili się dwaj młodzieńcy miejscowi, mający na piersiach kurtek wyhaftowane czerwonemi ruskiemi literami swe imiona: »Mustafa maładiec« (zuch) i »Mahomet maładiec«. Niech jednak nikt nie myśli, żeby ta firma dawała jaką gwarancyę uczciwości, albo żeby noszący ją zostawali w jakimkolwiek stosunku z konsulatem ruskim. Jest to przedsiębiorstwo prywatne, i uprzedzam, że obydwa ci zuchy, pomimo swej młodości, są już owocami dojrzałymi jeśli nie do szubienicy, to w każdym razie do domu poprawy lub więzienia; to jedno ich może tłómaczyć, że i wszyscy ich bracia tacy sami. Oni też pierwsi zaznajomili mnie z właściwością egipskiego motłochu, że gdy zapłacisz im raz, oni za pięć minut przyjdą upominać się po raz drugi o zapłatę, a gdybyś i wtenczas zapłacił, przyszliby raz trzeci i ileby się dało.

W Port-Saidzie okręt miał stać siedm godzin, więc wysiadłem na ląd, żeby, nahuśtawszy się po »rozbujałych fluktach«, wzmocnić nogi chodzeniem po stałej i niekapryśnej ziemi. Niezbyt dawno w jednym z tygodników warszawskich czytałem opis Port-Saidu tak pełen zachwytu, że mógł go pisać tylko człowiek przez dłuższy czas bawiący na pustyni, a więc spragniony jakichkolwiek śladów cywilizacyi. Wydało się to miasto autorowi artykułu, pełnem zieloności, wspaniałych gmachów, pysznych magazynów; nie wiem, czy europejską część Kairu można z większą emfazą opisać.

Port-Said, jak na miasto wyrosłe na szczerym piasku, przedstawia się wcale pokaźnie, chociaż nic w niem niema, coby dać mogło powód nietylko do zachwytu, ale nawet do podziwu. Ulice proste i w miarę szerokie, domy kilkopiętrowe, porządnie i po europejsku pobudowane, tylko bez dachów; od czasu przeprowadzenia kanału słodkiej wody, jest też i drzew trochę, jest para ulic wysadzonych niemi, są maleńkie ogródki prywatne, widziałem nawet jeden publiczny, bardzo niewielki. Słowem miasto wygląda porządnie i nudnie; nic dziwnego zresztą, bo jeszcze młode, a wzniósł je tylko handel przy najgorszych miejscowych warunkach. Wolę jednak oczywiście to prozaiczne miasto europejskie, niż wrzekomo poetyczne miasto wschodnie, bo co mi to za poezya, gdy chodząc po ulicach doznaje

się wrażenia, jakby się wzięło dozę emetyku, albo przechodziło przez morską chorobę.

Dopytałem się z łatwością do klasztoru XX. Bernardynów, przed którym jest ów właśnie ogródek publiczny, a w nim kilka miniaturowych gazonów. Przypatrywałem się tym malutkim płatkom zielonej trawy z prawdziwą radością; nie widziałem jej już więcej niż od dwóch tygodni. Przy dużym kościele, którego teraz nie zwiedziłem, mają Ojcowie dość duży dom piętrowy; przez całą długość jego, na dole i na górze idzie korytarz, a po obu stronach cele. Tablica marmurowa głosi, że dom ten fundowała hrabina czy księżna Dietrichstein. W środku klasztor dość wygodny, tylko niekoniecznie porządnie utrzymany, ale wszystkie klasztory wschodnie są takie same, bo przeważnie przez Włochów zamieszkane, wiadomo zaś, że ci nie odznaczają się zbytecznem ochędóstwem. Między kościołem a klasztorem mają malutki ogródek, może 30 kroków długi i szeroki. U furty przyjął mnie O. Hołubowicz, Kroat, o nadzwyczaj miłej twarzy i dziwnie łagodnych czarnych oczach. Przeorem jest O. Barnaba, Alzatczyk. Krępy, zdrowej, czerwonej twarzy, z bródką francuską, wyglądał na przebranego w habit francuskiego kapitana. Bawiłem później dobę w tym klasztorze, i miałem sposobność zauważyć, że pozory nie myliły, że trzymał wszystko w wojskowym rygorze. Rozmawiałem z nim o Port-Saidzie, a tymczasem zdawało mi się, że on i ja i obadwa jego pokoje, pomaleńku podnoszą się i opadają, zupełnie jak »Oleg«. Dowiedziałem się, że kościół i klasztor od kilku dopiero lat istnieją, że księży jest 5, a 4 braciszków. Parafia łacińska liczy 8,000 wiernych; są jeszcze parafie katolickie Maronitów i Greków. Ponieważ mieszka tu dosyć Greków, protestantów i oczywiście sporo mahometan, więc wnoszę, że ogólna liczba mieszkańców może wynosić do 15,000.

Tuż, przez wązką ulicę, klasztor zakonnic, podobno Dobrego Pasterza. Jest ich około 60, mają szpital, pensyonat, schronisko dla opuszczonych dziewcząt i szkółkę elementarną dla dziewcząt także. Bracia nauki chrześcijańskiej mają klasztor i szkołę, do której uczęszcza około 600 uczniów. Słuchałem tych szczegółów i innych jeszcze z podziwem i zbudowaniem; jaka to bowiem heroiczna miłość bliźniego, porzucić swój kraj, służyć bliźnim (po ludzku sądząc, zgoła

na żadne poświęcenie nie zasługującym i najgorszego gatunku) darmo, starając się samym o swe utrzymanie, żyjąc lada czem i dusząc się w tym piecu ognistym! Ten wzgląd ostatni najmocniej teraz oceniałem, bo w mieście upał był nieznośny. Pogawędziwszy trochę, wyszedłem na przechadzkę. Nie długo trzeba było iść, żeby wyjść z miasta, i wkrótce znalazłem się nad brzegiem morza. Pusty on był co prawda, ale w pewnej odległości od niego, szła bardzo dobra szosa, przy niej gdzieniegdzie budki strażników murzynów. Widziałem też tu i owdzie jakieś nieokreślone przedmioty, które brałem za zagrody z gałęzi, gdzie z miasta śmiecie składają. Powiedziano mi, że to są *casucce dei poveri* — chatki ubogich. To pewna, że u nas najlichszy chlew, jeszcze jest o wiele lepszym.

Było południe; pomimo to mogłem spacerować swobodnie, bo od morza wiał silny i chłodny wiatr, a na morzu »zajączków« liczba nieprzebrana. Bardzo mnie to niepokoiło, ale że nie było rady więc przynajmniej chciałem wzmocnić się nieco kąpielą w morzu. O pływaniu wobec takiego jego stanu, nie było co i myśleć, więc bawiłem się tem, że trzymałem się mocno słupów, a fale z szumem i hukiem przelatywały mi przez głowę, zalewając słoną wodą. Niewielka to jednak była pociecha wobec tego, że czwarta godzina po południu zbliżała się, i trzeba było wracać na okręt. Wracam tedy i widzę, że w pierwszej klasie, kobiet jak kwiatków w ogrodzie. Gwarno wszędzie, ciasno wszędzie, co to będzie, co to będzie? Już ze wszystkiego widzę, że bardzo źle będzie. Jakoż i było. Wiatr dął jeszcze silniej, niż pierwej, okręt pochylał się jeszcze głębiej, niż w nocy, a ja siedziałem na pokładzie, patrzałem na żagiel skręcony w pytkę, którym wiatr szarpał zawzięcie, i zadawałem sobie niemądre pytanie, czemu ten wiatr wyrwał się teraz właśnie, i coby mu szkodziło, gdyby choć dobę poczekał.

Uciekłem do kajuty, ale tam rozpoczęły się w mem życiu godziny jeżeli nie całkiem czarne, to bardzo szare, więc wolę na nie zarzucić nieprzejrzystą zasłonę milczenia. Literatura jednak nasza nic na tem nie straci; słyszałem bowiem, że przed laty, jedna z naszych powieściopisarek-podróżniczek, przechodziła podobne koleje, i opisała je w któremś z pism warszawskich ze wszystkimi możliwymi szczegółami; mogę więc czytelnika lubiącego dokładność, do

tych cennych wspomnień z podróży odesłać. Nie wiedziałem gdzie się podziać, i co z sobą zrobić; na szczęście poczciwy kapitan, który nie mógł zrozumieć, jak przy tak pięknej pogodzie i na jego »Olegu« chorować można, pozwolił mi położyć się na ławce przed swoją kajutą, która mnie od wiatru zasłaniała; tam przekołysałem się noc całą aż do Jaffy. Noc była wilgotna bardzo, ale że ciepła, i żem się dobrze okrył, więc nic mi to nie zaszkodziło, choć ją przepędziłem *à la belle étoile* w literalnem znaczeniu.

Około 8-ej zrana słyszę wołania, że widać już Jaffę; jakoż podniósłszy się z mej ławki, zobaczyłem w oddali długi brzeg płowy, a na nim miasto dość malowniczo od morza wznoszące się na szczyt kamiennego pagórka. Nad wszystkimi domami panował krzyż na wieży nowego kościoła XX. Franciszkanów (właściwie Bernardynów). Miałem więc przed sobą miasto najstarsze na świecie, bo podanie utrzymuje, że Noe tutaj budował arkę, i że Jafet wzniósł na nowo zburzone przez potop miasto. Trwając tak długo ma ono oczywiście nader bogatą historyę. Bywało tu bardzo gwarno, gdy naprzykład Hiram spławiał cedry z Libanu dla Salomona; gdy wylądowywali krzyżowcy; bywa tak i teraz, gdy przybywają liczni pielgrzymi różnych wyznań i narodowości. Bywały też pustki zupełne, gdy miasta nie było w XV i XVI wieku, a nieliczni pielgrzymi musieli w jaskiniach szukać noclegu i schronienia.

Jaffa.

Jaffa przechodziła często z rąk do rąk, a prawie zawsze z »akompaniamentem« krwi, ognia i zniszczenia. Więc w 164 r. przed Chrystusem, Judasz Machabejczyk, mszcząc się utopienia 200 żydów (Jaffa dopiero przy Szymonie została przyłączoną do Judei), spalił miasto, zniszczył port i wymordował wszystkich, którzy nie zginęli w ogniu. Z powodu buntu jakiegoś, prokonsul Cestyusz wyrżnął

w niej 8,400 mieszkańców; nieco później Wespazyan, karcąc rozboje, miasto zniszczył, mieszkańców wymordował. W czasie wojen krzyżowych, Saladyn znowu zburzył Jaffę. W 1197 r. sułtan Egiptu Melek-el-Adel, zabił w niej 20,000 chrześcijan. W 1267 r. sułtan Bibers znowu ją zupełnie zburzył, i w tym stanie pozostawała długo; dopiero zaczęła się podnosić w XVII wieku. W końcu XVIII wieku zdobył ją Napoleon Bonaparte, i kazał rozstrzelać 1,300 mameluków. Kiedy się przypomina takie wypadki, można zgodzić się na czyjeś zdanie, że najszczęśliwsze są miasta, czy narody, nie mające historyi. Teraz Jaffa jest w stanie lepszym niż kiedy; rozbudowała się znacznie ku południowi i ku północy, a mogłaby stać się miastem zupełnie handlowem, gdyby posiadała port. Niestety, nie ma go. Wzdłuż brzegu ciągną się, nie wiem, czy resztki dawnej tamy, czy też, co mi się prawdopodobniejszem wydaje, podwodne skały, które przystęp okrętom zupełnie czynią niemożliwym. Kiedy morze spokojne albo przynajmniej niebardzo wzburzone, duże łodzie przepływają między temi skałami, i zabierają podróżnych z okrętów, zatrzymujących się na pełnem morzu o jaką wiorstę. W czasie zaś burzy, okręty nie zbliżają się i mijają Jaffę, inaczej bowiem, może je spotkać los »Czichaczewa« (małego), który przed kilku laty wpadł na te rafy i rozłamał się na dwoje; ledwo ludzi wyratowano. Mówiono mi, że dwie zagraniczne (chrześcijańskie oczywiście) kompanie, podejmowały się zbudować port na pewnych warunkach, lecz Turcy nie zgodzili się, i sami nic nie robią.

Zbliżaliśmy się coraz więcej do miasta, ale, niestety, nie mogłem nietylko przypominać sobie jego historyi, lecz ani nawet patrzeć na nie. Nabrawszy bowiem otuchy, że oto w końcu jesteśmy u celu, wstałem z mego łoża, niekoniecznie wygodnego (była to ogrodowa ławka z grubych prętów) i po herbacie wyszedłem na pokład: tu znowu spotkałem się z morską chorobą. Siedziałem więc zbiedzony na ławce, wyglądając co czas pewien ku morzu, i tak mnie nic nie obchodziło, że gdybym był wówczas zobaczył, jak Perseusz leci wyzwalać Andromedę (co tu miało się stać), tobym obojętnie machnął ręką — a niech sobie leci, kiedy mu pilno.

Tymczasem słyszę, jak Włosi dziwy sobie opowiadają o tutejszych przewoźnikach, i wskazując na zbliżające się ich łodzie, mówią:

ecco vengono i cannibali [1]), a kannibale rzeczywiście zbliżają się, wyjąc jak szakale, to znikają wśród fal, to zjawiają się na ich grzbietach. Słyszałem już dawniej o tem, jakiego to rodzaju są ziółka, czytałem wiele o ich natręctwie, drapieżności, bezczelności; wiedziałem, że wziąwszy podróżnego, zwłaszcza kobiety, na morzu domagają się podwójnej i potrójnej zapłaty, że rzucają je do wody nie doniosłszy do brzegu (bo łodzie nie zawsze przybić mogą). Wracając już do domu, widziałem nawet ofiarę ich brutalstwa. Jechała z nami staruszka, pielgrzymka z głębi Rossyi, którą taki kanibal niósł do łodzi, i wrzucił do środka jak pakę. Upadła piersią na ławkę, i chodziła teraz co dnia do lekarza, zgarbiona i kaszląca.

Obecnie niewiele o nich dbałem, bom się poznał na okręcie z przełożonym tutejszego domu Braci szkół chrześcijańskich, który miał swoją łódź, obiecał mnie zabrać do niej i przez komorę celną przeprowadzić. Zaledwo okręt zatrzymał się, wnet cała ta zgraja wdarła się na pokład, i widzę, jak jakaś złodziejska, oszpecona ospą facyata, nachyla się ku mnie i wrzeszczy: *hotel* czy też *guide kuk, kuk, kuk!* (Cook). A idźże ty sobie, bracie miły, na cztery wiatry; właśnie mam głowę o kukaniu myśleć, gdy mi morze dyzgusta czyni, jak widzisz.

Poszedł, ale przypadli inni, i wołają na mnie różnymi językami, słysząc jednak tylko gniewne mruczenie, i widząc zresztą, że mam daleko pilniejszą robotę, niż rozmowę z nimi, dali mi pokój; ja tymczasem uspokoiwszy się nieco, zabrałem się z moim poczciwym towarzyszem, przebyłem szczęśliwie skały, i wylądowałem przed komorą, przez którą, dzięki jemu, przeszedłem tylko, nie zatrzymując się zgoła.

Poszliśmy do *Casa nuova*, to jest do domu dla pielgrzymów łacińskich XX. Franciszkanów. Hospicyum to znajduje się tuż obok komory, przy ulicy nadbrzeżnej (Ks. Pelczar zapewne przez zapomnienie mówi o wspinaniu się do klasztoru, wejście bowiem jest na dole). Pożegnałem mego przewodnika, który mnie oddał w ręce służby miejscowej, przebyłem pewną liczbę schodów i znalazłem się w dwóch sklepionych celach.

---

[1]) Oto idą kannibale (ludożercy).

Doznałem nietylko ulgi, ale jakby jakiegoś rozrzewnienia. Jestem oto w Ziemi Św., czuję grunt stały pod stopami, otaczają mnie twarze życzliwe. Przyszedł brat Piotr zaniepokojony mojem niezdrowiem i zmęczeniem, przyszedł refektaryusz Giuseppe, 20-letni chłopak z dziwnie poczciwym uśmiechem, przyszedł ktoś jeszcze, a wszyscy troszczą się i chodzą, jakby około krewnego i przyjaciela. W dodatku cela wytynkowaną i pobieloną była tak, że mi przypomniała ubogie dworki wiejskie (posadzka tylko była marmurowa). Podobieństwo uzupełniały dwie litografie na ścianie, podobno Św. Antoniego i Matki Boskiej. Efekt psuło mi tylko morze, które przez ulicę huczało i szumiało; byłem na nie tak oburzony i zagniewany, że coprędzej pozamykałem okna i spuściłem żaluzye, żeby go nie widzieć, i jak najmniej słyszeć. Dostawszy się do tego spokojnego zakątka, z rozbujałych bałwanów, z pomiędzy ludzi obojętnych, przeszedłszy pomiędzy rozbestwionymi barkarzami i chciwymi łupu celnikami tureckimi, odczułem doskonale wielkość i piękność miłości chrześciańskiej bliźniego, która wzniosła ten dom, trzyma tu tych Hiszpanów i Włochów na to, żeby przychodzień z dalekiej północy znalazł w nim przytułek, obronę od wyzysku i dusze życzliwe.

Pomimo zmęczenia, ogarnąwszy się trochę, prosiłem, by mnie poprowadzono do kościoła; trudna to była droga dla zmęczonego, bo trzeba było przejść 120 schodów. Wpuszczono mnie do środka i zostałem sam jeden. Modliłem się przed wielkim ołtarzem, nad którym wisi obraz Św. Piotra, otrzymującego misyę opowiadania Ewangelii poganom. Klęczałem z trudnością, bo nogi się podemną uginały ze zmęczenia, ale nie mogłem oprzeć się wrażeniu, jakie wywołało, nietylko przybycie do Ziemi Św., lecz i ten obraz także, przypominający, że w tem właśnie mieście, i tak niedaleko od tego miejsca [1]) zdarzył się wiekopomny wypadek, od którego losy świata się zmieniły.

Odpocząwszy kilka godzin, wybrałem się na zwiedzenie osobliwości Jaffy, w towarzystwie klasztornego dragomana i przewodnika, którego muszę czytelnikom moim zaprezentować, bo się z nim jeszcze spotkamy. Jest to młody Syryjczyk, katolik, nazywa się Zacharyasz;

---

[1]) Ks. Hołowiński powiada, że klasztor stoi na miejscu domu Szymona, ale się myli, bo dom ten był nieco wyżej, tam, gdzie dotąd jego miejsce pokazują.

miasto zna bardzo dobrze, bo z niego rodem, bardzo uczciwy, i co dziwna, nie zauważyłem w nim wcale chciwości, od której mieszkaniec Wschodu rzadko bywa wolnym. Po francusku mówi nie szczególnie: *père, peur* i *beurre* brzmią u niego jednakowo, jak *beurre*, zrozumieć go jednak można od biedy.

Polecić Zacharyasza mogę każdemu, bo na to zasługuje. Z nim tedy rozpocząłem spacer po mieście; pierwej jednak, nim pójdę dalej, wypada słów kilka powiedzieć o hospicyum i klasztorze XX. Franciszkanów. Niezbyt dawno jeszcze klasztor był mały i ciasny [1]), liczba cel dla podróżnych niewielka, kościołek mały i wilgotny. Nad klasztorem zaś wznosiła się na górze stara cytadela. O takim stanie wspominają ostatnie nasze pielgrzymki do Ziemi Św. Obecnie rzeczy zmieniły się na lepsze. Fortecę zakupili Ojcowie, i na jej miejscu wybudowali sobie nowy kościół i klasztor, dawny zaś oddali cały na użytek pielgrzymów, a kościołek na refektarz, jeżeli liczba ich bywa większą. Ponieważ między starym a nowym klasztorem idzie ulica, której znieść nie było można, więc zrobiono pod nią podziemne przejście. Takim sposobem klasztor sięga teraz od morza prawie aż na szczyt wzgórza, i mówił mi braciszek, że z dołu na najwyższy taras prowadzi 240 schodów, do kościoła zaś jest ich tylko połowa. Kościół duży i piękny, kilka lat dopiero jak skończony. I on i kilka innych, które w tych czasach zostały przez XX. Franciszkanów zbudowane, lub odnowione, mają wspólny charakter i jakby familijne podobieństwo. Prawie wszystkie (oprócz Betlejemskiego) są w stylu Odrodzenia, budowane dobrze, obszerne, czyste, nawet ozdobne, ale właśnie w tych ozdobach brak artystycznego piękna. Marmurów tam dość (kamień to zresztą na Wschodzie pospolity); posadzki też bywają zwykle marmurowe, tak samo różne gzemsy, cokoły, tablice, ściany zaś pokryte stiukiem; otóż kolory tych ozdób kłócą się ze sobą stale. Ściany są najczęściej żółto-kanarkowe, pilastry czerwone, a gzemsy i inne marmurowe ozdoby jasno-popielate; więc ciągły dysonans. Obrazy przytem, zawsze bardzo średnie, a prawdę mówiąc, bez żadnej wartości artystycznej; o wyjątkach wspomnę na swojem miejscu.

[1]) Chociaż ks. Hołowiński nazywa go »ogromnym w kształcie twierdzy« chyba dla tego tylko, że dawniejszy drewniany był jeszcze mniejszy. Podobieństwa do twierdzy nie mogłem w niczem dopatrzeć.

Poszliśmy najpierw zobaczyć dom Szymona białoskórnika, gdzie to Św. Piotr, modląc się na tarasie, miał widzenie opisane w X-tym rozdziale Dziejów Apostolskich. Kiedym wszedł w uliczkę, wiodącą do tego miejsca, przestraszyłem się, bom takich brudów i plugawstwa, jeszcze dotąd nie widział.

Na miejscu owego domu stoi mały, niesłychanie brudny meczet. Przez sień jego wchodzi się na niewielki wewnętrzny dziedziniec,

Dom Szymona białoskórnika.

ocieniony drzewem figowem, gdzie stoi duże kamienne koryto, które jakoby służyło jeszcze Szymonowi do moczenia skór. Po schodkach zewnętrznych wstępuje się na taras, skąd doskonale widać i słychać morze, bardzo blizkie. Stamtąd poszliśmy na rynek, zwany na Wschodzie bazarem. Zdawało mi się, żem się znalazł w zbiegowisku drapichróstów z całego świata. Okropne, zakazane fizyognomie! Większość stanowili włościanie okoliczni, odziani w sine koszule do kolan; inni mieli na sobie krótkie siermięgi, rozszerzone na ramionach,

w białe i brunatne podłużne pasy. Spotykałem też beduinów, ubranych w długie aż do ziemi suknie; nie wiem po co ich tyle w takie gorąco na siebie nakładli. Twarze i postacie wyglądały odrażająco; opalone, rozczochrane, brudne, w łachmanach i dziurach, zabijały resztki złudzeń o »wschodniej malowniczości«.

Kazałem się prowadzić wśród sławnych ogrodów jafskich do domu i grobu Tabity. Ileż to ja naczytałem się o tych »wspaniałych« ogrodach; że tak je nazywa brat Liévin w swym *Guide-indicateur*, temu się nie dziwię; kto, jak on, ze 30 lat mieszkał wśród kamieni jerozolimskich, temu każde zielone drzewo może się wydać wspaniałem; niech jednak czytelnik do tych ogrodów wcale nie stosuje pojęcia, jakie my mamy o wspaniałości tego rodzaju.

Zajmują one rzeczywiście przestrzeń znaczną, i widziane zdaleka, wydają się pięknie — niby las jaki, lecz zblizka jest zupełnie inaczej. Są to poprostu drzewa, przeważnie cytrynowe i pomarańczowe, sadzone w pewnem od siebie oddaleniu, małe i nizkie, jak np. 10-letnia wiśnia, więc ogród wygląda, niby sad włościański u nas, z tą różnicą, że niema ani podścieliska trawy i zielska, ani żadnych drzew większych, bo i palmy, zdarzające się czasami, zwykle są młode i nie wysokie.

O jakichbądź ścieżkach, o planie, upiększeniu, oczywiście ani kto myślał nawet. Ogrodzenie składają czasami rowy, czasami kolczaste kaktusy, najczęściej suche gałęzie cierni, pokładzione bezładnie na granicy. Na wiosnę, kiedy niema jeszcze grubej warstwy pyłu, pokrywającej wszystko, kiedy te drzewka kwitną i pachną, może tu być rzeczywiście przyjemnie, zwłaszcza jeżeli kto ma gust niewybredny. Ja, niestety, do tych szczęśliwych nie należę, więc też porównywając to, com czytał, z tem, na com teraz patrzał, znowu spadałem z urojonych wyżyn, jak to zresztą prawie przy każdej powtarzało się sposobności.

Nie dodała w moich oczach uroku, nawet ta okoliczność, że wśród tych ogrodów, niegdyś spotkał się król Ryszard Lwie Serce, z królową sycylijską, Berengaryą. Mijaliśmy gęstych przechodniów; prawie wszyscy nieśli mniejszą lub większą ilość grubej, fioletowej trzciny, którą łamali i żuli. Była to trzcina cukrowa. W jednem miejscu zobaczyłem idących szybko pięciu młodych jeszcze włościan. Ręce

mieli związane z tyłu, a dwaj żołnierze, jadący za nimi konno, trzymali ich na sznurach, jak charty na smyczy. Czy to złodzieje? — zapytałem. Nie, to są rekruci — odpowiedział Zacharyasz. Przypomniał mi się epizod, z ostatniej russko-tureckiej wojny, opisany przez Niemirowicza-Danczenkę (»Rok wojny«). Nie pamiętam w jakiej bitwie, Rossyanie wparli oddział piechoty tureckiej do rzeki, z której wyjść nie można było, bo drugi brzeg stanowiła stroma granitowa ściana, a naokoło pozycye były już przez Rossyan zajęte. Więc też oficerowie i żołnierze krzyczeli do nich, żeby przestali strzelać i poddali się, ale ci, w wodzie po pierś, nie chcieli przyjąć *amanu*, strzelali ciągle i wyginęli do ostatniego. Doprawdy, że takich żołnierzy warto lepiej traktować. Zajrzałem do wnętrza chatki, stojącej przy drodze, przez drzwi odemknięte. Nie do uwierzenia co się tam dzieje. Okien niema, a tak brudno, że aż się zimno robi na myśl, jaka tam ilość robactwa się gnieździ. Po dość długiej przechadzce, doszliśmy do studni Abu-Nabut'a (ojciec maczugi), który był rządcą Jaffy na początku XIX wieku. Jest to budynek o trzech wysokich kopułkach, z rodzajem spiczastych wieżyczek po rogach, i wśród zieleni wygląda wcale dobrze. Wydał mi się ze zwyczajnego kamienia, tylko pobielany, w opisach jednak czytam, że jest z białego marmuru. Wątpię, ale się sprzeczać nie będę, bo dobrze nie pamiętam. Napiłem się wody; ciepła i niesmaczna, ale na Wschodzie przebierać pod tym względem nie można; każda woda dobra, byle nie zepsuta.

Od tej fontanny, czyli raczej studni, już niedaleko do domu Tabity. Jak wiadomo z dziejów Ap. (roz. IX) świętobliwą tę wdowę wskrzesił Św. Piotr na prośby ubogich, dla których była matką i opiekunką. Do niedawna miejsce jej domu i grobu było własnością prywatną, ale przed laty kilkunastu kupiło je ruskie stowarzyszenie palestyńskie, i zmarły niedawno, niezmiernie ruchliwy i czynny protojerej Antonin, wybudował na miejscu, gdzie miał stać dom Tabity, wcale dużą cerkiew, a przy niej bardzo wysoką dzwonnicę, widną zdaleka. Obok cerkwi dom dla duchownych. Przy wejściu zobaczyłem pierwszy raz, jak osiołek zaprzężony do dyszla, obraca poziome zębate koło, które znowu porusza drugie pionowe, a na tem zawieszony na drabinie ze sznurów, cały szereg dzbaneczków, czerpiących wodę ze studni, i wylewających ją do koryta, którem ścieka do ła-

dnej czworokątnej sadzawki. Dokoła widać ład i porządek, kwitną kwiaty i krzewy; zaraz można poznać, że tu mieszkają ludzie z Europy. Cerkiew wewnątrz jeszcze niezupełnie ozdobiona, malowana jaskrawo, co na Wschodzie i katolicy zachowują; nasze mdłe kolory nie mają tutaj miru. Na prezbyteryum, za carskiemi wrotami pokazywano mi obrazy, malowane przez zakonnika, umyślnie aż z Poczajowa sprowadzonego.

Na pochyłości niewielkiego pagórka, na którym stoi cerkiew, ciągnie się spory ogród, a w nim grób Tabity. Jest to grota w skale, a w grocie po bokach i w dole kilka podłużnych nisz na trumny lub zwłoki. Usiadłem dla odpoczynku na kamieniu; słońce chyliło się ku zachodowi, naokoło był ogród, przypominający nasze wiejskie zapuszczone sady (bo tu już nie było tak porządnie jak przy cerkwi), przedemną niewielki piasczysty pagórek, na którym jeszcze ocalało trochę zielska, trochę badyli; zupełnie jak u nas w późnej jesieni. Myśl w jednej chwili przeleciała przez morza i lądy, do miejsc dalekich, i jeszcze dalszych czasów. Wracaliśmy potem powoli, wśród gajów cytrynowych i pomarańczowych; czasami z pomiędzy nich wystrzeliła palma, banany rozkładały swe szerokie liście, straszyły kolcami mięsiste kaktusy; za ogrodami słońce gasiło swe promienie w lazurowej toni i dochodził trylujący, gardłowy głos muezzina, wzywającego prawowiernych do modlitwy: »Chwała Najwyższemu Panu okręgów świata! Boże, błogosław naszego pana i naszego zbawiciela Mahometa, jego rodzinę i wszystkich towarzyszy«. Tak, byłem na Wschodzie, ale jakże on był różnym od tego, jakim go widywałem niegdyś w opisach i wyobraźni!

Nazajutrz o świtaniu zbudziły mnie dziwne głosy, idące od morza. Było to coś niby mruczenie wściekłej złości, niby ryk przytłumiony, niby bulgotanie wody w jakiejś bezdennej gardzieli. Domyśliłem się, że to wielbłądy urządzają mi *„Morgen-serenadę“*, o wiele mniej piękną niż Szubert-Liszta. Jakoż tak było. Tuż koło klasztoru kończył się dziedziniec komory celnej, zapchany beczkami i towarami, które co rana wkładano na grzbiety wielbłądów. Gniewało je to, więc mruczały, alem się im nie dziwił, bo komu »taki interes« może być przyjemnym? Na szczęście mieszkałem wysoko, a byłem zmęczony, więc nie zważałem na wielbłądzie głosy i spałem dalej. Gdy nadeszła pora

Mszy Św., wydrapałem się znowu po 120 schodach do kościoła, który i teraz znalazłem już pustym, choć było zaledwo wpół do dziewiątej; tak wcześnie kończą się tu nabożeństwa.

Wiadomo każdemu księdzu, że w czasie Mszy Św. po prefacyi w początku kanonu, wymienia się imię biskupa tej miejscowości, w której się Msza odprawia. Zapomniałem zapytać przede Mszą, więc przypomniawszy sobie przy ołtarzu, skinąłem na braciszka, służącego mi do Mszy, by się zbliżył i pytam: jak imię waszego Patryarchy? A ten mi szepce do ucha: Ludwik, ale niema go w domu; pojechał do Bejrutu. Poczciwy braciszek! Żeby go nie zgorszyć niepotrzebną ciekawością, wytłumaczyłem mu po Mszy, na co mi imię biskupa było potrzebne.

Zwiedziłem potem szkółkę niższą, utrzymywaną przez Ojców w klasztorze i udzieliłem łaskawie amnestyi kilku łobuzom czarnookim, którzy ze złożonemi nad głową rękami klęczeli pośrodku klasy. Następnie odwiedziłem mego wczorajszego protektora w jego klasztorze. Jestto dom nowy, nawet jeszcze dla braku środków niezupełnie skończony. Przełożony oprowadzał mnie wszędzie z wielką uprzejmością. Wszedłem do jednej ze starszych klas i trafiłem na lekcyę geografii; po krótkiej przemowie do uczniów, zarządziłem doraźny egzamin. Zwiedziwszy jeszcze parę klas, weszliśmy do pokoju profesorów. W szkołach świeckich jestto pokój, w którym nauczyciele odpoczywają, gawędzą, palą papierosy; tutaj znalazłem kilka ławek, a w nich z 10 brodatych księży, w starych, wypłowiałych sukniach; każdy miał obok siebie sporo zeszytów, które przepatrywał i poprawiał. Nawet ubodzy ludzie świeccy, a prawdę mówiąc i duchowni, nie zawszeby uwierzyli, w jakiem ubóstwie i prostocie pędzą tu dobrowolnie życie ci księża i to w klimacie szkaradnym i wśród jeszcze szkaradniejszych mieszkańców. Przełożony, który miesiąc był nieobecnym, zastał swą celę zajętą nie wiem już na co i mieścił się w jakimś składzie. Zbudowany jego ubóstwem, rzekłem mu: miałem siebie za ubogiego, ależ u mnie przepych i marnotrawstwo w porównaniu z mieszkaniem księdza superyora. A on mi na to z uśmiechem: ba, ale ja wykonałem ślub ubóstwa.

Widok z okien tego domu bardzo piękny; z jednej strony morze, z drugiej ogromny obszar ogrodów, wydających się stąd uroczo.

Naprzeciwko domu Braci szkół chrześcijańskich jest szpital; usługują tam siostry francuskie od Św. Józefa (była wśród nich jedna Polka). Szpital ten fundował bogaty Francuz Guinet, który zachorował był śmiertelnie gdzieś w Syryi. W czasie choroby poznał, w jakie opuszczeniu zostają tu biedni Europejczycy, więc uczynił ślub, że jeżeli wyzdrowieje, zbuduje szpital i osadzi przy nim zakonnice, żeby oszczędzić innym cierpień, przez jakie sam przechodził. Wyzdrowiał też i ślub wykonał.

Trzeba było wracać, bo o 2-giej popołudniu odchodził pociąg do Jerozolimy. Znowu więc przechodziłem przez miasto pod palącymi promieniami słońca, brnąc w pyle i przypatrując się rozmaitym scenom wschodniego życia. Spotykałem ciągle obładowane wielbłądy; co to za brzydkie choć pożyteczne stworzenie! Stąpa powoli, miarowym krokiem, stawiając ciężko swe szerokie stopy. Szyja wygięta zlekka się kołysze, a na niej obrzydliwa głowa z jeszcze obrzydliwszym pyskiem. Zwisła dolna warga pozwala widzieć szkaradne żółtozielone zęby, żujące często suchą słomę czy badyle. Robiły one na mnie wrażenie zrezygnowanej na wszystko brzydoty.

Przeszedłszy rynek, weszliśmy na główną ulicę; widzę, że z pod kamiennego progu jednego domu wypływa ciągle brudna woda i rozlewa się swobodnie po bruku. Co to? — pytam Zacharyasza. To wylewają wodę z łaźni tureckiej. Na fajerce pełnej żaru piecze sobie ktoś kukurydzę i jeszcze nad nią miotełką powiewa, żeby dym cuchnący dalej się rozchodził. Oto schody do domu, na nich leży rozkładający się zdechły szczur, obierzyny jarzyn, resztki owoców i inne rzeczy *innominables*. Bruk oślizgły od pozostałości po wielbłądach, koniach i osłach, niezamiatany nigdy i niepłukany deszczem już od sześciu miesięcy; to też jak ulica wonnie i pięknie wyglądała, niech się już sam czytelnik domyśli. Jakże jednak ten Wschód bardzo różnym jest od poetycznych jego obrazów i opisów!

Po 1-ej Zacharyasz zaprowadził mnie na dworzec kolei. Mały to budynek ale wystarczający. Pociąg także mały, z kilku niewielkich wagonów złożony; przy mnie dodawano osobny wagon-salon dla konsula francuskiego, który po dłuższej nieobecności wracał do Jerozolimy. Myślałem opierając się na opisach, że zaraz za Jaffą wjedziemy na spaloną pustynię, tymczasem spotkał mnie przyjemny

zawód. Pola były pokryte zieloną rośliną, trochę nasz perz przypominającą; jakieś to zielsko niepotrzebne, ale ożywiało krajobraz. Niedaleko Lyddy, w której bardzo prędko stanęliśmy, rozpoczęły się obszerne oliwkowe ogrody, koło Ramleh także, więc rzeczywistość okazała się tu lepszą niż się spodziewałem.

Lydda (Dispolis, dawniej Lod) odgrywająca pewną rolę w historyi kościelnej tego kraju, że tu Św. Piotr uzdrowił paralityka Eneasza (Dzieje IX 32—35) i że tu w 404 r. miały być pochowane zwłoki patrona Wschodu Św. Jerzego, umęczonego za Dyoklecyana w Nikomedyi. Nad jego grobem wzniesiono kościół wielokrotnie burzony i odnawiany. Od bardzo dawna stał on napół zrujnowany, a do ruin grecy i łacinnicy rościli pretensyę. Ostatecznie w 1870 r. rząd turecki oddał je grekom, lecz chcąc załagodzić katolików, ustąpił im za to jakieś inne pamiątkowe miejsce.

Ramleh.

Ramleh, dawna Arymatea, skąd pochodzili Józef i Nikodem, posiada klasztor XX. Franciszkanów, wysoką i zdaleka widną wieżę, zwaną 40 męczenników, stare cysterny i rozmaite ruiny. Pociąg zatrzymał się na stacyi, odległej od miasteczka o jaką wiorstę, na kilka minut tylko, więc oczywiście zwiedzić go nie mogłem; natomiast zrobiłem tam znajomość o tyle miłą, o ile pożyteczną. Wyszedłszy z wagonu chodziłem po platformie dręczony pragnieniem i rozmyślałem, jak tu się wody napić. Wprawdzie arabięta wykrzykiwały: *moje, moje,* (woda) ale drobnych nie miałem. Gdy tak medytuję i sprawdzam ewangeliczne opowiadanie o znaczeniu szklanki wody, słyszę głos uprzejmy: *permettez moi, Mr. l'abbé, de vous offrir une tasse de café.* Obejrzałem się i zobaczyłem stojącego na schodach specyalnego wagonu siwego już, ale czerstwego mężczyznę, o czysto francuskiej twarzy, a przed nim sługę z trzema filiżankami tureckiej kawy i tyluż

szklankami wybornej wody na tacy. Był to właśnie konsul, p. Karol Le Douix, którego zawiadowcy kolei (zbudowanej i zarządzanej przez Francuzów) tak honorowali na pierwszej a potem na ostatniej stacyi. Oczywiście skorzystałem z uprzejmego wezwania i uraczyłem się nietyle kawą ile wodą. Grzeczny konsul zaprosił mnie do swego wagonu i przez całą drogę był niesłychanie uprzejmym gospodarzem i przewodnikiem, bo mi wskazywał wszystkie historyczne miejscowości, któreśmy mijali, chwaląc się przytem ciągle drogą żelazną; napełniała go ona widocznie wielką dumą.

Do Ramleh jechaliśmy dawną drogą pielgrzymów, ale odtąd zrobiliśmy znaczny zwrot ku południowi, bo kolej weszła nad brzeg potoku (suchego jak prawie wszystkie przez całe lato) i trzymała się się go stale aż do Jerozolimy, oszczędzając sobie przez to niesłychanych trudności i kosztów wśród gór. Jechaliśmy tedy po krańcach równiny Sarońskiej i po kraju Filistynów; można śmiało powiedzieć, że każda piędź ziemi ma tu swoją historyę i widziała dziwne a ciekawe rzeczy. Tędy ciągnęły w różnych kierunkach niezliczone wojska począwszy od Ramzesa, gdy walczył z Hewejami aż do Mehmeta-Alego i Ibrahima. Tu koczowały plemiona chananejskie, tą drogą Jakób ciągnął do Egiptu, tędy i Św. Rodzina uciekała także; Filistyni staczali tu walki z żydami, tędy chadzali Machabeusze, tu odbywały się bohaterskie zapasy krzyżowców, po tych równinach ciągnęły muzułmanom posiłki egipskich sułtanów, tą drogą młody Bonaparte szedł do Ptolomaidy i cofał się z pod niej.

To też o każdej miejscowości można wiele ciekawych opowiadań czytać w kronikach, pomijam je jednak, bo nie piszę historyi tego kraju. Wspomnę tylko o niektórych: z lewej strony za Ramleh zobaczyłem na niewielkim wzgórku wieś, którą p. Le Douix nazwał Jasur, i twierdził, że według podania, Św. Rodzina przechodziła tędy w ucieczce do Egiptu. Czy podanie prawdziwe, nie wiem, ale ta wieś bodaj inaczej się nazywa, bo br. Liévin — Jasur mieści między Jaffą a Lyddą. Przede wsią na obszernem klepisku leżało rozłożone zboże, a wieśniak zaprzągłszy do sanek parę wołów, jeździł sobie po niem w kółko. Tak się tu młóćba odbywa. Pierwsza to była wieś wschodnia, którą zbliska ujrzałem; nic ona niema wspólnego z naszemi wsiami, rozłożonemi szeroko po rozdołach i pagórkach, składającemi

się z chat o dachach spiczastych, słomą pokrytych a tonących w zieleni sadów. Tutejsze wsie cisną się i kupią na szczycie skalistej góry, a przynajmniej pagórka, bo na dolinie czyha febra i śmierć. Chaty są to mniejsze lub większe sześciany z kamienia albo z cegieł suszonych na słońcu (niewypalanych), oczywiście bez dachów, a przyparte jedne do drugich. Ogrody, jeśli są, leżą zawsze w pewnem oddaleniu za wsią, a składają się z drzew oliwkowych. Zapewne hodują gdzieś i jarzyny, ale warzywne ogrody tylko trzy czy cztery razy widziałem. Jeżeli wieś taka jest większą i bogatszą, a na wysokiej górze zbudowaną, wygląda malowniczo lecz smutno. Niema tam nic z tego, co u nas cały urok wsi stanowi — szerokich przestrzeni, lasów, wód, ogrodów, powietrza czystego, swobody; jedyna wygoda, że pożary tam nie straszne, bo niema palnego materyału, tylko sama glina i kamień. Inne znowu miejscowości warte wzmianki są: Aakir, dawne Akkaron, niegdyś stolica jednej z pięciu satrapii filistyńskich. Tu niegdyś była wyrocznia, do której Ochozyasz, król izraelski, posyłał z zapytaniem, czy wyjdzie z choroby.

W połowie prawie drogi przebywamy dolinę Sorek; tu gdzieś mieszkała Dalila i tu był pojmany i oślepiony Samson. Wprawdzie autorowie bardzo pięknymi rysunkami ozdobionego dzieła *Palästina in Bild und Wort*, pp. Ebers i Guthe mieszczą dolinę Sorek znacznie niżej na południu, ale nie jest mojem zadaniem prowadzić geograficzne spory, więc przechylam się do opinii br. Liévin'a. Czytając powyższe dzieło, miałem próbkę postępowania protestanckich ortodoksów, za jakich obaj ci uczeni chcą uchodzić. Oto najpierw dość było, żeby napotkali jakiekolwiek podanie, przywiązane do pewnego miejsca czy budynku, żeby wszelkich używać starań do obalenia go, chociaż najczęściej nic pewnego natomiast podać nie umieli. Taki to już protestancki duch przeczenia i przekory. Jeszcze gorszy sposób ich postępowania względem Jezusa Chrystusa. Okazują Mu w słowach najwyższą cześć i stale nazywają Zbawicielem *(unser Heiland)*, tymczasem również stale starają się wszystkie Jego cuda tłumaczyć sposobami naturalnymi, stawiając Go w alternatywie, że albo nie wiedział co robił albo udawał dla »dobra ludzkości«. To pewna, że taką samą cześć oddawali Zbawicielowi żołnierze, którzy przed Nim klękali i bili trzciną po głowie, wołając: witaj królu żydowski!

Grunt powoli zaczął się podnosić; zbliżaliśmy się do gór Judzkich. Pociąg nasz, który i tak niebardzo się spieszył, zwolnił jeszcze trochę biegu; pomimo to nie mogłem nacieszyć się jazdą po drodze żelaznej i ustawicznie wszelkie błogosławieństwa zsyłałem na głowę Francuzów, którzy ją zbudowali. Przed wyjazdem moim i powróciwszy ze Wschodu, nasłuchałem się mnóstwa utyskiwań na tę kolej, dlatego jakoby, że zniknął urok, zaginęła poezya dawnych pielgrzymek odbywanych pieszo, konno, albo na wielbłądach. Opinia ta tak jest rozpowszechnioną wśród naszego, widocznie bardzo poetycznego społeczeństwa, że echem jej stał się nawet uczony ks. Pelczar. W pielgrzymce swej, odbytej w 1872 r., omawiając już wtenczas istniejący projekt tej drogi żelaznej, utrzymuje, że to będzie wielka szkoda, »bo Jerozolima straci swój urok i zmieni się na zwyczajne nudne miasto europejskie«. Pozwolę sobie być zupełnie innego zdania. Kolej żelazna, ani przerobienie Jerozolimy na miasto europejskie, nie odejmie jej nigdy tego, co stanowi jej wartość i nadaje urok w oczach chrześcijanina i każdego oświeconego człowieka; nie zniszczy miejsc świętych i historycznych pamiątek. Ponieważ uczony autor z pewnością tegoż samego jest zdania, więc widocznie mówił tylko o teraźniejszym sposobie zabudowania miasta. Czy jednak może mieć jaki urok peezyi lub piękna to, że uliczki są wązkie, źle albo wcale niebrukowane, pełne śmiecia i brudów, że są otoczone wysokiemi ścianami wskutek tego źle przewietrzane, bez żadnego widoku, że domy są niewygodne, brzydkie i wilgotne, że nie mają ani ogrodów, ani dziedzińców, że w Jerozolimie brak wody, paliwa, oświetlenia i wielu innych rzeczy, bez których w Europie najlichsze miasteczko już się nie obejdzie?

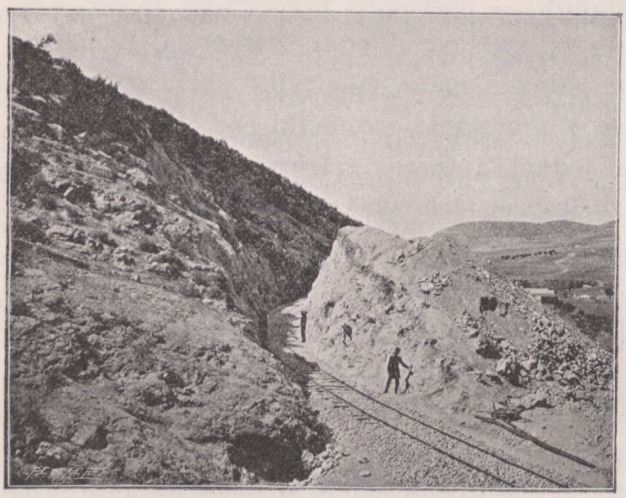

Kolej w górach judzkich

Jeżeli to ma stanowić urok świętego miasta, zapewne może go żałować, kto chce, ale przyznaję, że ja nie będę do liczby żałujących należał, bo nie widzę racyi, dlaczegoby miejsca, tak nam drogie, miały być zawsze w stanie ruiny, zaniedbania i dzikości.

Albo ta poezya podróży na koniu lub wielbłądzie. Prawda, pięknie wygląda pułk kawaleryi, gdy na wypoczętych koniach, w czystych mundurach, przy dźwięku trąb przechodzi przez miasto; prawda, daleko przyjemniej i poetyczniej przejechać kilka godzin dobrymi końmi i dobrym powozem po dobrej i pięknej drodze, niż pędzić w zamkniętym wagonie; ale proszę na ten pułk popatrzeć po dwóch, trzech dniach marszu, gdy ludzie i konie w pyle, na spiekocie, ostatkiem sił dochodzą do celu, albo gdy w deszcz i błoto z trudnością się wloką po drodze; ale proszę przypomnieć sobie dawne długie podróże końmi, dawne popasy po karczemkach, o których takie rzeczy opowiadano, że włosy na głowie powstawały, noclegi po żydowskich zajazdach; gdzie tu poezya?

Pamiętam dobrze te męczące podróże włościańskimi końmi, pamiętam, że nieraz nie mogąc oprzeć się zaciętym atakom krwiożerczego napastnika, pierzchałem sromotnie z łóżka i dusznej izby do sieni na wózek i przyznaję, że wolę dziś zdrzemnąć się na ławce wagonu, niż poezyę owych noclegów mej młodości. Więc i teraz błogosławiłem kolej żelazną, bo bez niej musiałbym ze trzy dni odpoczywać w Jaffie, a potem tłuc się po szosie na wózku; pytanie tylko, czy możnaby go było znaleść.

Wyjechaliśmy w góry; są one bardzo różne od wszystkich, jakie widziałem; zwykle bowiem góry są spiczaste, tutaj zaś przeważa forma bardzo długich, ogromnych wałów kamiennych; ostre szczyty są rzadkie. Wydały mi się one lepiej niż sądziłem. Prawda, że są to skały, ale nie tak zupełnie nagie, jak się tego spodziewałem; tu i owdzie czepiają się ich krzaczki dębiny karłowatej; dość często można spotkać drzewa oliwne, rosnące niewiem jakim sposobem na skalistym gruncie, czasem nawet widać całe ogrody oliwne. Niestety i ta skromna roślinność coraz bardziej znika, bo mieszkańcy wyrywają drobne drzewka z korzeniem i wiozą do Jerozolimy na opał. Widziałem z bólem serca całe szeregi wielbłądów obładowanych tym smutnym towarem i całe stosy korzeni, leżące na składach. Zresztą do Jerozo-

limy dowożą teraz węgiel kamienny, ale w całym kraju odbywa się po dawnemu niszczenie roślinności. Przypomniały mi się stosunki leśne gdzieindziej; tam jeszcze korzeni nie sprzedają, ale jeżeli gospodarstwo takie jak dziś potrwa dłużej, to musi i na nie przyjść kolej.

Mój uprzejmy cziczerone wskazał mi w pewnem oddaleniu na lewo wysoką górę, wznoszącą się nad Anatoth, rodzinną wsią Jeremiasza proroka; wyliczał też i inne, które pominę, by wspomnieć tylko o jednem miejscu, przy którem ogarnął mnie rój smutnych myśli i okropnych obrazów. Łożysko potoku, wzdłuż którego jechaliśmy, przecina z południa na północ jar głęboki, a w nim po prawej stronie naszej, na pochyłości góry leży Bettir albo Bether; nieco zaś dalej wznosi się skała, na której odegrał się ostatni akt upadku żydowskiego narodu.

Za panowania Adryana (w pierwszej połowie II w.) zjawił się w Judei niejaki Bar Kochebas, który się podawał za obiecanego Mesyasza i zebrał około siebie resztki swego narodu. Wpływ jego wzrósł, gdy głośny mędrzec i nauczyciel Ben-Akiba, uznał go publicznie za »Tego, który miał być posłan«. Wzmógłszy się na siłach, powstał przeciwko Rzymianom. Cesarz wysłał do Judei Juliusza Sewera i rozpoczęła się prawdziwa wojna wyniszczenia, walka na śmierć, bo o życiu nie było co myśleć. Rzymianie prowadzili ją tak, jak to oni umieli, zostawiając za sobą tylko niebo i ziemię, a ani jednej istoty żyjącej; żydzi znowu walczyli z wściekłością i nienawiścią, jakiej nie wiem, czy dałby się w historyi drugi przykład wyszukać. Dochodziło do tego naprzykład, że obdzierali Rzymian żywcem ze skóry i pod temi skórami sypiali.

Jerozolima znowu wpadła w ręce Rzymian, a Bar-Kochebas cofnął się w te niedostępne wertepy i zamknął na wspomnianej, oddzielnie stojącej i ufortyfikowanej skale. Żydzi bronili się zaciekle przez trzy i pół lata, wreszcie Rzymianie zdobyli twierdzę szturmem; Bar-Kochebas zginął z bronią w ręku, a Akiba skonał w najstraszliwszych torturach. Zdjęto z niego skórę i darto go żelaznymi grzebieniami, a on w mękach powtarzał: »Słuchaj Izraelu: jeden jest Pan Bóg twój«. Miało zginąć w Bettir około pół miliona żydów; co pozostało, sprzedano do niewoli w Gazie i Hebronie. Odtąd wyparci ze swej ojczyzny, rozprószyli się żydzi po całej ziemi, unosząc w sercach

ziarno nieprzebłaganej nienawiści do całego świata, które się tak na sprzyjającym gruncie przyjęło, rozrosło i wybujało, że nienawiść stała się charakterystycznym ich przymiotem, jak pycha, waleczność, głupota lub lekkomyślność innych ludów. Nikt tak nie umiał, nie umie i nie wiem czy kiedy potrafi nienawidzieć, jak ten naród szczególny. Z tem wszystkiem chociaż późniejszą działalność judzkiego plemienia wśród chrześcijan znam i oceniam podług jej wartości, nie mogę się bronić (i nie chcę) wielkiemu współczuciu i szczeremu podziwowi dla bohaterów tych ostatnich walk izraelskich. Jak oni jednak byli bardzo nieszczęśliwi i jak wielcy w swej demonicznej zawziętości ci obrońcy Jerozolimy przeciwko Tytusowi i Bettiru przeciwko Sewerowi, a jak olbrzymio lepsi i wyżsi od swoich, nam współczesnych potomków! Ci wprawdzie potrafią gubić tysiące i setki tysięcy, nie wrogów, lecz nic im nie winnych ludzi, sami jednak ginąć już nie umieją, chyba przypadkiem, gdzieś na granicy, przy przemycaniu wódki od kuli strażnika!

Słońce już prawie zachodziło; zbliżaliśmy się do Jerozolimy, a mnie srogie trapiły niepokoje. Ze stacyi kolei do bramy miasta trzeba jechać dorożką jeszcze ze dwadzieścia minut, tam zaś znaleść tragarzy i iść piechotą do Casa-Nuova t. j. do hospicyum XX. Franciszkanów. Jak ja sobie dam radę wśród tego motłochu, którego języka nie znam, ale za to poznałem wielką pożądliwość cudzego grosza i cudzej własności? Zwierzyłem się z tych kłopotów memu towarzyszowi, a ten mnie odrazu uspokoił. *Je m'en charge*, zawołał, dam księdzu jednego z mych kawasów, on odbierze pakunki, najmie powóz i do samego klasztoru doprowadzi. Podziękowałem serdecznie i uspokoiłem się.

Zmrok zapadł i ujrzałem domki niemieckiej kolonii — to początek Jerozolimy. Nie można już teraz wysiadać, klękać na ziemi i odmawiać zwykłych w takim razie pacierzy, ale pomodliłem się jak mogłem w wagonie i w uroczystym nastroju za chwil kilka wysiadłem na stacyi — w Jerozolimie. P. Le Douix pożegnawszy się ze mną pojechał, a jego kawas zaopiekował się mojemi rzeczami bardzo poczciwie. Kiedym już siedział w powozie, zbliżył się do mnie jakiś młodzieniec, przedstawiając się jako sekretarz p. konsula, od którego otrzymał polecenie towarzyszenia mi i doprowadzenia aż do drzwi mej celi w Casa-Nuova. Jacy to jednak bywają uprzejmi i dobrzy ludzie na świecie! Jedziemy tedy, a choć już zmrok był zupełny, poznaję

poważne, surowe mury miasta, cytadelę sterczącą wysoko nad szosą, po której jedziemy, bramę Jafską.

Gdy się temu przypatruję, ze wzruszeniem słyszę, że p. sekretarz czegoś bardzo żywo domaga się od woźnicy. Okazało się, że kazał mu jechać środkiem drogi, nie zaś nad brzegiem i opowiedział mi, że przed rokiem o mało się w tem miejscu nie trafiło nieszczęście. Od czasów Św. Franciszka Serafickiego żaden generał franciszkański nie był w Jerozolimie, dopiero właśnie teraźniejszy zapowiedział był swój przyjazd. Wśród Ojców Franciszkanów oczywiście powstało wielkie *gaudium;* w dniu oznaczonym, co było znaczniejszego, wyjechało na dworzec dla powitania wysokiego gościa. Właśnie generał, kustosz Ziemi Świętej i ktoś trzeci ze starszyzny siedzieli w jednym powozie, ale woźnica muzułmanin wiózł ich tak samo jak mnie, nie środkiem drogi lecz brzegiem, przy którym żadnej baryery ani muru nie było. Skończyło się na tem, że powóz spadł do jaru 12 metrów głębokiego. Widziałem to miejsce potem w dzień. Tuż przy drodze spad jest stromy zupełnie i ze 4 metry wysoki, dalej idzie łagodniejsza skalista pochyłość aż do spodu; jak się tam nikt wtenczas nie zabił, prawdziwie nie rozumiem; niedarmo też Ojcowie na pamiątkę tej bytności postawili posąg Św. Franciszka na wewnętrznym dziedzińcu. Po tym wypadku Turcy wprawdzie obmurowali to miejsce, ale na innych równie dobrze można kark skręcić w razie potrzeby. Przypuszczam, że jeżeli duch Damianiego patrzał ze sfer górnych na tę scenę, musiał i w niebie powtórzyć swoje zdanie: *Turchi non sono gabasze.*

Wjechaliśmy do świętego miasta przez bramę »Nową«, zatrzymaliśmy się przy jakimś rowie i utykając wśród kamieni po nierównym bruku, wśród ciasnych jak korytarze ciemnych uliczek, dostaliśmy się wkrótce do Casa-Nuova, a pan sekretarz opuścił mnie dopiero, gdym się w mej celi rozgościł.

Na samym wstępie dowiedziałem się, że bawią tu moi znajomi, spotkani w Konstantynopolu. Była to przyjemna dla mnie niespodzianka, bo mieli pierwej zwiedzić Bejrut i Damaszek; więc powitanie, gawęda, herbata przyrządzona jak należy (tutaj bowiem nie umieją się z nią obejść), a potem zasłużony odpoczynek. Zasnąłem z myślą: jestem w Jerozolimie.

CZĘŚĆ DRUGA

Jerozolima widziana z góry Skopus (półn.-wschód)

ROZDZIAŁ I.

Jeruzalem. Trochę topografii, historyi i statystyki.

Nazajutrz obudziłem się formalnie chory, zwlókłszy się jednak z łóżka, dolazłem z biedą do odległego o jakie 40 kroków parafialnego kościoła XX. Franciszkanów, pod wezwaniem N. Zbawiciela (SS. Salvatoris), gdzie z największym wysiłkiem odprawiłem Mszę Św. O żadnych wycieczkach myśleć nie mogłem i powróciwszy natychmiast do swojej celi, przeleżałem dzień cały.

Nad wieczorem zrobiło mi się nieco lepiej, więc też wyszedłem, jak to lubię w obcem miejscu robić, samotny, na zwiady. Tylem o Jerozolimie czytał, tak się w jej planach rozpatrywałem, że ufałem sobie i nie bałem się zabłądzić; jakoż najszczęśliwiej powiodła mi się wycieczka, choć bez przewodnika. Dostałem się więc wkrótce za tę samą bramę Nową, przez którą wczoraj przyjechałem i zawróciłem na Wschód ku górze Oliwnej. Z lewej strony miałem miasto nowe,

po europejsku zabudowane, alem na nie żadnej uwagi nie zwracał; zastanowiła mnie tylko szosa, o której że jest, nie wiedziałem, bo też niedawno ją zrobiono i doprowadzono do połowy odległości ku Jerycho. Po prawej ciągnęły się mury zębate, poprzedzielane wieżami. Raz się zniżały, drugi raz podnosiły wysoko, czasami oddzielały je od drogi szerokie, w skale kute fosy, pełne kamieni i gruzów. Szedłem wzdłuż nich powoli, doznając nieopisanych wrażeń na myśl, że oto idę pod murami Jerozolimskimi, że depczę ziemię, po której stąpały stopy tylu i takich ludzi. Skończyły się domy i mam już po lewej stronie tylko skaliste wzgórza, w dali widzę urwiska i jaskinie, — w tej oto dużej, poznaję ją, Jeremiasz miał płakać nad gruzami Jerozolimy, na tem wzgórzu może stały namioty Sennecheryba, może obozowali Rzymianie, lub krzyżowcy, stąd może szturmował Saladyn, ale wszystkie imiona i wspomnienia pierzchają szybko, bo zbliżyłem się ku końcowi muru północnego, i odkryła się przedemną góra uwieńczona murowanem ogrodzeniem i jakimś budynkiem. To północny szczyt góry Oliwnej, tak zwanej *viri galilaei* (mężowie galilejscy).

Jeszcze kilka kroków i zobaczyłem ją samą, a przed nią jar ogromny, skalisty i głęboki; ze spodu jego wznosiła się ciemna zieleń ogrodów, a tam dalej za jarem, na początku pochyłości, kilka starych oliwek i kilka wśród nich cyprysów. To Getsemani.

Kto opowiedzieć zdoła te chwile, gdy po długich latach oczy człowieka ujrzą nareszcie, na co tak długo czekały? Patrzą, patrzą, a dusza wierzyć nie chce, że to rzeczywistość, i jeszcze jaka rzeczywistość! Poszedłem dalej, zstępując ciągle w ów jar głęboki; doszedłem do nowego i dobrego kamiennego mostu nad suchem kamiennem łożyskiem, w którem Cedron płynie w czasie deszczów zimowych. Za mostem zobaczyłem z lewej strony niewielką facyatę w kształcie gotyckiego łuku, poznałem odrazu i ucieszyłem się wielce, bo to był grób N. Panny. Tu złożono jej ciało i stąd ono wskrzeszone wziętem zostało do Nieba. Ucieszyłem się i wziąłem sobie za dobrą wróżbę, żem ze wszystkich miejsc świętych do tego właśnie najpierwej trafił, bo szczególne mam nabożeństwo i upodobanie w święcie Wniebowzięcia N. Panny i z obrazów przedstawiających Jej życie, najwięcej mnie zawsze pociągają te, na których widzę chwa-

lebny początek niebieskiego żywota naszej Patronki i Matki. Po licznych, szerokich, kamiennych schodach zstępowałem w głąb ciemną, skąd błyskało kilka płomyków lamp oliwnych; mnich ormiański, który tam jeszcze pozostał, zapalił mi świecę i zaprowadził do samego grobu. Pomodliłem się chwilę, ucałowałem kamienne łoże, na którem czas jakiś spoczywały święte zwłoki i wyszedłem, bo sił niewiele miałem, a dzień szybko schylał się ku końcowi.

Tuż obok grobu N. Panny, może o kroków 15, znajduje się grota krwawego potu i modlitwy Zbawiciela. Strzegący jej tutaj bernardyński braciszek, miał się już ku odwrotowi i drzwi żelazem okute zamykał, ale zobaczywszy mnie, otworzył je znowu uprzejmie, a moje skrupuły i przeprosiny uspokoił bardzo prostem zapytaniem: »A po cóż ja tu jestem?« Prawda, pomyślałem sobie i już bez skrupułu wszedłem.

Po kilkunastu schodkach zstąpiłem do dość obszernej naturalnej groty. Niedaleko od wejścia przez otwór u góry wpadało trochę światła dziennego; przy ołtarzu, a raczej pod ołtarzem paliło się kilka lamp nalanych najczystszą oliwą; gruby zmrok zresztą, dokoła żywej duszy niema (braciszek został na dworze), najmniejszego szelestu nie słychać; lampa nawet nie pryśnie.

Klęczałem i modliłem się w tej ciszy, ale ten tylko, kto sam doznał, jakie potężne wrażenie robi świadomość, *że tu, w tem miejscu* stały się naprawdę zdumiewające wypadki zbawienia naszego, ten tylko może wiedzieć, co w takiej ciszy napełnia serce i duszę pielgrzyma.

Po niejakim czasie wracałem pogrążony w zadumie, wstępując powoli po przebieżonej tylko co drodze. Słońce już prawie zaszło i ledwo tam wysoko na górze szczyt minaretu i kopuła meczetu Omara chwyta jeszcze ostatnie czerwone promienie; droga już zupełnie samotna, gdzie okiem rzucić wokoło groby, zwaliska, skały — czasami Arab przejedzie szybko, wracając do domu.

Stanąłem znowu na rogu północnego muru i obejrzałem się. Na zachodzie słońce już zaszło, tylko jeszcze niebo paliło się ogniem i purpurą, na wschodzie, z za góry Oliwnej wypłynął księżyc blady, jakby śmiertelnie przerażony, i wisiał nad ogrodem oliwnym. Gdy noc zupełnie zapadła, wyszedłem na taras hospicyum.

Księżyc wzniósł się już wysoko i zlewał światło tak silne, że

ledwo co większe gwiazdy widać było na niebie. Na ziemi zaś popielate, bezdrzewne góry szerokim pierścieniem legły dokoła i szarzały smutnie w błyszczącej jasności. Wśród nich otoczona murami, strzeżona licznemi basztami, leżała przedemną Jerozolima senna, cicha, spokojna. Leżała, jakby jakaś szara granitowa masa, z której tu i owdzie podnosiły się większe budynki, strzelały w górę wieże, baszty, minarety.

Bardzo to jest pomyślnie, jeżeli w takich chwilach można obejść się bez przewodnika lub tłómacza, który swem, najczęściej niemądrem, paplaniem psuje cały urok samotnej kontemplacyi. Byłem właśnie o tyle szczęśliwym, żem go teraz wcale niepotrzebował; obeznany z topografią miasta, znając z rysunków znaczniejsze jego budynki, odgadywałem je dość dobrze bez pomocy »cicerona«.

Ten oto kościół tuż o kilka sążni odemnie, o łukach i szczytach gotyckich, to patryarchat łaciński. Wprost na południe cytadela ze swojemi staremi wieżami, a za nią Syon. W dole widzę kopułę i poznaję, że tam kościół Grobu Pańskiego; wyżej znowu na tle góry Oliwnej wznosi się inna potężna kopuła; widząc ją każdyby odgadł, że pokrywa ona meczet Omara, bo któż jej nie zna?

Stałem więc i patrzałem na to miasto tak małe, a tak sławne i nieszczęśliwe; widziałem potem nieraz pielgrzymów o zmroku albo w ciszy nocnej, stojących tak samo, opartych o obmurowanie tarasu i patrzących w dal szarą. Przed oczyma ich duszy, jak i przed mojemi w tej chwili, przechodziły zapewne postacie wielkie, potężne, grzeszne i straszliwe — widzieli w tajemniczym mroku przesuwających się proroków, królów, apostołów, biskupów, patrzyli na oblężenia, szturmy, na pałace, twierdze, wspaniałe gmachy i na ich pożary, burzenie, ruiny, widzieli zapewne Krzyż tam w dole i miotające się koło niego tłumy i straszną walkę i pożar tam, gdzie dziś meczet Omara i wszystkie okropności oblężenia i ucisk, jakiego nie było i nie będzie.

Teraz to wszystko przeszło — przeminęły dni chwały, przebrzmiały jęki rozpaczy; oddawna pod murami Jerozolimy nie słychać chrzęstu broni nieprzyjacielskiej, a nad miastem spokojnie panuje półksiężyc turecki, niedołężny i ospały. Cicho dziś w Jerozolimie, tylko u stóp murów dawnej świątyni płaczą czasami resztki od-

rzuconego narodu, tylko w jasną noc księżycową w grotach podziemnych i kościołach płoną tajemniczo lampy złociste, a dusze pobożne wznoszą ku Bogu różnojęzyczne modlitwy i ślą ciche westchnienia ze wzruszonej piersi. Niestety, łzy, modlitwy i westchnienia nie mogą dotąd zagłuszyć krzyku, który przed wiekami rozdarł tu powietrze: »Krew Jego na nas i na syny nasze!« Jerozolima jest zawsze stolicą odrzuconej i przeklętej krainy.

Przyjechałem do Jerozolimy 10 października wieczorem, wyjechałem 27 t. m. zrana; że zaś trzy doby poświęciłem na zwiedzenie Betlejemu i miasta Św. Jana, więc w samem mieście Świętem bawiłem niecałe dwa tygodnie. Czas ten oczywiście poświęciłem nabożeństwu i zwiedzaniu pamiątek, których tu tyle, że choć nie próżnowałem, jednak wszystkich widzieć nie mogłem. Jakkolwiekbądź, opowiem jak umiem o tem, com widział i słyszał; żeby jednak ład jakiś zaprowadzić i żeby opowieść moja była zrozumiałą, muszę zacząć od rzeczy zapowiedzianych w tytule, t. j. od topografii, historyi i statystyki, starając się zresztą te nudne dla wielu wiadomości dawać w dozach jak najmniejszych. W dalszych zaś opisach będę się trzymał nie porządku chronologicznego, jak to dotąd robiłem, gdyż powstałby z tego istny galimatias, ale raczej topograficznego. Zaczynam więc od opisu miejscowości.

Jerozolima leży wśród gór judzkich i sama składa się z kilku wzgórzy połączonych razem; ma ona jakby kształt języka lub półwyspu, idącego z północy ku południowi i z trzech stron otoczonego głębokiemi i szerokiemi dolinami albo właściwie wąwozami, za którymi znowu ciągną się góry, otaczające miasto pierścieniem. Z resztą kraju Jerozolima związana jest tylko na północy i na północnym zachodzie. Ze wschodu oddziela ją od góry Oliwnej dolina Jozafata, która zaczyna się na Zachodzie daleko od miasta, a doszedłszy do wschodniej jego strony, zawraca wprost ku południowi. Długą jest 4 kilometry, t. j. trochę więcej niż $3^1/_2$ wiorsty. Na południowym swym końcu styka się ona z doliną Hinnom albo Gehenną, która oddziela z południa Jerozolimę od góry Złej Rady; z zachodniej strony łączy się z nią dolina Gihon. Jeśli przypomnimy sobie, że Jerozolima wznosi się na 2000 stóp nad morzem, to zrozumiemy jak taka przyczyna czyniła ją niedostępną i trudną do zdobycia. Otaczały ją na kilka i więcej mil

wokoło góry i wąwozy wśród których można się było bronić lata całe, jak to było np. w Bettirze. Przyszedłszy w końcu do stolicy, wróg widział przed sobą miasto z jednej tylko strony dostępne, z innych zaś broniły go przepaście i tak strome urwiska, że o szturmie nie było co myśleć.

To też kiedy Dawid wezwał Jebuzejczyków, ufortyfikowanych na Syonie, do poddania, ci drwili sobie z niego, mówiąc: »znieś pierwej ślepych i chromych, którzy mówią: nie wnijdzie Dawid do Syonu«, tak bowiem ufali niedostępnemu położeniu swego miasta, że ślepi i kulawi mogli podług nich ku obronie wystarczyć. Dawid też fortelem dostał się do środka. Oczywiście od północy miasto było najsilniej ufortyfikowanem. Józef Flawiusz powiada, że z tej strony bronił go mur potrójny, nad niedostępnemi urwiskami. Dla starożytnej oblężniczej sztuki była to forteca tak niezdobyta, że gdy nią Tytus zawładnął, miał zawołać: »Sam Bóg oddał mi Jeruzalem, bo ludzie nicby nie zrobili!

Powiedziałem wyżej, że Jerozolima leży jakby na półwyspie w kształcie języka, otoczonym ze wschodu, południa i zachodu szerokim jarem; sam znowu ten półwysep, jest rozdzielony na dwoje doliną, zwaną Tyropeon (t. j. serników), idącą od północy ku południowi i kończącą się w dolinie Gehenna. Obydwie zaś połowy, wschodnia i zachodnia, składają się każda z trzech pagórków, oddzielonych od siebie niewielkimi rozdołami, obecnie prawie zupełnie już zasypanymi. Wschodnie pagórki, od strony doliny Jozafata są: na północy Bezeta, dalej Morya, na której stała świątynia, do niej dotyka Ofel, kończący się stromo w kształcie trójkąta między doliną Jozafata i Tyropeon; zachodnie zaś, począwszy także od północy: Gareb ze swojem przedgórzem, zwanem obecnie Kalwaryą, we środku Akra i na południu najwyższa i najobszerniejsza z gór jerozolimskich — Syon.

Tak więc miasto święte rozłożyło się obecnie na sześciu pagórkach, albo nawet, na wzór Rzymu i Konstantynopola, na siedmiu, jeśli Kalwaryę będziemy rachowali osobno, jak to wielu czyni. Niektóre z tych gór jak Bezeta i Akra nie są wzmiankowanemi w Piśmie Św., Ofel znowu i Gareb bardzo rzadko, o Moryi zato, a zwłaszcza Syonie mówi się ustawicznie. Zdawałoby się więc, że nie może

Część murów południowych naprzeciwko góry Zgorszenia.

być wątpliwości co do autentyczności nazwy i rzeczywiście nie spotykałem ich dotąd nigdzie, tylko Ebers i Guthe w swej »Palästina in Bild und Wort«, mają widocznie niejakie wątpliwości o Syonie, mówiąc o nim »góra, zwana dzisiaj Syonem». Najnowsze jednak odkrycia zdają się dowodzić dziwnej rzeczy, t. j. że góry Syon i Ofel zamieniały się imionami. Nim się spór rozstrzygnie, będę tymczasem trzymał się dotychczasowych nazw.

Poznawszy w ogólnym zarysie miejsce, przypomnijmy sobie teraz choćby w krótkości jego dzieje [1]). Założycielem Jerozolimy, która początkowo zwała się Salem, t. j. pokój, miał być Melchizedech, wspomniany w Biblii jako król jego; ten sam Melchizedech, który ofiarował Bogu po zwycięstwie Abrahama nad królami chananejskimi chleb i wino i który nazawsze pozostał prototypem prawdziwego kapłana.

Założone przez niego miasto mieściło się na środkowem wzgórzu, zwanem dziś Akra; w kilkadziesiąt potem lat podbili Jebuzejczycy jedno z pokoleń chananejskich, zamieszkujących dotąd Palestynę, zajęli także sąsiedni Syon, który otoczyli murem i ufortyfikowali. Takim sposobem powstało miasto górne (Syon) i dolne (Akra). Zaczęto je nazywać Jebus-Salem, t. j. Salem Jebuzejskiem, skąd później powstało Jerusalem, co podług Św. Pawła znaczy »widzenie pokoju«. Jebuzejczycy mieszkali w swej fortecy spokojnie w ciągu lat 500, t. j. do przyjścia izraelitów z Egiptu. Wtenczas około 1500 r. przed Chr. Jerozolima była zdobytą, król jej Adonisedech skazany na śmierć [2]).

Odtąd Chananejczycy mieszkali w Jerozolimie wspólnie z Izraelitami, ale górne miasto wyłącznie do nich należało i dopiero Dawid w 1089 przed Chr. zdobył je i założył w niem swą stolicę. Odtąd Syon zwie się »miastem Dawidowem«. Murów przez Jebuzejczyków wzniesionych Dawid nie obalił, lecz przeciwnie, wzmocnił je i naprawił, a Salomon dokończył i dopełnił dzieła ojca swego. Podług Józefa Flawiusza mur zaczynał się w miejscu gdzie później stanęła wieża Hippicus, j. j. na zachodzie przy bramie Jafskiej i ciągnął się w prostej prawie linii na wschód do miasta nad doliną Tyropeon a dochodził do zachodniego portyku świątyni. Z drugiej strony od tej samej wieży szedł na południe, zajmował sadzawkę Siloe, zawracał na wschód i przechodził przez Ofel do portyku wschodniego świątyni. Z drugiej strony od tej samej wieży szedł na południe, zajmował sadzawkę Siloe, zawracał na wschód i przechodził przez Ofel do portyku wschodniego świątyni; miał 60 wież.

W czasie panowania Salomona Jeruzalem stanęło u szczytu świetności; ozdobiło się świątynią, liczoną do siedmiu cudów świata, licz-

[1]) Idę w wielu razach za *Guide Indicateur* br. Liévin'a.

[2]) Jozue XV, 62. Sędz. I, 21.

nymi gmachami i pałacami; było zresztą stolicą obszernego państwa, sięgającego od Palmiry i Damaszku aż do potoku egipskiego na południu (torrens Aegypti). Z rozpadnięciem się królestwa Dawidowego upadło i znaczenie Jerozolimy, która była odtąd tylko stolicą dwóch pokoleń. Zaczęły też ją nawiedzać upokorzenia i klęski. W siedm lat po śmierci Salomona zdobył ją i złupił Sezach, król Egiptu; w półtorasta lat później Amazyasz król izraelski, potem znowu Nechao, król egipski.

Pomimo tych klęsk, a może właśnie z ich powodu, Jerozolima wzmacniała się; król Joatan zabudował Ofel a Manasses umocnił jego fortyfikacye; rozrosło się też miasto ku północy, gdzie powstał drugi mur; zaczynał się on od bramy Gennath, prawie w środku dzisiejszego miasta, kończył przy wieży Antonia, broniącej północno-zachodniej strony świątyni; miał tylko 14 wież. Mur ten zostawiał górę Gareb z Kalwaryą na stronie. Odnalezienie jego kierunku było rzeczą niezmiernie ważną ze względu na autentyczność Grobu Pańskiego i Kalwaryi, które stanowczo trzebaby uważać za nieprawdziwe, gdyby się pokazało, że i dawniej były, jak są dzisiaj w obrębie murów, gdyż wiadomo, że Chrystus Pan umarł za miastem. Autentyczność tych miejsc Świętych została przed kilku laty ponownie stwierdzoną przez odkrycie przed górą Kalwaryą progu jednej z bram tego właśnie drugiego muru. Utrzymują, że była to brama sądowa i że przez nią Zbawiciel przechodził, idąc na stracenie.

W r. 606 przed Chrystusem, Assarhadon zabrał króla Joachima do Babilonu, a na tronie judzkim osadził Sedecyasza, który gdy się zbuntował w 599 r., Nabuchodonozor zdobył i zburzył Jerozolimę, a króla i naród uprowadził do niewoli — w kraju pozostały tylko niedobitki »jako grona w zimie po winobraniu«. Wtenczas na gruzach stolicy usiadł prorok Jeremiasz i płakał: »O wy wszyscy, którzy idziecie przez drogę, obaczcie, a przypatrzcie się, czy jest boleść, jako boleść moja, bo... okrył mrokiem zapalczywości swej Pan córkę Syonu, zrzucił z Nieba na ziemię sławną Izrael, a nie wspomniał na podnóżek nóg swoich w dzień zapalczywości swojej... Siedli na ziemi, umilkli starcy córki Syonu; posypali popiołem głowy swe, przepasali się włosiennicami, zwiesiły do ziemi głowy swe panny Jeruzalem... Wspomnij Panie, co się nam przydało, wejrzyj, a obacz zelżywość naszą«.

Po 70 latach niewoli Cyrus pozwala żydom powrócić do swej ziemi. Jerozolima znowu odbudowuje się i otacza murem pod wodzą Nehemiasza, Zorobabel zaś drugą wznosi świątynię. Odtąd żydzi zostają w lennej zależności od królów Persyi i pozostają im wierni nawet w czasie najścia Aleksandra Macedońskiego, który, chcąc ich za to ukarać, zbliżył się do Jerozolimy. Arcykapłan Jaddus spotkał go ze czcią na górze Skopus i umiał przebłagać tak, że zwycięzca nietylko nic złego świątyni i miastu nie zrobił, lecz jeszcze przywilejami wzbogacił. Gdy wodzowie Aleksandra po jego śmierci podzielili się zdobytemi państwami, Palestyna przechodziła to pod zwierzchnictwo Ptolomeuszów egipskich (z których jeden Lagi zdobył miasto i 200,000 żydów uprowadził do Egiptu), to znowu Seleucydów Syryjskich, którzy ostatecznie zapanowali. Czas jakiś wiodło się żydom pomyślnie, lecz w II wieku przed Chrystusem zaciążyła nad nimi okrutna tyrania Antyocha Epifanesa, którego prześladowania i znęcania się opisują księgi Machabejskie. Wówczas powstał bohaterski kapłan Matatyasz i pięciu jego synów z okrzykiem: »umrzyjmy za prawa ojców naszych!« Wtenczas to Jerozolima była w opłakanym stanie. »A w Jeruzalem nie mieszkano, mówi I księga Machabejska, ale było jako pustki, nie było, ktoby wchodził i wychodził z synów jego i miejsce święte było deptane, a synowie cudzoziemców byli na zamku i tam było mieszkanie poganów; i odjęta jest rozkosz od Jakóba, ustała tam piszczałka i cytra« [1]). Gdy Judasz wypędził stamtąd Syryjczyków, smutny widok ukazał się oczom izraelskim: »i obaczyli poświęcanie spustoszone i ołtarz zgwałcony i bramy popalone, a w sieniach wyrosły chrósty, jako w lesie albo na górach i domki kapłańskie rozwalone« [2]).

Oczyściwszy świątynię i przywróciwszy cześć prawdziwego Boga, Judasz zburzył fortecę, którą Antyoch zbudował był na górze Akra. Bohaterska walka, w której pełno epizodów, jakimi żadna epopeja poszczycić się nie może, skończyła się wyzwoleniem żydów z pod opieki syryjskiej i potomkowie Machabejczyków, t. zw. dynastya Asmonejska panowała nad Izraelem spokojnie, lecz niestety niezbyt długo. W sto lat później (63 r.) kłótnie między braćmi Hirkanem II i Ary-

[1]) Roz. III. 45.

[2]) Roz. IV. 38.

stobulem II sprowadziły wmieszanie się Rzymian. Pompejusz zajął Jerozolimę i ustanowił w niej namiestnika rzymskiego Scaurusa. Wśród tych zamieszek i sporów udało się Idumejczykowi Herodowi, przezwanemu Wielkim, otrzymać z rąk Rzymian panowanie nad całą ziemią judzką w 19 r. przed Chrystusem. Wówczas spełniło się proroctwo patryarchy Jakóba, berło wyszło z rąk żydowskich, królem został cudzoziemiec. Pod koniec panowania jego »Słowo ciałem się stało — przyszło do swoich, a swoi go nie przyjęli«. Okrutny i nienawidzony Herod, czy przez zamiłowanie w budownictwie, czy chcąc zjednać żydów, wziął się do upiększenia i rozszerzenia świątyni i jego to dziełem był przepych, który apostołowie podziwiali z góry Oliwnej i wywołali przepowiednię Zbawiciela, że z tego budowania kamień na kamieniu nie zostanie.

Po śmierci Heroda W. August ziemię judzką podzielił między trzech synów jego Archelausa, Filipa i Antypasa. Pierwszy z nich otrzymał Judeę, Samaryę i Idumeę. Następnie etnarchia Archelausa została przyłączoną do prefektury syryjskiej, a w Jerozolimie rządził wielkorządca rzymski i wydawał wyroki w twierdzy czy wieży Antonia. Szósty wielkorządca Poncyusz Piłat rządził od 27 r. nowej ery i ukrzyżować pozwolił Chrystusa Pana. W 37 roku Judea znowu miała króla Heroda Agryppę, wnuka Heroda W. On to skazał na śmierć Św. Jakóba i uwięził Św. Piotra. On także włączył do miasta w dziesięć lat po zgonie Zbawiciela wzgórza Bezetę i Kalwaryę. Trzeci ten mur był broniony przez 90 wież.

W 70 r. nowej ery spełniła się przepowiednia Zbawiciela. Tytus otoczył Jerozolimę wałem i rozpoczęło się to straszne oblężenie, którego szczegóły wszystkim chyba są znane, więc ich powtarzać nie będę. Świątynię i całe miasto zburzono. Pozostały tylko trzy wieże i resztki zachodniego muru na pamiątkę waleczności Rzymian, którzy taką niezdobytą twierdzę opanowali. Zostały także prawdopodobnie tu i owdzie jakieś kawałki muru lub budowy, jak np. dwa łuki, z których jeden zowie się dziś *Ecce homo*. Leżało tak miasto najnieszczęśliwsze w gruzach lat kilkadziesiąt; dopiero Bar-Kochebas, o którym już mówiliśmy, w pierwszej połowie II wieku odbudował je w części, wkrótce jednak sam zginął w Bettirze. Adryan w 186 r. odbudował miasto i podniósł mury, zostawiając po za nimi całą część po-

łudniową dawnej Jerozolimy, więc Ofel i znaczną część Syonu. Tak zmniejszone miasto nazwał *Aelia Capitolina*. Na miejscu świątyni postawił kościół Jowiszowi kapitolijskiemu. Ponieważ żydom nietylko mieszkać, ale nawet wchodzić do miasta nie wolno było, więc mieszkali tam sami cudzoziemcy, pomiędzy nimi było jednak sporo chrześcijan z biskupem na czele. Tak rzeczy trwały aż do Konstantyna W., który przywrócił Jerozolimie dawne jej imię, a matka jego Św. Helena zajęła się oczyszczeniem i odszukaniem miejsc świętych, zasypanych od czasów Adryana i ozdobiła Jerozolimę wspaniałymi gmachami. Po śmierci Konstantyna była chwila, w której odżyła nadzieja w sercach żydów. Julian Apostata pozwolił im odbudować świątynię. Zbiegli się z całego świata i z zapałem wzięli się do dzieła. Cała ich praca jednak posłużyła tylko do dalszego wypełnienia proroctwa Chrystusowego. Zaczęli od oczyszczenia i wyjęcia starych fundamentów, by na ich miejsce założyć nowe. Nie było żadnej przeszkody w burzeniu tego, co jeszcze zostało; gdy jednak chcieli nowe rozpocząć budowanie, z ziemi wybuchnął ogień, który rozpędził robotników i nie pozwolił nic robić.

Pod panowaniem cesarzy bizantyjskich powstawały kościoły i klasztory, tak w Jerozolimie, jak i w całej Palestynie. Krzewiła się i kwitła spokojnie wiara Chrystusowa. Spokój trwał do początku VII wieku. W 614 r. król perski Chosroes II naszedł Ziemię Św. Pomagało mu 260.000 żydów, ze szczególną nienawiścią niszcząc wszystko, co chrześcijańskie. Chosroes zdobył i złupił Jeruzalem; z pomiędzy mnóstwa niewolników chrześcijańskich 80.000 sprzedał żydom, którzy ich wszystkich pomordowali. Tak samo pierwej jeszcze, w II wieku, Bar-Kochebas w czasie swego krótkiego panowania mordował chrześcijan, którzy w ręce jego wpadli.

Tu mi na myśl przychodzi pewna uwaga. Żydzi przyzwyczaili nas do ustawicznych skarg na ucisk ze strony chrześcijan, na prześladowania, upokorzenia od nich znoszone i t. p. Te okoliczności jakoby tylko wpłynęły na rozdrażnienie żydów — »wiekowy ucisk« wyrodzić w nich miał niechęć do chrześcijan, którzy z właściwą im dobrodusznością uwierzyli, że tak naprawdę było. Rzeczywiście, postępowanie i uczucia wyznawców Chrystusa względem żydów nie zawsze były wzorowe, że jednak pozujący na niewinne ofiary potom-

kowie Izraela najusilniej pracowali i robili ze swej strony co mogli, żeby chrześcijan na siebie oburzyć, to fakt dawno wiadomy, przez czas dość długi zapomniany, ale dziś coraz częściej przypominany. Nie o to mi jednak na teraz chodzi, lecz o zwrócenie uwagi na stałe w historyi zjawisko, które przez dziwne zaślepienie, chrześcijańscy historycy zawsze pomijają milczeniem. Mam na myśli to, że żydzi od chwili umęczenia Założyciela chrześcijanizmu, pałają ku jego uczniom i nauce niczem nieugaszoną złością i wszędzie, gdzie tylko nadarzyła się sposobność, stale i zawsze występują w roli prześladowców chrześcijan. Występowali w niej wtenczas i w tych miejscach, kiedy i gdzie chrześcijanizm nie mógł i nie wywierał na żydów żadnego nacisku społecznego czy prawnego; występują i teraz, gdy mogą robić, co chcą. O prześladowaniu żydów naczytaliśmy się dowoli, ale byłoby rzeczą nadzwyczaj ciekawą i pożądaną, gdyby kto skreślił prześladowania, jakie chrześcijanie ponosili od żydów, począwszy od zabicia Św. Szczepana, aż do roli, jaką odegrali w »wielkiej rewolucyi», niemieckim kulturkampfie i dotychczasowych prześladowaniach katolików przez masoneryę we Włoszech, we Francyi i na Węgrzech.

Poganie niegdyś zburzyli Jeruzalem, wywrócili państwo judzkie, rozproszyli Żydów po całym świecie. Dziś oni właśnie są najpierwszymi szerzycielami i obrońcami bez wyznaniowości, t. j. poganizmu, ale nienawiść do chrześcijan, którzy ich niebacznie przyjęli i przez wieki całe wyzyskiwać im się pozwalali, nietylko trwa jednakowo, lecz ciągle zwiększać się zdaje. Doprawdy na ten fakt warto zwrócić uwagę.

W czasie tego najścia Persów zabrany był przez nich Krzyż Pański, który wkrótce potem cesarz Herakliusz odebrał i na swych barkach wyniósł na górę Kalwaryjską. Były to już ostatnie dni spokoju i tryumfu Krzyża. W 636 r. Arabowie oblegli Jeruzalem; mieszkańcy pod wodzą patryarchy bronili się zacięcie i wymogli, że nikomu innemu nie poddadzą się tylko samemu kalifowi. Na wiadomość o tem Omar przybył z małym orszakiem z Medyny, i tej okoliczności chrześcijanie zawdzięczają, że uniknęli rzezi lub rabunku.

Kalif poręczył ich kościoły i swobodę wyznania za coroczny haracz, a miasto przeszło pod panowanie półksiężyca, pod którem z małemi przerwami zostawało już ustawicznie do dni naszych.

Odtąd aż do XI wieku Jerozolima przechodziła przez różne koleje, to pokoju, to prześladowania pod kalifami Damaszku i Bagdadu. Najszczęśliwszą epoką było panowanie Harun-Al-Raszyda (786—809), który chrześcijanom sprzyjał, a zostawał w przyjaznych stosunkach z Karolem W., któremu nawet przesłał klucze Grobu Pańskiego.

W XI. wieku kalif Hakem, ten sam, który chciał za Boga uchodzić, kazał zburzyć wszystkie kościoły jerozolimskie, patryarsze zaś wyłupić oczy i zawieść go do Egiptu. Wkrótce jednak nastąpiła szczęśliwa zmiana, dzięki wpływowi matki sułtańskiej Maryi, która była siostrą dwóch patryarchów — aleksandryjskiego i jerozolimskiego. Kościoły zostały odbudowane lub naprawione.

W 1086 zawładnęło Jerozolimą dzikie plemię Seldżuków i nastąpił straszliwy ucisk chrześcijan, który, jak wiadomo, wywołał wdanie się Europy i wojny krzyżowe. Rezultatem ich było królestwo jerozolimskie, trwające od 1099 do 1187 roku, w którym miasto święte zostało zdobyte przez Saladyna (Salah-ed-Din). Do 100.000 chrześcijan przeszło przed jego tronem, stojącym przed murami miasta, i rozproszyło się w różne strony, 16.000 zaś, niemających się czem wykupić, zostało w niewoli.

Po tem zwycięstwie Jerozolima jeszcze raz na krótko wróciła do chrześcijan (oprócz meczetu Omara) wskutek umowy zawartej między Fryderykiem II. i sułtanem Egiptu Melek-el-Kamel'em.

Za długo byłoby opisywać wszystkie klęski, mordy, burzenia i wznoszenia murów, napady, jakim to nieszczęśliwe miasto w następnych wiekach podlegało; godzi się tylko wspomnieć o strasznej rzezi i zniszczeniu jego przez hordy Karyzmian 1244. Wezwani do pomocy przez sułtana egipskiego, wkroczyli oni do Palestyny, zostawiając za sobą tylko zgliszcza i trupy. Mieszkańcy Jerozolimy zawczasu uciekli, unosząc z sobą dobytek; w mieście została ich tylko garstka i chorzy. Karyzmianie wszystkich wymordowali, ale niezadowoleni z małej liczby ofiar i skromnego łupu, wywiesili chrześcijańskie chorągwie na wieżach i zaczęli bić w dzwony. Bliżsi chrześcijanie, myśląc, że barbarzyńcy odeszli, powrócili co rychlej w liczbie 7.000. Wszyscy oczywiście zostali wymordowani.

W roku 1517 Jerozolima z całą Syryą przeszła pod panowanie tureckiego Sułtana Selima II. W tymże wieku sułtan Soliman Wielki

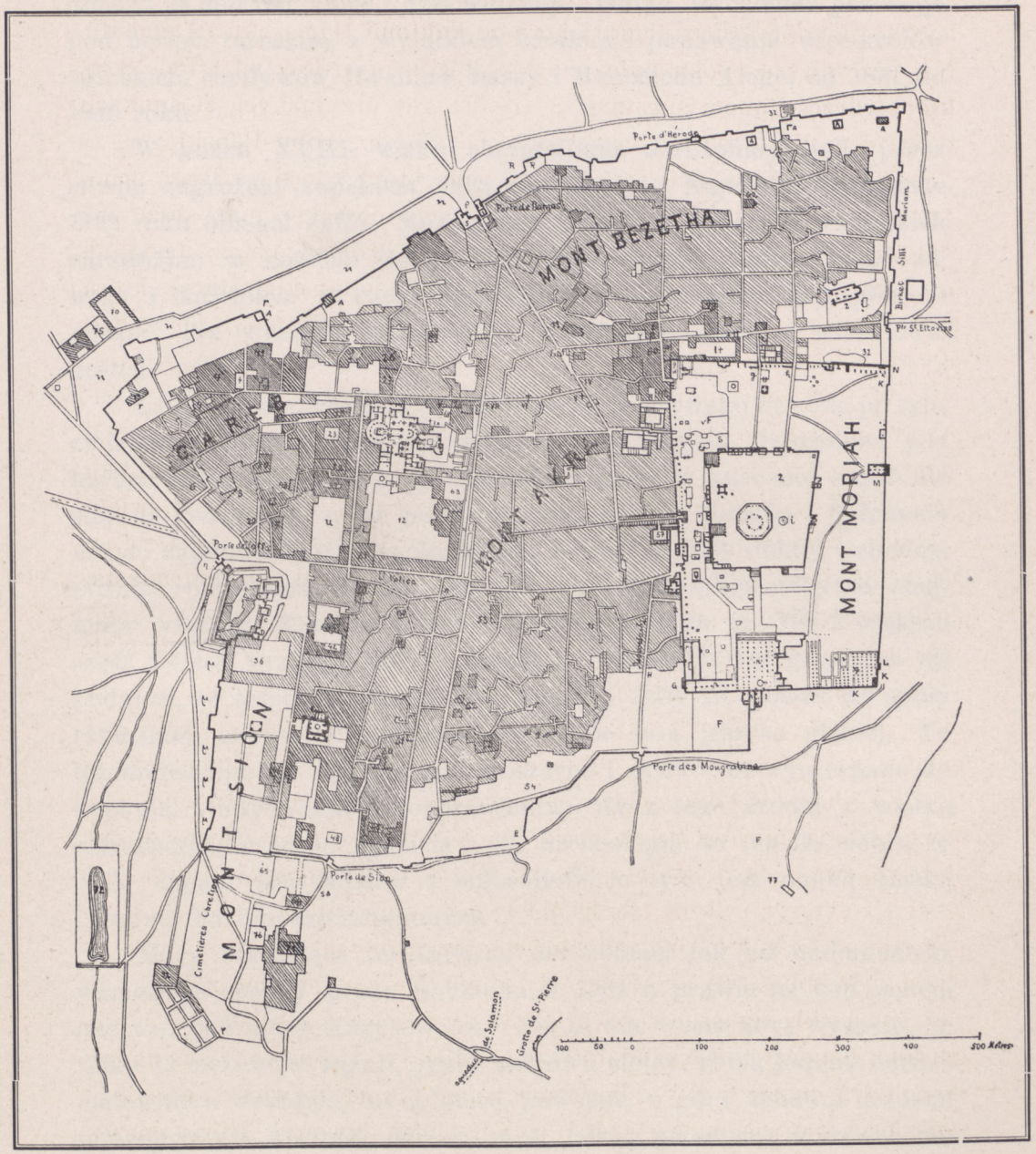

Plan Jerozolimy.

otoczył ją murami, które i dziś widzimy. Odtąd Jerozolima pozostaje pod berłem tureckim, z wyjątkiem krótkiego panowania wice-królów egipskich, chedywów Ibrahima baszy i Mahomeda Alego, od 1831 do 1840 roku.

W końcu XVIII. wieku chrześcijanie Jerozolimy byli przez chwilę zagrożeni zupełnem zniszczeniem, gdy Napoleon Bonaparte 1799 roku oblegał Jaffę. Muzułmanie zamknęli wówczas wszystkich chrześcijan w kościele Grobu Pańskiego, mając zamiar spalić ich wraz z kościołem w razie zjawienia się Francuzów pod murami miasta. Na szczęście Bonaparte poszedł inną drogą i więźniowie ocaleli.

Łatwo się domyśleć, że po 4.000 lat tak burzliwego żywota, po tylu zmianach, klęskach, przebudowaniach, teraźniejsza Jerozolima jest bardzo różną od dawnej. Rzeczywiście nawet w znacznej części nie stoi na tem miejscu, co pierwotna, bo gdy za Dawida i Salomona miasto zajmowało stronę południową, a mury sięgały doliny Gehenny, później rozszerzało się ono ku północy i dziś mury miejskie obejmują wzgórza Bezetę i Gareb z Kalwaryą, a za to Ofel i większa część Syonu znajdują się za murami. Wewnątrz zaś grunt tak się podniósł, że trzeba kopać prawie 6 sążni, żeby się dostać do epoki rzymskiej; zabytki dawniejsze oczywiście leżą jeszcze głębiej. To też archeologowie mają tu pole obszerne i prawie niewyczerpane do kopania, studyowania i rozprawiania. My z tego źródła z wielką ostrożnością czerpać będziemy, bo archeologia to ma do siebie, że o ile zapala specyalistów i miłośników, o tyle jest nauką ciężką i nudną dla niewtajemniczonych.

Mury otaczające teraźniejszą Jerozolimę, jak już nadmieniłem, wzniesione zostały przez Solimana w 1534 r. prawie na tem samem miejscu, co i mury Krzyżowców. Nie są one wcale zbyt wysokie, bo tylko 13 metrów (6 sążni), grube zaś dwa metry; robią jednak bardzo malownicze wrażenie, bo są stare, poważne, u góry zębate i licznemi poprzerywane wieżami; odrazu myśl naszą przenoszą w dawno minione czasy rycerzy średniowiecznych.

Bramy wiodące do środka są następujące: z północnej trzy: a) damasceńska (Bab-esz-Szam), najpiękniejsza i najbardziej niegdyś ufortyfikowana, nazywa się dlatego, że od niej zaczyna się droga

wiodąca na północ ku Dumaszkowi; b) Heroda, bardzo mała i bez ozdób; c) od niedawna w północno-zachodnim końcu murów wybita trzecia brama — Nowa. Na wschodzie: brama św. Szczepana, dlatego tak zwana, że przez nią prowadzi droga do miejsca, gdzie miał być św. Szczepan ukamienowanym. (Zobaczymy w swoim czasie, że leży ono gdzieindziej). Miejscowi mieszkańcy nazywają ją bramą N. Panny (Bab-es-Sitti Miriam), dlatego, że do Jej grobu prowadzi. Drugą z tej strony bramą jest sławna Złota Brama, prowadząca do świątyni; ta oddawna zamurowana. Na stronie południowej jest mała i nizka brama w dolinie Tyropeon Bab-el-Magharbeh (afrykanów) i Syońska albo Dawiaswa (przez nią idzie się do grobowca Dawidowego). Z zachodniej w końcu strony jest brama jafska; tuż przy niej stara cytadela z czterema ciężkiemi wieżami, obronnemi wałami i fosami.

Brama damasceńska.

Większa część wyliczonych tu bram nie jest bramami w pojęciu teraźniejszem; stanowią je wieże o drzwiach podwójnych i znajdujących się nie naprzeciwko siebie, ale pod kątem prostym, tj. że w syońskiej np. bramie pierwsze drzwi są w południowej ścianie baszty, a drugie we wschodniej, w jafskiej jedne we wschodniej, drugie w północnej. Urządzenie to miało na celu utrudnienie parcia ze strony nieprzyjaciół na wypadek szturmu.

Wewnątrz miasto poprzedzielane mnóstwem ciasnych, niechlujnych uliczek, kręcących się kapryśnie i tworzących istny labirynt, w którym tem trudniej się zoryentować, że z powodu ich ciasnoty i wysokich z obu stron murów nic nie widać. Jak się te uliczki wiją, za przykład może służyć to, że kościół patryarchalny w prostej linii odległym jest od Casa-Nuova nie więcej chyba nad 5 sążni, ale trzeba iść do niego ze trzy minuty po tak ciasnych przesmykach, że nieraz więcej nad trzech ludzi obok siebie przejśćby nie mogło.

Nazwisk, jak mnie zapewniano, ulice nie mają żadnych, a te

jakie im nadają na planach i w przewodnikach, są wspomnieniami z czasów panowania łacińskiego albo dowolnie nadane przez Europejczyków; miejscowi ich nie znają.

Trzy są główne arterye miejskiego ruchu. Pierwsza zaczyna się od wrót jafskich i idzie na wschód do jednej z bram Haram-esz-Szerif'u, jak muzułmanie nazywają święty obręb meczetu Omara; druga zaczyna się od bramy damasceńskiej, przechodzi niedaleko kościoła Grobu i kończy się przy bramie syońskiej, trzecia wreszcie zaczyna się u bramy św. Szczepana i, z małem załamaniem, prawie w prostej linii, idzie do kościoła Grobu Pańskiego. Na niej znajduje się większa część Drogi Bolesnej (Via Dolorosa).

Miasto samo dzieli się na cztery dzielnice: wschodnią i północno-wschodnią zajmują Mahometanie; tam znajduje się Haram-esz-Szerif z meczetami Omara i El-Aksa, mieszkanie baszy, koszary, kościół św. Anny, Ecce Homo, Kaplica Biczowania, hospicyum austryackie itd. Część północno-zachodnią zajmują katolicy i grecy; — nazywa się dzielnicą chrześcijańską — Haret-en-Nassarah; w niej znajduje się kościół Grobu, główne zakłady i klasztory chrześcijańskie, jak: patryarchaty grecki i łaciński, kościół N. Zbawiciela, wielki klasztor franciszkański i grecki klasztor Braci Nauki Chrześcijańskiej, Casa nuova itp. Południowo-zachodnią część miasta zajmują Ormianie. W dolinie Tyropeon osiadło jakieś plemię mahometańskie z Afryki, zwane Mogrebinami, resztę zaś, tj. środek i wschodnią pochyłość Syonu zajmują żydzi. Mają oni tam synagogę na wyniosłem miejscu, widną zdaleka; rzadko kto jednak ma odwagę zabłąkać się do tych zaułków pełnych brudu i niechlujstwa, nie dającego się opisać ani opowiedzieć.

Do niedawna całe miasto było objęte murami; za ich obrębem jeszcze w r. 1859 nie było ani jednego domu. Długo bardzo konsulat ruski i otaczające go budowle stały samotnie na północno-zachodniem wzgórzu. Od lat kilkunastu zaczęto się budować za murami, a ruch ten przyspieszyła kolej żelazna. Obecnie miasto rozszerzyło się daleko ku północy i zachodowi tak, że to co jest za murami zajmuje conajmniej dwa razy tyle przestrzeni, ile się jej w obrębie ich mieści. Tutaj niema już podziału na dzielnice wyznaniowe, każdy mieszka gdzie chce i może.

Ogólną liczbę ludności jerozolimskiej br. Liévin w ostatniem wydaniu swego »Guide-Indicateur« (1893 r.) podaje na 43.000; mnie jednak zapewniano, że przeszła ona po za 60.000 i zważywszy wielką przestrzeń, zajętą teraz przez miasto i gęsto snujących się przechodniów, ostatnia cyfra wydaje mi się prawdziwszą.

Większą połowę ludności stanowią żydzi, którzy w ostatnich czasach tak się wzmogli, że kiedy dawniej składali zaledwo $^1/_4$ ludności, dziś stanowią więcej niż połowę, tj. z górą 30.000.

Podług Liévin'a ludność Jerozolimy przedstawia się jak następuje: żydów 28.000; po nich najliczniejsi są Turcy, około 8.000; następnie Grecy 4.000; katolików z górą 2.000; Ormian około 600; protestantów 300 i po trosze innych narodowości i wyznań.

Panujące stanowisko zajmują oczywiście Mahometanie, Turcy, o których nic nowego ani ciekawego powiedzieć się tu nie da. Mają swoich duchownych, derwiszów wyjących i kręcących się, liczne meczety, ale te nikogo obchodzić nie mogą i nic szczególnego nie zawierają, wyjąwszy Haram-esz-Szerif i znajdujące się w niem meczety Omara i El-Aksa, albo też miejsc i budynków, do których przywiązane są wspomnienia i tradycye chrześcijańskie, jak np. Wieczernik, szczyt Góry Oliwnej itp.

Żydzi dzielą się na trzy gałęzie jednego szczepu: *sefardim* pochodzący od Izraelitów wygnanych z Hiszpanii 1497 r. przez Ferdynanda i Izabellę; *askenazim*, tj. żydzi niemiecko-polsko-ruscy, ci są najliczniejsi, trudnią się rzemiosłami i oddają się w części nabożeństwu, najczęściej jednak żyją z jałmużny bogatych współwyznawców.

Trzecią gałęź stanowią *karaici* albo, jak ich u nas nazywają, *karaimowie*, odrzucający talmud, najuczciwsi i najoświeceńsi wśród żydów i dlatego niezbyt przez inne sekty swego narodu lubiani. Naczelnikiem żydów jest wielki rabin, t. zw. *Chacham-basza;* przedstawia on swój naród i broni jego interesów przed *dywanem* miejscowym i przed Wysoką Portą w Stambule. Do pomocy ma dodaną radę trzech rabinów i trzech członków świeckich. Sprawiedliwość wymierza trybunał Bed-din, złożony z trzech sędziów. Żydzi mają zapewne wiele domów modlitwy i kilka synagog, z pomiędzy nich szczególniej zwraca na siebie uwagę wielka synagoga na wzgórzu nad doliną Tyropeon. Nie zwiedziłem jej jednak, bojąc się zbytku

niechlujstwa. Z wyznań chrześcijańskich najliczniej są reprezentowani Grecy. Na czele ich w Jerozolimie stoi patryarcha, którego władzę ogranicza rada albo synod złożony z 18 członków, z tych 12 biskupów. Duchowieństwo jak zwykle dzieli się na świeckie i zakonne, podług reguły św. Bazylego. W Jerozolimie zakonnicy są daleko liczniejsi, niż kapłani świeccy. Grecy, jak to potem zobaczymy, stanowczo przeważają w kościele Grobu Pańskiego; zawładnęli w początkach XIX. wieku wielu miejscami świętemi, przedtem do łacinników należącemi, mają też liczne cerkwie i klasztory. Podług planu Jerozolimy wydanego przez Wilsona, a uzupełnionego przez Schick'a, Zimmerman'a i Gutheg'o, narachowałem w obrębie murów 16 greckich cerkwi i klasztorów. We wszystkich znanych mi opisach i przewodnikach stale dotąd pomijano Rosyan, łącząc ich jako współwyznawców z Grekami, zdaje mi się jednak, że im się osobna wzmianka należy, zwłaszcza od lat kilkunastu, kiedy pod przewodnictwem »Prawosławnego Palestyńskiego Stowarzyszenia« coraz silniej i odrębniej stają w Palestynie. Zbyt mało mając czasu i mniej troszcząc się o statystyczne dane, nie dowiedziałem się, ilu Rosyan stale mieszka w Jerozolimie, musi jednak być ich tam pewna liczba, bo język ruski bardzo często słyszeć się daje zwłaszcza w okolicach konsulatu russkiego. Rosyanie też dostarczają największego kontyngensu pielgrzymów. Ponieważ przyszli oni najpóźniej, więc już niewiele miejsc świętych historycznych mogli nabyć na własność; posiadają ich jednak trochę. Nie mając pod ręką urzędowych danych, nie mogę być dokładnym, więc tylko przytoczę, co pamiętam. Tak więc w Jaffie Rosya nabyła grób Tabity i wzniosła tam dość dużą cerkiew z wysoką bardzo wieżą. W mieście św. Jana *in montanis* jest cała kolonia russka, jak mi mówiono, z samych kobiet złożona. W Beit-Dżalla i w Nazarecie są szkoły ludowe russkie, w Hebronie, jeśli się nie mylę, Rosyanie nabyli sławny dąb hebroński; w Jerychu jest dom dla pielgrzymów, w Jerozolimie szpitale i domy dla pielgrzymów i trzy cerkwie wyłącznie ruskie: przy konsulacie, na pochyłości góry Oliwnej nad ogrodem Getsemani i na wschodnim krańcu szczytu tejże góry; w mieście do Rosyi należy dom czy klasztor, przy którym jest próg bramy z drugiego muru dawnej Jerozolimy. Zapewne są i inne jeszcze zakłady i świątynie, ale o tych nie wiem. Zarząd interesami

i własnością należy do Stowarzyszenia, dla potrzeb duchownych jest osobna duchowna misya ruska.

Ormianie prawie wszyscy należą do sekty eutychyanów albo monofizytów. Błędy Eutychesa zostały potępione na Soborze powszechnym Chalcedońskim 451 roku. Głównym przedmiotem ich herezyi jest to, że nie uznają w Panu Jezusie dwóch natur, lecz twierdzą, że w osobie Jego natura ludzka została pochłoniętą przez Boską. Nie uznają oczywiście powagi Papieża, nie wierzą w czyściec i w sąd zaraz po śmierci itp. Rządzi nimi patryarcha, stojący na czele rady złożonej z piętnastu członków, z których dwaj świeccy. Ormianie posiadają obszerny i piękny klasztor na górze Syon, w którym mieszka patryarcha. Oprócz monofizytów jest jeszcze wśród Ormian nieliczna sekta jakobitów albo Syryjczyków niezjednoczonych; mają oni klasztor na Syonie, jest też w Jerozolimie nieco Abisyńczyków i Koptów. Pierwsi dopiero w ostatnich czasach wybudowali sobie osobny kościół na nowem mieście, dość daleko od murów. Stoi on na wzgórzu, więc widoczny z daleka; nie byłem w nim, ale mi mówiono, że jest dokładną kopią rotundy Kościoła grobu. Koptowie od dawna mają dwa klasztory. Protestanci pomimo usiłowań i silnej propagandy, bardzo nieliczni, mają na Syonie jedną świątynię p. t. Kościół Chrystusa (Christ-Church), przy którym rezyduje na przemiany biskup anglikański i superintendent ewangelicki, bo też koszta na utrzymanie łożą Anglia i Prusy.

Największa liczba katolików, bo 2.000, należy do obrządku łacińskiego, inne obrządki katolickie bardzo słabo są w Jerozolimie przedstawiane. Podług Liévin'a ma być tylko 50 Greków i 20 Ormian, unitów. Wnoszę jednak, że ostatnich musi być obecnie znacznie więcej, skoro budują sobie osobny, a wcale duży, kościół przy *Via dolorosa*. Katolicy zostają w Jerozolimie pod naczelnictwem patryarchy, którym jest obecnie Ludwik Piavi z Zakonu Franciszkańskiego. Do niedawna XX. Franciszkanie sami byli na straży świętych miejsc palestyńskich; Pius IX. wskrzesił Patryarchat w 1847 r., więc przybyli księża świeccy do pomocy, w ostatnich dwudziestu latach zakony, zgromadzenia i zakłady katolickie zaczęły się mnożyć w Jerozolimie i w całej Palestynie z zadziwiającą płodnością i szybkością. Chociaż odwiedzałem Jerozolimę w rok po ukazaniu się ostatniego

wydania *Guide-Indicateur'a* Liévin'a, mam już parę zmian do zaznaczenia. Oto ich wykaz:

Kościoły: 1) Grobu Pańskiego, w którym katolicy mają tylko niektóre części na własność niepodzielną, w całym kościele zaś mają używalność z Grekami i Ormianami; 2) patryarchalny, obsługiwany przez księży świeckich; 3) kościół parafialny grecko-unicki (ksiądz Melchita); 4) kaplica św. Weroniki należy także do Greków; 5) na pochyłości Góry Oliwnej kaplica Płaczu Pana Jezusa; 6) Grota Agonii i Ogród Getsemani (obsługują XX. Franciszkanie).

Kościoły przy klasztorach: 1) N. Zbawiciela przy głównym klasztorze XX. Franciszkanów (rezydencya Kustosza Ziemi Świętej); 2) klasztor XX. Franciszkanów przy kościele Grobu; 3) kaplica Biczowania, przy niej klasztor XX. Franciszkanów; 4) kościół Ecce Homo przy klasztorze Córek Syońskich; 5) św. Anny przy klasztorze XX. Misyonarzy afrykańskich (kardynała Lavigerie); 6) za bramą Nową buduje się kościół Wniebowzięcia przy klasztorze XX. Augustyanów francuskich; tam także hospicyum dla pielgrzymów z Francyi; 7) Na Górze Oliwnej kościół i klasztor PP. Karmelitanek; 8) na Drodze Bolesnej przy IV. stacyi buduje się kościół Ormian katolików; 9) zaczęto budować w r. 1896 kościół na miejscu śmierci św. Szczepana (XX. Dominikanie).

Klasztory i zakłady: 1) Patryarchat łaciński, rezydencya Patryarchy i seminaryum księży świeckich; 2) klasztor Sióstr św. Józefa; 3) Sióstr Różańca św. (arabski): 4) XX. Dominikanów za bramą Damasceńską; 5) klasztor braci Nauki chrześcijańskiej; 6) hospicyum albo dom dla pielgrzymów wszelkich narodowości, utrzymywany przez XX. Franciszkanów (Casa Nuova); 7) hospicyum austryackie; 8) ormiańskie. O francuskiem wspomniałem wyżej.

Szkoły dla chłopców: 1) szkoła parafialna początkowa przy klasztorze braci Nauki chrześcijańskiej; 2) Orfelinat przy klasztorze głównym XX. Franciszkanów; 3) Kollegium greckie przy klasztorze misyonarzy afrykańskich; 4) Zakład św. Piotra (szkoła rzemiosł), o 2 kilometry na zachód od miasta, założony przez X. Ratisboune'a; 5) szkoły rzemiosł w klasztorze N. Zbawiciela pod przewodnictwem XX. Franciszkanów; 6) Drukarnia i apteka w tym samym klasztorze.

Szkoły dla dziewcząt: 1) Zakład XX. Franciszkanów pod kiero-

wnictwem sióstr od św. Józefa; 2) Pensyonat przy klasztorze sióstr syońskich; 3) Orfelinat (dom sierot) N. Zbawiciela pod kierownictwem sióstr Franciszkanek; 4) Zakład panny Anny Saxe, tercyarki franciszkańskiej.

Szpitale: 1) św. Ludwika (francuski) dla katolików i muzułmanów tylko; 2) szpital sióstr św. Wincentego á Paulo (Szarytek).

Poznawszy w głównych zarysach Jerozolimę i jej mieszkańców, zaczniemy teraz, stosownie do rady psalmu: »włóżcie serca wasze w moc Jego, a rozłóżcie domy Jego, abyście opowiadali w drugiem pokoleniu« [1]) — przechadzki po mieście, przypatrując się bliżej i pojedyńczo bardziej cennym i ważnym pomnikom i pamiątkom jego. Zaczniemy zaś od dzielnicy muzułmańskiej, zostawiając rzecz najważniejszą, tj. kościół Grobu Pańskiego na sam koniec.

[1]) Ps. XLVII. 14.

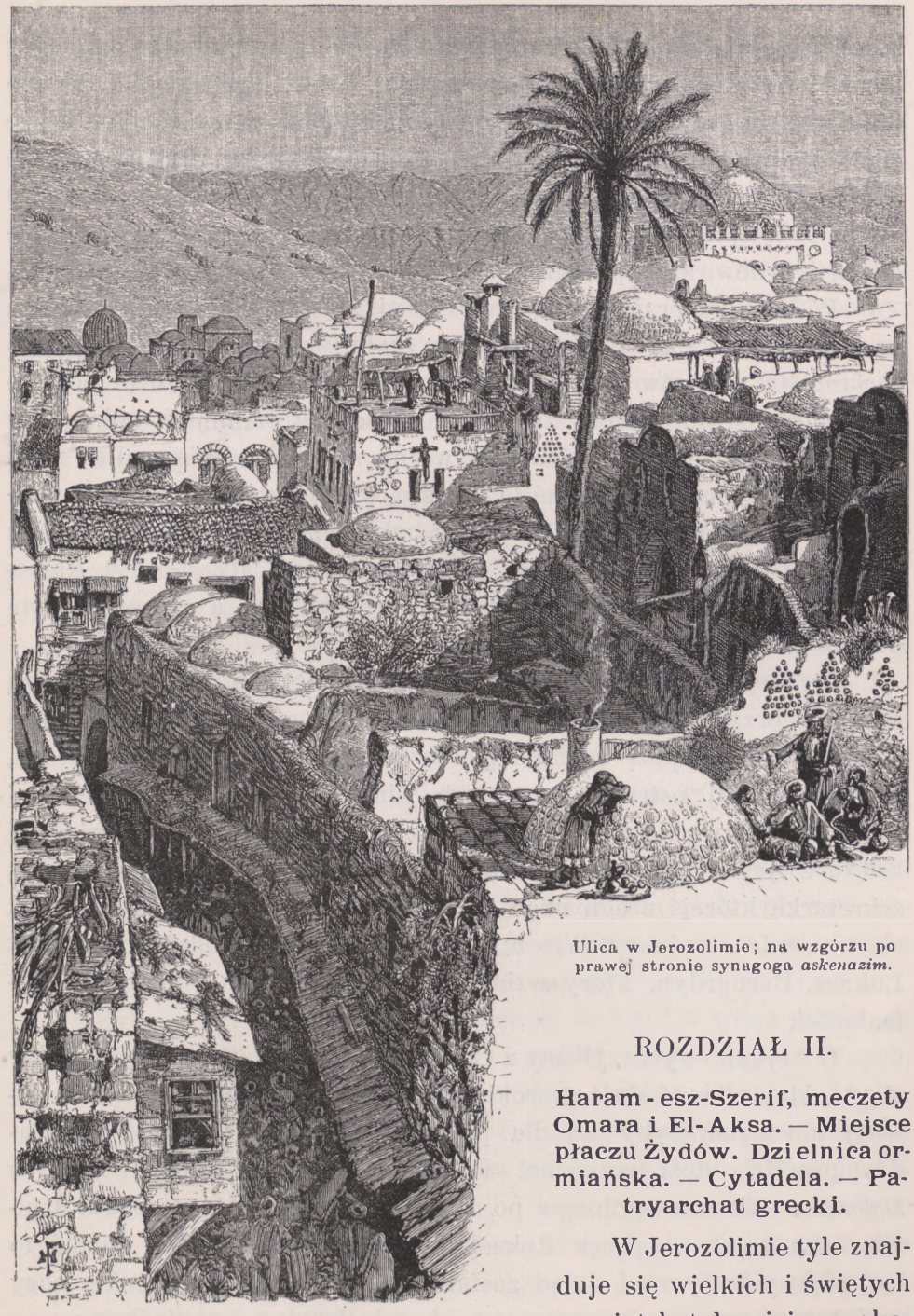

Ulica w Jerozolimie; na wzgórzu po prawej stronie synagoga *askenazim*.

ROZDZIAŁ II.

Haram-esz-Szerif, meczety Omara i El-Aksa. — Miejsce płaczu Żydów. Dzielnica ormiańska. — Cytadela. — Patryarchat grecki.

W Jerozolimie tyle znajduje się wielkich i świętych pamiątek, tyle miejsc znakomitych, że trudno zdecydować, które jest świętszem i bardziej zna-

komitem, zdaje się jednak, że można uważać za najpierwsze pomiędzy niemi, lubo z różnych względów, kościół Grobu Pańskiego i Haram-esz-Szerif (główna zagroda), tj. plac, na którym dawniej stała świątynia żydowska, a dzisiaj meczet Omara i El-Aksa. Jeśli przy zwiedzaniu Grobu św. były dawniej, jak wiadomo, trudności, to dostanie się do świętej muzułmańskiej zagrody było zgoła niemożliwe dla chrześcijan i żydów, a za przekroczenie zakazu czekała ich śmierć.

W bramie, przez którą najczęściej się wchodzi, wisiał kamień na łańcuchu na znak i przestrogę dla giaurów. Od ks. Hołowińskiego chciano 100 dukatów za wpuszczenie do meczetu, musiał więc poprzestać na zwiedzeniu tylko samego placu za skromniejszą opłatą, ale zawsze przebrany za Turka. Od wojny sewastopolskiej zakaz ustał i teraz każdy może zwiedzać to miejsce, byleby wyrobił sobie pozwolenie gubernatora, zapłacił 5 franków bakczyszu i nie wchodził w dniu muzułmańskich nabożeństw, tj. w Piątki, przez cały miesiąc Ramazanu i w niektóre inne, specyalnie wymienione, a przewodnikom dobrze znane.

Na moje szczeście nie był to miesiąc Ramazanu, więc w pierwszą po moim przyjeździe sobotę (13 października) wybraliśmy się na ową ciekawą, interesującą wycieczkę. Gromadka nasza nie była liczna, ale nadzwyczaj pstra i od czterech wiatrów zebrana; na czele jej szedł młody arcybiskup z Meksyku ze swoim kapelanem, dalej dwaj księża z Argentyny, kilka Polek z różnych stron, Angielka z Kairu, sekretarka którejś z egipskich księżniczek krwi, niemłody już i siwy, ale okrutnie sierdzisty Włoch, urzędnik, ja i przewodnik nasz, brat Łukasz, Bernardyn, który wziął na siebie załatwienie wszelkich formalności.

O 8-ej rano wyruszyliśmy z Casa-nuova; z początku zstępowaliśmy ciągle, idąc ulicami dość szerokiemi, na których wprawdzie dwa powozy nie wyminęłyby się, dla pieszych jednak, dla osłów i wielbłądów przejście dość wygodne. Przecięliśmy bazar i weszli na *Via Dolorosa*. Nic szczególnego po drodze nie widzieliśmy oprócz szpitala, zbudowanego przez Roksolanę, żonę Solimana W. Musiał to być piękny budynek i dotąd zastanawia front jego w szerokie pasy z białego i czerwonego marmuru; obecnie brudny i zaniedbany.

Przechodząc około domu baszy-gubernatora, zabraliśmy ze sobą

żołnierza, który już tam na nas czekał, a bez którego nie puszczono by nas do Haramu, i wkrótce weszliśmy w bramę; łańcuch w niej dotąd wisi, ale kamienia już niema, szybko ją przekroczyliśmy i oczom naszym przedstawił się widok prawdziwie imponujący. Proszę sobie wyobrazić ogromny, wyłożony płytami kamiennemi plac, długi 520 metrów (tj. pół wiorsty), a 320 szeroki. Od północy, ku której zwróceni jesteśmy plecami, stoją różne budynki, na miejscu dawnego Pretoryum, z prawej, zachodniej strony ciągnie się portyk sklepiony z niego siedm bram prowadzi do miasta, które też stąd widać, pnące się po górach; z lewej ciągnie się poważny, zębaty mur, stanowiący ogrodzenie świątyni i miasta zarazem; z poza niego wyglądają szczyty Góry Oliwnej, przed nami prawie pośrodku tego olbrzymiego dziedzińca, wznosi się na parę sążni (w niektórych miejscach tylko na sążeń) ponad poziom jego, taras 170 metrów długi i 160 szeroki, a w najwyższem miejscu jego cudo arabskiej architektury, meczet Omara, błyszczący od porcelany i marmurów.

Południowy koniec Haramu zajmuje ogromny meczet El-Aksa. Po całym placu porozrzucane marmurowe łuki, bramy i schody, kaplice, kazalnice, fontanny, gdzieniegdzie stare cyprysy, oliwki i cytryny. Wszystkie te jednak drobiazgi giną w olbrzymiej przestrzeni i oko widzi, z wielką dla całości korzyścią, główne tylko punkta tego cudownego obrazu.

Bo rzeczywiście jest on wspaniały i odpowiada wyobrażeniu o Wschodzie, jakie sobie wyrabialiśmy za młodu pod wpływem entuzyastycznych opisów, fantastycznych rysunków, a kto wie, może i baśni, pokrewnych powieściom Szecherazady.

Gdy się oko trochę oswoi, dostrzega, że bruk w wielu miejscach uszkodzony, tu i owdzie leżą kupy kamieni wcale niepotrzebnych, fontanny suche — nie biją, drzewa stare — ledwie żyją, słowem widać i tutaj, co mawiał Damiani, że *Turchi non sono gabasze*, nietylko stworzyć coś podobnego, ale nawet w należytym stanie utrzymać, — z tem wszystkiem widok prześliczny i wrażenie ogromne — jedyne bodaj estetyczne w Jerozolimie. Otoczyliśmy brata Łukasza w półkole, a ten, przekonawszy się, że całe grono, oprócz dwóch czy trzech kobiet, rozumie po włosku, zaczął opowiadać. Więc przypomniał znane dzieje, wskazując miejsca, na których się jaki wypadek zdarzył,

i znowu nie potrafię wypowiedzieć, jak ogromne wrażenie robiła na nas pewność, że one się *tu* właśnie, *w tem* miejscu odbywały.

Po tej zalanej słońcem, cichej obecnie i pustej przestrzeni snuły się gwarne tłumy z całego państwa judzkiego zebrane, tu składano ofiary, walczono i mordowano się bez pardonu; tam na tej wyższej platformie przechadzał się Zbawiciel, tam wyrwał z rąk faryzeuszów grzesznicę, pochwalił wdowę za grosz rzucony do skarbony, tam nauczał i przepowiedział zburzenie świątyni.

Północno-zachodni róg Haram-esz-Szerifu.

Przypomnijmy i my sobie dzieje tego świętego miejsca. Ogólna i dawna tradycya utrzymuje, że na tej górze Abraham ofiarował Izaaka, a nawet, podług żydowskich podań składali tu ofiary: Adam po wypędzeniu z raju, Kain i Abel, a także Noe po wyjściu z arki.

Być może, a nawet bardzo prawdopodobne, że te legendy zostały już potem dorobione, gdy Morya stała się miejscem wybranem dla składania ofiar całego Izraela. Historyczna jej doba zaczyna się od króla Dawida, kiedy ten po ustaniu morowej zarazy, kupił jej szczyt u Jezubejczyka Ornana za 600 syklów srebra i zbudował tam ołtarz Panu.

Na tem miejscu syn jego Salomon wybudował sławną świątynię. Ponieważ szczyt góry był za mały, więc go rozszerzono. Od wschodu, t. j. od strony doliny Jozafata i z zachodu od doliny Tyropeon wzniesiono olbrzymie podmurowanie z olbrzymich także kamieni. Zachodni mur był wysoki na 300 łokci (150 metrów, około 75 sążni) a składał się z ogromnych, pracowicie obrobionych kamieni. Dotąd w południowo-zachodnim rogu muru, na wysokości 26 metrów od teraźniejszego poziomu ulicy, tkwi w tej ścianie jednolity kamień $11^1/_2$ metrów długi, więcej niż metr wysoki i 3 metry szeroki. Zwykła jednak długość kamieni pojedynczych jest 2 do 3 metrów, co także jest wcale niezłą miarą. Od strony Jozafatowej doliny mur nie wydaje się bardzo wysokim, bo jak wykazały ciekawe poszukiwania kapitana Warrena (1867) grunt z tej strony, chociaż za obrębem miasta, podniósł się tak znacznie, że dzisiejszy poziom jego jest o 85 stóp wyższy od fundamentów.

Dolina Tyropeon, jako w mieście będąca, zapewne więcej jeszcze została zasypaną. Ebers i Guthe twierdzą, że teraźniejsza ulica jest co najmniej na 21 metrów wyżej położona niż dawny bruk. Od północy, ponieważ skała była za wysoka, ścięto ją zapomocą narzędzi. Powiększywszy tak przestrzeń, Salomon na owym środkowym podniesionym tarasie wzniósł kościół. Opisywać go nie będę, bo to rzecz archeologów, przypomnę tylko, że składał się z trzech części, przedsionka, świętego i świętego świętych (t. j. najświętszego miejsca) i że rozmiarami nie mógł się równać z żadnym większym kościołem nowożytnym. Przedsionek miał 20 łokci (t. j. 10 metrów) długości, 10 szerokości i 30 łokci wysokości, dwie drugie części miały razem 60 łokci

długości (około 30 metrów), 20 szerokości i 30 wysokości, łącznie więc z przedsionkiem cała świątynia miała długości 80 łokci, t. j. mniej niż 20 sążni, co wcale niczem nadzwyczajnem nie jest. To też nie na rozmiarach zależała wielkość Salomonowego kościoła. Ku południowi dziedziniec kościelny nie był tak obszernym jak dzisiaj. Dla zrównania poziomu Salomon utworzył tam taras na potężnych filarach, na tym zaś tarasie zbudował sobie, a raczej córce króla egipskiego, którą pojął w małżeństwo, wspaniały pałac, murem oddzielony od terytoryum świątyni.

Wielu autorów (w tej liczbie i ks. Pelczar) mieści ten pałac na Syonie, że jednak nie był on tam, można napewno wnosić z pierwszego wiersza III rozdz. III Księgi Królewskiej »bo pojął, — czytamy tam o Salomonie, — córkę jego (króla egipskiego) i przyniósł do miasta Dawidowego (t. j. do Syonu), ażby był skończył budując dom swój i dom Pański i mur Jerozolimski wokoło«. A dalej w rozdziale IX w. 24: »a córka Faraonowa przeniosła się z miasta Dawidowego do domu swego, który jej Salomon był zbudował«.

Br. Liévin przytacza dowody, które wydają mi się przekonywającymi, że dom ten nie mógł być nigdzie indziej tylko przy samej świątyni [1]).

Pierwszy, niższy dziedziniec, ten właśnie, na któryśmy weszli, nazywał się dziedzińcem pogan i otoczony był krytemi galeryami, by w razie deszczu można się było pod niemi ukryć. Tutaj mogli wchodzić wszyscy, nawet poganie. Drugi wyższy, nazywał się dziedzińcem Izraela, bo tylko sami Izraelici, byle oczyszczeni i bez rażących wad cielesnych mogli do niego wchodzić.

Podług Flawiusza (cyt. Liévin) otoczony był murem 30 łokci wysokim i miał z czterech stron horyzontu po jednej bramie. Jeśli mur rzeczywiście był tak wysokim, to poganie nie stojący przed bramami chyba nie mogli widzieć świątyni lub co najwyżej jej dach tylko. W różnych miejscach na kamiennych słupach były umieszczone przestrogi, że jeśli kto z pogan wkroczy na dziedziniec Izraela, przypisze sobie karę śmierci, która go za to spotka. Dziedziniec Izraela

---

[1]) Mianowicie wypadki opowiedziane w IV król. XI 13 II paralip. XXIII. — 14—15. Ezech. XLIII 8. Ob. także *Guide Indicateur*, t. 1, str. 371 nota.

znowu oddzielony był kamienną balustradą od dziedzińca kapłańskiego, wśród którego wznosiła się świątynia.

Przetrwawszy więcej niż cztery wieki kościół ten został zburzony przez Nabuchodonozora w 589 r. przed Chrystusem. Po 70 latach niewoli żydzi powrócili i gorliwie wzięli się do odbudowania świątyni, która też została poświęcona w 516 r. przed Chrystusem. Gdy starcy pamiętający dawną płakali nad ubóstwem teraźniejszej, prorok Aggeusz przepowiedział, że ta uboższa będzie jednak sławniejszą od pierwszej, bo odwiedzi ją »Pożądany narodów«.

Jakoż przetrwała ona aż do przyjścia Zbawiciela, chociaż miewała czasy bardzo krytyczne; tak np. znieważył ją Antyoch Epifanes i umieścił w niej posąg Jowisza, złupił później Crassus. Herod I za to ją wspaniale przyozdobił i znacznie powiększył dziedziniec, włączywszy do niego i miejsce, zajmowane dawniej przez pałac królewski, zburzony przez Nabuchodonozora i więcej nie poprawiany. (Asmonejczycy mieszkali na Syonie w zamku Baris i Herod także na Syonie). Jego to roboty i budowanie podziwiali apostołowie.

Wkrótce jednak nadeszły czasy zniszczenia, przepowiedziane przez Zbawiciela. Już w godzinę śmierci Jego zasłona, oddzielająca święte od świętego świętych, rozdarła się na znak, że tak samo rozdarte i zniweczone zostało przymierze zawarte niegdyś między Bogiem i ludem Jego, że odtąd ofiary w tej świątyni składane nie będą Bogu miłemi, lecz inna ofiara »czysta« zastąpi ich miejsce.

Przed przyjściem Rzymian różne dziwne a straszliwe znaki okazywały się w świątyni; drzwi otwarły się same, kapłani przed świętami pięćdziesiątnicy słyszeli wewnątrz tajemnicze szmery i głosy mówiące: »wychodźmy stąd;« jakoż niebawem kościół wraz z miastem i ludem zginął pod mściwą ręką żołnierzy Tytusa. Na miejscu świętem, podług przepowiedni Daniela, stanęła »brzydkość spustoszenia«, a gdy w drugim wieku zaczęto odbudowywać Jerozolimę już jako Aelia Capitolina, na miejscu dawnego kościoła Adryan postawił świątynię Jowisza, a gdzieś koło niej wzniesiono posąg samego Adryana, który przetrwał do czasów chrześcijańskich i był pozostawiony na miejscu przez św. Helenę, która świątynię Jowisza zburzyła. Pielgrzym z Bordeaux widział go jeszcze w 333 r.

Wspominałem już wyżej o próbie odbudowania kościoła przez

żydów za Juliana Apostaty; posłużyła ona do tem radykalniejszego spełnienia przepowiedni Chrystusowej, że z przepysznej budowy Heroda kamień na kamieniu nie pozostanie. Za panowania chrześcijan Morya leżała w gruzach, tylko na południowym końcu dziedzińca, gdzie za Heroda miały znajdować się budynki zajmowane przez dziewice poświęcone służbie świątyni i gdzie miała mieszkać i N. Panna, wzniesiono kościół pod wezwaniem Ofiarowania N. Panny.

Było to za Justyniana W. — Ebers i Guthe, opierając się na pewnem wyrażeniu współczesnego pisarza Prokopa, twierdzą, że przy tej okazyi Justynian przedłużył i dobudował południowy koniec tarasu i owe olbrzymie sklepienia i filary, na których się on opierał. Czy tak było, niechaj rozstrzygają archeologowie, ale nie wiem jak wytłomaczyć w takim razie fakt, że właśnie w tym najbardziej południowym murze znajduje się t. zw. podwójna brama, niewątpliwie zbudowana przez Heroda I.

Gdy Arabowie zdobyli Jerozolimę, Omar nie wszedł na modlitwę do kościoła Grobu, lecz pomodlił się w kościele Ofiarowania, który zaraz wskutek tego został zamieniony na meczet i nazwany El-Aksa t. j. »oddalony«.

Następnie zajął się zwycięzki kalif odszukaniem kamienia, na którym śpiąc patryarcha Jakób, miał widzenie drabiny niebieskiej; muzułmańscy mędrcy i święci wmówili w niego, że ten kamień znajduje się na miejscu dawnej świątyni żydowskiej [1]) pod kupami śmieci, gruzu i kamieni. Omar zabrał się gorliwie do oczyszczania tego miejsca i pierwszy zaczął śmiecie wynosić w połach swego kaftana. Po uprzątnieniu rumowisk znaleziono tę samą skałę, która do dziś istnieje i nad nią Omar zbudował meczet nazwany Kubbet-es-Sachra, t. j. »Kopuła skały«. W 55 lat później na miejscu pierwotnego meczetu kalif Abd-el-Melik Ibn-Meruan wzniósł inny, daleko wspanialszy, na ozdobę którego nie szczędził kosztów, sądząc, że uda mu się odciągnąć muzułmanów od pielgrzymek do Mekki, gdzie panował wróg jego Ibn-Zobier. Tej to rywalizacyi zawdzięcza meczet, niesłusznie noszący imię Omara, swą wspaniałość, dla niej może później przyczepiono do niego rozmaite zmyślone epizody z życia Mahometa, który

[1]) Widzenie to miał Jakób w Bethel, nie w Jerozolimie.

np. z tej skały miał jeździć do nieba na swej ulubionej klaczy El-Borak i takim sposobem w połączeniu ze wspomnieniami żydowskiemi i chrześcijańskiemi, które muzułmanie przyjęli, przekręciwszy je po swojemu, stała się Jerozolima naprawdę i dla nich El-Kuds t. j. święta i po Mekce zajmuje pierwsze miejsce.

Następni kalifowie ozdabiali meczet »skały«, a po trzęsieniu ziemi w 1027 r. został on doprowadzony prawie do tego stanu, w jakim go dziś widzimy. W r. 1099 miasto zdobyli Krzyżowcy i w meczecie Omara wymordowali 10.000 muzułmanów, którzy się do niego schronili — następnie zamienili go na kościół pod tytułem »Świątynia Pańska« — Godfryd de Bouillon dla obsługiwania jej obsadził Augustyanów w klasztorze wzniesionym na północnym końcu »Zagrody Świętej«.

W r. 1187 Saladyn strącił krzyż z kopuły świątyni i odtąd półksiężyc stale już nad nią świeci, chociaż co prawda blask jego za naszych czasów srodze się przyćmił i pociemniał. Turcy nic prawie nie zmienili w robocie Arabów, co im za wielką zasługę poczytać należy, bo z pewnością byliby wszystko popsuli. Nawet w czasie gruntownej restauracyi wnętrza meczetu w 1875 r. (na którą Turcya wydała 2,300.000 franków), wszystko zostało po dawnemu i nic ważniejszego nie zmieniono.

Gdyśmy w krótkości poznali dzieje tego miejsca, przypatrzmy się teraz ważniejszym jego pomnikom, pomijając drobniejsze i mniej zajmujące. Na dawnym dziedzińcu pogan, t. j. na owej niższej wielkiej płaszczyźnie (esplanada), na którą najpierw weszliśmy, pokażą nam ślady fundamentów fortecy albo zamku Antonia. Twierdzę tę na północno-zachodnim rogu dziedzińca pogan zbudował arcykapłan Hirkan, syn Szymona Machabeusza, około 121 roku przed Chrystusem. Herod ją umocnił i upiększył. Stała ona na skale 50 łokci rzymskich wysokiej, od północy rów 250 stóp szeroki, a w skale kuty, oddzielał ją od wzgórza Bezetha, po czterech rogach broniły jej wieże, wewnątrz były dziedzińce, mieszkania dla żołnierzy i służby, słowem był tam zjednoczony przepych pałacu z mocą i obronnością twierdzy. Za Machabeuszów zamek nazywał się Baris, Herod przezwał go Antonia na pamiątkę jednego ze swoich przyjaciół. Obecnie pozostały tylko ślady fundamentów kutych w skale, a część miejsca

dawnej twierdzy zajmują koszary piechoty tureckiej. Najwięcej jednak pociągał nas taras wzniesiony, stojący pośrodku placu, on to bowiem był niegdyś dziedzińcem Izraela i kapłańskim, na nim więc odszukanym był Jezus w 12 roku życia, na nim spełniły się inne Jego czyny, wspomnione przez Ewangelię, jako zaszłe w świątyni. Obecnie na ten taras wchodzi się z ośmiu stron po szerokich kamiennych schodach, u szczytu których stoją lekkie i piękne bramy z kolumn unoszących zgrabne łuki.

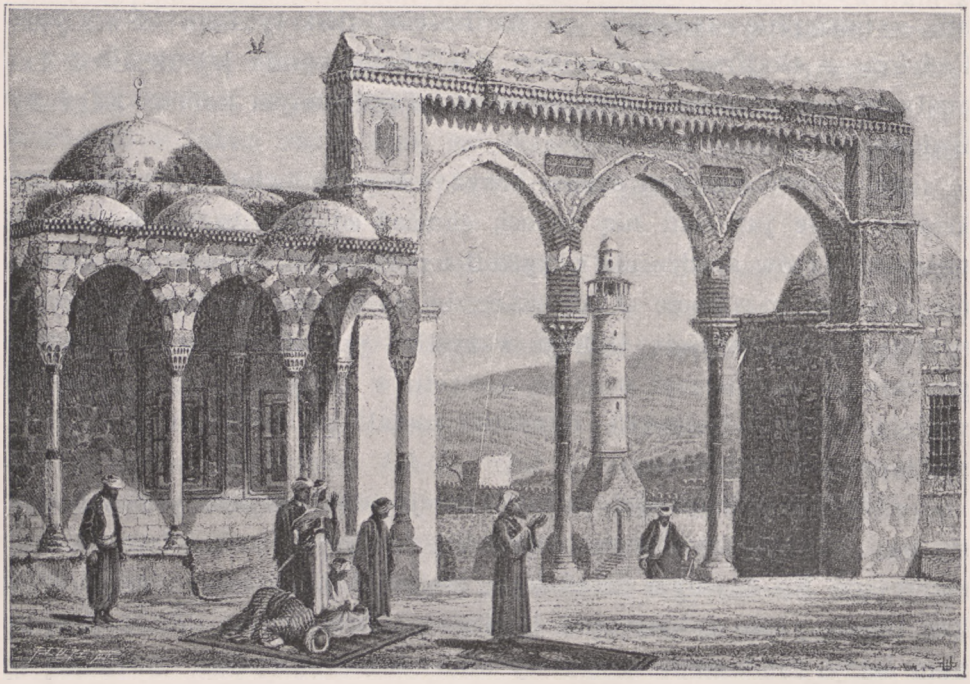

Jedna z bram wiodących na taras meczetu Omara.

Wstąpiliśmy na schody północne, u ich szczytu w takiej właśnie bramie, czekał na nas szejch, t. j. przełożony, nie wiem jakiego stopnia, muzułmańskich duchownych. Był to słusznego wzrostu opasły mężczyzna, o twarzy dobrodusznej; stał sobie bez żadnej ceremonii bosy, w lekkim chałacie (bo też upał był straszliwy) i każdemu z nas bardzo uprzejmie podawał rękę — małą i zgrabną jak u kobiety. Oczywiście zapragnęliśmy zaraz wejść do meczetu Omara i nic nie przeszkadzało spełnieniu naszych zamiarów, tylko trzeba było zała-

twić się z małą formalnością tyczącą się obuwia. Dawniej chrześcijanie musieli zmieniać trzewiki i dlatego przynosili z sobą drugą parę, zostawiając pierwszą na dworze; dziś proceder ten znacznie uproszczony. Przed meczetem czekała na nas gromadka chłopców, trzymających w ręku paczkę worków z grubego płótna. Chłopaki te rzuciły się na nas z drapieżnością wilków, krzycząc przytem jak żydzi na jarmarku. Mnie jeden taki g a m e n porwał za nogę i zawiązał na niej worek, a zostawiwszy drugą w trzewiku, upolował sobie jednę z matron naszego orszaku; tej także nogę owinął i dopiero naznaczywszy w taki sposób i trzecią jeszcze ofiarę, wrócił do mnie i po kolei do innych, dając i drugi worek na drugą nogę. Pociesznie wyglądaliśmy w takiem obuwiu, ale mało na to zwracaliśmy uwagi, bo wabiło nas i nęciło tajemnicze wnętrze meczetu, który jakby zjawisko z fantastycznego świata arabskich baśni, stał oto przed nami otworem.

Meczet Omara nie imponuje bynajmniej ogromem; — jest to budynek ośmiokątny, mający w przecięciu 46 metrów, to jest niewiele więcej nad 20 sążni, ale chyba na całym świecie nie można znaleść bardziej odpowiedniego położenia a i coś bardziej lekkiego, eleganckiego, gustownego, coś wspanialszego i bogatszego wymarzyć trudno. Plan budynku jest bardzo prosty. W samym jego środku znajduje się »święta skała«, a nad nią wznosi się kopuła, oparta na filarach, pomiędzy którymi stoją kolumny (jak np. w św. Zofii w Konstantynopolu). Środek więc meczetu jest okrągły; dokoła niego idą dwie ośmioboczne nawy (niby otwarte korytarze), z których bliższa jest mniejszą, dalsza oczywiście większą. Oto i wszystko, ale opisać i opowiedzieć jaki jest przepych materyałów,

Meczet Omara i trybunał Dawida.

jaka proporcyonalność architektonicznych części, jaka lekkość kopuły, jaka piękność mozaik, daremniebym się silił, bo i rysunek niewieleby tu pomógł. Więc lepiej słówko powiem o onej cudownej skale.

Wiemy już, że w wyobraźni muzułmańskiej ma to być kamień, na którym spał Jakób patryarcha; w rzeczywistości jest to nieociosana, bardzo nieregularnej formy rodzima skała, która wskutek obniżenia się sąsiedniego gruntu wystaje teraz nad poziom na metr albo trochę więcej, a długą jest na 17 metrów. Podług podań żydowskich na niej to właśnie Abraham ofiarował Izaaka, nad nią też znajdowało się i miejsce najświętsze dawnej świątyni, jak br. Liévin utrzymuje. Rzeczą jest niewątpliwą, że rzeczywiście na tem miejscu stała świątynia Jehowy, czy jednak można tak dokładnie wskazywać jej części, jak to czyni br. Liévin, wątpię nieco. Prawdziwszem bodaj będzie mniemanie, że skała ta stanowiła podstawę ołtarza całopalenia.

Mahometanie do tej skały, bezwątpienia szanownej, przywiązali mnóstwo legend i uważają ją za niesłychanie święte miejsce, więc żeby nie uległo profanacyi otoczyli je rzeźbioną kratą drewnianą. Kopuła wznosząca się nad skałą, mająca w przecięciu 20 metrów a 29 wysokości, jest drewnianą; zewnątrz pokryta ołowiem, wewnątrz stiukiem bardzo ładnemi ozdobionym arabeskami. Na szczególną uwagę zasługują okna. Składają się one z niezliczonej ilości kolorowych szkieł ciętych na małe kawałeczki i osadzonych w gipsie. Niema więc tam wielkich tafli, tylko ołowiane czy z innego metalu ramki, trzymające owe szkiełka jakby plastr wosku ujęty w ramy. Szkła są dobierane z niezrównanym gustem, a gipsowa osada hamuje jaskrawość kolorów, które zlewają się w dziwnie harmonijną

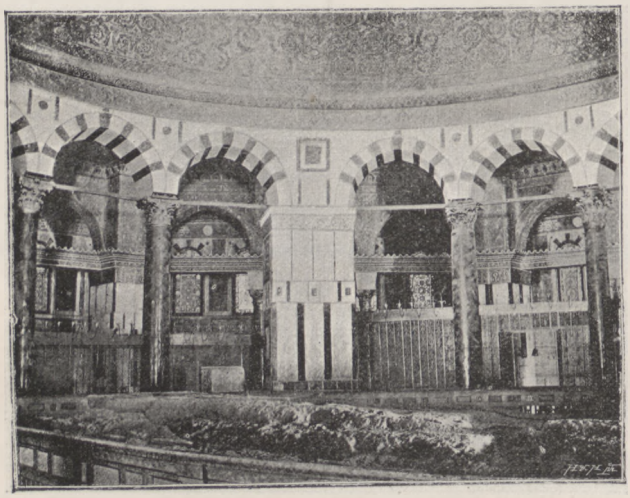

Wnętrze meczetu i skała święta.

jedność. Wskutek takiego oświetlenia w meczecie panuje zmrok bardzo pożądany w gmachu stojącym na odkrytem zewsząd miejscu w tak gorącym klimacie. Po niejakim czasie oko oswaja się z półmrokiem i lepiej rozróżnia ozdoby łuków i sklepień. »Są to cudowne mozaiki, pokrywające wszystko a naśladujące złotogłów i hafty, ale piękniejsze i trwalsze niż wszystkie tkaniny na świecie, gdyż w ciągu wieków zachowały one cały swój blask i różnobarwność; składają się bowiem z materyału prawie wiecznego, z miliardów kawałeczków marmuru różnych odcieni z masy perłowej i złota. Na ogół przeważa złoto i kolor zielony. Przedstawiają one całe serye dziwnych naczyń, z których symetrycznie wystają sztywne bukiety; są tu wszelkie konwencyonalne rośliny czasów minionych, wszystkie kwiaty dawnych marzeń; szczególnie winne liście zrobione z nieskończonej rozmaitości zielonych marmurów — winne latorośle archaicznie sztywne, dźwigają grona złote i z masy perłowej. Tu i owdzie jednak dla rozmaitości rzucono na tle złotem duże kwiaty czerwone, cieniowane odrobinami porfiru i różowego marmuru.

»Wśród kolorowego światła, jakie przepuszczają okna, cała ta wspaniałość bajek wschodnich błyszczy, lśni, mieni się w półcieniu i milczeniu tego miejsca, prawie zawsze pustego i otoczonego samotnymi placami, po których my jedni przechadzamy się. Małe ptaszęta, przyzwyczajone do świątyni, wlatują i wylatują przez ustawicznie otwarte bronzowe okna, siadają na porfirowych gzemsach, na złocie i masie perłowej, po przyjacielsku znoszone przez dwóch czy trzech białobrodych strażników, klęczących i modlących się w zacienionych kątach. Na ziemi, na taflach marmurowych, rzucono stare perskie i tureckie kobierce o barwach rozkosznie przyćmionych« [1]).

Meczet Omara ma czworo drzwi od czterech stron nieba; zewnątrz jest wykładany marmurem i taflami o błękitnym czy szafirowym rysunku na tle białem.

Dziwnych wrażeń doznaje się w tym gmachu. Uczucie estetyczne jest całkowicie zadowolonem i chyba tylko na zbyt silny mrok skarżyć się może, ale nic tu niema, coby do uczucia religijnego przemówić zdołało. Drogie kolumny, kunsztowne arabeski, śliczne mozaiki, wspa-

[1]) Loti. »Jérusalem«, 73.

niała kopuła nie zapełniają pustki, która i tutaj, jak we wszystkich zresztą meczetach, panuje. Nic tu nie przemawia do serca, do woli, do rozumu — oczy tylko pasą się i radują, dusza pozostaje zimną, owszem smutną nawet.

Z drugiej strony doznaje człowiek niemałej satysfakcyi, że oto znalazł się w tem tajemniczem miejscu, tak długo dla giaurów zamkniętem, a dziwny lęk go przejmuje, gdy wspomni, że nad tą skałą stała może arka przymierza, przed którą raz tylko do roku sam arcykapłan na twarz w prochu upadał; że chodzi po miejscu, które Pan chwałą swoją napełniał. Teraz tu błąd i głupota dźwignęły tę świątynię wspaniałą, szafując skarbami bez liku i ceny.

W wieku, w którym nawet Budda wśród chrześcijan ma czcicieli, nie można napewno powiedzieć, czy i Mahomet nie znajdzie między nimi obrońców, sądzę jednak, że moi czytelnicy chyba na równi ze mną cenią i »wielkiego proroka« i całą jego bezecną robotę; nie będę się więc rozszerzał nad smutnym losem miejsca, które niegdyś dźwigało jedyny na świecie ołtarz prawdziwego Boga, a dziś słucha tysiąckroć na dzień zapewnień, że Mahomet jest jego jedynym prawdziwym prorokiem. Przytoczę natomiast opowieść o cudach muzułmańskich przywiązanych do meczetu; będą one niepoślednią ilustracyą wewnętrznej treści mahometanizmu.

Opowiadają więc »prawowierni«, że kiedy razu jednego wielki prorok siedząc na pięknej siwej klaczy El-Borak, (którą otrzymał był w prezencie od archanioła Gabryela), podniósł się do nieba, by bezpośrednio z samym Ałłachem traktować o bardzo ważnej sprawie, skała święta, z której właśnie jechał za obłoki, podniosła się cichaczem i za nim też w pędy podążyła. Ałłach miłościwem okiem śledzący swego proroka, zobaczył, jaka strata grozi ziemi, więc posłał co rychlej Gabryela, który opokę ręką przytrzymał. Odtąd pozostał na niej ślad palców archanielskich, dotąd pokazywany i co dziwniejsza, sama skała wciąż wisi w powietrzu, choć tego oko śmiertelne nie widzi.

Przy południowo-zachodniej stronie drewnianej kraty stoi wysoka niby klatka, niby relikwiarz. W dolnej części przechowują na kamieniu coś podobnego do śladu nogi Mahometa, w wyższej dwa włosy z jego brody schowane w futerale, który znowu złożony jest w srebrnej urnie. Pod »świętą skałą« jest grota, do której schodzi się

po kilkunastu schodach, a po drodze wskazują część opoki zwaną »językiem« dlatego, że gdy Omar odnalazłszy mniemany kamień Jakóba, zawołał z radości: »Essalam Aleik!« (pozdrawiam cię), ona mu odpowiedziała: »Aleik Essalam!« (ciebie pozdrawiam).

Grota, o której mowa, pełną jest dziwów. Pośrodku jej znajduje się spora tafla, jak mi się wydawało, marmurowa. Nasz szejch zaczął po niej stąpać swoją bosą nogą i kamień wydawał głuchy odgłos, zdradzający próżnię pod spodem. Widocznie jest tam jakaś cysterna albo tajemne przejście, muzułmanie jednak innego są zdania. Podług nich jest to studnia, w której dusze »prawowiernych« zbierają się w nocy z niedzieli na poniedziałek i z czwartku na piątek dla oddawania czci Bogu. Dlatego też to szczególne miejsce nabożeństwa nazywa się u nich »studnią dusz« (Bir-elaruach). Niedość tego: razu jednego jął nam opowiadać brat Łukasz, przyszedł Abraham i stanął w jednym kącie groty na modlitwę, następnie przybyli jeszcze: Salomon, Dawid i Eliasz i pozajmowali wszystkie cztery kąty tak, że gdy w końcu przyszedł największy prorok, sam Mahomet, nie było już dla niego swobodnego kąta. On jednak z właściwą wielkim ludziom modestyą nie chciał ruszać żadnego z obecnych i skromnie przykucnął w tem miejscu, gdzie sklepienie jest najniższe. Wkrótce porwał go zapał modlitwy tak, że o niczem już nie pamiętał i wstając, byłby sobie głowę o skałę nadwerężył, gdyby ta nie zmiękła jak wosk przy ogniu — tylko więc turban proroka zostawił w niej wklęśnięcie, które dotąd pokazują. Sądząc po niem, głowa proroka była wielką jak średniej miary ceber.

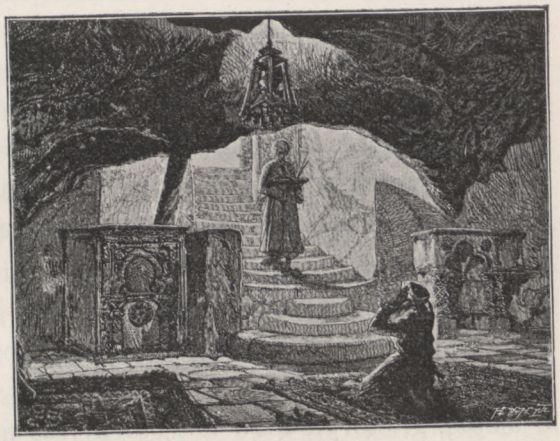

Grota pod skałą świętą.

Dodać tu muszę, że gdy nasz przewodnik opowiadał nam z uśmiechem te wszystkie »cuda« i my od uśmiechu nie mogliśmy się wstrzymać — szejch muzułmański śmiał się razem z nami.

Wyszliśmy z podziemia, by oglądać nowe dziwo. W pierwszej nawie meczetu na przeciwko drzwi północnych jest w podłodze tafla jaspisowa. Mahomet wbił w nią za życia 19 gwoździ, dla oznaczenia ile jeszcze wieków ziemia po nim trwać miała. Co sto lat jeden gwóźdź sam wypadał z kamienia i wstępował do nieba, gdzie go wbijano w tron Boży, dla lepszego jego umocowania. Tymczasem, dnia jednego, dyabeł wpadł do świątyni i zaczął co najprędzej wyrywać gwoździe, by przyspieszyć koniec świata. Na jego nieszczęście, złapał go na tym figlu archanioł Gabryel i takie mu na skórze wypisał *pro memoria*, że złemu duchowi na zawsze odpadła ochota brania się do trzech i pół gwoździ, które pozostały i które oglądałem. Nie jest więc już teraz jaspisowa tafla klepsydrą zbliżającego się ku końcowi świata, ale ma inną »cudowną« własność. Kto na nią rzuci pieniądz, kupi sobie zbawienie. Skorzystałem z tak łatwego sposobu zapewnienia sobie szczęśliwej przyszłości i położyłem na kamieniu pół franka. Szejch schował go z uśmiechem do kieszeni, a mnie upewnił, że mogę czekać spokojnie nim nieunikniony *kismet* przetnie dni mojego żywota.

Na jednej ze ścian zewnętrznych jest wmurowana tafla białego marmuru, którego żyły tworzą jakąś osobliwą figurę; jedni w niej widzą podobieństwo do dwóch dudków, inni do dwóch srok opartych o siebie. Historya tego marmuru jest następująca.

Kiedy Salomon budował świątynię Ałłachowi, wezwał do współudziału nietylko ludzi, ale i wszystkie stworzenia, które go usłuchały pokornie. Więc lew oddał swą grzywę, słoń kły, pszczoły plastr miodu, nawet mrówki, »nie żałując sił własnych i ciężkiej fatygi«, przyniosły mu cały udziec szarańczy; tylko ptaki, zbuntowane przez sroki, nie chciały słuchać mądrego króla. Oburzony tem, Salomon po raz wtóry zwołał sejm ptasi, a sam się ukrył, ciekawy co też się dziać będzie (bo wiadomo, że znał wszystkie języki ludzkie, zwierzęce i ptasie). Pięknych się rzeczy nasłuchał! Sroki przemawiały w taki sposób, jak gdyby były delegatkami na kongres feministek, więc też ich zuchwałe paplanie nawet Salomona z cierpliwości wyprowadziło. Wyszedł z ukrycia i złajał mocno emancypowane ptaki, które z przerażenia inkrustowały się w marmur i tkwią w nim dotąd na postrach i przestrogę niepowściągliwym językom i zanadto pysznym sercom

Gdy opowiadam o »cudach« muzułmańskich, przychodzi mi na myśl, że możnaby napisać arcyciekawy traktat porównawczy cudów chrześcijańskich i niechrześcijańskich. Jak zawsze tak i w tym razie możnaby odrazu poznać gdzie prawda a gdzie fałsz, bo »z owoców ich poznacie je«. W cudach Biblii znajdujemy zawsze, oprócz innych przymiotów, rozumną celowość, sprawiedliwość, może częściej od niej wielką dobroć i miłosierdzie; Bóg prawdziwy dawnych Żydów, Bóg chrześcijański nic nie robi na próżno i ani trochę nie dba o popisanie się siłą, o samochwalstwo i tym podobne ludzkie słabostki. U mahometan, że o innych nie wspomnę, na każdym kroku w cudownych opowieściach spotykają się ślady ciężkiego materyalizmu, dziecinnej naiwności i chęci popisania się ze swoją siłą i mocą; cuda ich są często bezcelowe i bardzo niemądre.

Z pomników znajdujących się na wyższej platformie meczetu Omara wspomnę o dwóch tylko. Przed wschodniemi drzwiami znajduje się piękna, sklepiona, 10-kątna kapliczka, oparta na 17 kolumnach różnych architektonicznych porządków; zbudował ją Abd-el-Melik, fundator meczetu. Mahometanie nazywają tę kaplicę »trybunałem Dawida«, albo »kopułą łańcucha« (Mahkamet Daud, albo Kubbet-es-Silseleh), dlatego, że podług ich wiadomości, Dawid tu sądy sprawował, a Pan Bóg, chcąc mu je ułatwić, spuszczał z nieba łańcuch, który przysięgający brał do rąk; gdy przysięgał fałszywie, trzymane przezeń ogniwo odrywało się od łańcucha. Łatwo było być sprawiedliwym sędzią w takich warunkach.

W południowej bramie platformy ma wisieć waga, oku ludzkiemu oczywiście niewidzialna, na której ważone będą w dniu sądu uczynki złe i dobre każdego człowieka. Nie mogąc dojrzeć tego subtelnego narzędzia, przypatrywałem się prześlicznej kamiennej rzeźbionej ambonie, przy tej bramie stojącej. W większe święta, duchowni miewają z niej kazania do ludu. Uwadze zwiedzających to cacko polecam.

Po schodach, nad którymi stoi wspomniona brama, zstąpiliśmy znowu na niższy dziedziniec, kierując się ku południowemu jego krańcowi, gdzie wznosił się poważnie meczet El-Aksa. Pierwej jednak niż do niego, wprowadzono nas do podziemia nader ciekawego. Weszliśmy na ogromne schody, podzielone filarami na dwie sklepione nawy, a prowadzące do znajdującej się na dole podwójnej bramy, zwanej

tak dlatego, że jest rozdzielona na dwoje kolumną czy filarem. Z lewej strony zbacza się nieco, żeby zobaczyć olbrzymiej grubości kolumnę, wyciętą, wraz ze swoim, zdobnym w liście, kapitelem z jednego kamienia. Drzwi i schody są dziełem Heroda, który w taki sposób ułatwił dostęp do świątyni z południa.

Wiemy już, że na miejscu meczetu El-Aksa znajdowały się, podług podania, mieszkania niewiast poświęconych Bogu; tutaj więc

Meczet El-Aksa.

miała ze Św. Anną mieszkać N. Panna w swem dzieciństwie, i tu także miała ofiarować Bogu swego Syna. Na pamiątkę tych wypadków, Justynian wybudował tu kościół p. t. Ofiarowania; Omar zamienił go na meczet, który wskutek trzęsienia ziemi prawie zupełnie runął. Pod koniec VIII wieku, kalif Abu-Abdallah-Mohamed-ibn-Abdal lah-el-Mansur-el-Mahdy odbudował świątynię, przyczem skrócił jej długość, ale zato rozszerzył, dodawszy dwie nawy, tak że ma ich dziś

aż siedm. (Długość El-Aksa jest 90 metrów, szerokość 60 — jest więc znacznie większy od meczetu Omara). W 1099 r. przy tym kościele zamieszkali królowie jerozolimscy, a część pałacu swego Baldwin I odstąpił 1118 r. Templaryuszom. W kilkadziesiąt lat potem znowu El-Aksa został meczetem.

Weszliśmy najpierwej do szerokiego przedsionka (dzieło XIII wieku), a z niego do głównej nawy. Świątynia ta dziwny przedstawia widok — jestto niby bazylika, bo nie ma sklepienia, ani pułapu, tylko wiązanie dachu widać, przynajmniej w środkowej nawie (innych nie pamiętam), a jednak ma kopułę. Ściany w jednych miejscach pokryte bogatą, starą mozajkową ornamentacyą, częściej świecą wapnem. Kolumny głównej nawy pomalowane na biały marmur, inne znowu są z rzeczywistego marmuru i innych cennych kamieni, przytem bardzo różnolite. Niedaleko mihrabu znajduje się bardzo misternie rzeźbiona i piękna ambona (el-mimbar), umieszczona tu przez Saladyna. Z prawej strony przytyka do świątyni piękna sklepiona sala, przedzielona filarami, niegdyś zbrojownia Templaryuszów. W poprzecznej nawie, z prawej i z lewej strony kopuły, stoją po dwie bardzo do siebie zbliżone kolumny. Muzułmanie wierzyli, że kto się między niemi przeciśnie, pójdzie zaraz po śmierci wprost do raju. Więc też przeciskali się prawowierni tak długo i często, że aż wyżłobili brzuchami dół kolumny (szczególnie z prawej strony). Na nieszczęście, przed kilkunastu laty, jakiś otyły a żarliwy muzułmanin jak się zapchał między kolumny, to i ducha wśród nich wyzionął. Odtąd basza, czy wyższe duchowieństwo, pomiędzy kolumnami osadziło trzpień żelazny z półksiężycem na wierzchu, i nikt już dowiedzieć się nie może, jak to z nim będzie po śmierci. Co do mnie, obojętnie to zniosłem, bom już uprzednio na jaspisowej tafli dostatecznie się na wszelki wypadek zaasekurował.

Przeszliśmy następnie na południowo-wschodni róg dziedzińca i tam po kilkudziesięciu schodach zstąpiliśmy do podziemnej komnaty, zwanej Saidna-Aissa, w której muzułmanie czczą rodzaj konchy kamiennej na wodę święconą, jako kołyskę proroka Issy (Jezusa). Stamtąd wprowadzono nas do owych sławnych podziemi, na których spoczywa część południowa Haramu. Weszliśmy do ogromej przestrzeni, zajętej przez 88 potężnych filarów; najprawdopodobniej zo-

stały one wzniesione przez Salomona. Herod W. poprawił je i zasklepił; dawniej musiały być niezmiernie wysokie, bo i dziś jeszcze, choć w znacznej części zasypane ziemią i gruzami, imponują jednak swym ogromem. Przestrzeń tę nazywają stajniami Salomona, chociaż nie jest rzeczą pewną czy rzeczywiście służyła mu ona w tym celu; natomiast nie ulega wątpliwości, że królowie jerozolimscy i Templaryusze trzymali tu swoje konie i juczne zwierzęta, i to w ogromnej liczbie. Niektóre filary mają ślady kółek do przywiązywania koni. Pokazywano nam także rodzaj kamiennego żłobu, który pozostał pod jedną ścianą. Wyszliśmy z podziemia wązkimi i krętymi schodami, przez nizkie drzwi; znajdował się już przy nich nasz szejch, który nam nie towarzyszył w podziemnej wycieczce, i bardzo uprzejmie podając rękę, pomagał wydobyć się z ciasnych drzwi, a przytem głosem cichym, jak szmer leśnego strumyka, szeptał każdemu do ucha: »bakczysz«. Nie wiedząc jaka tu moda, powiadam pocichu do br. Łukasza: ten mąż świątobliwy pożąda bakczyszu, możebym mu dał jaką monetę? Ale braciszek tylko rękami zatrzepał: nie, nie, nie... Już ja za wszystko razem zapłacę.

Poszliśmy tedy dalej na północ, wzdłuż wschodniego muru, prześliśmy obok niewidzialnego mostu El-Sirat, cienkiego jak ostrze brzytwy, po którym w dniu sądu mają prawowierni wędrować na górę Oliwną, i stanęliśmy przed jednym z najcenniejszych pomników starożytności, przed bramą Złotą. Schodzi się do niej po kilku schodach i znajduje się w wysokim budynku, przedzielonym dwiema ogromnemi kolumnami, a oświeconym z góry przez dwie niewielkie kopułki, w których są okna. Wejście od doliny Jozafata jest zamurowane. Ściany ozdobione pilastrami, u góry biegnie bardzo ciekawy fryz w żydowskim guście, równie jak kapitele kolumn.

Wszystko wskazuje, że brama ta przetrwała, przynajmniej w istotnych częściach, taką jaką była za czasów Chrystusa Pana, który przez nią odprawił swój wjazd tryumfalny. Rzymianie ją oszczędzili, wraz z nielicznemi zresztą budowlami. Jak to się stać mogło i dlaczego? Może dlatego, żeby każdy mógł patrzeć na dotykalne spełnienie proroctwa Ezechiela, które nam przypomniał brat Łukasz, a które w tem miejscu powtórzone, ogromne na mnie zrobiło wrażenie: »I obrócił mnie (Pan), przepowiada prorok, ku drodze, bramy świątyni zewnę-

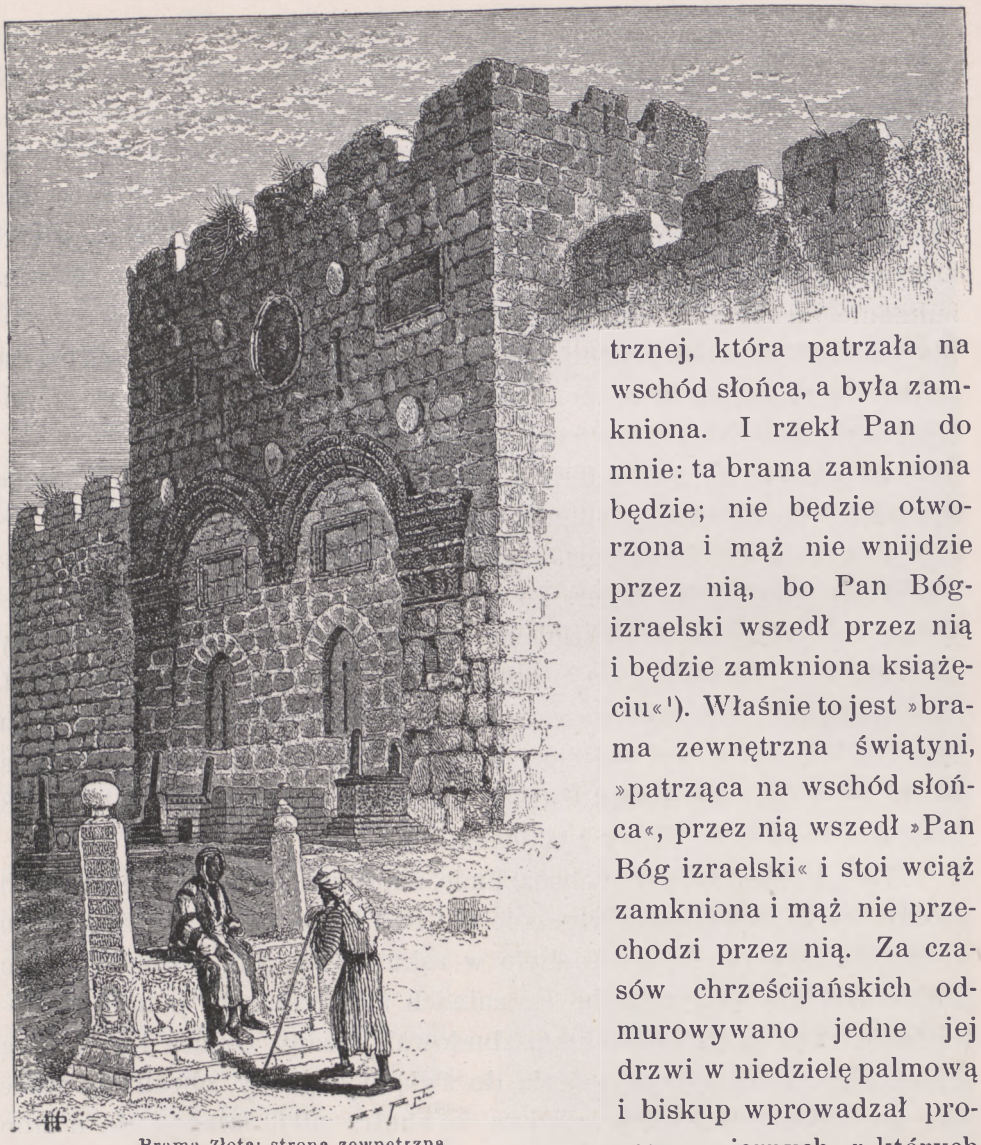

Brama Złota; strona zewnętrzna.

trznej, która patrzała na wschód słońca, a była zamkniona. I rzekł Pan do mnie: ta brama zamkniona będzie; nie będzie otworzona i mąż nie wnijdzie przez nią, bo Pan Bóg izraelski wszedł przez nią i będzie zamkniona książęciu«[1]). Właśnie to jest »brama zewnętrzna świątyni, »patrząca na wschód słońca«, przez nią wszedł »Pan Bóg izraelski« i stoi wciąż zamkniona i mąż nie przechodzi przez nią. Za czasów chrześcijańskich odmurowywano jedne jej drzwi w niedzielę palmową i biskup wprowadzał procesyę wiernych, z których każdy trzymał palmę w ręku. Piękny to i uroczysty musiał być widok. Mahometanie zamurowali ją na stałe, bo krąży między nimi przepowiednia, że tędy mają wejść zdobywcy chrześcijańscy. Oczywiście tak wątły mur nie mógłby być przeszkodą dla zdobywcy, niemniej jednak proroctwo się spełnia i brama, pod którą przeszedł Bóg Izraela, stoi dotąd w całości i »zamkniona książęciu«.

[1]) Ezech. XLIV, 1. 2.

Przy wyjściu znowu nam szejch rękę podawał i znowu głosem cichszym jeszcze niż uprzednio, łagodnym »jak woda zdroju», szeptał błagalnie »bakczysz«, ale nieubłagany brat Łukasz nie pozwolił ani na pół franka, bo, powiada, popsuje nam kanonik porządek. Ha, kiedy o porządek rzecz idzie, to trudno — więc, dla dobra publicznego, zamknąłem serce i worek. Obok Złotej bramy znajduje się niewielki meczet, zwany »tronem Salomona« (kursi Soleiman) dlatego, że muzułmanie utrzymują, jakoby w tem miejscu umarł on, siedząc na tronie swoim. Wewnątrz pokazują jego grobowiec, a na kratach okien prawowierni wieszają różne szmaty, co ma bardzo pomagać w potrzebach dusznych i cielesnych.

Skończyliśmy zwiedzanie Haramu i jego osobliwości; nie mając nic więcej do oglądania, skierowałem się ku wyjściu; większość orszaku, wraz z br. Łukaszem, została dla załatwienia rachunków. Nagle słyszę gwałt i harmider. To nasz Włoch pokłócił się o coś z Imamami. Udało się jakoś br. Łukaszowi zażegnać *barufę*, wyprawiwszy Włocha, który szedł do mnie wymachując laską z takim ferworem, aż w powietrzu furkało i wrzeszcząc po włosku: ja modlę się do Boga ludzkim głosem, a wy wyjecie jak psy — hu, hu, ha, ha... przyczem twarz jego nabrała koloru ćwikły i pięknie odbijała od białych jak srebro włosów. Sierdzisty był jegomość z tego Włocha.

Żydzi, mieszkający w Jerozolimie, zaprowadzili od niepamiętnych czasów zwyczaj płakania w pewne dni nad losem swojej stolicy, kraju i narodu. Jak długo miasto było w ręku chrześcijan, wolno im było gromadzić się w tym celu na ruinach świątyni, gdy jednak mahometanie zawładnęli Jerozolimą, zbudowali meczet Omara i pod karą śmierci zabronili żydom wejścia do świętej zagrody, obrali oni sobie dla zwykłych lamentacyi miejsce zewnątrz niej, mianowicie u stóp owego olbrzymiego podmurowania góry Morya od strony doliny Tyropeon, o którem wyżej mówiłem, blisko południowego jego końca. Dla tego ta część muru nazywa się »miejscem płaczu żydowskiego«. Tam teraz zaprowadzę mego czytelnika, chociaż sam zwiedziłem je pierwej niż meczet Omara.

W pierwszy piątek po mojem przybyciu do Jerozolimy odbyłem z licznem towarzystwem drogę krzyżową albo bolesną *(via dolorosa)* i pierwszy raz wszedłem do kościoła Grobu, skąd mieliśmy ruszyć do

»muru płaczu«. Wyszedłem wzruszony i skupiony, kroczyłem więc w milczeniu, również jak starsi członkowie naszego towarzystwa. Młodsze zato niewiasty, choć się przed kwandransem spłakały na Golgocie i u Grobu, śmiały się teraz i szczebiotały jak ptaszęta w gaju, pamiętając snać na to, co powiedział Zagłoba, że kot powinien być łowny, a chłop mowny — niewiasta zatem oczywiście jeszcze mowniejsza.

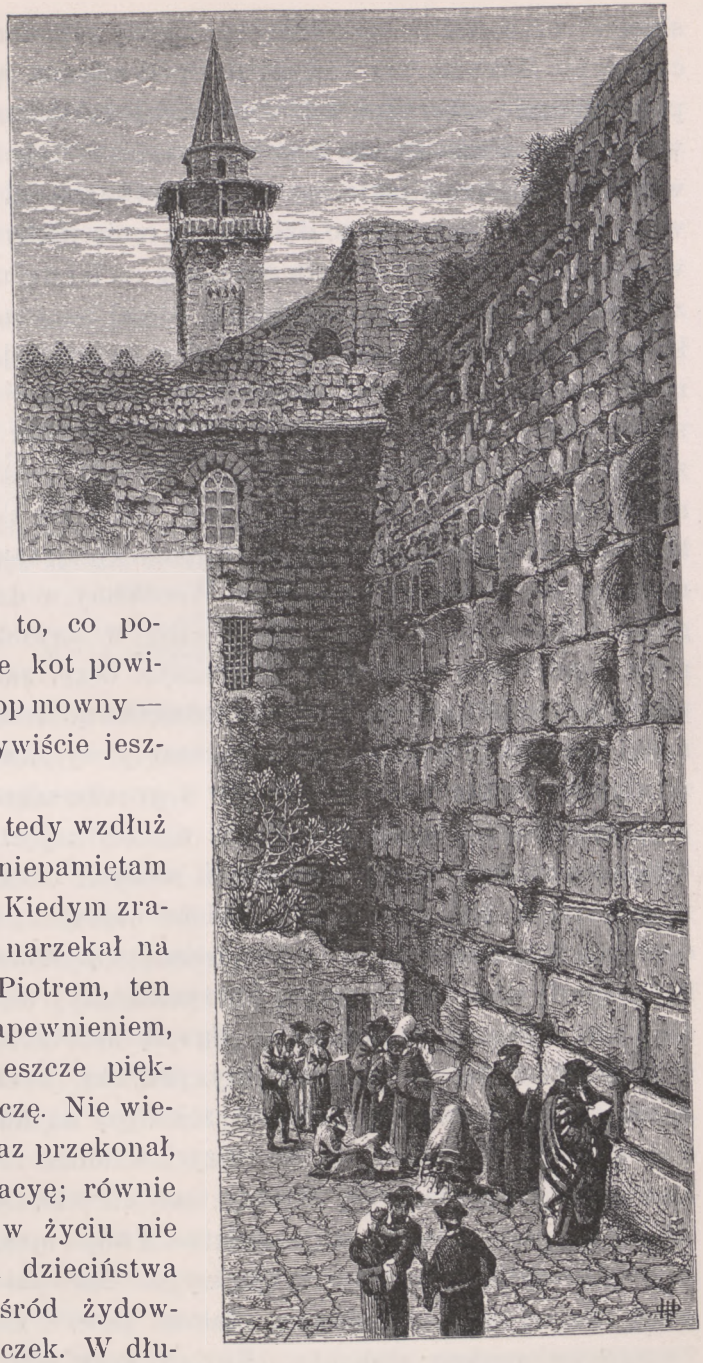

Mur płaczu żydów.

Przechodziliśmy tedy wzdłuż całego bazaru, a niepamiętam okropniejszej drogi. Kiedym zrażony brudami Jaffy narzekał na nie przed bratem Piotrem, ten mnie pocieszał zapewnieniem, że w Jerozolimie jeszcze piękniejsze rzeczy zobaczę. Nie wierzyłem, alem się teraz przekonał, że braciszek miał racyę; równie ohydnego miejsca w życiu nie widziałem, choć od dzieciństwa przecie wędruję wśród żydowskich miast i miasteczek. W długim bardzo, sklepionym, ciasnym i prawie ciemnym korytarzu, mieściły się po obydwu stronach nędzne

sklepiki, pracowali rzemieślnicy, gotowały się strawy, jakby w kuchni czarownic Makbeta, przebiegały psy pod nogami, ryczały osły, kroczyły pompatycznie szkaradne wielbłądy, a co leżało na oślizgłym bruku, jaka woń wstrętna unosiła się w powietrzu, jakie były brudne ściany, jakie widniały łachmany, jakie spotykały się twarze, tego opisać nie potrafię, wiem tylko, że wszystko to działało na mnie jakby jakiś szkaradny sen w gorączce, i takiego wstrętu nabrałem do tej dziury zatraconej, że nie zdobyłem się na odwagę zwiedzenia więcej bazaru, a gdy raz przypadkiem zabłądziłem w tę stronę, uciekałem co prędzej, jak od zapowietrzonego miejsca. Ten brud niesłychany tłómaczyć można tem, że, jak mi mówiono, prawie cały bazar jest teraz w ręku żydów; Muzułmanie zostali tylko przy orężu i skórach; prawda, zresztą, że i oni bynajmniej zbytkiem czystości nie grzeszą. Gdy się skończył wreszcie ów korytarz utrapiony, odetchnąłem swobodniej, ujrzawszy światło dzienne; niestety, nie wielka była pociecha. Weszliśmy w dzielnicę mogrebinów, gdzie nędza i niechlujstwo idą z sobą w zawody; nie było jednak rady, trzeba było brnąć dalej, odwracając oczy, zatykając nos, patrząc pilnie pod nogi i tym podobne przedsiębiorąc heroiczne środki ostrożności, doszliśmy w końcu do celu naszej wycieczki. Znaleźliśmy się na ciasnej, brudnej, pełnej złomów i gruzów uliczce (bo choć domów przy niej niema, placem jej nazwać nie można) a nad nią wznosił się wysoko potężny mur, z ogromnych starych ciosów wzniesiony. Na niektórych z nich widać było świeże napisy hebrajskie, z wielkich czarnych liter złożone. Są to bez żadnej wątpliwości pierwotne mury, które oparły się czasowi i rękom burzycieli; przy nich co piątek zbierają się żydzi i płaczą, wspominając dawną świetność i obecną niedolę, a najbardziej im nawet niechętny przyzna, że mają czego płakać. Jedni siedzą w smutnej zadumie, z księgą na kolanach, inni oparci o mur modlą się, szepcą coś do starych kamieni i całują je, niektórzy naprawdę płaczą. Gdy się większy tłum zbierze, odmawiają psalm 78: »Boże, przyszli poganie na dziedzictwo Twoje, splugawili kościół Twój święty, obrócili Jeruzalem w budkę na chowanie jabłek. Porzucili trupy sług Twoich na strawę ptakom powietrznym, ciała świętych Twoich zwierzętom ziemskim. Rozlali krew ich, jako wodę, około Jeruzalem, a nie był ktoby pogrzebł, staliśmy się pohańbieniem u sąsiad naszych; śmiechowiskiem i igrzyskiem u tych, którzy są

w okolicy naszej. Dokądże Panie gniewać się będziesz do końca, rozpali się jako ogień zapalczywość twoja?«

Potem pod przewodnictwem rabina śpiewają różne lamentacye. Przewodniczący intonuje coraz nowy wiersz, obecni odpowiadają albo jedno, jak w naszej litanii, albo także nowe wezwanie lub prośbę. Oto najwięcej używana forma:

RABIN.

Z powodu pałacu, który spustoszony jest
Z powodu świątyni, która jest zburzoną
Z powodu murów, które są obalone
Z powodu naszej świetności, która minęła
Z powodu naszych wielkich ludzi, którzy zginęli
Z powodu drogich kamieni, które spalono
Z powodu naszych kapłanów, którzy się potknęli
Z powodu naszych królów, którzy nim wzgardzili

LUD.

My tu siedzimy i płaczemy.

My na szczęście nie zastaliśmy licznego zgromadzenia, bo w takim razie widziećbyśmy w tej ciasnocie nic nie mogli, a co do mnie miałbym nielada przykrość, gdyż nie lubię robić sobie widowiska z cudzego nabożeństwa, a jeszcze więcej z ludzkich łez i smutku.

Zastaliśmy jeszcze niewielu modlących się — postacie wynędzniałe, blade, smutne i brudne. Czy też ci biedacy czytali kiedy skargi jednego ze swych najsławniejszych poetów, Ben Jehuda, który nie mogąc jak oni płakać u podnóża świątyni, tęsknił do niej i wzdychał z dalekiej Hiszpanii. »O Syonie, gdy opłakuję twój upadek, to grobowem wyciem szakala, gdy marzę o powrocie z niewoli, to dźwiękami arfy, która niegdyś wtórowała twym boskim pieniom. Czemuż dusza moja nie może unosić się nad temi miejscami, gdzie Bóg się twoim prorokom objawił? Daj mi skrzydła, a do ruin twoich poniosę szczątki serca mojego — uściskam nieme głazy, a czołem zetrę święte popioły!... O jakżeby miło było stąpać boso po zwaliskach twego przybytku, tam kędy ziemia otwarła się dla przyjęcia w swe łono arki przymierza z Cherubinami!... Zedrę z głowy mojej te nikczemne ozdoby i przeklnę losy za to, że pobożnych twych czcicieli rozniosły po ziemi bezbożnych! Czyż mogę się oddać rozkoszom tego życia,

widząc, jak psy rozszarpują twoje lwięta? Oczy moje uciekają od dziennej światłości, aby nie patrzeć na kruki rozwłóczące trupy twoich orląt... Czara cierpień już pełna! Daj odetchnąć choć chwilę, albowiem wszystkie żyły moje napełniły się goryczą... Stój! daj wspomnieć na *Okolę* (Samaryę), a dokończę gorzkiego napoju — a potem pozwól jeszcze krótko o *Okolibie* (Jeruzalem) zamarzyć, a spełnię czarę aż do dna samego«...[1]).

Zresztą nie powiodła mi się ta wycieczka. Przyszedłem z kościoła Grobu, przejęty z goła innemi, a tak silnemi wrażeniami, że nawet widok tych murów, a pod nimi resztek dawnych panów tego kraju, nie robił na mnie wrażenia należytego. Przeszedłem przez ów wstrętny bazar, a obrzydzenie, jakie we mnie wzbudził, uspokoić się nie mogło. W końcu jak mucha przyczepiwszy się do kogo, każe mu nieraz o wszystkiem zapomnieć i niczem nie pozwoli nasycić się, tak i mnie popsuło resztę wrażeń coś bardzo podobnego nietylko do muchy, ale do najzjadliwszego owadu. Trzeba bowiem wiedzieć, że chociaż mi wszystko dziwnie szło pomyślnie w tej pielgrzymce, to jednak miałem krzyżyk do dźwigania z racyi żebraków. Widocznie z dopuszczenia niebios coś sobie do mnie upatrzyli, że mi drogi nigdzie przejść nie dawali, a co dziwniejsza, nawet w licznem towarzystwie wszystkich pominą, a we mnie się wpiją.

Tak było i tutaj: jakiś wyrostek żydowski uczepił się mnie, jak pijawka, uciekam — on za mną, odwrócę się — on z drugiej strony zajdzie, odepchnę go — to on z innego boku zabiegnie i wreszcie przyprowadził drugiego wyrostka z okropnemi czerwonemi powiekami i czerwonemi gałkami ocznemi, rozdziera przedemną te obrzydliwe powieki, pokazując, że kolega jego ciemny, coś ciągle bełkocąc. Nic nie pomagało unikanie, odwracanie się, ani nawet odpychanie za plecy obydwóch natrętów — wszędziem miał przed sobą czerwone jak koral gałki oczu i opuchłe powieki — nie było rady i trzeba było coś im dać koniecznie. Jakoż brat Łukasz, widząc mnie w takiej opresyi, rzucił się na nich i dał każdemu po kilka kijów (święty to był bardzo zakonnik). Żydki umykały jak zające, wrzeszcząc na całe gardło, chory na oczy gdzieś się podział, a jego przewodnik wygramolił się na jakiś mur i wył, trzymając się za rękę, którą mu zakonnik jakoby

[1]) Cyt. Mann. Podróż na Wschód, t. II, str. 220.

nadwyrężył. Kłamstwo to było wierutne, bo sam widziałem, że kij w zupełnie inną uderzał stronę.

Nie mogąc oddawać się dumaniom nad zmiennością rzeczy ludzkich i surową sprawiedliwością wyroków Bożych, dumaniom, które tak byłyby na miejscu u stóp tych murów potężnych i wobec tych nędznych z własnej ziemi wygnańców, wyszedłem stamtąd i tylko na odchodnem przypomnę jeszcze, że dalej ku południowi, na samym końcu muru, znajdują się resztki mostu, zwane łukiem Robinsona. W tem miejscu był niegdyś most nad doliną Tyropeon, łączący góry Moryę z Syonem. Ponieważ trudno go było podnosić do ich poziomu, więc był znacznie niższy, ale zato z dziedzińca świątyni (z południowego końca jego) schodziły na most piękne i szerokie schody kamienne i takież same prowadziły na przeciwległym jego końcu na góry Syon, a właściwie na piękny plac znajdujący się na nim, a zwany Xystos.

W czasie zatargów między braćmi Arystobulem i Hirkanem Machabeuszami, zwolennicy pierwszego, zamknąwszy się w świątyni, zerwali za sobą most, a raczej środkową jego część (65 r. przed Chr.). Końcowe łuki stały jeszcze długo, bo w sto kilkanaście lat potem Tytus, zdobywszy już świątynię, stał na łuku tego mostu i przemawiał do obrońców zamku Syońskiego, żeby się poddali. Odpowiedzieli mu, że pokąd kamień na kamieniu stać będzie, bronić się będą — i dotrzymali słowa. Następnie most całkiem zawalił się i tylko w bieżącym wieku amerykanin Robinson zdołał odkopać z pod gruzów początek jego pierwszej arkady, tkwiący w południowo-zachodnim rogu podmurowania zagrody świętej. Na północ od »miejsca płaczu« jest podziemne przejście miedzy Moryą i Syonem — tam się kryli niektórzy z ostatnich obrońców Jerozolimy i poumierali z głodu.

Zdążaliśmy ku południowym murom miasta po zaśmieconej ścieżce w głębi doliny Tyropeon; po obydwóch stronach wznosiły się pochyłości wiadomych już wzgórzy, porośnięte olbrzymimi, mięsistymi i zbrojnymi w kolce kaktusami. (Z największym podziwem widziałem jak wielbłąd jadł te kaktusy, tyle sobie robiąc z kolców, co łakomy chłopiec ze skórki na jabłku).

Przez wązką i dość nizką bramę w obwodowym murze (Bab-el-Magharbeh) wyszliśmy z miasta i wzdłuż zewnętrznej strony murów

gramoliliśmy się po pochyłości Syonu w prochu i śmieciu, utykając na rozsypanych wszędzie kamieniach. Gdyśmy się znaleźli na górze, zatrzymaliśmy się nieco, by odsapnąć i przypatrzeć się okolicy. Staliśmy nad pochyłością stromo spadającą w jar Gehenny, a staliśmy, jak się rzekło, wśród pyłu, prochu i kamieni — nigdzie nie widać ani jednego źdźbła trawy, ani drzewa, oprócz kilku młodych jeszcze i małych, a srodze zapylonych, które OO. Augustyanie zasadzili na cmentarzu na Syonie i rzadkich nędznych oliw na górze Złej Rady. Wprawdzie na samym dole jest drzew trochę i małe warzywne ogródki, ale ich stąd widać nie było. Pod nogami naszemi, o jakie 30 sążni, z kanału podziemnego wypływały miejskie ścieki, roznosząc woń zaraźliwą dokoła. Z prawej strony mieliśmy część Syonu nie objętą murami, a na niej oprócz grupy domów pośrodku, same cmentarze i ruiny. Przed nami ciągnęła się dolina czy wąwóz Gehenny z okropnemi wspomnieniami czci Molocha, a za nią naga i popielata góra »Złej Rady« z historyą także osobliwą. Oprócz bowiem mieszkania Kaifasza, w którem się odbywała zła narada o śmierci Sprawiedliwego, na jej pochyłości jest pole Haceldama, za pieniądze Judasza kupione; na niej także pokazują miejsce, gdzie prorok Izajasz został przepiłowany piłą drewnianą. Przy zachodnim jej końcu jest wąwóz ponury, a w nim mieszkania i szpital trędowatych. Z innej strony widać było górę Zgorszenia, na której Salomon składał ofiary bałwanom; na jej pochyłości uczepiła się smutna, jak wszystkie tutaj, wieś Siloe, której mieszkańcy bardzo złej do niedawna używali sławy. Pomawiano ich o słabość do kradzieży i rozbojów. Słowem, wszędzie gdzie oko się zwróciło, widziało spustoszenie, nędzę i pustkowie, a z każdego miejsca szły wspomnienia smutne, wstrętne, okropne nawet. Nie przeszkadzało to bynajmniej jednej ze starszych pielgrzymek patrzeć na wszystko z zachwytem i wykrzykiwać *que c'est beau! que c'est beau!*

Każdemu wolno zachwycać się tem, co mu się pięknem wyda, więc też nie protestowałem, pomyślałem tylko, że to bardzo szczęśliwa osoba być musi, bo jeżeli takie miejsce wydało jej się pięknem, to brzydkiego już chyba nie znajdzie na świecie. Podobny objaw zresztą dość często spotyka się wśród turystów, nie mających samodzielnego zdania. Sądzą, że miejsca historyczne lub święte, muszą

być przez to samo i piękne, i że zachwycać się ich malowniczością nakazuje nietylko stanowisko społeczne, pretensya do erudycyi, ale nawet religia. Nie potrzebuję chyba zbijać takiego bardzo osobliwego błędu. Może być miejsce bardzo historyczne, bardzo święte nawet, ale jednocześnie wcale nie malownicze, nawet całkiem brzydkie, jak też nieraz bywa.

Oto wreszcie jesteśmy na Syonie, górze historycznej po nad wszystkie inne; imię jej, znane nam od dzieciństwa, rozbrzmiewa ustawicznie w psalmach i modlitwach Kościelnych i jest synonimem zgromadzenia wiernych, Kościoła Chrystusowego na ziemi, a nawet niekiedy i tryumfującego w Niebie. Tu było »miasto Dawida«, wnętrza tej góry kryją dotąd zapewne szczątki królów judzkich, szczęśliwych, że nie mogą powstać i widzieć jako »drogi Syonu płaczą«, jak on sam »pługiem był orany!« [1]) Tu później był pałac Machabeuszów, wspomniany już plac Xystos, otoczony kolumnadą, później wspaniały pałac Heroda W., tutaj wreszcie najdłużej opierali się Żydzi zwycięzkim zastępom Tytusa. Teraz większa część góry jest po za obrębem miasta, zajęta przeważnie pod cmentarze i warzywne ogrody; znajdują się i tam jednak bardzo ważne i święte miejsca, które zwiedziłem potem; teraz przez bramę Syońską weszliśmy napowrót do miasta i znaleźliśmy się w dzielnicy ormiańskiej. Niewielką ona zajmuje przestrzeń, ale jest najschludniejszą i najzdrowszą, ulice ma dość szerokie i wcale dobrze brukowane. Główną jej ozdobą i sercem zara-

Góra Zgorszenia i Haceldama.

[1]) Obecnie jest rzeczą wątpliwą, czy rzeczywiście jest to prawdziwy Syon. Pałac Machabeuszów i dalsze dzieje odnoszą się już w każdym razie do tej góry, choćby ona była Ofelem.

zem jest kościół Św. Jakóba i przylegający doń wielki klasztor mnichów ormiańskich. Niektórzy autorowie przypisują początek kościoła i klasztoru Hiszpanom, większość jednak daleko prawdopodobniej utrzymuje, że wznieśli je królowie Gruzyi (Georgii) do spółki z ormiańskimi; po upadku Gruzinów, gmachy przeszły na własność wyłączną Ormian, którzy je dotąd zatrzymali i bardzo porządnie utrzymują. Br. Liévin twierdzi, że na synodzie, który za panowania krzyżowców odbył się w Wieczerniku (1142 r.), był obecnym na czele biskupów Armenii, Kappadocyi, Medyi i Persyi, Biskup Maxym, który wraz z całym ludem swoim przyjął dekreta synodalne, że zatem on i jego duchowieństwo było wówczas katolickiem, że zaraz potem oddano im kościół o którym mowa i zabudowania sąsiednie.

Po wzięciu Jerozolimy przez Saladyna (1187 r.), prawdopodobnie wraz ze wszystkimi katolikami musieli miasto opuścić: kiedy powrócili, niewiadomo, ale znowu ich spotykamy na tem samem miejscu w 1320 r. Niewiadomo także, kiedy przestali być katolikami (jeśli naprawdę byli nimi) — może właściwie w tej blisko półtora wiekowej przerwie. Podług Guthe'go i Ebers'a, Gruzini zbudowali kościół w XI wieku, a w XV odprzedali Ormianom. Jakkolwiekbądź klasztor ormiański był dawniej największym w całej Jerozolimie (czy jest teraz nie wiem, bo za murami miasta powstały bardzo obszerne gmachy). Powiadają, że 4.000 pielgrzymów mogło w nim znaleść gościnność, oprócz tego zawiera wygodne pomieszkania dla duchownych, 12 biskupów i patryarchy (prawda, że na Wschodzie »wygodne« pomieszkanie trochę wygląda inaczej niż u nas).

Szczególnej uwagi ma być godnym refektarz, zachowany tak, jak był przed kilku wiekami. Mają w nim być dziwnie pięknie rzeźbione z drzewa stalle, osobne miejsca dla biskupów i patryarchy, ściany zdobią stare porcelanowe tafle, a posadzka zrobiona z marmuru zwanego »Santa-croce«. Nie widziałem tych dziwów wewnętrznych, bo przechodziłem tylko przez środkowe dziedzińce i widziałem, że budynki naprawdę są obszerne i porządne. Najważniejszą częścią klasztoru jest oczywiście kościół Św. Jakóba. Leży on przy ulicy łączącej cytadelę z bramą Syońską; gdyśmy szli od niej mieliśmy z lewej strony ogród patryarchy ormiańskiego, a z prawej klasztor i kościół. Ks. Pelczar powiada, że »cały ten wieniec budynków otacza piękny

ogród«[1]) — myli się jednak stanowczo. Wieniec budynków otacza mur bardzo wysoki, tak, że po zamknięciu bram, mieszkańcy znajdują się w niezgorszej fortecy, ogród zaś znajduje się po drugiej stronie ulicy, między nią a zachodnim murem obwodowym. Jestto wewnątrz miasta jedyny ogród wart tego nazwiska, odgrodzony od ulicy wysokim murem i mocną bramą. Nad ulicą przechodzi łuk dość wysoki, a na nim galerya — sądzę, że tędy musi być przejście z mieszkania patryarchy ponad ulicą wprost do ogrodu — brama zaś przy ulicy jest dla innych mieszkańców, którzy mają prawo wejścia. Ja w nim nie byłem, bo mi się nie chciało chodzić i prosić o pozwolenie, ale z przyjemnością zawsze patrzałem, przechodząc tędy, na tę zieloną oazę wśród smutnych, szarych kamieni. Ponad inne drzewa wznosiły się cztery wspaniałe sosny czy cedry, nie pamiętam, rozlewając wkoło miły i zdrowy zapach, rzecz na ulicach św. grodu arcyrzadka, a może nawet jedyna.

Dość nizkie sklepione wejście obok mieszkania odźwiernego prowadzi na niewielki dziedziniec przed kościołem, do którego przypiera odkryty krużganek, ozdobiony malowidłami na ścianie. Wnętrze przedstawia się wcale dobrze; niewielki ten kościół w staro-byzantyńskim stylu cztery filary, po dwa z każdej strony, dzielą na trzy nawy, zakończone absydami. Na filarach opiera się kopuła, której okna oświecają cały kościół, a taka jednolitość oświetlenia jest bardzo przyjemną. Ściany u dołu pokryte starą porcelaną, malowaną w szafirowe desenie na tle białem, u góry zaś ciągną się prawie bez przerwy obrazy a raczej szkaradne bohomazy. Absyda środkowej nawy stanowi presbyteryum i na niem znajduje się jedyny ołtarz w całym kościele. Presbyteryum bez okien pogrążone w półmroku, w którym przebłyskiwał ołtarz przeładowany srebrem i złotem. Przed kratkami klęczeli dwaj mnisi o dużych siwych brodach, w obszernych czarnych szatach, szerokich spiczastych na głowie kapturach i smutnym jęczącym głosem odmawiali pacierze. Oprócz dwóch jeszcze duchownych stojących na uboczu i odpowiadających im czasami i nas nie było nikogo w kościele, który wyglądał pusto, smutno i martwo, pomimo wszystkich swoich bogactw.

Czytałem o nich wiele, a bogata zakrystya i błyszczący w pół-

[1]) Ziemia Święta, t. I str. 177.

cieniu ołtarz mogły wabić i nęcić ciekawość, wtenczas jednak co innego mnie zajęło i pochłonęło — mianowicie obrazy po ścianach. Chodziłem po kościele przypatrując się szkaradnym malowidłom i czytałem z nich historyę wyznania, którego ten kościół jest Watykanem. Smutna to nad wyraz historya. Obrazy przedstawiają świętych starego testamentu, Chrystusa Pana, apostołów i świętych z pierwszych wieków chrześcijaństwa, a potem już nic. Odrazu widać, że ta biedna gałęź oddawna od pnia rodzinnego odcięta, oddawna też żyć przestała, że w niej nie krążą od wieków ożywcze soki Łaski i niema oddawna na niej wciąż nowych owoców świętości i chrześcijańskiego bohaterstwa. Rozmyślałem nad tem ze smutkiem, a jęcząca modlitwa dwóch mnichów była w mych uszach jakby płaczem dwóch dusz zabłąkanych, niby podmuchami wiatru na wypalonej, zapomnianej pustyni.

W ścianie po lewej stronie jest maleńka kapliczka oznaczająca miejsce, na którem z rozkazu Heroda Agryppy ściętym został apostoł św. Jakób Większy; jest ona okryta marmurem i srebrem; nad świętem miejscem wznosi się niewielka marmurowa mensa ołtarza, a pod nią płoną lampy. Do 1870 r. wolno było katolickim księżom odprawiać tu mszę św. w dniu św. Jakóba, ale w tym roku Ormianie to prawo zakwestyonowali byli; jak sprawa teraz stoi, nie wiem. Po prawej stronie jest dość spora kaplica czy zakrystya, a w niej osobliwość w swoim rodzaju. W jednej ze ścian tkwią trzy dzikie kamienie przywiezione z Taboru, z nad Jordanu i góry Synai; umieszczono je zaś tu dlatego, ażeby pielgrzymi z Armenii niemogący odwiedzić tych trzech miejsc świętych, patrząc na pochodzące z nich kamienie, mogli sobie wyobrażać, że się na nich znajdują. Pomysł, trzeba przyznać, w wysokim stopniu dowcipny, ekonomiczny i praktyczny.

Niedaleko od głównego klasztoru znajduje się na miejscu domu Annasza klasztor i kościół zakonnic ormiańskich; przy kościele jest kaplica mająca to szczególnego, że w niej jest źródło dobrej wody, tuż prawie na poziomie podłogi; wolno z niego pić i czerpać i w tym celu przymocowany na łańcuszku żelazny kubek. Klasztor ten leży ku wschodowi i dochodzi się do niego rozmaitemi uliczkami, my jednak pójdziemy wprost na północ ku bramie jafskiej i cytadeli. Pierwej nim do niej dojdziemy, pokażą nam miejsce, gdzie się Pan Jezus po zmartwychwstaniu ukazał trzem Maryom wracającym od grobu;

wkrótce potem stajemy przed cytadelą El-Kalâah. W tem miejscu Herod W. Askalonita zbudował sobie ogromny i wspaniały pałac, który otoczył wysokim murem i umocnił wieżami; wewnątrz były piękne ogrody, obszerne dziedzińce i zabudowania. Tych to fortyfikacyi resztka stanowi cytadelę, a raczej stoi ona na miejscu wież zbudowanych ongi przez Heroda. Forteca bowiem teraźniejsza składa się z czterech wież stanowiących nieregularny czworobok i połączonych niewysokim murem. Najważniejszą z nich jest północna, t. z. wieża Dawidowa; istniała ona już za czasów Heroda, który w jej sąsiedztwie wzniósł trzy inne, mianowicie w zachodnim rogu czworoboku przy bramie jafskiej wieżę Hippicusa, nazwaną tak ku czci przyjaciela Herodowego; dwie inne nosiły imiona Maryanny żony i Fazaela brata jego. Tytus zamku tego nie zburzył nietylko dla chluby rzymskiego oręża, lecz dlatego także, by w nim trzymać załogę.

Tak wieże przetrwały nietknięte do 1219 r., w którym kazał je zrzucić kalif Damasceński El-Moadham — jakoż zniszczono je i tylko dolna część wieży Dawidowej oparła się zwycięzko barbarzyńcom, którzy nie podołali jej olbrzymim ciosom i mistrzowskiemu ich spojeniu. W XVI wieku sułtani tureccy Selim i Soliman odbudowali wieżę na tem samem miejscu, na tych samych fundamentach i prawdopodobnie z tych samych kamieni, które wschodnim obyczajem leżały na miejscu przez trzy wieki. Tak odbudowaną El-Kalâah widzimy obecnie, przypatrzmy się jej nieco. Zamek stoi na wyniosłem, bardzo niedostępnem miejscu; od zachodu broni go urwisko, z innych stron otacza fosa dość głęboka, oczywiście w najsmutniejszym stanie. Zapełnia ją śmiecie i wszelkie odpadki, a gdzie jest trochę ziemi, żołnierze garnizonu hodują jarzyny. Tak zwane brustwery albo contrefort'y, t. j. mury okrywające boki fosy od strony fortecy są pochyłe pod 45° i wyłożone płytami kamiennemi, doskonale spojonemi i tak wygładzonemi, że wydrapać się po nich istne niepodobieństwo. Contrefort'y kończą się bardzo wązką ścieżyną, zwaną po francusku chemin de rondes, a nad nią wznoszą się ściany baszt i murów. Najważniejszą z baszt jest jak powiedziałem północna. Utrzymują, że brustwer jej, wznoszący się 10 metrów nad ziemią, jest dziełem Jebuzejczyków; wyższa część jest mniej starożytną, najwyższa zaś pochodzi z czasów Solimana i Selima. Pod nad fosą lichy most drew-

niany prowadzi do wieży wschodniej, przy której para żołnierzy siedzi podgiąwszy nogi i ćmi spokojnie fajeczki. Wewnątrz wszystko wali się i opada; stare jak świat armaty służą tylko do strzałów wiwatowych, są postrachem artylerzystów, by która nie pękła i nie narobiła biedy. Słowem na całym zamku wypisano ogromnemi i czytelnemi

Wejście do cytadeli.

literami, tylekroć przytoczone przezemnie zdanie Damiani'ego: *Turchi non sono gabasze.*

Naprzeciwko fortecy, na miejscu pałacu Herodowego stoi obecnie świątynia protestancka, Christ-church t. j. kościół Chrystusa.

Zbudowana w stylu gotyckim jest pustą wewnątrz i całą jej osobliwością jest, że kosztowała 200.000 talarów. Wewnątrz na tablicach są po hebrajsku wypisane: Ojcze nasz i wierzę w Boga. Przy tym kościele mieszka naprzemiany anglikański biskup albo pruski superintendent. Koło tego domu wchodzimy na ulicę zwaną przez krzyżowców Dawidową, a z niej zaraz skręciwszy na lewo, po-

między nowymi sklepami i magazynami, obok greckiego szpitala, powracamy do Casa-nuova, skąd moich czytelników na przechadzkę po mieście wyprowadziłem. Na zakończenie tego rozdziału chciałbym coś o greckich świątyniach i zakładach powiedzieć, lecz niestety niewiele mam do powiedzenia. O miejscach świętych, które Grecy wspólnie posiadają z innemi wyznaniami, później będzie mowa, wyłącznie zaś do nich należących zwiedzać czasu nie miałem, bawiąc w Jerozolimie nie więcej nad dwa tygodnie. Byłem tylko w greckim patryarchacie, gdzie poznałem patryarchę, ale i to przypadkiem się stało. Wszedłszy na okręt w Konstantynopolu, poznałem wkrótce dwóch rosyjskich urzędników jadących także do Jerozolimy. Jeden był słuszny, chudy, spokojny i niesłychany gaduła, drugi średniego wzrostu, dość otyły, bardzo wesołego i dobrodusznego usposobienia. Wszędzie go było pełno, ze wszystkimi się poznał. Był to Grek w służbie rządowej rosyjskiej, a nazywał się Konstanty N—des, rodem z Jerozolimy. Stryj jego czy wuj był patryarchą greckim w Jerozolimie w czasie zatargów o exarchat bułgarski. Był to ten sam Cyryl II, który sam jeden wśród Greków miał odwagę poprzeć domagania się Bułgaryi i Rosyi. Po powrocie z Konstantynopola, gdzie się kwestya uznania exarchatu rozstrzygała, został przez swych podwładnych poprostu wypędzony z Jerozolimy i zrezygnowawszy ze swej godności, skończył wkrótce życie bodaj czy nie w Konstatynopolu. Jego synowiec bawił z początku przy nim, potem wstąpił do seminaryum i właśnie wówczas dzisiejszy patryarcha Gerasim IV był jego profesorem. Następnie jednak p. Konstanty pomiarkowawszy się »rzucił swój habit w pokrzywy« — i bardzo dobrze zrobił, bo ani krzty powołania zakonnego nie posiadał. Jakim sposobem znalazł się w Petersburgu, nie wiem, dość, że po 20 latach niebytności jechał do rodzinnego miasta odwiedzić krewnych, a miał zamieszkać u swego dawnego profesora w gmachu patryarchatu. Rozstaliśmy się w Jaffie, gdzie ja na dobę zatrzymałem się, oni obaj pojechali dalej, obiecując, że mnie potem w Jerozolimie odwiedzą. Nie było ich jednak przez dłuższy czas, ja znowu wydaliłem się na dni parę do Betlejemu. Za powrotem odźwierny z Casa-nuova, trochę narwany człowieczek, oddaje mi z dziwnymi gestami i wykrzyknikami kilka kart wizytowych i powiada, że był także jakiś pan w mundurze

z pałaszem — »grand personnage« — i zostawił kartkę. Czytam, a to poczciwy N--des był u mnie w pełnym uniformie, dopominając się o rewizytę i zawiadamiając, że »Jego Świątobliwość Patryarcha jest uprzedzony o mojej bytności i uprzejmie na mnie oczekuje«.

Przyznaję, że byłem w kłopocie, mam bowiem ten zwyczaj, że w podróży nigdy mej skromnej figury nie narzucam żadnym znakomitościom ani dygnitarzom, chyba że konieczność tego wymaga. Po co ja pójdę, myślałem, do tego wysokiego dostojnika, kiedy nie mam do niego żadnego interesu, a on mnie tembardziej nie potrzebuje — tylko mu czas zajmę napróżno. Nazajutrz jeszcze nie byłem całkiem ubrany, a już N-des czekał na mnie w salonie albo jak tam nazywają w dywanie naszego hospicyum. Z rozmowy dowiedziałem się, że patryarcha nocuje w swej letniej rezydencyi i dopiero o 9-tej zrana przyjeżdża do miasta. Zapowiedziałem p. N-desowi, że ponieważ noc dzisiejszą mam przepędzić u Grobu Pańskiego, więc nazajutrz wracając z kościoła, wstąpię do niego. Tak też zrobiłem, koło godziny 8 byłem przed patryarchatem greckim. Jest to ogromny gmach nad samą ulicą bardzo nieregularny, z mnóstwem galeryi oszklonych, przystawek, balkonów. Wchodzę do sieni i pytam kaługiera (odźwiernego) czy jest u nich p. N-des? — Konstantinos? — pyta kaługier. — Konstantinos. — Jest. — Wypadł na ulicę, na jakiejś galeryi zoczył go i zaczął wołać: »Kyrie Konstantinos! Kyrie Konstantinos! — masz gościa«. Konstantinos zbiegł co rychlej i poprowadził mnie na górę. Po schodach z różowego, jeśli mnie pamięć nie myli, marmuru weszliśmy odrazu do dużej i pięknej sali, wyłożonej także marmurem; na ścianach wisiały portrety patryarchów. Widocznie jest tu zwyczaj, że z sieni dolnej schody prowadzą wprost do sali audyencyonalnej, bo takież urządzenie widziałem i u konsula francuskiego, tylko że u niego ściany były ozdobione bronią ludów i rogami zwierząt afrykańskich; widziałem tam wśród innych ciekawości róg nosorożca. Z tej tedy sali poprowadził mnie p. N-des do mniejszego pokoju, gdzie się widocznie goście zbierali, bo było dość ludno i wciąż nowi księża przychodzili, witając się: »Kall'emerosis« (dobry dzień wam). Po krótkiej rozmowie wszedł do nas bardzo poważny zakonnik, któremu mnie przedstawił mój gospodarz, a następnie zwróciwszy się do mnie powiada: »Jego wysoka przewielebność Arcybiskup Metro-

polita Tyberyadzki«. Nie domyśliłbym się tak wysokiej godności, bo żadnych jej oznak nie miał na sobie. Metropolita mówił chociaż z trudnością po francusku, więc zawiązaliśmy rozmowę, a tymczasem nastąpił poczęstunek w guście wschodnim: kawa, rodzaj jakiejś ratafii, słodycze, w końcu ciasto słodkie a tłuste; gdym się posilał, służący stał przedemną z mokrym ręcznikiem dla otarcia rąk, bo oczywiście widelca nie było. Potem oglądałem salę synodalną, ale nic w niej szczególnego nie widziałem. Nad tronem patryarchy wisiała »tughra« sułtańska, stół otaczały zwyczajne materacowe fotele, okryte białymi perkalowymi pokrowcami — jeszcze skromniej i bardziej powszednio wyglądało wszystko niż na Fanarze w Konstantynopolu.

Pożegnawszy się, miałem wychodzić, gdy na schodach ukazał się kawas w pięknym amarantowym mundurze, a za nim szedł patryarcha, który ze swej willi przyjechał. Zatrzymaliśmy się nim przejdzie, ale odpowiadając na mój ukłon, patryarcha bardzo uprzejmie zaprosił do swego gabinetu. Wszedłem więc, a przeprosiwszy za mój strój niegalowy, bom się takiej wizyty nie spodziewał, przedstawiłem się mu, com zacz jest i skąd przychodzę. Patryarcha Gerasim IV jest to jeszcze w sile wieku mężczyzna, słusznego wzrostu i bardzo dystyngowanej postawy, mówi dobrze po francusku i odrazu poznać można, że to umysł niepośledni, co zresztą widać i z jego rozumnych, bystrych oczu. Gdyśmy siedzieli i rozmawiali, znowu nastąpił traktament — jest to na Wschodzie warunek konieczny dla każdego gościa. Po kwadransie rozmowy, gdy nadszedł jakiś siwy, otyły biskup, pożegnałem »Sa Beatitude« — (taki mu bowiem służy tytuł) — i wyszedłem ujęty tak jego osobą, jak i uprzejmem przyjęciem.

ROZDZIAŁ III.

Patryarchat katolicki. — Kościół i klasztor N. Zbawiciela. — Kościół Ecce Homo. — Kaplica Biczowania. — Kościół św. Anny. — Via Dolorosa.

Ab Jove principium, mawiali Rzymianie, a ponieważ w hierarchicznym porządku wśród jerozolimskich kościołów na pierwszem miejscu stoi patryarchalny, więc od niego zaczniemy nasz przegląd katolickich, albo jak w Jerozolimie częściej nazywają, łacińskich świątyń i klasztorów.

Patryarchat łaciński jest bardzo niedawnej daty, bo dopiero trzydzieści lat mniej więcej jak został zbudowanym. Wcisnął się on w sam róg północno-zachodni murów miejskich, zwany czasami zamkiem czy wieżą Goliata. Fundatorem i budowniczym jego zarazem jest niezapomnianej pamięci patryarcha Józef Valerga, jedna z najdzielniejszych i najsympatyczniejszych postaci katolickiego episkopatu. Wspomniałem już wyżej, że kościół ten leży tak blisko Casa-nuova, że w prostej linii nie więcej jak 15 kroków je rozdziela, trzeba jednak dość długo kołować, nim się wkońcu wejście odszuka. Wchodzi się zaś najpierwej do niewielkiego niby obmurowanego dziedzińca, niby przedsionka, z którego drzwi naprzeciwko wejścia prowadzą do patryarchatu, na prawo do kościoła, na lewo do ogrodu, o którym ponieważ najmniej jest do powiedzenia, więc też od niego zaczniemy. Zobaczywszy przez drzwi otwarte zieleń i kwiaty, przekroczyłem próg i znalazłem się w arcyprzyjemnym zakątku, który nie ogrodem lecz raczej ogródkiem nazywać należy. Jest to pas ziemi szeroki jakich 15—20 kroków, długi 60—80, zamknięty między głównym korpu-

sem patryarchatu i murami miasta. Jest w nim jedna tylko dość szeroka ścieżka, a po obydwóch jej stronach krzewy i kwiaty dziwne jakieś i nigdy przezemnie nie widziane; było też dość drzew, wśród których pierwszy raz zobaczyłem pieprzowe, o strzępiastem ulistnieniu i długich gronach czerwieniejących już jagód. Na końcu drożyny ocieniona altana, w niej posąg N. Panny; u wejścia zaś do ogródka cysterna, przy której zwykle pełno hałasujących Arabów. Tym razem na szczęście nikogo nie zastałem — cicho było zupełnie; po krzakach jak błyskawice skakały maleńkie, śliczne jaszczurki, patrząc na mnie łagodnemi oczkami; z murów, które wydrążono i zrobiono dwie ogromne, okryte drucianą siatką, nisze dla gołębi, brzmiały ciągle żądania synogarlic — cuk-rrru, cuk-rrru, a słońce, tam wysoko, jak gdzieś powiedział Sienkiewicz, chodziło i piekło. Miły to był i kojący obrazek wśród skalistej Jerozolimy, pełnej tak straszliwych i ponurych wspomnień. Patrząc na klatki synogarlic urządzone w miąższości murów wzniesionych przez wojowniczego Solimana, pomyślałem sobie, czy też mu kiedykolwiek przyszło nawet do głowy, że do nich przytulą się ulemowie giaurów i bojaźliwe synogarlice i przypomniał mi się ładny rysunek Giacomelli'ego p. t. »Tryumf pokoju«. Po zapomnianym w zaroślach dziale bujają powoje, w jego wylocie para ptaszków usłała gniazdko i śpiewa sobie pieśń miłosną wśród kwiatów i wiosny, nie troszcząc się o to, że przed rokiem może śmierć i zniszczenie wylatywały z tego miejsca, w którem one swój wiotki domek zbudowały. Kościół pod wezwaniem N. Imienia Jezus nie jest zbyt wielki ale ładny, starannie z ciosu zbudowany i dobrze utrzymany. Jest to jedyna gotycka świątynia, jaką w tych stronach widziałem i sądzę, że patryarcha Valerga, chociaż Włoch, więc obcy gotykowi, wybrał jednak dla swego kościoła ten styl dlatego, że chciał niejako nawiązać zerwaną od sześciu wieków nić tradycyi patryarchów łacińskich z czasów krzyżowców. Wiadomo bowiem, że ci wznosili w ziemi św. prawie zawsze gotyckie gmachy i świątynie i że z upadkiem ostatniej ich zdobyczy St. Jean d'Acre, upadł i patryarchat łaciński, gdy ostatni patryarcha utonął w morzu.

Kościół ma jedną nawę podłużną, którą przecina druga poprzeczna, tworząc krzyż; cztery odcięte rogi formują na dole kaplice, a na górze trybuny albo loże. W oknach są piękne malowidła, wielki

ołtarz ze złoconego bronzu jest darem cesarza Franciszka Józefa, tron patryarchy i stalle dla duchowieństwa z pięknego rzeźbionego dębu. U końców nawy poprzecznej dwa ołtarze; po stronie prawej N. Panny, po lewej Ukrzyżowanego P. Jezusa, w owych zaś kaplicach pod trybunami po obydwóch stronach chóru w jednej przechowuje się N. Sakrament, druga poświęcona św. Józefowi. W tej drugiej jest tablica i pomnik grobowy Valergi, który wraz z epitaphium wydał mi się za małym i wcale nieodpowiadającym zasługom i wielkiej postaci fundatora kościoła i wskrzesiciela patryarchatu. Cały pomnik bowiem składa się z biustu nad tablicą. Wspanialszym już jest stojący naprzeciwko posąg jego następcy patryarchy Bracco. Naogół kościół robi najlepsze wrażenie, a jeśli już coś zarzucić potrzeba, to chyba to, że aniołowie na niebieskiem sklepieniu wyglądają jakby figurki przyklejone za pomocą kalkomanii, że z ogrodu i przedsionka zbyt wyraźnie dochodzą krzyki Arabów, który po cichu mówić nie umieją i że zarząd kościelny trzyma zakrystyana, który w trzech czwartych jest idyotą, tak że dogadać się i porozumieć z nim nie można. Byłem parę razy ze Mszą w tym kościele i widziałem, że prawie zupełnie był pusty — raz przyszły dwie kobiety w białe zawinięte zasłony. Może zresztą tak było dlatego, że tu na nabożeństwo schodzą się o świtaniu, a ja wychodziłem ze Mszą po 8-ej. Jest przy tym kościele dosyć duchowieństwa, poznałem tylko młodego księdza Araba, bardzo uprzejmego, który znał kilka języków i nie wiem, czy dlatego, że najlepiej włada niemieckim, czy że we mnie upatrzył podobieństwo do Niemca, dość że ciągle mnie mową germanów prześladował, że jednak Niemiec ze mnie wcale nieosobliwy, więc już grzeczny ksiądz wikary niewiele ciekawego w tym języku odemnie się dowiedział.

W gmachu patryarchatu byłem razy kilka, ale że nie mogłem tak prędko się połapać w jego korytarzach i przejściach rozmaitych, więc wolę na ten raz posłużyć się opisem kapłana, który w nim lat kilka przemieszkiwał. »Patryarchat, pisze on, jest obszernym gmachem, zbudowanym w kształcie krzyża podwójnego patryarszego, ma parter i piętro, a nad nim odkryty taras, skąd widok z zachodu na dolinę Ben Ennom (Gehenny) i drogę do Jaffy, na południu na drogę do Betlejemu, od północy na wzgórze Bezetha i od wschodu na miasto

święte. Sklepione okna są opatrzone w ruchome żaluzye, przejmujące gorąco a wpuszczające światło. Na dole znajduje się refektarz, kuchnia, śpiżarnia i mnogie cele; na górze biblioteka, sala przyjęć, zwana na wschodzie dywanem i większa część cel, których jest tyle, że w razie potrzeby pomieścić się w nich mogą czy to zbierający się co drugi czwartek na konferencye teologiczne lub na inne uroczystości nietylko kapłani miejscowi ale i wszyscy proboszczowie z misyi, ale nawet i seminarzyści z Beit-Dżalla. Jeśli budynek zasługuje na nazwę pałacu dla swej wspaniałości i rozmiarów, powinienby za to być raczej nazwanym klasztorem z powodu całkiem zakonnego ubóstwa w urządzeniu wewnętrznem; wszystko tam oddycha prostotą apostolską i »umartwieniem Jezusa Chrystusa« (1. Kor. IV.

Wszystko zbudowane wyłącznie z kamienia — niema ani jednej belki, ani jednego kawałka drzewa. Cele wychodzą na jasne i obszerne, sklepione korytarze, służące także za miejsce do przechadzki; są one obszerne, dobrze przewietrzane i zdrowe, ale proste i surowe, wyłożone płytami kamiennemi, o ścianach kamiennych i kamiennych także sklepieniach; umeblowanie ich składa się z żelaznego łóżka z »mustikierą« [1]), małej sofki, komody, stołu do pisania i kilku krzeseł wysłanych słomą. Pokój patryarchy i biskupa sufragana od innych tem się tylko różnią, że je poprzedza gabinet do pracy i pokój dla przyjęć. Niema pieców ani kominków w patryarchacie, ani w żadnej misyi i nigdy tam nie palą, co jest bardzo przykrem umartwieniem w czasie zimy lub chłodnych poranków; patryarcha Valerga przywykły do prostych zwyczajów Italii, gdzie ogień rzadko się używa, chciał wrazić swemu duchowieństwu przekonanie, że życie misyonarza powinno być surowem, że stosownie do przykładu boskiego Nauczyciela i Jego apostołów powinni poprzestawać na tem, co koniecznie potrzebne: »mając żywność i czem się odziać, na tem przestawajmy (1. Tym. VI)« [2]). Przyczynia się do tego i inny powód — brak zupełny opału.

Do tego opisu mało już co dodać mogę chyba tylko, że w osta-

[1]) Mustikierą nazywają firanki muślinowe, zewsząd osłaniające łóżko dla ochrony od mustyków, t. j. komarów.

[2]) Etudes et souvenirs sur l'Orient et ses missions. A. H. de Wandelbourg, t. 1, p. 220.

tnich latach budynek powiększono przez dodanie jednego skrzydła wyłącznie dla seminarzystów, którzy lato przepędzają w Beit-Dżalla. Refektarz, w którym mnie po Mszy częstowano kawą, w rzeczy samej obszerny dosyć, ale porządek w nim zastałem nieosobliwy — prawdziwie włoski. Może przyczyną tego były wakacye i zwykłe w tym czasie porządkowanie. Korytarze są takie, jak je opisał przytoczony wyżej autor, natomiast w mieszkaniu biskupów nie zauważyłem tego ubóstwa anachoretów, o jakiem wspomina. Ponieważ patryarcha w czasie mojego przyjazdu bawił na Libanie, jak mi to w Jaffie brat zakrystyan do ucha w czasie Mszy powiedział, więc złożyłem uszanowanie i prosiłem o *celebret* [1]) biskupa sufragana. Przyjmował mnie w niewielkim wprawdzie saloniku, w niczem jednak nieróżniącym się od zwykłych europejskich mieszkań. Na dni parę przed moim wyjazdem powrócił patryarcha J. E. Ludwik Piavi z zakonu franciszkańskiego, byłem więc u niego na pożegnaniu. Ponieważ był zajęty, więc mnie poproszono na drugą urzędową stronę mieszkania. Składa się ona z jednego salonu średniej wielkości, za którym jest sala tronowa. W głębi pod węższą jej ścianą stoi tron patryarszy a nad nim portret Leona XIII, koło tronu dwa stołki dla kanoników, na ścianach portrety i obrazy; wszystko urządzone bez przepychu może wielkiego ale po europejsku, a nawet z włoskim gustem. Przypatrywanie się przerwało wezwanie do patryarchy, który skończył już swoje zajęcia. Zobaczyłem słusznego, chudego i trochę pochylonego starca, fizyonomii nie powiem, żeby zbyt pociągającej, której siwa i bardzo krótko ostrzyżona broda bynajmniej powabu nie dodawała. Przyjął mnie w swym gabinecie, który także nie wyglądał na celę pustelnika — owszem pamiętam, że gospodarz siedział na miękkiej sofie, a ja na takim samym fotelu. Rozmawialiśmy o tem i owem, jak zwykle w podobnych razach, a patryarcha obracał tymczasem w palcach moją kartę wizytową i próbował przeczytać głośno moje nazwisko, ale nie mógł tego w żaden sposób dokazać. *Ah, vos noms polonais, sont-ils difficiles,* powiedział wkońcu śmiejąc się, ani sposobu ich wymówić; rektor mego seminaryum kanonik S. także Polak, a jednak dotąd nie nauczyłem się jego nazwiska. I ja uśmiechnąłem się, my-

[1]) T. j. o pozwolenie odprawiania Mszy świętej.

śląc, coby też Jego Dostojność powiedziała, gdyby zamiast mego nazwiska było tam wydrukowane np.; »w Szczebrzeszynie brzmi chrząszcz w trzcinie«...

Jeżeli patryarchat jest głową, to klasztor XX. Bernardynów przy kościele N. Zbawiciela najsłuszniej nazwać można sercem duchownego życia katolików w ziemi świętej. Przed siedmiu prawie wiekami kilku skromnych kapłanów świeżo wówczas powstałego zakonu przybyło do Jerozolimy i odtąd z niej nie wyszli, nie ustąpili. Mordowali ich Turcy i Karyzmianie, obdzierali baszowie, dziesiątkowały zarazy, dokuczała bieda, oni wytrwali na stanowisku, i cóż dziwnego, że ze skromnego ziarnka wyrośli na drzewo potężne, a tak zakorzenione, że pomimo wskrzeszenia patryarchatu, wszystko się tam w rzeczywistości dzieje i robi przez nich. Br. Liévin utrzymuje, że prawdopodobnie OO. Bernardyni przyszli do Jerozolimy około 1229 r., w tym krótkim czasie, w którym ona należała do Fryderyka II. Osiedlili się oni na Syonie w skromnym domku; później dostał się im opuszczony przez Augustyanów klasztor przy Wieczerniku. Gdy król Sycylii, Neapolu i Jeruzalem (nominalny) Robert, wraz z żoną swoją Sanchą, kupili u sułtana Naser Mahometa wszystkie miejsca święte za 17 milionów sztuk złota, z warunkiem, by Bernardyni byli na zawsze ich stróżami, papież Klemens VI w 1342 r. bullą *Nuper charissimi in Christo* nadał im nazwę stróżów ziemi św. i na tem trudnem acz zaszczytnem stanowisku zatwierdził.

Jeszcze przez dwa wieki mieszkali Franciszkanie na Syonie, pokąd nie wypędzili ich stamtąd Turcy w 1551 roku. Wtenczas nabyli od Gruzinów grunt i dom w tem miejscu, gdzie dotąd mieszkają. Klasztor oczywiście był ciągle powiększany i rozbudowywany, to też dla obcych jest istnym labiryntem korytarzy, schodów, dziedzińców i przejść. Jakim był dawniejszy kościół, nie wiem, bo w znanych mi opisach pielgrzymek zbywano go krótko i tylko Mann wspomina, że miał »dziewiętnaście łokci w kwadracie«, ja zastałem nowy i duży gmach, niedawno skończony, a w znacznej części wzniesiony z funduszów udzielonych przez cesarza Franciszka Józefa, którego dobroczynną rękę wszędzie znać na katolickim Wschodzie. Jest to tedy obszerny kościół z wieżą na froncie, zbudowany w stylu odrodzenia, podzielony na trzy nawy, z których środkowa jest nawet znacznie szeroką.

Posadzka z płyt kolorowego marmuru tak gładka, że chodzić po niej trudno, ołtarze bogate, obrazy nie wydały mi się szczególnymi, ale na Wschodzie uchodzić mogą za arcydzieła, ściany okryte stiukiem i kolor jego tak samo kłóci się z kolorami ozdób architektonicznych, jak w Jaffie, jak i w innych zresztą nowych Franciszkańskich kościołach. Za wielkim ołtarzem chór zakonny, a w nim w półkole pod ścianą potrójny szereg pięknych, nowych stall dębowych. Chór dla śpiewaków i organy znajdują się nad stalami na ścianie przeciwnej wielkiemu ołtarzowi — nie przy drzwiach, jak u nas. Organy nowe i dobre i przy nich bywają śpiewane, źle mówię, bywają krzyczane kompozycye religijne w czasie mszy solennych. I tutaj bowiem jak i w innych swoich kościołach X.X. Franciszkanie używają do pomocy chłopców miejscowych, których sami uczą; na nich to właśnie można mieć dowód, że czego natura nie dała, tego sztuka nie zastąpi. Nie słyszałem głosów tak z przyrodzenia twardych, suchych, nie harmonijnych, jak u ludzi ze Wschodu, zdałoby się, że w gardle u nich nie struny głosowe, lecz osadzone dwa suche kołeczki drewniane. Oprócz braku harmonijnego głosu, chłopcy syryjscy są jeszcze uczeni w sposób fatalny, nie znają bowiem żadnej różnicy cieniowania i natężania głosu, tylko odrazu otwierają pyszczki jak najszerzej i rąbią *fortissimo* od początku do końca. Nie jest to nawet *fortissimo*, tylko jakiś ryk i wrzask, który drażni niewypowiedzianie. Gdym został przez takie śpiewy przyłapany w czasie Mszy św., dziesiąte poty na mnie biły, nim ją dokończyłem i zdołałem salwować się ucieczką. Miała jednak i ta przykrość swoją dobrą stronę. Nasz chór katedralny w Ż-u rzadko może umiarkować wielkość swego zapału do maleńkiego kościoła, więc też nieraz bywało, gdy huknie *Hosanna* albo *dona nobis pacem*, wyrywał się z mej piersi przygłuszony okrzyk: ratujcież mnie aniołowie

Kościół N. Zbawiciela przy klasztorze XX. Franciszkanów.

święci, gdy jednak wróciłem ze Wschodu, nie wierzyłem uszom własnym, zdało mi się, że to strumyk leśny szemrze gdzieś na chórze koło organów. Miałem tej satysfakcyi z pół roku — teraz mógłbym znowu na parę miesięcy do Palestyny wyjechać. Obok głosów bez dźwięku, wrzaskliwej metody (jeżeli wrzask można metodą nazywać) i kompozycye używane są w dawnym stylu włosko-operowym. Wszystko tedy razem wziąwszy, ucho człowieka o tyle o ile muzykalnego, ma w muzyce religijnej na Wschodzie obfite źródło do umartwienia i zasługi. Nie przeczę jednak, że na dzikie uszy miejscowych katolików musi ten harmider działać upajająco. Widziałem jak się modlili w skupieniu, gdy ja uciekałem za dziesiątą górę.

Przy kościele duża i wysoka zakrystya, a w niej szafy sięgające pod sufit, a w szafach ma być wielkie bogactwo w ubiorach kościelnych, mnóstwo cennych kielichów, monstrancyi i t. p. przedmiotów kultu. Sam, dla braku czasu, nie widziałem tych ciekawych zabytków, przytaczam opis Loti'ego, który je widział — i zgorszył się... (Czem się też to ludzie przy dobrej woli nie gorszą!) »W zakrystyach należących do wielkiego kościoła Franciszkańskiego pełno bogactwa. Od średnich wieków począwszy, królowie, cesarze, narody całe nie przestawały przysyłać wspaniałych upominków... Pokazują nam wielkie zastawy ołtarzowe ze złotej i srebrnej blachy, lichtarze srebrne na 10 stóp wysokie, krzyże brylantowe i cyborya z emaliowanego złota; tron dla N. Sakramentu ze złota i kamieni, ofiarowany niegdyś przez króla neapolitańskiego i ceniony na cztery do pięciu milionów franków. W szafach ustawionych jedne za drugiemi, ubiory kapłańskie bez ceny zawieszone i owinięte w muślin z kartką: »Dar republiki weneckiej«, »Dar Austryi« albo »Dar Italii«. Są to rzeczy sztywne i wspaniałe, które zdają się być dziergane przez jakieś wieszczki cierpliwe, w całej czystości rozmaitych starodawnych stylów. Ostatnim z darów Francyi jest szereg ubiorów kościelnych wyszywanych w wypukłe złote pszczoły na złotogłowiu, które raz tylko były używane w dniu ślubu Napoleona III w Notre Dame de Paris. Jest tam szacowny ornat obciążony górnym kryształem, a pochodzący bodaj z czasów wojen krzyżowych. Inny znowu z czasów rozkwitu hiszpańskiego odrodzenia powrócił w tych czasach do skarbca; posyłano go do jakiegoś żeńskiego klasztoru dla naprawy, która trwała pięć lat i kosztowała pię-

tnaście tysięcy franków... »A ileż to kosztownych rzeczy przepadło powiadają nam uprzejmi strażnicy tych cudów; jedne, zakopane w ziemi czasu oblężeń, albo ukryte w kryjówkach, nie mogły być odnalezione; inne zabrano podczas rabunków; inne jeszcze, ewangelie, stuły, zostały spalone w czasie zarazy, bo się do nich dotknęli kapłani zarażeni«...[1]). Klasztor zwiedzałem nieraz, ale w tym labiryncie nie mogłem się zoryentować, zdało mi się tylko, że część najbliższa kościoła, po której najczęściej przechodziłem, szukając zacnego O. Jukundyna Bielaka, jest nową zupełnie, bo korytarz szeroki, cele obszerne i suche; w innych skrzydłach jest gorzej. Nim się np. dostałem do składu przedmiotów do nabożeństwa, musiałem przechodzić korytarze i zakomórki, przypominające wcale dobrze średniowieczne więzienia wilgotne, nizkie, ciemne, a przytem napełnione powietrzem cuchnącem i duszącem za gardło. We wspomnionym składzie znajduje się wielkie mnóstwo krzyżów, różańców, konch rzeźbionych i t. p. rzeczy nieraz bardzo cennych; X.X. Bernardyni jednak nie trzymają ich dla handlu, lecz rozsyłają do swoich komisarzy w różnych krajach dla rozdawania *gratis*, jako rodzaj kompensaty, tym, którzy im przysyłają jałmużnę. Można jednak i kupić coś z tych przedmiotów, ale na to trzeba mieć pozwolenie kustosza albo jego zastępcy; korzystają z tego prawie wyłącznie księża, unikając tym sposobem wyzysku ze strony przekupniów. W klasztorze mieszka kustosz ziemi św., naczelnik wszystkich missyi i klasztorów Bernardyńskich w Palestynie, Syryi i Egipcie — służy mu, jak biskupowi, tytuł *Reverendissismus*. Do niedawna był on nietylko *de facto* ale i *de jure* głową katolicyzmu w tych stronach, obecnie, jak wiemy, jest patryarcha, kustosz jednak ziemi św. pozostał zawsze wielką figurą, bo ma za sobą sześciowiekową tradycyę i faktyczną potęgę duchowną. Przy kustoszu mieści się w tym samym klasztorze »sekretaryat ziemi św.«, w którym koncentruje się zarząd Kustodyi; są także studya teologiczne dla kleryków zakonnych (scholastykat). Oprócz tego znajduje się w nim wiele innych zakładów i osobliwości, jak np. biblioteka dość spora, infirmerya dla całej zakonnej prowincyi, pracownie i warsztaty przeróżne, apteka, nawet fabryka wina. Nie pomnę już przez jakie korytarze

[1]) P. Loti. Jeruzalem 160.

i przejścia zaprowadził mnie O. Bielak do infirmeryi. Poczciwi Ojcowie zdobyli się na wszystkie ulepszenia i wygody, jakie były w ich mocy, by chorym i starym zakonnikom cierpienia lżejszemi uczynić,— widziałem nawet dzwonki elektryczne w każdej celi. Z tem wszystkiem zauważyłem brak dwóch rzeczy bardzo ważnych, których, niestety, zawsze tam brakować musi. Więc najpierwej znać było, że ręka kobieca nigdy się do niczego nie dotykała, to też niema w infirmeryi czystości i porządku, jaki tylko kobieta utrzymać i zaprowadzić potrafi. Zaglądałem do celi — nieporządnie, pościel rozrzucona, śmiecie, powietrze zatęchłe — inaczejby tu było, gdyby Szarytki lub Józefinki miały wstęp, ale że wyższe względy na to nie pozwalają, więc obok innych prywacy i tę znosić trzeba. Drugi bardzo przykry brak jest samo położenie klasztoru wśród zacieśnionych murów, bez powietrza i roślinności. Ks. Pelczar wprawdzie twierdzi, że przy klasztorze są aż dwa ogrody, ja jednak nie widziałem ani jednego — może gdzie kryje się jaka para drzew, które w braku czego lepszego nazywają się ogrodem. Z żalem prawdziwym patrzyłem na biednych, pożółkłych, obrzękłych starców, wlokących się z trudnością po rozpalonych korytarzach. Gdym zapytywał, czemu chorych nie trzymają gdzie na wsi, w górach, odpowiedziano mi, że są takie klasztory, ale za to nie ma w nich apteki, a co ważniejsza, lekarzy — muszą więc biedacy schnąć i dusić się w Jerozolimie. W aptece zaprowadzono mnie do podziemi — zdało mi się, że jestem w pracowni jakiegoś średniowiecznego alchemika. Większa część słojów, waz i naczyń aptecznych pochodzi z XVI i XVII wieku; z przyjemnością patrzałem na rysunki na porcelanie, jakich teraz nikt nie robi, a może i zobaczyć już nie można. To szczęście, że OO. Franciszkanie ślubują ubóstwo i sami koło tych fajansów chodzą — gdyby mieli służbę, jużby z nich dawno i czerepów nie stało.

Przez cały prawie czas mego w Jerozolimie pobytu, w klasztorze i na ulicy koło niego rozchodził się niemiły zapach fermentu — była to właśnie pora tłoczenia wina, którego tu mnóstwo się wyrabia na potrzeby wszystkich klasztorów Franciszkańskich. Dodam, że równie niesmacznego i cierpkiego wina nie spotykałem nigdy; prawdziwe umartwienie wypić jego ampułkę przy Mszy, tymczasem Ojcowie, że to są gościnni i mają wino własne, więc nie żałują i dają am-

pułki duże. Chciałem zobaczyć jak się też ono wyrabia. Idąc do tłoczni, zdaleka już posłyszałem dzikie wrzaski; wprowadzono mnie do sklepionej izby i oczom moim przedstawił się dziki i szczególny widok. Pod oknem stała prasa, a przy niej trzej czy czterej arabi w sinych koszulach po kolana, kręcą korbami, skaczą jak opętani i wrzeszczą w takt swoich pląsów, ile siły w piersiach. Sok z jagód płynie do zbiornika obficie, ale jest jego sporo i na arabach i na podłodze i na braciszku, który jak bocian po błocie, brodzi w sandałach po zalanej moszczem podłodze, unosząc habitu. Dość ciemna sklepiona izba, czarne kudłate głowy arabów, ich oczy pałające, śniade, żółte ciała, szalone skoki i gardłowe rytmowe krzyki, wszystko to robi na mnie wrażenie, jakbym zajrzał do komnaty obłąkanych czy opętanych. Czegóż oni tak krzyczą? — zapytałem. Arabi nic bez krzyku i skoków zrobić nie zdołają, odpowiedziano mi; u nich zawsze tak.

Przy ulicy wiodącej od bramy św. Stefana do bazaru, niedaleko od austryackiego domu dla pielgrzymów, znajduje się kościół *Ecce Homo*, a przy nim klasztor Sióstr Syońskich. Jeszcze w mej młodości wspominano dość często o cudownem nawróceniu założyciela jego, izraelity Ratisbonna, zawziętego wroga katolicyzmu; teraz czas i mnóstwo innych wypadków pokryły to zdarzenie pleśnią zapomnienia, więc je przypominam. Ratisbonne, bawiąc w Rzymie 1839 r. wszedł z towarzyszem do kościoła San Andrea dei Frati, a gdy ten miał interes do zakrystyi, pozostał sam w kościele. Wtenczas ukazała mu się N. Panna, a to widzenie wywarło na nim taki sam skutek, jak niegdyś na Szawle ukazanie się jej Syna — Ratisbonne ochrzcił się, przyjąwszy imię Maryan Alfons, został kapłanem, a następnie fundował w Ain-Karem dom zgromadzenia Sióstr Syońskich, założonego uprzednio w Paryżu przez brata jego Maryana Teodora. Celem tego zgromadzenia jest staranie się o nawrócenie żydów i modlitwa o nie, pokuta i wychowywanie sierot. Potem ks. Alfons nabył plac w Jerozolimie przy łuku Ecce Homo i zbudował drugi klasztor i kościół, o którym właśnie mówić zamierzam.

W pomienionem miejscu nad ulicą wznosi się najmniej na jakie trzy sążnie (sądząc od oka) łuk starożytny, o którego rzymskiem pochodzeniu nikt nie wątpi. Jest to widocznie reszta krużganku; w kościele Sióstr Syońskich jest druga arkada, ku południowi zaś była

trzecia, ale jej już teraz niema. Od XVI wieku do tego łuku przywiązaną jest tradycya, że z jego wysokości Piłat pokazywał ludowi ubiczowanego i ukoronowanego cierniem Zbawiciela, przyczem wymówił powyższe słowa: *Ecce Homo* (oto człowiek). Z tego powodu miejsce to było w wielkiem poważaniu i ks. Ratisbonne miał piękną myśl osadzając w niem Siostry Syońskie, wśród których zawsze znajduje się pewna liczba żydówek, by choć mała część odrzuconego narodu błogosławiła i kochała Tego, którego krwi niegdyś tak usilnie tutaj właśnie domagali się przodkowie. Z tem wszystkiem autentyczność łuku zawsze mi wydawała się podejrzaną, bo sądząc o nim choćby z rysunków tylko, nie mogłem pogodzić się z myślą, żeby osoba poważna, jak wielkorządca

Łuk *Ecce Homo* (zewnętrzny) i wejście do kościoła Sióstr Syońskich.

rzymski, potrzebowała z więźniem swoim drapać się tak wysoko, na łuk wązki, skąd łatwo mógł upaść, a mówić i porozumiewać się z ludem byłoby mu dla wysokości dość trudno. Niedowiarstwo moje powiększyło się jeszcze na miejscu, gdym zobaczył ile to tam leży rumowiska — sądzę, że chyba drugie tyle łuku jest pod ziemią. Choćby zresztą nie tak wiele nawet, to zawsze jednak był on początkowo znacznie wyższym, a z tego jednego choćby względu tradycya wydaje mi się zupełnie nieautentyczną. To też piszę się całkowicie na zdanie znanego archeologa jerozolimskiego Schick'a, którego opinię przytacza ks. Jełowicki w jednej ze swych »Przechadzek po Jerozolimie« [1]). Wiemy z Ewangelii Św. Jana (XIX, 4, 5), że Piłat wyszedł do ludu z sali sądowej i rzekł: »Oto wyprowadzam wam Chrystusa, abyście zobaczyli, że w nim winy żadnej nie znajduję«. Wiemy przytem, że żydzi nie chcieli wejść do gmachu, aby się nie skalać, więc widocznie Piłat mówił do nich z ganku pretoryum, wychodzącego na plac. Gdzie zaś było owo pretoryum? Tradycya mówi, że w fortecy Antonia, która, jak już wiemy, zajmowała północno-zachodni róg dziedzińca świątyni«. (Miejsce to jest bardzo blisko kościoła Ecce Homo). »Arkady, które oglądamy, mówi dalej ks. Jełowicki, są blisko pretoryum, lecz na zewnątrz, wiemy zaś, że na zewnątrz Antonii był głękoki rów, okalający te fortecę... rów ten był szeroki i drugą stronę miał ze szczerej skały; dopiero za Heroda Agryppy powiększono miasto, mur obronny i rów przeniesiono na północ; rów koło Antonii zabudowano i uczyniono plac pięknym kamieniem wybrukowany, którego resztki widzieliśmy w suterenach klasztoru Siostr Syońskich; wybudowano też wokoło krużganek, którego dwie arkady widzimy. Za czasów zaś Chrystusa był to rów obronny i arkad nie było, gdyż stałego mostu nikt na fosie fortecznej nie stawia. Widzimy więc, że cała tradycya jest w błędzie... Należy więc to miejsce uważać jako poświęcone tajemnicy ukazania się Chrystusa w purpurze i koronie cierniowej, a że się znajduje blisko od rzeczywistego miejsca, przy którem modlić się nie można, więc dopomaga nam to do skupienia i jest uczczeniem męki Chrystusa«. Dla uzupełnienia tego przedmiotu dodam jeszcze, że na łukach niema wcale napisu »tolle tolle«, jak wielu twierdzi, lecz resztki wyrazów greckich i łaciń-

[1]) »Kronika Rodzinna«, 1894 r., Nr. 19.

skich, z których niczego dojść nie można. Chociaż tedy kościół Ecce Homo nie posiada miejsca, na którem stał Zbawiciel, niemniej jednak jest nadzwyczaj pociągającym, nietylko dlatego, że miejsce to blisko się znajduje, lecz i dla swej budowy i urządzenia. Jest on długi, ale wązki, i składa się właściwie z jednej nawy, bo dwie boczne raczej przejściami nazwać można. Na znacznie podniesionem presbyteryum znajduje się ołtarz przyparty do tego drugiego łuku, który się w kościele znajduje. Obrazu żadnego niema, lecz łuk otacza gruby półmrok, tylko się z niego tem dobitniej wydostaje biały marmurowy posąg Chrystsa Pana w cierniowej koronie z trzciną w ręku (dłuta Sosnowskiego), stojący na wierzchu arkady. Nad sklepieniem wprost, bez bębna, wznosi się niewielka kopuła, okna umieszczone są gdzieś wysoko tak, że światło spływa z góry. Byłem tam raz ze Mszą Św. Przyszedłem, jak mi się zdało, wcześnie, tymczasem było już po nabożeństwie i Siostra zakrystyanka zabierała się do zamknięcia kościoła; zobaczywszy mnie jednak, przywołała ministranta i wkrótce wyszedłem do ołtarza. Miałem przy nim chwile nigdy niezapomniane, na które się wszystko złożyło. Ściany wewnętrzne są szaro-żółtawe, słońce do środka w tym czasie nie zaglądało, lecz czy to przez odbicie od ścian, czy wskutek koloru szkieł w oknach, cały kościół napełniało żółtawe światło, dziwnie łagodne, jednostajne i miłe — zdawało się jakby wszystko pływało w jakiejś złocistej atmosferze. Ile razy odwróciłem się od ołtarza, doznawałem wrażenia jakbym był otoczony i pogrążony w przezroczystej, złotej aureoli. Zwrócony zaś ku ołtarzowi, widziałem stare głazy rzymskie i biały posąg Chrystusa występujący z pomroku. W kościele była cisza zupełna i pustka, oprócz mnie, ministranta i jednej siostry, modlącej się na uboczu, nie było nikogo. Było mi błogo na duszy, choć obrazy tego co się tu działo przed wiekami nie schodziły z pamięci. Wszystko to już dawno przeminęło; ponad ludem, który tu wówczas szalał i wrzeszczał, przeszedł miecz kary Bożej, runęły mury i zamki potężne, a teraz, gdzie brzmiały okrzyki: »Weź, weź, ukrzyżuj Go«, wychowują się biedne sieroty chrześcijańskie i wybrane miłujące dusze codziennie wznoszą się ku Niebu w modlitwie wiary i miłości — czasami przyjdzie z dalekiej krainy wędrowiec i swój głos do ich modlitw przyłączy...

Po Mszy zaproszono mnie do parlatorium, gdzie mi podano kawę

i smutną parodyę mleka, jaką się tu wszyscy w braku prawdziwego posługują. I tutaj zakrystyanka wzięła mnie za Niemca, sprowadziła więc, chcąc mi się przysłużyć, siostrę Niemkę, która jednak wcale dobrze mówiła po francusku; ta mnie oprowadzała po klasztorze, oprócz oczywiście miejsc będących za klauzurą. Więc zwiedziłem mieszkania dziewcząt bawiących obecnie bodaj że w Ain-Karem; widziałem duże, dobrze przewietrzane sale, w nich łóżka żelazne z czystą białą pościelą. Wszędzie było czysto, przyjemnie, zacisznie — gdyby tak być mogło w infirmeryi O.O. Franciszkanów! Potem zaczęliśmy z oprowadzającą mnie zakonnicą chodzić po tarasach, zastępujących tu dachy. Otoczone murami na łokieć wysokimi, stanowią one jedyne miejsce spaceru i zabawy dla dzieci i zakonnic. Trochę to za ciasno ale wszędzie tutaj jedyny spacer i rozrywka na dachu. (Coby u nas o podobnych spacerach powiedziano?). Tarasów takich jest kilka, unoszą się jedne nad drugimi; widok z nich obszerny, ale smutny, bo wszędzie skały i kamienne szare domy, a raczej mniejsze i większe sześciany, pokryte maleńkiemi kopułami. Harem-esz-Szerif widać jak na dłoni. W suterenach znowu oglądałem odkopany bruk z czasów rzymskich; na płytach kamiennych widać jakąś grę żołnierską, bo kamień jest pokratowany umyślnie, na bruku zaś ślady wyżłobione kołami. Zakonnice są przekonane, że to jest początek prawdziwej drogi krzyżowej i umieściły tam posąg P. Jezusa niosącego krzyż. Być może, że naprawdę stopy jego dotykały się tych kamieni, ale któż tego dowiedzie? Niżej jeszcze są lochy i wejście do podziemi ciągnących się daleko pod miastem, nie zwiedzałem ich jednak.

Niedaleko od kościoła Ecce Homo, a więcej ku wschodowi, czytamy na wysokim murze napis: »A Piłat wziął Jezusa i ubiczował«. Przez nizkie drzwi żelazne wchodzimy na dziedziniec i znajdujemy się przed niezbyt wielką kaplicą, stojącą na miejscu biczowania Chrystusa Pana. Od najdawniejszych czasów tradycya ten fakt bolesny mieściła tutaj i uwieczniła go pamiątkową kaplicą. W 1618 r. odebrał ją chrześcijanom syn ówczesnego baszy jerozolimskiego Mustafa-Bej, i na wzgardę imienia Chrystusowego kazał w niej umieścić swoje konie, które pierwszej zaraz nocy wszystkie padły; Mustafa kazał inne wprowadzić, ale i te taki sam los spotkał. Wtenczas, ulegając zdaniu ulemów, że nie godzi się profanować miejsca poświęconego czci pro-

roka Issy, zaniechał zamiaru zrobienia stajni z kaplicy, ale jej nie oddał i stała zamkniętą, pokąd prawie cała nie poszła w ruinę. Dopiero w 1838 r. Ibrahim basza, za wstawieniem się króla Ludwika Filipa, zwrócił ją Franciszkanom, którzy ją przed kilku laty zrestaurowali. Pod względem artystycznym, ta sklepiona, nie wysoka kaplica nic osobliwego nie posiada; największym jej skarbem jest owo miejsce, gdzie Zbawiciel krew przelał, oznaczone ołtarzem, pod którym wyryto odpowiedni napis i pali się lamp kilka. Oprócz tego ołtarza są jeszcze dwa inne. W tej kaplicy miałem Mszę Św. w wigilię mego wyjazdu, chcąc się nieco pocieszyć, że mnie nie puszczono na Kalwaryę, gdzie ostatnią mą w Jerozolimie Mszę Ś-tą odprawić zamierzałem.

Niedługo już miałem być w mieście świętem, więc na pożegnanie obchodziłem je, zaglądając do miejsc znaczniejszych, których zwiedzić nie miałem dotąd czasu. Wybrałem się więc jednego popołudnia na przechadzkę wzdłuż murów północnych, jeszcze raz przypatrzyłem się poważnej i malowniczej bramie damasceńskiej i beduinom rozkładającym przy niej swe namioty, i szerokim kamiennym fosom, pełnym wszelakiego gruzu, a doszedłszy do wschodniego rogu, zawróciłem na wschód i wkroczyłem na cmentarz muzułmański, ciągnący się wzdłuż ściany miejskiej. Mówiąc o cmentarzach w Kost-lu, wspomniałem o smutnym ich stanie; tutaj jest jeszcze gorzej. Niema żadnych cyprysów lub innych drzew, któreby ocieniały mogiły mośliminów, niema ogrodzenia — chodzi tędy wszelki zwierz i wszelki człowiek. Smutno sterczą na gołej, spalonej ziemi grobowce, prawie zawsze w stanie zupełnego opuszczenia. Myśląc o naszych wiejskich cmentarzach, gdzie pochylone drewniane krzyże kryją się w bujnej trawie, zielsku, wśród polnych kwiatów, gdzie brzęczą niezliczone owady, gdzie pszczoły miód zbierają i świegocą ptaszki, a brzozy z lipami cichym szmerem kołyszą zmarłych w ich śnie nieprzespanym, doszedłem do bramy Św. Szczepana i wszedłem znowu do miasta; znowu znalazłem się wśród niechlujstwa, nie dającego się opisać. Do uszu moich dochodziła kakofonia, jaką nawet w Turcyi rzadko można słyszeć; bardzo liczne trąbki, piszczałki, klarnety, bębny, grały każde co innego, ale wszystkie głośno. Sądziłem, że gdzieś w niedalekich koszarach pułkowa muzyka daje koncert w tureckim guście. Wkrótce

doszedłem do jednej bramy, a kiedym ją przeszedł, znalazłem się w innym całkiem świecie. Duży, czysty plac, na nim poważnych rozmiarów ciosowy kościół, przy kościele doskonale utrzymany klasztor, drzewa, krzewy, kwiaty — po wykładanych kamiennemi taflami chodnikach przechadzają się księża w białych habitach, a za murem kościelnego dziedzińca inny znowu wielki plac, na nim zaś mnóstwo bawiącej się młodzieży. Stałem przed starodawnym kościołem Św. Anny, księża biali byli to zakonnicy zgromadzenia N. Panny Afrykańskiej, założonego przez kardynała Lavigerie, na drugim dziedzińcu bawili się wychowańcy pensyonatu i seminaryum grecko-katolickiego, zostającego pod kierownictwem pomienionych misyonarzy. Ci to właśnie uczniowie taką urządzali kakofonię, którą niesłusznie tym razem na karb tureckich muzykantów złożyłem. Szpetnie przygrywali, to prawda, ale każdy uczył się swego, zresztą ład wielki, pięknie, nawet zielono. Tembardziej to pociesza, że nie tak bardzo dawno było zupełnie inaczej. Ks. arcybiskup Hołowiński zastał tu był ruinę; z jego opisu przytaczam niektóre ustępy: »Na tej samej ulicy, która się zowie drogą bolesną, zaraz przy bramie Św. Stefana... wznoszą się malownicze ruiny kościoła Św. Anny na tem miejscu, na którem, wedle podania, mieszkali święci: Joachim i Anna i gdzie się urodziła Niepokalana Dziewica... Do ruin kościoła, co się znajduje przeciwko sadzawki owczej, wszedłem przez mały boczny zaułek, na który jest obrócony sam front świątyni. Wspaniała budowa należy najpewniej do początków cesarstwa Greków; architektura zupełnie ta sama, jaką widziałem w Soforze. Mury zewnątrz i wewnątrz są wykładane ciosem, lecz moślimini powybierali ciosy ze ścian wewnętrznych na swoje budowy. Co do wielkości równa się świątyni seforskiej i także dzieli się na trzy nawy sześciu pięknymi pilastrami (właściwie filarami). Dziś ten kościół zupełnie opuszczony, choć się mury jeszcze trzymają. Wpośród gruzu, śmiecia i dzikiego zielska przybliżyłem się do ołtarza, pod którym znajduje się grota, gdzie, wedle podania, urodziła się N. Panna. Trzeba wszelki wstręt pokonać, chcąc być w tej grocie, bo wchód prawie zawalony gruzem, a wewnątrz także gruzy, śmiecie i niezmierna wilgoć; jednakże w tem świętem miejscu, gdzie ta cudowna latorośl zakwitła, odmówiliśmy Anielskie Pozdrowienie. Tu jest odpust zupełny. Oglądając ten gmach przypomniałem tęsknie

owe świetne czasy chrześcijaństwa, kiedy Jan damasceński do licznie zebranych wiernych w tej samej świątyni przemawiał z całem poetycznem uniesieniem i najwyższą miłością ku Opiekunce rodu ludzkiego. Przy kościele był klasztor zakonnic, dziś w zupełnej ruinie... Oglądałem dziedziniec, co miał być ogrodem Św. Anny, gdzie się jej anioł pokazał, dziś zapuszczony i zarosły zielskiem; gdzieniegdzie tylko wymyka się migdał i jaśmin, jakby szczątki ogrodu matki Maryi«. Dziś, dzięki Bogu, jest zupełnie inaczej; gruzów i śmieci ani na lekarstwo, dobrze utrzymane drzewa i krzewy otaczają poważną świątynię, stojącą nad kolebką Maryi, a biali misyonarze pilnują w niej porządku, codziennie składają Bogu w tem świętem miejscu ofiarę czystą i przygotowują pracowników w bardzo dotąd zaniedbanej cząstce winnicy Chrystusowej.

Czy jednak naprawdę w tem miejscu narodziła się N. Panna? Jest to pytanie o tyle trudne do rozwiązania, o ile interesujące każdego Jej miłośnika. Cztery są opinie co do miejsca narodzenia Matki Boskiej, z których dwie naznaczają Seforis i Betlejem, trzecia, t. zw. zachodnia, utrzymuje, że się Ona urodziła w Nazarecie, czwarta zaś, wschodnia, że w Jerozolimie. Zajmiemy się ostatniemi, bo pierwsze dwie żadnych poważnych za sobą nie mają dowodów. Opinia zachodnia przeważnie opiera się na tem, że niektórzy papieże (Juliusz II, Syktus V, Innocenty IX, Pius IX) za nią się oświadczyli, i że rodzice N. Panny zbyt byli ubodzy, by mieć mieszkania w dwóch miejscach tak od siebie odległych, jak Nazaret i Jerozolima, najprawdopodobniej więc tam się urodziła, gdzie później mieszkała, t. j. w Nazarecie. Co do pierwszego argumentu, br. Liévin, stanowczy stronnik Jerozolimy, powiada, że »wiadomo każdemu, iż papieże w bullach swoich nie zamierzają decydować o takim lub innym podrzędnym fakcie historycznym, chyba, że dla dobra pokoju formalnie to wyrażą, lecz aprobują nabożeństwo w jakiej świątyni, opierając się na pewnej opinii, byle ona była prawdopodobną. Tak właśnie rzecz się ma z domkiem Loretańskim, uważanym jako miejsce poczęcia i narodzenia N. Maryi Panny. Juliusz II w bulli, w której mówi, że N. Panna nie urodziła się, lecz została poczętą w *Santa Casa*, dodaje: *„ut pie creditur“* (jak pobożni wierzą). Wszyscy zaś wiedzą, że jest niezmierna różnica między pobożnem mniemaniem a pewnością. W tem też znaczeniu trzeba

brać odpowiednie ustępy i w innych bullach«. Ubóstwo rodziców N. Panny niczego nie dowodzi, bo i ubodzy mogą mieć więcej niż jedno mieszkanie, a co więcej mogą zmieniać miejsce swego osiedlenia. Tak np. zdaje się dziś nie ulegać wątpliwości, że N. Panna i Św. Józef, chociaż mieli dom w Nazarecie, po Narodzeniu Chrystusa Pana mieszkali w Betlejemie lat parę, pokąd nie uciekli do Egiptu, i że tradycya wskazująca w tem miasteczku dom Św. Józefa, lubo długo lekceważona, okazuje się prawdziwą. Tak samo więc może być uważaną za pewną i ta, która od najdawniejszych czasów jako miejsce zamieszkania rodziców Maryi i Jej urodzenia wskazuje dom w Jerozolimie blizko sadzawki owczej *(probatica piscina)*. Tegoż samego zdaje się dowodzić inna tradycya, wiążąca dzieciństwo Świętej Dziewicy z Jerozolimą i świątynią. Dodam w końcu, że szczególne znaczenie ma w tym względzie zgoda Ojców i pisarzy wschodnich, którzy będąc na miejscu łatwiej i lepiej mogli poznać miejscowe podania. Br. Liévin przytacza szereg świadectw i świadków; więc w IV wieku za Jerozolimą, jako miejscem narodzenia Bogarodzicy, był Synezyusz biskup Ptolomaidy, w VI Teodozyusz de Terra Sancta, w VII Sofroniusz patryarcha jerozolimski, w VIII Św. Jan Damasceński, w XII Jan Phocas, w XIII kardynał Jakób de Vitry, w XIV Mikołaj Piino i t. d. Zresztą niemałym dowodem, a może nawet stanowczym, jest miejscowa tradycya, bo od niepamiętnych czasów stała na tem miejscu, na pamiątkę tego zdarzenia, kaplica poświęcona N. Pannie, przez Św. Helenę w IV wieku poprawiona. W kaplicy i jej podziemiach mieli się zbierać pustelnicy z góry Karmelu, poprzednicy późniejszych Karmelitów. Prawdopodobnie zburzona przez Chorroesa (614 r.), została odbudowana przez Justyniana i poświęcona Św. Annie. Krzyżowcy powiększyli ją i osadzili przy kościele Benedyktynki, wśród których były: Arda, żona Baldwina I i Judyta, córka Baldwina II; wtenczas klasztor został bogatem i znacznem opactwem. W 1187 r. zakonnice dobrowolnie się oszpeciły, żeby ujść zniewag zwycięzkich Muzułmanów i opuściły Jerozolimę, a Saladyn zamienił ich klasztor i kościół na szkołę mędrców mahometańskich, podług obrządku Abu-abd-Allah-Mahometa-ben-Edris-el-Szafei. Akademia ta nosiła nazwę El-Salahieh. W XV wieku szkoła została opuszczoną, do czego przyczyniła się może wiara, że w okolicy kościoła nie może mieszkać ża-

dna mężatka muzułmańska, gdyż niechybnie prędko umrze. Mury klasztoru poszły w ruinę, tylko kościół opierał się czasowi i zaniedbaniu, chociaż z opisu ks. Hołowińskiego możemy sobie wyrobić pojęcie, w jakim się stanie znajdował. Było tak aż do końca wojny krymskiej, kiedy Abdul-Medżyd podarował kościół i miejsce cesarzowi Napoleonowi III (w 1856 r.). W parę lat później rozpoczęła się restauracya pod kierunkiem zdolnego architekta Maus'a (on też zbudował kościół Ecce Homo), ale postępowała tak powoli, że ks. Pelczar w r. 1872 jeszcze nie widział jej końca. Mnie danem było zobaczyć wszystko skończone i uporządkowane i cieszyć się, że tak czcigodna ruina, po tylu smutnych przejściach doczekała się znowu czasów szczęśliwych. Pośrodku tego obszernego dziedzińca wznosi się poważny, surowy kościół z ciosu pociemniałego od czasu. Wnętrze w stylu byzantyjsko-romańskim, podzielone sześcioma filarami na trzy nawy, robi nadzwyczaj przyjemne i poważne wrażenie. Wszędzie widać surowy kamień szary, bez żadnych tynków i malowań. Na kamieniach nieraz dostrzegałem śladów smutnej przeszłości, ale architekt zachował wszystkie blizny, jako chwalebne świadectwa dawnych burz i licznych a częstych prób.

Gdy chodziłem pod temi odwiecznemi sklepieniami, wśród tych murów surowych a prostych, wiał na mnie duch dawnych wieków tak różny od naszej zniewieściałości, i zdało mi się, że nawet ołtarze, tablice pamiątkowe i inne ozdoby tak jeszcze nowe i świeże, nie zgadzały się ze starymi murami, lubo wiedziałem, że inaczej być nie mogło. Czułem też wielkie zadowolenie i cichą radość z tej zdobyczy wydartej muzułmańskiemu fanatyzmowi, niedbalstwu i przemocy. W prawej nawie są schody do podziemi, gdzie znajdują się różne przejścia i cztery groty, a wśród nich jedna oznaczona ołtarzem, ma być miejscem narodzenia Matki Zbawiciela świata. Uczciłem ją cichą modlitwą i zdało mi się, że Opatrzność wynagrodziła katolików, których Grecy i Ormianie wyparli z kościoła grobu N. Panny, oddając za to w ich ręce kolebkę Jej.

Obok kościoła wskazują murowaną cysternę czy sadzawkę, jako tę samą, która była otoczoną pięciu portykami i w której P. Jezus uzdrowił paralityka. Do niedawna sadzawkę tę, zwaną także Bethesdą, wskazywano w północno-wschodniej części zagrody świątyni,

gdzie też dotąd isnieje lubo w najsmutniejszym stanie, bo prawie zupełnie zarzucona kamieniami. Tymczasem przy restauracyi kościoła Św. Anny znaleziono przy nim niewielką cysternę, którą niektórzy wzięli za ewangeliczną Bethesda, robiąc konkurencyę pierwszej, a przyznać trzeba bez żadnych prawie dowodów, te bowiem, które przytacza Liévin, nie wytrzymują wcale krytyki [1]). Ponieważ pielgrzymi bywają przez zwolenników tej samozwańczej sadzawki często w błąd wprowadzani, więc przytaczam tu kilka wierszy ks. Wandelbourg'a, w których znajduje się aż nadto dowodów fałszywości tej opinii. »W stronie północnej Haram-esz-Szerifu, w północno-wschodnim jego końcu aż do murów miasta przy bramie Św. Stefana znajdujemy wielki starożytny rezerwoar Birket-es-Serain; jest to sadzawka probiercza albo owcza, po hebrajsku zwana Bethesdą, która służyła do mycia owiec przeznaczonych na ofiary świątyni. Kształt ma prostokątny, przedłużony od zachodu ku wschodowi, otoczoną jest płotem nopali; mur wewnętrzny podpiera jej boki wykute w żywej skale, lecz gruzy i ruiny zmniejszyły jej głębokość. Położenie jej w bliskości świątyni i wspaniałe rozmiary, godne dzieł Salomonowych (50 metrów dług. 34 szer.) nie pozostawiały nigdy żadnej wątpliwości o tożsamości jej z sadzawką probierczą. To też przeciwko wszelkiej racyi od czasu ustąpienia Francyi kościoła Św. Anny, niektórym osobom wydaje się, że ją odnalazły w małym przy nim odkrytym rezerwoarze, którego jedynem przeznaczeniem było dostarczać wody jej stróżom i mieszkańcom, — miejsce to, oddalone od zagrody świętej, oddzielone od niej po wsze czasy ulicą, nigdy nie mogło mieć sadzawki przeznaczonej na potrzeby świątyni. Ci, którzy wymyślili taką hypotezę, nigdy nie mówią do czego w takim razie służyć mógł ten obszerny i piękny rezerwoar bliski świątyni i zawsze miany za Bethesdę« [2]). Zdaje mi się, że na te dowody niema co odpowiedzieć, to też stanowczo trzymać się trzeba opinii wszystkich znawców Jerozolimy, a zdanie Liévina i najzacniejszych braci białych zaliczyć do hypotez bez żadnej podstawy.

Mówiąc o kościołach jerozolimskich należałoby opisać i nabożeń-

---

[1]) Guide Indicateur 1, p. 312.

[2]) Etudes et souvenirs, I, p. 260.

stwa im właściwe, wspominają też o nich prawie wszystkie pielgrzymki mniej lub więcej obszernie; co do mnie, ponieważ byłem w czasie zwyczajnym, więc wspomnę tylko o zwyczajnych i to tylko w których brałem udział, najpierwej zatem o drodze krzyżowej, odbywającej się co piątku, po tak zwanej *via dolorosa*, a którą i ja miałem szczęście odprawić w pierwszy piątek po moim przyjeździe. Spotykałem się nieraz z żartami z katolików, jakoby, odprawiając drogę krzyżową, myśleli, że chodzą po rzeczywistych śladach Zbawiciela, nie pomni na wszystkie zmiany, jakie od Jego czasów zaszły w Jerozolimie. Myśleć podobnie mogą chyba prostaczkowie, a jeśli tak się im zdaje, to niema racyi pozbawiać ich tej pociechy, oświeceni jednak katolicy nie gorzej od protestantów wiedzą, że teraźniejsze ulice leżą na kilka i więcej metrów wyżej od dawnych, że po tylu ruinach i zmianach kierunek ich może nie być zupełnie ten sam, wiedzą jednak i o tem, że początek i koniec tej krwawej drogi jest znany i pewny, że zatem główny kierunek może być prawie bez omyłki oznaczonym. Skoro się zaś o tem wie, to trzeba nie znać zupełnie natury miłości, żeby się dziwić miłującym, gdy serce wiedzie ich w ślady Umiłowanego, choćby one nie były na każdym kroku widoczne. Protestantyzm zimny i wątpiący z entuzyazmem odkopuje rynsztoki dawnej świątyni,

Ulica wiodąca do *Via dolorosa*.

bada i opisuje każdy kamień meczetu Omara, katolicy szukają śladów Jezusa, bo każdy idzie zatem co umiłował — »gdzie skarb twój, tam i serce twoje«.

Opisywać i wskazywać szczegółowo każdej stacyi nie będę, bo bez planu szczegółowego i rysunków na nicby się to nie przydało i zresztą opisywanie ile kroków trzeba zrobić na lewo lub na prawo, po ilu schodach wstąpić albo zstąpić, uważam za pożyteczne tylko dla tych, którzy będą na miejscu — ci zaś zobaczą to sami, będą mieli przewodników i opisy drukowane. Powiem więc tylko, że pierwsza stacya jest na dziedzińcu koszar piechoty, znajdujących się na miejscu pretoryum, które było wewnątrz zamku Antonia. Następne 8 stacyi są w różnych miejscach ulicy wiodącej do kościoła Grobu, oznaczone napisami lub innymi znakami, ostatnie zaś pięć w samym kościele.

Wyszliśmy z Casa-nuova około 3 po południu i zstępowaliśmy skupieni w stronę kościoła Grobu, który jednak został na boku. Szliśmy po ulicach brukowanych jakby w schody bardzo szerokie, a po obydwóch ich stronach wznosiły się wysokie ściany z ciemnych, starych kamieni; czasami ulicę pokrywało sklepienie czarne i ponure, gdzieniegdzie chwast uschły sterczał w szparze, lub jakaś płachta powiewała na słońcu. Tu i owdzie wzrok zapuszczał się w tajemnicze dziedzińce, ciemne korytarze, czasami odemknęły się drzwi nizkie, albo jakaś postać niewyraźna ukazała się za drewnianemi kratkami nielicznych bardzo okien. Gdyśmy przecięli ulicę bazaru, na ścianach poczęły się pojawiać napisy: »tu Weronika otarła Mu oblicze«, »tu spotkanie z Matką«, »w tem miejscu przemówił do płaczących córek Jeruzalem«. Nie sposób powiedzieć jak to działało i przenosiło w dawne czasy, gdy się te sceny bolesne tu właśnie albo o kilka kroków dalej odbywały. Minąwszy austryackie hospicyum stanęliśmy u celu. Pierwsza stacya będzie, jak wiemy, w koszarach, do których dawniej nie wolno było wchodzić, ale nas wpuszczą, byle tylko przyszedł przewodnik nabożeństwa i przyprowadził kawasa. Było jeszcze wcześnie, więc tymczasem schodzili się pobożni grupami po kilka i kilkanaście osób, gromadząc się na ulicy i koło schodów prowadzących do koszar. Wszyscy w nastroju uroczystym i poważnym; kilku zakonników stoi w cieniu pod murem, zatopieni w milczącem rozmy-

ślaniu; na kamiennym słupie siedzi samotna niewiasta z różańcem w ręku; inni posiadali na schodach, na kamieniach i czekają. Drzwi do przedsionka kościoła Ecce Homo były otwarte, więc wszedłem

Miejsce domu Weroniki przy *Via dolorosa*.

z kilku mężczyznami na krótką modlitwę. Przez kraty widać było długi, wązki kościół, zalany światłem złotawem, na końcu kościoła łuk stary, a na nim biały posąg Chrystusa w cierniowej koronie. Na-

deszli wkrótce zakonnicy z klasztoru N. Zbawiciela, w towarzystwie kawasa. Weszliśmy zatem do koszar i poklękali, przewodniczący zaczął modlitwę. Żołnierze tureccy patrzyli spokojnie, a nawet z pewnem uszanowaniem, gdyśmy klęczeli i całowali ziemię, bo tam każdą wiarę i modlitwę pojmują, nie pojmują tylko, jak nie wierzyć i nie modlić się można. Gdyśmy wyszli z koszar, uszykowała się procesya; na czele szedł kawas z pałaszem u boku i rzemiennym kurbaczem w prawicy, za nim duchowieństwo zakonne i świeckie, bose i w trzewikach, w czarnej sutannie i różnokolorowych habitach, za nami jeszcze różnorodniejsza gromada wiernych. Szliśmy milczący i rozrzewnieni, bo przed nami szło wspomnienie tego prawdziwego pochodu z przed dziewiętnastu wieków, który kroczył po tych samych ulicach i o tej samej prawie godzinie; pochodu tłumnego, krzykliwego, wzbudzającego przerażenie w jednych, radość w drugich, zdumienie we wszystkich, którzy, jak uczniowie idący do Emaus, mówili: »A myśmy się spodziewali, że On miał był odkupić Izraela«.

Obchodziliśmy tak kolejno wszystkie stacye, klękali, modlili się — nikt nam nie urągał, nie przeszkadzał, a kawas wstrzymywał przechodniów i osiołki, któreby mogły nasz porządek zamącić. Przechodziliśmy wśród ludzi zajętych rzemiosłem, kupiectwem, albo niczem nie zajętych i trudno doprawdy wymyślić bardziej jaskrawy kontrast nad ten, jaki my tworzyliśmy z nimi. Nasza procesya po drodze krzyżowej doskonale wyobrażała ludzi wstępujących w ślady Zbawiciela wśród zajętego zupełnie czem innem świata — tylko że im nie przychodzi tak łatwo, jak nam wówczas, przeciskać się naprzód. Po odbyciu 8-ej stacyi zboczyliśmy na lewo i przy klasztorze Abisyńskim uczciliśmy trzeci upadek Zbawiciela pod krzyżem. Potem, nie pamiętam już jak, znaleźliśmy się na niewielkim, zewsząd obmurowanym dziedzińcu; przed nami stara facyata kościoła, w lewym jego rogu wieża bez zakończenia, w facyacie tak dobrze znane z tysiącznych rysunków i fotografij, wchodowe drzwi o łuku gotyckim; był to kościół Grobu Pańskiego.

Dwa dni już bawiłem w Jerozolimie, a dotąd tego progu nie przekroczyłem nietylko dlatego, żem był chory, ale więcej dlatego, że mi brakło odwagi. Pamiętałem z licznych opisów, jak to pielgrzymi zmęczeni i złamani drogą, biegli w świętej niecierpliwości natychmiast

po przyjeździe do świątyni Grobu, by wylać przed nim uczucia miłości i nabożeństwa, wyrzucałem sobie, że nie jestem jak inni, ale głos jakiś, jak Mojżeszowi przed krzakiem ognistym, wciąż mi mówił: miejsce to święte jest — i zwlekałem; wszedłem dopiero z tłumem pobożnych, po odbyciu drogi krzyżowej. Przekroczyliśmy podwoje świątyni; zaraz przy wejściu leży sobie na podniesieniu Turek z fajką w zębach — ktoby tam na niego zważał; przed nami ciemna jakaś przestrzeń, a na niej odbija się jasno kamień blado-różowy, nad którym lampy płoną — to kamień Namaszczenia. My go mijamy i wstępujemy po kilkunastu kamiennych schodach na Kalwaryę. Niewysoka sklepiona kaplica, filarami i trzema łukami przedzielona na dwoje, w niej zmrok tajemniczy; lampy i światła, obraz Ukrzyżowania i modlitwy, przeszłość i teraźniejszość zmieszały się w ten chaos nie rozwikłany i do żadnego nie nadający się opisu, jaki zwykle powstaje w sercu i głowie człowieka wobec wielkich wspomnień i miejsc bardzo świętych. Pamiętam żeśmy zeszli z Golgoty, przeszli jakieś ciemne korytarze i znaleźli się w dużej okrągłej świątyni, mającej okna tylko w pokrywającej ją kopule. Kościół był ciemny, ale z kopuły padały snopy światła na czworogranny stojący pośrodku monument, zakończony osobliwą kopułką — byliśmy u celu. Wszyscy padli na twarz przed Grobem, z którego życie wykwitło. To była stacya ostatnia.

Kościół Grobu Pańskiego.

ROZDZIAŁ IV.

Kościół Grobu Pańskiego.

Nie mając wcale zamiaru pisania historycznego i archeologicznego przewodnika Ziemi Świętej, oszczędzałem moim czytelnikom dłuższych rozpraw o historyi i prawdziwości miejsc przezemnie zwiedzonych i podawałem tylko szczegóły konieczne w dozach możliwie najmniejszych. W obecnym rozdziale zamierzam od tej metody odstąpić i zaczynam go od archeologiczno-historycznej rozprawy o auteutyczności Grobu Pańskiego; wydaje mi się ona rzeczą konieczną, boć to przecie główny cel dalekiej wędrówki, każdy więc pielgrzym pragnie wiedzieć, czy naprawdę nawiedza i całuje to miejsce, na którem złożone było ciało Zbawiciela, skąd On pełen chwały zmartwychwstał — sądzę nawet, że i dla wszystkich wierzących pytanie to nie będzie bez wielkiego interesu, choćby do Jerozolimy nie pielgrzymowali. Oprócz powyższego względu mam jeszcze inny na celu. Kwestya autentyczności św. Grobu bynajmniej nie jest dogmatem wiary, ale się do dogmatu Zmartwychwstania dotyka, jest z nim, podrzędnego wprawdzie znaczenia węzłem, połączona. To zupełnie wystarczyło, żeby się nią zajęły umysły »krytyczne« i z właściwą im dokładno-

ścią i bezstronnością starały się ją zatrzeć, zagmatwać i uczynić do rozwiązania niepodobną. Podziwiałem nieraz ten instynkt przeczenia u »krytyków« naszych i obcych; dość żeby podanie jakie choćby z bardzo daleka było związane z faktem religijnym, z wypadkiem opowiedzianym w Biblii, żeby wszelkich dołożyć starań do obalenia a przynajmniej zachwiania i zaciemnienia jego. Najpewniejsze podania, najpoważniejsi świadkowie nie wystarczają, starają się ich zeznania obalić za pomocą własnej krytyki i własnych argumentów; a co to za pewne argumenta i co za rozumna a światła krytyka, chcę właśnie na przykładach okazać.

O autentyczności grobu Pańskiego nikt do niedawna nie wątpił bo nieprzerwana tradycya od pierwszych wieków chrześcijaństwa stale go wskazywała na tem samem co dzisiaj miejscu. Ale w naszym »oświeconym« wieku przyszli do Jeruzalem protestanci; wnieśli swoją światłą krytykę i tylowiekową pewność obalić zamierzyli. Więc Gordon, przed 30 laty, odpoczywając razu jednego za bramą damasceńską, dopatrzył w skałach u podnóża pewnego pagórka podobieństwo do czaszki i na tem podobieństwie oparł pewność, że Kalwarya t. j. miejsce »trupiej głowy« jest tam właśnie. Argument tak dziecinny wystarczył jużcić tylko samemu odkrywcy i kilkunastu z tych ludzi, którzy gotowi pójść za największą niedorzecznością, byle się ona sprzeciwiała katolickiej prawdzie lub tradycyi. Clarke ogłosił za Kalwaryę górę Złej Rady, oddzieloną, jak wiemy, od miasta przepaścistą doliną Gehenna. Fergusson wymyślił coś jeszcze lepszego. Podług niego Grób Zbawiciela znajdował się... w grocie pod świątynią i Świętem Świętych. Na to nawet Ebers i Guthe, choć przeciwnicy każdego podania katolickiego w Ziemi Świętej, powiadają jednak z niejakiem zgorszeniem: »Jakim sposobem zdołałby Józef z Arymatei w tem miejscu, które za czasów Jezusowych zajmowała świątynia Heroda i jej przedsionki, przygotować dla siebie grób, miejsce śmierci, a zatem, podług praw żydowskich nieczystości, tuż obok albo pod ołtarzem Jehowy?« Ciż sami autorowie, chociaż roztropniejsi, nie wiele jednak od przytoczonych są lepszymi; czytając ich dzieło, byłem zdziwiony nietylko namiętnością do obalania wszelkich tradycyi, ale brakiem wszelkiego religijnego uczucia, choć się na nie sadzili i widocznie pisząc o Ziemi Świętej, chcieli za wierzących uchodzić — szydło jednak

zawsze wylazło z worka. Tak np. zaczynają pierwszy tom od Jerozolimy w następujący sposób: »Jeruzalem! Od jakiegoż innego miasta moglibyśmy zacząć naszą podróż po Ziemi Świętej!« Czytelnik myśli sobie: pewnie że tak, i posądza dalej autorów, że zadali to zapytanie dlatego, żeby zaraz odpowiedzieć: — »Wszak to stolica królów wielkich i świętych, teatr, na którym spełniały się przepowiednie proroków, miasto, które Pan nieraz cudownie prawicą swoją ochraniał, a przedewszystkiem miejsce, które Zbawiciel męką i śmiercią swoją poświęcił na wieki« — bynajmniej, — protestanccy bowiem autorowie tak dalej kontynują: »Jest ono miastem górskiem w całem słowa znaczeniu i leży w samem sercu górskiej krainy, która ciągnie się od wielkiej doliny Ezdrelońskiej aż do południowych krańców Obiecanej ziemi. Skaliste góry wapienia, poszarpane suchemi łożyskami deszczowych potoków, otaczają je ze wszystkich stron; strome i trudne do przebycia górskie ścieżki prowadzą do niego. Tak sama natura wzniosła mury, które tę fortecę ochraniać miały« — i tak dalej w ten sam sposób. Nieprawdaż, że to jednak oryginalny powód zaczynać opis Ziemi Świętej od Jerozolimy dlatego, że jest ona »w całem słowa znaczeniu miastem górskiem i że do niej strome ścieżki prowadzą?« Mniejsza jednak na ten raz o religijność tych autorów, przypatrzmy się lepiej powodom, dla których wątpią o autentyczności Grobu Pańskiego, a przynajmniej nie mają co do tego pewności. Przytaczam tu odnośny ustęp prawie w całości.

»O odkryciu Grobu opowiada Euzebiusz biskup Cezarei w Palestynie, jako świadek współczesny (Vita Constantini III, 25 — 40). Przytacza on list cesarza Konstantyna do biskupa Jerozolimy Makarego, któremu poleca znajdującą się tam świątynię Wenery zburzyć, Grób oczyścić i wspaniałymi budynkami ozdobić. Podług relacyi tego Ojca Kościoła, miejsce Grobu nie było w Jeruzalem wiadomem, odnaleziono je »wbrew wszelkiemu oczekiwaniu«, co było uważanem za cud niepojęty. Stąd wynika, że miejscowej tradycyi o Grobie Chrystusowym już wtenczas nie było. Świadectwo zatem Euzebiusza, najcenniejsze, jakie w tym względzie posiadamy, nie pozwala przyjąć twierdzenia, jakoby ustna tradycya, przeważnie biskupów jerozolimskich, przechodząca z pokolenia na pokolenie, przekazywała wiadomość o miejscu Grobu Jezusowego. Eleganckie, ale powierzchowne

sprawozdanie Chateaubriand'a *(Itineraire de Paris à Jerusalem et de Jerusalem à Paris* 1811, wielokrotnie tłómaczone) tej prawdopodobnej, ale w najstarszych podaniach nie znajdującej się opinii, utorowało drogę do kół szerokich. Drugi przekonywający dowód autentyczności Grobu on i wielu innych w tem znaleźli, że cesarz Adryan około 135 roku kazał postawić marmurowe posągi Jowisza na miejscu Zmartwychwstania, a Wenery na Kalwaryi; przeto miało być z pewnością oznaczone miejsce już w pierwszej połowie drugiego wieku. Lecz Euzebiusz z jednej strony mówi tylko, że świątynia Wenery, przez bezbożnych ludzi wzniesiona, stała na placu za jego czasów uświęconym budowlami Konstantyna, lecz wcale nie na miejscu, które mogło być zdawna wskazywanym Grobem Jezusa; z drugiej strony o świątyni Jowisza ani słowem nie wspomina. To milczenie Euzebiusza, współczesnego i naocznego świadka, tak o Adryanie, jak i o posągu Jowisza, ma wielkie znaczenie, tembardziej, że jedynym poręczycielem obydwóch podań jest Ojciec Kościoła Hieronim, który pisał w 50 lat po Euzebiuszu i miejsc świętych przed zmianami zarządzonemi przez Konstantyna, nie widział. On i inni pisarze mogą opowiadać, jaką była współczesna im tradycya, ale podania ich, o ile przeczą Euzebiuszowi, nie mają znaczenia. Ci nie dostarczają nam żadnego pozytywnego dowodu autentyczności Świętego Grobu[1]). Dalej autor zapytuje, czy dowody przytoczone przeciwko autentyczności podania wykluczają jej nawet możliwość i powiada, że to zależy od rozwiązania pytania czy teraźniejsza Kalwarya leży za obrębem drugiego muru, ponieważ wiadomo z Pisma Św., że Pan Jezus umarł za miastem. Przytoczony tu dosłownie przydłuższy ustęp ma pozory wielkiej historycznej erudycyi i obosiecznej krytyki, w rzeczywistości jednak prawie w każdem zdaniu tkwi powierzchowność, nie znajomość przedmiotu (którą się w całem dziele bardzo często spotyka), zupełny brak krytycznego zmysłu, a nieraz i zupełne kłamstwo — nie wiem już, z umysłu czy nieświadomości pochodzące. Zaraz to zobaczymy. Uważny czytelnik już w pierwszych wierszach dostrzeże sprzeczność rażącą. Guthe bowiem twierdzi, że podług relacyi Euzebiusza »miejsce Grobu w Jeruzalem nie było wiadomem«, a w poprze-

[1]) Palästina, 1. B. Anmerkungen, 2.

dzającem zdaniu powiedział, że cesarz Konstantyn polecił biskupowi Makaremu »świątynię Wenery zburzyć, Grób oczyścić i wspaniałymi budynkami ozdobić« — jakżeby mógł kazać Grób oczyścić, gdyby o nim nikt nie wiedział i pocóż kazałby burzyć świątynię Wenery, szczątki jej i ziemię z pod niej z wielkim kosztem rozwozić daleko (jak to zaraz zobaczymy), gdyby nie było wiadomem, że pod spodem jest Grób Pański? Dziecię dostrzeże, że krytyk chrześcijańskiej tradycyi powinienby się był pierwej nieco w logicznem myśleniu wyćwiczyć. Czy rzeczywiście podług tego ojca kościoła (bynajmniej nie »ojca« tylko historyka i pisarza) »miejsce Grobu w Jerozolimie nie było wiadomem«, najlepiej nas objaśnią jego własne słowa, których Guthe wraz z Ebersem widocznie nie czytali.

»Co tak uczyniwszy, powiada Euzebiusz (w 25 roz. ks. Żywota Konst.), cesarz Bogu miły, przedsięwziął w Palestynie co innego, przedewszystkiem godnego pamięci. Cóż to takiego jest? Przebłogosławione ono miejsce Zmartwychwstania Pańskiego, które jest w Jerozolimie, dla wszystkich śmiertelnych sławnem i czcigodnem uczynić, za obowiązek swój poczytał; zaraz więc świątynię tam wybudować polecił«. Umyślnie podkreśliłem odpowiedź Euzebiusza na swoje pytanie, żeby mi czytelnicy mogli ze swej strony odpowiedzieć gdy ich zapytam, jak też nazwać sprawozdanie Guthego i Ebersa o tem, co pisał Euzebiusz? Ja to poprostu nazywam kłamstwem i to bardzo grubem. Niedość tego, w następującym rozdziale ten sam historyk tak rzecz swoją kontynuje: »Albowiem niegdyś bezbożni ludzie, albo raczej cały rodzaj szatański, za pomocą bezbożnych ludzi, usiłował ten czcigodny pomnik nieśmiertelności ciemnościami i zapomnieniem otoczyć. Ten pomnik, powiadam, przy którym Anioł niegdyś z Nieba zstąpiwszy i dziwnem jaśniejący światłem, odwalił kamień z dusz tych, którzy prawdziwie kamiennymi byli i sądzili, że Chrystus żyjący jeszcze leży wśród umarłych... Tę to zbawienną pieczarę niektórzy bezbożni i nieroztropni ludzie postanowili z fundamentu zburzyć... Nie bez wielkiej więc pracy, nawieźli i nagromadzili zewsząd mnóstwo ziemi i całe miejsce zapełnili, które gdy do średniej wysokości podnieśli i kamieniem wyłożyli, pod takim pagórkiem świętą pieczarę ukryli. Następnie, jakgdyby im nic innego nie pozostawało, na tym gruncie nieszczęsny grób dla dusz wybudowali,

ciemną pieczarę martwych bałwanów, na cześć lubieżnego demona, którego zwą Wenerą, i tam na wstrętnych i nieczystych ołtarzach obrzydliwe ofiary składali« (Vita Const. III. 26). Sądzę, że nie sposób dać wyraźniejszej i bardziej kategorycznej odpowiedzi na twierdzenie Guthego, że za czasów Euzebiusza »miejscowej tradycyi już wtenczas nie było o miejscu Grobu Świętego«. Następnie opowiada historyk kościelny, jak zburzono świątynię Wenery i ziemię nawet z pod niej daleko wywieziono, i jak następnie »niespodziewanie zajaśniał czcigodny i najświętszy pomnik Zmartwychwstania Pańskiego«. Mamy w tem nowy dowód, że tradycya istniała ciągle, bo gdyby jej nie było, nie rozrzuconoby tak napewno świątyni Wenery i nie szukano pod nią, a gdyby nawet znaleziono grób jaki, skądżeby wiedziano, że to Grób Chrystusa? Wszak podobnych pieczar całe setki dotąd można widzieć, owszem o kilka kroków od Grobu Pańskiego i dziś jeszcze pokazują jaskinie i groby; skoro więc odrazu w tem miejscu szukano i odrazu poznano, widocznie tradycya była pewna i stała. Guthe i Ebers twierdzą, że dopiero Chateubriand w 1811 r. rozszerzył przekonanie o ciągłej miejscowej tradycyi podtrzymywanej jakoby przez miejscowych biskupów i z wysokości owej krytycznej mądrości nazywają tę opinię »powierzchowną«. Rzeczywiście powierzchowność tu jest i wielka, ale po stronie obydwóch Niemców.

O tej tradycyi mówi nie Chateaubriand, lecz ten sam uznany przez nich za jedynego wiarogodnego świadka Euzebiusz, tylko, że mówi w księdze, której oni nie czytali z pewnością, a może i nie słyszeli nawet (bo choć to księga bardzo znana, ale po uczonych krytykach wszystkiego można się spodziewać). W swej »Historyi kościelnej« Euzebiusz bardzo pilnie notuje następstwo biskupów jerozolimskich, a w rozdz. V. księgi IV. powiada, że do oblężenia Jerozolimy przez Adryana było w niej piętnastu biskupów, którzy wszyscy byli żydami, »a wiarę Chrystusową szczerze i z duszy przyjęli«. Przytacza też ich imiona. Następnie, gdy nie wolno było żydom mieszkać w Jerozolimie, przezwanej Aelia Capitolina, powstał w niej kościół chrześcijański z pogan nawróconych, a pierwszym ich biskupem był March za tegoż Adryana cesarza (rozdz. VI.). Nie przytaczam dalszych cytat Euzebiusza, każdy je może z łatwością w jego Historyi odszukać, bo

na początku każdej księgi jest treść rozdziału [1]). Tak więc przez cały czas, aż do Konstantyna, szereg biskupów był nieprzerwany i tradycya oczywiście także ciągła. Dlaczegóż jednak, powiada Euzebiusz, że Grób był odkryty »niespodziewanie« i dlaczego lud uważał to za »cud nadzwyczajny«? Odpowiedź bardzo prosta. Lud jerozolimski za cud tego nie uważał, a wyrażenia tego użył w swym liście do biskupa Makarego cesarz Konstanty; kto list ten czytał, odrazu mógł spostrzedz, że zgadza się on najzupełniej z tonem całości — uroczystym, urzędowym, napuszonym nawet. Zresztą choćby cesarz rzeczywiście uważał odkrycie Grobu Świętego za cud, to jego osobista opinia nie jest bynajmniej opinią ludu jerozolimskiego. Wyrażenie »ze wszech miar niespodzianie« tłómaczy się także bardzo łatwo. Prawie przez 200 lat Grób Św. był pod ziemią, nikt z żyjących go nie widział, choć wszyscy słyszeli; myśleli może że poganie zasypując go, zniszczyli pierwej i zepsuli, tymczasem znaleziono go i znaleziono w całości, powstała stąd owa radość pełna niedowierzania, jaką odczuwamy, gdy nas spotka coś, czegośmy spodziewali się, pragnęli, a gdy otrzymamy, sami sobie wierzyć nie chcemy. Widzimy dalej ile prawdy jest w twierdzeniu autorów »Palästina in Bild und Wort«, że Euzebiusz mówi tylko o świątyni Wenery, która stała na placu za jego czasów ozdobionym budynkami Konstantyna, lecz wcale nie o miejscu, które mogło być uważanem za grób Jezusa. Jestto kłamstwo tak zuchwałe i widoczne, że nie mogę sobie jego inaczej wytłómaczyć, tylko przypuszczeniem, że obaj erudyci nie czytali sami ustępu, który krytykują, lecz spuścili się na kogoś innego, który go także może nie czytał; wśród krytyków religii, Kościoła i jego historyi proceder taki jest rzeczą bardzo zwyczajną. Skoro więc Euzebiusz mówi nie »o placu«, lecz o Grobie Zbawiciela zasypanym ziemią i oznaczonym świątynią Wenery, drugi dowód autentyczności jego, choć przez Guthe'go nie uznawany, jest oczywisty dla każdego — poganie rzeczywiście sami znaczyli miejsce, które »ciemnościami i zapomnieniem otoczyć chcieli«

Milczenie Euzebiusza o Adryanie i posągu Jowisza, ma podług nich posiadać wielkie znaczenie, podług mnie wobec wyraźnego zaznaczenia przez Euzebiusza, że Grób Chrystusa był zasypany zie-

[1]) Cytuję podług wydania Migne.

mią, że na tem miejscu była pogańska świątynia, że gdy ją zburzono, odnaleziono »Zbawienną pieczarę w całości«, wobec tego owo przemilczenie jest drobiazgiem, o którym wspominać nie warto. Euzebiusz powiada, że Grób zasypali »bezbożni ludzie« — tak mu się podobało napisać w tem miejscu, bo rzeczą w danym razie obojętną czy to zrobił Adryan czy kto inny; tak samo mógłbym napisać, że tradycye jerozolimskie krytykują niesumienni i niedorzeczni krytycy, czyż koniecznie miałbym wymienić Ebersa i Guthego? Prawda, że Euzebiusz nie wspomina o posągu Jowisza, który miał tam stać także, tylko o Wenerze, ale najpierwej mówi, że świątynia była poświęconą »martwym bałwanom«, — a powtóre mówił ogólnikowo, więc nie chciał wymienić wszystkich bałwanów i ich ołtarzy. I my wszak ciągle mówimy: »kościół Grobu Pańskiego«, chociaż w nim jest nadto Kalwarya, kaplica N. Panny, św. Heleny, znalezienia św. Krzyża, Matki Boskiej Bolesnej. Zresztą nie brak i katolickich pisarzy, trzymających z Euzebiuszem, że świątyni czy posągu Jowisza nie było, tylko Wenery. W ich liczbie jest br. Liévin. Kwestya to zresztą bardzo podrzędna. Po tem cośmy powiedzieli, każdy już sam zobaczy, że »sprzeczność między świętym Hieronimem i Euzebiuszem istniała tylko w wyobraźni niemieckich geografów; dodam wreszcie, że i ostatnia ich wątpliwość została rozwiązaną — odkryto ślady drugiego muru przed kościołem Grobu, a resztki jednej bramy i próg jej znajdują się obecnie w rosyjskim klasztorze.

Zatrzymałem się dłużej nad zarzutami Ebersa i Guthego, bo chciałem dać czytelnikom moim nowy przykład gruntownej krytyki z przeciwnego obozu, a także dlatego, że pierwsze wieki są rzeczywiście pod tym względem najważniejsze. Skoro dowiedziono, że w ich ciągu wiedziano, gdzie był Grób Święty, o dalsze czasy niema troski.

Chrześcijanizm, wywalczywszy swobodę i obaliwszy poganizm, zabrał się do oczyszczenia najdroższych dla niego miejsc śmierci i Zmartwychwstania Zbawiciela. Odtąd pielgrzymki do Św. Grobu, dawniej rzadko i w tajemnicy odbywane, stają się powszechnemi, jawnemi i coraz częstszemi, więc już żadnej wątpliwości ulegać nie mogło miejsce codziennie nawiedzane. Nie chcąc zbytecznie przeciążać tego rozdziału balastem erudycyi, odsyłam chcących coś więcej wiedzieć w tym względzie do pielgrzymki ks. Hołowińskiego, który

kwestyę prawdziwości Grobu Pańskiego dokładnie opracował i podaje długi szereg pielgrzymów z różnych wieków, którzy zostawili opisy swej podróży [1]).

Przejdźmy teraz w krótkości dzieje tej świątyni (podług Liévin'a). Po odkryciu miejsca, Św. Helena cesarzowa kazała oddzielić Kalwaryę od Grobu, które były pierwiastkowo w jednej górze. Uczyniła to może dlatego, że Kalwarya była znacznie wyższą, więc na nierównej przestrzeni trudno było postawić jeden prawidłowy budynek. Dlatego może wyjęto skałę między temi dwoma świętemi miejscami. Święta ozdobiła Grób Pański i otoczyła galeryą o trzech kondygnacyach. Na Kalwaryi wzniosła osobną kaplicę, obydwa zaś te miejsca połączyła wspaniałą bazyliką o pięciu nawach. (Dla zrozumienia tego dodaję, że Grób Pański jest ku zachodowi, Kalwarya ku południowowschodowi). Po dziesięciu latach pracy kościoły były skończone i poświęcone. Euzebiusz podaje bardzo szczegółowy opis przepychów tej bazyliki; ściany jej były wewnątrz pokryte marmurem, zewnątrz polerowanym kamieniem, strop świecił złotem »nakształt morza złotego«, dachy pokrywał ołów. Kościół w tym stanie świetności trwał tylko 278 lat, bo król perski Chosroes II w 614 r. zabrawszy, co było droższego, gmach spalił. Wkrótce jednak na wstawienie się żony swej, chrześcijanki, żony cesarza Maurycego, pozwolił Modestowi, przełożonemu klasztoru S. Teodozego, a następnie biskupowi Jerozolimy, zająć się odbudowaniem świątyni. Energiczny biskup, przy pomocy patryarchy aleksandryjskiego, Św. Jana Jałmużnika, po 15 leciech odbudował kościół, ale już nie w tym stanie, i nie z takim, jak niegdyś przepychem, bo mu środków brakło. Wzniósł więc, zamiast jednej wielkiej, cztery mniejsze świątynie, mianowicie Św. Grobu, Kalwaryi, N. Panny i Św. Heleny. Omar zdobywszy Jerozolimę, uszanował skarby chrześcijańskie i nie tknął ich, przetrwały więc one do 1010 r., kiedy sułtan Hakem poduszczony do tego przez żydów, jak świadczy cyt. przez Liévin'a Raoul Glaber, kazał zburzyć kościół Grobu Św., wszakże, jak wiemy, tegoż jeszcze roku pozwolił go znowu odbudować. Zaczęła się wtedy restauracya, skończona 1048 r. za wdaniem się cesarzy bizantyjskich Argyra, Michała Paflagończyka i Kon-

[1]) Jeruzalem, rozdz. III

stantyna Monomacha, przyczem plan Modesta zachowano. W takim stanie znaleźli świątynię krzyżowcy 1099 r. Godfryd de Bouillon osadził przy niej 20 kanoników.

W 1130 roku przedsięwzięto nanowo objąć jednym gmachem wszystkie święte pamiątki w tem miejscu i zbudowano kościół, który oprócz nielicznych zmian, pozostał do dni naszych. Wtenczas dano facyatę dzisiejszą ze strony południowej i wzniesiono wieżę. Po zdobyciu Jerozolimy przez Saladyna, kanonicy musieli miasto święte opuścić, a kościół 1188 r. został sprzedany Syryjczykom, którzy jednak niedługo tam byli. Zwiedzający Jerozolimę w 1219 r. Thietmar opowiada, że chrześcijanom zabroniony był wstęp do niej, a miejsca były »bez światła, bez czci i szacunku«. Wkrótce jednak Frydryk II odebrał na czas jakiś Jerozolimę (1229 r.), a w ślad za nim zjawili się O.O. Franciszkanie. Daty osiedlenia się ich przy Grobie Chrystusowym dokładnie określić nie można, ale zdaje się rzeczą pewną, że już w 1250 r. kościół całkowicie do nich należał. Odtąd, chociaż nieraz świątynia była w niebezpieczeństwie, jak np. w czasie napadu Karyzmian, bracia Św. Franciszka byli jej gospodarzami i nieopuszczali nigdy. Na początku XVII w. groziło jej niebezpieczeństwo, a nawet zagłada ze strony wrogów, których nienawiść dla Krzyża nie wygasa i nie zasypia nigdy.

Żydzi w 1607 r., za 5.000 dukatów, wyrobili u sułtana Achmeda I rozkaz zburzenia bazyliki Św. Grobu. Na szczęście ambasador Wenecyi zdołał unicestwić zabiegi żydów, którzy stracili napróżno pokaźną na owe czasy sumę. W 1807 roku nawiedził bazylikę pożar i zniszczył kopułę w rotundzie, wzniesioną w 1555 r. przez Franciszkanów. Była to epoka, w której katolicka Europa zupełnie o Ziemi Św. zapomniała, zajęta rewolucyą, wojnami Napoleona i, co najwięcej może, toczona niedowiarstwem i obojętnością religijną; O.O. Franciszkanie bez żadnych środków nie mogli myśleć o wielkich wydatkach jakich fundamentalna restauracya wymagała, skorzystali z ich niemocy Grecy. Wyrobili ferman sułtański dozwalający im restauracyi własnym kosztem, jakoż wznieśli nową kopułę, poprawili co pożar zepsuł, a przytem wyparli łacinników z wielu miejsc świętych, dotąd do nich należących, i zajęli je sami.

Nieumiejętnie przez Greków zasklepiona kopuła zaczęła znowu

grozić zawaleniem się, więc po długich układach, została odbudowaną wspólnym kosztem Turcyi, Francyi i Rosyi w 1860 r. Wtenczas ją całkowicie zasklepiono, a raczej zaszklono, bo dawniej nad Grobem była otwartą, tylko siatka druciana wzbraniała ptakom dostępu; dlatego, jak to widzimy na dawniejszych rysunkach, od przodu Grobu wznosiło się płótno z wizerunkiem Zmartwychwstania, by zakryć modlących się od deszczu.

Takie są w krótkości zewnętrzne dzieje tej świątyni, gdyby jednak jej kamienie i miejsca, które zajmuje, mogły mówić, jakąż długą a pełną wstrząsających do głębi epizodów opowiedziałyby nam historyę. Niestety, jak w życiu ludzkiem, tak i w jej dziejach chwil radości, chwil tryumfu było niewiele. Po dniu na wieki pamiętnym, w którym na wieki zatryumfował nad śmiercią, nadeszły długie lata prześladowań. Potem tryumf za Konstantyna i Heleny i parę wieków świetności. Po zwycięstwie nad Chozroesem tryumfalne podwyższenie św. Krzyża przez Herakliusza, a potem zaraz długie wieki prześladowania i ruiny. I znowu doczekała się świątynia radośnego »Te Deum« Krzyżowców, ale 100 lat nie przeszło, gdy, jak powiada Thietmar: »miejsca święte stały bez światła, bez czci i szacunku«. Jarzmo półksiężyca gniotło długo i ciężko; dziś ono bardzo już lekkie i dla Jeruzalem nadeszły dni jaśniejsze, niż kiedy. Gdy w Europie wiara w wielu miejscach jest lekceważoną i prześladowaną, pod panowaniem półksiężyca używa ona zupełnej swobody, a i świat chrześcijański przypomniał sobie Miasto Święte. Ze wszech stron przybywają czciciele Krzyża i mogą z zupełną swobodą wylewać swe serce na Kalwaryi i przed Grobem. Dziś mury świątyni mogłyby tylko opowiadać o łzach wylanych w modlitwie, o wzruszeniach i łaskach doznanych. Czasami nawet jakby odblask dawnej świetności rozjaśnia się posępne wnętrze, gdy nastaną wielkie doroczne uroczystości lub gdy ktoś z panujących rodzin albo i monarchów zawita z dalekiej Europy.

Wypada nam teraz rozpatrzyć się w budowie i w tem, co ona znakomitego posiada; nie będzie to rzeczą łatwą, bo teraźniejszy kościół, łącząc rozmaite miejsca i na różnym położone poziomie, jest bardzo nieregularnym, dlatego chcąc mieć jakie takie pojęcie całości, trzeba koniecznie rozpatrzyć się w planie. Oś budynku idzie od za-

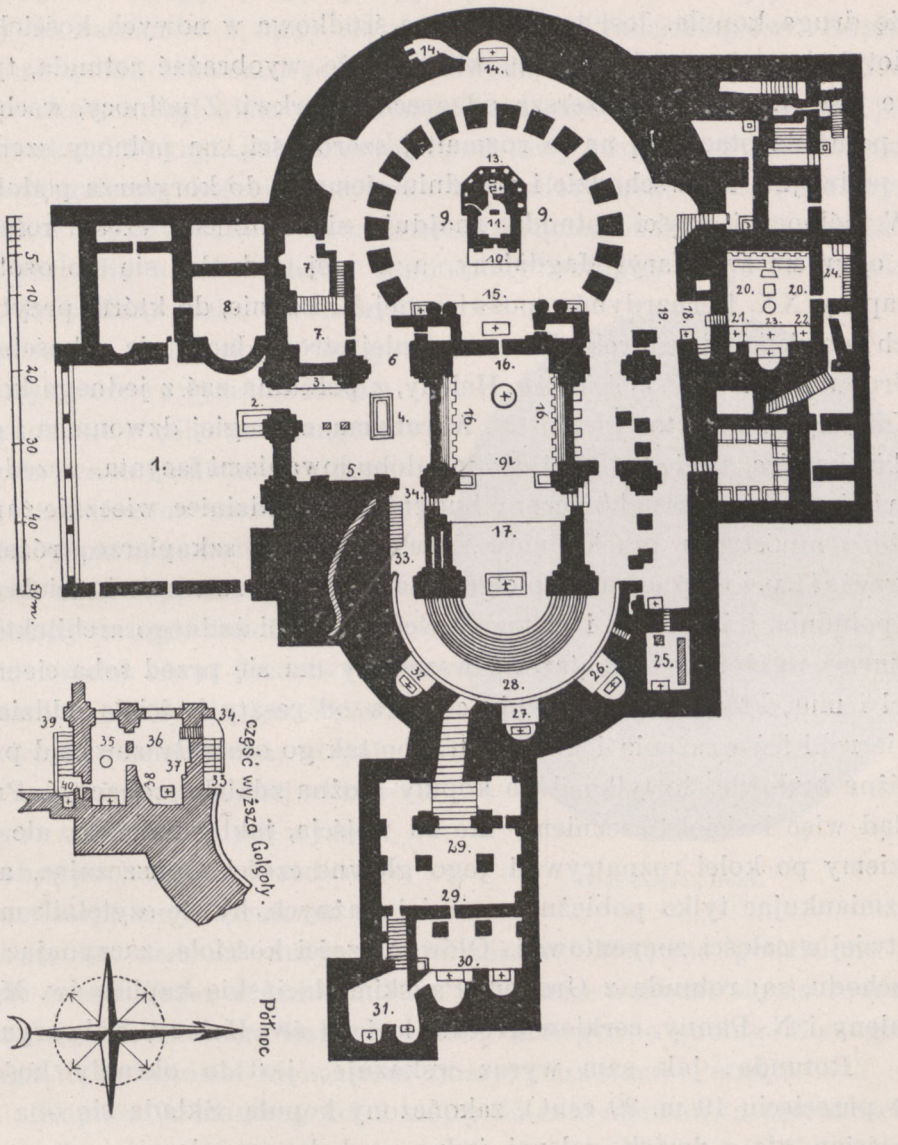

Plan Kościoła Grobu.

chodu ku wschodowi. Na zachodnim jej krańcu znajduje się rotunda, w jej środku kaplica Grobu, a nad nią kopuła; naprzeciwko ciągnie się dawny chór kanoników, a dziś cerkiew grecka, nad którą wznosi się druga kopuła. Jest to niby nawa środkowa w nowych kościołach, dotykająca do presbyteryum, które może wyobrażać rotunda, tylko że jest ona znacznie szerszą od greckiej cerkwi. Z północy, wschodu i południa otacza ją nawa rozmaitej szerokości; na północy szeroka i podwójna, na wschodzie i południu ciemna i do korytarza podobna. W północnej części rotundy znajduje się katolicka część kościoła z ołtarzem św. Maryi Magdaleny, a z niej wchodzi się do osobnej kaplicy XX. Bernardynów, poświęconej N. Pannie, do której przytyka ich niewielki klasztorek. Ze wschodniej strony łączy się z kościołem Grobu podziemny kościół św. Heleny, z południa zaś z jednego końca Kalwarya i klasztor grecki św. Abrahama, z drugiej dzwonnica i greckie kaplice, a między temi dwoma dobudowaniami facyata, przed nią zaś niewielki, zewsząd otoczony budynkami dziedziniec, wiecznie zapełniony mnóstwem przekupniów, sprzedających szkaplerze, różańce, krzyże i t. p. i tłoczącymi się pielgrzymami. Wchód zatem do kościoła jest z południa, t. j. z boku, i dlatego kościół nie robi żadnego architektonicznego wrażenia wewnątrz, bo wszedłszy ma się przed sobą ciemności i mur, którym Grecy swoją cerkiew od reszty kościoła oddzielili. Nie robi też wrażenia i z zewnątrz, bo tak go otoczyły zewsząd przeróżne budowle, że tylko dwie kopuły można zdaleka zobaczyć. Przegląd więc kościoła zaczniemy nie od wejścia, jakby należało, ale będziemy po kolei rozpatrywali jego główne części, opuszczając, albo wzmiankując tylko pobieżnie o mniej ważnych, by się czytelnik mógł łatwiej w całości zoryentować. Główne części kościoła, zaczynając od zachodu, są: rotunda z Grobem Pańskim, łacińskie kaplice św. Magdaleny i N. Panny, cerkiew grecka, kościół św. Heleny, Kalwarya.

Rotunda, jak sam wyraz wskazuje, jest to okrągły kościół (w przecięciu 19 m. 30 cent.), zakończony kopułą. Składa się ona nie ze ścian, ale z dwóch galeryi jedna nad drugą; pierwsza znacznie wyższa od drugiej. Galerye te są od strony kościoła otwarte i przedzielone 18 filarami, na których wspiera się kopuła. Od strony zewnętrznej oczywiście ściana jest całkowitą; w dolnej galeryi są mieszkania greckich mnichów; jeden pokój ormiański i kaplica syryjska;

drzwi z tych celi, bardzo niezgrabne i ordynaryjne, wychodzą wprost na kościół. Górna galerya, nie tak wysoka, ale piękna bardzo i szeroka, podzieloną jest między trzy wyznania. Północna jej część należy do katolików i łączy się z klasztorem Franciszkanów. Kopuła jest związana żelazem i pokryta ołowiem, po środku jej znajduje się duże okno, a nad niem wznosi się Krzyż; wewnątrz pomalowaną jest arabeskami i okryta sztukateryą, u podstawy swojej jest ona otoczona trzecią galeryą, której okna tylko wychodzą na kościół. Po samym środku rotundy wznosi się niewielki równoległobok, mający wejście ze wschodu, a od zachodu zakończony okrągło, kryje on w sobie św. Grób Zbawiciela. Zewnątrz kaplica ta jest pokryta miejscowym różowawym kamieniem i ozdobiona 16 pilastrami, u góry obramowana kamienną galeryjką i zakończona niewielką kopułą, wspartą na kolumienkach. Front ozdabiają cztery kręcone kolumny z tegoż kamienia, nade drzwiami obraz Zmartwychwstania (należy do katolików) na fryzie płaskorzeźba; tu palą się trzy lampy, po jednej od każdego z trzech głównych wyznań. Z obydwóch stron przed wejściem stoją ławy, kamienne podobno, na nich 12 dużych świeczników. Wnętrze podzielone na dwie części. Przez drzwi 1 m. 78 c. wysokości wchodzi się do rodzaju przedsionka, zwanego kaplicą Anioła, dlatego, że podług Ewangielii Anioł tu zwiastował niewiastom zmartwychwstanie Pańskie.

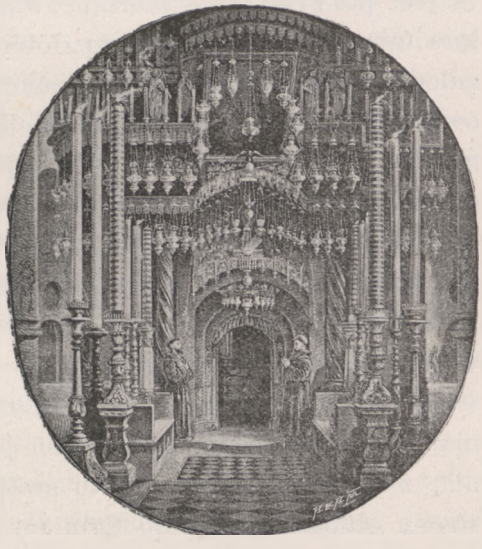

Grób Pański; front.

Kaplica ta ma długości 3 metry 45 centymetrów, a szerokości 2 metry 90 centymetrów, wewnątrz okryta rzeźbionemi tablicami białego marmuru przedzielonemi 12 pilastrami i tyluż kolumnami małemi. W dwóch bocznych ścianach są dwa otwory przez które w Wielką Sobotę duchowieństwo greckie rozdaje t. zw. Święty Ogień. W kaplicy tej znajduje się oprawiony w marmur kawałek kamienia, na

którym siedział Anioł; pali się tu 15 lamp należących do różnych wyznań.

Stąd przez nizki otwór (1 m. 33 ct.) wchodzi się do właściwego Grobu, który jest małą grotą, 2 m. 7 ct. długą, 1 m. 93 c. szeroką. Jest ona cała wyłożona białym marmurem, pokrywającym rodzimą skałę, przed nieroztropną gorliwością pielgrzymów, którzy ją starali się po kawałeczku kruszyć na pamiątkę. Po prawej stronie od wejścia jest ława kamienna, wzniesiona na 65 cent. nad poziom, szeroka prawie na metr (93 c.), długa 1 m. 89 c. To właśnie jest miejsce, na którem ciało Zbawiciela oczekiwało chwili zmartwychwstania. Ława ta jest pokryta płytą marmurową, dlatego nie wiadomo czy jest całkowitą czy też wewnątrz wyżłobioną nakształt sarkofagu. Ponieważ zaledwo parę razy w ciągu wieków była podnoszoną, a świadkowie owocześni o tej kwestyi zamilczeli, więc napewno rozwiązać jej nie można; Liévin wszakże, opierając się na bardzo prawdopodobnych danych, przypuszcza, że jest wyżłobioną, tak że ciało P. Jezusa leżało nie na ławie, ale wewnątrz niej. Ponieważ jest zbyt nizką, by mogła służyć za ołtarz, więc nad nią, na odpowiedniej wysokości, biegnie gzems z miejscowego kamienia, na którym każde wyznanie opiera własną mensę ołtarzową, gdy po kolei odprawia w Grobie nabożeństwo. Predella albo nastawa ołtarza nie jest wspaniałą i nie może nią być, bo ta ciasna przestrzeń jest podzielona między trzy wyznania, z których każde ma tu swój obraz i własne lichtarze. Prawa strona ołtarza należy do Ormian, którzy ją oznaczyli wcale nieszczególnym obrazem Zmartwychwstania; środek do Greków — ci postawili obraz tejże treści, ale jeszcze gorszy; lewa należy do katolików, którzy mają płaskorzeźbę ze srebra, ładną ze względu na wykonanie, ale niekoniecznie bym się na nią zgodził ze względu na ducha. Jestto Zmartwychwstanie w czystym stylu Odrodzenia, które lubiło przedstawiać Zbawiciela nie wychodzącego, ale wyskakującego z Grobu z wielkim impetem i wykonywającego w powietrzu jakąś taneczną figurę, wcale z Jego świętością i Majestatem niezgodną. Sklepienie groty jest przebite, żeby wychodził tędy dym i kopeć 43 lamp palących się w niej nieustannie (13 katolickich, 13 greckich, tyleż ormiańskich, 4 należą do koptów).

Taką jest postać tego miejsca dzisiaj, nie zawsze przecież była

ona jednakową. Wiemy, że pierwiastkowo była tu wszędzie jednolita skała i w niej przez Józefa z Arymatei był wyżłobiony przedsionek i grób właściwy. Św. Helena nietylko kazała wyjąć wszędzie skałę, ale nawet zburzyła przedsionek, tak że pozostał sam Grób św. zupełnie oddzielony; facyata jego była wklęsłą, nakształt absydy, a szczyt był w kształcie piramidy czworokątnej, zakończonej Krzyżem. Krzyżowcy znieśli piramidę i ustawili na wierzchu rodzaj wieżyczki, na której szczycie stał srebrny posąg Chrystusa, więcej niż naturalnej wielkości. Oni też na miejscu dawnego przedsionka, zburzonego przez św. Helenę, zbudowali rodzaj ganku z trzech stron otwartego, a z czwartej złączonego z Grobem, z tylnej zaś strony Grobu postawili ołtarz, który w 1555 r. przeszedł na własność koptów, którzy to miejsce posiadają dotąd i wznieśli tam bardzo niełądną kaplicę, niemało szpecącą i tak niezbyt piękny grobowiec. W r. 1541 kustosz Bonifacy z Raguzy odnowił marmur, którym Grób był wyłożony zewnątrz i wewnątrz (do XII w. skała we środku groty była odkrytą), podniósł także i zmienił płytę marmurową, którą jeszcze św. Helena przykryła była ławę grobową. Znalazł pod nią znaczną część drzewa św. Krzyża i pargamin, na którym można było wyczytać tylko: »Helena Magni«... zawinięte w tkaninę. On także zamurował drzwi boczne w przedsionku albo kaplicy Anioła. W tym stanie trwał Grób św. do 1808 roku, kiedy Grecy zabrali się do jego restauracyi po pożarze. Nie wiele oni zmienili wewnątrz, bo tylko przebili sklepienie w Grobie, zamiast wieżyczki na wierzchu, postawili dzisiejszą kopułkę, w bocznych ścianach kaplicy Anioła porobili otwory i łacińskie w niej napisy zastąpili greckimi. Między Grobem św. a drzwiami greckiej cerkwi, wznosi się na 2 stopnie rodzaj pomostu kamiennego, wyłożonego czarnym i białym marmurem; miejsce to należy do XX. Franciszkanów i służy im za chór, gdy nabożeństwo tu odprawiają. Powiedziałem wyżej, że na północ od Grobu znajduje się katolicka kaplica św. Maryi Magdaleny; nie jest to kaplica we właściwem znaczeniu, lecz część kościoła, niczem od reszty jego nie oddzielona, prawie ciemna. Jest w niej ołtarz tej świętej, a naprzeciwko organy; tam gdzieś także jest pokój dla świeckich katolików, zamykających się na noc w kościele; księżom dają celę w klasztorze. Podług tradycyi w tem miejscu odbyła się rzewna scena

opisana przez św. Jana (r. XX), gdy płaczącej Magdalenie ukazał się zmartwychwstały Zbawiciel, a ona Go wzięła za ogrodnika.

Kaplica łacińska N. Panny oznacza miejsce, gdzie także podług podania ukazał się Zbawiciel N. Pannie, która tu miała prawie cały czas się znajdować, oczekując Jego Zmartwychwstania; tutaj to »swą wielką światłością do matki swej przystąpiwszy, powitał ją pozdrowiwszy — napełnioną bądź słodkości, Matko moja i radości, po onej wielkiej żałości«. Oczywiście nie jest to pewnikiem historycznym, ale wierzyć temu można z łatwością, bo gdzież taka Matka mogła czas oczekiwania lepiej spędzić, jeżeli nie możliwie blizko przy grobie takiego Syna? Tembardziej że miał tu stać niedaleko letni dom Józefa z Arymatei. Do kaplicy wchodzi się wprost z kaplicy św. Magdaleny, drzwi są w ścianie bocznej, dłuższej. Po prawej stronie rodzaj presbyteryum, mieszczącego trzy ołtarze. Pośrodku główny ołtarz Matki Boskiej, na nim cyboryum z N. Sakramentem; po lewej stronie widza zwróconego ku ołtarzowi, mały ołtarz relikwii św., tak zwany dlatego, że do 1537 r. był na nim złożony znaczny odłam Krzyża św. (w tym roku Ormianie go zabrali, korzystając z tego, że wszyscy Franciszkanie byli w więzieniu). Naprzeciwko niego ołtarz kolumny biczowania, której część umieścił tam za żelazną kratą kustosz Bonifacy z Raguzy. Naprzeciwko ołtarzy, pod trzema ścianami idą stalle dla duchowieństwa; w nich Ojcowie odmawiają pacierze kanoniczne. Całą kaplicę oświeca jedno okno w górze nad ołtarzem Matki Boskiej, jest podobno i drugie nad stallami, ale że wychodzi do sali czy do

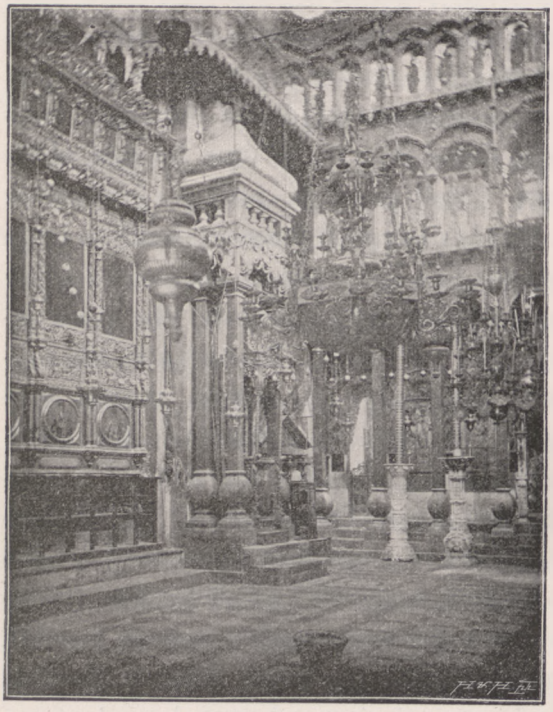

Chór grecki.

oratoryum, więc światła nie przysparza. Niema tu przepychu, ale czysto i porządnie; stale nowe i piękne, ołtarze doskonale utrzymane i jeżeli dobrze pamiętam, ściany i sklepienie niedawno a dość gustownie pomalowane.

Ponieważ mamy opuścić rotundę, więc wspomnę tylko, że w samym środku dolnej galeryi jest biedna i źle utrzymana kaplica Syryjczyków, z której wejście do grobu jakoby Józefa z Arymatei.

Środkową i najpiękniejszą część kościoła Grobu św. zajęli Grecy w 1808 roku i odgrodzili ją wysokim murem; zepsuli przez to całą świątynię, ale sobie dogodzili i wewnątrz urządzili się wspaniale. Po obu stronach pod ścianami wznoszą się stalle dla duchowieństwa, pełne rzeźby i złota, wśród nich dwa trony biskupie; pośrodku absydy stoi ołtarz, a za nim tron dla patryarchy. Ciągle czytałem w opisach tej cerkwi czy kaplicy, że jest ozdobioną z przepychem »barbarzyńskim«, że obrazy są szkaradne. Czy drugi zarzut prawdziwy, nie wiem, bom się im nie przypatrywał, sądzę jednak, że barbarzyństwo ozdobom zarzucają pisarze z Zachodu dlatego tylko, że nie są przyzwyczajeni do stylu bizantyjskiego. Co do mnie przyznaje, że mi się grecka cerkiew wydała jedyną wspaniale ozdobioną częścią świętej bazyliki. Być może, że bliższe rozpatrzenie się wykazałoby niejedną niedokładność stylową, ale na pierwszy rzut oka znalazłem ją bardzo piękną. Trudno przecie, żeby wszędzie był gotyk i renesans. Ciekawością tego miejsca jest wprawiona w posadzkę gwiazda z czarnego marmuru, a pośrodku jej na niewysokim słupku kamienna półkula, mająca podług Greków oznaczać środek ziemi. Legenda ta opiera się na dosłownem tłomaczeniu 12-go wiersza 73-go psalmu: »Bóg król nasz przed wieki sprawił zbawienie pośrodku ziemi«.

We wschodniej ścianie kościoła Grobu jest wejście do podziemnej kaplicy św. Heleny i jeszcze niżej od niej leżącej kaplicy znalezienia św. Krzyża. Prawo i zwyczaj nakazywały żydom niszczyć albo zakopywać narzędzia śmierci winowajców, żeby się kto przez dotknięcie ich nie splamił. Stało się to z krzyżami i innymi przedmiotami użytymi przy wykonaniu wyroku na Chrystusie Panu i dwóch łotrach; wrzucono je do znajdującej się blizko miejsca stracenia cysterny tem spieszniej, że zbliżał się wieczór Paschy, zasypano tem, co było pod ręką, a następnie zarzucano coraz bardziej ziemią i śmieciem. Cho-

ciaż chrześcijanie nie mogli wydostać tych drogich pamiątek, jednak pamięć o nich przechowywała się wiernie w ciągu trzech wieków i gdy św. Helena przybyła do Jerozolimy, wskazano jej odrazu gdzie szukać należało. Jak Krzyż św. wraz z innemi, został znaleziony i poznany, wszystkim wiadomo. Odkryto dwie cysterny, w pierwszej nic nie znaleziono, szukano więc w drugiej, niższej, a gdy ją oczyszczano, św. Helena modliła się w pierwszej. Dlatego ten pierwszy loch czy zagłębienie przerobiono później na kaplicę pod wezwaniem tej świętej, drugą poświęcono oczywiście św. Krzyżowi. Pierwsza początkowo była całkiem podziemną, gdy jednak po najściu Chosroesa, Modest dźwigał nanowo zburzone mury, podniósł ściany tej kaplicy nad powierzchnię ziemi, żeby ją oświetlić oknami znajdującemi się w kopule. Zrujnowana z rozkazu Hakema, została odbudowaną przez Krzyżowców w takim stanie, w jakim ją dzisiaj widzimy. Po 28 starych, szerokich i źle utrzymanych schodach wchodzi się do kaplicy, której tylko mała kopuła, oparta na czterech kolumnach, każda innego porządku, wystaje nad ziemię. Odbiera się tam wrażenie zgrzybiałości jakiejś odwiecznej — wilgoć na ścianach, od sklepień zwieszają się liczne lampy i jaja strusie; w kaplicy należącej do Ormian są

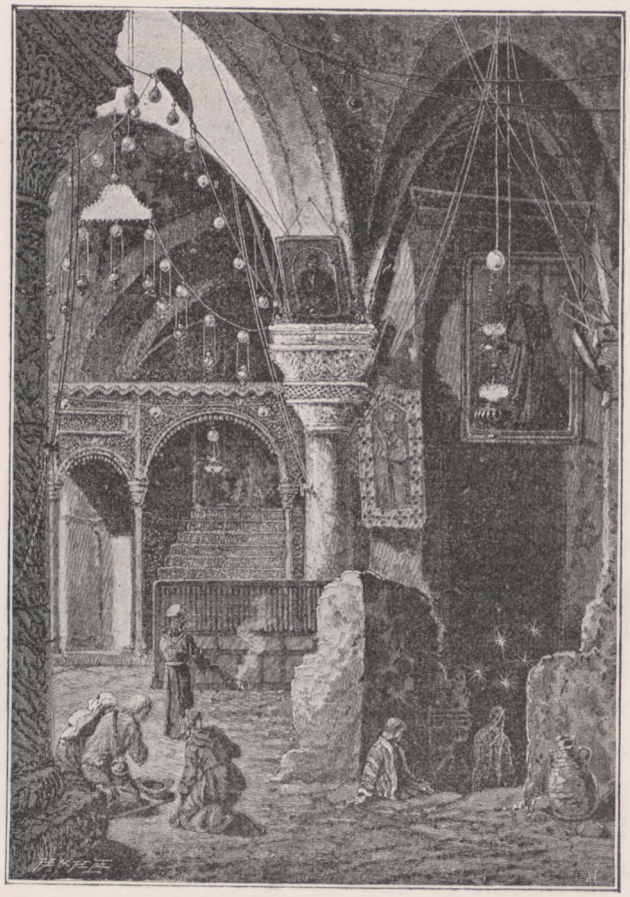

Kaplica św. Heleny.

dwa Ołtarze. Stąd po 13 schodach zstępuje się do niewielkiej katolickiej kaplicy znalezienia św. Krzyża; jest ona zupełnie ciemną i tylko lampy ją oświecają. Jedyny jej ołtarz, podarowany przez arcyksięcia Maksymiliana, późniejszego cesarza Meksyku. Tu co dnia jeden z Ojców Franciszkanów odprawia Mszę świętą.

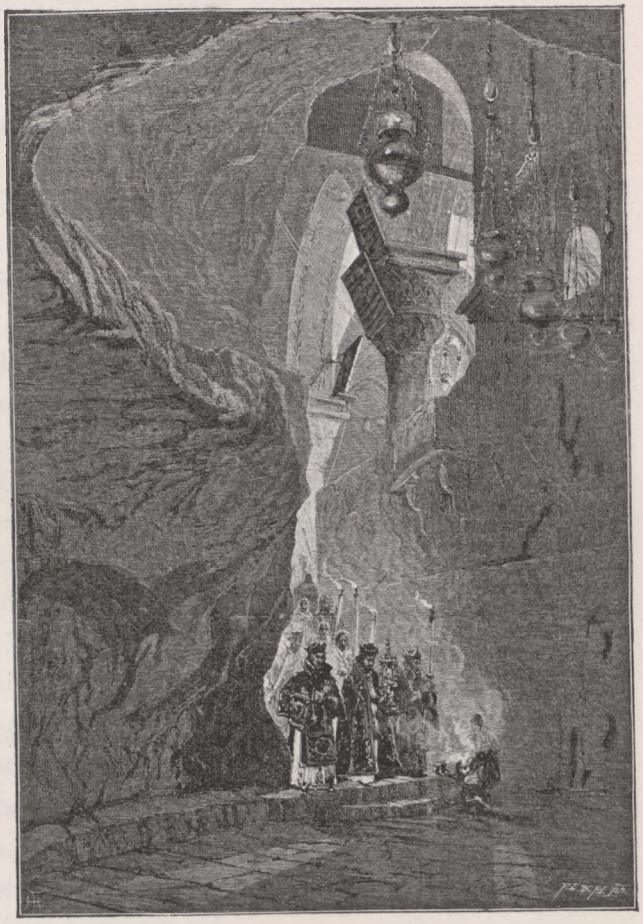

Kaplica znalezienia św. Krzyża.

Teraz wstępujemy na miejsce najświętsze w tym kościele i na świecie całym — na Kalwaryę. Miejsce to wraz z całym kościołem należało do Franciszkanów do połowy XIV. wieku. W 1365 Piotr Lusignan i wielki mistrz kawalerów rodyjskich przedsięwzięli wyprawę na Egipt, zdobyli Aleksandryę i z bogatym łupem powrócili do domu. Sułtan egipski zemścił się za to na Franciszkanach, których wszystkich w całym Egipcie i Syryi kazał wrzucić do więzienia. Gdy po pięciu latach jerozolimscy Ojcowie wyszli z niego, zastali Gruzinów panami głównej części Kalwaryi, tej mianowicie, gdzie Krzyż był wdrążony. Po ośmdziesięcioletnim procesie wyparli wprawdzie przywłaszczycieli, ale nie na długo, bo ci 1512 znowu nią zawładnęli, a łacinnicy kosztem najwyższych ofiar i wysiłków zdołali się zaledwo utrzymać przy drugiej połowie. Gruzini przypuścili do spółki Greków, a po dwóch wiekach musieli im ustąpić miejsca całkowicie. Około połowy bo-

wiem XVII. stulecia basza jerozolimski zażądał od naczelników chrześcijańskich wyznań ogromnego haraczu, pod karą konfiskaty miejsc świętych. Ponieważ Gruzini byli w złych interesach, więc pożyczyli u Greków 7000 cekinów; gdy długo oddać nie mogli, musieli na ich korzyść zrzec się zupełnie pasiadania Kalwaryi. Nowi posiadacze w czasie restauracyi w 1808 przedłużyli ją nieco ku wschodowi, oparłszy posadzkę na przybudowanych filarach. Obecnie na Kalwaryę prowadzą schody z dwóch stron, jedne należą do łacinników, drugie do Greków. Wszedłszy po 18 schodach na wierzch, znajdujemy się w kaplicy długiej 12 kroków i tyleż szerokiej; dwa filary, na których opiera się niewysokie sklepienie dzielą ją na dwie części, komunikujące się trzema łukami utworzonymi przez owe właśnie filary. Prawa kaplica należy do katolików, lewa do Greków. Posadzka w obydwóch wykładana taflami i równa, bo św. Helena kazała ściąć skałę pierwotną, oprócz niewielkiego garbu, w którym tkwił Krzyż Zbawiciela, w katolickiej kaplicy znajduje się miejsce, na którem był On przybity do Krzyża — oznacza je równoległobok z mozaiki. Za nim pod ścianą ołtarz ze złoconej miedzi, na ścianie obraz przedstawiający scenę ukrzyżowania, która się tu odbyła. Bliżej ku wyjściu gwiazda w posadzce wskazuje miejsce, gdzie P. Jezus był z szat obnażony. W południowej ścianie tej kaplicy przez zakratowane okno widać inną kaplicę, także do katolików należącą, a poświęconą N. Pannie Bolesnej. Wejście do niej z dziedzińca. W łuku pod filarem między grecką a łacińską kaplicą, jest ołtarz katolicki N. Panny Współcierpiącej albo Stabat-Mater. Podług podania w tem miejscu wzięła Ona w ramiona zdjęte z Krzyża ciało swego Syna.

Golgota — ołtarze łacińskie.

W greckiej kaplicy jest wypukłość skalista pół metra wysoka, w niej zaś otwór okrągły na stopę szeroki, a łokieć głęboki, w któ-

rym był umieszczony Krzyż Zbawiciela. Otwór ten otoczony srebrną blachą, środek zaś jest otwarty tak, że można weń rękę włożyć. Nad otworem jest ołtarz. Za ołtarzem na ścianie prawie naturalnej wielkości obraz Ukrzyżowania. Nie sposób tu nie wspomnieć o barbarzyństwie Greków, którzy w 1810 r. odbili część skały z otworu i odesłali do Konstantynopola, a powstałą lukę założyli zwyczajnemi kamieniami [1]). Po obydwóch stronach, na 2 prawie metry wstecz znajdują się wgłębienia krzyżów dwóch łotrów, przykryte kręgami z czarnego marmuru. Między otworem Krzyża Chrystusowego i złego łotra widać szczelinę w skale, powstałą wskutek trzęsienia ziemi i rozerwania się góry: można zaś ją widzieć, podniósłszy blachę i kraty srebrne, któremi jest przykryta. Długość jej, o ile może być widzianą, wynosi 1 m. 60 cm., szerokość 15 centymetrów; jak zaś daleko sięga w głąb, niewiadomo, przechodzi jednak przez znajdującą się pod spodem grotę czaszki Adamowej.

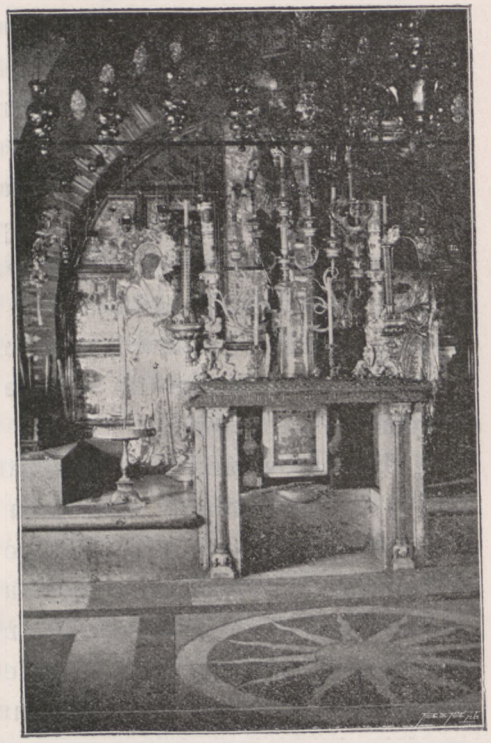

Golgota — ołtarz grecki.

W obydwóch kaplicach jest oczywiście mnóstwo lamp, świeczników, obrazów, ozdób różnych, ale o nich nie mogę nic powiedzieć; trzeba być częstszym i obojętniejszym gościem, by na postronne przedmioty zwrócić uwagę Ja wyniosłem z nielicznych niestety moich na tem miejscu bytności, wrażenie nizkiej kaplicy, licznych świateł, żółtawo-różowawej atmosfery, kadzideł, a nadewszystko modlitwy, która tam zda się zastępuje miejsce powietrza, którą wszystko i wszyscy oddychają.

Pod Golgotą znajduje się grota, w której późniejsza legenda

[1]) Okręt z tą relikwią zatonął.

umieściła kości, w szczególności zaś czaszkę Adama, jakoby przez Noego tam pochowaną; w czasie męki Pańskiej krew z Krzyża przez szparę skalną miała spłynąć na nią i takim sposobem w osobie praroodzica obmyć niejako cały rodzaj ludzki. Myśl piękna, ale zbyt widocznie naciągana i bez żadnych dowodów. Za czasów łacińskich odbywały się w tej grocie nabożeństwa żałobne; tu także byli pochowani pierwsi czterej królowie jerozolimscy; groby ich zniszczyli Grecy w czasie restauracyi 1808 r.

Blizko Golgoty, wprost drzwi wchodowych, najpierwej uderza wzrok wchodzącego Kamień Namaszczenia, zwany tak dlatego, że podług podania, po zdjęciu z Krzyża na nim namaszczano ciało Zbawiciela wonnościami przed złożeniem do Grobu. Jest on dość długi i pokryty taflą czerwonawego marmuru; należy spólnie do katolików, ormian, greków i koptów, — lampy tych czterech wyznań płoną ustawicznie nad kamieniem. Oto jest wszystko w kościele Grobu Pańskiego, co bardziej zasługuje na zanotowanie; mnóstwo szczegółów, kaplic, pamiątek, relikwii, opuszczam, nie chcąc być rozwlekłym, ciekawych zaś odsyłam do »Guide indicateur» Liévin'a albo do pielgrzymki ks. Pelczara.

Już z powyższego lubo bardzo pobieżnego opisu może czytelnik nabyć wyobrażenia o tem, jaka jest mnogość i rozmaitość składowych części tej świątyni, dlatego też, chociaż jest wcale rozległą — bo według ks. Hołowińskiego ma długości 132, a szerokości 45 łokci, podług zaś Wandelbourga 120 metrów długości, a 70 szerokości — nie sprawia artystycznego wrażenia. Przyczynia się do tego może nawet nietyle niejednolitość planu, ile mnogość gospodarzy. Ten odgrodził się od innych murem, tamten drzwiami, ci dobudowali sobie schodki, tamci ambonę, jedni wybili okno, gdzie nie było potrzeba, drudzy zamurowali dwa, choć właśnie były potrzebne; grecy ozdabiają swoje po bizantyńsku, łacinnicy renesansowo; koptowie po afrykańsku, a syryjczycy wcale nie ozdabiają — przytem te kłótnie i spory współposiadaczy! Wiadomo, że gdzie wiele gospodyń, tam chałupa nie zamiatana, tak samo jest i tutaj; porządnie utrzymane są tylko części kościoła należące wyłącznie do greków i łacinników. To też ogół świątyni musi wcale nieszczególnie, smutno nawet się przedstawiać. Ludzie nie wierzący, szukający tu wrażeń wyłącznie artystycznych,

będąc do religijnych niezdolnymi, srodze się skarżą na wszystko co widzą; dla nas, wierzących, jest trochę inaczej. Zbyt jesteśmy przejęci wrażeniami innego zgoła rodzaju, zbyt zajęci zupełnie czem innem, iżbyśmy mogli całkowitą uwagę zwracać na braki estetyczne, żebyśmy czas mieli przypatrzeć się im dokładnie, tembardziej, że bawimy zwykle parę tygodni zaledwo. Owszem, jak w przedmowie wspomniałem, często bardzo siła religijnego uczucia okrasza swym wdziękiem nawet ten brak gustu lub zaniedbanie; ze mną tego nie było, nic mi się nie wydawało w Jerozolimie piękniejszem, ale też, przynajmniej w kościele Grobu, nic tak bardzo nie raziło — modliłem się, a czasu na rozglądanie się zbyt mało miałem. Raziła mnie jedna tylko rzecz, aczkolwiek w obecnych warunkach konieczna, jednak w istocie bardzo przykra, wstrętna. Powiem o niej później nieco.

Przez zakrystyę franciszkańskiej kaplicy wchodzi się do małego klasztorku, w którym mieści się około dwunastu księży potrzebnych do odprawiania nabożeństwa katolickiego w kościele Grobu. Jest to najosobliwszy klasztor, jaki widzieć można. Ciasny, ciemny, wilgotny, bez żadnego ładu wznosi się wysoko, bo gdzieś aż pod kopułę; schody w nim tak wązkie, że spotkawszy się z kim, trzeba po wojskowemu stawać frontem; o dziedzińcu nawet tembardziej o ogródku jakimś mowy niema, w dodatku jedyne wejście do niego przez kościół. Kiedym wszedł pierwszy raz za furtę, nie mogłem się wydziwić, jak ci ludzie mogą mieszkać w takim klasztorze, przez kogoś z Austryi przyrównywanym do głośnych kazamat na Szpielbergu. Byłem zdziwiony i prawie przestraszony, a z drugiej strony żal mi się zrobiło biednych zakonników, pozbawionych ruchu, powietrza, zostających w najgorszych hygienicznych warunkach. — Jak wy tu wytrzymać możecie, pytam prezydenta (przełożonego), wszak tu tak ciasno? — A ciasno. — I powietrza niema. — A niema. — I wilgoć szkaradna. — I to prawda. — Więc jakże wy tu sobie radę dajecie i wytrzymujecie? — Ha, powiada przełożony, trochę trudno, ale *bisogna far penitenza* (trzeba czynić pokutę). Zamknął mi gębę odrazu. Prawda, pomyślałem, prawda, *bisogna far penitenza*, warto i mnie o tem pomyśleć. Zaprosiłem się więc do nich w blizkim czasie na noc i zamówiłem sobie spowiednika. Jeśli teraz jest w klasztorze ciasno i smutno,

dawniej było jeszcze gorzej, bo nad refektarzem, kuchenką i całą bliższą zakrystyi częścią jego były stajnie tureckie — można sobie wyobrazić jakie przyjemności z takiego sąsiedztwa płynęły. To też kiedy w 1869 r. cesarz Franciszek Józef zwiedzał ten klasztor, był zdjęty litością i powiedział: »W mojem państwie zbrodniarze lepiej mieszkają«. Wyrobił też zniesienie owych stajni, a na ich miejscu jest obecnie taras, na którym zakonnicy mogą jakich 40 kroków spaceru zrobić, gwiazdy i trochę nieba zobaczyć, nie mówiąc już o tem, że wolni są od nieznośnego towarzystwa koni stajennych. To też uwiecznili swoją wdzięczność marmurową tablicą z odpowiednim napisem.

Oprócz katolickich są tu jeszcze ormiańscy i greccy zakonnicy, którzy wszyscy, wraz z kilku duchownymi koptów i syryjczyków, tworzą rodzaj respubliki albo raczej federacyi duchownej, niekoniecznie zgodnej i jednomyślnej, ale jednemi prawami rządzonej. Są one osobliwe i nadzwyczaj dziwne dla ludzi nie znających okoliczności. Źródłem i przyczyną wszystkich tutejszych praw i zwyczajów jest żywa wiara i miłość dla miejsc świętych u różnych wyznań, z których każde pragnęłoby posiąść jeśli nie wszystko, to możliwie najwięcej. Stąd używano najrozmaitszych sposobów dla zabrania jakiegoś miejsca lub pamiątki, a gdy się udało, posuwano się dalej z cierpliwością i wytrwałością niezłamaną wiekowem wyczekiwaniem. Kupowano, zabierano przemocą, procesowano; przychodziło nieraz do bójek i krwi przelewu; to też w ciągu wieków kościół i różne jego części tyle razy zmieniały właścicieli i tytuły własności, że trzebaby nielada prawnika, by osądził, kto właściwie do czego ma prawo. Wskutek więc takiego, nigdy nie zmieniającego się usposobienia współlokatorów, każdy z niesłychaną zazdrością i podejrzliwością strzeże swego, a pilnuje i podpatruje sąsiada; dlatego prawami i firmanami sułtańskimi oznaczona tu kolej i trwanie nabożeństwa, własność każdego kawałka kamienia, miejsce, w jakiem może być gwóźdź wbity, ilość lamp, obrazów, lichtarzy. Odstąpić od tego nie wolno na włos. Własnem doświadczeniem stwierdziłem rygor tutejszych zwyczajów. Proponowałem sobie ostatnią Mszę moją odprawić na Kalwaryi w katolickiej kaplicy; zakonnicy zapewniali mnie, że będę to mógł bez żadnej trudności uczynić. Miałem wyjechać w Sobotę, więc w Piątek o siódmej byłem już w kościele Grobu, gdzie odprawiała

się Suma. Niestety, Franciszkanie zapomnieli mnie uprzedzić, że właśnie Piątek jest dniem wyjątkowym; wtenczas bowiem zaraz po łacińskiej Sumie każde wyznanie z kolei zmywa posadzkę na Kalwaryi, a potem odbywa się jakieś greckie nabożeństwo. Zmartwiony, nastawałem, czekałem, prosiłem — nic nie pomogło. Bernardyni (bo był to łaciński Piątek) poszli obmywać Kalwaryę, a ja ze smutkiem udałem się do kaplicy Biczowania.

Ktoby chciał koniecznie postawić na swojem, mógłby źle wyjść na tem; opowiadano mi, że jakiś ksiądz francuski uparł się pójść ze Mszą na Kalwaryę, kiedy grecy odprawiali tam nabożeństwo w swej kaplicy. Trzeba zaś wiedzieć, że wśród innych praw obowiązuje i to, że jeżeli w jakiej części kościoła modli się jedno wyznanie, wyznawcy innych nie mają prawa tam wchodzić. Jest to bardzo mądrze postanowione, gdyż inaczej rodziłyby się, jak już nieraz było, szykany, kłótnie i bójki. Ów ksiądz francuski nie chciał tego uznać. »Jakto, powiadał, żebym ja nie mógł odprawić Mszy w mojej katolickiej kaplicy, dlatego, że grecy obok się modlą — dajcie mi ornat«. Ubrał się i poszedł — nie przeszło trzech minut wraca z nosem na kwintę. A cóż to Mr. l'abbé, pytają z uśmiechem zakrystyanie, tak prędko Mszę odprawił? — A bo, odpowiada, Grecy wzięli mnie poprostu za kołnierz i za drzwi wyprowadzili. — Nie zawsze na tem się tylko kończyło. Przed kilkudziesięciu laty np. grecy nie chcieli pozwolić łacinnikom wejść w Wielki Piątek ze zwykłą procesyą na Kalwaryę i ku zgorszeniu całego świata na miejscu śmierci Zbawiciela rozpoczęła się bójka na noże między Jego wyznawcami; dopiero basza jerozolimski wpadłszy co tchu z wojskiem, bagnetami wyrzucił greków i pozwolił katolikom dokończyć procesyi.

To też wszystkie wyznania boją się najmniejszej okoliczności, która mogłaby być iskrą na proch rzuconą, boją się jeszcze więcej Turcy, mający po każdej podobnej awanturze tysiąc przykrości i kłopotów. Dlatego ostrożności są posunięte napozór do śmieszności i przesady. Jedną z nich jest straż turecka przy drzwiach kościoła, którego klucze są w jej ręku. W czasie panowania egipskiego Izmael basza oddawał je chrześcijanom, ale oni sami nie chcieli ich brać, wiedząc, że byłby to właściwie powód do nieustannej wojny; zostawiono je w ręku niewiernych wprawdzie, ale za to neutralnych.

Innym rodzajem ostrożności jest najściślejsza kontrola nad mieszkańcami przykościelnych klasztorów; zapewne z bojaźni, żeby przez tylne drzwi klasztoru nie znikły jakie pamiątki, relikwie, albo przedmioty należące do rywalów, żeby tą drogą nie dostały się jakie siły zbrojne, nie czyniono wrogich zasadzek, niema innego wejścia do do wszystkich klasztorów, jak przez jedyne drzwi kościelne pod okiem straży tureckiej. Pilnują tego wszyscy bardzo ściśle i kiedy na krótko przed moim przyjazdem dowiedziano się, że grecy zrobili w swym klasztorze okienko, którem podawano im jedzenie z ulicy, łacinnicy zaraz zaprotestowali i otwór kazano zamurować. Przez ostrożność także zapewne o 6-tej wieczorem drzwi się zamykają i nikt ani wpuszczanym, ani wypuszczanym być nie może. Odmykają podwoje dopiero zrana około 6-tej; kto więc chce być na nabożeństwach nocnych, musi się zamknąć w kościele. Konieczność nocowania w kościele tylu ludzi, zmusiła do urządzenia w nim niedaleko od św. Grobu miejsc pewnych, szerzących zwłaszcza pod wieczór, nieznośny fetor po całej świątyni. Do tej nędzy najtrudniej się przyzwyczaić.

Nabożeństwa różnych wyznań następują po sobie podług stałej kolei, gdy jednak które z nich ma uroczyste święto lub obchód, przełożony porozumiewa się ze starszyzną dwóch innych i ci zawsze ustępują. Pod tym względem z uwagi na własny interes panuje przykładna zgoda.

Święta i uroczystości, zwłaszcza wielkanocne, mają specyalny ceremoniał — ja byłem w czasie zwyczajnym, więc też o codziennym tylko wspomnę porządku. Około godziny 12-tej w nocy OO. Franciszkanie zaczynają w swej kaplicy jutrznię i inne modlitwy, trwające do godziny 2-ej;[1]) tymczasem u Grobu Pańskiego odprawiają nabożeństwo swe grecy, a po nich ormianie. Około czwartej zrana następuje kolej łacinników, którzy mają prawo do trzech Mszy cichych. O szóstej odmawiają zakonnicy w kaplicy M. Boskiej pacierze kanoniczne prymę i tercyę, poczem u Grobu wychodzi Msza św. śpiewana (w Piątek na Kalwaryi). O 10-ej następuje sexta i nona, o pierwszej popołudniu nieszpory, o czwartej kompleta, a zaraz po niej procesya obchodzi codziennie wszystkie miejsca święte, znajdujące się w ko-

[1]) Podług ks. Pelczara.

ściele, przy odmawianiu i śpiewie odpowiednich hymnów z zapalonemi świecami. I ja odbyłem taką procesyę w Niedzielę 14 Października. Rozpoczęliśmy ją w kaplicy N. Panny, przed ołtarzem kolumny Biczowania; zebrało się nas duchownych ze 30-tu, świeckich i zakonników, w różnych jak zwykle tutaj sukniach, była też spora garstka wiernych. Odwiedzaliśmy kolejno kaplice: więzienia P. Jezusa, Rozdzielania szat, św. Heleny, znalezienia św. Krzyża; idąc odmawialiśmy hymny specyalnie do tej procesyi ułożone, z książeczek przez braciszka rozdawanych. Po przyjściu na miejsce wszyscy klękali, kapłan w kapie okadzał je, a potem odmawiał krótką modlitwę, następnie wstawaliśmy i co prędzej szli dalej. Mówię co prędzej, bo jedną z licznych nieprzyjemności wspólnego gospodarstwa wielu w jednym domu, jest ustawiczny pośpiech we wszystkiem; ciągle się tu słyszy: v i t e, v i t e — p r e s t o, p r e s t o. Chciałem się modlić, hymny były piękne, chciałem je odmawiać, a tu wszyscy biegną jak do pożaru, a tu posadzka nierówna i popsuta, trzeba patrzeć pod nogi; szczególnie trudno było schodzić do groty św. Heleny, po 28 schodach zakręconych, starych a wysokich. Stamtąd zeszliśmy jeszcze niżej, do kaplicy znalezienia św. Krzyża. Zaledwośmy wyszli, ormianie, którzy tego tylko czekali, rozpoczęli zaraz swe nabożeństwo w należącej do nich kaplicy, a śpiewy ich nieraz nam przeszkadzały. Dotąd hymny odmawialiśmy, teraz gdyśmy się zbliżyli do Kalwaryi, jeden z zakonników zaintonował V e x i l l a R e g i s, chór dalej podchwycił i jeśli dotąd szedłem skupiony i wzruszony, to ten śpiew porwał mnie i owładnął całkowicie. Jak bo oni śpiewali! Na szczęście nie było z nami utrapionych chłopaków syryjskich, tylko sami zakonnicy włosi i hiszpanie; inaczej brzmiało powietrze, inaczej drżały struny głosowe i z ust ich płynęła męska, poważna harmonia, od której serce wstępujących na Kalwaryę topniało jak wosk przy ogniu. Gdym był dzieckiem, bajały mi niańki, że gdyby kto ręką wziął za serce człowieka umarłego, toby mógł poruszać dowolnie całem ciałem jego; podobnie od pierwszych dźwięków tego hymu (melodya zgoła inna niż u nas), uczułem, że jakaś ręka ujęła mnie za serce, pod jej dotknięciem nietylko krew i nerwy ale jak mówi psalmista: »zatrzęsły się wszystkie kości moje«. Kilkanaście kroków i stanęliśmy na Kalwaryi. Widzę dotąd tę chwilę. Nizkie sklepienia kaplicy oświetliły

się blaskiem lamp i świec mnogich, celebrans okadzał miejsce przybicia do Krzyża, wokoło klęczał tłum zmięszany księży i świeckich, rozmodlony i wzruszony — powietrze przesiąkło kadzidłem, modliwą i łzami, a nad tem wszystkiem unosił się majestatyczny, harmonijny śpiew o miłości i chwale Krzyża i zabitego na nim Żywota:

Quae vulnerata lancea
Mucrone diro criminum,
Ut nos lavaret sordibus,
Manavit unda et sanguine.

Który zraniony włócznią
Okrutnem ostrzem grzechów,
By nas obmył ze zmazy,
Krwią spłynął i wodą.

Czuliśmy wszyscy w tej chwili, że On znowu, jak przed wiekami, był na tem miejscu, że stał wśród nas, ale już nie słuchał szydzeń ni urągań, bo Go otaczali wierni i miłujący. Pod filarem środkowym klęczał przychodzień z daleka i słyszał, jak w wiersze kościelnego hymnu wplątały się słowa przed laty zgasłego serca:

Albo Ty myślisz, o Ty wiecznie żywy,
Że Ciebie kocham za przyszłe nagrody,
Za obiecane w królestwie Twem gody,
Za palmy, harfy i cuda i dziwy...
Ja Ciebie kocham, żeś był nieszczęśliwy!
Że przebolałeś to wszystko, co boli,
Że zniosłeś wszystko, co tylko poniża,
Ty Bóg, w kajdanach cielesnej niewoli...

Pielgrzym klęczał i słuchał i zdało mu się, że klęczałby tak i słuchał: — »godziny, dni, lata — do końca świata i po końcu świata«.

Po odprawieniu następnej stacyi w kaplicy greckiej, zaczęliśmy schodzić z Golgoty, zakonnicy zanucili hymn, ale nie smutku i żałoby, lecz tryumfu. Szliśmy do kamienia Namaszczenia drogą, którą niesiono ciało Zbawiciela; w śpiewie coraz wyraźniej brzmiała nuta nadziei i zwycięstwa — wzmocniła się ona jeszcze, gdyśmy dochodzili do Grobu. Tak, myślałem sobie, tak być powinno — nie szliśmy przecie śladem ciała zabitego niesprawiedliwie i niepomszczonego —

z ostatniem uderzeniem serca skończyło się cierpienie, za trzy dni nastąpi zmartwychwstanie i tryumf bez końca, z ostatniem uderzeniem serca dług został spłacony i śmierć przez śmierć zwyciężoną. Słuszna więc radość i tryumf. To też podziwiałem umiejętność autora słów i melodyi. Nuta prosta, śpiew unisono, ale takiego tonu zwycięstwa, takiej pewności, jaka tryskała ze śpiewu kilkudziesięciu męskich, zgodnych i pięknych głosów, nie słyszałem — chyba jedno »Wesoły nam dziś dzień nastał« można obok umieścić. Od Grobu św. przeszliśmy do niedalekiej kaplicy św. Magdaleny. Ponieważ miejsca było dosyć, więc księża sformowali się w dwa długie szeregi; zmrok tu już był szary, rozjaśniony tylko świecami procesyi, tajemniczo majaczyły klęczące, brodate postacie zakonne w różnych habitach, rozchodził się zapach delikatnego kadzidła i rozlegał się hymn opiewający miłość Magdaleny — śliczne słowa i śliczna melodya.

Na zakończenie weszliśmy do kaplicy N. Panny; tu znowu pieśń radośna i rzewna z okrzykami Alleluja, i nic dziwnego. Wszak na tem miejscu Syn w chwale zmartwychwstania ukazał się Matce zbolałej, a Ona rzuciła się ku Niemu z okrzykiem radości: »Witajże Jezu najsłodszy — Synaczku mój najmilejszy;« W tem miejscu, które oto kapłan obecnie okadza, Ona, Najświętsza: »Łaskawie z nim rozmawiała — Usta jego całowała — W radości się z Nim rozstała« — któżby tu się nie cieszył i ktoby nie rozrzewnił?

Potem nastąpiły długie modlitwy, błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem i śpiewy, którym zakonnik akompaniował na fisharmonii. Pod koniec nabożeństwa odmawiano sześć Ojcze nasz i Zdrowaś Marya, przyczem wszyscy księża i prawie wszyscy świeccy modlili się z rozkrzyżowanemi rękoma, według dawnego zwyczaju Kościoła. Słońce już zachodziło i kaplicę coraz bardziej zapełniał mrok jakiś mistyczny, na ołtarzu, wokoło N. Sakramentu jaśniały liczne świece i pięć lamp płonęło u góry; wierni zapełnili cały środek, nad nimi w stalach duchowieństwo, — i wszyscy z rozłożonemi rękami modlą się: »przyjdź królestwo Twoje«. Przez jedyne okno nad ołtarzem, żółtawe promienie, nie wiem skąd odbitego światła, spadają na ten tłum klęczący i pochylony, przedzierają się przez obłok kadzideł, rozpraszają i nikną w środowisku nie z tego świata. W tem rozmodlonem i rozkrzyżowanem mnóstwie było jakieś takie potężne bła-

ganie, tak tu wszystko nabrzmiało płaczem i modlitwą, że nietylko ludzie, ale zdawało się nawet kamienie i światło i powietrze i wszystko co było w kościele wołało i jęczało: — zmiłuj się Panie, wysłuchaj i przebacz!

Skończyło się nabożeństwo, strażnik turecki, dzwoniąc kluczami, ostrzegał, że kościół wnet zamknie — wychodziliśmy powoli. I znowu otoczyła mnie powszedniość i nędza życia, znowu spotykałem handlarzy i turystów, słyszałem śmiechy i zwykłe gawędy, lecz dusza, niby rozkołysane fale, uspokoić się nie mogła, i kiedym w noc księżycową, na tarasie Casa-nuova, patrzył samotny na gwiazdy i niebo, kamienie odwiecznych ruin, prochy królów, kości proroków i łzy milionów wołały dokoła: — zmiłuj się, przebacz, zapomnij!

Każdy pielgrzym będąc w Jerozolimie, pragnie przyjąć Komunię w Grobie Chrystutowym, jeżeli zaś jest kapłanem, to Mszę św. w nim odprawić, dlatego jednak musi zamknąć się w kościele na całą noc. Zapowiedziałem był w klasztorku, że będę u nich gościem w tym celu, a otrzymawszy potrzebne polecenie do prezydenta od sekretaryatu klasztoru N. Zbawiciela, stawiłem się u nich o 6-ej wieczorem 22 października. Przyszedłem w czasie rekreacyi i zastałem przełożonego (prezydenta) z kilku zakonnikami na dolnym korytarzu. Powitał mnie jako znajomego, a przypomniawszy, com pierwej mówił o ich smutnem mieszkaniu, żartował: »a co, wpadła mysz w pułapkę, teraz nie puścimy kanonika aż do jutra«. Stanęło na tem, żebym się udał do kaplicy N. Panny, gdy Ojcowie pójdą na różaniec, a potem przyjdzie do mnie wyznaczony spowiednik. Tak się też stało. Rychło dano znak dzwonkiem, zakonnicy udali się na górę, ja zaś do znanej nam kaplicy. Długie to i wysokie oratoryum napełniały ciemności, rozświetlane tylko pięciu oliwnemi lampami, spuszczającemi się ze sklepienia. Drzwi od kościoła zostały zamknięte i byłem zupełnie samotny, tylko przed ołtarzem klęczał zakonnik, nieruchomy jak posąg z kamienia, ale i ten wyszedł po kwadransie. W samotności i ciszy, o kilka kroków od świętego Grobu, prawie u stóp Kalwaryi, nadeszły dla mnie na zawsze pamiętne chwile modlitwy i skupienia. Nie była to jednak cisza zupełna. Na górze gdzieś w sąsiedztwie odmawiano różaniec i przez cienką ścianę słychać było stłumiony odgłos licznych głosów męskich. Po chwili z oddali zaczął

dochodzić mnie śpiew łagodny — płynął jakby gdzieś z góry w cudownych akordach, w których prym trzymało przeczyste soprano, grające niby skrzypce anielskie. To modlono się na Kalwaryi. Śpiew płynął i modlił się, a w tej ciszy i mroku zdawać się mogło, że to duchy skrzydlate, korzystając z nocy, zleciały się i płaczą wokoło samotnego Krzyża na Kalwaryi. Trzebaż bo dodawać, że kiedy się jest w kościele Grobu, to skała Golgoty nigdy nie jest pustą; On na niej jest zawsze dla pielgrzyma obecnym. I teraz, zamknięty w kaplicy osobnej, jam Go jednak tam dojrzał takim, jakim przed kilku laty widziałem na obrazie w Monachium. Tylko co skonał i głowę boskiej piękności opuścił na piersi — a w tej chwili zerwała się straszna burza na niebie i ziemi, skłębione chmury krwawem tylko pasmem oddzielone na zachodzie, pędzą gdzieś gwałtownie, wicher szarpie białą przepaskę Zbawiciela, a z pod stóp Krzyża powstał skręcony słup piasku i z wiatrem poleciał w dal ciemną — dokoła niema nikogo, tylko On blady, samotny między niebem i ziemią. Teraz jednak nie był on opuszczonym, owszem modlitwa była wszędzie, a głosy brzmiące w górze, niby huk fal dalekich i chorał płynący z Kalwaryi, nakształt cichego wiatru w dąbrowie, były dla mnie uprzytomnieniem modlitwy milionów, które z bliska i z daleka przez wieki całe wyciągały ręce ku tej skale i temu Krzyżowi wołając:

Salve Jesu, Dux sanctorum,
Salus, vita filiorum,
Tua quos, o Vir dolorum
Gignit mors et charitas!

Witaj Jezu, Wodzu Świętych,
Życie i zbawienie synów,
Których Twa, Mężu boleści,
Śmierć rodzi i miłość!

Drzwi cicho się otwarły i stanął w nich mój spowiednik.

Ponieważ o czwartej miałem wyjść ze Mszą, więc trzeba było wcześnie pomyśleć o odpoczynku, jakoż około godziny 9-ej znalazłem się w przeznaczonej mi celi. Była to ta sama, w której przed 50 z górą laty mieszkał ks. Hołowiński; poznałem ją po wspomnianej

przez niego szczególności, że miała pięć ścian, jedna bowiem była złamaną i kątem otwartym wchodziła do środka. Rozglądałem się w mej stancyjce samotnie — nawet okna w niej nie było, tylko dwie szybki nade drzwiami. Wyszedłem na jakąś galeryjkę — cicho, pusto, zakonnicy śpią, tylko z pomiędzy budynków i przybudówek dojrzałem parę gwiazd wysoko na ciemnym lazurze. Położyłem się, ale trudno było zasnąć w takich okolicznościach; w dodatku gdzieś obok były dwa zegary z dziwną akuratnością wymierzające czas i przypominające, że ucieka — niedość bowiem, że sumiennie wydzwaniały kwadranse, ale jeszcze za każdym razem powtarzały minioną godzinę, a że to było po 9-ej, a zegary biły po kolei, więc takie miałem dzwonienie, że nie wiem jakby było ze spaniem, gdyby jakaś litościwa ręka nie przeniosła ich wkrótce, czy nie zatrzymała.

Chociaż braciszek miał do mnie zapukać, gdy nadejdzie pora jednak pobudzone nerwy nie dały mi długo odpoczywać. Obudziłem się o pierwszej; tylna ściana mej celi była zarazem ścianą rotundy, a że miała otwór do kościoła, podwójną tylko okiennicą zamknięty więc dochodziły mnie stamtąd przytłumione śpiewy i modlitwy. Wziąłem świecę i szczęśliwie trafiłem na wąziutki korytarz, prowadzący na drugą galeryę. Dziwny z niej przedstawił mi się widok. Cały kościół ciemny, przedemną w dole szarzał Grób Pański, którego front jaśniał od licznych świec i lamp; w ich świetle pode drzwiami greckiej kaplicy stało grono rosyjskich pielgrzymów, zakonników i zakonnic, i śpiewali spokojnie, zgodnie, beznamiętnie. Z wysokości na jakiej stałem, nie mogłem dokładnie słyszeć słowiańskiego tekstu, dolatywały mnie tylko raz poraz wyrazy: — zmartwychwstanie, tryumf, zwycięstwo. Tak świat przechodzi i mija, państwa powstają i giną, rodzą się i starzeją narody, a przy tej grobowej skale brzmi bez ustanku pieśń tryumfu nad piekłem i śmiercią, w dzień i w nocy zmieniają się tu narody, spełniając proroctwo: »onego dnia korzeń Jesse, który stoi na znak narodów, jemu się narodowie modlić będą i będzie grób jego sławny« [1]).

Chór zakończył modlitwy znaną mi antyfoną: »Chrystus zmartwychwstał, śmierć śmiercią zdeptawszy, żywotem nas wiecznym ob-

[1]) Isaj. XI. 10.

darzywszy«. Gdym po godzinie znowu wyszedł na galeryę, celebrowali ormianie, czysty ale niemłody już głos zawodził nosową, tęskną melodyę. Około czwartej przyszła kolej na mnie; braciszkowie wyprawiali mnie z zakrystyi presto, presto, ale gdym się znalazł w Grobie Pańskim nie dbałem już o nic i nikogo. Pan Bóg łaskaw na sługę swego, udzielił mu tam takiego błogiego spokoju, jakiego nigdy i nigdzie nie doświadczał, i wyniósł on z Grobu Zbawiciela jedno tylko życzenie, by taki spokój był w jego sercu, gdy trzeba będzie do własnego grobu zstępować. Gdyby przełożony klasztoru czytał to pragnienie, powiedziałby pewno: »może to być, może, ale — *bisogna far penitenza*“.

ROZDZIAŁ V.

Po za murami Jerozolimy.

Bardzo niedawno jeszcze, przed laty 40 naprzykład, Jerozolima cała znajdowała się w obrębie swoich murów; obecnie miasto rozrosło się tak, że za murami jest jego przynajmniej dwa razy tyle, co wewnątrz ich. Czy do takiego wzrostu wiele przyczyniła się kolej żelazna, nie wiem; w każdym razie egzystuje ona zbyt krótko, żeby jej tylko samej cały ten ruch można było przypisać. Najpierwej powstały, w stronie północno-zachodniej, na wzgórzu, gdzie miały stać główne siły Sennacheryba, zabudowania rosyjskie. Zajmują one ogromną przestrzeń otoczoną wysokim murem; wewnątrz są dwa obszerne szpitale, jeden dla kobiet, drugi dla mężczyzn, między nimi zaś dość duża cerkiew; naprzeciwko konsulat i jakieś inne budynki, których nie zwiedzałem. Po środku plac pusty. Zabudowania powyższe powstały między 1860 a 1864 rokiem i długo stały samotne; od lat piętnastu zaczęło im przybywać coraz więcej towarzyszy, dziś stanowią już tylko małą cząstkę sporego dosyć miasta, które dokoła powstało. Oczywiście jest ono budowane zupełnie inaczej niż stare miasto. Ulice szerokie i brukowane, porządne chodniki, domy europejskie, tylko bez dachów, słowem to, co niektórzy nazywają »nudnem europejskiem miastem«, a co mnie wydaje się daleko więcej zajmującem, niż azyatycko-egipsko-tureckie śmietniska.

Nowe miasto zwiedzałem bardzo pobieżnie, bo bawiąc tylko dwa tygodnie w Jerozolimie, zajęty byłem pamiątkami religijnemi i history-

cznemi, a tych w nowem mieście niema, albo mało, więc też opisywać go nie będę i nie mogę. Wspomnę tylko, że tam teraz mieszczą się wszystkie nowe klasztory, szpitale, hotele, zakłady. Tak np. niedaleko od bramy Nowej XX. Augustyanie z Francyi wznieśli ogromny swój dom dla pielgrzymów i kościół; przy dawnej drodze do Napluzy osiedli Dominikanie; za ruskiemi zabudowaniami niemiecka szkoła, arabski protestancki zbór; jeszcze dalej na północ Abisyńczycy wznieśli niedawno swój, widny z daleka, kościół, mający być dokładną kopią rotundy Grobu Pańskiego. Mówiono mi, że najwięcej i największych domów należy do bogatych żydów, którzy teraz stanowią więcej niż połowę ludności. Spotyka się też tu częściej niż w śródmieściu zieloność; niedaleko od bramy damasceńskiej jest spory ogród oliwny; przed konsulatami francuskim i ruskim jest nawet niewielki ogród municypalny, ogrodzony pięknemi żelaznemi sztachetami; grywa tam nawet wojskowa muzyka i jedyną wadą jego jest to, że drzew w nim niema, bo tych kilkadziesiąt prętów, które sterczą, w żaden sposób tak jeszcze nazwać nie można. Oczywiście, jeśli nie uschną i nie zostaną połamane, będzie kiedyś lepiej. Widziałem także tu i owdzie małe ogródki, kilka drzewek przy nowym domu, a i to już jest coś wśród kamieni i grubej warstwy pyłu. Nie będę się jednak nad tem rozwodził i dodawszy, że miasto rozszerzyło się tylko ku północy i zachodowi (bo z innych stron nie mogło) przechodzę do opowiadania tego, com widział *extra muros*, a co ma znaczenie archeologiczne lub religijne.

Po obiedzie jednego z pierwszych dni mojego pobytu wybraliśmy się na wycieczkę zamiejską do grobów sędziów i królewskich. Dając ogólne pojęcie o topografii Jerozolimy, powiedziałem, że dolina Jozafata zaczyna się w północno-zachodniej stronie, ciągnie się parę kilometrów jako szeroki rozdół i dopiero przy mieście samem pogłębia się, zwęża i załamuje w kierunku południowym; otóż groby sędziów znajdują się na początku doliny Jozafata. Sprowadzono nam kilka osiołków — na jednym z nich miałem pierwszy raz próbować moich zdolności, bom dotąd nigdy nietylko konno ale ani na osiołku nie jeździł. Powsiadaliśmy i ruszyli drobnym oślim truchtem; wkrótce znaleźliśmy się za miastem wśród okolicy, nad którą jakby anioł śmierci i zniszczenia przeleciał. Domy zniknęły i spuszczaliśmy się

do szerokiej doliny okolonej zewsząd niewysokiemi, wypalonemi do cna, brunatno-szaremi skałami; koło nas groby i ruiny. Mogło się zdawać, że trzęsienie ziemi poobalało te budowania i pomniki, z których pozostawały tylko lada jakie ułamki, sterczały połacie murów, a kamienie większe i mniejsze literalnie zaścielały ziemię. Podziwiałem mądrość mego osiołka, który małemi kopytkami umiał wyszukać miejsce wśród tego rumowiska dla swej niewielkiej nogi; to znowu, gdy trzeba było spuszczać się na złamanie karku po urwiskach i głazach, czułem jak się umacniał na przednich nogach, tak że nie było czego się obawiać, chyba tego tylko, by przy raptownem zapadnięciu przodu, nie zjechać biednemu kłapouchowi na szyję, a potem przez głowę na ziemię. Jadąc bez zbytnego pośpiechu, rozglądałem się ciekawie po szczególnej krainie, tak niezmiernie różnej od tego, com przed kilku tygodniami opuścił; prawdę mówiąc, przypatrywałem się i naszej niewielkiej karawanie; na Wschodzie była ona rzeczą arcyzwyczajną, ale u nas byłaby pełnem sensacyi zjawiskiem. Jechaliśmy gęsiego; poprzedzał nas obcy jakiś arab na dromedarze, widocznie głodnym czy chorym, bo bez ustanku mruczał, ryczał i gniewał się; za nim jechał na osiołku brodaty i bosy braciszek Bernardyn, nasz przewodnik, dalej dwie damy, podtrzymywane na szkaradnej drodze każda przez jednego mukra — wiaterek łagodny wydymał ich ogromne białe zasłony i wydawało się, że to dwie łodzie żaglowe szybują po dolinie śmierci. Na końcu jechałem ja, popędzając leniwego osła piętami, ubrany już jak księża zachodni, a przytem z brodą i wąsami, które zapuściłem, jak duchowni wszystkich wyznań i obrządków na Wschodzie. Nie mogłem wstrzymać się od uśmiechu na myśl, jakby się zaroiły ulice naszego spokojnego Ż-rza, gdybyśmy tak po nich przeciągnęli w tych strojach i w tym samym porządku. Co kraj to obyczaj. Przyjechaliśmy wreszcie; przez bramę skalną wchodzi się na niewielki dziedziniec (9 metrów), niegdyś sklepiony, dziś otwarty. Do grobów prowadzą drzwi wykute w skale, nad któremi dotąd widać rzeźbione ozdoby; pierwej wchodzi się do niewielkiego przedsionka, a potem do właściwej izby grobowej (około 6 metrów długości a 7 szerokości). W sieniach jej liczne nisze dla ciał, podobne do pieców, w których chleb się piecze. Z dwóch stron są drzwi bardzo nizkie do dwóch komnat grobowych, pod

któremi są znowu inne dwie, stanowiące niby dolne piętro. Wszystkie są w skale kute i mają w ścianach takież same nisze, zwane po francusku *„four à cercueil“*. Nazwa grobu Sędziów (Kubur-el-Kodah) wprowadzała w błąd niejednego i prawie wszyscy podróżnicy uważali sobie za obowiązek tłómaczyć, że nie mogli tu być w żaden sposób chowani sędziowie, którzy rządzili Izraelem przed wprowadzeniem formy rządu monarchicznej; obecnie trudność zdaje się rozwiązaną, bo wszyscy zgadzają się na to, że jaskinie te służyły za cmentarz dla sędziów Sanhedrynu. Dziś niema w nich śladu nawet jakichbądź popiołów i pamiątek, groby zupełnie puste i czasami tylko służą za schronienie dla bydła. W tej formie grobów skalnych, nie pamiętam już jednak czy tutaj lub też w grobach królewskich, zauważyłem jedną szczególność. Pośrodku dolnej ściany onej niszy grobowej widziałem dość szerokie, przez całą długość wgłębienie; służyło ono do zsypywania kości, które już się zupełnie rozłożyły i rozsypały; nieboszczyk zajmujący pierwej całą niszę, zstępował do owego wyżłobienia, a nad nim kładziono nowego nieboszczyka. Nim się ten podobnie spopielił, leżące pod nim prochy już się może zupełnie rozwiewały, i tak w grobach jedni drugim ustępowali miejsca, jak ustępują na ziemi.

Może spodziewałem się coś więcej zobaczyć, dość że te groby nie zrobiły na mnie wrażenia — dopiero królewskie (Kubur-el-Moluk) odpowiedziały oczekiwaniom, a nawet je przeszły. Są wykute blizko bramy damasceńskiej nie w skale wznoszącej się nad ziemią, ale w samym gruncie skalistym; są więc dwoma wielkiemi wydrążeniami lub jamami (jeśli tak nazwać można) w równej powierzchni. Najpierwej więc po 25 wielkich schodach, szerokich na 10 metrów (tj. prawie 5 sążni) schodzi się do niewielkiego dziedzińca; z lewej strony przez drzwi wykute w skalnej ścianie wchodzi się na drugi dziedziniec, znacznie większy, bo 27 metrów długi i szeroki. (Oba więc te wgłębienia są tylko ową ścianą rozdzielone). Znajdujemy się tedy w zagłębieniu, wykutem w skale, która stromemi, 8 metrów wysokiemi ścianami wznosi się dokoła. W jednej z tych czterech ścian, mianowicie południowej, wydrążony obszerny kwadratowy przedsionek, który opierał się na dwóch kolumnach również w skale wyciętych; podstawa jednej z nich dotąd pozostaje na miejscu, widać

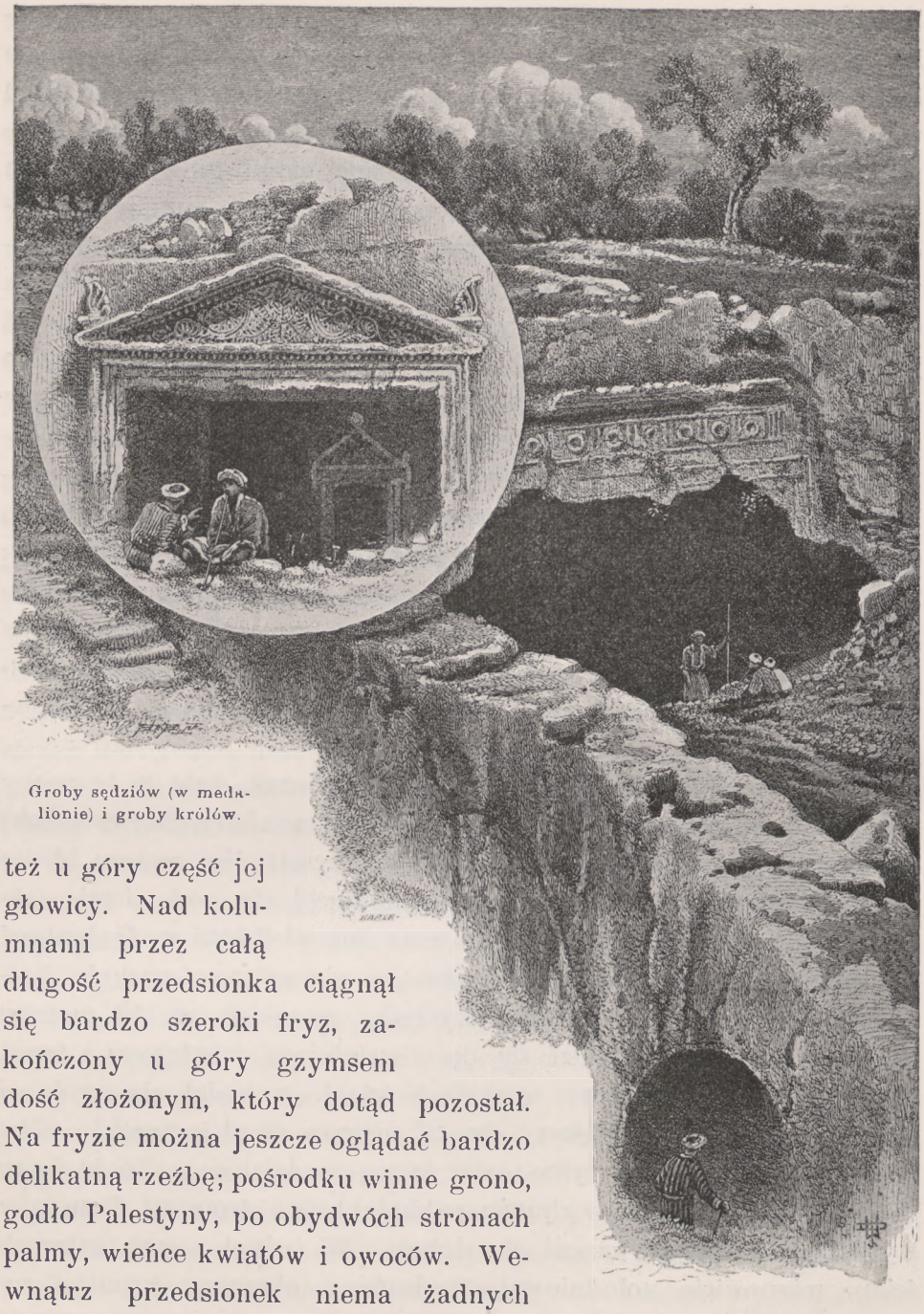

Groby sędziów (w medalionie) i groby królów.

też u góry część jej głowicy. Nad kolumnami przez całą długość przedsionka ciągnął się bardzo szeroki fryz, zakończony u góry gzymsem dość złożonym, który dotąd pozostał. Na fryzie można jeszcze oglądać bardzo delikatną rzeźbę; pośrodku winne grono, godło Palestyny, po obydwóch stronach palmy, wieńce kwiatów i owoców. Wewnątrz przedsionek niema żadnych ozdób. W lewej jego ścianie są bardzo nizkie drzwi, prowadzące do grobów (zaledwo 80 centymetrów). Wejście więc niewygodne; przed

wejściem jednak trzeba zwrócić uwagę na pewien szczegół, tłómaczący nam sposób zamykania dawnych grobów. Mianowicie widzimy tu dobrze dochowane wgłębienie przed otworem grobowym, szerokie na piędź conajmniej i kilka cali głębokie, w niem obracał się kamień okrągły, podobny do młyńskiego, nie tak wprawdzie gruby, ale znacznie wyższy (tutaj musiał mieć najmniej metr wysokości, żeby otwór całkowicie zakrył). Za pomocą żelaznego drąga można go było w owem wydrążeniu toczyć w jedną lub drugą stronę, gdy chciano wejść do środka; kiedy zaś trzeba było grób zamknąć, stawiano kamień przed otworem a z obydwóch stron wkładano w wydrążenie kamienne płyty odpowiednio przygotowane — i kamień stał nieruchomy, szczelnie przyparty do ściany.

Spotykałem się gdzieś z opiniami »uczonych krytyków«, którzy twierdzili, że Chrystus Pan nie był umarł, lecz zemdlał tylko, czy wpadł w letarg, a ocknąwszy się z niego, odsunął kamień i wyszedł, a przynajmniej głowę przez otwór wychylił, wzywając pomocy, żołnierze zaś rzymscy umknęli. W taki sposób swego czasu jeden z głośnych malarzy rosyjskich tłumaczył Zmartwychwstanie na obrazie wystawionym w Wiedniu. Jak zawsze w podobnych razach tak i teraz »krytyka« opiera się tylko na nieuctwie i nieznajomości rzeczy. Gdyby w takim grobie, w taki sposób zamknąć nie człowieka ubiczowanego i zdjętego z krzyża, ale najzdrowszego i najsilniejszego krytyka, z pewnością świat na zawsze zostałby pozbawiony uciechy korzystania z jego mądrych, uczonych poglądów. Ten sposób zamykania grobów, tłumaczy nam kłopot świętych niewiast, gdy szły namaścić ciało Zbawiciela i mówiły: »kto nam odwali kamień, albowiem był bardzo wielki«, po łacinie jest »r e v o l v e t« — odtoczy, bo właśnie tego rodzaju kamienie trzeba było przytoczyć i odtoczyć z jednego boku na drugi. Przez liczne drzwi wchodzi się do izby, z której są drzwi do ciemnych sześciu komnat; wszystkie są wykute w skale i zawierają dwóch rodzajów groby (w liczbie 38), to jest wgłębienia w kształcie pieców i ławy kamienne, na których stały sarkofagi albo trumny z kamienia, ozdobione rozmaitemi rzeźbami. Poszukiwania robiono tu dość dawno, ale jeszcze dawniej zaczęto pustoszyć groby, w nadziei znalezienia skarbów. Ks. Hołowiński opowiada, że jedną z kamiennych trumien stąd wyjętych widział w mieście — używano

jej do pojenia bydła. Już w czasie jego bytności czynił tu poszukiwania francuski uczony de Saulcy, i widocznie powracał do nich nieraz, bo w 1863 r. znalazł sporo urn glinianych z popiołem (jak przypuszczają, znaczniejszych Rzymian zmarłych w czasie oblężenia Tytusa) i sarkofag ze zwłokami kobiety. Dziś niema już nic w grobach, które zresztą nie ulegają profanacyi, bo żydowska bankierska rodzina Pereirów nabyła to miejsce, otoczyła murem i darowała Francyi. Jest przy nich chatka i strażnik, a przy strażniku pies bardzo niegościnny — prawda, że na łańcuchu. Jak nazwa poprzednich grobów tak i tych wprowadzała ludzi w błąd, łamali sobie też głowy, jacy królowie judzcy mogli tu być pochowani, kiedy judzcy przeważnie leżeli w »mieście Dawidowem« t. j. na Syonie, inni znowu w miejscach oddalonych od Jerozolimy, jak np. Saul w Jabes a potem w Sela, Manasses i Amon w ogrodzie Oza, Joachaz prawdopodobnie w Egipcie, a Joachim i Sedecyusz w Babilonie. Dziś wszyscy zgadzają się, że to jest cmentarz Heleny królowej Adyabeny (w Kurdystanie), która z synem Izatesem i bardzo liczną rodziną przyjęła wiarę żydowską; około 46 roku po narodzeniu Chrystusa, osiadła w Jerozolimie, gdzie na wzgórzu Akra miała pałac i te groby dla siebie i swoich wykuć kazała. Utrzymują też, że ona to właśnie leżała w trumnie znalezionej przez de Saulcy, a następnie przesłanej do paryskiego muzeum.

Między grobami królewskimi a bramą Damasceńską, bardzo już od niej niedaleko, przechodzimy obok obszernego placu, otoczonego murem i należącego do OO. Dominikanów francuskich. Jest to miejscowość bardzo ciekawa i historyczna, a dopiero w ostatnich czasach odszukana — mianowicie miejsce śmierci św. Szczepana, pierwszego męczennika. Wiadomo powszechnie, że do niedawna pokazywano je na pochyłości doliny Jozafata, dlatego także bramę wschodnią, przez którą trzeba było przechodzić, nazywano bramą św. Szczepana. Nazwa ta jednak datuje się z późniejszych czasów, z XIV wieku, przedtem bowiem było inaczej. Najdawniejsza tradycya od początku chrześcijaństwa miejsce zgonu świętego dyakona wskazywała na północ od miasta, w niewielkiej odległości od bramy. Na tem miejscu cesarzowa Eudoksya, żona Teodozyusza, zbudowała wspaniałą bazylikę, gdzie też pochowaną została w 460 r. W dziesięć lat później złożono obok

niej zwłoki jej wnuczki, także Eudoksyi. W r. 518 św. Saba prezydował w tym kościele soborowi, na którym obecnych było 10.000 duchownych, i można z tego wnieść, jak wielka musiała być ta bazylika. W r. 613 Chosreos zburzył ją, jak większą część 365 kościołów i kaplic, które znajdowały się w Jerozolimie i najbliższej okolicy. Świątynia odbudowaną nie była, ale podanie do miejsca przywiązane trwało ciągle; w czasie panowania krzyżowców powstał tam nowy kościół, ale trwał niedługo, bo oni sami go znieśli, by z powodu bliskości ku murom nie służył za schronienie zbliżającym się w 1187 mosleminom. Nic to nie pomogło i miasto, jak wiemy poddało się. Odtąd miejsce to pokryte ruinami, zostało zapomnianem i zaczęto pokazywać na wschodniej stronie skałę, na której miano ukamienować św. Szczepana. Tak było bardzo długo, dopiero w ostatnich latach Dominikanie francuzcy Lecomte i Guillemont, rozczytując się w starych dokumentach, przyszli do przekonania, że dzisiejsze podanie jest mylnem. Odrzucając więc tę niedawną tradycyę, szukali na północ; udało im się znaleść miejsce położone od bramy Damasceńskiej o mniej więcej trzy rzuty kamienia; był tam plac i domek, który kupili, przy nim leżały obszerne rumowiska, które arabska tradycya wskazywała jako miejsce kaźni, nie dodając czyjej... Po wielu trudnościach plac cały przeszedł na własność synów św. Dominika, otoczyli go murem i zaczęli rozkopywać [1]). »Poszukiwania uwieńczone zostały szczęśliwym skutkiem; dokopano się najpierw szczątków budowy krzyżowców, a potem fundamentów i posadzki mozajkowej kościoła Eudoksyi. Znaleziono kryptę przed ołtarzem, w której zapewne spoczywały zwłoki obydwóch cesarzowych, a także wiele innych grobów. Dziś już niepodobna wątpić, że to jest właśnie miejsce śmierci pierwszego męczennika, przez najdawniejszą tradycyę wskazywane. Gazety doniosły, że w początku roku 1896 położono pierwszy kamień nowej bazyliki na dawnych fundamentach. Od bramy Damasceńskiej zwróćmy się na wschód i podążmy w stronę doliny Jozafata. Wkrótce po prawej stronie między szosą a murami zobaczymy szeroką i głęboką fosę wykutą w skale. Pełno tam rozmaitych zagłębień, cystern, kamieni, widziałem nawet kilka drzewek; gdzieś w tych miejscach

[1]) Ks. Jełowicki. Przechadzki po Jerozolimie. Kr. Rodz. 1894 r. Nr. 16.

jest wejście do ogromnych pieczar, ciągnących się bardzo daleko pod miastem. Służyły one za kamieniołomy dla budowy ogromnych świątyni i miasta; niektórzy utrzymują, że tym obszernym pustkom zawdzięcza Jerozolima, iż nigdy trzęsienie ziemi jej nie dotyka; czy tak jest w rzeczy samej, niech geologowie decydują. Po lewej stronie w niedalekiej skalistej ścianie widać grotę, rozszerzającą się coraz bardziej ku dołowi. Jestto grota Jeremiasza; w niej miał kryć się ten prorok i układać swe piękne treny po zburzeniu Jerozolimy, co bardzo możebne. Grota jest obecnie we władaniu muzułmanów, którzy mają obok jakiś klasztorek, zamieszkany przez jednego tylko derwisza. Na niewielkim obmurowanym dziedzińcu są groby świętych muzułmańskich, wśród krzewów i kwiatów. Wszedłem tam z przewodnikiem (a było to już po opisanej wyżej wycieczce) i zastałem tylko murzyna podlewającego kwiaty, gospodarza nie było w domu. Wierny sługa nie chciał nas za nic puścić bez upoważnienia swego pana pomimo namowy i obietnicy bakczyszu. Podobało mi się to bardzo; jużto murzynom trzeba przyznać, że jeśli komu służą, to całem sercem — ich gorąca i nie zepsuta jeszcze natura nie zna połowiczności i pisaliby się z pewnością na zdanie W. Pola: »kiedy pościć — to na sucho, kiedy palnąć — to już w ucho«.

Gdy staniemy u wschodniego końca północnych murów miasta i miniemy niewielkie wzgórze, zasłane grobami mosleminów, roztoczy się przed nami dolina Jozafata, zwana tak dlatego, że król Jozafat po zwycięstwie nad Amonitami i Moabitami śpiewał tu hymn na cześć Jehowy i że tu sobie grobowiec przygotował [1]). Roztacza się przed nami ta na cały świat głośna dolina jako wąwóz głęboki, szeroki i bardzo nieregularny; wszędzie sterczą ponure, nagie skały, przysypane tu i owdzie piaskiem koloru popiołu, wznoszą się grobowce, leżą bez liczby odwieczne płyty grobowe o zatartych napisach; czasami blada oliwa cudem jakimś wyrasta ze złomów kamiennych i zdaje się, jakby pustynia, cisza i groby czekały na straszny dźwięk trąby archanielskiej, od którego ma się tu zrobić tłumnie i rojnie. [2])

[1]) Ks. Pelczar 1. 222.

[2]) Podanie wskazujące dolinę Jozafata jako miejsce Sądu Ostatecznego niema za sobą powagi Kościoła, jakkolwiek jest bardzo rozpowszechnionem. Opiera się ono na następującym tekście Joela proroka: »Bo oto w one dni i czasu onego,

Pusto dziś tutaj i cicho, a jednak ile ważnych wypadków spełniło się w tem zagłębieniu. Król małego wówczas Salemu, Melchizedech, witał tu powracającego z pogromu królów chananejskich Abrahama i błogosławił mu; przez tę dolinę uciekał płacząc król Dawid przed zbuntowanym synem; w niej często przebywał i modlił się Chrystus Pan, w niej spotykały się i walczyły wrogie hufce oblegających i broniących się. Dolinę tworzą z jednej strony pochyłości trzech wzgórz, na których rozłożył się meczet Omara i część miasta, a z drugiej góra Oliwna, albo raczej trzy jej wierzchołki, połączone wklęsłemi przełęczami. Północny wierzchołek nazywa się górą *Viri galilaei:* Mężowie galilejscy, prawdopodobnie dlatego, że dawniej była ona obozowiskiem Galilejczyków w czasie świąt Paschy; dziś szczyt jej otoczony murem, należy do Greków, którzy tam mają szpital w dość dużym kamiennym gmachu, stojącym samotnie bez drzew i zieleni. Środkowy szczyt jest właściwą Górą Oliwną — będziemy o niej mówili później szczegółowo, — południowy zaś zwie się górą Zgorszenia dlatego, że na tej wyżynie Salomon wzniósł był ołtarz czy ołtarze pogańskim bóstwom i wraz z żonami swemi sam im składał ofiary. Na tej górze stoi para nowożytnych domów, a dalej w połowie prawie pochyłości przyczepiła się wioska Siloe. Między górą Oliwną a Zgorszenia przechodzi droga do Betanii. Na wzgórzach po prawej stronie, wzdłuż murów miasta ciągnie się daleko cmentarz muzułmański, opuszczony, zaniedbany, żadnem drzewkiem nie ocieniony. Z lewej strony widać z początku ogrody a z pomiędzy drzew jakieś budynki, ale wszystko kończy się przed mostem rzuconym ponad łożyskiem Cedronu. Most ten kamienny i dobrze wy-

---

gdy nawrócę pojmanie Judy i Jeruzalem, zgromadzę wszystkie narody i sprowadzę je na dolinę Jozafata i będę się tam z nimi sądził o lud mój i dziedzictwo moje izraelskie, które rozproszyli między narody, a ziemię moją podzielili. O lud też mój rzucali los i dawali pacholę na nierząd a dzieweczkę przedawali na wino, aby pili« (III. 1—3). Widzimy z tego, że prorok mówi nie o Sądzie Ostatecznym nad całym światem, lecz tylko nad wszystkimi narodami, które krzywdziły lud wybrany i ziemią jego podzieliły się. Nadto niewiadomo, czy wspomniona przez proroka dolina ma być ta sama, o której mówimy. »Jozafat« bowiem znaczy dosłownie po hebrajsku: »sąd Boży« — doliną więc sądu Bożego, może być każda, na której podoba się Bogu wydać swój wyrok przeciwko krzywdzicielom Judy i Jeruzalem.

glądający, wydawał mi się całkiem nowym; może zbudowano go, gdy przeprowadzano tędy szosę do Jerycho. Nie zdążyłem o to zapytać się nikogo, wnoszę jednak, że tak jest i z tego, iż most dobry i nowy, i z tego także, że ślad kolan i rąk Zbawiciela, który miał być zrzuconym z mostu gdy Go prowadzono z Ogrojca, pokazywano mi znacznie niżej — musiał tam więc kiedyś być inny most, stary [1]). Ponieważ wspomniałem o tych śladach, więc już powiem od razu, że oglądałem je, ale w niczem nie przypominały mi śladów kolan, nóg, albo rąk. Widziałem wgłębienia w kamieniu, ale tak ogromne, że kilka kolan wygodnieby się tam zmieściły. Zresztą nie mam prawa, ani zasobu erudycyi potrzebnej do obalenia tej tradycyi — może też pobożność pielgrzymów rozszerzyła i popsuła ślady, wykruszając je pomaleńku na pamiątkę. Za mostem ku południowi niema już nic tylko skały i groby, nim jednak udamy się w tę stronę, przejdziemy pierwej most i zwiedzimy znajdujące się z drugiej strony święte miejsca i górę Oliwną.

Zaraz za miastem zwracamy się trochę na lewo, a zstąpiwszy po kilku schodach, znajdujemy się na niewielkim wyłożonym kamieniem dziedzińcu, dawnem atrium przed podziemnym kościołem Wniebowzięcia N. Panny, kryjącym grób, w którym przez czas krótki spoczywało Jej ciało, nim wziętem zostało do Nieba. Historya tego wypadku tak powszechnie jest znaną, że powtarzać jej chyba niema potrzeby. Apostołowie wybrali tę grotę, leżącą w bezpośredniem sąsiedztwie miejsca ostatniej modlitwy Zbawiciela, może właśnie dlatego, żeby te dwa wspomnienia: agonii Syna i pogrzebu Matki razem połączyć; może też i dlatego, że N. Panna, jeżeli wierzyć podaniu, okolicę tę miłowała i przychodziła tutaj. Jakkolwiek bądź, tu ją pochowano i Pan Bóg tak zrządził, że Matka została wzięta do Nieba u stóp tej samej góry, z której wierzchołka Syn Jej własną mocą do niego wstąpił. Św. Helena, chcąc uczcić ten wielki wypadek, zbudowała tutaj kościół, który dotąd stoi, a prawdopodobnie i górny, którego już oddawna niema. W czasie budowy dolnej świątyni grób N. Panny oddzielono od skały, tak, że stanowi on na podobieństwo Grobu Zbawiciela osobną kaplicę, którą można obejść dokoła. Nad

[1]) Znalazłem później potwierdzenie moich domysłów; stary most był niżej, naprzeciwko grobowca Absalona.

nią wznosi się kościół długi 30 metrów a 8 szeroki. Kiedy Arabi zdobyli Jerozolimę, kalif Omar przychodził tu parę razy na modlitwę, odtąd jest ono świętem i dla muzułmanów, którzy i bez tego wielką część oddają Matce Boskiej, zawstydzając niektóre sekty chrześcijańskie (właściwie jednych protestantów). Godfryd de Bouillon założył tu i bogato uposażył klasztor Benedyktynów, który jednak po fatalnym roku 1817 został zburzonym wraz z górnym kościołem; teraz i śladów ich nie widać. Gdy do Jerozolimy przybyli Franciszkanie, zastali kościół zupełnie opuszczonym i kupili go u sułtana Egiptu 1363 r. W XVII wieku Grecy oskarżyli ich przed sułtanem, że ciało N. Panny sprzedali papieżowi, sułtan za to odebrał im grób, ale za staraniem posła francuskiego zwrócił 1666 r. W 1740 r. znowu ich stąd wygnano i znowu ambasador francuski wyrobił im ferman sułtański, zapewniający spokojne posiadanie w 1757 r., co nie przeszkodziło Grekom za pomocą wielkiego wezyra w tym samym roku wypędzić XX. Franciszkanów ostatecznie, tak że dziś, ze smutkiem powiada br. Lievin: »my mamy fermany, a Grecy władanie«. To też, jak zwykle w podobnych razach bywa, obecni gospodarze kościoła pozwolili wszystkim bez wyjątku wyznaniom postawić tu swoje ołtarze, nawet muzułmanie mają dla siebie osobne miejsce, jedni katolicy są wyłączeni i mogą modlić się tylko prywatnie. Do kościoła schodzi się po 48 szerokich kamiennych schodach; po bokach pokazują miejsca, gdzie miały być groby królowej Melisendy, dalej św. Joachima i Anny, a nawet św. Symeona starca i św. Józefa, choć ten umarł i pogrzebiony został w Nazarecie. Kościół sam jest zupełnie ciemny, bo okien niema, a światło kilku lamp niknie wśród tych czarnych ciemności. Do kapliczki grobu N. Panny przypiera ołtarz, a z oby-

Kościół Grobu N. Panny.

dwóch stron jego jest wejście do środka kaplicy tak ciasnej, że zaledwo pięć osób pomieścić zdoła; grób sam ma formę ławy kamiennej na metr wysokiej, z dwóch stron przylegającej do ściany skalnej, a na wierzchu i z przodu pokryty marmurem. Ściany zawieszone dość starymi kobiercami, a ze sklepienia zwiesza się sporo lamp. Byłem w tym kościele dwa czy trzy razy, ale będąc zajęty modlitwą, nie przypatrywałem się mu prawie, co zresztą z powodu ciemności było trudnem do spełnienia, dlatego też nic więcej o nim powiedzieć nie umiem.

O kilkanaście kroków od tego kościoła znajduje się grota krwawego potu albo Agonii Zbawiciela. Trzeba do niej zejść po 6 schodach, a znajdziemy się w podługowatej jaskini, zostawionej w stanie prawie naturalnym. Na sklepieniu wprawdzie widać malowane gwiazdy, a pod nogami resztki mozajki, ale to pochodzi z dawnych bardzo czasów. Grota długą jest około 6 sążni, a do 4 szeroką; od strony przeciwnej wejściu zwęża się, i tam jest ołtarz, pod którym palą się lampy, a łaciński napis w kamieniu opiewa: »Tu stał się pot Jego jako krople krwi zbiegającej na ziemię«. Są jeszcze po bokach dwa mniejsze ołtarze. Światło spływa przez otwór u góry, wydrążony niedaleko od wejścia. Cicho tu, poważnie, nawet surowo; harmonię mącą tylko dwa brązowe nagie, niby aniołki, w rzeczywistości erosy pogańskie, które, zgiąwszy jedno kolano, udają modlitwę; jestto pewno czyjś dar, ale niechby już go XX. Bernardyni gdzieindziej byli postawili. Z tem wszystkiem niepodobna opisać jak słodko tu odprawiać Mszę św. W porannej ciszy zebrało się maleńkie grono pobożnych pielgrzymów, zresztą nie było nikogo, i słychać było tylko czasami przyciszony szept modlitwy, to znowu lekkie westchnienie, czasami prysnęła lampka oliwna, przez otwór u góry spadał snop światła dziennego oświecając nieco surową szarą skałę, a wspomnienie krwawej modlitwy z przed dziewiętnastu wieków napełniało jaskinię i piersi modlących się. Jak dobrze było modlić się w tej ciszy i półmroku z tem wspomnieniem w duszy!

Niedaleko — »na rzut kamienia« — znajduje się ogród oliwny, Getsemani, również jak grota należący do katolików. Zdawałoby się, że w tem miejscu, gdzie nieraz przebywał i modlił się Zbawiciel, przychodzień także będzie się mógł modlić i skupić; niestety, wiedziałem

już z góry, że doznam zawodu, a skutek przeszedł oczekiwania. Niewielki ten ogród jest w czworobok podłużny otoczony wysokim murem; wchodzi się do środka przez nizkie wejście od wschodu. Zaraz po wejściu spostrzegamy z prawej strony wzdłuż muru podniesiony taras, a na nim oranżeryę, grządki kwiatów i cały aparat ogrodniczy — nie powiem, żeby potrzebny był w tem miejscu. Niżej trochę widzimy drugi czworobok z żelaznej wysokiej kraty, równoległy z trzech stron do muru a z czwartej do owego tarasu, ale nieco mniejszy, tak że dokoła idzie dość wygodna ścieżka; w murze zewnętrznym od środka ogrodu są pomieszczone stacye męki Pańskiej w płaskorzeźbie z malowanej porcelany — niewypowiedzianie brzydkie. Za kratami znajdują się stare drzewa oliwne i trochę cyprysów, a całą przestrzeń pomiędzy drzewami Franciszkanie zamienili — na ogródek kwiatowy; poprzecinali żwirowemi ścieżkami, zasieli różnokolorowymi kwiatami, wśród których uwijają się chłopaki i ogrodnicy z grabelkami, łopatami, polewaczkami. Najpobożniejsza wyobraźnia musi tu zwinąć skrzydła, gdy ujrzy miejsce pojmania Pana zamienione na najzwyczajniejszy ogródek *bourgeois*. Na każdego wykształconego pielgrzyma, bez różnicy wyznania i przekonań, ten fatalny koncept poczciwych zakonników robi najgorsze wrażenie — a jakby tu dobrze było modlić się i rozmyślać, gdyby zamiast cieplarni, kwiatów jaskrawych, hałasujących ogrodników panowała cisza, i gdyby murawa rozścielała swój zielony naturalny kobierzec, gdyby zamiast 14-tu szkaradnych stacyi męki Pańskiej stał pośrodku jeden posąg modlącego się Jezusa! Modliłem się jużci i teraz trochę, ale jak tu modlić się przed parterem kwiatowym, i będąc złym na Franciszkanów za ich kwie-

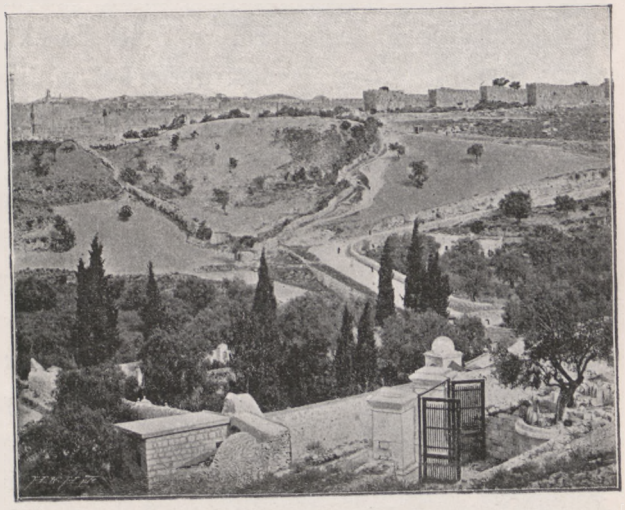

Nowy most nad Cedronem i ogród Getsemani.

ciste barbarzyństwo? Tłumaczą się oni tem, że pielgrzymi bardzo chętnie biorą stąd kwiatki na pamiątkę — pewnie, czemu nie mają brać, kiedy dają, gdyby jednak nie dawali, niktby nie brał i pretensyi żadnej nie miał, a pamięć na kilka chwil spędzonych tu na modlitwie, którejby nic nie przeszkadzało, zostałaby na całe życie daleko milszem wspomnieniem, niż kilka kwiatków zasuszonych, które się gubią i kruszą. Drzew oliwnych jest jeszcze ośm; czy są one współczesne Chrystusowi Panu, niewiadomo napewno, w każdym razie starsze są od zaboru muzułmańskiego (w VII wieku). Są one bardzo grube, choć niewysokie, najgrubsze ma 8 metrów obwodu, wewnątrz prawie zupełnie puste, mają jednak gałęzie i rodzą owoce, których oliwę zbierają Franciszkanie w małe flaszki, a z pestek robią różańce; zacny ks. Jukundyn Bielak obdarzył mnie jednem i drugiem na wyjezdnem; z gałęzi opadających wyrabiają małe krzyżyki, których można dostać w składzie klasztoru N. Zbawiciela.

Naprzeciwko wejścia do Ogrojca pokazują skałę, na której mieli trzej apostołowie drzemać wtenczas, gdy ich Mistrz modlił się opodal i zmagał z bojaźnią męki i śmierci. Po prawej zaś stronie jest rodzaj absydy na miejscu zdrady Judasza. Miejsce to zachowali wierni w stałej pamięci tak, że pielgrzym z Bordeaux w 333 r. oznacza je najdokładniej. Nieco wyżej, na placu darowanym Rosyi w 1883 r. wznosi się nowa, o licznych typowych kopułkach cerkiew rosyjska, tuż obok niej skała Biała, na którą podług św. Epifaniusza upadł pas N. Panny, rzucony przez Nią apostołom w czasie Wniebowstąpienia; przechowują go dotąd w Prato, w Toskanii.

Na szczyt góry Oliwnej prowadzą dwie ścieżki, jedna z lewej, druga z prawej strony; poszedłem najpierwej lewą stroną; wejście nie jest trudne ani zbyt męczące, gorąco tylko dawało się we znaki; po jakim kwadransie drogi, niedaleko już szczytu, pokazują miejsce, na którem znowu podług św. Epifaniusza archanioł Gabryel zwiastował N. Pannie, że po trzech dniach połączy się z Synem swoim w Niebie. Wiem o tem, że ludzie nie znający wiary naszej, wszystkie takie podania mięszają z faktami historycznymi chrześcijanizmu, a nie umiejąc jednych od drugich rozróżnić, gorszą się i w czambuł odrzucają wszystko, mając i fakta ewangeliczne za »tradycye niewytrzymujące najlżejszej krytyki«, jak np. twierdzi Loti w swem »Je-

Góra Oliwna, u dołu wioska Siloe.

ruzalem«. Nikt z wierzących a oświeconych ludzi, tradycyom, jak dwie ostatnie, nie przypisuje powagi historycznej, a tembardziej dogmatycznej; o ile nie są obalone przez krytykę, mogą być odrzucone lub przyjęte, bo nic w nich zdrożnego albo przeciwnego wierze znaleźć niepodobna. Natomiast zapominają ci krytycy o pewnym fakcie stale się powtarzającym. Każdy człowiek wielki i historyczny pozostawia po sobie mnóstwo anegdot i wspomnień, powstają o nim legendy i tworzą dokoła jego prawdziwej postaci aureolę jasną lub krwawą, dopełniając w taki sposób historyę poezyą. Ze Świętymi dzieje się podobnie; gdy oni przejdą, w śladach stóp ich wyrastają nieraz dziwnie poetyczne kwiatki, jak fioretti św. Franciszka z Assyżu i trzeba nie mieć ani krzty poezyi, a natomiast sporo faryzejskiego purytanizmu, żeby się tem gorszyć. Sądzę też, że niezmierna większość pielgrzymów z przyjemnością i rozrzewnieniem wita na każdem miejscu podania i legendy o Zbawicielu i N. Pannie. Co do mnie, nie przywiązując zbyt wielkiego znaczenia do wypadków nie wskazanych w Piśmie św. albo nie stwierdzonych historycznie, nie odrzucałem ich jednak stanowczo, bo tak przecie być mogło; przeczyć wszystkiemu bez dowodów łatwo bardzo, ale też pamiętam łacińskie przysłowie, które nie jednemu »krytycznemu umysłowi« mogłoby się przydać: *„plus potest asinus negare, quam philosophus probare“* [1]).

Dostawszy się na szczyt, oczywiście dążymy najpierwej do zwiedzenia miejsca Wniebowstąpienia Chrystusa Pana. Św. Helena i tutaj zbudowała była kościół, który miał los wspólny wszystkim prawie tutejszym świątyniom. Zburzony przez Chosroesa, wielkiego niszczyciela pamiątek chrześcijańskich (614 r.) odbudowany został przez biskupa Modesta. Karol W. umieścił tu Benedyktynów. Sułtan Egiptu Hakem zburzył znowu wszystko, a krzyżowcy znowu odbudowali i osadzili Augustyanów; po r. 1187 muzułmanie zwalili kościół i postawili meczet natomiast. Dziś miejsce jest otoczone wysokim murem a pośrodku znajduje się niewielki ośmioboczny meczet zakończony kopułą. Dawniej był on zewsząd otwartym, bo sklepienie kopuły opierało się na filarach, obecnie łuki zamurowano. Wnętrze tej niewielkiej kaplicy nagie i okropnie brudne. Po samym środku jest

[1]) Więcej może osioł zaprzeczyć, niż filozof dowieść.

wgłębienie podłogi, ujęte w czworoboczną, bardzo pierwotną ramę z kamienia, a na spodzie widać ślad w skale, który tradycya podaje za ślad stopy Zbawiciela; miały być dawniej obydwie stopy widoczne, dziś pozostała tylko lewa; gdzie się druga podziała, niewiadomo. Ślad dotąd widoczny chyba tylko bardzo zdaleka może przypominać stopę ludzką; czy był takim od początku, czy został popsuty przez pielgrzymów, niszczących nierozumnie najświętsze pamiątki, byle sobie jakąś z niej zabrać okruszynę, nie mogłem zbadać. Klucze od kaplicy należą do derwisza czy innego tureckiego duchownego, katolicy jednak mają przywilej odprawiania wewnątrz nabożeństwa w dniu Wniebowzięcia, jeżeli zaś dadzą dobry bakczysz, to w każdym czasie; inne wyznania także wyrobiły sobie prawo urządzania w to święto ołtarzy swoich, ale tylko pod murami ogrodzenia. Obok jest meczet i minaret, z którego piękny i rozległy widok, nieco zaś ku południowi grota św. Pelagii, słynnej niegdyś antyocheńskiej nierządnicy, która tu pokutowała. Gdym chciał odwiedzić miejsce Wniebowstąpienia, stróża nie było w domu, otworzyła mi więc drzwi żona jego, a z nią przybiegło kilku chłopaków i jedna dziewczyna, wszyscy nie starsi nad lat 12. Z początku stali zdaleka, ale potem, gdym zapłacił bakczysz, czy to widok pieniędzy przemógł ich trwożliwość, czy nic we mnie strasznego nie dopatrzyli, dość że otoczyli mnie kołem i wyciągając ręce, zaczęli także domagać się bakczyszu. Bawił mnie widok tych dzieci, którym z oczu patrzyła dzikość i przestrach kociąt zrodzonych i wychowanych na strychu; uśmiechnąłem się i wnet wszystkie te brudne łapki znalazły się pod samym nosem moim a właściciele ich wrzeszczeli dzikim głosem: bakczysz, bakczysz! Podałem kilka groszy na dłoni najbardziej natarczywej dziewczynie, pochwyciła je z taką łapczywością, że o mało mi skóry z dłoni nie

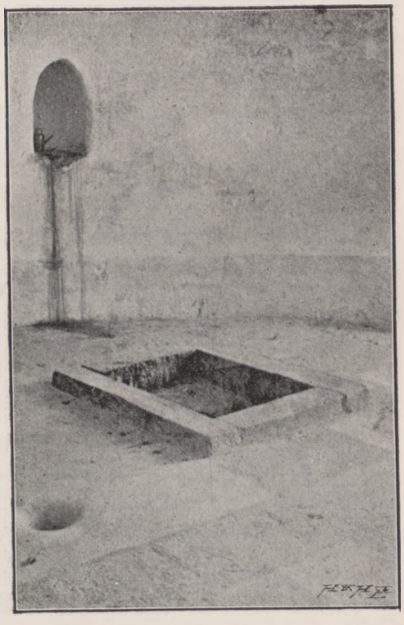

Miejsce śladu stopy Zbawiciela.

zdarła, byłem więc z innymi ostrożniejszym. Odtąd ta gromada, powiększona ochotnikami, towarzyszyła mi stale choć zdaleka. Podszedłem do ruskiego zakładu, oni za mną, odpędzono ich, więc rozpierzchli się po pochyłości góry i czekali, kryjąc się za kamienie. Potem byłem z godzinę w klasztorze Karmelitanek, a gdym wyszedł, ujrzałem dzieci czatujące zdaleka i robiące takie oczy, jak młode, głodne pieski, gdy uchwycą jakie ochłapy i biegną potem ostrożnie z bojaźnią, ale też i z nadzieją, że jeszcze uda się im co urwać. Towarzyszyły mi tak do połowy pochyłości.

Środek góry zajmuje wieś turecka Zeitun, wzdłuż tej wsi, podążyłem na wschodnią stronę, gdzie wznosi się niedawno skończona rosyjska cerkiew, a przy niej ogromna dzwonnica, widna zewsząd najpierwej. Ze szczytu ma być wspaniały widok, ale nie stało mi sił ani odwagi przebyć w okropne gorąco sto kilkadziesiąt schodów, będąc już i tak zmęczony pieszym spacerem i wstępowaniem na górę. Obok cerkwi są mieszkania i budynki, z których pamiętam salę widocznie przeznaczoną na rodzaj muzeum; są tam portrety i różne pamiątki, najważniejszą zaś z nich jest stara mozaika w posadzce, otoczona balustradą; dokoła mozaiki na wstędze napis ormiański: »Tu jest grób błogosławionej Szuszangany (Zuzanny) matki Ardawana, 18 Września«. Po środku przedstawione różne przedmioty, których związku z umarłą nie rozumiem: dwa grona winogradu, cedrat, trzy ryby, kaczka, kogut i baranek. Wszystko wykonane pięknie i dobrze zachowane. W kącie sali są schody prowadzące do grobów znajdujących się pod spodem. Za cerkwią jest jeszcze spory cypel góry, skąd śliczny i obszerny roztacza się widok. Doznałem tu na wstępie bardzo przyjemnego a rzadkiego w bezleśnym kraju wrażenia; zobaczyłem niewielki lasek młodych sosen, takich samych, jakie widziałem na wyspie Prinkipo i taki sam niezrównany wydających zapach. Koło jakichś gruzów krzątało się kilkoro pielgrzymów z Rosyi. Chłop ogromnego wzrostu kopał, a kobiety w charakterystycznych kostiumach nabierały do koszyków i przy śpiewie pobożnych pieśni wynosiły gdzieś dalej. Wdałem się w rozmowę z mężczyzną; był to włościanin z Twerskiej gubernii, który tu od 2 już prawie lat bawił. Zapytałem go, czy nie tęskni za krajem, za rodziną, za swoimi. Spojrzał na mnie niby ze zdziwieniem, niby z wymówką. »A ja czego

mam tęsknić? Tu Zbawiciel żył, cierpiał i umarł... tu tyle świętych mejsc; nietylko nie myślę wracać, ale chciałbym tu gdzieś do klasztoru wstąpić«. Zbudowała mnie ta odpowiedź i zawstydziła trochę, bo niestety, po kilku zaledwo tygodniach podróży już mi ten Wschód i ludzie z niego tak dokuczyli, że aż bałem się myśleć, jak będę szczęśliwym, gdy ich z oczu stracę. Jużci od natychmiastowego powrotu wstrzymała mnie wiara i pragnienie dalszego zwiedzenia miejsc świętych, ale nie miałbym siły tego prostaczka, by pozostać

Morze Martwe.

na zawsze, a choćby tylko na długo. Poszedłem dalej i stanąłem na nabrzeżnem urwisku. Przedemną w przeźroczystem zupełnie oddaleniu wznosiły się dzikie, surowe, poszarpane góry moabickie; przez szkła widać było doskonale wszystkie załomy, rozpadliny i wierzchołki, bo powietrze nie otulało ich niebieską oponą, ani roślinność nie pokrywała swym płaszczem zielonym. Pomiędzy górami wązkie a długie leżało spokojnie morze Martwe, błyszcząc niby tafla metalu. Cisza w tej stronie i pustynia były najkompletniejsze — słońce rzucało na góry i morze swe gorące promienie, pełno było światła

i blasku, u góry sklepiło się szafirowe pogodne niebo, a jednak życia ani ruchu nie było, tylko jakaś nigdy nieskończona martwota, jakaś niezmierna tęsknota wisiały nad tą przeklętą krainą. Na północ szeroka, piasczysta równina, a po niej w licznych skrętach i odnogach płynął Jordan, wnosząc swe żywe wody do martwego łożyska, z którego nigdy nie wypływają, tylko zamienione w parę unoszą się w powietrze. Jeszcze wyżej ku północy święta rzeka płynie wartko wśród zielonych po obu brzegach ram trzciny, tamarysków, oleandrów, ale w miarę zbliżania się do morza Martwego traci swoją ozdobę i z góry Oliwnej przedstawia się tylko jako ruczaj ginący w piasku.

Stałem tedy i patrzałem na zapadłą wśród gór skalistych krainę, w której, jak rzekłem, nic nie zdradzało śladu życia, a jednak ileż wspomnień nad nią ulata, ile wypadków pamiętnych na wieki tam się spełniło! W tej stronie wielki prawodawca Izraela ostatni raz ze szczytu Nebo rzucił wzrokiem smutnym na Ziemię Obiecaną, do której wszystkich przyprowadził, ale sam wejść nie miał; tam wśród spiętrzonych wód Jordanu stała Arka przymierza i przechodzili na podbój kraju potomkowie Jakóba; w tej stronie leżało Jerycho o dziwnych losach, a dokoła niego kwitła kraina błogosławiona »jako raj Boży«. Długoby trzeba było przypominać wielkości i smutki stron tak dziś poniżonych, zapomnianych, bezludnych — tylko Jordan po dawnemu, coraz bardziej zagłębiając się, mknie szparko po wielkiej spadzistości swego łożyska. Pobożni pielgrzymi zbierają się nad nim, zwłaszcza w dniach wiosennych, by uczcić największą chwałę tej okolicy, miejsce chrztu Pana Jezusa — zresztą zrzadka przemykają się się tam dzicy beduini, mieszkający we wstrętnych, trzciną i gałęźmi

Brzegi Jordanu.

krytych norach Rihi, osady stojącej na miejscu, a raczej niedaleko od miejsca dawnego Jerycho. Pora, w której zwiedzałem Ziemię Świętą, była zupełnie do odwiedzin Jordanu i morza Martwego nieodpowiednią. W Jerozolimie na górze 2000 stóp wzniesionej nad powierzchnię morza upał był zwykle 35° R., można sobie wyobrazić, co się działo w kotlinie 1317 stóp niższej od powierzchni morza Śródziemnego, a zewsząd otoczonej 5000 stóp wysokiemi, nagiemi, a rozpalonemi od słońca skałami. XX. Franciszkanie bez ceremonii zapowiedzieli, że czeka tam śmierć, która już wielu upartych pielgrzymów spotkała. Opowiadał mi któryś z nich, że niedawno jakiś hrabia polski uparł się i pojechał z braciszkiem; ten będąc przyzwyczajony wytrzymał, ale hrabia padł w połowie drogi i z największym tylko wysiłkiem zdołano go uratować. Podobnych i daleko gorszych przykładów przytaczano wiele, to też chociaż długie lata marzyłem o Jordanie, wobec podobnej perspektywy, bardzo możliwej wobec sił moich i zdrowia, zawsze wcale nieosobliwych, a teraz już drogą i fatygą srodze nadwątlonych, wyrzekłem się podróży do Jerycha i okolic jego.

Z północno-wschodniego krańca góry Oliwnej, na którem znajduje się rosyjska osada, znowu popod wieś Zeitun, przeszliśmy na południowo-zachodni kraniec ku kościołowi Ojcze Nasz i klasztorowi PP. Karmelitanek. Podług podania Chrystus Pan w tem miejscu po raz wtóry nauczył apostołów Modlitwy Pańskiej. Był tu kiedyś kościół, który po zburzeniu został wspanialej jeszcze odbudowany przez dwóch skandynawskich książąt, Sweina biskupa z Vibeerga i brata jego Eskila; w nim też pochowani zostali 1152 r. I ta świątynia długie wieki leżała w gruzach, z których mały już tylko ślad zostawał, gdy grunt ten w 1869 r. zakupiła księżna de la Tour d'Auvergne, wzniosła kościół i klasztor i w nim 1876 r. osadziła Karmelitanki. Wszystkie zabudowania otacza, jak zwykle tutaj, wysoki mur. Wszedłszy przez bramę, znajdziemy się na obszernym, porządnie utrzymanym dziedzińcu; widzimy tam i zieleni trochę i kwiatów; ponad ścieżkami rośnie rozmaryn czy inny krzew podobny do niego z kształtu i zapachu; odźwierny dodawszy kwiatów robi z niego małe bukiety i obdarza przechodniów. Przed sobą mamy podługowaty czworokątny budynek; jest to krużganek »Ojcze nasz«, do niego przytyka wyższa

nieco kaplica, a za nią klasztor. Pierwej jednak nim weszliśmy do środka, zawróciliśmy na prawo, by zwiedzić — nie wiem jak nazwać — loch, cysternę czy kaplicę »Wierzę w Boga«. Jedni mówią, że tutaj apostołowie ułożyli skład wiary apostolskiej, inni że był tu tylko kościół św. Marka a w nim posągi 12 apostołów. Ruiny kościoła i nisze posągów widoczne były jeszcze przed 50 laty, później Turcy kamienie sprzedali żydom na nagrobki, dziś na wierzchu nic już niema, pozostało podziemie, które zapewne dawniej było kryptą kościelną, potem służyło za cysternę, dziś jest zamienione na oratoryum i poświęcone 12 autorom »Credo«. Jest to korytarz około 9 sążni długi a dość wązki; ściany boczne przedzielone 12 półkolumnami, na których opiera się niewysokie sklepienie. Ołtarz oświecony otworem w sklepieniu, bardzo prosty; przed nim rodzaj ikonostasu z 12 apostołami, każdy z nich trzyma wstęgę z przypisywanym mu artykułem »Credo«. Wyszedłszy z podziemia, podążyliśmy do krużganku. Jest to, jak powiedziałem, podłużny czworobok; zewnętrzne ściany są ślepe, tylko w każdej są jedne drzwi, od środka zaś zamiast drugiej ściany korytarza są kolumny połączone łukami, na których wspiera się sklepienie. Jest to więc korytarz od zewnątrz przedstawiający monotonny mur z kamienia, wewnątrz zaś otwarty i otaczający niewielki ale śliczny kwadratowy ogródek. Na tych to ścianach obwodowych od wewnątrz są umieszczone w liczbie 32 duże marmurowe tablice, a na każdej z nich w innym języku wklęsłemi literami wyryte »Ojcze nasz«. Naprzeciwko drzwi wchodowych widać za żelazną kratą kaplicę, w niej zaś pośrodku ładny grobowiec marmurowy, księżny de la Tour d'Auvergne, fundatorki. Niezmiernie miły i zaciszny to kącik; nie zo-

Kościół i klasztor pp. Karmelitanek na górze Oliwnej.

stawałem w nim jednak długo, bo przez ścianę w kościółku czy kaplicy brzmiały organy i śpiewy pobożne. Był to właśnie odpust, dzień św. Tesesy i kończyły się solenne nieszpory. Przyszedłem literalnie na gaszenie świec, bo ledwom ukląkł do pacierza, wyszła z zakrystyi siostra zakrystyanka, czarna jak sadza murzynka, z dużemi wargami i zaczęła gasić światło. Chociaż w nabożeństwie udziału nie brałem, zaproszono mnie do parlatorium, gdzie zastałem całe seminaryum francuskich Augustyanów, którzy mają w Jerozolimie kursa teologii.

Widok Jerozolimy z góry Oliwnej.

Posilałem się winogronami i miodem, czy jakiemiś innemi łakociami pustelniczemi, a młodzież, zwyczajnie jak młodzież, śmiała się i gwarzyła wesoło.

Z klasztoru PP. Karmelitanek wracałem ścieżką wijącą się po prawej stronie góry; w połowie wysokości znajduje się miejscowość zwana *Dominus flevit* (Pan płakał), dlatego, że patrząc stąd na przepych Jerozolimy, Zbawiciel zapłakał nad jej niedaleką już przyszłością, którą też przepowiedział. Rzeczywiście z tego miejsca widok jest prześliczny. U stóp otwiera się szeroka i głęboka dolina Jozafata, a zaraz

za nią na wyniosłych, skalistych wzgórzach rozkłada się majestatyczne Haram-esz-Szerif ze swymi dwoma meczetami. Dalej nierozwikłany tłum domów z szarego kamienia, pnących się po wzgórzach spuszczających się w doliny, a zamiast dachów mających maleńkie kopułki pośrodku płaskich tarasów. Z pomiędzy szarego motłochu wznoszą się ciężkie ciemne klasztory, rządowe gmachy, niby znaczniejsi wśród gminu, jeszcze wyżej strzelają dzwonnice i minarety. Za ciemną zębatą linią murów, przerywanych wieżami, rozległo się daleko na północ po pagórkach i płaszczyznach nowe miasto dwakroć jeszcze większe — mniej tam kościołów, ale zato mnóstwo

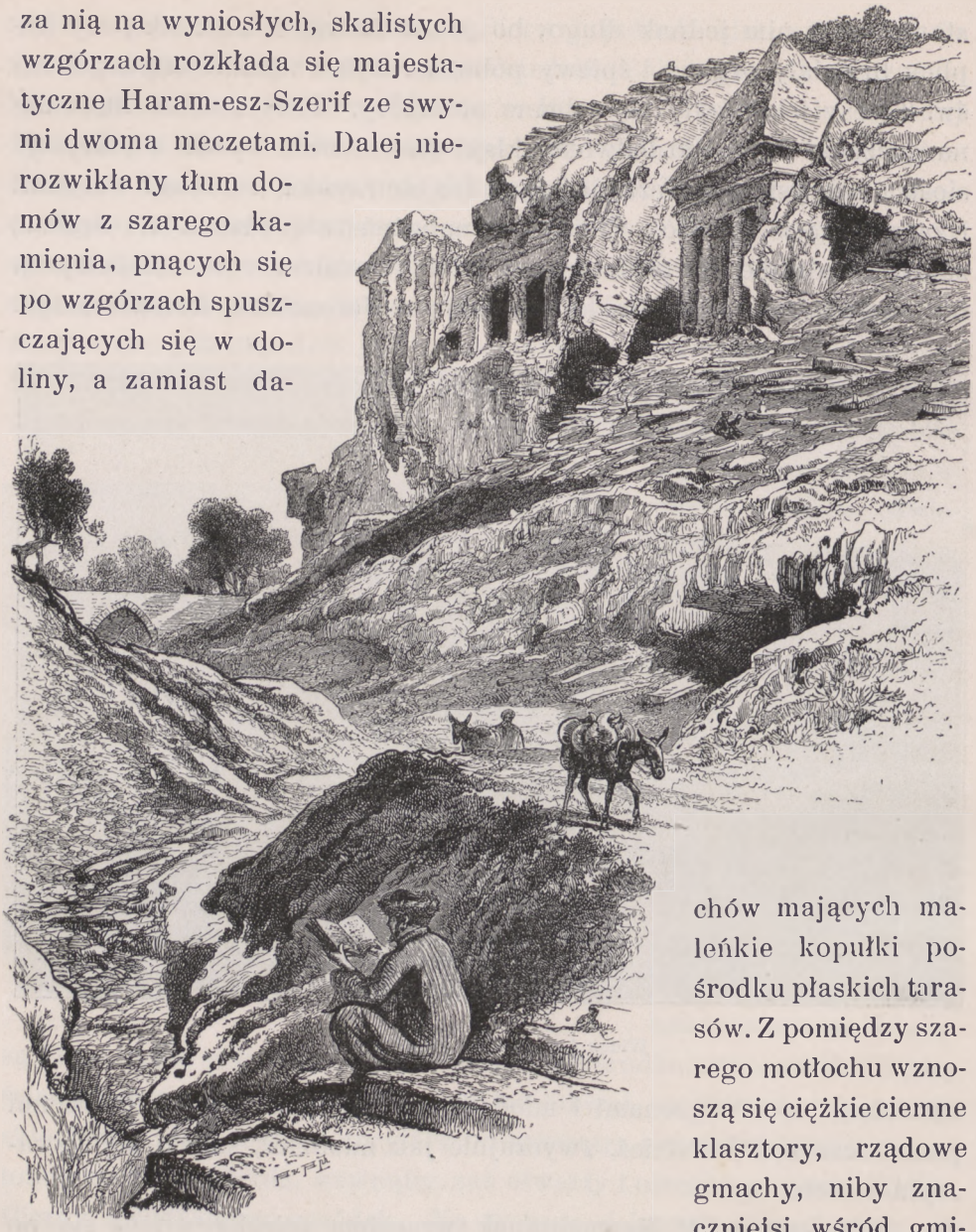

Część doliny Jozafata; w górze groby Zacharyasza, św. Jakóba i Jozafata.

ogromnych europejskich gmachów, z pomiędzy których, dzięki wyniosłej pozycyi, wyróżnia się i ściąga na siebie oczy okrągły, z czarną kopułą kościół Abisyńczyków. Z tej strony horyzont zakrywa daleko ciągnący się łańcuch niezbyt wysokich pagórków, z najwyższą wśród nich górą Skopus, na której to arcykapłan Jaddus powitał i przebłagał Aleksandra Macedońskiego. Stojąc tam i patrząc na to morze kamieni, zrzadka tylko przerywane ciemną plamą zieleni, można dumać bez końca na temat płaczu i proroctwa Pańskiego — czy to jedno tylko było w dziejach Jeruzalem, które nie chciało poznać »dnia nawiedzenia swego« i zato później »wszyscy mijający drogę świstali i chwiali głową swoją nad córką jerozolimską, mówiąc: i onoż to jest miasto doskonałej piękności, wesele wszelkiej ziemi?«

Chrześcijanie dawnych wieków wznieśli tu byli kościół, potem na jego miejscu stał meczet, w ostatnich czasach prawie zupełnie zrujnowany, przed kilku laty XX. Bernardyni nabyli go i zbudowali obszerną kaplicę, prawda, że jeszcze bardzo ubogą; obok jest także dom i niewielki ogródek. Zeszedłszy z góry Oliwnej zawracamy na lewo i wchodzimy w prawdziwą krainę grobów; pierwsze miejsce między nimi zajmują mauzolea Absalona, Jozafata, św. Jakóba mniejszego i Zacharyasza. Pierwszy z nich jest wycięty na miejscu ze skały, ma kształt czworoboku, ozdobionego półkolumnami i pilastrami, na cokole wznosi się węższa kondygnacya, służąca za podstawę kopule oryginalnie zwężającej się w kształt butelki o długiej szyi; wnętrze puste. Br. Liévin, lubo zgadza się, że ciało Absalona nigdy tu nie spoczywało, stara się jednak dowieść, że pomnik jest tym samym, który on sobie za życia jeszcze w tej dolinie przygotował. Nie uważam się za kompetentnego do rozstrzygnięcia kwestyi, ale nie pisałbym się na to zdanie, bo owe półkolumny i pilastry są stylu jońskiego, którego za czasów Dawida bodaj jeszcze na świecie nie było, a choćby był, żydzi o nim nic nie wiedzieli, bo dopiero za czasów Machabeuszów zetknęli się z Grekami; z tego też czasu najprawdopodobniej pomnik pochodzi, jakkolwiekbądź żydzi mieli, a może dotąd mają zwyczaj, przechodząc obok, rzucać kamieniami na grobowiec złego syna; to też całe wnętrze było nimi zapełnione.

O trzech następnych mówić nie będę, bo jakkolwiek są bardzo ciekawymi pomnikami dawnych czasów, bez rysunku nie sposób ich

sobie wyobrazić; dodam nadto, że nie wierzę w autentyczność nazw, które noszą. W każdym razie są dobrym wstępem do dalszego ciągu doliny Jozafata, tak są stare, smutne, zaniedbane i ponure, że odpowiednio też i widza nastrajają. »W ich formie, powiada Piotr Loti, kolorze, w całej ich powierzchowności jest coś niesłychanie smutnego, wieczorem staje się jeszcze widoczniejszem. Z nich to zapewne, raczej niż z myryadów małych grobów rozsypanych wśród trawy, wypływa niezmierny smutek tej doliny ostatecznego sądu. Wszystkie są monolitami, wyciosanymi tuż na miejscu ze skały. Niema dziś nic w ich wnętrzu, z którego od wieków wyjęto i trupy i bogactwa. Przez otwory po przez kolumny doryckie jedyna rzecz, którą można dostrzedz we środku, jest czarny spód ziemi, ciemności grobowe, i to nadaje im ten sam wyraz, jaki posiadają trupie czaszki, zamiast oczu mające czarne otwory — i zdaje się, jak gdyby wiecznie patrzyły przed siebie, w ponurą dolinę. Nietylko są one smutne, ale straszą...« [1])

Następnie idziemy, minąwszy miejsce figi, na której się miał Judasz powiesić, wśród niezliczonych grobów żydowskich; gdzie tylko było trochę płaszczyzny i ziemi, wszędzie widziałem tysiące płyt kamiennych — jedne zapadłe, że ledwo je dostrzedz można, inne pokruszone, na niektórych znowu dość świeże jeszcze hebrajskie napisy. Z boków skalistych zieją otwory pustych dziś grobów rodzin zamożnych. Wśród tego nekropolu cisza zupełna i pustka, nikt nie przechodzi i nie jedzie, bo też i drogi niema, maleńka ścieżka tylko. Wysoko na górze wznoszą się mury zębate, a za nimi stoją wspaniałe świątynie, ale i tam cisza, jakby wszystko wymarło. W Trawiacie umierająca Violetta desperuje, że na jej grobie nie będzie ani kwiatu, ani krzyża *„non fiore, non croce sulla mia tomba“* — najgorszy jednak desperat w naszych stronach nie wyobrazi sobie smutniejszych grobów nad te; — o krzyżu niema co mówić, ale w czasie mego pobytu nie było na wypalonej ziemi nietylko kwiatu, lecz ani trawki, ani mchu, nie słychać było głosu nietylko ptaszęcia, lecz ani owadu żadnego i chyba tylko jaszczurka wygrzewała się w słońcu lub wąż »ślizką piersią« przesunął się z cicha wśród kamieni. Szliśmy pod górą Zgorszenia. Wysoko nad nami, nad urwiskami i wiszarami, tuląc

[1]) Jerusalem 130.

się do jaskini i grobów, piętrzy się ku górze wioska Siloe, naprzeciwko wioski, u stóp góry Ofel, znajduje się źródło Siloe, przez Turków zwane Ain Sitti Miryam (źródło Pani Maryi) dlatego, że podług chrześcijańskiego podania N. Panna, bawiąc w domu św. starca Symeona, chodziła tu prać pieluszki Świętego Dzieciątka. Br. Liévin dowodzi, że źródło to jest dawniejszym Rogel, które odgraniczało pokolenia Benjamina i Judy. Jest ono przykryte sklepionym budynkiem i schodzi się do niego po 32 szerokich schodach. Woda nieco słonawa i nie płynie stale, lecz wybucha w nieregularnych odstępach; lud przypisuje to smokowi siedzącemu w podziemnych pieczarach i korytarzach. Gdy potwór czuwa, zabiera wszystką wodę, gdy zaśnie woda wypływa — stąd też pochodzi ludowa nazwa »smoczego«, które dają jeszcze temu źródłu. Jest ono połączone podziemnym, kutym w skale na 530 metrów długim kanałem z sadzawką Siloe, położoną u południowego końca góry Ofel. Przy niej to stał się cud uzdrowienia ślepego, opisany w rozdziale IX. Ewangielii św. Jana. Sadzawka jest pod odkrytem niebem, ma około 7 sążni długości, a 2 szerokości. Ponieważ w czasie mojej bytności od siedmiu miesięcy nie spadła w Palestynie kropla deszczu, więc wszystkie źródła wysychały. Przy źródle Siloe smok podziemny przestał prawie zupełnie spać, bo pochłaniał całą wodę, która rzadko i w małej ilości wybuchała; rzucały się na nią zaraz kobiety, czekające tu dziesiątkami, zgartując ją garściami do worków ze skór kozich. W takich warunkach kropla jedna nie dostawała się do sadzawki. Widziałem też ją całkowicie suchą i wydała mi się jedną wielką ruiną. Naprzeciwko niej łożysko Cedronu wchodzi między góry Zgorszenia i Złej Rady i w tym wąwozie jest studnia Hioba (Bir Ejub) ułożona ze starych kamieni, 29 metrów głęboka; w niej to przed wyjściem do niewoli babilońskiej skryli żydzi, z rozkazu proroka Jeremiasza, ogień święty ze świątyni i z niej po powrocie z wygnania czerpali »wodę gęstą«, którą gdy Nehemiasz pokropił ofiary i drzewo stosu, a słońce zabłysło, wybuchł ogień wielki [1]). Na wiosnę woda w tej studni tak przybywa, że czasami dość obfitym strumieniem wylewa się do Cedronu; im wylew obfitszy, tem lepszego urodzaju spodziewają się mieszkańcy.

[1]) 11. Machab. 1. 19.

Teraz zwracamy na prawo i wchodzimy w dolinę Gehenny, między górami Złej Rady i Syonem; w niej to, jak wiadomo, żydzi wpadłszy w bałwochwalstwo, ustawili posąg Molocha i palili jemu na ofiarę żywcem dzieci swoje. Stąd u prawowiernych była w obrzydzeniu i stała się synonimem piekła. Jakkolwiek z góry, od murów miasta wydaje się smutną i brzydką (wspomniałem o tem wyżej), na samym jej dole dają się widzieć ślady roślinności, jakich niema dolina Jozafata. Rośnie tu trochę drzew oliwnych i innych; w łożysku Cedronu, na miejscu dawnych ogrodów królewskich, stawu Salomona, mieszkańcy wsi Siloe porobili sobie ogródki warzywne, podlewając je i pielęgnując prawdziwie w pocie czoła. Są to maleńkie kwadraciki przypominające zabawę dziecinną w ogródki; rośnie tam trochę cebuli, sałaty i t. p. jarzyn. Doszedłszy do podnóża Syonu ścieżką bardzo przykrą, mnóstwem drobnych kamyków, pyłem i śmieciem usłaną, wydrapaliśmy się na górę, gdzie jeszcze zatrzymamy się trochę, oglądając część jej nie objętą murami. Dawne »miasto Dawida«, rozgłośny Syon przedstawia jeden z najsmutniejszych widoków, a zarazem ilustracyę do smutnego acz prawdziwego zdania mędrca: »wszystko jest marność i utrapienie ducha« — wszystko przechodzi i mija. Syon, gdzie stała czas jakiś arka przymierza, gdzie modlił się i psalmy układał Dawid, gdzie były wspaniałe pałace i kolumnady. Syon, mocna forteca i miejsce rozpaczliwej obrony, został teraz polem ornem, ogrodem warzywnym, kupą kamieni. W obecnych czasach stan jego podniósł się znacznie, aczkolwiek zawsze jest bardzo smutnym. Część tej góry znajdująca się za obrębem murów miejskich, jest obszerną płaszczyzną, której brzegi są zajęte cmentarzami, ogrodami i prawie niezabudowane, pośrodku zaś wznosi się bezładna grupa domów i budynków, porozdzielanych wązkiemi, krętemi i okropnie brudnemi uliczkami — w samym ich środku wznosi się jedna z najdroższych chrześcijańskiemu sercu świątyń, Wieczernik, w którym Chrystus Pan ustanowił Eucharystyę i Sakrament kapłaństwa, w którym po Zmartwychwstaniu ukazywał się Apostołom, gdzie wreszcie Duch św. zstąpił na nich i tchnął na Kościół »dech żywota«. Dom, w którym Zbawiciel spożywał ostatnią wieczerzę był zawsze szczególną czcią otaczany przez wiernych i miejsce jego pamiętano tem lepiej, że nie był zburzony przez Tytusa, jak chce podanie. Kościół na tem miejscu

zbudowany, jak wszystkie tutaj, bywał burzony i znowu wznoszony; obecnie istniejący został zbudowany przez Franciszkanów około 1342 r. Turcy, jak już wspomniałem, wypędzili ich w 1551 r., a kościół zamienili na meczet, właściwie zaś na najbrudniejsze i najnędzniejsze miejsce, które nietylko nie przypomina w niczem domu poświęconego Ałłachowi, lecz chyba wyrzutki ludzkości zgodziłyby się w niem mieszkać. Wieczernik składa się z dołu i z góry; chrześcijanie mogą tylko górę zwiedzić, bo dół, gdzie miał być pokój umycia nóg, przeznaczony jest na modlitwę kobiet muzułmańskich. Na piętro wchodzi się z zewnątrz po schodach szkaradnie utrzymanych, na których stary Turek oprowadzający nas, musiał stoczyć formalną bitwę z młodymi chłopcami, pragnącymi dla siebie bakczyszu hawadżich. Piętro składa się z dwóch izb, pierwsza o sklepieniu gotyckiem, przedzielona na dwoje dwoma filarami, ma długości 6—7 sążni, 4 zaś szerokości; w kącie jest jakieś przepierzenie. Niepodobna opisać stanu opuszczenia i brudu, w jakim się to święte miejsce znajduje. Gdyśmy weszli, kilku niechlujnych chłopaków wyskoczyło z za owego przepierzenia gdzie wrzeszczeli i tarzali się po ziemi. W tej izbie odbyła się wieczerza i tu ustanowił P. Jezus N. Sakrament; ze ściśnionem sercem odmówiliśmy pacierz dla dostąpienia odpustu. Stąd po kilku schodach wszedłem do drugiej izby, podzielonej także na dwoje ścianą, w której jest okno, a przez nie można widzieć stojący za przegrodą rzekomy grób Dawida. Jest to poprostu sarkofag zakończony ostro ściętym wierzchem (Francuzi to nazywają *à dos d'âne*) i pokryty zielonem suknem. Tu, jeśli możebne, nędza, opuszczenie i ohyda jeszcze większa, niż w pierwszej sali. Och, ten Wschód i jego poezya i jego chwalcy, jakie to straszne tumanienie ludzi! Prawdziwy grób Dawida ma się znajdować gdzieś pod spodem, a przynajmniej

Wieczernik i grób Dawida.

niedaleko, lecz wejście do niego nikomu niedozwolone, to też niesłychanie mało bywał zwiedzanym. Józef Flawiusz opowiada, że Hyrkan Machabejczyk zabrał z grobu Dawida i Salomona 3000 talentów złota, chciał go naśladować Herod, ale gdy słudzy jego weszli do grobu ze świecami w ręku, zostali zabici przez wybuchłe płomienie. Przestraszony król kazał wznieść marmurowy pomnik u wejścia do grobów. W średnich wiekach, gdy miejsca te zostawały we władaniu Franciszkanów, zapewne ojcowie musieli zwiedzać groby, jak można wnosić z zapewnień Marino Sanuto i Pozzibongi'ego. W nowszych czasach udało się to tylko głośnemu Mislinowi, autorowi »Miejsc Świętych«; w towarzystwie Kiamila baszy zwiedził on grób Dawida i opisał [1]). Ponieważ najdawniejsza i jednozgodna tradycya miejsce Wieczernika tu właśnie oznacza, a zarzutu żadnego nie było, więc niema racyi powątpiewać o autentyczności jego, natomiast nie umiem sobie wytłómaczyć, dlaczego umywanie nóg miałoby się odbywać na dole, kiedy Ewangelia nie czyni najmniejszej o tem wzmianki, owszem z całego opowiadania św. Jana (roz. XIII) wynika raczej, że czynność ta nastąpiła zaraz po Wieczerzy bez żadnej przerwy i zmiany miejsca, co pociągnęłoby zresztą za sobą pewien kłopot z powodu przenoszenia potrzebnych ku temu rzeczy i przerwałoby uroczysty nastrój, jaki tam panował. Zresztą niech o tem sądzą bieglejsi odemnie

Oprócz Wieczernika pokazywano mi tu jeszcze resztki muru stojącego wśród kapusty; tam miał stać dom św. Jana, gdzie mieszkała i umarła N. Panna. Bliżej bramy Syońskiej jest miejsce, gdzie żydzi napadli na orszak niosący Jej zwłoki do grobu; ale cudownie ukarani, a potem nawróceni zostali. Tam, gdzie był dom Kaifasza, wznosi się dziś klasztor i kościół Ormian dyzunitów. Mały dziedziniec zapełniony nagrobkami ich biskupów i patryarchów. W kościele zwraca uwagę dziwna forma ołtarza. Mensę jego stanowi większa część kamienia zamykającego grób Zbawiciela (mniejsza jest w kaplicy Anioła przy grobie św.); ma on formę młyńskiego kamienia, tylko znacznie węższy, za to w przecięciu, jak mi się wydało, mieć musi najmniej dwa arszyny. Jestto różowawy wapiennik, zwyczajny w tych stronach. Po prawej stronie ołtarza jest maleńka kaplica; tu miało być

[1]) Ks. Pelczar przytacza ten opis. Ziemia św. i Islam, t. I., str. 185.

więzienie Zbawiciela, w którem przepędził noc po pojmaniu w Ogrójcu.

Na zakończenie tego rozdziału wspomnę, że XX. Augustyanie nabyli wschodnią część góry Syonu i oczywiście przyprowadzają do porządku. Do nich teraz należy, w tej stronie znajdująca się, grota płaczu św. Piotra po trzykrotnem zaprzaniu się Mistrza.

ROZDZIAŁ VI.

Stosunki i życie w Jerozolimie.

Spotkałem gdzieś zdanie Renana, że w ciągu jednego tygodnia doskonale można poznać i opatrzyć Jerozolimę. Zapewne, dla tak powierzchownego człowieka, jakim był ten pisarz, mogło być i tego nadto, w rzeczywistości jednak dla dokładnego opatrzenia świętego miasta i jego bliższych okolic łącznie z Betlejemem i Jordanem, sądzę, że trzeba co najmniej trzech miesięcy. Powiedziałem dla opatrzenia, bo dla zbadania można w niem mieszkać całe życie, jak to czyni np. znany archeolog Schick. Kto nie dotykał się bliżej tej materyi, nie może wyobrazić sobie ile tam jest rzeczy do widzenia, zwiedzania, poznania; każdy krok, każda prawie piędź ziemi ma jakieś wspomnienia i doprasza się o studya. Co do mnie, mogłem bawić w Jerozolimie zaledwie dwa tygodnie; to też mnóstwa rzeczy nie widziałem, wiele widziałem tylko powierzchownie, o wielu przypomniałem sobie po wyjeździe, albo nawet dopiero przy mojem biurku, oczywiście więc rozdziały jej poświęcone nie mogą rościć pretensyi do dokładności; są one bardzo ogólnym i grubym szkicem, zlekka wspomnieniami i wrażeniami mojemi ukolorowanym. Jeśli nie mogłem być dokładnym w opisywaniu pomników i miejsc, tembardziej, gość przelotny, nie mogę rościć pretensyi do wyczerpującego sprawozdania o stosunkach miejscowych, że jednak widziałem trochę, słyszałem więcej, a najwięcej czytałem, więc ułożę z tego maleńką mozaikę dla użytku tych czytelników moich, którzy nie mieli czasu, sposobności albo ochoty do zajmowania się losami różnych wyznań na Wschodzie.

Najpierwej coś wypada powiedzieć o panach kraju — Muzułmanach. Dla poznania wewnętrznych stosunków tego wyznania trzebaby warunków, z których ja żadnego nie miałem — zresztą są one dość znane skądinąd i wiadomo, że są wcale nieosobliwe. Mniej nas one obchodzą, albo nawet wcale nie, natomiast zaciekawi z pewnością stosunek muzułmanów do chrześcijan. Powiem odrazu, że wszystkie chrześcijańskie wyznania, a katolickie więcej może niż inne, doznają w państwie tureckim najobszerniejszej i najzupełniejszej swobody. Powtarzałem nieraz zdanie Damiani'ego: *Turchi non sono gabasze*, jest ono zupełną i całkowitą prawdą w stosunkach politycznych, ekonomicznych, administracyjnych. Pod tymi względami Turcya jest państwem jedzonem i dogryzanem przez swoich urzędników i naczelników, sprawiedliwość jednak każe przyznać, że swoboda nauczania, religii, języków, a bodaj i stowarzyszeń jest tam najzupełniejszą. Jakto, zapyta kto może, a ten okrzyczany fanatyzm turecki, o którym tyle dawniej pisano i dziś jeszcze Anglicy tak rozprawiają? Fanatyzm religijny przeszedł do Europy; na Wschodzie, powtarzam, pozostała najzupełniejsza tolerancya i swoboda. Gdyby Turkowi powiedziano, że np. w katolickiej Francyi księża i zakonnicy muszą chodzić z karabinami i stać w szeregach, że w szkołach rządowych nie wolno wymówić słowa Bóg, że krucyfiksy zsypywano do kloaki, że we Włoszech żołnierzowi nie wolno wejść do kościoła, a trumnę papieża chciano wrzucić do Tybru, myślałby z pewnością, że żartują z niego. Muzułmanin bowiem w czasach największego nawet fanatyzmu pojmował, że on może zabić giaura, ale żeby giaur prześladował własną religię i własnych kapłanów, to mu się nigdy w głowie pomieścić nie mogło. Muzułmanin wierzący oczywiście wiarę swoją ma za jedynie prawdziwą, wszakże uważa bardzo rozumnie i sprawiedliwie, że każdy sposób czczenia Ałłacha, choćby podług niego fałszywy, lepszym jest niż bezwyznaniowość. To też z uznaniem patrzą »prawowierni« na chrześcijan wierzących i modlących się publicznie, a dla duchowieństwa wszelkich wyznań mają szacunek, często nawet cześć prawdziwą. To też suknia kapłańska i habit zakonny może swobodnie ukazywać się wśród Turków; mogę o tem i z własnego doświadczenia coś powiedzieć. Zdarzało mi się, że uczący się młodzieniaszkowie nasi, jak na komendę całą gromadą pluli mi pod nogi, za każdym

razem gdym koło nich przechodził — (dla okazania jak bardzo wolni są od przesądów) — nic podobnego nie spotkało mnie w Konstantynopolu, Jerozolimie lub Kairze; owszem Muzułmanie witali mnie nieraz uprzejmie, zawsze odpowiadali grzecznie. A jacy są wdzięczni za opiekę nad chorymi i ubogimi, jak umieją oceniać poświęcenie! Siostry miłosierdzia i Józefinki są ulubienicami całej muzułmańskiej ludności; opowiadał mi zakonnik w Nazarecie, że gdy Franciszkanie czekają od dwóch lat na pozwolenie dokończenia hospicyum (szło tam o bakczysz dość znaczny), Józefinki otrzymały je dla siebie w ciągu dwóch czy trzech dni. Gdy poszły z prośbą do baszy jerozolimskiego, kazał napisać upoważnienie natychmiast, i ani on, ani jego kancelarya grosza bakczyszu od nich nie wzięła. We Francyi, jak wiadomo, zakonnicom, za ich poświęcenie w szpitalach, podniesiono podatki tak, że będą zrujnowane, jeśli się to prawo dłużej utrzyma. Ks. de Wandelbourg przytacza wiele przykładów takiej wdzięczności i tolerancyi. Tak np., gdy kanonik Belloni, założyciel wielkiego domu sierot w Betlejemie, po rocznym pobycie w Europie, wracał w 1875 r. do swego miasteczka, »na wiadomość o powrocie tego, którego Arabi wszystkich wyznań nazywają ojcem sierot, cała ludność nietylko katolicka ale i muzułmańska, a nawet w znacznej części grecka zebrała się na drodze z Jerozolimy do Betlejemu, tak, że cała była zapełniona konnymi i pieszymi. Przez całą drogę muzułmani, pomieszani z chrześcijanami, rzucali się do misyonarza, żeby dotknąć szat jego, ucałować ręce, pokropić go wodą różaną, pozdrowić wykrzyknikami. Przy wejściu do Betlejemu czekał nań oddział żołnierzy, żeby mu oddać honory wojskowe z polecenia otomańskiego gubernatora, który nazajutrz przyszedł go sam odwiedzić, jako dobroczyńcę kraju«. W Konstantynopolu, Smyrnie i innych wielkich miastach Turcyi odbywają się publicznie procesye z N. Sakramentem na Boże Ciało, wśród szpalerów tureckiego wojska prezentującego broń; tymczasem (pamiętają może moi czytelnicy) we Francyi jest to prawie wszędzie wzbronionem i gdy przed rokiem czy dwoma w pewnym okręgu niedaleko Paryża dziewczęta w bieli szły do sąsiedniej parafii, by tam wziąć udział w nabożeństwie, mer zabronił pannom w białych sukniach chodzić do sąsiednich kościołów. »Gdy karawany pielgrzymów katolickich przybywają corocznie do Jerozo-

limy, powiada ten sam autor, odbywają publicznie drogę krzyżową po ulicach Jerozolimy, klękając przy każdej jej stacyi... muzułmanie szanują nabożeństwo chrześcijan, a nawet zachęcają do niego... W jakiem mieście Francyi albo Włoch mogliby katolicy publicznie odbywać drogę krzyżową i nie byliby przytem znieważeni, a nawet aresztowani i uwięzieni?[1]) ...Zwyczajem jest w Jerozolimie, że basza, chociaż muzułmanin, synów swoich posyła na naukę do Franciszkanów albo do braci szkół chrześcijańskich, a córki do sióstr Syońskich. Ci baszowie, gdyby byli generałami albo prefektami w teraźniejszej Francyi lub we Włoszech, straciliby za to miejsce i urząd, w Turcyi nic im to w oczach Sułtana nie szkodzi; przeciwnie, przykład ich naśladuje całe wyższe towarzystwo muzułmańskie«[2]). Z pewnością takby było, czytaliśmy przecie niedawno jak prasa paryska, dowiedziawszy się, że generał jakiś w mundurze był na nabożeństwie czy pogrzebie piorunowała na niego, »że bezcześci Francyę i mundur żołnierza francuskiego« — na szczęście, obok modlących się generałów, jest jeszcze prasa, paryska prasa, ta zbawi i zachowa honor Francyi!

Nie dość tego, że chrześcijanie cieszą się w Turcyi najzupełniejszą swobodą wyznania — (czasami wynikają czasowe i miejscowe zatargi przeważnie z racyi bakczyszu) — posiadają tam oni przywileje, jakich nigdzie już o ile wiem, nie mają. Więc: 1) każdy proces chrześcijanina, poddanego sułtana, nie może się inaczej toczyć, tylko w obecności sędziego asesora chrześcijanina, wyznaczonego przez patryarchę lub biskupa tego wyznania, do którego oskarżony lub powód należy; 2) wszyscy chrześcijanie są wolni od służby wojskowej za opłatą nic nie znaczącego podatku 5 franków rocznie, kto jednak z tego przywileju korzystać nie chce, może wstąpić do wojska, to też w korpusie oficerskim mnóstwo jest chrześcijan miejscowych i zagranicznych; 3) kościoły, zakłady duchowne i pobożne fundacye chrześcijańskie wolne są od podatków; 4) Turcya uznaje w zupełności przywilej forum kościelnego; żaden duchowny nie może być

[1]) Wypadki tego (1896) roku i procesy wytoczone biskupom i księżom za procesyę Bożego Ciała dają odpowiedź na to pytanie.

[2]) Wandelbourg. *Palestine, Syrie et Arabie*, t. I., ch. IV. Cały ten rozdział zawiera wiele bardzo ciekawych danych i spostrzeżeń co do stosunku mosleminów dzisiejszych względem chrześcijan.

za występek sądzony i karany przez trybunały państwowe, chyba wtenczas tylko, kiedy zostanie przez własną władzę duchowną zdegradowanym i w ręce władzy świeckiej wydanym. 5) Co więcej Turcya przyznaje klasztorom prawo nietykalności i schronienia *(jus asyli)*; jak długo zbrodniarz kryje się w kościele lub klasztorze, władze państwowe tknąć go nie mogą (dlatego w czasie niedawnych zamieszek i rzezi Ormianie uciekali do swoich kościołów). Opowiadano mi jako przykład, że pewien muzułmanin jerozolimski przed kilku laty przyjął katolicyzm i zbiegł do klasztoru N. Zbawiciela. Całe miasto doskonale o tem wiedziało, ale ani lud ani władze nie próbowały nawet wydobyć go stamtąd. Ośmielony półroczną bezkarnością, pomimo przestróg Ojców, wyszedł na miasto — i nie wrócił. Dopiero po roku zapukał do klasztoru w mieście św. Jana (Ain Karim). Pokazało się, że skoro tylko wyszedł był na ulicę, natychmiast go policya porwała i okutego w kajdany odesłała do więzienia w Ptolomaidzie. Udało mu się uciec; przemykając się ukradkiem przez kraj cały, dostał się szczęśliwie do Ain-Karim. Siedział już potem cicho w klasztorze, pokąd nie trafiła się sposobność przesłania go incognito do Egiptu. Zresztą nawet pod tym najdrażliwszym względem, przejścia muzułmanina na chrześcijanizm, rygor znacznie osłabł. Władze państwowe jużci karzą i ścigają, jeśli rzecz staje się publiczną, patrzą jednak przez palce, nim się rozgłosi. Najniebezpieczniejszą w takich razach jest własna ochrzczonego rodzina. Żeby się jednak uchronić od władz i od rodziny, dość takiemu neoficie przejść do innej prowincyi. Jednym np. z najgorliwszych pomocników br. Jana z Frascati w budowaniu klasztoru na Karmelu, był O. Mateusz bulgar muzułmanin. Skoro przeszedł do Palestyny, mógł zostać zakonnikiem i kapłanem, podróżować i zbierać składki po całej Turcyi i włos mu z głowy nie spadł. Czemże jednak wytłómaczyć owe straszne rzezie, jak te np., których od dwóch lat świadkami jesteśmy? Niczem innem, tylko namiętnościami politycznemi. Jakkolwiek straszne i oburzające wypadki dzieją się dziś w Turcyi, rzeczą jest pewną i powszechnie wiadomą, że niema w nich ani odrobiny nienawiści religijnej — są to sprawy czysto i wyłącznie polityczne i narodowościowe.

Żydzi nie mogą dowolnie osiedlać się w Ziemi św., owszem,

nawet dla zwiedzenia jej potrzebują specyalnego, osobistego pozwolenia, które nie zawsze bywa udzielanem. Pomimo wszelkich jednak trudności i oni ulegli temu prądowi, który w drugiej połowie naszego wieku ciągnie ludzkość do Jerozolimy i do Ziemi świętej. Jak powiedziałem wyżej, żydzi stanowią teraz większą część ludności świętego Miasta; chrześcijanie na taki ich wzrost liczebny patrzą z nieufnością i niechęcią, a stan rzeczy jest tak szczególny, że jednocześnie mają racyę i nie mają jej. Nie mają, bo przecież Jerozolima, to własność i dziedzictwo żydowskie od wieków; jeśli gdzie mają oni prawo mieszkać, to na tej ziemi, której cal każdy krwią i łzami zrosili; zdawałoby się więc, że sama sprawiedliwość kazałaby znieść wszelkie dla nich pod tym względem ograniczenia, a jednak byłoby to rzeczą najsmutniejszą. Znaną jest bowiem nienawiść żydów do Chrystusa i Jego wyznawców. Nie ulega więc wątpliwości, że gdyby żydzi zostali kiedy panami dawnego swego kraju, doszczętnie zniszczyliby wszelkie, tak drogie chrześcijańskiemu światu pamiątki Zbawienia naszego. Próbowali tego nieraz. Wyroków Bożych człowiek zbadać w zupełności nie zdoła, więc nie podejmuję się tłómaczyć, dlaczego Pan Bóg lud ten trzyma w rozproszeniu; zapewne, najpierw i przedewszystkiem jest to kara, ale może i ta druga racya jest w części tego przyczyną, może, jak zapewniają proroctwa, dlatego żydzi nie pierwej powrócą do ziemi swojej, aż się nawrócą do Chrystusa i powiedzą: »błogosławiony, który idzie w imię Pańskie«. Wtenczas i oni wraz z nami czcić będą, co dziś nienawidzą i prześladują.

Chrześcijańskie wyznania chyba wszystkie są reprezentowane w Jerozolimie; dość długo brakowało protestantów, ale od lat kilkudziesięciu i oni tam osiedli. Robią nawet niemało szumu i hałasu, to też któryś patryarcha grecki miał powiedzieć: »katolicy niewiele dawali mi do roboty, byli oni, jak skrzypce cicho grające, ale przyszli protestanci i huczą jak wielki bęben — bum, bum, bum...« Nieraz zdarzało mi się spotykać i słyszeć narzekania na podział miejsc świętych między wielu, na kolejne nabożeństwo różnych wyznań przy jednym ołtarzu — każde wyznanie pragnęłoby *in petto*, usunąć inne, a wszystko sobie zabrać. Zapewne, smutna to rzecz, że wyznawcy Chrystusa nie stanowią jednej owczarni, ale skoro się rozdzielili, to

rozdział ten musiał być widocznym i u wspólnej, a wszystkim drogiej kolebki ich wiary, Pan Bóg zaś, który słońcu swemu każe świecić dla sprawiedliwych i grzeszników, pozwala na to, bo ma w tem Swe cele. Kto wie, może rozmaitość wyznań reprezentowanych w Jerozolimie przyczyniła się do utrzymania we władaniu chrześcijańskiem miejsc świętych, do utrzymania znaczenia imienia chrześcijańskiego; gdy jedno słabło albo obojętniało, występowało inne. Wstyd wyznać, ale tak było — wszak katolicy od połowy XVIII. do połowy XIX. wieku zupełnie byli o Ziemi świętej zapomnieli; OO. Franciszkanie trzymali się tam heroicznymi wysiłkami i ostatkami sił, z Europy przychodził jeden pielgrzym katolicki na rok, czasami żaden. Chrześcijanizm przedstawiali wtenczas Grecy; były znowu czasy kiedy górą byli Gruzini i Ormianie, raz nie było nikogo w Jerozolimie oprócz Syryjczyków. Tak samo powiedziałbym, że i panowanie Turków ma swoją dobrą stronę pod względem religijnym; jakkolwiek przekupni i żądni bakczyszu, są oni jednak jako nieinteresowani bardziej bezstronnymi sędziami w sporach między chrześcijanami, niżby ci sami być mogli; utrzymują pewną równowagę wśród rozmaitych a zapalczywych żywiołów. Ta właśnie zapalczywość i wynikające stąd kłótnie, spory i procesy, (dawniej nawet bójki i zabójstwa) są najsmutniejszą stroną stosunków wzajemnych między chrześcijańskiemi wyznaniami. Zresztą za czasu mego pobytu pokój był »między pany chrześcijańskimi«. Nawet zwykle burzliwi i niespokojni Grecy siedzieli cicho, a Franciszkanie z uznaniem odzywali się o bezstronności ówczesnego patryarchy Gerasima IV. Niedawno bowiem mnisi greccy na Taborze zabrali kawałek ziemi do łacinników należącej, włączyli do swego ogrodu i otoczyli murem. Wskutek skargi katolików patryarcha grecki rozpoznawszy sprawę, kazał zakonnikom swoim mur rozebrać i ziemię zwrócić, tak że obeszło się szczęśliwie bez procesu w sądach tureckich. Kiedy przed kilku laty kardynał Lagenieux przyjechał do Jerozolimy dla przewodniczenia na kongresie eucharystycznym, patryarcha grecki posunął uprzejmość tak daleko, że wysłał dla powitania go dwóch swoich biskupów. Łacinnicy z uznaniem wspominają o tej jego grzeczności. Przed kilku laty przebiegła była po tym spokojnym horyzoncie chmurka, która w błąd wprowadziła wielu co do stanu stosunków wzajemnych; mówię

tu o zastrzeleniu w Betlejemie przez Dalmatyńca zakonnika katolickiego. Smutny ten wypadek gazety rozniosły po całej Europie, oskarżając to jedną to drugą, to znowu trzecią stronę. O przebiegu wypadku dowiedziałem się na miejscu z ust niepodejrzanych, bo od samych XX. Franciszkanów, i mogę zapewnić, że nie byli tam winni ani Grecy, ani Franciszkanie, ani podróżni, którzy nieszczęśliwie na takiego przewodnika trafili — był to smutny wypadek zabójstwa, którego winowajcą jedynym był ów drogoman Dalmatyniec, a raczej jego niepohamowany charakter, przywiedziony do ostateczności przypadkiem przez niego samego spowodowanym. Opowiem o tem szczegółowo w następnym rozdziale. Ponieważ wkrótce prawda wyszła na jaw, więc zgoda nie została zamąconą i trwała za mojego pobytu i oby trwała jak najdłużej.

Nie miałem czasu ani sposobności do przyglądania się co robią wyznania niekatolickie, zauważyłem tylko, że tak samo jak wśród katolików obudził się wśród nich ruch jakiś i pociąg do Ziemi Świętej. Na pewno twierdzić można, że od czasów panowania krzyżowców, nie widziała ona nic podobnego — tylu tysięcy corocznie pielgrzymów, tylu składek i ofiar, tylu nowych świątyń, tylu zgromadzeń zakonnych, takiej pamięci o sobie w całym chrześcijańskim świecie. To też nie wiem nawet jak nazwać utyskiwania Loti'ego, że »blask imienia Jeruzalem gaśnie i przyszłe pokolenie już zapewne nic z niego nie obaczy; że rzadki tylko i to ostatni pielgrzym zwiedza jeszcze miejsca święte«. Są ludzie, a nawet jest ich bardzo wielu, którzy jak bałwany pogańskie, o których mówi psalm: »mają oczy a nie widzą, mają uszy a nie słyszą« — zapatrzeni w halucynacye własnego niewierzącego umysłu, nie widzą, nie słyszą i nie rozumieją, co się koło nich dzieje w świecie wierzących. Loti do takich właśnie należy.

Ponieważ nie wiele mógłbym powiedzieć o niekatolickich chrześcijańskich wyznaniach, więc zajmę się tylko katolikami, z którymi ciągle obcowałem. Wiadomo, że od roku 1291, w którym ostatni patryarcha jerozolimski utonął w morzu po zdobyciu Ptolomaidy (St. Jean d'Acre) nie było w Palestynie prawidłowej katolickiej hierarchii; pieczę nad miejscami świętemi i garstką katolików sprawowali zakonnicy św. Franciszka, na których czele stał przełożony jerozolimskiego klasztoru z tytułem kustosza Ziemi świętej. Położenie ich bardzo tru-

dne stawało się coraz trudniejszem od połowy XVIII wieku; katolicka Europa obojętniała, monarchowie zapominali, wybuchła rewolucya, pielgrzymki prawie zupełnie ustały. Nie były one zresztą bardzo liczne i dawniej. M. Mann podaje ich liczbę: z księciem Radziwiłłem w 1583 r. było dziesięciu, w 1589 r. siedmiu, w 1656 r. Thevenod był dwudziestym drugim. Na Wielkanoc 1806 r. przybył jedyny P. Seetzen; w 1831 r. było pięciu, z tych jeden O. Geramb kameduła i dwaj Polacy. Mgr. Mislin wspomina, że w 1848 znajdowało się oprócz niego w Jerozolimie sześciu pielgrzymów katolickich. Z Mannem w 1853 r. było 10, a na Wielkanoc tegoż roku 14 — więc już niejaki postęp. Wskutek takiej obojętności katolickiego społeczeństwa, położenie katolików w Palestynie i w samej Jerozolimie było bardzo smutne i nieznaczące. »Patryarcha Kościoła, powiada Mann, który dwieście milijonów wyznawców liczy po świecie, jest najuboższym patryarchą w Jerozolimie i nie ma nawet, można powiedzieć, świątyni dla czci religii swojej. Grecy i Ormianie posiadają pyszne cerkwie, mahometanie mają jeden z najpiękniejszych na świecie meczetów, żydzi mają kilka bóżnic, protestanci niedawno, bo od lat kilku dopiero w Jerozolimie będący, zbudowali już sobie wytworny bardzo kościół naprzeciw zamku Dawidowego; my zaś od ośmnastu wieków nieprzerwanie na Ziemi świętej wojujący, mamy tylko kilka miejsc w kościele Grobu św., kaplicę Biczowania na drodze Bolesnej i mały kościołek w klasztorze S. Salwatora (N. Zbawiciela) na piętrze, mający dziewiętnaście łokci w kwadrat[1])«. Stan finansowy był wprost rozpaczliwy, bo biedni zakonnicy zamykali coroczny budżet z deficytem 25.000 franków. Liczba katolików w całej Palestynie nie przechodziła 4.000 dusz, zakonników zaś w całej prowincyi, obejmującej Cypr, Syryę, Fenicyę, Ziemię św. i Egipt, było księży: 102 i 67 braciszków, razem 169, z tej liczby w Ziemi świętej zostawało 60 księży i 52 braciszków. Katolików Jerozolima liczyła tylko 940. Tak było jeszcze w 1853 r. Jeśli łaskawy czytelnik pamięta wykaz ludności katolickiej, duchowieństwa, kościołów i zakładów, w jednej tylko Jerozolimie, podany przezemnie w 1-ym rozdziale tej części, sam osądzi jak olbrzymią jest różnica dzisiejszego stanu rzeczy i jak ogromna

[1]) Podróż na Wschód, t. II, str. 156.

zmiana na lepsze. Przyczyny jej przedewszystkiem szukać należy w przebudzeniu się ducha społeczeństw katolickich pod energicznem kierownictwem Piusa IX. Ponieważ Ziemia św. pod żadnym względem, nie wyłączając religijnego, samodzielnie stać i rozwijać się nie może, więc soki i siły żywotne czerpać musi z zewnątrz. Głównem zadaniem na miejscu jest tylko mądre i roztropne szafowanie tem, co świat katolicki daje. Z tego względu Pius IX miał szczęśliwą myśl wskrzeszenia patryarchatu łacińskiego, nieobsadzonego od sześciu i pół wieku (od 1291 r.). Jakkolwiek OO. Franciszkanie byli i są zawsze pełnymi poświęcenia i świętymi ludźmi, ale misyonarze nigdy nie zdołają zastąpić prawidłowej hierarchii kościelnej; kustosz Ziemi św., jakkolwiek nieraz biskupią ozdobiony godnością, nie mógł powagą stanowiska i zewnętrznej okazałości mierzyć się z patryarchami Greków i Ormian; wreszcie zakonnicy ciągle zmieniający się nie mogli zakorzenić się w kraju, albo raczej zmienić się na drzewo z miejscowych soków ciągnące życie. Pius IX przez bullę z d. 23 lipca 1847 r. wznowił patryarchat jerozolimski i patryarchą mianował ks. Józefa Valerga, kapłana świeckiego, byłego misyonarza w Syryi, Mezopotamii i Persyi, mającego zaledwie 34 lat. Wybór był najszczęśliwszym i lepiej nie można było trafić. Nowy patryarcha odznaczał się rozumem głębokim, energią nieustraszoną i niezmordowaną, przytem posiadał prawdziwie włoską dyplomatyczną roztropność przy wielkiej świątobliwości, słowem należał on do najpiękniejszych biskupich postaci naszego stulecia i był jakby drugim kardynałem Lavigerie, którego nawet, o ile z portretów sądzić mogłem, z twarzy i postawy przypominał. On to dał początek nowemu życiu katolickiemu w Ziemi św. Założył seminaryum, pobudował kościoły, utworzył duchowieństwo świeckie, kreował parafie i uczynił pierwszy krok do tego, żeby wzbudzić duchowieństwo z miejscowej ludności. Umarł w 1873 r. w skutek złośliwej febry, której się nabawił w czasie wizyty pasterskiej w pustyniach zajordańskich. Nie spotkałem specyalnej i wyczerpującej biografii tego wielkiego i świętego biskupa, chociaż każdy opis pielgrzymki do Ziemi św. o nim wspomina; najwięcej szczegółów z jego życia znalazłem w przytoczonem już przezemnie dziele ks. Wandelbourg'a, który przez lat kilka bawił przy boku patryarchy. Czy ziarno przez niego zasiane wydaje plon jaki, nie mogłem osądzić; z tego,

com widział i słyszał, wnioskowałbym, że nie taki on jest jakby należało, a przyczyną jest może, że rozumny i energiczny patryarcha nie miał godnych siebie następców; po nim bowiem zasiadł na tronie patryarchalnym sufragan jego X. Wincenty Bracco, bardzo przez wszystkich kochany dla swej dobroci i świątobliwości, ale chorowity i więcej zajęty podobno modlitwą niż administracyą. Dzisiejszy zaś patryarcha Ludwik Piavi, nie cieszy się uznaniem swych owieczek, nie wiem dla jakich przyczyn. Bodaj, że jest to człowiek podeszły i zadaniu swemu podołać nie umiejący.

Nie wiem, jak się rzeczy mają z duchowieństwem świeckiem, nie poznałem ani zakresu działalności jego, ani uzdolnienia, na pierwszy jednak rzut oka wszędzie widać XX. Franciszkanów, i oni po dawnemu stoją na pierwszym planie, jeśli nie *de jure* to *de facto*. O nich więc teraz słów parę wypada powiedzieć.

Nazywałem ich bez różnicy Bernardynami albo Franciszkanami i muszę się z tego wytłumaczyć. Zakon św. Franciszka z Assyżu, jak wiemy, od swego założyciela nazwany został Franciszkańskim; nie zachował on jednak jednolitości, bo wkrótce po śmierci fundatora pewna część zakonników przyjęła regułę nieco zmodyfikowaną i nie tak ostrą jak pierwiastkowa; ten kierunek nawet z czasem przemógł i stał się prawie powszechnym. Zawsze jednak znajdowały się dusze gorliwsze i świętsze, wzdychające do pierwotnej doskonałości, powstawały więc ciągle w tej lub owej prowincyi reformy zakonu. Ostatecznie w XVI wieku zakon Franciszkanów rozdzielił się na dwie wielkie gałęzie: konwentualnych, zachowujących regułę łagodniejszą, i obserwantów (de observantia) trzymających się dawnej reguły św. Franciszka. Obydwa odłamy mają prawo do tytułu Franciszkanów, u nas jednak przyjęto nazywać tak tylko konwentualnych, obserwantów zaś przezwano Bernardynami od pierwszego klasztoru, jaki im wybudowano w Krakowie pod wezwaniem św. Bernardyna Syeneńskiego albo, co prawdopodobniejsza, od samego tego świętego, który był jednym z najżarliwszych obrońców i krzewicieli reformy. W Ziemi św. są tedy zakonnicy św. Franciszka ścisłej reguły, t. j. *de observantia*, my ich nazywamy Bernardynami, na Wschodzie zaś ogólnie zwani są Franciszkanami. Do tych samych co dawniej krajów dodano im jeszcze Armenię. Liczba ich od 1853 r. znakomicie wzrosła, jest ich

bowiem w »Kustodyi Ziemi świętej«, tak kapłanów jak braciszków i nowicyuszów, 444, zatem więcej niż dwa razy tyle co przed 40 laty [1]). Jedni z nich mieszkają stale w Ziemi św., inni przebywają czasowo; Franciszkanie zachowują w tym względzie swobodę, jakiej nie mają inne zakony, nie każą oni nikomu jechać do Ziemi świętej, ale pozwalają. Ten jedzie kto chce i prosi; jeśli jednak pojedzie, obowiązany sześć lat tam przebyć (oczywiście wyjąwszy chorobę, ważne interesa i t. p.). Dla dania zaś takim przybyszom sposobności poznania całego Wschodu, co czas pewien zmieniają klasztory i takim sposobem mogą zwiedzić wszystkie miejsca święte, historyczne i ciekawe. Klasztorów, rezydencyi i domów mają w całej Kustodyi 48. Podług narodowości dzielą się następnie: Amerykanów 5, Belgów 8, Bośniak 1, Kroatów 4, Dalmatów 2, Francuzów 33, Anglików 3, Włochów 124, Maltańczyków 4, Holendrów 7, Polaków 4, Sasów 9, Hiszpanów 67, miejscowych z różnych ziem Wschodu 163, Tyrolczyków 8, Węgrów 2.

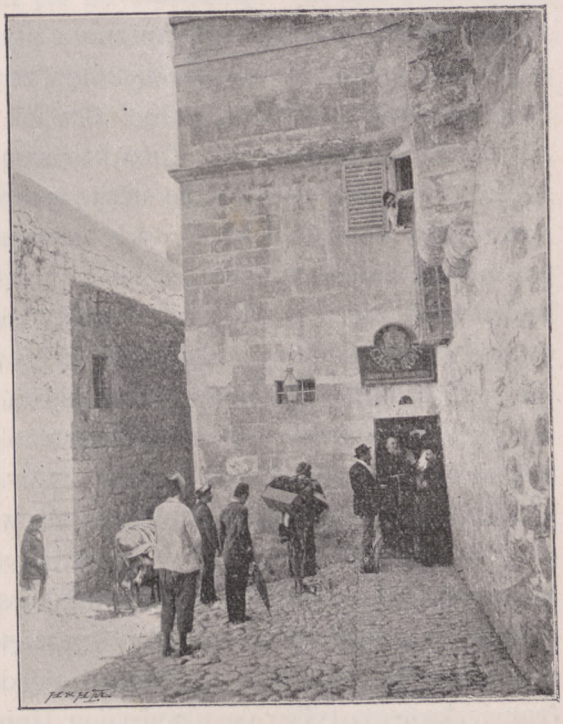

Wejście do hospicyum XX. Franciszkanów w Jerozolimie.

Łatwo podać cyfry i wymienić spełniane przez Franciszkanów obowiązki, trudniej natomiast narysować ich duchową fizyognomię. Najprawdziwszem będzie określenie, że są to asceci; obcując z nimi, miałem ciągle przed oczyma ludzi wyrobionych duchowo, panujących nad sobą, obcowałem z ludźmi żyjącymi życiem nadprzyrodzonem. Zapewne większość pielgrzymów musi zauważyć i ocenić ich niewyczerpaną dobroć, cierpliwość, uczynność. Jedna znajoma mi staruszka, która trzy razy była w Jerozolimie, gdy zaczynała mówić o tych za-

[1]) Podług *Familie religiose della Oss. Custodia di Terra santa 1894 an.*

konnikach, zwykle kończyła na tem, że oni tacy kochani; rzeczywiście kochani, to proste ale bardzo trafne ich określenie — niezupełne jednak. Powiedziałem, że większość ocenia ich dobroć, prostaczkowie poznają się na tem, że to ludzie kochani, są jednak i tacy podróżni, którzy tego nie widzą. Zakonnik przyjmuje ich tem, co u drugich wyprosił — no, spełnia swój obowiązek! Powinien przyjmować, skoro taka godna osoba, raczy u niego mieszkać bezpłatnie, w hotelu przecież musiałaby płacić! Zakonnik im służy, prowadzi, odpowiada na niemądre często pytania, poświęca im swój czas i pracę — naturalnie, tak być powinno, on się na to przecie poświęcił, jak u nas mówią. Natury egoistyczne a płytkie nie umieją ocenić, ile jest wielkości w tem cichem codziennem zaprzaniu się siebie, jakiej pracy i umartwienia potrzeba, żeby człowiek był tak łagodnym, usłużnym, nie chciwym, pokornym. Zato kto sam popróbował trochę tej pracy i wie, czem ona pachnie, że użyję pospolitego wyrażenia, ten doskonale oceni wartość tych bosych, skromnych, przepasanych sznurem postaci. Obserwowałem też ich zcicha i miałem obfity materyał do budowania się a często i do zawstydzenia. Kiedy muzyk posłyszy prawdziwego artystę, wstydzi się jużci, że ten go w kozi róg zapędził, ale jeśli szczerze muzykę kocha, nie może nie czuć przyjemności słuchając bieglejszego od siebie mistrza — i ja takiej doświadczałem wśród zakonników Ziemi świętej. Mówię to zresztą nietylko o Franciszkanach, lecz i o innych także; mam wielką pokusę przytoczyć kilka przykładów, ale boję się być rozwlekłym, więc się na ten raz przezwyciężę. Jak to jednak duch wyciska swe piętno na ciele, nawet niepięknem i nieestetycznem. Raz, pamiętam, gdy zwiedzałem kościół ormiański św. Jakóba, przyłączyli się do mnie dwaj młodzi klerycy franciszkańscy, tylko co przybyli z Holandyi. Trudno o brzydszych ludzi. Twarze najnieforemniejsze, pokryte gęsto piegami, usta i nosy krzywe i pokręcone, włosy rude, nogi bose czerwone i szkaradnych form — słowem jeśli nie monstra afrykańskie, to bardzo brzydcy w każdym razie młodzieńcy. Ale w ich oczach taki był poczciwy wyraz, a sposób znalezienia się i ruchy tak skromne i przyzwoite, że się trzeba było z ich brzydotą pogodzić. Czasami spotykałem zakonników, z których całej postaci widać było, że utonęli w Bogu. Mówili, chodzili, ruszali się, ale na twarzy ich rozlany był pewien szczególny

wyraz; kto go rozumiał, ten wiedział, że serca tych ludzi i teraz i zawsze zostają przy Bogu i w Bogu. Nie potrafię opisać tego słodkiego a dziwnie poważnego wyrazu skupienia, słodyczy, przedewszystkiem zaś rozmodlenia, jakie na ich twarzach obserwowałem. Pomyśli kto może, że egzaltuję się i zapominam o wadach, które najświętsi ludzie mieć muszą. Byłbym posądzony niesłusznie. Egzaltacyą nigdy, nawet powszednio, nie zgrzeszyłem w życiu, a w dodatku, gdzie jest człowiek, któryby nie dostrzegł źdźbła w oku bliźniego? I ja więc dopatrzyłem pewnych niedoskonałości u moich poczciwych Bernardynów, zdało mi się jednak, że gdyby ludzie gorszych nie mieli, życie na ziemi byłoby dość znośne. Otóż jeśli mam prawdę mówić, miałbym do zarzucenia brak czystości, porządku i ochędóstwa nietyle w osobach zakonników ile w ich mieszkaniach. Jest to wada wszystkich ludów z Południa, że chociaż woda u nich cieplejsza niż u nas, nie lubią jej używać i że w mieszkaniach brudno i nieporządnie. Nie mówię o kościołach i zakrystyach, bo te są wzorowo utrzymane. Dostrzegłem też śladów pewnego uczucia, które u kogo innego byłoby za cnotę uważane, u zakonników jednak może uchodzić za rzecz ludzką i mniej doskonałą. Mówię o stosunku do patryarchatu. Łatwo zrozumieć, że zakon sześć wieków trwający na miejscu, wśród najgorszych okoliczności, że zgromadzenie, które liczy w tym kraju do 5000 męczenników i które tu było wszystkiem, mogło się do swego górującego stanowiska przyzwyczaić, bo też na nie krwawo zapracowało. Tymczasem gdy powiał wiatr łagodniejszy, uśmiechnęła się nadzieja lepszej przyszłości, przychodzi młody kapłan, zostaje patryarchą, zabiera pierwsze miejsce, honory, kierownictwo spraw, a im, starej gwardyi, każą słuchać, zstąpić niżej, a nadto, ponieważ patryarcha nie miał środków do życia, musieli mu ze swego udzielić i dla niego jeszcze zbierać. Franciszkanie usłuchali i poddali się z karnością, której najbardziej wyćwiczona armia mogłaby pozazdrościć, ale ludzkie uczucie odezwało się w sercu i jeszcze ja słyszałem słabe jego echa u starych zakonników; młodzi dawnych czasów nie pamiętają, więc nie żałują. Dlatego też ś. p. Valerga nie jest u nich *in odore sanctitatis*. Pomimo całej pokory mają też i swój patryotyzm zakonny — czasami wyrywa się im z ust przekonanie, że takiego zakonu jak ich, niema i nie było, ale czyż tę miłość swego domu i gniazda można mieć za

złe? O ile wiem, każdy zakon ją posiada. Tu przypominam sobie anegdotę opowiadaną mi przez jednego z naszych Kapucynów, która może być ilustracyą tego poczciwego uczucia, choć może człowiek doskonały kochając co swoje, nie powinienby stawiać go wyżej od cudzego, jeśli na to w rzeczywistości nie zasługuje. Opowiadał mi tedy mój znajomy, że pewien nowicyusz kapucyński wystąpił z zakonu i został księdzem świeckim. Po latach kilkudziesięciu zrobiono go biskupem; mówiono o tem w klasztorze, w którym niegdyś odbywał nowicyat, a braciszek staruszek słuchając tego, powiada kiwając z politowaniem głową: »został biskupem — dopieroż karyerę zrobił! Gdyby był został Kapucynem, jużby dotąd mógł być prowincyałem«.

Niektóry podróżni, zwłaszcza z przeciwnego obozu, zarzucają zakonnikom Ziemi św. ,że zbyt są prości, pospolici, że niema wśród nich erudytów i uczonych. Jestto zupełnie to samo, co mieć za złe żołnierzom i oficerom armii w kraju nieprzyjacielskim bojującej, że nie piszą książek o strategii, balistyce, fortyfikacyach i t. p. Zakonnicy na misyi nie mają czasu do poważnych i ciężko uczonych studyów. Piszą tylko takie rzeczy, które są na razie i na miejscu potrzebne; dla podobnych książek mają nawet XX. Franciszkanie własną drukarnię. Zresztą zwyczajni podróżni niewiele mogą wiedzieć o stopniu naukowości zakonników Ziemi św., bo zostają w stosunkach tylko z braciszkami i laikami — ci mają rozmaite praktyczne zajęcia: przewodników, kanafarzy, refektaryuszów i do nauki żadnej pretensyi nie roszczą. I ja też nie miałem sposobności bliższego poznania starszych i uczonych w zakonie — tyle było do zrobienia, a tylko dwa tygodnie czasu! Najczęściej widywałem O. Filipa, przełożonego nad hospicyum; przychodził też prawie co dnia odwiedzić nasze grono O. Jukundyn Bielak; czasami widywałem br. Liévin'a, starego przewodnika podróżnych i w ciągłych zostawałem stosunkach z najmilszym br. Łukaszem da Haecht, naszym przewodnikiem. Niewiele mam do powiedzenia o O. Filipie; jestto niemłody już kapłan, Włoch o bardzo sympatycznej twarzy, zawsze uśmiechnięty i wesoły, bez śladu wszakże rubaszności; do niego podróżni udają się we wszelkich interesach miejscowych. Widocznie dawniej hołdował muzyce, bo w dwóch jego malutkich celach (włoskim obyczajem utrzymywanych) widziałem fisharmonię i nuty. O. Bielak, rodem z krakowskiego, liczne za młodu odbywał podróże, czas jakiś

nawet bawił w derkalskim klasztorze Reformatów w gub. Wołyńskiej (bo i sam jest Reformatem). Potem wędrował po całej prawie Europie, aż wreszcie z Rzymu został wysłany do Jerozolimy, gdzie już 30 lat przebywa. Cichy, spokojny i nadzwyczaj łagodny staruszek; on to opiekuje się kilkunastu rodzinami polskiemi, które tu osiadły (może prawidłowiej byłoby powiedzieć: osobami, bo rodzin bodaj wśród nich niewiele) i biedę swoją na jego barki zwaliły. Wybierał się na przyszłą wiosnę do domu do Krakowa, tymczasem słyszałem, że po moim wyjeździe ciężko chorował i nie wiem, czy się mu udało powrócić do swoich. Br. Liévin'a widywałem kilka razy, ale z nim znajomości nie zawiązałem. Jest on bardzo znany w pewnych sferach jako długoletni i doświadczony przewodnik pielgrzymów po Palestynie i autor dzieła w 3 tomach *„Guide indicateur de la Terre Sainte“*. Nie poznałem wprawdzie autora, lecz z książką jego miałem wiele do czynienia, spisując te moje wrażenia i wspomnienia. Z niej czerpałem wymiary odległości, dopełniałem szczegółów, których na razie nie dopatrzyłem lub z czasem zapomniałem, winienem więc jej wdzięczność i muszę wyznać, że pod tym względem można się na nią z wszelką spuścić pewnością. Ma zato i wady pewne: więc najpierwej niesłychanie drobiazgowy i nudny układ, stąd rozwlekłość, ciągłe powtarzanie się i zawiłość. Daleko gorszą wadą jest stronniczość; rozumiem, że katolik przeważnie katolickie rzeczy uwzględni, że Franciszkanin na pierwszem miejscu po P. Jezusie i N. Pannie postawi swój zakon i swoich zakonników (jak to właśnie czyni Liévin), ale nie powinienby dlatego zapominać i zaniedbywać innych rzeczy. *Guide indicateur* tymczasem zdaje się nie przypuszczać, żeby ludzi mogło interesować coś, co nie jest katolickiem i bernardyńskiem. Wspomina jużci o tak głośnych pomnikach jak np. meczet Omara, albo kościół św. Jakóba (ormiański), zresztą lekceważy inne wyznania i pomija wiele rzeczy, które jednak

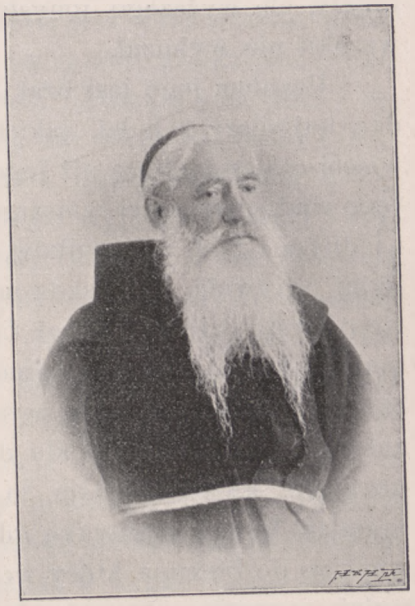

X. Jukundyn Bielak, Reformat.

są ciekawe i interesujące. Ja przynajmniej znalazłem u niego bardzo mało o rzeczach niekatolickich, których jednak w Jerozolimie jest bardzo dużo. Erudycyi Liévin'owi odmówić nie można; ma ją i bardzo obszerną, ale także jednostronną i wadliwą jego krytyką i erudycyą kieruje nie rozum lecz serce, nie beznamiętna nauka lecz miłość dawnych tradycyi. Najmniejszą nawet legendę podaje za prawdziwą i dowieść jej usiłuje, a przez to szkodzi prawdziwym i historycznym faktom i podaniom. Na ogół autor tego przewodnika wykazał wielką skrzętność i pracowitość: policzył kroki, wymierzył cale, przeczytał foliały, ale wyższego umysłu, szerszego poglądu i dalej sięgającego wzroku nie wykazał.

Uczniem jego jest brat Łukasz van Velthoven z Haechtu, Holender, najmilszy z ludzi, jakich poznałem. Zdaje mi się, że uczeń ma więcej otwartą głowę niż jego nauczyciel i że się z czasem nie z jednej jego wady otrząśnie; tymczasem jest niezmordowanym przewodnikiem i jednym z tych zakonników, których moja znajoma staruszka kochanymi nazywała. Nie każda matka potrafiłaby tak pilnować i troszczyć się o swoje dzieci, jak brat Łukasz troszczy się o zupełnie mu obcych podróżnych; czy trzeba zamówić konie i osły, czy wyrobić t e s k e r e, czy coś kupić, o coś się wystarać, czegoś się dowiedzieć, wszystko załatwia brat Łukasz. Cały dzień kręci się jak mucha w ukropie; to go posłał ktoś do miasta, to angielka bierze go na konferencyę jak urządzić konną wycieczkę gdzieś po górach Judzkich, to znowu wzywają go do biskupa, który wczoraj przyjechał; brat Łukasz wszystkim radzi, wszystko zamawia, kombinuje; pomoże wsiąść na koń i prowadzi, chcecie do Hebronu, to do Hebronu, chcecie morzem do Kaify — i owszem. A kiedy po całodziennej jeździe staną podróżni u celu, zajmują najlepsze miejsca, zakonnikowi zaś oddają bylejaką dziurę, w której jak mi opowiadał, nieraz po całych nocach był *rongé par la vermine*. Jeśli gdzie był klasztor, uciekał do niego, nie chcąc od nikogo nawet szklanki piwa przyjąć. Delikatniejsze dusze z naszego orszaku do desperacyi z tego powodu dochodziły, bo rzeczywiście niesłychanie przykro przyjmować bezpłatnie czyjeś usługi i nie być w stanie niczem mu za to się odwdzięczyć! Byli jednak i tacy, którzy to uważali za rzecz całkiem naturalną; przecież tam potem da się na klasztor jaką setkę franków, więc brat Łukasz powinien się wysługiwać. Zmę-

czony, niewyspany, zbity drogą, może sobie iść gdzie chce — *der Mohr hat seine Pflicht gethan, der Mohr kann gehen.*

Nieraz patrząc na tego przystojnego i młodego mężczyznę, mówiącego biegle pięciu językami, znającego tak dobrze historyę, archeologię, geografię, myślałem sobie: gdyby te przymioty posiadał jaki w jego wieku młodzieniec bezwyznaniowy, jakby blagował, flirtował, bałamucił — a ten bosy i z gołą głową prowadzi bezpłatnie podróżnych, znosząc od nich nieraz niegrzeczności, o których już wolę obszerniej nie wspominać. Ileż to razy bywało, że cały orszak zbierze się i ma wyruszać, ale pokazuje się, że któraś z dam właśnie gości przyjmuje albo posilać się raczy. Czekamy przez grzeczność — po jakich dziesięciu minutach zabieram parasol i ruszam sam albo z innym przewodnikiem; jak sobie radzą inni, nie wiem, ale brata Łukasza zostawiam chodzącego po korytarzu z najspokojniejszą miną; żeby się skrzywił. Mówiłem też nieraz, że po wyjeździe naszej karawany z pewnością brat Łukasz za tę cierpliwość żywcem do nieba będzie wziętym [1]). Co prawda, to i ja nie całkiem mam czyste sumienie względem zacnego braciszka; narażałem cierpliwość jego na ciężkie próby, tylko już w innym rodzaju. Jako uczeń Liévin'a odziedziczył on po nim miłość dla wszelkich legend i tradycyi, których uporczywie bronił. Co do mnie, przyjmując rzeczy dowiedzione za pewne, a wątpliwe za wątpliwe, potrzebowałem dokładniejszych dowodów i liczne stawiałem zarzuty, gdy reszta orszaku słuchała ze skupieniem ducha i bez szemrania. Brat Łukasz wpadał w zapał — skakał z kamienia na kamień, ze schodka na schodek, zapalał się, dowodził, wymachiwał rękoma. Ten zapał robił mi wielką przyjemność, to też jeśli z początku czyniłem zarzuty tylko dla względów krytycznych, to potem — *mea culpa* — i dla przyjemności podniecenia naszego kochanego przewodnika. W czasie skupionego milczenia słuchaczy a ożywionego wykładu z jego strony, wymykał się z ust moich zarzut półgłosem wypowiedziany, który jednak wpadał do głębi serca poczciwego braciszka. — *Comment? vous dites, que c'est impossible,* zwracał się do mnie — i dalejże pokazywać, skakać, mierzyć — gdy się trochę

[1]) Żartując w ten sposób, nie przypuszczałem, że będę aż nadto prawdziwym prorokiem — w rok po moim wyjeździe z Palestyny brat Łukasz umarł, napełniając szczerym żalem wszystkich, którzy go znali.

uspokoił, znowu znajdowało się coś do zarzucenia, tak że wkońcu w oczach brata Łukasza uchodziłem za skończonego sceptyka historycznego. To też przed rozstaniem się w Nazarecie, przyznał się pod sekretem jednej z naszych pielgrzymek, że bardzo wątpi, czy ja wierzę w prawdziwość jakiegokolwiek miejsca świętego w Palestynie. Ma się rozumieć, że w pół godziny potem ja o jego względem mnie powątpiewaniach wiedziałem, ale dlaczegóż mówił pod sekretem?

O kilkanaście kroków od klasztoru N. Zbawiciela znajduje się hospicyum franciszkańskie, t. j. dom dla pielgrzymów, tak zwana *casa nuova* (nowy dom). Dlatego zapewne taką mu nazwę dano, że jest nowym domem obok starego klasztoru. Dawniej bowiem, kiedy po kilku gości na rok miewali Ojcowie, dawali im gościnę w klasztorze. O. Jukundyn mówił mi, że kiedy przybył do Jerozolimy (w 1864 r.) było tylko 15 pokoi dla podróżnych, dzisiaj jest ich sto. Stanowią one duży podłużny czworobok, korytarzem poprzecznym przecięty na dwa kwadraty, każdy jest o piętrze, a na środku ma kamieniem wyłożony dziedziniec. Urządzenie jest klasztorne. Cele mniejsze lub większe wychodzą na korytarze; cały gmach zbudowany fundamentalnie z kamienia, cele są sklepione, dobrze umeblowane, łóżka żelazne na sprężynowym materacu, z nieuchronną mustykierą. Podróżni są tu przyjmowani bezpłatnie przez dwa tygodnie, potem, zwłaszcza jeśli ruch jest większy, powinni ustąpić innym. Zamożniejsi pielgrzymi oczywiście płacą wkońcu pobytu ile zechcą lub mogą, lecz Ojcowie przyjmują to i dziękują jak za wspaniałomyślną jałmużnę. Podróżni stosownie do swego stanowiska dzieleni bywają na trzy klasy, z których każda ma swój refektarz. Pierwsza ma nadto dywan, t. j. salę bawialną (czy inne dwie je mają, nie wiem), w niej schodzą się pielgrzymi na gawędę, przyjmują gości, których u siebie przyjąć nie wypada lub niema ochoty. Na dole jest refektarz, ogromna, lecz dość wązka sala; tam zrana od 8 do 10 dawano kawę, o 12 śniadanie, o 7 obiad.

Wspomniawszy o refektarzu i obiedzie, wypada coś powiedzieć o tem, co i jak jadaliśmy. Niestety! Wiadomo, że kuchnia włoska bybyłaby najgorszą w Europie, gdyby hiszpańska nie była jeszcze gorszą; proszę więc sobie wyobrazić jakie owoce przynoszą te dwie latorośle europejskie, zaszczepione na dzikim pniu palestyńskim.

Poczciwi Ojcowie dają co mają najlepszego, sprowadzają skąd mogą, często też materyały są bardzo dobre, ale jak podane, jak zgotowane! Więc zrana przychodził każdy na kawę; kawa jak kawa, ale dodawane do niej *latte* (mleko) było istną parodyą. Ponieważ trawy tutaj niema, więc też niema krów, a zatem ani mleka, ani masła. Sprowadzają w puszkach blaszanych skoncentrowane mleko; łyżeczka od kawy tego specyału wkłada się do szklanki gorącej wody i to się nazywa mlekiem. Dają też mleko kozie. Dla Polaków i Anglików dają też herbatę — ale to druga ostateczność. Do ogromnego imbryka sypią garść herbaty, nalewają pełno wody i gotują aż do skutku; przy tak przygotowanej czarnej cieczy, stawia się w mleczniku trochę wody gorącej. Nie było sposobu nauczyć ich, że stosunek powinien być odwrotnym. Na szczęście jedna z dam naszego towarzystwa miała z sobą parę funtów herbaty, więc też wieczorem schodziliśmy się u niej, a pijąc płyn chiński przygotowany p o l u d z k u, rozważaliśmy zalety samowarów i innych rzeczy u nas zwyczajnych, a tutaj nieznanych, choćby np. prawdziwego mleka i świeżego masła, o którem tu ani słychu; smażą na baranim tłuszczu i oliwie. Zupy, rosoły i legominy słodkie zdarzały się niezłe; dawano też obficie w salaterkach rzerzuchy i innego zielska, które ludzie jedli i chwalili; można też było zjeść czasami kilka faworków, choć na baraniej tłustości, zato mięsa były szkaradne. Dobrze jeszcze jeśli dali baraninę, przynajmniej była świeżą, wołowe mięso zato w długich, czarnych kawałkach, zwykle zimne i zimnym sosem z cebulą polane, było obrzydliwe. Dość często zjawiała się kura na stole, prawda, że w stanie bardzo smutnym; podawano na półmisku cały stos kawałków tak wyglądających, jakby nieboszczkę, niby średniowieczną czarownicę, kołem bito, końmi rozszarpano, a zebrane ćwierci polano żółtawym, rzadkim płynem i na zimno pobożnym pielgrzymom ku spożyciu podano.

W post mieliśmy ryby, czasami nawet bardzo smaczne, jak np. tuńczyki, ale haniebnie przygotowane, tylko w dużych kawałkach na oliwie usmażone i na zimno z zimnym sosem podane. Chleb zato bywał bardzo dobry, również jak winograd i inne owoce na wety. Mnie się tu stół wydawał szkaradnym, inni jednak, zdrowsi, znosili go wcale dobrze, jakkolwiekbądź wdzięczność moja dla poczciwych

zakonników ani trochę z tego powodu nie jest mniejszą; dawali co mieli; że nie wszystkim to służyło, nie ich wina. Gdyby ich ugościć naszym bigosem, kołdunami, gryczanemi kluskami z serem, barszczem i t. p. specyałami, z pewnością potem cały konwent za żywot by się trzymał przez tydzień — albo i dłużej.

Dość jednak tych gastronomicznych szczegółów, lepiej opowiem coś o urządzeniu tego przybytku gościnności i życiu, jakie w nim prowadziliśmy. Zakład, jak wspomniałem już, zostaje pod kierunkiem kapłana z klasztoru N. Zbawiciela; był nim za mojej bytności O. Filip; do pomocy miał dwóch czy trzech braciszków; reszta służby składała się z ludzi świeckich. Jak tam kobiety radziły sobie z usługą, nie pamiętam już, zdaje mi się, że przychodziły najęte czy umówione służące z miasta; dla mężczyzn była usługa na miejscu. Rodzajem starszego kamerdynera był Ibrahim, a miał do pomocy Selima — obaj katolicy miejscowi, choć z muzułmańskiemi nazwami. Był także odźwierny, kucharz z kuchtą i t. d.

Stosunki między gośćmi a naczelnikiem zakładu i całą służbą były arcy-patryarchalne, jak w rodzinie. Służący byli uczciwi, chętni do usługi, nigdy się o nic nie przymawiali (choć gdy dawano, brali, uważając jak Zagłoba, że byłaby *grubianitas* odmówić), z tem wszystkiem nie było cienia nawet nadskakiwania, służalstwa, ceremonii żadnych. Ibrahim chodził sobie cały dzień w pantoflach na bosą nogę, odziany w długi, lekki, jasny szlafrok, rozcięty trochę po bokach; na to naciągał krótki surdut, a czerwony fez dopełniał stroju.

Budzono nas bardzo wcześnie; jeszcze ciemno było zupełnie, gdy podemną, w kwadratowym dziedzińczyku, kuchta zaczynał rąbać drwa; w ciszy nocnej, odgłos przez cztery ściany odbity, był bardzo silny, na szczęście trwał zawsze krótko, a że się było zmęczonym, więc sen powracał natychmiast. Tymczasem gdzieś z kąta na dole, coraz uporczywsze gwizdanie wkradało się nawet do sennych uszu; trwało to długo, a gdy ustało, dawały się słyszeć na korytarzach ciężkie stąpania, jak gdyby szedł niedźwiedź ubrany w tyrolskie, gwoździami nabite buty. Nie był to jednak żaden dziki puszcz mieszkaniec, tylko nasz poczciwy Selim, który wstawał około czwartej, a ubierając się i porządkując swą celę, gwizdał sobie jak w lesie, potem szedł lampy gasić po korytarzach. Poprosiłem O. Filipa, żeby skło-

nił go do zaniechania ćwiczeń wokalno-gwizdających przed wschodem słońca. Jakoż młodzieniec usłuchał, bo potem gwizdnie czasami i snać przypomniawszy sobie zakaz, zaraz przestanie, buty tylko owe szkaradne zachował do gaszenia lamp; co dziwne jednak, to, że potem cały dzień chodził w pantoflach. Gdy lampy zgasły, miałem znowu pokój, ale nie na długo; mieszkałem na końcu korytarza męskiego, do którego pod kątem prostym przytykał inny, oddany płci nadobnej, przy zejściu zaś obydwóch, o kilka kroków od moich drzwi, było okno, źródło światła dla moich sąsiadek, a utrapienia dla mnie. Zaledwo bowiem przebrzmiały odgłosy podkutych nóg Selima, w półmroku skrzypiały zlekka drzwi jednej celi, drugiej, trzeciej, i jak gazele przed wschodem słońca zbiegają się u źródła wody, tak zacne niewiasty biegły pod ono okno dla wytrzepywania swych szat i obówia, zapylonych sowicie w dniu poprzedzającym. Cierpiałem długo, aż w końcu zręcznem słówkiem udało mi się te, bardzo zresztą chwalebne, zabiegi około ochędostwa, w inną, dalszą od moich drzwi stronę skierować. Słońce już wstało i przez żaluzye zagląda, ja znowu, jako że nigdy rannym ptaszkiem nie byłem, śpię sobie spokojnie, mając czyste sumienie, gdy w tem okno sąsiednie odmyka się, a wkrótce daje się słyszeć duetino na dwa soprany: »ledwo oczy przetrzeć zdołam — wnet do mego Pana wołam«. O święte i pobożne dusze, jak one poczciwie dzień zaczynają! Nigdybym jednak przedtem nie domyślił się, że towarzystwo osób bogobojnych może być niewygodnem przed 7-mą zrana. Jakoś się jednak i na to poradziło; wyperswadowałem sąsiadkom, żeby poczekały, aż i ja oczy przetrzeć zdołam, to będziem razem wołali.

Rzeczywiście zwlekać z tem nie należało, bo tu nabożeństwa bardzo wcześnie się kończą. W Nazarecie np. odprawiłem Mszę św. przed 9-tą jeszcze, potem poszedłem do św. Groty, a że nikogo nie było, więc ulokowałem się w kątku i myślę: no, choć raz użyję i pomodlę się uczciwie, bez tego utrapionego: *presto, presto!* Ale gdzietam, ledwom się zaczął modlić, słyszę na górze w kościele jakieś brzęki i stuki; wybiegam, a to braciszkowie już drzwi pozamykali, zaryglowali i zabierali się do odejścia — wczas wybiegłem. Wychodziłem tedy na Mszę do którego z kościołów, a moi sąsiedzi płci obojej już dawno mnie wyprzedzili. Po Mszach i po Komuniach pijaliśmy

kawę, a potem robili bliższe wycieczki przed śniadaniem, po którem następowała »siesta«, tj. drzemka, bardzo tu ściśle zachowywana. Choć chwalić się nie wypada, muszę jednak powiedzieć, że pod tym względem dawałem wszystkim przykład ścisłego zachowania reguły czy zwyczaju. Na dworze słońce zlewało żar na rozpalone kamienie, wewnątrz wszystko leżało i drzemało, nawet Selim nie chodził i nie gwizdał. Koło czwartej, gdy upał zmniejszył się, wybieraliśmy się na dalsze wycieczki pojedynczo lub całą gromadą, jak kto chciał i umówił się. O 7-ej schodziliśmy się na obiad; wtenczas zjawiał się zwykle O. Filip i jako gościnny gospodarz bawił gości rozmową, przerywaną nieraz wesołym śmiechem. Przychodził też i O. Jukundyn, wpadał wiecznie zajęty i zakłopotany brat Łukasz. Po gawędce i czarnej kawie rozchodziliśmy się gdzie kto chciał; część naszej gromady szła na herbatę do owej przezornej pani, która jej aż dwa funty przywiozła, inni do dywanu, inni szli na dach spacerować, myśleć, modlić się lub marzyć, spać każdy szedł kiedy chciał, ale po całodziennej bieganinie rzadko kto dłużej niż do 10-ej wytrzymał. I ja choć nocny ptak, wcześnie zabierałem się do pacierzy, pozamykawszy przed zapaleniem świecy okna, żeby komary, t. zw. tutaj »mustyki«, nie naleciały. Moje sąsiadki nie zachowywały tej ostrożności; przepędziwszy dzień cały to milcząc w kościołach, to rozdzielone na koniach i osłach, potrzebowały naturalnie podzielić się żywemi wrażeniami; to też się dzieliły, a że w chłódku wieczornym przyjacielskie wywnętrzanie się podwójny ma urok, więc choć się paliła świeca, okno zostawało otwartem. Mustyki, ma się rozumieć, zlatywały się jak na bal lub na maskaradę, a za to, gdym nazajutrz zobaczył moje sąsiadki w refektarzu, przypomniał mi się ogród różany pełen krzaków osypanych pączkami — na każdej twarzy pełno było bardzo pięknych różowych i czerwonych bąbli, bardzo niewiele mniejszych od różanego pączka.

Czas w którym byłem w Jerozolimie (październik), nie był porą pielgrzymek — spodziewano się ich dopiero w grudniu — jednak wciąż przybywali nowi podróżni, gdy starzy wyjeżdżali; prawie zawsze do stołu pierwszej klasy siadało ich około dwudziestu z najrozmaitszych stron świata; w dwóch innych kategoryach byli jeszcze liczniejsi.

O świeckich katolikach Jerozolimy można mówić źle i dobrze; dobrem jest to, że są dość czystych obyczajów, szanują życie ro-

dzinne; jakkolwiek lubią pieniądze, są jednak uczciwi, zbytecznie nie obdzierają, nie oszukują i nie wyzyskują (lubo ostrożność nie zawadzi); złem zaś jest rozmiłowanie się w próżniactwie, które sprawia, że oprócz Europejczyków, zaledwo kilkanaście miejscowych katolickich rodzin utrzymuje się z własnej pracy, reszta żyje na rachunek XX. Franciszkanów, którzy muszą im dostarczać mieszkania, pożywienia (klasztor wypieka codziennie dwa tysiące bochenków chleba, tak mi mówił któryś zakonnik), a może i ubrania. W razie odmowy, grożą przejściem do jednego z innych wyznań, które zresztą wszystkie oskarżają się wzajemnie o odbieranie sobie owieczek. Ile prawdy w tem, nie wiem, ale faktem jest, że tym rodzajem szantażu mnóstwo katolików zmusza biednych zakonników do pracowania na nich. Wszyscy podróżni oburzają się na taki wyzysk; muszą jednak być jakieś słuszne choć w części racye, skoro zapytywana przez Ojców Kongregacya Propagandy kazała podług możności tolerować to jeszcze do czasu. Jedną z takich racyi jest bezwątpienia to, że Jerozolima jest miastem nic nie produkującem; niema tam ani roli, ani ogrodów, ani trzody, ani fabryk, urzędnicy prawie wszyscy mahometanie, wojskowi także, z tem wszystkiem, jeśli katolicy Betlejemu, Kaify, Nazaretu, znaleźli sobie zajęcie i środek do życia, mogliby się i jerozolimscy powoli do tego przyzwyczaić. To też, jakkolwiek przelotne moje spostrzeżenia nie mogą rościć pretensyi do gruntowności, przyznaję, że nie chwalę Ojców Franciszkanów za pośrednie protegowanie próżniactwa, ani za ogród Oliwny, ani za wrzaskliwe śpiewy chłopaków w kościele — zresztą we wszystkiem innem podziwiam, chwalę, i jaknajlepsze zachowuję wspomnienie.

SOZDZIAŁ VII.

Betlejem i jego okolice. — Miasto św. Jana in Montanis. — Betania.

Większość imion głośnych miejscowości, prawie zawsze smutne i przykre przywodzi wspomnienia; sławę ich bowiem stanowi bogactwo i zbytek, marnotrawstwo i rozpusta, wielkie czyny wojenne z przelewem krwi i zniszczeniem połączone, wielkie pomniki i dzieła cudzą krzywdą i łzami uciśnionych dźwignione. Są jednak miejsca głośne i sławne, ale sławą poczciwą i zacną, których imię uspokaja, rozwesela i najmilsze budzi obrazy. Nie wiele ich, co prawda, a wśród takich najpierwszem może jest Betlejem. Skoro nazwę jego posłyszymy, staje nam na pamięci dzieło najwyższej dobroci i miłości, widzimy ubogą grotę, od której rozpoczęła się nowa era w dziejach synów adamowych i nowe zaczęło się królestwo, którego końca i granic nie będzie nigdy. Obok tych poważnych i świętych wspomnień cisną się do naszej pamięci inne, ziemskie już i doczesne, ale takie miłe i takie kochane. Na dworze biało i chłodno, aż śnieg skrzypi pod nogami, a w ciepłej izbie zebrana rodzina siedzi około stołu z sianem i struclą. Już się podzieliła opłatkiem, sypnęły się życzenia, rozległy się pocałunki — cóż że się tych życzeń i setna część nie spełni, że po świętach znowu będzie zimno i ciężko? Teraz oto siedzą wszyscy, o biedzie zapomniawszy, weseli spożywają dary Boże, a potem śpiewają cudne pieśni o Betlejemie i pastuszkach, o Maryi, Józefie i aniołach; jest też wzmianka o wole i ośle, o Kubie i różnych innych osobliwościach. A gdy zadzwonią na Pasterkę, wszyscy ruszą do kościoła i napełnią niewielką świątynię po brzegi i hukną po Mszy:

»W żłobie leży, któż pobieży, kolendować Małemu?« I przejdzie lat wiele, niejedną postać wyniosłą smutek nachyli ku ziemi, nie jedną pustą i wesołą głowę troski przed czasem włosem srebrnym okryją, niejednego los zapędzi gdzieś w kraje dalekie i między ludzi nieswoich, ale gdy nadejdzie godzina pasterki, posłyszą oni przed laty śpiewaną kolendę i z rozrzewnieniem jej zwrotki powtórzą.

Nietylko jednak Narodzenie Pańskie otoczyło Betlejem urokiem spokoju i miłości, cała jego historya zdaje się owianą tym samym duchem. Jużci i tutaj ludzie cierpią, dzieje nawet kilka tego przykładów zapisały, przeważnie jednak przekazały nam wypadki życia spokojnego, nieraz opromienionego cichą, sielankową poezyą. Prawda, że Jakób w sąsiedztwie stracił swą ukochaną Rachelę i pochował ją tuż przy Betlejemie, ale oto mamy wspomnienie sędziego ludu izraelskiego Abezana, który tu spokojnie żywot pędził w otoczeniu 30-tu synów i tyluż córek. Tu cnotliwa Rut zbierała kłosy na polu Booza i tu stała się babką Dawida. W okolicach tego miasteczka przyszły król i prorok pasał owce swego ojca i może układał jakie pieśni, poprzedniczki niezrównanych i nazawsze głośnych jego psalmów. Tu odbyła się owa pokojowa uczta w domu Jessego, na którą przyszedł prorok Samuel i z ośmiu synów jego wybrał najmłodszego na następcę Saula. Niedaleko stąd pokonany został Goliat, w okolicy bije słynne źródło zapieczętowane, figura Niepokalanie poczętej, koło niego najmędrszy z królów wyciosał w skale dotąd istniejące olbrzymie sadzawki i założył ogród zamkniony, inny znowu obraz Najświętszej Panny. Gdy zaś po krwawych prześladowaniach Krzyż zapanował światu, w niedalekich skałach i pieczarach osiedli cisi i święci pustelnicy, po których dotąd pozostało źródło cudowne (w Charejtunie) i słodka pamięć, jak zapach balsamu w naczyniu, w którym go już niemasz.

Betlejem odległe od Jerozolimy nie więcej nad wiorst 12; droga do niego zawsze była lepszą od innych, a teraz jest nawet zupełnie dobrą, bo niezbyt dawno połączono szosą Hebron z Jerozolimą i właśnie Betlejem jest na drodze. Zwiedziwszy główne świętości Jerozolimy, wybrałem się do Kolebki Zbawiciela 19-go października nad wieczorem. Można było dostać się bardzo wygodnie powozem, jak zrobiła reszta towarzystwa, ale ja, naczytawszy się o wycieczkach po

Palestynie konno i na ośle, chciałem się przyzwyczajać i spróbować konnej jazdy — pierwszy raz w życiu. Dostarczano mi więc Araba mukra (przewodnika) i przyprowadzono rosłego siwka, w którym jednak wiek podeszły ochłodził zapały młodości i wyrobił z niego bardzo statecznego człapaka, jak raz dla mnie. Usadowiłem się tedy na nim odważnie i ruszyłem powoli po kamienistym bruku, poprzedzany przez Araba.

Za bramą Jafską spuściliśmy się w wąwóz Gihon, a potem wstą-

Początek drogi do Betlejemu.

piliśmy na płaskowzgórze skaliste, zwane równiną Raphaim, tj. Olbrzymów. Wkrótce przyzwyczaiłem się do mej wyniosłej pozycyi na końskim grzbiecie i podobała mi się nawet. Kiedym mijał jakąś chałupę, wypadł z niej fellach, a wrzeszcząc jak opętany, machając rękami, z rozpuszczonym płaszczem i chustą na głowie, przeleciał obok, koń przestraszony rzucił się w bok, ja jednak ani drgnąłem na siodle. Podniosło to we mnie wielce opinię o moich zdolnościach do kon-

nej jazdy, a gdym jeszcze wyszedł bez szwanku z drugiej podobnej przygody (bo koń był płochliwy) i z całej przejażdżki, powiedziałem sobie w duchu, że mógłby ze mnie być wcale grzeczny kawalerzysta, gdyby nie to, że powołanie i wrodzona modestya, kazały mi od młodości chodzić piechotą, albo jeździć kałamaszką.

Jechałem tedy spokojnie, rozglądując się dokoła, a wszędzie historya, podanie i legenda poznaczyły ledwo że nie krok każdy. Samo naprzykład płaskowzgórze, przez które droga prowadzi, to miejsce walk z Filistynami i uganiania się wzajemnego ich z Żydami. Pismo św. wspomina nawet, że Dawid dwa razy ich tu pobił i przy niedalekim pagórku, który podanie wskazuje, bożki filistyńskie i bałwany popalił. Niedaleko od miasta ruiny odznaczają dom starca Symeona, który to trzymając Zbawiciela na ręku, mógł powiedzieć: »Teraz puszczasz Panie sługę Twego w pokoju, bo oczy moje oglądały zbawienie twoje«. Trudno zaprawdę o szczęśliwszego człowieka! Trochę dalej na polu stało niegdyś terebintowe drzewo, o którem legenda twierdziła, że gdy Najświętsza Panna usiadła pod niem, karmiąc Dzieciątko, gałęzie jego spuściły się i osłoniły oboje od słońca. Dalej znowu, przy samej drodze, jest otwór cysterny, przy której miała się nanowo ukazać Trzem Królom gwiazda, niewidzialna w Jerozolimie. Trochę dalej znajduje się pole proroka Habakuka, z którego anioł porwał go i zaniósł do Daniela, zostającego wówczas w lwiej jamie w Babilonie. W połowie drogi, na pagórku wznosi się klasztor i cerkiew św. Eliasza (należy do Greków nieunitów) a dokoła jest kilka domów i ogrodów, których dawniej nie było. Naprzeciwko zaś przez drogę pokazują w skale zagłębienia, pozostałe jakoby po proroku Eliaszu.

Podług legendy święty, uciekając przed królową Jezabel, miał tu zanocować pod krzakami i zostawić na skale odcisk swego ciała. Legenda ta niema żadnej podstawy, bo Eliasz zupełnie inną drogą uciekał; cerkiew też nie od proroka została nazwaną, lecz od biskupa greckiego Eliasza, którego grób w niej się znajduje († 1345 r.). Z tego pagórka widać Jerozolimę i Betlejem — Grób i Kolebkę. Widok ku Betlejemowi rzeczywiście piękny, zwłaszcza po smutnych skalistych okolicach Jerozolimy; po lewej i po prawej stronie widać niezbyt wysokie góry, które się potem rozstępują i rozszerzają, z pomiędzy

nich od południa wysuwa się góra wyższa trochę od Jerozolimskich, długa i przedzielona pośrodku wklęsłością — jej szczyt zajmuje miasteczko, na którego końcu widać potężne podmurowania, ściany klasztorów i szczyty kościołów: od innych gór oddziela ją szeroka dolina. Miłą niespodziankę dla oka sprawiła blada zieloność pokrywająca pochyłości wielu gór; to winnice tak je przyozdobiły.

Z lewej strony zauważyłem szczyt jakiś ogrodzony murem, ale bez żadnych budynków; z prawej mile witałem ogrody i drzewa otaczające domy mieszkalne. Szczególnie pięknie wygląda budynek na wierzchołku jednego z pagórków, niedaleko już od Betlejemu. Tam Jakób patryarcha rozbił swe namioty i tam umarła Rachel. Do niedawna jeszcze starczały w tem miejscu tylko smutne ruiny, ale około 1870 r. wzniesiono na niem pierwszy od upadku krzyżowców szpital Johannitów, za staraniem konsula austryackiego Kabogi. Obecnie nazywa się to miejsce Tantura: udzielają tam darmo lekarstw i rad lekarskich, ale chorych na stałe nie przyjmują. Prawie naprzeciwko jest sławne pole kamiennego grochu, zwane tak dlatego, że pokryte drobnymi, krągłymi kamieniami podobnymi do niego. Do tego miejsca dwie są przywiązane legendy. Tutaj bowiem miała rosnąć soczewica, za którą Ezaw sprzedał swe pierworodztwo i tutaj także Pan Jezus widząc razu jednego siejącego człowieka, zapytał go: co siejesz, przyjacielu? Kamienie, odpowiedział ten przez szyderstwo. Dobrze, odparł Zbawiciel, będziesz też zbierał kamienie, i w tej chwili groch skamieniał. Lud wierzy, że zbierane bardzo obficie okrągłe kamyki, są właśnie owym grochem, który się ciągle mnoży.

Za Tanturą w niejakiem oddaleniu, po prawej stronie wznosi się góra pokryta mnóstwem drzew oliwnych, wśród nich kryje się wieś Beit-Dżalla. Niegdyś była ona wyłącznie zajętą przez Greków, którzy przemocą wzbraniali patryarsze Valerdze założyć tu seminaryum katolickie. Valerga jednak nie był z liczby ludzi bojaźliwych i ustępujących, nie ustąpił i postawił na swojem. Obecnie jest tu seminaryum i kościół, jest pewna liczba katolików (6051); jest także szkoła rosyjska i, jeśli się nie mylę, szpital. Prawdopodobnie jest to biblijny Bezek, którego król Adonizedek, miał 70 królów z obciętemi stopami i rękami, pełzających pod stołem i zbierających okruszyny. Izraelici,

opanowawszy ten kraj, oddali okrutnikowi pięknem za nadobne, i jego tak samo okaleczywszy zaprowadzili do Jeruzalem, gdzie umarł.

Przy samem już prawie wejściu do Betlejemu wyznawcy wszystkich religii czczą grób Racheli, która w tem miejscu pochowaną została. Składa się on z niewielkiego sześciennego budynku, pokrytego małą kopułką i niższego nieco, ale znacznie dłuższego przedsionka. Wewnątrz znajduje się grobowiec wysokości człowieka, ścięty ostro, jak mniemany grobowiec Dawida. Kamień ten jest nowoczesny, samo jednak miejsce zdaje się żadnej nie ulegać wątpliwości, tradycya je bowiem jednogłośnie od najdawniejszych czasów wskazuje. Zawsze też były tu jakieś znaki i kamienie, po których grób Racheli poznawano; dziś należy do żydów i do obecnego stanu (dość znośnego) doprowadził go bankier Montefiore.

Beit-Dżalla.

Powiedziałem, że stąd już bardzo blizko do Betlejemu, ale ja minąłem je i jechałem dalej na południe, bo chciało mi się, choćby powierzchownie, opatrzeć sadzawki Salomona. Objechałem więc górę, na której leży miasteczko i wkrótce znaleźliśmy się z mukrem wśród nagich smutnych skał. Przewodnik mój wskazał mi blizkie zachodu słońce, a krzyknąwszy *jełła, jełła* (prędko), puścił się galopem. Dobrze tobie krzyczeć jełła i galopować, coś od urodzenia na koniu, ale mnie... nie było jednak czasu na rozmyślanie i gawędy; słońce najdłużej godzinę świecić będzie, arab sadzi w najlepsze i rychło zniknie w oddali — więc i ja, pochyliwszy się naprzód, wypuszczam mego siwka w galop. Pędzimy — powiedziałbym jak dwa cienie czy duchy, tylko że tętent kopyt po szosie rozlega się donośnie, a konie duchów mkną po cichu, i że ja mocno przyciskam lewą rękę niżej piersi, bo mi się tam wszystko

od tego galopu trzęsie i przewraca — cieniom podobno najszybsza jazda nic nie szkodzi. Wjechaliśmy w obszerną równinę między kamienistemi górami, szosa poszła na prawo, a my zsiadłszy z koni i prowadząc je za sobą, przebieramy się piechotą między bryłami kamieni; doszliśmy wkrótce do wąwozu, w którym się owe sadzawki znajdują. Popatrzyłem na pierwszą z nich, oglądnąłem zdaleka stare zamczysko, stojące w pobliżu, i zabrałem się do odwrotu.

Nim dojechaliśmy do Betlejemu, ściemniło się zupełnie; wtem mój przewodnik zwraca z szosy na prawo, na skaliste wzgórze, po którem koń jego ślizga się i wspina aż iskry sypią mu się z pod kopyt, a ja, oczywiście, wstępuję w jego ślady. To był wjazd na drogę do Betlejemu i początek jednej z jego ulic. Gdyśmy stanęli na górze, dziwnie miłe zobaczyłem zjawisko. Ciemno już było zupełnie, na horyzoncie zebrały się ciężkie, czarne chmury, a nad niemi, tam na drugim końcu miasteczka, gdzie jest grota Narodzenia, błyszczy ogromna złota gwiazda. Była to Wenus, która tu świeciła daleko silniej niż u nas, nie wiem, czy z racyi geograficznej szerokości, czy może w onym roku bliższą była ziemi — może jedno i drugie. Przypomnieli mi się trzej królowie, a złota gwiazda błyszcząca nad miejscem urodzenia Zbawiciela czyż nie była obrazem światła, które z tej skalnej pieczary wyszedłszy, rzuca swe promienie na świat cały, na wszystkie czasy?

Jechaliśmy dość długo krętemi uliczkami, które pociemku wcale dobrze mu się wydawały; przejechaliśmy przez całe miasteczko, wreszcie masy murów zwiastowały, że jesteśmy blizko kościoła i klasztorów. Stanęliśmy na maleńkim, nie wiem, placyku czy cmentarzu, bo były na nim liczne nagrobki i przez nizkie drzwi wszedłem do klasztoru, gdzie mnie zaraz wprowadzono do refektarza. Był to ten sam refektarz dla gości, który tak się nie podobał Loti'emu [1]), nie wiem dla jakiej przyczyny. Jest to dość obszerna i wysoko sklepiona sala; pod ścianami idą stoły, przy nich ławki, czy krzesła, już nie pamiętam, jest też kanapa czy sofa, a gdzie było można powieszano obrazy. Najpiękniejszy z nich jest wiszący na pierwszem miejscu, obraz św. Hieronima, któregoby żadne muzeum się nie powstydziło; jakiś bogaty Anglik dawał za niego tyle złota, ile się go zmieści na powierzchni

[1]) Pierre Loti. Jeruzalem.

płótna. Zakonnicy nie przyjęli. Pamiętam także wcale dobre Narodzenie Pańskie. Są też bardzo ciekawe stare portrety Roberta i Sanchy, królestwa sycylijskich, tych samych, którzy to wykupili byli wszystkie święte miejsca od sułtana Egiptu za 17 milionów. Na głównej ścianie, po obydwóch stronach św. Hieronima wiszą olejodrukowe portrety teraźniejszych dobrodziejów Ziemi świętej, a w szczególności Betlejemu, cesarstwa austryackich. Ponieważ cesarzowa przedstawioną była w głęboko wyciętej białej sukni, więc zakonnicy, żeby zachować wdzięczność, a nie obrazić skromności, kazali jakiemuś domorosłemu artyście namalować jej okrywkę, przypominającą bardzo szal włóczkowy stalowego koloru; kombinacya taka zimowego szalu i balowej sukni bardzo osobliwie wygląda, ale obydwóm cnotom stało się zadość.

Wszedłszy do refektarza, rzuciłem się na sofę, bo byłem bardzo zmęczony, jak chyba bywałem w dzieciństwie jeszcze, po całodziennem bieganiu po polu i lesie. Wiadomy to u nowicyuszów skutek kilkogodzinnej jazdy na koniu; gdyby było można, odrazu poszedłbym do swej celi, przetrąciwszy cokolwiek, ale trzeba było czekać, bo moje jerozolimskie towarzystwo gdzieś się jeszcze modliło, czy nie wróciło z miasta. Tymczasem stary braciszek bez zębów zaczął mnie bawić dziwnie długiem i zaledwo w połowie zrozumiałem opowiadaniem. Rozpowiadał tedy, jak, gdzie, kiedy, przy jakich okolicznościach udało się jemu odkryć grób tych trzech pasterzy, którzy mieli szczęście pierwsi zobaczyć i pokłonić się panu; opowiadał mi podobno i żywoty ich, twierdził, że grób ów znajduje się na tej właśnie ogrodzonej, ale jeszcze pustej górze, którą widziałem za klasztorem św. Eliasza po lewej stronie. Ubolewał, że niema żadnego kościoła ni kaplicy nad ich kośćmi, czy miejscem gdzie one były, dowodził konieczności tego i bardzo wyraźnie zmierzał do wniosku, że powinniśmy z naszych mieszków podróżnych część na tak chwalebny koniec przeznaczyć; gdy drzwi się otwarły, zaszeleściały suknie, niewieści rozhowor ożywił ciężkie mury klasztorne i kwestya grobu trzech pasterzy już nie była poruszaną więcej. Przy kolacyi dałem dowód nielada mocy woli, wytrzymując do końca i biorąc udział w rozmowie, ale za to potem spałem jak suseł. Ponieważ z wieczora umówiłem się o godzinę, w której będę mógł być ze Mszą w św. Gro-

cie, więc też z rana byłem już gotów i z łatwem do odgadnięcia uczuciem zstąpiłem do świętego miejsca. Jest to rodzaj korytarza w skale, długiego blizko 6 sążni, szerokiego od $1^1/_2$ do 2 tylko i bardzo nizkiego. Ziemia pokrytą jest taflami białego marmuru, którym mają być i ściany wyłożone; nie zauważyłem tego, bo wiszą na nich stare, wypłowiałe opony z adamaszku; sklepienie, o ile pamiętam, ciemne i zakopcone, całe zresztą wnętrze nie robiło na mnie bynaj-

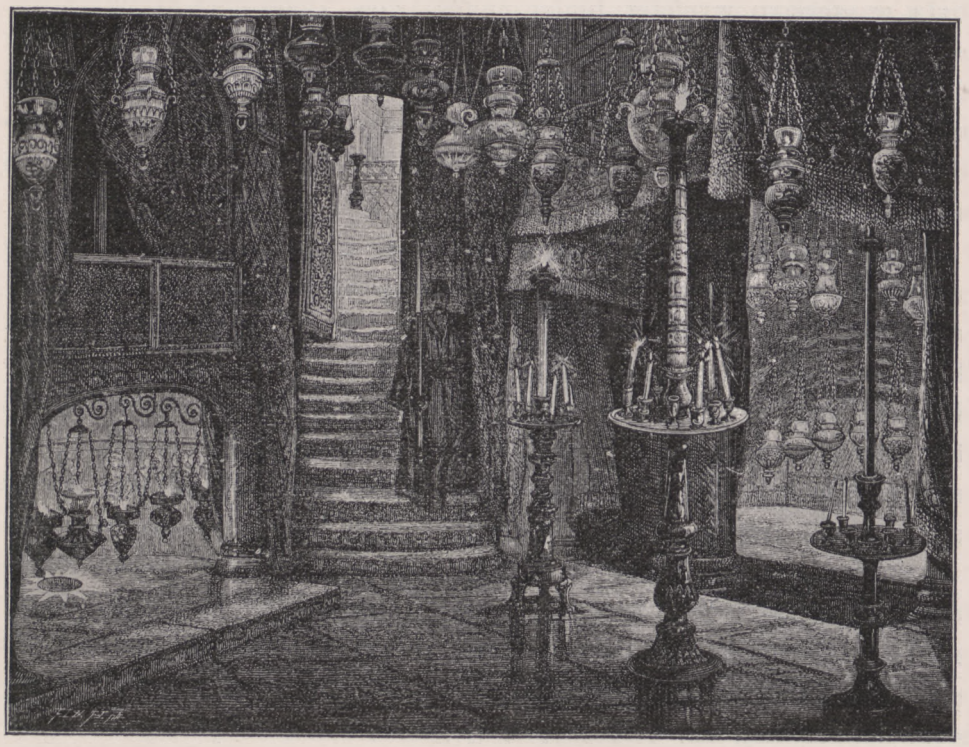

Grota Narodzenia Pańskiego.

mniej wrażenia przepychu, o jakim mówił ksiądz francuski, wspomniany przezemnie na wstępie. Jest tu ciemno i dość ubogo; nic mnie to zresztą nie obchodziło, bom nie przyszedł tu szukać arcydzieł, ani blasku. Zaraz przy wejściu, po lewej stronie widzimy niewielkie wgłębienie — tu jest miejsce Narodzenia Pańskiego. Pokrytem jest ono tablicą z białego marmuru, do której przybita gwiazda srebrna o 14 promieniach; środek jej jest pusty i zapełniony jaspisem, na gwiaździe zaś dokoła idzie napis łaciński: *Hic de virgine Je-*

sus Christus natus est 1717. (Tu z Maryi Panny narodził się Jezus Chrystus. 1717). Gwiazda i napis pochodzą, jak widać z obok umieszczonej daty, z tego czasu, kiedy cała grota należała do katolików, obecnie to święte miejsce jest we władaniu Greków, gwiazda zaś pozostała własnością katolików, którzy jednak nie mają prawa jej zmywać. Ciekawa to naprawdę ilustracya tamtejszych stosunków. Grecy parę razy kusili się usunąć gwiazdę, ale wyradzały się stąd zatargi, do których nawet dyplomacyę wciągano i gwiazda wracała. Nad nią, na małych kolumenkach, Grecy i Ormianie opierają mensę ołtarzową, gdy mają tu Mszę odprawiać (katolikom tego nie wolno). Dzień i noc pali się tu 15 lamp, z których 4 należy do XX. Franciszkanów. O pięć kroków dalej, naprzeciwko wejścia, jest niewielka nisza, zaledwo 2 metry 30 cent. szeroka, a należąca do katolików; w niej stał żłobek, w którym Najświętsze Dzieciątko położonem było. Podpartą jest ona trzema staremi i ciemnemi kolumnami, a zstępuje się do niej po trzech stopniach. Z prawej strony sklepienie jest bardzo nizkie, tak że stać trudno (ks. Hołowiński robi słuszną uwagę: »któżby tu stał mając iskrę wiary?«); na wysokości półtorej stopy od ziemi jest wydrążenie w skale nakształt żłobu, nad niem prześliczny obraz Narodzenia Pańskiego, przed którym płonie 5 lamp katolickich. Pod ścianą przeciwległą stoi mały bardzo ołtarz poświęcony Trzem Królom i przy nim też Msza święta się odprawia. Tradycya utrzymuje, że w tem miejscu N. Panna odbierała hołdy i dary tych świętych — czy to jednak prawdziwa tradycya? Br. Liévin oświadcza się za nią i twierdzi, że przeciwna jest mało upowszechnioną. Nie będąc specyalistą, nie mogę swemu zdaniu zbyt wielkiej przypisywać wartości, zdaje mi się jednak, że właśnie przeciwna teorya coraz się więcej rozszerza

Wnętrze bazyliki; nawa środkowa.

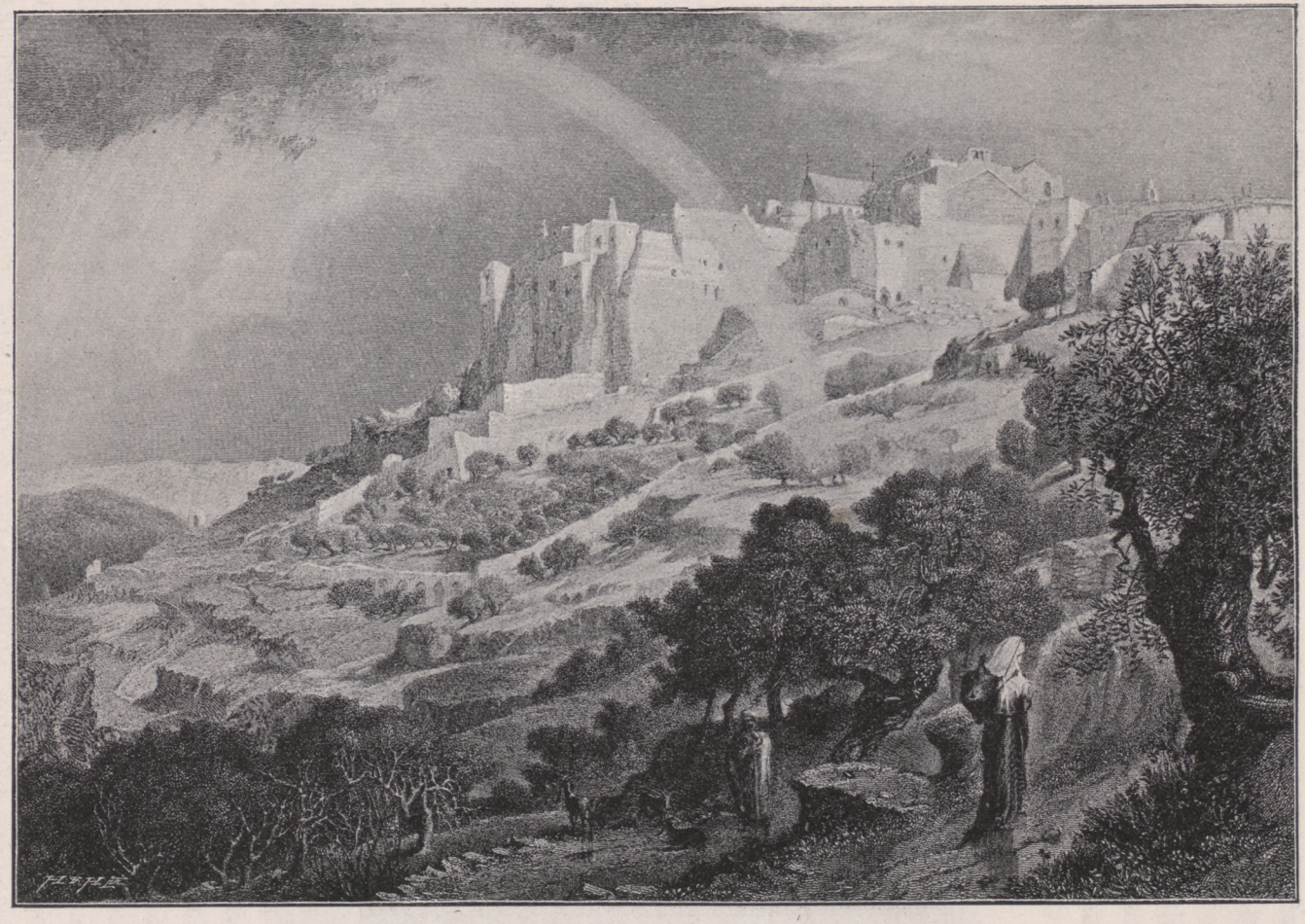

Widok Bazyliki N. Panny w Betlejemie.

i że jest prawdziwą. W rzeczy samej św. Łukasz w rozdziale II opowiada, że »gdy się wypełniły dni oczyszczenia Jej według zakonu mojżeszowego, przynieśli Go do Jerusalem, aby Go stawili Panu« — we czterdzieści więc dni po narodzeniu święta Rodzina mieszkała jeszcze w Betlejemie (jak to widać z przytoczonego rozdziału), czy można więc przypuszczać, żeby przez tak długi czas św. Józef nie wynalazł jakiegoś mieszkania dla N. Panny i Jej Dzieciątka, i żeby się przez cały ten czas tulili w grocie, otwartej na wszelkie niepogody? Zapewne, przybywszy późno do Betlejemu i nie mogąc na razie znaleźć schronienia w zajeździe, musieli się do niej schronić na czas krótki, ale najuboższy człowiek, przy największym ścisku, znajdzie następnie kąt dla siebie. Przepisany przez prawo mojżeszowe obrzęd oczyszczenia odbył się w kościele jerozolimskim z zupełną swobodą i publicznie, wnosić więc trzeba, że jeszcze przyjazd Trzech Króli nie zwrócił był uwagi na nowonarodzonego Zbawiciela, że nikt Go nie szukał i o Niego nie pytał; widocznie więc nastąpił on znacznie później, kiedy już święta Rodzina mieszkała w domu, co też wyraźnie mówi Ewangelia: »i wszedłszy w dom, naleźli Dziecię, z Maryą Matką Jego« [1]). Zdarzyło się to widocznie blizko we dwa lata po Narodzeniu, kiedy Herod kazał wymordować wszystkie dzieci od dwóch lat i niżej. Zdanie to popiera i tradycya, pokazując miejsce domu św. Józefa, który nie mógłby tu mieszkać, gdyby wprost z groty musiał uciekać do Egiptu, skąd, jak wiadomo, wrócił do Nazaretu.

Co do mnie więc, nie wierzyłem, żeby w tem miejscu odbył się pokłon Trzech Króli, nie przeszkadzało mi to wcale z wielkim przejęciem odprawiać przy tym ołtarzu Mszy świętej, bo dość dla mnie było pewności, że tutaj spełniła się niepojęta tajemnica, że Słowo w tej grocie Ciałem się stało. I to właśnie wzruszenie kazało zapominać o wielu niedogodnościach i przeszkodach w modlitwie. Grota bowiem jest ciasną, pali się w niej bezustanku 53 lamp, już to zawieszonych na bardzo nizkiem sklepieniu, już pod i przed ołtarzami; pobożni napełnili całą jaskinię, więc zaduch i gorąco nieznośne, ołtarzyk maleńki, że obrócić się trudno. Po Mszy chciałem pomodlić się samotnie, więc ukląkłem, schowawszy się za kolumnę, ale o parę kro-

[1]) Mat. II. 11.

ków odemnie szyldwach rozpoczął gawędę z drugim żołnierzem, a gdy ten odszedł, z nudów zaczął bębnić palcami po desce. Przyszedłem później z tym samym zamiarem, ale braciszek Franciszkanin zamiatał i prochy ścierał, innym razem robił to samo mnich grecki i tak ciągle coś lub ktoś przeszkadzał; nie można myśleć o modlitwie samotnej i cichej, może to się zdarzyć chyba bardzo rzadko. Cóż to musi się dziać przy wielkich nabożeństwach i w czasie licznych pielgrzymek! W ołtarzu jest obraz Trzech Króli takichże rozmiarów i tegoż pędzla, co i Narodzenia Pańskiego, także bardzo piękny. Obydwa obrazy zasłonięte przezroczystą siatką drucianą od pobożności Arabów, którzy mają straszny dla malowideł zwyczaj, że swemi brudnemi i spotniałemi rękami pociągają po obrazie, a potem je całują. Liévin powiada, że do 1873 r. były w obydwóch miejscach obrazy Maella, ale że w czasie napadu Greków w tym właśnie roku zniknęły; nie mogłem dojść z jego książki, czy to są te same obrazy, czy nowe — wyglądają raczej na nowe. Warte są szczególnej uwagi.

Z groty Narodzenia jest wejście do kilku innych, należących wyłącznie do katolików; więc najpierw wchodzi się do jaskini poświęconej św. Józefowi, który tu miał zostawać w czasie Narodzenia Pańskiego. Kustosz Ziemi świętej Tomasz de Novarra wzniósł tu św. Oblubieńcowi w 1621 r., ołtarz, trwający dotąd; ma być w nim bardzo cenny obraz, przedstawiający ucieczkę do Egiptu, ale go nie pamiętam. Stąd przechodzi się do groty św. Młodzianków; podług podania, w czasie rzezi Herodowej, schroniła się tu pewna liczba matek z dziećmi, ale zostały odkryte i dzieci pomordowano. Ciała ich złożono w niewielkim lochu znajdującym się tutaj. Obecnie stoi nad nim ołtarz, poświęcony św. Niewiniątkom. Na ścianie zauważyłem obraz pociągający nietyle wykonaniem, ile bardzo piękną kompozycyą. Osnuty on jest na strofie hymnu, śpiewanego w dniu ich uroczystości:

Aram sub ipsam simplices
Palma et coronis luditis [1]).

i przedstawia Dzieciątko Jezus z mnóstwem wieńców w ręku zstępujące między tłum dzieci, bawiących się palmami i wieńcami. Jedno

[1]) »Pod samym ołtarzem niewinne — Bawicie się palmą i wieńcami«. Jest to aluzya do ołtarza, o którym wspomina Apokalipsa św. Jana, VI. 9 — 11.

z nich w tureckim fezie na głowie. Ta kaplica podziemnemi schodami połączona z kościołem księży Franciszkanów; z niej wchodzimy do wązkiego korytarza, gdzie jest grób i ołtarz św. Euzebiusza z Kremony, ucznia i przyjaciela św. Hieronima. Porwany jego świętością i nauką, sprzedał swoje dobra i z nim razem osiadł w Betlejemie, pomagając mu do założenia klasztoru, którego po śmierci mistrza został przełożonym. Przeżył go jednak tylko o dwa lata i umarł w 422 r. Z tego wązkiego korytarzyka wchodzi się do większej groty, w której pod jedną ścianą był grób i ołtarz św. Pauli i jej córki Eustachii, pod przeciwległą zaś ich przyjaciela i nauczyciela św. Hieronima. Obecnie niema tu ich ciał; relikwie św. Hieronima przeniesiono do Rzymu i schowano w kościele S. Maria Maggiore tak dobrze, że odszukać ich nie można, gdzie zaś podziały się zwłoki jego córek duchownych, niewiadomo. Chociaż tedy pustą jest teraz jaskinia, to jednak wypełnia ją wspomnienie tych wielkich Świętych, przedstawiających widok niezwykły w owych zwłaszcza czasach pogańskiej rozwiązłości i upadku obyczajów.

U żłobka Zbawiciela przytuliła się garstka zbiegów z Rzymu i przyniosła z sobą całe skarby cnót niezwyczajnych; niewiadomo rzeczywiście co więcej podziwiać: umartwienie, hojność dla ubogich, obojętność na dostojeństwa i znaczenie u świata, na dostatki i wygody, czysty stosunek świętej przyjaźni, wiedzę olbrzymią u św. Hieronima, czy szczerą chęć do poważnej nauki u kobiet. Jeżeli kto z moich czytelników nie zna studyum o św. Hieronimie, jakie ks. Hołowiński w swojej Pielgrzymce umieścił, to mu radzę przeczytać je koniecznie.

Z tej pieczary przechodzi się do t. zw. celi św. Hieronima; jest to obszerna komnata, po części wykuta w skale, w części zaś murowana i sklepiona; ma jedno okno w ścianie północnej. Tutaj to, podług podania, miał święty starzec oddawać się pracy umysłowej, obok groty Narodzenia i grobów przyjaciół. Jest to kącik taki oddalony, zaciszny, schowany od świata, że zdawałoby się, można tu było całkowitego używać spokoju; niestety, nigdzie się na ziemi skryć nie można przed cierpieniem. Zatrute pociski niechętnych i zazdrosnych odnalazły naszego Świętego pod ziemią i spokoju mu nie dały.

Obecnie cela ta zamieniona na kaplicę i ma ołtarz z obrazem Świętego, zagłębionego w Biblii.

Przejdźmy teraz do bazyliki wznoszącej się na górze. Św. Helena cesarzowa, wyrzuciwszy posąg Adonisa, który Adryan kazał był w grocie postawić, i wyciąwszy gaj okoliczny, gdzie czczono Wenerę, wzniosła wspaniałą świątynię poświęconą Narodzeniu Pańskiemu, noszącą także tytuł N. Panny Maryi *ad Praesepe* — u żłobka. Skończył ją dopiero Konstantyn w 333 r., a Justyanin W. poprawił 530 roku. Lubo zniszczona, zeszpecona i opuszczona, przetrwała ona jednak w istotnych swych częściach aż dotąd i jest jedynym z kościołów fundacyi św. Heleny, który naszych doczekał czasów. Musiała to być niegdyś jedna z najwspanialszych świątyń. Z dziedzińca (atrium) troje drzwi prowadziło do przedsionka, zajmującego całą szerokość frontu.

Stamtąd wchodziło się do bazyliki w kształcie łacińskiego krzyża. Więc najpierw szło pięć naw, rozdzielonych czterema rzędami kolumn (po 12 w każdym rzędzie) z różowego z białym marmuru, o kapitelach korynckich; środkowa nawa była tak szeroką, jak dwie boczne. Długość naw była 16 sążni; przecinała je potem nawa poprzeczna, szersza jeszcze od środkowej, kończąca się z obydwóch stron półkolistemi absydami. Za nią było presbyteryum także okrągło zakończone. Środek jego przez całą długość tworzył jakby szeroki bardzo stopień, wyższy od posadzki o stopę — po obydwu stronach którego urządzono schody do Groty. Jak wszystkie bazyliki, nie miała ona pułapu, lecz tylko dach; widać więc było wiązania, belki i krokwie. W głównej nawie na kolumnach leżały mocne kamienne architrawy, na których wznosiła się wysoko ściana, przecięta dużemi sklepionemi oknami. Za panowania krzyżowców kosztem łacinników i greków ozdobiono ściany mozaikami.

Niestety, świetność ta niedługo trwała; teraz jej śladu niema; na szczęście kościół ocalał, chociaż przechodził takie niebezpieczeństwa, że pobożni jego historycy cudowi przypisują, że im nie uległ zupełnie. Tak np. około 1009 roku okrutny i pomieszany na umyśle Hakem, sułtan Egiptu, kazał zniszczyć i ten kościół, jak wszystkie inne, lecz wysłani w tym celu poganie byli jakoby obaleni, a potem nawet pobici przez światłość wypadającą ze świątyni. W 90 lat potem chcieli ją zburzyć cofający się przed krzyżowcami muzułmanie, lecz chrześcijanie uprzedzili Tankreda, a ten w nocy zająwszy Betlejem, ocalił bazylikę i mieszkańców. W 1101 r. koronował się tutaj

Baldwin I, następca Godfryda de Bouillon. Pomijam dalszą historyę tego kościoła (którą obszernie opowiada Liévin) i wspomnę tylko, że po długich walkach z katolikami, zajęli go w 1757 r. Grecy, wykluczywszy z niej zupełnie dawnych jego właścicieli. Dopiero w 1852 r., za pośrednictwem Napoleona III, udało się Franciszkanom odebrać klucz od drzwi wchodowych i nabyć prawa do lewych schodów, wiodących z chóru greckiego do groty, i oczywiście przechodzenia przez chór. Dawniej mogli dostawać się do niej tylko podziemnymi schodami z kaplicy św. Młodzianków.

Powiedziałem, że dawna świetność zniknęła, a pozostało ubóstwo i opuszczenie; w rzeczy samej z trojga drzwi do przedsionka pozostały tylko środkowe i te bardzo są teraz nizkie, sam zaś przedsionek zeszpecony przegródkami, ciemny, brudny — po jednej jego stronie zauważyłem ze 14 sienników żołnierskich, leżących na podłodze. Sama świątynia także zepsuta po barbarzyńsku, Grecy bowiem, nie mając środków do utrzymania całego gmachu, w tem miejscu gdzie się kończą podłużne nawy, wznieśli szkaradną wysoką ścianę, oddzielającą chór i nawę poprzeczną od reszty kościoła. Za tą ścianą urządzili sobie cerkiew, a większa część bazyliki stoi pusta; kolumny stare w wielu miejscach srodze nadszczerbione, mozaiki ze ścian poopadały, ledwo resztki zostały, posadzka w stanie opłakanym i nic dziwnego; odbywały się tu targi na bydło, urządzano sobie noclegi — teraz o tyle jest lepiej, że bydła już do kościoła nie wprowadzają, sprzedają tylko jarzyny i chleb w dnie targowe. Dodam jeszcze, że sufitu niema, więc gołe wiązania i krokwie dla nieprzyzwyczajonego oka wzmagają jeszcze smutne wrażenie, jakiego się tutaj doznaje.

W lewej zewnętrznej ścianie są drzwi do klasztoru łacińskiego, w prawej do greckiego, a niedaleko od nich bardzo starożytna chrzcielnica z jednego kamienia, na niej zaś napis grecki: »Dla pamięci, uspokojenia i odpuszczenia grzechów. O. N. I. Bogu wiadome imiona«. Za oną szpetną ścianą także nic estetycznego niema, oprócz chyba bogato rzeźbionego i złoconego ikonostasu. Widziałem tam, oprócz greckiego ołtarza, jeszcze dwa czy trzy należące do Ormian i bodaj do Koptów czy Syryjczyków — jeden brzydszy od drugiego. W lewej ścianie tego chóru są drzwi do kościoła katolickiego, którędy katolicy o każdej porze mogą przechodzić i przez lewe schodki dostawać

się do świętej Groty. Jak widzimy więc, smutnie wygląda bazylika św. Heleny, a niewesołe wrażenie wzrasta jeszcze wskutek obecności tureckich szyldwachów w kościele, czego nigdzie indziej nie widać, bo nawet w kościele Grobu Turcy tylko przy drzwiach straż trzymają. Przyczyną tego są właśnie owe nieszczęśliwe spory, o których się wspomniało. Już po zniknięciu gwiazdy srebrnej z miejsca Narodzenia, oprócz długich dyplomatycznych pertraktacyi, postawiono w samej Grocie szyldwacha z nabitą bronią, by się znów coś podobnego nie powtórzyło; niestety, obecność jego nie przeszkodziła zbrojnemu napadowi w roku 1873, stała się też tem konieczniejszą.

Niedawny z przed lat kilku wypadek zmusił rząd turecki do umieszczenia całego posterunku żołnierzy w kościele. Zapewne wielu czytelników pamięta, jak przed laty sześciu może lotem błyskawicy rozeszła się po Europie wiadomość, że w grocie Narodzenia w czasie nabożeństwa został zabity jeden Franciszkanin, jeden ciężko, a dwaj lekko ranni. Każdy tłómaczył to po swojemu, obwiniając to jednych to drugich, to trzecich o religijną nienawiść, fanatyzm i tym podobne brzydkie namiętności. W rzeczywistości nic z tego nie było i nikt tam nie zawinił oprócz jednostki niezwykle zapalnej, która popełniła zabójstwo w uniesieniu, jak się to tysiąc razy zdarza wszędzie. Opowiadano mi o tym wypadku na miejscu i ze strony, która ucierpiała, a zatem wie najlepiej, jak było — było zaś tak. Pewien dalmatyniec, poddany austryacki, przewodniczył dnia tego jako dragoman dwom podróżnym rosyjskim, a wszedłszy do groty, ukląkł przed greckim ołtarzem i modlił się.

Wspomniałem już pierwej, że prawem jest przez wszystkie wyznania przyjętem, iż gdy odprawia się na świętem miejscu nabożeństwo jednego z nich, wyznawcy innych nie powinni się wtenczas znajdować — dlatego grecy wyrzucili z Kalwaryi francuskiego księdza, który tam chciał nie we właściwej porze Mszę św. odprawić. Właśnie w Grocie odprawiali wtenczas Franciszkanie nabożeństwo, a właściwie powracali do niej z procesyi po grotach sąsiednich; ponieważ, jak wiemy, szerokość groty Narodzenia wynosi zaledwie kilka kroków, więc braciszek dyżurny powiedział onemu dalmatyńcowi, by ustąpił, ten mu coś gniewnie odburknął i dalej klęczał; wtenczas zakonnik pociągnął go za rękaw, mówiąc: ustąpże, bo widzisz, że procesya nadchodzi.

Dalmatyniec, widocznie bardzo burzliwej natury, skoczył rozgniewany a podniósłszy kurbacz, chciał nim ściągnąć zakonnika, że jednak sklepienie nizkie i zwisa z niego kilkanaście lamp, więc kurbacz strącił jedną z nich, która spadła na czoło dragomana, rozbiła się na niem i oblała oliwą. Ten z bólu wściekł się zupełnie, wyciągnął rewolwer i zaczął strzelać, zabił więc onego zakrystyana, drugiemu księdzu wsadził kulę gdzieś pod kość pacierzową, jednego ranił w palec u nogi; nim rozszalałego człowieka obezwładniono wystrzelił pięć razy.

Taki był przebieg wypadku, który wywołał niesłychane zamieszanie, przerażenie i oburzenie; greckie duchowieństwo choć niewinne, schowało się tak, że przez kilka dni nikt się na ulicy nie pokazał. Wkrótce sprawa się wyjaśniła, winowajcę oddano Austryi, nie mniej jednak w skutek tej awantury, oprócz szyldwacha w grocie, widziałem drugiego przed greckim ikonostasem, dwaj jeszcze żołnierze siedzieli w fezach na ławce między dwoma ołtarzami, a czternastu na zawołanie leży i śpi w przedsionku.

Jakkolwiek bazylika św. Heleny jest gmachem wielkim i wspaniałym, mało ją jednak widać, bo zewsząd jest otoczona klasztorami (dach tylko wystaje); mianowicie przytykają do niej z prawej strony: klasztor grecki i ormiański, z lewej kościół i klasztor katolicki. Ponieważ wielki kościół był odebrany łacinnikom, więc dla parafialnych potrzeb i nabożeństw służył im maleńki kościołek albo raczej kaplica św. Katarzyny, podług X. Hołowińskiego mający tylko 35 kroków długości a dwanaście szerokości. W 1881 roku OO. Franciszkanie ze składek, a przeważnie z hojności cesarza Franciszka Józefa wznieśli kościół nowy, obszerny, który chociaż mniejszy znacznie od kościoła św. Heleny, wzbudziłby jednak zazdrość w niejednej znanej mi katedrze. Zbudowany jest w stylu romańskim, bardzo prawidłowo (architekt Guillemont), wygląda jeszcze trochę pusto, bo brakuje wewnętrznego urządzenia, ma jednak kilka ładnych rzeczy. Na presbyteryum wiszą dwa nowe obrazy Narodzenia i pokłon Trzech Króli (ten drugi szczególnie mi się podobał) przez Lafon czy Lafoy, nie mogłem dokładnie przeczytać; jest dalej marmurowa kropielnica z wodą święconą, podtrzymywana przez bardzo ładne dziecko, mające wyobrażać tak zwanego aniołka; ambona dębowa osadzona na pniu wyobrażającym cytrynę i otoczona rzeźbionymi liśćmi i owocami —

pomysł ten sam co w Jaffie, ale niekoniecznie szczęśliwy. Z tego kościoła co dnia, oprócz niedzieli i czwartku, około godziny czwartej po południu wychodzi procesya ze świecami i zwiedza, jak w Jerozolimie, przy śpiewie odpowiednich hymnów, wszystkie święte miejsca. Nie byłem na niej, ale zato asystowałem nabożeństwu po nieszporach w kościele łacińskim. Pamiętam z niego tylko litanię do N. Panny. Śpiewali ją młodzi zakonnicy z chłopcami ze szkółki. Ton litanii był włosko-operowy, łączono po pięć wezwań na raz, przyczem bas wychodził solo, potem ten motyw powtarzał chór; śpiewali przez nos, przez gardło, podniebienie, jak kto trafił i umiał, a wrzeszczeli, jakby ich kurcze (i to nie byle jakie) trapiły. Mnie słabo robiło się od tego krzyku, ale betlejemici dochodzili do ekstazy; zdejmowali z głowy turbany i fezy, bili czołem o posadzkę, podnosili ręce — wydawali się bardzo zadowoleni i rozczuleni.

Do kościoła jak zwykle przytyka klasztor; dawniej był on ciasny i wilgotny, teraz rozszerzono go i dobudowano wiele, tak że jest bardzo wygodnym i obszernym. Oprócz zakonników mieszczą się w nim teraz *humaniora* dla kleryków bernardyńskich, t. j. nauki gimnazyalne. Ponieważ szkół rządowych niema, więc każdy musi o sobie sam myśleć i XX. Bernardyni mają dla swego zakonu nowicyat w Ain Karem (miasto św. Jana), gimnazyalny kurs tutaj, a teologię w Jerozolimie; oczywiście profesorami są zakonnicy. Z tarasu klasztornego można cieszyć się obszernym i jak na taki dziki kraj pięknym widokiem. W jednym z wewnętrznych dziedzińców pokazują starą bardzo cytrynę, której praprababkę zasadził w tem miejscu św. Hieronim. Po tym świętym jest tu jeszcze inna pamiątka, mianowicie sala w ormiańskim klasztorze, zwana szkołą św. Hieronima, bo w niej ten doktor kościoła miał wykładać Pismo święte.

Niedaleko od kościoła jest t. zw. grota Mleczna. Legenda utrzymuje, że kiedy N. Panna karmiła w niej Dzieciątko Jezus, kilka kropli Jej pokarmu padło na ziemię i wskutek tego kamień jest tu biały, a okoliczne niewiasty mające mało pokarmu skrobią ściany i piją proszek stąd otrzymywany, wierząc że to im pomaga. Kamień jest biały, bo wapienny, legenda niema żadnej faktycznej podstawy i bezwątpienia przez analogię została do tej groty przywiązaną, ale że nic w niej niema przeciwnego wierze i obyczajom, więc urządzono

tu kaplicę ku czci N. Panny. Teraz już skrobać ścian chyba nie będzie można, bo, o ile pamiętam, wyłożono je kamieniem — posadzkę marmurową przypominam sobie dobrze. Nad grotą św. Paula zbudowała była kościół św. Mikołaja i klasztor, w którym sama mieszkała. Stąd poszliśmy do miejsca domu św. Józefa; należy ono wraz z grotą Mleczną do katolików; zstępując zaś coraz niżej, udaliśmy się do pola pasterzy, odległego o pół godziny drogi (piechotą) od groty Narodzenia. Po drodze zwiedzamy wioskę Beit-Sahur, z której mieli pasterze ci pochodzić. Jest w niej kilka cystern, z których jedna zowie się studnią Maryi dlatego, że podług legendy, kiedy N. Panna poprosiła czerpiącego ze studni człowieka, by dał jej się napić, ten odszedł z wiadrem, a wskazując z szyderstwem na wodę powiedział: pij. Wtenczas woda podniosła się do samego brzegu tak, że N. Panna mogła napić się bez naczynia. Naprzeciwko wioski rozciąga się obszerna równina — jest to pole Booza, na którem Rut kłosy zbierała.

Grota mleczna.

Po niejakim czasie weszliśmy do miejsca zagrodzonego i osadzonego drzewami oliwnemi. Na tem miejscu mieli spoczywać pasterze, gdy jak mówi Ewangelia, »strzegli straże nocne nad trzodą swoją, a Anioł Pański stanął podle nich«. Św. Helena zbudowała tu kościół, z którego pozostała tylko krypta podziemna. Należy ona do Greków i jest ich cerkwią parafialną. Zeszliśmy tam po 21 schodach i z prawdziwą przykrością oglądaliśmy to podziemie, w którem ubóstwo walczy o lepsze z brudami i zaniedbaniem. Za carskiemi wrotami widziałem na ścianie czy skale resztę jakichś dawnych malowideł. Był tu niegdyś klasztor Cenobitów, w którym Kasyan mieszkał czas jakiś.

O miasteczku samem niewiele mam do powiedzenia. Przesunęło się ono z czasem w stronę klasztoru tak, że cysterna Dawida, będąca dawniej u bram jego, teraz jest za miastem. Jest ono schludniejszem od innych, bo żydów w niem niema zupełnie, a mahometan bardzo

Wejście do krypty na polu Parteny.

mało; zresztą schludność tę trzeba mierzyć wschodnią miarą. W czasie spacerów po mieście zaglądnęliśmy do domu stojącego nad drogą otworem; składał się on z jednej niewielkiej murowanej izby; naprzeciwko drzwi, zostawiając dla przejścia miejsce na dwa albo trzy

kroki, urządzono sklepioną stajenkę, sięgającą do $^2/_3$ większości onej izby, w niej stoją osły i inne bydlęta, a na górze śpią i siedzą gospodarze; resztę miejsca zajmują sprzęty gospodarskie. Jest więc tu razem skład, śpiżarnia, stajnia z mieszkaniem gospodarzy — można sobie wyobrazić, jak tam miło mieszkać. Okien nie zauważyłem, światło padało tylko przez drzwi otwarte.

Betlejemici mają sławę uczciwych i moralnych ludzi, nie spuszczają się na księży w tym stopniu, co Jerozolimitanie i pracują na siebie sami. Specyalnością ich jest wyrób przedmiotów do nabożeństwa, przeważnie z konchy perłowej i drzewa oliwnego. Niekiedy dochodzą w tem prawie do artyzmu. W 1893 r. podług Liévin'a Betlejem liczyło 6100 mieszkańców, z tych 100 muzułmanów, ze 20 protestantów, 700 ormian heretyków, 1760 niezjednoczonych greków i 3540 katolików. Ci ostatni oprócz wiadomych już nam miejsc świętych i kościołów lub kaplic mają jeszcze tutaj klasztor Karmelitanek, klasztor księży Najświętszego Serca Jezusowego i sióstr Józefinek. OO. Franciszkanie utrzymują szkołę początkową dla chłopców, Józefinki zaś dla dziewcząt. Jest także dom dla sierot, założony przez X. Belloni'ego; jeden to z największych gmachów w Betlejemie.

W niedzielę 21 października odprawiłem Mszę świętą w grocie św. Hieronima, przy asystencyi licznie zebranych wiernych, a po kawie wybrałem się około 9-tej na przejażdżkę do źródła zapieczętowanego, sadzawek Salomona i zamknionego ogrodu — chciałem się im przypatrzeć dokładnie. Pojechałem na osiołku, towarzyszył mi przewodnik, a w drodze przyłączył się do nas wyrostek ze szkoły klasztornej, chcący korzystać z niedzielnej swobody. Jechaliśmy najpierwej znajomą już nam drogą do sadzawek; przybywszy na miejsce, skierowaliśmy się wprost do zamku, zwanego Kalaat-Burak. Pochodzi on prawdopodobnie z XIV wieku i składa się z zębatego muru, z czterech wież po rogach i piątej nad bramą wchodową. W tem opuszczonem i zaniedbanem zamczysku mieszkają dwaj baszybuzucy, strzegący jakoby obok leżących sadzawek i czuwający nad bezpieczeństwem drogi do Hebronu. Trudno nie żałować biedaków zmuszonych do prowadzenia pustelniczego żywota w tych ruinach, wśród skał, bez drzew, zieleni i bez towarzystwa ludzi.

W chwili jednak, gdyśmy przyjechali, baszybuzucy nie byli samotni; w cieniu murów leżał dywan, na jednym jego końcu siedzieli gospodarze, na drugim dwie czy trzy kobiety z odkrytemi twarzami, a więc nie mahometanki; na słońcu stał koń przywiązany do kołka wbitego w ziemię. Stał biedak na upale i nie mógł nawet skubać trawki dla tej prostej przyczyny, że jej nie było. Jeden z baszybuzuków dał nam klucz do źródła, w nadziei bakczyszu poczęstował kieliszkiem raki, t. j. wódki mocno anyżem zaprawionej, jak z pod ziemi zjawił się chłopak ze świecą i zapałkami i ruszyliśmy do odległego o jakie 250 kroków Ras-el-ain, tj. głowa »źródła«, jak się dziś nazywa *fons signatus* Salomona.

Trudnoby się go było domyśleć, bo widać tylko niewielki pagórek, a w nim bardzo nizki otwór i drzwi zamykane na klucz. Schyliwszy się bardzo, wlazłem do środka, poprzedzany przez chłopca ze światłem; po 26 schodach wszedłem do sklepionego lochu, długiego ze 6 sążni; pośrodku jego wykuty kwadratowy basen, w którym zbiera się woda ze źródeł będących w następnym lochu i stąd wypływa dalej do wodociągu albo też do sadzawek.

Drugi loch jest także sklepiony i w skale wykuty, w nim bije kilka obfitych źródeł doskonałej wody. Nie chciało mi się stąd wychodzić, tak mi tu było dobrze; miałem chłodek i wody w obfitości, szum jej i klekotanie nadzwyczaj mile działały na ucho, które tak dawno ich nie słyszało. Źródło to, zapewne istniejące i przedtem, Salomon uregulował i wejście do niego zapieczętował, żeby nikt nie ważył się wchodzić do środka i psuć wodę. Do niego też przyrównywa oblubienicę swoją w Pieśniach nad Pieśniami (IV, 12), a Kościół katolicki porównanie to zastosował do N. Panny, niedostępnej dla grzechu i nietkniętej przez zmazę. Dla tego porównania i związanego z niem słodkiego wspomnienia Niepokalanej, chciałem koniecznie zobaczyć to źródło, a potem ogród zamkniony. Wspomniałem, że część wód odpływa do sadzawek, a reszta do wodociągu Salomona; prawdopodobnie wykuli go jeszcze Chananejczycy, Salomon zaś poprawił; odtąd nosi jego imię. Różni się on całkowicie od wodociągów, jakie przywykliśmy widzieć gdzieindziej, opartych na filarach i łukach; tutaj kanał prowadzący wodę jest wykuty w pochyłości skał i szedł do Betlejemu, a stamtąd do Jerozolimy. Oczywiście

robił liczne zwroty i zakręty, ale za to był mniej kosztownym a trwalszym od rzymskich »akweduktów«. Kanał ten jest zakryty kamiennemi płytami i ziemią, w pewnych tylko odstępach porobione otwory dla powietrza.

Szedłem czas jakiś wzdłuż wodociągu, w jednem miejscu z przyjemnością zobaczyłem trochę trawy zielonej, która nie uschła, bo korzenie jej miały dosyć wilgoci; na trawie siedziała niezwykłych rozmiarów żaba, grzała się na słońcu i wytrzeszczała na mnie przerażone oczy; gdym się zbliżył, w jednej chwili zmieniła front i z wielkim pluskiem wpadła do otworu. Nawet widok tej pokraki świata zwierzęcego zrobił mi tym razem przyjemność, bo nigdzie tu żab nie widać i rehotania ich nie słychać — jaszczurki tylko, rozstawiwszy łapy, wygrzewają się na murze albo na skale. Wodociąg Salomona musi być często poprawiany, bo jest za ciasny dla masy wody w zimie i na wiosnę, to też ciągle się psuje; za mojej bytności od lat wielu był zepsuty i doprowadzał wodę tylko do Betlejemu. Opowiadano mi, że pewna bogata amerykanka widząc cierpienia z tego powodu mieszkańców Jerozolimy, chciała swoim kosztem wodociąg naprawić, ale rząd turecki domagał się, żeby ona pieniądze potrzebne jemu złożyła, a on już sam to zrobi; oczywiście amerykanka nie była w tym stopniu naiwną i biedni jerozolimitanie dotąd piją wodę z cystern albo lada jakie błoto, gdy tej nie stanie. Sadzawki, do których zwróciliśmy się, wyszedłszy z podziemia, leżą z drugiej strony Kalaat-Burak.

W kierunku od wschodu ku zachodowi ciągnie się wąwóz wśród dzikich, nagich skał, poszarpanych i podrapanych w niezliczone rowy, szpary i zagłębienia; w tym to wąwozie wykute są te sadzawki albo raczej zbiorniki wody. Leżą one coraz niżej jedna za drugą, poprzedzielane niewielkimi odstępami skalistego gruntu. Najwyższa jest najmniejszą, ma 116 metrów (więcej niż 50 sążni) długości, 70 szerokości a 8 głębokości; druga — 120 metrów dług., 70 szerok., 12 głęb.; trzecia — 177 dług., 64 szerok., 15 głębokości. Połączone są z sobą kanałami w taki sposób, że gdy się górna napełni, za otwarciem drzwiczek przelewa się z niej woda do niższej, z ostatniej zaś wypływa niewielkim strumykiem, dążącym do wąwozu, w którym znajdował się niegdyś Salomonowy *hortus conclusus*, t. j. ogród zamkniony.

Ponieważ źródło zapieczętowane nie mogłoby samo zapełnić tak olbrzymich cystern, więc sprowadzono jeszcze kilka sąsiednich źródeł, a nadto spływa do nich woda deszczowa z gór po obydwóch stronach jaru. Ja zastałem sadzawki prawie suche, tylko w pierwszej było trochę zielonej całkiem wody na samym spodzie; pomimo opuszczenia, w jakiem się to olbrzymie dzieło, powszechnie przypisywane Salomonowi, znajduje, robi ono jednak ogromne wrażenie. Po obydwóch stronach odwiecznych wydrążeń ciągną się skaliste, poszarpane i nagie góry; w dole leżą w wiekowej drzemce trzy sadzawki; cicho dokoła tak, że słychać ksykanie schowanego gdzieś świerszcza, a nad całą rozpaloną pustynią, jak odgłos dzwonu z dalekiego pogrzebu, zdają się płynąć dawno wyrzeczone, a nigdy nie przebrzmiałe słowa natchnionego mędrca: »Rozwielmożniłem dzieła moje, nabudowałem sobie domów, nasadziłem winnic, naczyniłem ogrodów i sadów, naszczepiłem w nich drzew rodzaju wszelkiego, nabudowałem sobie stawów dla odwilżania lasów drzew rodzących. Zgromadziłem srebro i złoto i majętności królów i krain; sprawiłem sobie śpiewaki i śpiewaczki i przeszedłem bogactwy wszystkie, którzy przedemną byli w Jeruzalem; mądrość też została ze mną. I wszystko czego żądały oczy moje, nie broniłem im, anim odmawiał sercu memu aby nie miało używać wszelkiej rozkoszy i kochać się w tem, com zgotował. A gdym się obrócił ku wszystkim dziełom, które naczyniły ręce moje, obaczyłem we wszystkiem marność i udręczenie myśli, a iż nic nie trwa pod słońcem. I śmiech poczytałem za błąd, a do wesela rzekłem: co się darmo zwodzisz?«

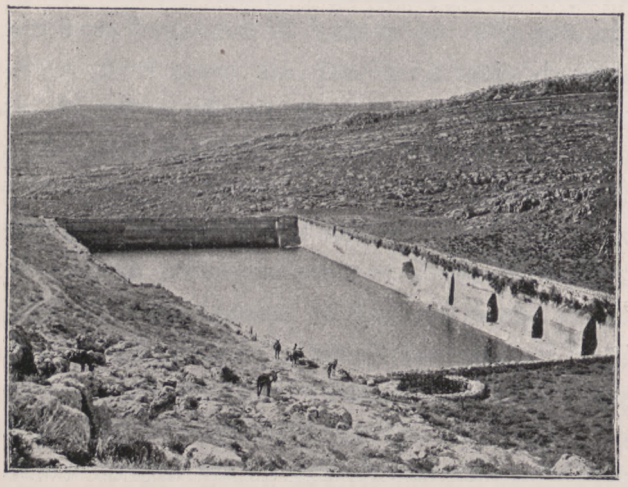

Najwyższa z sadzawek Salomona.

Jar skalisty, w którym się znajdują sadzawki salomonowe, łączy

się z innym, idącym w kierunku bardziej południowym, a zwanym dziś Wadi Artas albo Urtas. Dawniej stoki gór były pokryte wspaniałymi dębami, teraz ich ani śladu, nawet korzenie wyrywano na opał, wskutek zaś braku roślinności deszcze spłukały ziemię i trudnoby się nawet domyśleć, że na tych nagich skałach co kiedy rosnąć mogło. Dolina Urtas wije się wężykiem między górami na przestrzeni 2—3 wiorst; w niej to niegdyś Salomon założył swój sławny ogród zwany zamknionym dlatego, że wejście do niego było zamknięte z jednego końca ścianą najniższej sadzawki, z drugiego zaś murem. Niezbyt dawno i ona była taką samą pustynią jak cała okolica, przed laty jednak 40 amerykanie, potem europejczycy wzięli się do jej uprawy i teraz jest ogrodem zasilającym Jerozolimę większą częścią potrzebnych miastu jarzyn i owoców. Środkiem doliny przepływa mały strumyk, powstały ze zlewu kilku źródeł, przeważnie zaś obfitego bardzo źródła bijącego ze skały u stóp wioski Urtas, która się uczepiła jej stoków.

Dzięki tej okoliczności i pracy europejskiej, wśród nagich skał ślicznie dziś odbija zielony jak na wiosnę kobierzec ogrodów warzywnych, ocienionych drzewami owocowemi jak: oliwki, morwy, brzoskwinie, granaty i t. p. Gdyśmy dojechali do źródła, nie mogliśmy się dość jego świeżością nacieszyć, a osiełki nasze ciągnęły wodę jak smoki; mój skończył pierwej, więc ruszyłem naprzód i schroniłem się w cieniu niewielkiej skały i rosnących na niej drzew. Obaj towarzysze moi zostali przy źródle i gawędzili z mieszkańcami wioski; nademną stali trzej mali chłopcy i cieniutkimi głosami wrzeszczeli: »bakczysz« z takim zapałem, że aż przysiadali do ziemi, ja zaś patrzyłem na zieloną wstęgę ogrodów, na rozpalone nagie skały dokoła i myślałem o czasach dawnej świetności, gdy na nich bujały rozmaitego rodzaju drzewa, a między niemi przesuwała się postać wielkiego Salomona; i przyszedł mi na myśl poetyczny ustęp z Pielgrzymki ks. Hołowińskiego: »Tu bowiem ten król, udarowany mądrością i bogactwem, często lubił się ukrywać w dolinie pełnej wody i cienia. Pochyłości gór strzegących wąwozu, były odziane winnicą i różnem drzewem; tu zewsząd posprowadzał najwonniejsze drzewa, krzewy i zioła. Wpośród róż sarońskich i lilii, wpośród granatów cyprysów, aloesów, nardów, szafranów, cynamonów, myrry i balsa-

mów przechadzał się po tych górach, a cały ogród za najmniejszym powiewem płynął wonnościami. Tu z drzewa cedrowego wzniosły się pałace z kolumnami srebrnemi, posadzką wykładaną złotem i stropami odzianemi purpurą, a wewnątrz były wysłane miłością córek jerozolimskich. Uniesiony wspomnieniami, zdaje się, że słyszysz jak Salomon za przybyciem wiosny wzywa oblubienicę na przechadzkę po tym ogrodzie: »Spiesz przyjaciółko moja, a przyjdź, boć już zima minęła, deszcz przeszedł i przestał. Ukazały się kwiatki po ziemi naszej, przyszedł czas winnic obrzynania; czas śpiewania przyszedł, a głos synogarlicy słychać w ziemi naszej. Figowe drzewo wypuściło niedojrzałe figi swoje, kwitnąca winna latorośl wydała woń swoją«. Tu siadywał pod cieniem palmy i pożywał owoce drzew swoich albo wstawszy rano szedł do ogrodu i oglądał czy kwitnie winna latorośl, czy się zawiązują gronka i czy kwitną granaty, albo wreszcie rozkazywał łapać liszki małe, co psuły winnicę«.

Tak tu było dawno, bardzo dawno temu, a dzisiaj? Dzięki staraniu przychodniów, sam spód wąwozu okryty bujną zielenią, ale góry całkiem nagie i smutne, a upał i gorąco takie, że trudno było wytrzymać. Zdało mi się czasami, że jestem w piecu albo w naszej maleńkiej i nizkiej katedrze w upalne dni letnie, gdy pełno w niej ludzi a drzwi zamknięte. Już to trzeba przyznać, że nasze pojęcia o ogrodach są całkiem różne od azyatyckich, zwłaszcza z przed 3000 lat. Gdyby nawet pochyłości gór były jak dawniej pokryte lasem, to tak niema w tym jarze żadnego widoku, taki upał wśród gór na parę tysięcy stóp wysokich, tak mało przestrzeni, że dla nas, przyzwyczajonych do dalekich horyzontów i równin szerokich, mieszkanie w podobnem ustroniu byłoby karą bardzo ciężką i bardzo trudną do zniesienia.

Trzeba było wracać do Betlejemu, bo widziałem już, co chciałem zobaczyć i gorąco stawało się nie do zniesienia, ale teraz właśnie rozpoczęła się najgorsza część drogi. Mój przewodnik widocznie sam jej dobrze nie znał, więc zabłądził i prowadził mnie po takich wertepach, że u nas szanujący siebie zając, gdyby mu kazano po podobnych drogach biegać, długoby się namyślał — słuchać, czy nie słuchać. Raz naprzykład stanęliśmy przed ścieżką szeroką może na dwie stopy; u dołu nie było wprawdzie przepaści, lecz wąwóz na 10 sążni

głęboki — aż nadto dostatecznie do rozbicia się o kamienie razem z osłem, a u góry skała pochylona ku ścieżce.

Mój kłapouch zbuntował się i nie chciał iść. Na szczęście nie cierpię w podobnych razach na zawrót głowy, więc poczęstowałem go odpowiednio i przeszedł. Innym razem stanęliśmy nad stokiem tak spadzistym, że o zjechaniu nie było co myśleć — zsiedliśmy i sunęliśmy się na dół ciągnąc za sobą osły, które to zsuwały się, przysiadając na tylnych nogach, to ostrożnie wybierały sobie miejsce swemi małemi kopytkami; to znowu idący przedemną osiołek potknął się i upadł, a siedzący na nim młodzieniec w jednej chwili przez głowę osła przeleciał i własną o skały uderzył. Trzymałem więc swego mocno w garści, żeby się także nie związał. Najgorszem jednak ze wszystkiego było, że poczułem silny i dokuczliwy ból głowy nad karkiem; wiedziałem że od tego do strasznego porażenia słonecznego bardzo już niedaleko, więc też jak mogłem okrywałem kark kapeluszem i parasolem, a wzdychałem do prędszego schowania się w cieniu klasztornym. Wreszcie popołudniu już, w największy upał powróciliśmy do Betlejemu; nie pomagał jednak ani odpoczynek, ani chłodek, ani zimna woda, dopiero natura sama sobie poradziła. Puścił mi się silny krwotok z nosa i wtenczas ból ustał; mówili mi też zakonnicy, że w razie porażenia słonecznego jedyny ratunek zależy na natychmiastowem puszczeniu krwi, bez tego śmierć niezawodna. Przytaczali mi przykłady.

Tegoż samego dnia wróciliśmy wieczorem do Jerozolimy. Nazajutrz spałem jeszcze w najlepsze, gdy do sennych moich uszu doszedł przeraźliwy świst lokomotywy; budziłem się i zasypiałem, a gwizdanie powtarzało się ustawicznie i to bardzo blizko. We śnie nawet zadawałem sobie pytanie, skądby się tu wzięła lokomotywa, gdy dworzec o wiorst parę, a żadnej fabryki w Jerozolimie niema. Po obudzeniu się słyszałem te same odgłosy, lecz przekonałem się, że nie były one wcale parową gwizdawką, tylko wrzaskiem ludzkim. Jakiś sopran niesłychanej siły, czysty przytem i wysoki, krzyczał w sposób nadzwyczaj oryginalny. Zaczynał bowiem od *c* pod czwartą i wziąwszy je forszlagiem, wskakiwał na jego oktawę; ciągnął tak ze dwa takty z całą siłą i spadał o oktawę, odmawiając wtenczas w szybkiem tempie jakieś recitativo. Ćwiczenie takie powtarzało się często aż do

uprzykrzenia. — Co to znaczy? pytam służącego. — A to taki tu zwyczaj, odpowiada, za naszą ścianą duchowny grecki wydaje córkę za mąż, więc dziewczęta, jej koleżanki, wybiegają na taras (t. j. na dach) i śpiewają, jak pan słyszy. — A długoż to będzie? — Trzy dni i trzy noce. Miła perspektywa! Gdyby choć na nie jaka nieszkodliwa chrypka, ale kto tu zachrypnie w takim suchym klimacie? Wrzeszczały więc dzień cały i drugiego połowę, bo na szczęście uroczystość rozpoczęła się, gdyśmy byli w Betlejemie. Pomimo wszystkiego nie mogłem nie podziwiać głosu tej osobliwej primadonny; towarzyszki porywały się do naśladowania, ale nie mogły jej wyrównać i przypominały młode koguciki, chcące współzawodniczyć z kogutem starym i wypróbowanym śpiewakiem.

Jednem z miejsc świętych, najbardziej pociągających moją wyobraźnię, było miasto rodzinne św. Jana Chrzciciela i o godzinę odległa pustelnia, w której poprzednik Chrystusa surowy żywot od dzieciństwa prowadził. Ewangelia św. Łukasza (roz. 1) opowiada, że gdy Marya dowiedziała się od anioła o niedalekiem rozwiązaniu krewnej swej Elżbiety, »powstawszy w onych dniach poszła na góry z kwapieniem do miasta judzkiego;« — podług powszechnej i bardzo dawnej opinii, owem miastem wśród gór jest niewielkie miasteczko zwane dziś przez Turków Ain-Karem, a przez chrześcian miastem św. Jana *in montanis* — w górach. Leży ono o godzinę drogi od Jerozolimy, z którą jest połączone szosą wcale dobrą; mogłem więc drogę odbyć wygodnie powozem. Jadąc patrzałem na okolicę smutną i dziką, dziwując się jak tu i z czego ludzie dawniej żyć mogli. Dokoła albo skaliste i nagie góry, albo równiny pokryte rzędami olbrzymich kamieni; zdawało się, jakby niezmierny pług poodwalał regularne skiby kamienne na parę łokci wysokie. W dolinach dość często widziałem bladą zieloność winnej latorośli; były to winnice Turków, którzy winograd jedzą sami, a co zbywa, przedają chrześcijanom i żydom na wino.

Wyjechałem nad wieczorem, gdy upał już się zmniejszył; po godzinie znalazłem się w ogromnej kotlinie, otoczonej zewsząd wysokiemi górami, spód zaś jej zajmował pagórek, na którym rozsiadło się Ain-Karem. Mieścina niewielka, brudna i zapylona, główną jej ozdobą kościół i klasztor XX. Franciszkanów. Ponieważ dojechać po-

wozem do klasztoru nie można było z powodu wązkich ulic, więc doszedłem piechotą (bardzo zresztą niedaleko) i wkrótce znalazłem się w hospicyum. Bratem od przyjmowania gości był wtenczas br. Kazimierz Lipski, żmudzin; uprzedzony o mojem przybyciu przygotował już z góry bardzo piękną celę, częstował i gościł serdecznie, wydostał nawet skądś kawałek litewskiej szynki i napoił winem, od którego mi język odrazu kołkiem stanął (tak było cierpkie i mocne).

Na miejscu Narodzenia św. Jana Chrzciciela już od najdawniejszych czasów chrześcijańskich wzniesiony był kościół, który zburzył Chosroes; krzyżowcy postawili nowy, ale po upadku ich panowania Turcy zamienili go na stajnie, dopiero w 1625 r. przedsiębierczy kustosz Ziemi św. Tomasz da Novarra odkupił go i znowu na świątynię katolicką zamienił. Pod koniec XVII w. kościół i klasztor zrestaurowali królowie hiszpańscy, dlatego dotąd przeważnie przez hiszpańskich zakonników zamieszkanym bywa; gwardyan zawsze powinien być Hiszpanem.

Miasto św. Jana *in montanis;* Ain-Karem.

Dawniej gości przyjmowano w klasztorze, ale w ostatnich czasach, gdy ze zwiększonym ruchem katolickim zwiększyły się i środki zakonników, dźwignęli oni nieco wyżej od klasztoru hospicyum, t. j. dom gościnny (casa-nuova). Jest to duży dom o piętrze, cały z ciosanego kamienia. Po obydwóch stronach korytarza idą cele dla gości, w połowie długości przecina go drugi korytarz szerszy ale krótszy od pierwszego, formując rodzaj sali, po obydwóch końcach której są okna opatrzone w żaluzye, poustawiane kanapki, krzesła i stoły, tam też zbierają się podróżni dla gawędy i odpoczynku. Kamienne schody prowadzą na górę, na obszerny taras, gdzie można spacerować, używając widoku na okoliczne góry.

W jednej z tych cel ulokował mnie gościnny br. Kazimierz — zasnąłem spokojnie, układając sobie na jutro wycieczki po miasteczku

i do groty św. Jana. Niestety, chłop strzela, Pan Bóg kule nosi. Obudziłem się nieswój, jakby zbity i połamany; z południa od pustyni powiał szkaradny wiatr, chamsinem zwany, gorący, denerwujący i duszący, a że byliśmy w kotlinie, więc gorąco było jak w piecu. Był to najgorętszy dzień w czasie całego mojego pobytu w Palestynie. Z największym tylko wysiłkiem mogłem Mszę odprawić i zwiedzić bliższe miejsca, o dalszych, a zwłaszcza o pustelni św. Jana nie było co myśleć.

Dzień zacząłem oczywiście od kościoła i nabożeństwa. Kościół niewielki, ale dobrze utrzymany; podzielony na trzy nawy, ściany wykładane taflami malowanej porcelany. W środkowej nawie przed presbyteryum wznosi się ładna kopuła, a w niej zawieszono obraz św. Jana, przypisywany Murillowi; nie mogłem się mu dobrze przypatrzeć, ale koloryt gorący wskazywałby prędzej na włoskie pochodzenie. W zakrystyi jest piękny obraz przedstawiający tegoż świętego, którybym prędzej poczytał za dzieło Murilla. Jest jeszcze kilka pięknych obrazów w tym kościele, który pod względem dzieł pędzla wydał mi się najlepiej uposażonym ze wszystkich palestyńskich.

Główną ozdobą jego jednak jest grota, w której podług ogólnego podania miał się urodzić wielki poprzednik Zbawiciela. Kto zna trochę Palestynę, tego nie zdziwi, że tak wiele wypadków, zwłaszcza z wewnętrznego rodzinnego życia, odbywało się w grotach. Jest ich tam bardzo wiele, a mieszkańcy chętnie z nich korzystali i budowali się przy nich, oszczędzając sobie pracy, a zyskując suche i chłodne schronienie, rzecz w gorącym klimacie nieocenioną. Widziałem w Nazarecie domy w taki sam sposób dotąd budowane. Rzeczą więc jest naturalną, że w tej spokojnej części mieszkania Zacharyaszowego urodził mu się syn i że w tej grocie przy łożu św. Elżbiety pierwszy raz wyśpiewany został hymn *Benedictus*, dotąd po całym świecie śpiewany.

Obecnie grota narodzenia św. Jana znajduje się na końcu lewej nawy kościoła, zstępuje się do niej po ośmiu schodach; wewnątrz wyłożoną jest marmurem, przy ołtarzu w ścianie znajduje się pięć płaskorzeźb z historyą świętego, a pod ołtarzem gwiazda z kawałków marmuru i napis dokoła łaciński: »Tu się narodził przesłaniec Pana«. Tu miałem szczęście odprawić Mszę świętą.

Po wyjściu z klasztoru schodzi się do niewielkiego rozdołu, gdzie bije jedyne tu źródło, zwane źródłem Maryi, która przychodziła do niego po wodę, bawiąc u Elżbiety. Dziś mahometanie wznieśli nad niem niewielki i pusty zupełnie meczet. Woda spada stąd niżej i skrapia warzywne ogrody, mile pieszczące oko swą świeżą zielonością. Jest też w dolinie i drzew trochę, a nawet dalej widziałem jedno duże i piękne; było to drzewo rodzące tak zwane u nas rożki, a gdzieindziej chleb św. Jana (Francuzi nazywają je caroubier). Stąd z wielkim trudem wstępowaliśmy na przeciwległą górę do kaplicy Nawiedzenia. Tradycya utrzymuje, że św. Zacharyasz miał tutaj drugi dom, letni, i że tutaj N. Panna spotkała swą krewnę.

Pustelnia św. Jana.

Na miejscu, gdzie się odbyło to rzewne i podniosłe spotkanie, z taką prostotą opowiedziane przez Ewangelię, już w pierwszych wiekach zbudowano kościół, potem krzyżowcy dodali klasztor, jak przypuszczają Benedyktynek, ale po upadku jerozolimskiego królestwa wszystko poszło w ruinę. W 1621 r. nabyli ją Franciszkanie, jednak dla braku środków nie mogli jej podźwignąć i w takim stanie zostawała do naszych czasów. W ostatnich lat dziesiątkach zrestaurowali kaplicę XX. Franciszkanie; ja już widziałem w dobrym stanie i nowy klasztorek, w którym mieszkają trzej zakonnicy. Kaplica niewielka, wydaje się jakby była kryptą, nad którą kiedyś musiał być górny kościół. Ma dwa ołtarze, jeden poświęcony Nawiedzeniu, drugi św. Zacharyaszowi. Jest też w niej niedaleko od ołtarza źródło dobrej wody. Cała pochyłość góry, na której stoi ten klasztorek, należy obecnie do Rosyan, którzy pobudowali tam mnóstwo domków otoczonych ogródkami. Mówiono mi, że mieszkają w nich na dewocyi same kobiety. Nie sprawdziłem tego, ale trochę wątpię, czy wśród mahometańskiej dziczy byłoby to rzeczą możebną i bezpieczną.

Z tarasu klasztornego widziałem na przeciwnej stronie klasztor Sióstr Syońskich; wskazywano mi też drzewa, pod któremi spoczywa założyciel tego i jerozolimskiego klasztorów, X. Alfons Ratisbone. Dobrze mu tam być musi spać snem wiecznym; poznał prawdę i miłość, życie im poświęcił, pewną liczbę dusz braci swoich uratował, kości złożył na ziemi swych ojców, a teraz, gdy duch bezwątpienia cieszy się szczęściem wiekuistem, nad prochy jego wiatr przynosi wieści od niedalekiej siedziby wielkich Machabeuszów, od miejsca walki Dawida z Goliatem, od gór i dolin jego ojczyzny, tak pełnych chwały i nieszczęścia — i kto wie, o czem szepcą zielone liście nad milczącą, samotną mogiłą tego żyda i tego świętego...

Widziałem dalej dolinę terebintów, w niej to, tylko dalej nieco, miała się odbyć owa walka między olbrzymem filistyńskim a młodym izraelskim pastuszkiem, która na zawsze pozostanie symbolem zwycięstwa dobra i ducha nad złem i nad ciałem. Oby tylko podobne zwycięstwa częściej się zdarzały!

Kiedym zmęczony i chory wracał do hospicyum, spotkała mnie miła niespodzianka; przyłączył się do nas ks. Feliks T-ski z Warszawy, który przybywszy do Jerozolimy i dowiedziawszy się, że jesteśmy u św. Jana, aż tu nas odszukał. Miałem w nim odtąd miłego i wesołego towarzysza przez resztę mego pobytu w Ziemi św., a ponieważ on był zdrów i silny, a ja coraz bardziej traciłem siły i zapadałem na zdrowiu, więc miałem też w nim nieraz pomoc i opiekę, co z wdzięcznością wspominam. Powróciliśmy też razem tego wieczora do Jerozolimy.

W d. 25 października o zwykłej popołudniowej porze wybraliśmy się całą kawalkadą na zwiedzanie Betanii. Droga do niej, jak wiemy, prowadzi między górą Oliwną i Zgorszenia. Skorośmy je minęli, zobaczyliśmy po prawej stronie na górze za jarem wieś Abudis, dawne Bahurim: z niej pochodził ów stronnik domu Saula, Semei, który lżył Dawida, uciekającego za Jordan przed zbuntowanym synem i rzucał na niego kamieniami. Z lewej strony na wzgórku leży Betania, niewielka i licha wioszczyna. Zaprowadzono nas do miejsca, na którem niegdyś stał dom Łazarza i sióstr jego; dziś należy ono do do XX. Franciszkanów, którzy je otoczyli murem i myślą o zbudowaniu kościoła lub kaplicy. Obecnie nic tam niema; resztki murów,

doły czy lochy, w jednem miejscu wyrosła spora figa; a jednak, gdyśmy tam weszli, zamilkliśmy wszyscy. Każdy z nas wspominał i myślał o świętej i szczęśliwej przyjaźni, która się w tym zakątku gnieździła, o odwiedzinach Boskiego Przyjaciela, o rozmowach i naukach Jego. Wszak to tutaj wyrzeczonem zostało to wielkie słowo: »Marto, Marto, troszczysz się i frasujesz około wiela, a tylko jedno koniecznie potrzebne«. Te wspomnienia ludzkich stosunków Zbawiciela w sposób szczególnie rzewny i miły przemawiały do naszej ludzkiej natury. Stąd niedaleko do grobu Łazarza. Dawniej wejście do niego było z kościoła, ale kiedy go Turcy zabrali, kustosz Jeremiasz da Brescia (1572 r.) kazał zrobić schody od ulicy, które i dotąd istnieją.

Wejście do grobu Łazarza w Betanii.

Zstępowałem do grobu tego (27 schodów), ale nic w nim szczególnego nie znalazłem; ciemny i ciasny, widać że był dla kilku osób przygotowany. O 10 minut dalej jest kamień, na którym Zbawiciel siedząc czekał na Maryą; zwą go kamieniem rozmowy, bo przy nim odbyła się rozmowa, gdy Marya przybiegła i padła do nóg Pańskich, (św. Jan, roz. XI). Nie widziałem go, bo pojechaliśmy inną drogą, do kamienia w miejscu Bethphage, gdzie Chrystus Pan wsiadł na osła i rozpoczął swój wjazd tryumfalny do Jerozolimy. Kamień ten długo zasypany gruzem, został przed kilkunastu laty odkryty; widać na nim dotąd malowidła, podobno z XIV w. pochodzące, a przedstawiające wjazd Zbawiciela. Księża Franciszkanie wznieśli nad nim niedawno niewielką kaplicę.

Wracaliśmy przez wioskę Zejtun, zajmującą szczyt góry Oliwnej. W przejeździe napadła na mnie jak zwykle banda żebraków, od któ-

rych ledwom się odczepił; pod piecem do pieczenia chleba [1]) zobaczyłem siedzących kilka wieśniaczek, każda miała duży kolczyk w nosie; tak, to rozumiem. Jeśli kłuć i dziurawić sobie ciało dla zawieszania kamyka lub kawałka złotego drutu, to już kłuć wszystko, co przekłuć można, więc nietylko uszy, ale i nos i wargi — logika przedewszystkiem. Gdyśmy stanęli na brzegu góry Oliwnej, oddałem mego wierzchowca przewodnikowi, który się zaraz gdzieś z nim zawieruszył, całe moje towarzystwo pojechało dalej, a ja zstępowałem piechotą, żeby trochę nogi rozruszać, a najbardziej, żeby po raz ostatni przypatrzeć się Miastu Świętemu. Słońce już było zaszło i mrok szybko zapadał; u stóp mych pogrążała się w cieniu posępna, usiana grobami dolina sądu ostatecznego, poza nią na skałach wznosiło się kamienne miasto, szarzejąc w ostatnich promieniach dziennych, a na zachodzie gasły jeden po drugim zapomniane przez słońce złotawe blaski.

Szedłem samotny i zadumany — wtem doszedł mnie z góry lament i narzekania niewieście. Jedna z pielgrzymek zabłąkała się się gdzieś z tyłu i teraz dopiero nadjechała; osiełek jej kaprysił, a ona mu nie umiała dać rady, zsiąść też nie mogła, ani zatrzymać bydlęcia na stromo pochyłej ścianie — więc lamentowała. Nie było rady, pospieszyłem ku pomocy zatrwożonej niewieście, a wziąwszy osła za uzdę, sprowadziłem ją aż na dół. Gdym tak zstępował, przypomniał mi się Zagłoba, niosący na burce posiekanego w pojedynku Bohuna i na podobieństwo jego, mówiłem sobie w duchu: no, no, gdyby mi kto kiedy powiedział, że wykieruję się na koniuszego jakiej kobiety, pomyślałbym, że kpi ze mnie... Zbyt miękkie mam serce ale trudno — jakże tę bogobojną pielgrzymkę zostawić tak w zapasach z osłem nad urwiskami i przepaściami, a samemu iść dalej, niby ów kapłan twardego serca w przypowieści o samarytance. Dziwne jednak »casusy« spotykają człowieka w podróży!

Były to już ostatnie dnie pobytu mojego w Mieście Świętem,

[1]) Piece takie są budowane na dworze w kształcie kamiennego pagórka; do środka można wejść pochyliwszy się nieco, tam rozpala się ogień. Wierzch pieca jest niewielką płaszczyzną, wyłożoną płaskimi kamieniami i otoczoną kamiennym gzymsem; gdy się one kamienie rozpalą, wylewa się na nie ciasto i powstaje z tego chleb podobny do macy żydowskiej.

czas upływał, trzeba było jechać dalej; trzeba było i dlatego jeszcze, że zdrowie moje topniało jak śnieg na słońcu, wypadało przeto korzystać z resztek sił, by zwiedzić Galileę i powrócić do domu.

Gdym tu od rana do nocy oblewał się potem pod promieniami nielitościwego słońca, u nas tam daleko opadały z drzew ostatnie liście żółte, zieleniła się ozimina, przymrozki takie zdrowe i przyjemne, coraz częściej zjawiały się nocami; — nawet nasze niezgruntowane błoto po wiejskich drogach wydawało mi się czemś niezmiernie uroczem i poetycznem wobec ciągłego pyłu, kurzu, rozpalonych głazów spotykanych tu ustawicznie. Coraz częściej mówiłem sobie: do domu, do domu — tylko że przed domem stawała perspektywa długiego pływania i Czarne morze ponure jak noc, spiętrzone falami jak góry, a na tych falach choroba morska chwyta mnie w swe obmierzłe uściski i tuli, tuli...

Nastąpiły pożegnania, wizyty, obrachunki, pakowanie, ostatnie odwiedziny miejsc świętych, ostatnie modlitwy w ulubionych kątach. O. Jukundyn dał mi patent pielgrzymi i 26 października wieczorem ułożyłem manatki, by wyjechać na drugi dzień o 7-ej rano koleją do Jaffy, a tam wsiadłszy na okręt, popłynąć do portu galilejskiego, Kaify.

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ I.

Z Jerozolimy do Nazaretu.

Lato 1894 roku było dla Palestyny szczególnie suchem i upalnem; mówiono mi, że od siedmiu miesięcy kropla deszczu nie spadła, można też sobie wyobrazić, z jaką niecierpliwością wszystko co żyło — powiedziałbym nawet i co nie żyło — wyglądało zbawczych deszczów jesiennych, właściwie nawet już zimowych. Jakoż mnożyły się ich zwiastuny; nieraz w czasie dnia przebiegały obłoki po błękitnem niebie, wieczorem tak gęste i czarne chmury zalegały horyzont, że nietylko deszcz, ale nawet burza zdawała się nieuchronną. Nazajutrz jednak słońce pokazywało się jasne i nielitościwe, jak zwykle. W dniu mego wyjazdu z Jerozolimy, 27 października, słońca nie było widać z po za chmur, które całe niebo przysłoniły, a nawet wiał chłodnawy wiaterek z północy; to też kiedym około 7-ej godziny rano dojeżdżał do dworca kolei, miałem przed sobą przyjemną perspektywę kilkogodzinnej jazdy bez nieznośnych, zwłaszcza na południu i wśród skał, upałów. Na dworcu żywej duszy znajomej nie było, przypytali się tylko do mnie dwaj ojcowie Bernardyni, którzy tak samo jak i ja mieli płynąć do Kaify, ale i ci wkrótce zniknęli, bo podług swej reguły umieścili się w 2-ej klasie z ubogimi i maluczkimi (3-ej niema w tym pociągu). Ze mną nie siedział już w wagonie uprzejmy i miły p. Le Douix, ale milczący i niesympatycznej twarzy Grek, lekarz w wojsku jego sutańskiej mości. Gdy pociąg ruszył, oglądałem się jeszcze na miasto święte, pokąd nie znikło — spojrzałem na jego mury i wieżyce raz ostatni. Tak, pewny prawie jestem, że to był raz ostatni, i że nigdy już moje oko nie ujrzy tych smu-

tnych i świętych miejsc. Wówczas byłem nawet zupełnie tego pewnym, więc też kiedy pociąg znowu pogrążył się w skaliste wąwozy i biegł, kołysząc się po nad brzegami wyschłego potoku, miałem dosyć przedmiotów do wspomnień i rozmyślań. Nie powtarzałem jednak zwykle przy tej sposobności nastręczającego się wiersza psalmu 136-go: »Jeśli cię zapomnę Jeruzalem, niech zapomnianą będzie prawica moja«, bo wiedziałem, że ja go nigdy nie zapomnę — widzę dotąd i będę je widział zawsze takiem, jakiem je wówczas widziałem, owszem będę je widział daleko piękniejszem. Teraz już, gdy piszę te wyrazy, we dwa lata po opuszczeniu jego, zatarły się znacznie w mej pamięci rozmaite przykre okoliczności, o których wzmiankowałem i inne, które pominąłem, a z pomiędzy nich powstaje obraz Jerozolimy drogiej chrześcijańskiemu sercu w świetle jej dziejów, podań i pamiątek; coraz jaśniejszemi i milszemi są mi owe święte skały i tajemnicze groty, w których serce biło żywiej i modlitwa była gorętszą; coraz słodszemi wydają się chwile i godziny spędzone w samotności, gdy koło mnie nie było nikogo, tylko lampka cicho pełgała i własne westchnienie przerywało ciszę głęboką. Nie mówiłem: »jeśli zapomnę o tobie Jeruzalem« — bo ja o niem zawsze pamiętać będę.

Ponieważ jechaliśmy teraz z góry, więc pociąg pędził szybko i wskutek tego chwiał się gwałtownie z boku na bok, tak, że jeden z Bernardynów, siwy już staruszek, rozchorował się jak na morzu, dopiero na dolinie jazda znowu stała się normalną; wtenczas to i mój towarzysz zaczął ze mną rozmowę. Był to niewielki i niepoczesny człowieczek, odziany w wojskowy mundur i czerwonym fezem nakryty, na płaskiem czole widać było myśl płytką, ale za to w oczach i na ustach osiadła pycha niepomierna. Ponieważ widziałem, że nogę bardzo starannie okrywa wełnianym szalem, zapytałem, ce mu jest, odpowiedział, że cierpi na reumatyzm. Słyszałem, powiadam mu, że XX. Franciszkanie mają na to jakiś doskonały balsam, nie próbował go pan? Trzeba było widzieć, jaką minę zrobił mój doktór. — Phiii... rzekł z uśmiechem wyższości i bezdennego lekceważenia, ci księża Franciszkanie to poczciwi sobie ludziska, ale oni tylko myślą jakby wynaleźć coraz nowe miejsca, w których się objawiał P. Jezus albo Matka Boska, pod względem zaś naukowym cóż oni mogą wynaleźć? Pod względem nauki, uważa mr. l'abbé, to już my ludzie uczeni mo-

żemy tylko coś wiedzieć, ale ci poczciwi Franciszkanie... — Zapewne, zapewne, więc jakżeż doktor na ten reumatyzm wynalazł już co stanowczego? — To jest, uważa ksiądz, jeszcze... nie tego, ale zważywszy, że reumatyzm... to jest niby stan taki, że... tego, więc można się spodziewać, uważa mr. l'abbé... i t. d. Na którejś stacyi wszedł do wagonu słuszny mężczyzna, znajomy Greka i widocznie jakiś wyższy urzędnik kolejowy, bo doktór uniżenie rękę mu uścisnął, przysiadł się do niego skwapliwie i co kilka wyrazów tytułował go zaszczytnie: *mon ami.* Już to zauważyłem, że na Wschodzie o nic nie jest tak łatwo, jak o tytuł przyjaciela. W Konstantynopolu np. poznałem był młodego księdza ormianina Mechitarystę; wydał mi się trochę zanadto sentymentalnym jak na zakonnika, ale zresztą dobra jakaś dusza. Powiada mi tedy kiedyś: a ja wiedziałem pierwej, że kanonik jest w Stambule, bo co dnia bywam w hotelu Byzancyum, odwiedzam tam mego przyjaciela. — To pewno — pytam — dawna jakaś znajomość, może jeszcze z Wenecyi? — O nie — odpowiada — znamy się dopiero od trzech tygodni. W dalszym ciągu mówi mi znowu: Ale — czemuż ksiądz kanonik tak sam jeden zwiedza miasto? Czyż nie lepiej znaleźć sobie *un ami?* Jakby to było przyjemnie... — O mój miły ojczyku, rzeknę mu na to, u nas bo człowiek uważa się za szczęśliwego, jeśli w ciągu całego życia znajdzie jednego prawdziwego przyjaciela, a ksiądz chcesz, żebym go tu znalazł tak napoczekaniu, w zajeździe? Grek ze swoim przyjacielem gadali ciągle, aż przyszło do leczenia wścieklizny; doktór tedy zaczął ze swym miłym uśmiechem wyższości, bardzo dowcipnie żartować z »nowej metody« leczenia pokąsanych przez psy wściekłe, i z kolegów, którzy ją praktykowali. — Co do mnie — dodał z zadowoleniem — to ja zawsze moich żołnierzy leczę podług »starej metody«. Biedni są, naprawdę, ci żołnierze padyszacha; do wojska biorą ich przemocą i prowadzą powiązanych na powrozie, jak charty na smyczy, w wojsku cierpią nędzę, a gdy ich wściekły pies pokąsa, to taka grecka facyata leczy ich podług »starej metody«.

W Jaffie na dworcu czekał na mnie poczciwy Zacharyasz, był też i tragarz z klasztoru, więc kłopotu żadnego nie miałem, bo oni najęli mi powóz i odebrali tłomoki. Zobaczyłem obydwóch Bernardynów; staruszek był blady jak ściana i słaniał się na nogach; za-

prosiłem ich do mego powozu. Tu jednak spotkała mnie przygoda tylko na Wschodzie możliwa; gdym czekając na nich, czy na kogoś ze służby, przechadzał się koło powozu, w którym już były moje manatki złożone, zjawia się trzech wyrostków, po lat 15 może, o twarzach tak bezczelnych, jakby się z szubienicy pourywali (choć przypuszczam, że i na szubienicy rzadko się podobni trafiają) i zaczynają kręcić się koło mnie. Gdyśmy już mieli wsiadać, jeden z nich pokazuje mi powóz i mówi: *wuatur*, drugi dotyka do rzeczy i powiada: *bagaż*, — widzę, widzę, i bez was, idźcie sobie precz, pokąd grzecznie proszę. Siadamy, a ci opadają nas i krzyczą: *bakczysz!* — Za co? — Jakto, my panu powóz pokazali, my panu rzeczy poprawili, i biegną kłusem, wrzeszcząc i wydziwiając, chwytają się drzwiczek powozu, któremi tak targali, aż je oderwali. Dorożkarz oburzony staje i upędza się za nimi z batogiem. Coś tam komuś dał i rusza dalej, a oni znowu koło powozu i ciągle wrzeszczą: *bakczysz!* Źle jednak trafili; jak bowiem jajko tem więcej się ścina im dłużej je gotować, tak moje serce staje się zawsze coraz twardszem w miarę zwiększania się natręctwa. Zaciąłem się i teraz. Tymczasem łobuzy, obawiając się mnie samego zaczepić, zaczęli napadać na Zacharyasza, tłukli go w biegu kułakami, ciskali kamieniami, z których jeden ugodził tragarza, więc zatrzymujemy się znowu i teraz tragarz ugania się za nimi — skorośmy jednak ruszyli, chłopcy znowu do nas przypadli. Gdyśmy tak jechali znosząc cierpliwie to bezwstydne naigrawanie — bo że tam który odebrał parę batogów, gdy dobrze się ustawił, oczywiście pocieszyć nas dostatecznie nie mogło — przyszedł mi na myśl ten okrutny stójkowy, który od lat wielu stoi na posterunku naprzeciwko mojej bramy i zawsze mnie po przyjacielsku salutuje. Jest to mąż w pasie wprawdzie nieodpowiedzialny, bo gruby jak beczka, ale za to w sobie podufały i na gębie czerwony, nawet bardzo czerwony[1]). Szczególną jednak zaletę ma w pięści; kiedy raz w moich oczach na ulicy jakiegoś niesfornego parobka huknął w kark, to ten leciał do najbliższego słupa z ogłoszeniami, jakby z najpilniejszym interesem i przykleił się do niego — myślałem, że tak już zostanie. Taki to Herkules przypomniał mi się w opresyi naszej. Ej, myślę

[1]) Wyrażenie z »Braci szlachty« Klem. Junoszy.

sobie, żebym to go miał tu pod ręką! Tenby was przygrzał, że na całe życie odechciałoby się wam bakczyszu! Ale, niestety, nie było nikogo ku naszej obronie i trzeba było cierpieć, zwłaszcza gdyśmy dojechali do starego miasta i musieli iść dalej piechotą. Dostało się wśród walk i potyczek staremu zakonnikowi, a Zacharyaszowi jeden z urwisów zerwał tarbusz (fez) z głowy, co musi być wielką u nich szykaną, gdyż biedny młodzieniec najgorzej się tem zirytował i natychmiast kupił sobie drugi. Nazajutrz oznajmił mi z tryumfem, że poskarżył się znajomemu żołnierzowi, a ten zmusił łobuza do odniesienia porwanego fezu aż do drzwi klasztornych — zadośćuczynienie było zupełnem. Wśród takich przyjemności dostaliśmy się wreszcie do hospicyum. Po południu wyszedłem z Zacharyaszem na przechadzkę; na nowem mieście (znacznie od starego porządniejszem) spotkałem pogrzeb mahometański. Na przodzie młodzieńcy nieśli duże palmowe gałęzie, za nimi kilkunastu starców (zapewne duchownych i derwiszów) szło bezładną kupą, odmawiając głośno pacierze, następnie niesiono na lektyce nieboszczyka, nad którym trzej czy czterej ludzie pochylali zielone chorągwie z półksiężycem, gwiazdą i sentencyami koranu — dalej, jak zwykle, znajomi, przyjaciele i gapie. Oby Bóg był miłosierny duszy zmarłego, ale chyba chorągwie Mahometa i jego sentencye nie na wiele jej się przydały.

Wstąpiliśmy też na odpoczynek do znajomego już nam ogrodu przy niemieckim konsulacie; trafiłem właśnie na podlewanie, a raczej nawodnianie. Woda, pompowana ze studni, rozlewa się odpowiednio urządzonemi ścieżkami po całym ogródku, wciska między kwiaty, krzewy, oblewa drzewa i dzięki temu wszystko buja, zieleni się i kwitnie. Tu właśnie można mieć próbę, jakby wyglądała cała ziemia, gdyby miała wodę, roślinność i gdyby umiejętnie pracowano koło niej. Jakby dla kontrastu zaraz niżej mieliśmy ogród w azyatyckim guście; należał on do bogatego Turka i składał się z wielkiego obszaru ziemi, napełnionego mnóstwem drzew owocowych, po nad które strzelały wysoko palmy, obciążone daktylami i chwiały się zwolna od lekkiego wiatru. Była to nierozgmatwana i dzika plątanina zieleni — prawdziwa *selva selvaggia* Dantego.

Nazajutrz była niedziela; kiedym po 8-ej wyszedł ze Mszą świętą, przyszła do kościoła cała szkółka klasztorna pod opieką zakonnika.

Dzieci odmawiały pacierz po arabsku, przy czem taki krzyk uczyniły, że z największą trudnością Mszy św. dokończyłem. Wkrótce przyjechała reszta naszej karawany z Jerozolimy z księdzem T-kim i br. Łukaszem; około czwartej z południa trzeba było dostać się na okręt austryackiego Lloyda, kołyszący się już na pełnem morzu za groblą skalistą, a ten miał nas w ciągu sześciu godzin zawieźć do Kaify. Przypominam, że Jaffa nie ma portu, tylko o paręset sążni od brzegu i równolegle do niego ciągną się skały, sterczące nad wodą, pomiędzy któremi łódki muszą przemykać się na pełne morze. Bez wielkich trudności wydostaliśmy się z pomiędzy głazów, ale pokazało się, że zaraz za nimi morze było daleko bardziej rozkołysane, niż się z brzegu zdawało. Fale niby pagórki wysokie na parę łokci i więcej biegły na nas jedne za drugiemi, a my to podnosiliśmy się wysoko, to zapadali tak, że ani inne, dążące do okrętu, łodzie nas nie widziały, ani my ich. Czasami łódka zapadała nagle, wtenczas kobiety, wydając okrzyk zranionego gołębia (jak gdzieś powiedział Sienkiewicz) chwytały rękoma tego, kto był pod ręką. Szczególna to była zaprawdę jazda — ogromna łódź, pełna podróżnych, jedenastu wioślarzy robi wiosłami, a u steru przykucnął sternik i odmawia niby jakąś litanię, której drugi wiersz podchwytują wioślarze. Robi się z tego najosobliwsze recitativo (bo pieśnią nazwać nie można) rytmiczne, a dzikie i niezwyczajne. Gdy okręt był już blizko, rozpoczęła się jazda kawalerska, jak mówią w Warszawie. Rytm coraz szybszy, coraz szybciej biją wiosła, a łódź pędzi, że jeno bryzgi lecą na wszystkie strony. Przedemną siedzi młody murzyn z odkrytą głową, kędzierzawy jak baranek, otworzył usta w szerokim uśmiechu, tylko mu świecą białe zęby i białe oczy błyskają zadowoleniem; oparł bosą nogę o poprzeczną ławkę i robi wiosłami, aż mu żebro na żebro zachodzi. Wpadliśmy pod okręt z taką fantazyą, z jaką pański stangret zajeżdża pod ganek, paląc z bicza »galanto«. U nas wprawdzie trzaskania z bicza nie było, ale był krzyk naszych ludzi, któremu wtórowali inni z łódek przez nas potrącanych i tak samo jak my dobijających się do okrętowych schodków. Schodki te u góry są przytwierdzone za pomocą zawiasów do niewielkiej galeryjki, dolny zaś ich koniec jest przyczepiony do sznura, który, obracając się na umocowanym u góry bloku, podnosi je albo spuszcza. Od strony mo-

rza schodki mają poręcz, albo, jak na tym okręcie, tylko sznur, przeciągnięty przez żelazne pręty. Na samym dole takiej drabiny jest maleńki, parę stóp długi pomost, na który trzeba skoczyć z łodzi. Gdy moi czytelnicy, a więcej jeszcze czytelniczki, wyobrażą sobie owe schodki trzeszczące i chwiejące się, bo ludzie po nich chodzą i ciężary noszą, a barkarze trzymają się ich hakami, żeby im barki nie uciekły na morze, kiedy sobie wyobrażą tłum łodzi tańcujących u dołu, kiedy pomyślą, że do skoku trzeba wybrać chwilę, gdy łódź jest na wierzchu fali, gotowi sobie powiedzieć: za nic, za nic! To tylko jednak zdaleka tak się wydaje; w rzeczywistości pokazuje się, że nie święci garnki lepią, a potrzeba nauczy gimnastyki tak dobrze, albo i lepiej niż nauczyciel. Jakoż powskakiwaliśmy wszyscy, i bez żadnej złej przygody znaleźliśmy się na pokładzie; uderzyła mnie na nim grupa księży, siedzących około chorego ich towarzysza; zresztą podróżnych było mało. Pokazało się, że byli to jerozolimscy bracia nauki chrześcijańskiej (bom się zaraz z nimi poznajomił), a leżący brat nie był wprawdzie chorym obłożnie, lecz taką miał nieszczęśliwą naturę, że byle na okręt stąpił, zaraz dostawał morskiej choroby. I teraz leżał żółty jak wosk, tylko gryzł kwaśne jabłka, co mu pewną ulgę sprawiało. — To siedziałbyś ojciec w domu, powiadam do niego, czegoż pływasz? — Ba, kiedy potrzeba, zresztą sześć godzin to drobnostka, kiedyś ośm dni i nocy musiałem płynąć ciągle. — I chorował ksiądz? — A chorowałem. — Toż gorsze od śmierci; któż kazał księdzu narażać się na taką ciężką próbę? — Posłuszeństwo, odparł mi krótko. Trzeba było czuć taki wstręt do tej »paskudnej« naprawdę morskiej choroby, jaki ja wówczas czułem, żeby pojąć, jaki szacunek powziąłem dla zacnego zakonnika; z najszczerszem przejęciem powiedziałbym mu: czołem, czołem! — cóż kiedy po polsku nie rozumiał.

Okręt nasz posuwał się wzdłuż brzegów, a smutne to były brzegi — puste, głuche; widać było tylko płową linię piasku; przez lunetę albo dobre binokle możeby można było dojrzeć dawne ruiny i współczesne lepianki, ale gdzie mi tam było o binoklach myśleć. Jakkolwiek czas był pogodny, morze, jak zwykle przy tych wybrzeżach, było niespokojne, okręt chwiał się mocno, a nam robiło się coraz bardziej ckliwo i nijako na duszy. Pokładliśmy się więc na krze-

słach okrętowych i było nam o tyle lepiej, że mogliśmy gwarzyć z księdzem T-kim, który zdrów i w najlepszym humorze siedział koło nas i prawił tak zabawne historye, żeśmy nieraz wybuchali śmiechem, ku zadziwieniu sztywnych księży francuskich. Pomimo wesołości nie byliśmy bez obawy, co do przyjęcia w Kaifie. Przed miesiącem bowiem kilku urzędników tamtejszej komory celnej zostało wypędzonych i bodaj uwięzionych nawet, za zbyt daleko posuniętą grzeczność dla przyjezdnych, którzy także znali się na grzeczności; teraz więc panowała tam srogość niesłychana, szczególną zaś zawziętość okazywano względem wszelkich książek w ogólności, a brewiarzów kapłańskich w szczególności; konfiskowano je bez apelacyi. Troszczyliśmy się bardzo o to, jak nasze uchronimy przed światłą gorliwością tureckich celników, ale nieoceniony brat Łukasz i na to poradził; poprostu schował je do swoich kieszeni. A co to za nieoszacowane były kieszenie! Ile on ich miał, tego porachować nie mogłem; brewiarze poszły do tych, które były pod rękawami bardzo zręcznie zamaskowane, ale kiedy podniósł ręce — jakby wieloryb paszczę otworzył. Nasze księgi zniknęły w nich bez śladu, jak duże płotki we wnętrzu szczupaka — byliśmy zupełnie spokojni. Za to była druga troska o ks. T-ego, który nie miał *teskere*, mógł więc być niepuszczonym na ląd. Br. Łukasz jednak i na to obiecywał znaleźć sposób. Tymczasem noc zapadła, ustała też powoli rozmowa; leżałem w milczeniu, patrząc na wyiskrzone nademną niebo syryjskie, słuchając monotonnego stukania maszyny i chlupania fal o tułów okrętu. A jak one jedna za drugą biegły na nasz statek, tak samo myśli i wspomnienia cisnęły mi się do głowy i przypominały dawne czasy i dawne dzieje. W tem ktoś zawołał: patrzcie, już widać latarnię Karmelu! Rzeczywiście, niżej od gwiazd niebieskich, a wyżej niż ciemna tafla wody, świeciła silna złota gwiazda — była to latarnia morska, utrzymywana ku wygodzie żeglarzy przez księży Karmelitów. Śliczny symbol, w szczególny sposób czczonej na tej właśnie górze, Gwiazdy morskiej, która tak świeci i prowadzi biedną ludzkość do pewnej przystani, jak owo światło prowadziło nasz okręt do Kaify, gdzieśmy stanęli między 9 a 10. Zatrzymaliśmy się na pełnem morzu, bo portu i w Kaifie niema, jak wszędzie na syryjskim brzegu; trzeba na łodziach dopływać do lądu. Jakoż przybyło ich kilkanaście,

jedne z podróżnymi, drugie po podróżnych i rozpoczął się zwykły rwetes i harmider. Noc była bardzo ciemna, a oświetlenie niesłychanie skąpe; na pokładzie jużci paliły się lampy, ale schody tonęły w ciemnościach, tylko barkarze przyświecali zstępującym do łodzi latarką ze świecą łojową. Przeczekawszy długą chwilę, zacząłem i ja zstępować, trzymając się sznura; tymczasem zaraz na drugiem przęśle, już go zabrakło. Chwila była nieprzyjemna; trzeba było spuszczać się ku morzu wśród ciemności egipskich, po schodkach szerokich nie więcej nad łokieć, latających ciągle na prawo i na lewo (bo jedni schodzili, a drudzy jednocześnie wstępowali) i w dodatku bez poręczy. Pamiętam, że oparłszy się plecami o okręt, przytrzymywałem idących do góry, boby niechybnie do wody powpadali. Najgorsze to było wylądowywanie ze wszystkich, ale jakoś znalazłem się, nie wiem już dobrze jak, w barce, obok całego mego towarzystwa. Wysadzono nas na długiej, kamiennej grobli, wchodzącej w morze; ciemno było wszędzie, tylko przy bramie stali żołnierze z latarkami i puszczali nas do rewizyi osób i rzeczy. Tłok, zamieszanie, krzyk, popychanie — nie wiem jak tam sobie brat Łukasz dawał radę, ale dawał i z dobrym skutkiem. Przyszła moja kolej stawienia się przed urzędnikiem, który siedział na nizkim stołku, przy nizkim stole, a żandarm świecił mu latarką w oczy, by mógł moje *teskere* przeczytać. Czytał więc i opatrywał moją osobę, sylabizując nazwisko; oglądnąłem się tymczasem i widzę jak br. Łukasz za mojemi placami przemyca ks. T-go. Dostaliśmy się potem do sklepionej sieni, gdzie się wzajemnie popychano, wydzierano tobołki i wrzeszczano, jak to oni umieją. Wreszcie br. Łukasz wyciągnął mnie za rękaw z tej wieży Babel i znowu znalazłem się w ciemnościach, ale już na dworze. Wkrótce zdołałem rozpoznać długi wóz, na który kazano mi się gramolić. Wehikuł ten przysłano po nas umyślnie, bo go jeszcze z Jaffy telegraficznie zamówiono; był on bardzo długi i podzielony na trzy części ławkami, na których się siada w podobny sposób, jak u nas żydzi, gdy w zacnej kampanii, na jednym wozie jadą na licytacyę. Dojrzałem w ciemnościach białe zasłony niewiast, które pozajmowały już pierwsze ławki, mnie pozostała ostatnia, ale trudno było ją posiąść, bo w tem miejscu stopnia nie było, tylko koło tak wysokie, że mi do brody sięgało. Pokazało się jednak, że siedzą we mnie

ukryte zdolności, nietylko do konnej jazdy, lecz i do gimnastyki, bo po chwili byłem już tam wysoko na szczycie wozu i ruszyliśmy, zapadając co chwila, to znowu podskakując na złym bruku. Wysiedliśmy przed niemieckim hotelem »Karmel«, gdzie dano mi schludną izdebkę na piętrze. Przez otwarte okno dochodził szum niedalekiego morza — i owszem, niech szumi; ze stałego lądu przyjemnie patrzeć na jego fale i słuchać jego szumu.

Kaifa zajmuje najbardziej południową część zatoki, która od przylądku Karmelu ciągnie się na północ, aż do Ptolomaidy albo St. Jean d'Acre; należy ona do tych szczęśliwych miast, które nie miały historyi; dzięki tej okoliczności raz tylko była zburzoną w 1760 roku przez Dahera baszę; w starożytności zwała się Hefa, czy Helfa i była bliżej przylądka Karmelu; w późniejszych czasach przesunęła się więcej ku północy, tak że dziś między miastem a górą leży równina, jakie parę wiorst mieć mogąca. Jeśli dodam, że Godfryd de Bouillon oddał Kaifę Tankredowi, że św. Ludwik zbudował tam kościół św. Andrzeja i że za panowania krzyżowców był tu biskup sufragan arcybiskupa Cezarei, to będzie już prawie wszystko, co można o jej historyi powiedzieć. W ostatnich czasach było to liche miasteczko, prowadzące niewielki handel bawełną, oliwą i zbożem, zewsząd otoczone walącym się murem; w takim stanie widział ją jeszcze ks. Pelczar w 1872 roku. Już za jego bytności na południe od miasta założyli byli wychodźcy niemieccy kolonię, porządkiem i ogrodami różniącą się wielce od starego mahometańskiego miasta. Koloniści owi, pochodzą bodaj przeważnie z Wirtemberskiego królestwa, należą do sekty »Przyjaciół jerozolimskich«; jeśli wierzyć temu co o nich piszą (sam z niemi nie mówiłem) mieli oni tu osiąść z zamiarem przy-

Widok Kaify.

gotowania gruntu dla mającego za lat 1000 przyjść Mesyasza. Ks. Pelczar i inni nasi pielgrzymi odzywają się o nich z przekąsem i zdają się żałować, że pozwolono im osiedlić się w Ziemi świętej. Zapewne, któżby nie wolał widzieć ich katolikami, ale jeśli już mieli być protestantami, to mojem zdaniem nie stało się źle, że w Palestynie osiedli; najgorszy bowiem protestant będzie jeszcze lepszym od najlepszego muzułmanina (oczywiście nie mówię o niewierzących i bezwyznaniowych, bo ci są i od mośleminów gorsi). Otóż owi »Przyjaciele Jerozolimy«; bądź co bądź przynieśli z sobą jakieś ułamki wiary i moralności chrześcijańskiej, które daleko więcej są jeszcze warte, niż cały alkoran. Każdy z tych marzycieli mógłby do siebie zastosować, co mawiał Renan, że z czwartą częścią moralności, którą wyniósł od Sulpicyanów (z seminaryum) był jeszcze nieskończenie lepszym od najlepszego paryżanina, wyznawcy paryskiej etyki. Nadto, koloniści przynieśli z sobą europejską cywilizacyę, niemiecką skrzętność, pracowitość i porządek. Kolonii takich jest kilka w Palestynie; oprócz Kaify mieszkają pod Jerozolimą, koło Jaffy i jeszcze w dwóch, jeśli się nie mylę, miejscowościach. Nie słyszałem, żeby im się propaganda udawała; nawet nie wiem, czy o niej myślą; z katolikami, o ile wiem, żyją dobrze, sądzę bowiem, że nawet poważnieni Europejczycy, którzy wśród tej dziczy zamieszkają, wkrótce się pogodzą, jeśli ich wpływy zewnętrzne waśnić nie będą. Koloniści z Kaify, wkrótce po osiedleniu się napadli byli na winnicę i ogród XX. Karmelitów, drzewa wycięli i przez winnicę przeprowadzili drogę. Wywiązał się stąd proces, który Niemcy przegrali, więc prosili o zgodę, za grunt zapłacili, szkody zwrócili i teraz pokój święty. Owszem, niektórzy z nich są w doskonałych i przyjaznych z zakonnikami stosunkach; do takich należy najlepszy w Kaifie woźnica, zwany przez Włochów Giorgio Sus (właściwie zapewne Süss). Trzeba bowiem wiedzieć, że koloniści niemieccy nietylko podnieśli tutaj ogrodnictwo i rolnictwo, ale też zaprowadzili kołową komunikacyę z Nazaretem i Tyberyadą z jednej strony, a Jaffą z drugiej; prawda, że znajduje się ona jeszcze w stanie dość pierwotnym, ale przed laty dziesięciu jeszcze i takiej nie było; jeżdżono tylko konno i na osłach. Obecnie jest kilku gospodarzy, mających konie i powozy, a między nimi najpierwszym jest ów

Jerzy Süss, który po nas wysłał szaraban do komory celnej i miał nas jutro zawieźć do Nazaretu.

Wracam jednak jeszcze na chwilę do Kaify. Otóż te mury, które widział ks. Pelczar, już nie istnieją, bo kolonia połączyła się z miastem w jedną całość. Podług br. Liévin'a, Kaifa w 1893 r. liczyła około 9000 mieszkańców bez kolonii niemieckiej, mianowicie: łacinników 200, greków unitów 2.200, maronitów 130, greków nieunitów 600, tyluż protestantów, 2.000 żydów, 3.000 mośleminów; Niemców kolonistów miało być 500. Sądzę, że obecnie ludność wynosi najmniej 10.000. Oprócz kościoła i klasztoru XX. Karmelitów, jest tu dom braci szkół chrześcijańskich i szkoła dla chłopców. Nazaretanki znowu mają szkołę dla dziewcząt, a także orfelinat. Główne państwa europejskie są tu reprezentowane przez konsulów; Lloyd austryacki ma agencyę. Handel po dawnemu bardzo mały.

Chociaż nocowałem u stóp tego Karmelu, o którym lat tyle marzyłem, który stał się kiedyś pierwszą pobudką obecnej mojej pielgrzymki, nie miałem jednak odwiedzić go teraz, lecz dopiero za powrotem z Nazaretu, tak się okoliczności złożyły. Ponieważ mieliśmy wyjechać dopiero przed południem, więc wybrałem się na oględziny miasteczka. Z początku szedłem dzielnicą niemiecką, którą najlepiej pochwalę, jeśli powiem, że byłaby zupełnie europejskiem miastem, gdyby nie małe różnice w architekturze domów i nie gruba warstwa pyłu na ulicach, od tylu miesięcy nie zraszanych deszczem; słońce też przypiekające mocno już o 9-ej rano, przypominało, że Europa daleko. Ogrody liczne, obmurowane porządnie, wewnątrz dużo zieleni, a nad nią wznoszą się śliczne rozłożyste palm wierzchołki; z pomiędzy domów wciąż przeziera morze lazurowe i świeży powiew od niego zalata. Dążąc do kościoła XX. Karmelitów, widziałem na prawo na wzgórzu nowy zbór protestancki z baniastą czarną kopułą. Kościół katolicki, dawniej leżący za miastem, a dziś w samym jego środku, należy do XX. Karmelitów, których tu mieszka trzech czy czterech i jest filią wielkiego klasztoru na górze. Czysty i porządny, niczem się w mej pamięci szczególnem nie zapisał. Miasto dawne, gorzej daleko brukowane niż nowe, wydało mi się weselszem, niż inne, dotąd widziane, ale mniej więcej do nich podobnem. Wróciwszy, udałem się do dużej izby gościnnej, ubranej w dębowe girlandy po nieda-

wnem weselu, a zobaczywszy gazety, rzuciłem się na nie z chciwością, od tylu tygodni będąc ich pozbawionym. Gdy się w nich tak rozczytuję, popijając kawę, słyszę dźwięki fortepianu po drugiej stronie sieni, dźwięki jakieś znajome, bardzo dawno znajome — słucham, aż o dziwo, z pod palców niebardzo wprawnych, popłynęła nieśmiertelna »la prière d'une vierge«. Nie chciałem uszom własnym wierzyć — tu u stóp Karmelu, pod azyatyckiem niebem, w austeryi »jerozolimskich przyjaciół« z Wirtemberga... skądby się tu wzięła kompozycya naszej znanej (może nieznanej?) Bądarzewskiej? A jednak nie sposób wątpić; dziewica modli się: rom ta, ta, ta, ta, ta, ta... jak to znacie dobrze czytelnicy moi. Zastanowiło mnie jednak, czem się to dzieje, że utwór, będący pośmiewiskiem muzyków, rozchodzi się po świecie całym i trwa tak długo, gdy tyle lepszych bez porównania usnęło snem śmierci, a dzieła mistrzów lubo żyją, to jednak w kołach daleko ciaśniejszych niż »modlitwa dziewicy«? Zdało mi się, że odpowiedź znalazłem w słabości natury ludzkiej. Człowiek potrzebuje jużci prawdy, dobra, piękna, żyje nawet niemi, ale tak jest ograniczony i niedołężny, że tylko w małych dozach może je przyjmować; wielkie ogłuszają go, krępują, stają mu się nieznośnemi. Tak ryba bez tlenu żyć nie może, ale go wciąga za pomocą skrzeli w małej ilości tylko, gdy zaś dostanie się do pełni powietrza, dusi się od jego zbytniej obfitości. To też tylko wyżsi ludzie smakują w rzeczach wyższych; tłum ucieka od silnego światła, a kocha się w iskierkach i błyskach, bo tylko to może wchłonąć i strawić. »La prière d'une vierge« posiada, jakby żyd powiedział, kawałek melodyi i dlatego właśnie, że tylko kawałek i że nędznie harmonizowana, więc nie trudna, podoba się masom, któreby obojętnie słuchały Glucka Melodyi opracowanej przez Syambatiego, barkaroli Rubinsteina, a tembardziej jakiegoś impromptu Schuberta lub Chopina. Na tę okoliczność zwracam uwagę emancypantek i feministek. Drapią się one na szczyty Parnasu (może raczej dużo i głośno mówią o zamiarze drapania się) nie szczędząc sił własnych i ciężkiej fatygi, jak one żółwie z bajki, co sobie »rekord« urządziły, i marzą o laurach Homera, Dantego i t. p. wielkich ludzi, sarkając przy tem na Boga i ludzi, że ich chcą na niższych stopniach zatrzymać. Zapominają jednak, że imiona wyższe, niezawsze są najbardziej popularne i że działalność kobiety, do

jakiej ją natura usposobiła, rozszerza się i przenika dalej, niż głośnych geniuszów — przechodzi w świat maluczkich, którzy stanowią niezmierną większość ludzi.

O jedenastej zjawiły się dwa powozy; pierwszym był ten sam szaraban, na którym przyjechaliśmy wczoraj, drugi przeznaczony dla starszyzny i powożony przez pana Süssa we własnej osobie, wyobrażał karetę, oczywiście na azyatycką przerobioną modłę. Pudło jej stanowił rodzaj ceratowego namiotu na kijach, mający oprócz wierzchu wszystkie części ruchome i zwijane na rzemykach, co jest wygodnem z tego względu, że dobrowolnie można sobie urządzać przewiew powietrza i zasłaniać się od słońca. (Tak samo są zrobione dorożki w Jerozolimie). Z miasta mieliśmy szosę prawie przez 10 kilometrów, której przez czas jakiś równolegle towarzyszyła droga żelazna, rozpoczęta i zaniechana. Zaledwośmy minęli ostatnie domy, przedstawił się oczom naszym widok niewypowiedzianej piękności. Najcudniejsze lazurowe morze wkraczało w ląd szerokim, ślicznie zakreślonym łukiem i leżało ciche, nieruchome, jakby olbrzymia tafla lapis lazuli, przeświecającego od złotych słońca promieni. Brzeg cały na parę, albo i więcej sążni od wody świecił piaskiem najczystszej białości. To morze i ten brzeg, wyglądały razem, jakby niezmierzone szafirowe zwierciadło w srebrnej oprawie, położone tu umyślnie dlatego, by niebiosa miały się w czem przeglądać i własnej swej krasie dziwować. Za białą ramą piasku ciągnęły się ogrody cytryn i pomarańcz, nad które gęsto strzelały palmy, obciążone pękami dojrzałych już daktyli; czasami pieprzowe drzewa zwieszały swe pierzaste gałęzie i rozkładały się szeroko potężne liście bananów. Dalej zaś za ogrodem leżał step równy, któremu za ramy służyły z jednej strony grzbiet Karmelu, a z drugiej Liban potężny. Byłem wówczas bardzo już nie zdrów, zmęczony i apatyczny, nie mogłem jednak być nieczułym na taki krajobraz, który aż się prosił, by go odmalować i pamiętam go dotąd. Wkrótce natrafiliśmy na źródło, które rozlewało się szeroko, tworząc moczary, pokryte miłą, a tak rzadką tutaj zielonością. Galileę wyobrażałem sobie, opierając się na opisach, daleko piękniejszą, niż była w rzeczywistości. Taki kraj u nas, byłby uważany za pustynię, wszakże nie można zaprzeczyć, że w porównaniu do Judei jest ona daleko weselszą. Częstsze ma źródła, kiedy nie-

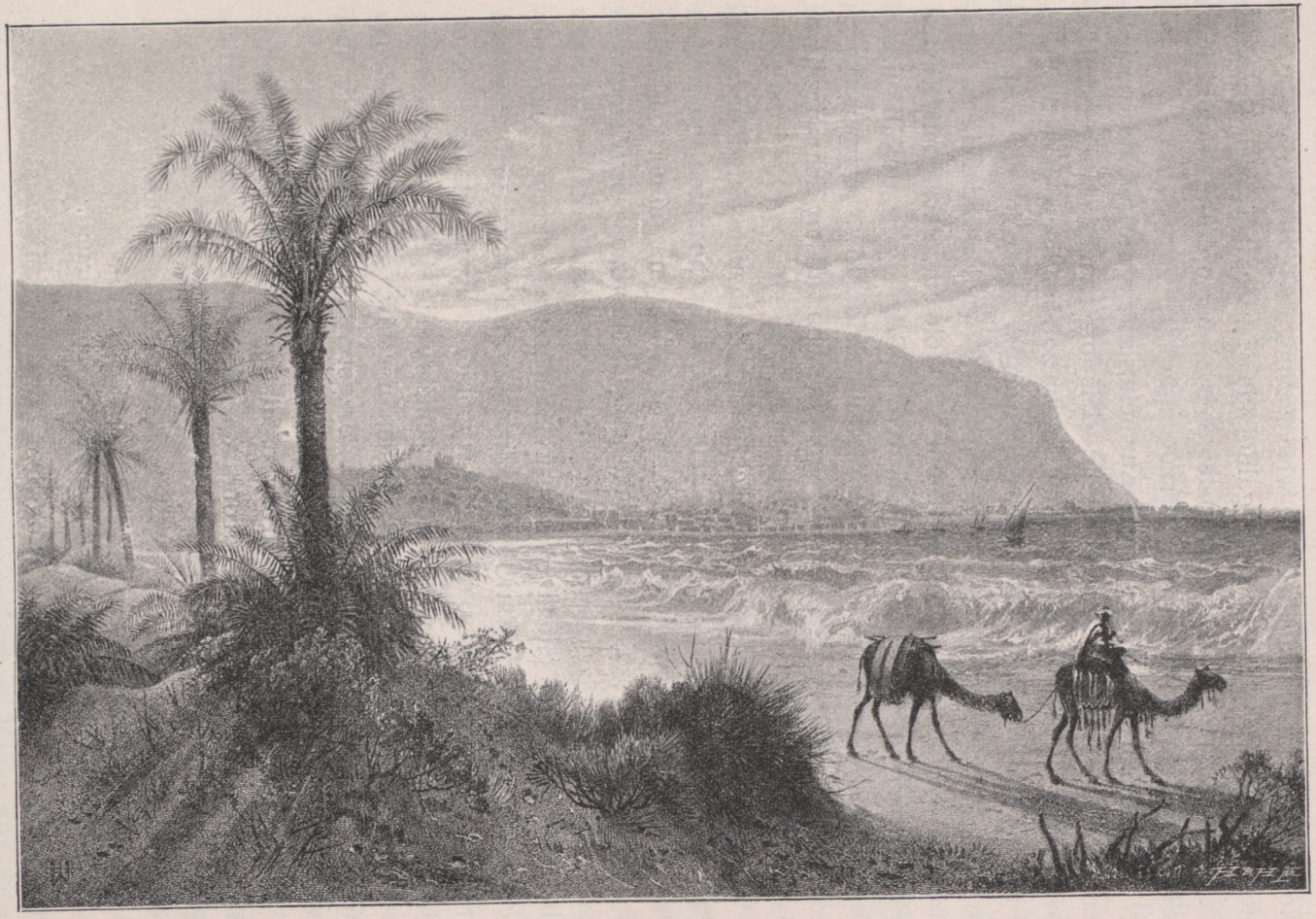

Widok Kurmelu od północy.

kiedy strumyki, niewielkie połacie wilgotnej, pokrytej trawą ziemi; częściej też trafiają się drzewa, więc raźniej tu jakoś i nie tak smutno, ale zresztą owe pagórki galilejskie w rzeczywistości (przynajmniej w naszym płaskim kraju) mogłyby bardzo dobrze uchodzić za góry i to skaliste, a prawie zawsze nagie.

Jechaliśmy wśród grzbietu Karmelu, który nie tak dawno jeszcze miał być cały zarośnięty lasem; dziś on zupełnie znikł w okolicach Kaify i dopiero po godzinie jazdy zobaczyliśmy boki gór pokryte karłowatymi dębami. Na najwyższym szczycie pokazał nam br. Łukasz kaplicę postawioną na miejscu sławnej walki Eliasza z kapłanami Baala, których też lud pobił na dole nad brzegami Kizonu. Dziś ta wyżyna nazywa się el-Mahrakah. Gdyśmy ją mijali ukazał się zdaleka kroczący powoli długi sznur wielbłądów, przywiązanych jeden do drugiego i idących gęsiego. Narachowaliśmy ich więcej niż trzydzieści.

Po dwóch niespełna godzinach jazdy stanęliśmy nad brzegami Kizonu albo Cizonu. Jest to strumyk biorący początek na dolinie Ezdrelońskiej i wlewający się do morza trochę na północ od Kaify. Wyglądał nadzwyczaj nędznie; na samym spodzie sączył się ponik może na dwa palce głęboki, a na łokieć szeroki, tak że szklanka wody, którą Dumas chciał hiszpański Mansanares pokrzepić, bardzoby się i tutaj przydała. Zimą jednak i na wiosnę musi to być wartki strumień, bo brzegi na parę sążni wysokie, a bywa wtenczas pełny. Mostu naturalnie nie było, więc spuściliśmy się jak z pieca i szczęśliwie, lubo z niejakiem podrażnieniem nerwów, wydobyli na drugą stronę. Tam rozpoczął się już kraj górzysty, albo pagórkowaty, jeśli kto woli.

Niewiele z tej części podróży pamiętam. Przejeżdżaliśmy przez wioskę, przed którą stała ogromna, rozłożysta figa; przypomniała mi lipę

». . . . . nad brzegami Rosi,
Lipę tak rozrośnioną, że pod jej cieniami
Sto młodzieńców, sto panien szło w taniec parami«.

Pokazywano mi też na pagórku wioskę, w której miała mieszkać prorokini Debora. Była już trzecia godzina z południa, gdyśmy się zatrzymali w lesie na obiad. Niech jednak nikt nie myśli, że to był las

podobny do naszego. W odległości 15—20 kroków od siebie stały dwa dęby — i tylko tyle. Nie było tam zbitej gęstwy naszych borów, ani podłoża traw i ziół, ani krzewów żadnych; wszystko zastępowała spalona, popękana ziemia i gdzieniegdzie kamienie. Dęby zaś same tak małe, lubo rozłożyste, że trzebaby ich ze trzy złożyć, żeby dosięgły wysokości naszych; żołędzie za to mają długie na palec. Gałęzie poplątane wypuszczają nizko od ziemi; nic dziwnego, że Absalon mógł się w nich zaplątać, siedząc na ośle czy mule. Kiedyśmy jedli, ukazało się niewielkie stado rogatego bydła — pierwsze, które w Palestynie widziałem; wygłodzony pastuch podszedł do nas, prosząc o kawałek chleba.

Przejechawszy potem przez dwie czy trzy góry, zatrzymaliśmy się dla napojenia koni w małej osadzie, gdzie ze skały nad samą drogą biło obfite źródło, które zaraz za drogą zbierało się w ładną sadzawkę, w ogrodzie jakiegoś muzułmanina; nad nią wznosiły się duże, ogromne wierzby; rzecz bardzo tutaj rzadka, gdzie prawie wszystkie drzewa nizkie i karłowate. Konie piły jak smoki i my chcieliśmy się także orzeźwić, daliśmy więc kubek Arabowi, by nam zaczerpnął wody u samego jej wyjścia ze skały. Była tak ciepłą, że nie czułem jej wcale w ustach.

Nad wieczorem już ukazała się nam wielka dolina Ezdrelońska, która przecina Galileę od wschodu ku zachodowi i ma długości mil 8, a 5 szerokości; na początku i na końcu jest ona górami podzieloną na części, mniej lub więcej szerokie, ale tutaj leżała przed nami w całej swej wspaniałości. Proszę sobie wyobrazić dolinę kilkadziesiąt wiorst szeroką i długą, zewsząd otoczoną wałem gór skalistych; myśmy jechali prawie po szczycie północnego wału i z tej wysokości widok był tak wspaniały, taki jakiś surowy i poważny, że nasycić się nim nie było sposobu. W dole przed nami ciągnęło się daleko pole, po którem przeszła cała historya tego kraju, na którem spotykały się prawie wszystkie sławne jego imiona, walczyły wszystkie narody od Madyanitów i Filistynów począwszy, a na Francuzach skończywszy. Teraz leżało ono spalone i szare, a ciche i puste, jak zwłoki bohatera, gdy duch jego odleci, niby ów »gołąb od przekleństw«, o którym mówi poeta. Cisza zupełna — żaden głos się nie odezwie, żywej istoty nie widać; dokoła sterczą bezdrzewne nagie

skały; na górze Dahy widać samotny nagrobek muzułmańskiego świętego — tylko wiatr zcicha wionie między skałami, jak stłumione łkanie po straconem szczęściu i słońce krwawo oświeca przepalone skały, niby odblask przebrzmiałej sławy wobec dzisiejszej niedoli. Nasze powozy nikną jak owady wobec ogromu otoczenia i jak owady cicho przesuwają się po górach; ja patrzę wciąż i dumam o zmarłych bohaterach i prorokach, o minionych walkach, o hymnach tryumfu i krzykach rozpaczy, które tu kiedyś rozbrzmiewały. Teraz to wszystko przeszłość jednym płaszczem zapomnienia okryła, a śmierć w jednym grobie zmieszała prochy przeciwników...

Najwięcej wspomnień budziły miejsca od wschodu leżące; raz czy dwa ukazał się nam z pomiędzy gór Tabor, miejsce Przemienienia, ciągle mieliśmy przed oczyma Dżebel Dahy, tak często wspominany w Piśmie mały Hermon i Gelboe, miejsce śmierci Saula i Jonaty, przyjaciela Dawidowego. W tej stronie leżą lub leżały Jezrael stolica Achaba, Sunam ojczyzna pięknej Abizai sunamitki, Endor ze wspomnieniem strasznych i tajemniczych odwiedzin Saula u czarownicy, Naim, gdzie Zbawiciel wskrzesił syna wdowy, Mageddo, gdzie zginął król Jozyasz... Wszystkie jednak imiona nikły wobec skromnej mieściny, ukrytej we wianku gór, w której rozkwitła biała lilia, niewiędnąca nigdy, w której stał się początek zbawienia naszego. Mnóstwo ludzi nie wie i nie słyszało o tamtych głośnych imionach, ale któż nie słyszał o Nazarecie, do którego właśnie dojeżdżaliśmy, niecierpliwie wychylając głowy z powozu, by go prędzej dojrzeć. Przyjechaliśmy, kiedy już ciemno było prawie zupełnie; o zwiedzeniu kościoła nie było co myśleć, więc wprost wjechaliśmy do casa-nuova, gdzie nas gościnnie przyjął brat Jan. Budynek niewielki w kwadrat zabudowany; we środku wiją się bluszcze przez i po filarach do góry, do otworu, skąd im światło przychodzi; jaskółki spóźnione ze świegotem wpadają do środka — wszystko tchnie wielkim spokojem. Rezlokowałem się w wygodnej celi, niewiasty zajęły salon i parę sąsiednich pokoi; nie miałem jednak czasu rozglądać się długo, bo brat Jan do refektarza zaprosił, zdążyłem tylko zauważyć przy drzwiach saloniku słoje w zaszklonej szafce, a w nich jakieś jasne i mniej jasne przedmioty; myślałem, że to konserwy albo konfitury miejscowe wystawione na sprzedaż — były to rzeczywiście miejscowe

ale nie konfitury. W refektarzu chłodziliśmy się i posilali; niezmiernie miłe są te wspomnienia posiedzeń w refektarzu; oczywiście nie dla jedzenia wcale nieszczególnego, ale dla gawęd, jakieśmy prowadzili. Jaka tam bywała wymiana wrażeń, jakie spostrzeżenia, jakie wesołe żarty z przygód w podróży, ile ciekawych szczegółów nam opowiadano; często rozmowa zaczęta wesoło, przechodziła w poważną, ascetyczną i zostawiała wrażenia głębokie i trwałe. Najwięcej ich wyniosłem właśnie z tego refektarza w Nazarecie; powiem coś o nich potem, pierwej jednak zajmiemy się rzeczami ważniejszemi, dla których tu właściwie przyjechaliśmy.

ROZDZIAŁ II.

Nazaret.

Na północnym krańcu doliny Ezdrelońskiej, prawie w połowie jej długości, góry formują wieniec dokoła równiny mającej niewięcej nad dwie wiorsty w przecięciu; tak mi się przynajmniej od oka zdawało. Na stokach góry stanowiącej północną część onego wieńca rozłożył się Nazaret, zbiegając aż na dolinę. Powiedziałem, że góry formują wieniec — byłby on bardzo regularnem nawet kołem, gdyby nie to, że od strony północno-zachodniej wciska się do niego klinem tuż przy miasteczku góra, która psuje formę okrągłą, a od góry miejskiej oddzielona jest wąwozem. Trzeba jednak dodać, że w nowszych już widocznie czasach miasteczko przekroczyło dawne granice, zstąpiło do tego wąwozu i wybiegło na przeciwległą pochyłość.

Nazaret podług św. Hieronima oznacza kwiat; w starym testamencie niema o nim ani jednej wzmianki, dopiero św. Łukasz pierwszy raz go wymienił w I rozdz. swej ewangelii. To też czy dlatego, że nie był znanym, czy że Galilea w bliższem pogan i samarytanów sąsiedztwie nie miała u żydów dobrej opinii, dość że był on w pogardzie tak, że kiedy św. Filip zwiastował Natanaelowi Jezusa z Nazaretu, ten go zapytał: ażaliż może co dobrego wyjść z Nazaretu?

Po wniebowstąpieniu Zbawiciela, kolebka Jego lubo w wielkiej czci u chrześcijan, była jednak zamieszkaną przez żydów aż do Konstantyna W. Od jego czasów żydzi okazują wstręt do Nazaretu i wynieśli się z niego zupełnie. Zajęty przez chrześcijan wzrósł w znaczenie i pomyślnie mu się wiodło nawet za pierwszych kalifów. Potem,

gdy nienawiść ku chrześcijanom wzrastała wśród muzułmanów, wzmagał się ucisk i miasto podupadało. Kiedy krzyżowcy byli niedaleko, mahometanie spalili je i zniszczyli, podniosło się jednak za rządów Tankreda, któremu dostało się w podziale i który je murami otoczył. Zostało też stolicą katolickich arcybiskupów, których było sześciu. Ostatni z nich, niestety, po zajęciu miasta przez Saladyna zbisurmanił się. W r. 1263 okrutny Bibars napadł na Nazaret, spalił go, zrabował i zniszczył; zdaje się, że potem osiedlili się w nim muzułmanie, lecz

Widok Nazaretu.

nie na długo, bo w kilka lat później zdobył go Edward, książę angielski, znowu złupił i spalił, a mszcząc się za okrucieństwa Bibarsa, nie spoczął, aż ostatni muzułmanin nie został zamordowanym [1]).

Obecnie Nazaret pędzi żywot spokojny, jak kwiat w samotnej ustroni. Mieszkańców w 1893 r. liczył około 6000, mianowicie: łacinników 1300, greków zjednoczonych 700, maronitów 400, greków nieunitów 2000, protestantów 100, muzułmanów 1500. Żydzi nie mieszkają tu wcale, nie wiem, czy im to wzbronione, czy też prawdopo-

[1]) Liévin. Guide indicateur v. 3.

dobniej, że nie lubią Nazaretu; jeśli kiedy wypadnie któremu przejeżdżać, robi to skrycie, bo chłopy pędzą za nim po ulicach z nieprzyjaznemi demonstracyami. Nawet sam baron [1]) Rothschild kiedy wracał z Tyberyady, zanocował w casa-nuova u XX. Bernardynów i przed świtem wyjechał, żeby uniknąć nieprzyjemności.

Katolicy jako najliczniejsi, mają też najwięcej świątyń; będziemy o nich zaraz mówili, tu wspomnę tylko, że oprócz klasztoru, kościoła i hospicyum XX. Franciszkanów, jest tu jeszcze dom i szpital braci św. Jana Bożego (Bonifratrów), zakład Braci szkół chrześcijańskich, klasztor Klarysek, klasztor Sióstr św. Józefa, szkoła dla dziewcząt i orfelinat Sióstr Nazaretanek i XX. Franciszkanów szkółka dla chłopców. Grecy unici mają dwa kościoły — stary i nowy; maronici jeden kościół. W jednej cerkwi greków nieunitów byłem; czy mają więcej, nie zdążyłem dowiedzieć się. Protestanci wybudowali sobie zbór w gotyckim stylu, na lewo od wjazdu i dużą szkołę prawie na szczycie góry. Jest też tu początkowa szkoła rosyjska. Muzułmanie mają meczet niedaleko od kościoła Zwiastowania. O innych zakładach i instytucyach nie słyszałem, ale widzimy, że i tego, co wymieniłem, dosyć na kilkotysięczną mieścinę.

Przechodzę teraz do najważniejszego i najświętszego miejsca w Nazarecie, t. j. do mieszkania N. Panny i stojącego dziś nad niem kościoła. Wspomniałem już wyżej, że w Judei rzeczą było i jest bardzo zwyczajną, korzystać z grot i pieczar skalnych, by powiększyć dom swój, a oszczędzić pracy i kosztów przy jego wznoszeniu, przybudowywano więc bardzo często parę lub więcej pokoi do groty. W taki sposób był urządzony domek N. Panny. Składał się on z dwóch grot i dwóch przyległych murowanych pokoików. Wchodziło się z zewnątrz najpierwej do niewielkiej groty (prawdopodobnie przede drzwiami był daszek na słupkach, żeby woda z góry nie wpływała do środka) z niej na lewo kilkanaście schodków prowadziło na górę do innej groty, która mogła służyć za skład; niektórzy utrzymują, że to było wyłączne mieszkanie Pana Jezusa po powrocie z Egiptu. Po prawej stronie były drzwi do domku o dwóch pokojach, przymurowanego do skały, długiego na 9 metrów 55 centym., szerokiego zaś na 4 metry 9 centym. Takie to skromne i małe było do-

[1]) Kiedy w tych stronach mowa o baronie, to znaczy o Rothschildzie.

mostwo, które mieściło w sobie skarby nieba i ziemi. Podług wielu N. Panna tutaj urodziła się, chociaż inna opinia, jak wiemy, jest za Jerozolimą; rzeczą wszakże jest pewną, że w tym domku odbyła się tajemnica Zwiastowania. Podług podania, N. Panna znajdowała się wówczas w pierwszej grocie, archanioł Gabryel zaś stał w pokoju przymurowanym, który łączył się z grotą szerokim otworem; tak więc i w grocie i w domku, przeniesionym później do Loretu, można było umieścić napis: »Tu słowo ciałem się stało«. Mieszkanie świętej Rodziny zawsze było otaczane czcią wiernych, a Konstantyn W. wzniósł nad niem wspaniałą bazylikę. Pobożni pielgrzymi schodzili się do niej zewsząd; w IV wieku odwiedziła ją św. Paula, św. Antonin w VI, Arculf w VII, Willebald w VIII. Ten opowiedział, że katolicy kilkakrotnie musieli ją okupywać u niewiernych. W czasie zniszczenia Nazaretu przed przyjściem krzyżowców, kościół także był złupiony, ale mury zostały nietknięte; wkrótce też Tankred zrestaurował je świetnie. Daniel ihumen ruski w 1114 r. zwiedził kościół i domek, opisał je i świadczył, że świątynia była odnowioną, bardzo starannie utrzymaną i że mieszkał przy niej biskup łaciński, bogato uposażony. W 1185 roku odwiedził Nazaret grek Phocas; opis jego zupełnie zgadza się z Danielowym. Po bitwie pod Hattinem weszli do miasta muzułmanie; widocznie po apostazyi ostatniego arcybiskupa kościół był opuszczony, bo biskup salisburski w 1192 r. prosił Saladyna, żeby wolno było dwom kapłanom posługiwać w kościele i za jego pozwoleniem sam wybrał potrzebnych do tego dyakonów i księży. W 1219 r. św. Franciszek z Assyżu odwiedził święty domek, a w 1251 modlił się w nim św. Ludwik francuski z królową Małgorzatą. We dwanaście lat potem kościół Zwiastowania został zburzony przez Bibarsa, domek jednak za zrządzeniem Boskiem został nietknięty pośród ruin; tłómaczyć to można w ten sposób, że stanowił on kryptę t. j. kościół podziemny, barbarzyńcy więc zburzywszy wszystko, co było na wierzchu i jaśniało przepychem, podziemia zostawili nietknięte. Wkrótce potem, 10 maja 1291 roku domek N. Panny zniknął z Nazaretu i był znalezionym w Tersacie w Dalmacyi (o czem zaraz obszerniej pomówimy) na miejscu pozostała grota i smutne dokoła ruiny. W 1300 roku osiedli przy nich Franciszkanie; wypędzeni w 62 lat potem, powrócili w 1468; jeszcze raz

wygnani 1542, powrócili w 1620 i nieprzerwanie odtąd mieszkają już do naszych czasów. Stało się to za wpływem króla francuskiego Ludwika XIII, a za pozwoleniem emira Fachr-ed-Dina, który nawet dał zakonnikom pieniądze na podźwignienie kościoła. Kiedy uprzątano rumowisko, znaleziono fundamenty domku N. Panny i dawnego kościoła z dwoma rzędami podstaw rozbitych kolumn. Co zakonnicy podnieśli, wkrótce, bo w 1638 zniszczyli znowu beduini z za Jordanu; Franciszkanie, którzy nie zostali wówczas wymordowani, powrócili i na ruinach wznieśli maleńką kapliczkę, w której odprawiano nabożeństwo do 1730 r., w którym otrzymali pozwolenie zbudowania kościoła. Pasza pozwalając im na to, wyznaczył jednak czas bardzo krótki — nim powróci z pielgrzymki do Mekki, t. j. pół roku tylko. Nie mogli więc Ojcowie wznieść kościoła (dziwię się nawet jak i ten co jest, zdążyli postawić w ciągu kilku miesięcy) i należycie oczyścić miejsca; dlatego też kładli posadzkę na dalszych gruzach i dlatego obecnie poziom kościoła jest bardziej podniesiony niż dawniej. Ten kościół dotąd istnieje, nim jednak rozpatrzymy się w nim, wypada wspomnieć o losie domku świętego, który zniknął z Nazaretu w 1291 roku.

Kościół Zwiastowania i klasztor XX. Franciszkanów.

10 maja spostrzegli mieszkańcy dalmatyńskiego miasta Tersatu, leżącego w pobliżu Fiumy, tuż za miastem na stoku małego wzgórza stojący domek, którego tu pierwej nie było [1]). Miał on kształt zupełnie odmienny, bo była to czworograniasta budowla bez fundamentów, jednem tylko zaopatrzona oknem i jednemi drzwiami. Ściany wzniesione z czerwonego kamienia mieściły wewnątrz malowidła,

[1]) W miejscu tem, zwanem Raunica, był pierwej ogród jednej wdowy. Opowiadanie wyjęte z pielgrzymki ks. Pelczara.

przedstawiające sceny z życia Najśw. Panny, mianowicie tajemnicę Zwiastowania, podczas gdy sufit na tle niebieskiem ozdobiony był gwiazdami. W jednym rogu znajdował się ołtarz kamienny, a nad nim malowany obraz Ukrzyżowanego; po prawej stronie ołtarza stała we framudze statua z drzewa cedrowego, przedstawiająca Najśw. Pannę z Dzieciątkiem na ręku, a tuż obok szafka z naczyniami. Na wieść o zjawieniu się tego domku wyległ wszystek lud z miasta i patrzył nań w osłupieniu, nie wiedząc, co to znaczy. Wtem wśród tłumu ukazał się proboszcz tersacki, Aleksander Giorgio, mąż znany ze świątobliwości, a szczególnie z nabożeństwa do Najśw. Panny i opowiedział zdumionemu ludowi, że według widzenia, jakie otrzymał, (a był on przedtem chory trzy lata na wodną puchlinę) jest to ten sam dom, w którym Słowo stało się ciałem, że ten ołtarz postawił św. Piotr i Ofiarę św. na nim sprawował, że wreszcie krucyfiks i statua są dziełem św. Łukasza. Nagłe uzdrowienie kapłana było rękojmią prawdziwości słów jego. Aby jednak rzecz całą sprawdzić, wysłał z rozkazu cesarza Rudolfa I ban czyli wicekról Mikołaj Frangipani czterech wiarogodnych mężów do Nazaretu, a między tymi proboszcza Aleksandra. Ci po dokładnem zbadaniu przekonali się, że domek Najśw. Panny został oddzielony od fundamentów i że fundamenta, które jeszcze istniały, zupełnie się zgadzają z domkiem znalezionym w Tersacie. Wynik swoich dochodzeń złożyli cesarzowi pod przysięgą. Trzy lata i siedm miesięcy upłynęło od owego zdarzenia, gdy nagle 10 grudnia 1294 domek ów podniósł się w górę i zniknął z oczu zasmuconych mieszkańców, a przeniesiony ponad morze rękami aniołów osiadł we Włoszech, najprzód w lasku wawrzynowym przy Rekanati, a wkrótce potem na najbliższem wzgórzu, wreszcie w Lorecie, gdzie się też do dziś dnia znajduje. Aby mieszkańcom Tersatu tę niepowetowaną stratę przynajmniej w części wynagrodzić, zbudował na tem miejscu Mikołaj Frangipani wraz z synem Marcinem piękny kościół i klasztor, należący dzisiaj do OO. Franciszkanów. Mieści on obraz Najśw. Panny, malowany — jak twierdzą — przez św. Łukasza, który rodzina Frangipanich otrzymała w darze od Urbana V. Co do domku zjawionego w Lorecie, robiono natychmiast poszukiwania i sprawdzono, że jest to ten sam, który był pierwej w Tersacie. Odtąd cześć wszystkich ludów i wie-

ków otoczyła domek Loretański. Zatwierdzili tę cześć w swoich bullach papieże po sumiennem zbadaniu rzeczy; mianowicie Paweł II w r. 1471, Juliusz II w r. 1507, Leon X w r. 1519, Paweł III w r. 1565, Syxtus V i Innocenty XII, który też Officium i Mszę ku czci tego domku wyznaczył, wreszcie Pius IX w swoim liście apostolskim z roku 1852. Słowem cześć całego chrześcijaństwa — mówi Benedykt IX — i nieustanny szereg cudów jest rzeczą tak znaczną, że nie potrzebuje innych dowodów [1]).

Opowiedziawszy historyę świętego domku, nie mogę wstrzymać się od zrobienia dwóch nastręczających mi się z tego powodu uwag. Wiem, że mnóstwo ludzi liczących siebie do postępowej inteligencyi, uśmiechnęłoby się z politowaniem, słuchając powyższego opowiadania, bo podług nich cud jest niemożliwym. Odpowiem im, że widocznie jest możliwym, skoro był, bo fakt spełniony jest najlepszym dowodem, że mógł się spełnić. Takim faktem jest znajdowanie się domku nazareteńskiego w Lorecie. Dla sprawdzenia jego użyto wszelkich możliwych środków i dowodów; więc świadectw mieszkańców Tersatu, Racanati i Loretu, którzy z rana znajdowali ten dom tam, gdzie go wczoraj wieczorem nie było; więc sprawdzano pomiary, badano materyały, których używano w Nazarecie i porównywano z nimi kamienie i wapno domku. W 1857 r. Ratti profesor uniwersytetu Sapienza w Rzymie otrzymał, nie wiedząc, na co, skąd i dlaczego cztery kamienie dla analizy chemicznej i znalazł we wszystkich skład chemiczny zupełnie ten sam; dwa z nich pochodziły z Nazaretu, a dwa wyjęte były z domku w Lorecie. A ileż to innych dowodów! Tak np. domek stanął w Lorecie wśród drogi; kiedy później ostrożnie podkopywano się pod jego mury, znaleziono pył drożny, krzak przygnieciony do ziemi, ślimaka; dom ten stoi bez fundamentu, więc widocznie nie został na miejscu wzniesiony; wewnątrz znaleziono urządzenie obce, nie tamtejsze, odrzwia i przedmioty były z cedru, którego we Włoszech niema. Słowem, badania skrupulatne, dowody dotykalne, a więc ściśle naukowe, poświadczają fakt przeniesienia św. mieszkania; żeby temu zaprzeczyć, niedość pogardliwie machnąć ręką, dodawszy: bajki średniowieczne, wymysły

[1]) Mislin III, 40.

księży. Trzebaby obalić przytaczane dowody — droga byłaby krótka i niezawodna. Cóż kiedy nasi przeciwnicy mają szczególną, sobie właściwą metodę rozumowania; jeśli im kto dowodzi możliwości cudów, powiadają: do czego ta metafizyczna łamigłówka? Nauka potrzebuje faktycznych dowodów. Jeśli znowu przytaczają im ten i ów wypadek nadprzyrodzony i cudowny, nie chcą słuchać dowodów; daj pan pokój — przerywają — po co się trudzić daremnie, wszystkie dowody mnie nie przekonają, bo ja wiem, że cuda są niemożliwe metafizycznie.

Inną uwagę wywołuje pytanie cisnące się na usta; dlaczego Pan Bóg zostawiwszy tyle innych świętych pamiątek w ziemi świętej, tę jedną wśród wierzących umieścił i dlaczego zmieniał miejsce jej pobytu, jak gdyby nie mógł się odrazu zdecydować? Wyroków i zamiarów Bożych w zupełności poznać i zgłębić nie zdołamy; można jednak odpowiedzieć, że cud powyższy stał się jak wszystkie inne, dla chwały Bożej i pożytku ludzi; że zaś jedno i drugie obficie wypłynęło z tego faktu, nikt nie zaprzeczy, kto zna historyę Loretu. Powiedziałbym jeszcze, że przeniesienie mieszkania N. Panny było objawem tej samej miłości synowskiej, która sprawiła, że konając na krzyżu, Zbawiciel pamiętał o swej Matce, że Ją wyniósł nad chóry anielskie, że żadnej Jej prośbie nie odmawia. Dobry syn mniej może dbać o własną sławę, ale nigdy o matce nie zapomni; to też opowiadano mi w Nazarecie legendę czy podanie, które mi nadzwyczaj do serca przypadło. Wiadome są kłótnie i bójki, jakie się zdarzały między chrześcijanami w Jerozolimie i Betlejemie; tymczasem w Nazarecie nigdy nic podobnego nie było, chociaż obok katolików mieszkają tam protestanci i 1500 greków, tak burzliwych gdzieindziej. Otóż mówiono mi, że jakiś święty miał widzenie i pytał P. Jezusa o przyczynę tego. P. Jezus zaś miał mu odpowiedzieć: Jeruzalem i Betlejem to moje miejsca, więc znoszę to, co się tam dzieje, nie chcę jednak pozwolić, żeby dom Matki mojej był widownią podobnego zgorszenia i kłótni. Tej miłości dla domu Matki przypisują też i to, że żydzi, najzawziętsi nieprzyjaciele tak Zbawiciela jak i N. Panny, nie mieszkają w Nazarecie. Taż sama miłość mogła sprawić, że Syn chciał ocalić dom Matki od zniszczenia, jakiemu mógł uledz w ciągu czterowiekowego ucisku, który się zbliżał. Oprócz powyższych względów,

oprócz łask i uzdrowień otrzymywanych w domku loretańskim, można nie bez słuszności przypuścić, że Pan Bóg miał na myśli pożytek nasz w innym jeszcze względzie. Wiadomą jest skłonność człowieka do zagrzebywania się w życiu doczesnem, które sprawuje, że po za ziemskimi stosunkami nic on więcej nie widzi, że wszystko ziemską, doczesną, ludzką miarą mierzy. Pan Bóg oprócz zwykłego nauczania przez kościół przypomina w pewnych czasach i za pomocą nadzwyczajnych, cudownych wypadków, że jest inny świat, nadprzyrodzony, że jest inne życie, że wszystko nie kończy się jeszcze na ziemi. Tego rodzaju są współczesne nam wypadki w Lourdes, takim też był cud przeniesienia św. domku, który kilkakrotnie zmieniał miejsce pobytu zapewne dlatego właśnie, żeby większą uwagę na siebie zwrócić, żeby większa liczba ludzi cud widziała i o nim świadczyła. Powróćmy jednak do Nazaretu i zobaczmy, w jakim stanie znajduje się obecnie święte miejsce Zwiastowania.

Z ulicy wchodzimy na dziedziniec przed dużym klasztorem XX. Franciszkanów. Mieszka w nim teraz 28 zakonników, licząc już i sześciu nowicyuszów; wśród kapłanów znajdował się jeden Polak, O. Jakób Katerzyński, że jednak w Nazarecie bawiłem tylko dzień jeden, więc klasztoru nie miałem czasu zwiedzić i staruszka (75 lat) rodaka nie poznałem. Nie dochodząc do drzwi klasztornych, zwracamy się na prawo i przez furtkę wchodzimy na obszerną platformę, wyłożoną ładnemi kamiennemi taflami. Zwróciwszy się raz jeszcze, teraz już na lewo, znajdziemy się przed kościelnym frontem, niczem szczególnem nie odznaczającym się. Wewnątrz kościół jest dość mały, chociaż na trzy nawy podzielony; posiada pięć ołtarzy. Ściany jego za czasów XX. Hołowińskiego i Pelczara były pokryte adamaszkowemi oponami; ja już ich nie zastałem. Białe tło wapienne pokojowy malarz za pomocą zwykłego szablonu pokrył niewymyślnym różowym deseniem – i nic więcej niema. Czysto tam, ale bez gustu. Na końcu głównej nawy widzimy w dole grotę świętą, po obydwóch zaś jej stronach schody prowadzą na górę do presbyteryum przedzielonego wielkim ołtarzem na dwie części, jak zwykle bywa w klasztornych kościołach; t. j. na presbyteryum i chór zakonny. Głównem jednak miejscem jest tutaj nie wielki ołtarz i nie presbyteryum, lecz znajdująca się pod niem święta grota, do której, jak powiedziałem,

wejście znajduje się między dwojgiem schodów wiodących na górę. Zstępujemy więc do niej po 15-tu schodach z białego marmuru i wchodzimy najpierw do tak zwanej kaplicy Anioła; znajduje się ona na miejscu dawnego domku, przeniesionego do Loretu, ale jest znacznie mniejszą. (Na schodach i w posadzce są otwory, przez które można oglądać pozostałe fundamenty). Tutaj podług podania stał archanioł Gabryel. Obecnie w kaplicy są dwa ołtarze po obydwóch stronach otworu wiodącego do groty: z prawej strony Rodziców N. Panny, z lewej archanioła Gabryela. Zstąpiwszy jeszcze z dwóch schodków znajdziemy się w samej grocie przed marmurowym ołtarzem. W ołtarzu obraz Zwiastowania, pod ołtarzem w płycie marmurowej napis łaciński: »Tu słowo ciałem się stało« — płoną także lampy srebrne. W lewym rogu groty znajduje się sławna przepiłowana kolumna. Służyła ona do podparcia jakiejś części starej świątyni i przechodziła przez sklepienie; w XVII wieku Arabi sądząc, że w niej ukryte skarby, przepiłowali ją, ale że umocowana dobrze, więc wisi dotąd. Za nią jest podstawa i kawałek drugiej kolumny. Z prawej strony ołtarza jest przejście do dalszej części groty, gdzie jest ołtarz św. Józefa, przyparty do ołtarza Zwiastowania. Dalej prowadzą schodki kamienne na górę do tak zwanej kuchenki N. Panny, o czem już mówiliśmy.

Presbyterium i wejście do groty Zwiastowania.

W tej to świętej i błogosławionej grocie Zwiastowania nad miejscem, gdzie słowo ciałem się stało, miałem szczęście odprawić Mszę św. 30 października; zrozumie też każdy, żem pragnął jak najdłużej

z tej jedynej sposobności korzystać i nacieszyć się nią. To też złożywszy ubiory kościelne, powróciłem znowu przed ołtarz Zwiastowania; nie było już nikogo, więc zacisnąłem się w kąt około wiszącej kolumny, myśląc sobie: no, teraz użyję! Ale gdzietam! Ledwom się chwilkę pomodlił, posłyszałem na górze w kościele jakieś podejrzane brzęki niby kluczy, niby odgłosy sandałów. Czyżby już zamykali kościół, kiedy dopiero 9-ta godzina? Dobrze mi było, więc nie ruszam się i modlę się dalej, ale niema co zwlekać — najwyraźniej drzwi zamknięto, pozasuwano rygle i zamykają kłódki; wypadłem co rychlej i spotkałem braciszków już wracających. Przepraszali mnie, że muszą iść na rekollekcye i upewniali, że za godzinę znowuby kościół otworzyli.

Poszedłem więc do refektarza, gdzie na mnie reszta towarzystwa czekała, bośmy mieli zaraz iść na wycieczkę po miasteczku. Zjadłem więc i wypiłem, co dali i wpadłem na górę po parasol. Przechodząc koło salonu, rzuciłem okiem na słoje, które wczoraj miałem za pełne konfitur — i osłupiałem. Były w nich zatopione w spirytusie gady, płazy i owady z okolic Nazaretu, jedne obrzydliwsze od drugich; piękne konfitury! Ogromna ropucha białym brzuchem przylgnęła do szkła, obok niej rozstawiła łapy jaszczurka, dalej jakiś podejrzany wąż skręcił się w kilkoro, a za nim tłum pająków, skorpionów, stonóg, karaluchów; szczególną moją uwagę zwrócił pająk wielkości chyba mego wskazującego palca, prawie biały z brunatnymi końcami przednich łap i takąż paszczą; mówiono mi, że należy do gatunku ptaszników. Istne monstrum, które zastygło w spirytusie z wyrazem tak nieubłaganej drapieżności i ślepego okrucieństwa, że nie zauważyłem podobnej wśród wielkich czworonogich drapieżników — chyba dziadzio Ganzpomader z »Pająków« Junoszy miał taki sam wyraz.

Po mieście chodziliśmy do południa; bez porównania czystsze i porządniejsze od innych, zrobiło na mnie wcale dobre wrażenie. Uliczki wprawdzie wązkie, ale jak na Azyę niezgorzej brukowane; mieszkańcy mają sławę spokojnych i pracowitych; o prawdziwości tego drugiego przymiotu miałem zresztą sposobność sam się przekonać. Okno mej celi wychodziło na ulicę wązką dosyć i zajętą przez pracownie blacharzy i kotlarzy, którzy już o godzinie czwartej zrana puścili w ruch swoje młotki, ku wielkiemu mojemu utrapieniu.

Brat Łukasz zaprowadził nas najpierwej na miejsce onej synagogi, w której Chrystus Pan tłumaczył ustęp Izajasza proroka i z której został porwany przez rozgniewanych Nazaretanów i zaprowadzony nad przepaść. (Łuk. IV). Ojcowie Ziemi świętej nabyli to miejsce w połowie XVIII wieku, zbudowali na niem kaplicę i wkrótce potem darowali ją grekom zjednoczonym. Obok tej starej kaplicy grecy zbudowali dziś nowy kościół, dotąd jeszcze ubogi i pusty. Stamtąd udaliśmy się do dość oddalonej kaplicy franciszkańskiej »Mensa Christi« — stół Chrystusa. Dawne bardzo podanie utrzymywało, że na znajdującym się w tem miejscu sporym kawale skały Chrystus Pan jadał z uczniami swoimi po Zmartwychwstaniu. Jakkolwiek dowodów żadnych nie było, miejsce jednak szanowano i pierwsi chrześcijanie wznieśli nad niem kaplicę; po najściu muzułmanów przeszło do nich i przez wiele wieków w ich władaniu zostawało; wreszcie, gdy kaplica ze starości rozsypała się, nabyli je Franciszkanie i nowy kościółek wybudowali. Pośrodku jego przed presbiteryum wznosi się na metr nad posadzką skała, długa na jakie 3—4 sążni, a na $1^1/_2$ szeroka. Jest to wapiennik pozostawiony w stanie naturalnym i dlatego tak wysoki, że dokoła poziom zniżono. Mieszkańcy Nazaretu, bez różnicy wyznań, uważają ten kamień za święty i w chorobach swoich szukają ulgi, kładąc się na nim. W ołtarzu jest obraz przedstawiający P. Jezusa i apostołów jedzących na tym właśnie kamiennym stole. Niedaleko stąd jest parafialny kościółek Maronitów; zwiedzając go spotkaliśmy naszych francuskich towarzyszy z okrętu; chory ksiądz był zupełnie zdrów teraz i doskonale wyglądał.

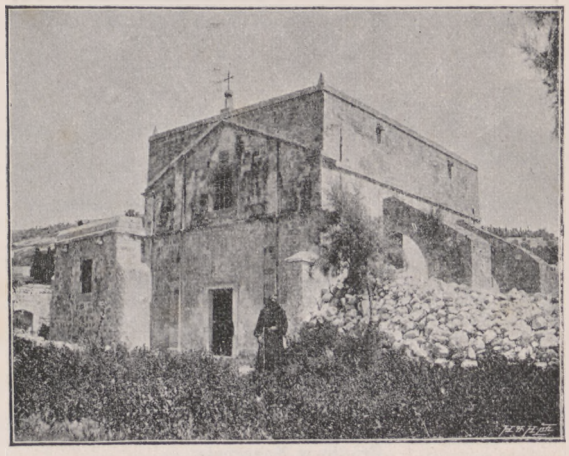

Kaplica *Mensa Christi*.

W północno-wschodniej stronie miasteczka, w dolinie, zwiedziliśmy jedyne tutaj źródło. Na pozór nic w niem niema szczególnego.

Na ruinach dawnego zbiornika zbudowano przed trzydziestu laty nowy, a z niego trzema kranami wypływa woda; cisną się do niej kobiety, dokoła błoto — nic ciekawego. Ważną okolicznością jest to, że ponieważ innego źródła niema i nie było, więc z pewnością przychodziła tu co dnia po wodę N. Panna, a zapewne nieraz towarzyszyło Jej i najświętsze Dzieciątko. Legenda do tego miejsca przywiązuje rozmaite cuda przez Nie jakoby spełnione; tak np. razu jednego dzban wpadł i rozbił się, więc wodę przyniosło w zagięciu sukni; innym razem bawiło się z dziećmi lepieniem ptasząt z gliny; wszystkie ptaszki, które Jezus ulepił ożyły, a latając i szczebiocąc wesoło, siadały mu na głowie i na ramionach. Legendy te i tym podobne, wyjęte z apokryficznych ewangelii, oczywiście żadnej niemają podstawy.

Źródło w Nazarecie.

Koło źródła zauważyłem jakiś dziwny budynek, o krągłem sklepieniu bez dachu, ale za to pokrytem mnóstwem ciemnych przedmiotów, przebłyskujących na słońcu. Wytłómaczono mi, że to jest łaźnia turecka, a w jej sklepienie wprawione próżne butelki, otworami skierowane do środka. Urządzenie to ma na celu powiększenie gorąca, para zbiera się w butelkach i utrzymuje je, czy nawet powiększa. Osobliwsze amatorstwo doprawdy; na dworze upał taki, że psy chodzą z wywieszonym ozorem, a oni sobie napalą w łaźni i jeszcze kondensatorów używają.

O kilkanaście kroków jest początek onego źródła w cerkwi greków prawosławnych. Podług apokryficznego podania na tem miejscu ukazać się miał N. Pannie archanioł Gabryel na trzy dni przed Zwiastowaniem; stał tu stary kościółek wspominany już w VII wieku; gdy się rozwalił, grecy zbudowali dzisiejszą cerkiew, także bardzo już dawną. Trzeba do niej zstępować po kilkunastu schodach; we środku koło ikonostasu, czy za nim, dobrze już niepamiętam, wy-

tryska ze skały źródło. Piliśmy z niego ciepłą zupełnie wodę. Wspomniany ikonostas ma już liczyć ośmset lat wieku.

Wracając do klasztoru zwiedziliśmy miejsce, na którem podług podania stał warsztat ciesielski św. Józefa. (Wiadomo powszechnie, że na Wschodzie dotąd mieszkania i pracownie lub sklepy są najczęściej osobno). Grunt ten nabyli Franciszkanie dopiero w przeszłym wieku i około 1860 roku zbudowali na nim kaplicę. Przed dwoma laty odkryto fundamenty kościoła przez pierwszych jeszcze chrześcijan wzniesionego. Brat Łukasz kładł nacisk na tę okoliczność dla zwyciężenia mego niedowiarstwa historycznego. »Widzi kanonik — powiadał — jaka w tym kraju jest siła podania! Kupiliśmy ten grunt jeszcze w 1754 r. dlatego, że tradycya stale twierdziła, że tutaj Zbawiciel pracował ze swym opiekunem i że w pierwszych wiekach jeszcze na tę pamiątkę postawiono tutaj kościół. Przez wiek cały nie było widać żadnych śladów, dopiero teraz je odkryliśmy i okazała się prawdziwość podania«. Przypomniał też podobny wypadek w Jerozolimie, mianowicie: Miejsce, gdzie odkryto później kamień w Bethfage, z którego P. Jezus wsiadł na osła, by odprawić swój wjazd tryumfalny, zawsze było wskazywanem przez tradycyę; Franciszkanie co roku chodzili tam w niedzielę palmową na nabożeństwo i dyakon, śpiewając ewangelię, stawał właśnie tam, gdzie później odkopano ów kamień. Brat Łukasz miał słuszność; jeśli niemądrze postępuje, kto wszelkie legendy i podania przyjmuje bez żadnej różnicy za prawdziwe, jeszcze gorzej czyni, kto je wszystkie odrzuca, bo naprawdę tradycya na Wschodzie ma pewność i trwałość nigdzie indziej nie spotykaną.

Około 3-ej po południu ks. T-ski wybrał się z przewodnikiem na górę Tabor, odległą od Nazaretu od dwie do trzech godzin jazdy. Tabor był jednem z miejsc najczęściej odwiedzanych przez moją fantazyę rozognioną opisami podróżników. Śliczna to naprawdę góra; widziałem ją zdaleka, znałem z rysunków i fotografii. Wznosi się oderwana od innych pagórków na 1755 stóp nad powierzchnią i wygląda jak samotny, olbrzymi kurhan, jak podstawa świątyni, którą ludzkość powinna była wznieść ku czci Tego, który promieniem swej chwały tę górę uświęcił i uzacnił. Nieraz taką świątynię tutaj w myśli budowałem, otaczałem wspaniałym klasztorem, zasiedla-

łem pustelnikami i zakonnikami i marzyłem, jakby dobrze było modlić się i pracować przy takim kościele, na takiej górze, szumiącej lasem dębowym, woniejącej zapachem ziół i kwiatów, mając pod sobą dolinę Ezdrelońską, dokoła góry, nad sobą niebo i promień Przemienienia w sercu. Zazdrościłem więc ks. T-kiemu, ale towarzyszyć mu nie mogłem — nie miałem już siły. Trzeba było dziś tłuc się do wieczora na koniu, jutro do dnia wracać, by zaraz wsiąść do powozu i cały dzień jechać do Karmelu, a stamtąd przez dwa dni znowu podążać przez dolinę Sarońską do Jaffy, by w dniu oznaczonym wsiąść na okręt rosyjski i wracać do domu. To było nad moje siły, których już ostatkami goniłem. Przykro mi było, ale rady na to żadnej nie znalazłem.

Góra Tabor.

Zresztą jeśli pielgrzym nie mógł pomodlić się na świętem miejscu, to turysta pocieszał się, że przykrość ze względu na piękność natury nie była tak znowu wielką, z tego mianowicie powodu, że Tabor stracił w większej już części piękną zieloną szatę, jaką miał dawniej. Pozostało jeszcze trochę dębów, tkwiących co kilkadziesiąt kroków w spalonym i szarym gruncie, na szczycie rosną tylko dzikie krzaki i karłowate drzewka; niema już rozłożystych i cienistych drzew, które ks. Hołowiński wspomina. To jedno tylko ku lepszemu się zmieniło, że Tabor jest teraz zamieszkany. Gdy późniejszy metropolita mohylowski zwiedzał tę górę, na szczycie jej była zupełna pustynia, około 30 lat temu osiedli tam mnisi prawosławni, a teraz i Franciszkanie mają mały klasztorek, kaplicę i pokoje dla pielgrzymów; w klasztorku mieszkają trzej zakonnicy.

Jak w innych kościołach, tak i w Nazarecie XX. Franciszkanie odmówiwszy kompletę, około 4-ej po południu odprawiają procesyę po kościele, zaczynając od groty Zwiastowania, przy śpiewie hymnu *Ave maris stella* (witaj gwiazdo morza). Nabożeństwo kończy

się modlitwą za kościół, za królów chrześcijańskich, za dobroczyńców, za nieprzyjaciół i za Ziemię św. Brałem i ja udział w tej procesyi, ale już nie wywarła takiego wrażenia, jak jerozolimska — chłopcy ze szkółki przeszkadzali. Występowali oni tu w roli śpiewaków i tak wrzeszczeli, jak jeszcze nigdy i nigdzie. Może mi się tak zresztą wydało, bo byłem więcej niż pierwej osłabiony, więc mnie wszystko bardziej drażniło.

Nad wieczorem poszliśmy na przechadzkę na oną górę, która, jak wspomniałem, wciska się od północnego zachodu do wieńca gór nazaretańskich i psuje ich koło. Droga niedaleka; minęliśmy klasztor Klarysek, przeszli przez wąwóz i po dość stromej ścieżce wstępowaliśmy na szczyt, należący do Franciszkanów. Jest tam ogród, są jakieś zabudowania, zastaliśmy bawiące się dzieci ze szkółki. Widok stąd bardzo piękny; mieliśmy przed oczyma okoliczne pagórki, miasteczko rozrzucone po pochyłości; u stóp stał na pustym, obmurowanym placu nowy klasztor Klarysek, duży dosyć, ale smutny i ponury, jakby jakieś wiekuiste więzienie. Patrząc na ten wieniec gór i na piękną wśród nich równinę, myślałem, że byłoby tu bardzo pięknie, gdyby na górach były lasy, a na dolinie staw lub rzeczka. Celem naszej wizyty nie był jednak piękny widok, lecz kaplica N. Panny *drżącej, S. Maria del tremore.* Św. Łukasz opowiada, że żydzi porwali P. Jezusa z synagogi i wyprowadzili za miasto na stromą górę, by Go z niej strącić w przepaść. Urwisko to widzieliśmy doskonale, bo jest naprzeciwko z drugiej strony doliny. Podanie utrzymuje, że N. Panna była wtenczas w tem właśnie miejscu, a widząc,

Brama do klasztoru XX. Franciszkanów na Taborze.

Góra, z której chciano strącić Zbawiciela.

co grozi Jej synowi, drżała z przerażenia. Na uczczenie i pamiątkę tego macierzyńskiego przestrachu wznieśli tu Franciszkanie niewielką murowaną kaplicę. W ołtarzu jest obraz N. Panny, którą malarz chciał wyobrazić drżącą, ale zadaniu podołać nie mógł. Za kaplicą jest cmentarz zakonny, niesłychanie smutny. Otacza go wprawdzie wysoki mur, strzegą żelazne wrota, utrzymany porządnie, ale niema ani jednego drzewa, nie widać ani jednej trawki zielonej, a mogiły są i osobliwe i smutne zarazem. Nie są to bynajmniej nasze pagórki zieloną darnią i zielskiem pokryte; tuż na ziemi powtykane w podłużny czworobok płaskie kamienie na piędź może wysokie, środek zasypany okruchami kamieni i ziemią — to cała mogiła. Ozdabia ją tylko krzyż

drewniany, parę łokci wysoki, na którego poprzecznem ramieniu wypisane imię zmarłego i data zgonu — nic więcej. Kiedym pytał br. Łukasza, czemu nie kładą płyt dużych i całkowitych, mając tyle kamieni dokoła, odpowiedział, że nikt tu nie potrafi takiej płyty wykuć, a co najbardziej, że po stromej ścieżce niema sposobu wywieźć ją na górę na grzbiecie małych osiołków. Kiedym tak rozmawiał z zakonnikiem, jedna z dam czytała napisy na krzyżach i zawołała: Patrzcie, to ojciec Dawid już umarł! Poznałam go za pierwszej mej tutaj bytności; święty to był starzec. A tak, odpowiedział brat Łukasz, umarł parę lat temu i leży koło swego młodego przyjaciela. Zapytałem, coby to był za przyjaciel i brat? Łukasz opowiedział mi historyę jakby żywcem wyjętą z *historia lausiaca* albo *vitae patrum*. O. Dawid da Vigone był mistrzem nowicyuszów w Nazarecie; w ostatnich czasach był wśród nich młodzieniec wątłego zdrowia, ale wielkiej świątobliwości (nie pamiętam jego imienia) odznaczał się zwłaszcza posłuszeństwem tak bezwzględnem i tak ochoczem, że nazwać je trzeba było heroicznem. Starzec pokochał młodzieńca i zawiązała się między nimi przyjaźń, jaką tylko święci rozumieją; powtórzyły się dzieje Doroteusza i Dozyteusza, które mnie tak rozrzewniały i interesowały w czasach mego nowicyatu duchownego. Nowicyusz widać był dojrzały dla nieba, bo zachorował na suchoty i gasł w oczach, kiedy jednak przyszło do skonania, męczył się straszliwie i nie mógł umrzeć. Wtenczas przyszedł do niego O. Dawid, usiadł przy łóżku i tak przemówił: Mój synu, kochałem cię zawsze, boś był posłuszny i nigdyś rozkazowi memu się nie sprzeciwił; mam ci coś do rozkazania; posłuchaj mnie raz jeden jeszcze. Biedny chory dusząc się szepnął: Ty wiesz, Ojcze, żem zawsze gotów, rozkazuj. A O. Dawid drżąc cały powiada mu: Umrzyj natychmiast. Chory spojrzał, uśmiechnął się, lecz nie rzekł ani słowa, bo głowa mu spadła na piersi i w tej chwili skonał. Stałem zadumany i patrzyłem na groby dwóch świętych, a br. Łukasz mówił dalej: I u nas w Holandyi przed moim wyjazdem zdarzył się podobny wypadek. W sąsiednim klasztorze był świątobliwy zakonnik wcale niestary jeszcze i w doskonałem zdrowiu. Dnia któregoś zachorował ciężko, wezwany doktor opatrzywszy chorego, poszedł do gwardyana i kazał przygotować go na śmierć, która bardzo była

możliwą. Gwardyan zaś był przyjacielem onego zakonnika i miłowali się bardzo; przyszedł tedy do celi i po długiem kołowaniu wyznał wreszcie, jak rzeczy stoją: Gotuj się bracie na wszelki wypadek. A chory wziął gwardyana za rękę i powiada mu: Dobrą nowinę zwiastujesz mi, Ojcze, jestem oddawna przygotowany, ale mam do ciebie prośbę; byłeś mi przyjacielem, daj mi więc słowo, że spełnisz, o co cię prosił będę. Gwardyan obiecał; wtenczas chory: Każ mi umrzeć. Przełożony zaczął wołać: Za nic! za nic! ale podwładny nie puszczał jego ręki i ciągle domagał się: Mam twoje słowo, Ojcze. Osobliwy to był widok; starzec milczał, tylko łzy mu spadały na siwą brodę, a zakonnik go nie puszczał i żądał rozkazu śmierci. Wreszcie gwardyan zwyciężony, wyszeptał: Dobrze, umrzyj — i na trzeci czy czwarty dzień chory zasnął w pokoju. Kiedy nasz gwardyan, ciągnął br. Łukasz, wrócił z pogrzebu, na który był zaproszony, opowiadał nam całą tę historyę, sprawiła ona wrażenie... *vous n'avez pas l'idée!* Biedny brat Łukasz! rozpowiadał o cudzych śmierciach, a jego własna o rok już tylko była oddaloną; kto wie, może już jej przyczynę w sobie nosił, bo właśnie wtenczas zachorował na febrę i zapewne to ona później przecięła to młode życie, gdyż z palestyńską febrą niema żartów.

Przy ostatnich promieniach gasnącego słońca wracaliśmy do hospicyum, ja szedłem na końcu, rozmyślając o życiu doskonałem, chrześcijańskiem, tak bardzo różnem od naszego, o żywotach, które zagasły w blaskach złotych, dolatujących już z tamtej zagrobowej strony i o tylu, tylu rzeczach, które się nasuwają na myśl przy bliższem lub dalszem zetknięciu ze świętymi. Przy kolacyi usługiwał nam brat Jan ze swoim dobrym, poczciwym uśmiechem na ustach, a potem znowu gawędziliśmy długo i przyjemnie. O czem? O różnych rzeczach, najwięcej jużci o pielgrzymach. Brat Jan opowiadał o cierpieniach polskiej karawany kmiotków i rzemieślników, która przed parą lat przyszła tu była w najgorszą porę, bo w czasie deszczów wiosennych; brnęli biedacy w błocie wyżej kolan, padali z wyniszczenia, a kiedy w drodze do Karmelu stanęli nad Kizonem, nie mogli go przebyć i w najnędzniejszym stanie wrócili do Nazaretu, gdzie ich przetrzymano z parę tygodni. Brat Jan zachwycał się ich pobożnością i nazywał najpobożniejszymi ze wszystkich pielgrzy-

mów. Francuzi zawsze bywali pełni entuzyazmu, głośno i dużo gadali i nie mogli na miejscu usiedzieć. Najgorzej było, kiedy się zeszli z Niemcami; awantur jużci nie robili, ale atmosfera zawsze była przeładowana elektrycznością i br. Jan drżał, by z niej piorun kiedy nie strzelił. Czasami zdarzały się indywidua najosobliwsze, jak np. jakaś miss Izabella czy Mirabella — Angielka katoliczka. Bogata i skąpa, modląca się ciągle, gotowa komunikować się co dnia, a egoistka skończona, miała bzika zupełnego pod każdym względem, tylko co do niewydawania pieniędzy własnych a wyzyskiwania drugich była zupełnie przytomną. Dopuszczała się najdziwniejszych ekscesów. Raz np. wybrała się sama jedna konno z Nazaretu do Jerozolimy. Brat Jan przeraził się naprawdę dowiedziawszy się o tym projekcie: Co pani myślisz? Kobieta sama jedna wśród Turków, czy pani nie rozumie, co cię czeka? Ale gdzietam, uparła się baba i pojechała. Na noc wprosiła się do chaty Turka, nie wiem pod jakim pozorem wyprawiła go z mieszkania, a gdy on wyszedł, zamknęła drzwi ze środka, podparła kołkiem i najspokojniej położyła się spać. Gdy gospodarz zaczął się dobijać, powiedziała, że jutro mu zapłaci za nocleg, a dziś żeby sobie szedł na cztery wiatry, bo mu w łeb strzeli. Nawet dwa razy wystrzeliła, gdy Turek dłużej nie odchodził — i postawiła na swojem. Nazajutrz zmieniła projekt i wróciła do Nazaretu. Z takim to herodem biedny braciszek musiał porać się przez 17 dni, które mu się tyluż tygodniami wydały. Dziwując się temu, com słyszał, nie przeczuwałem, że wkrótce i ja spotkam drugi taki sam egzemplarz i to w pomnożonem i powiększonem wydaniu; tylko że on nie spotkał drugiego br. Jana. Trafiła kosa na kamień, nawet na kilka kamieni i wyszczerbiła się bardzo prędko — ale o tem potem.

Kiedyś znowu przybyli do Nazaretu dwaj księża opaleni, wynędzniali, nosząc w całej postaci ślady jakichś wielkich trudów i cierpień. W czasie obiadu br. Jan spostrzegł, że jednemu z nich brakowało widelca, więc rzucił się coprędzej, by go przynieść, a ten uśmiechnąwszy się, mówi mu: Niechże się brat tak bardzo nie turbuje, my przywykliśmy bez widelca się obchodzić, byle było co wziąć w palce. Pokazało się, że byli to ci dwaj kapłani, których Mahdi wziął był do niewoli i trzymał dziesięć czy jedenaście miesięcy w klatce na upale afrykańskim i na deszczu ulewnym. Żyli tem, co

im rzucano, jak dzikim zwierzętom do klatki, oczywiście o widelcach i nożach nie było nawet mowy. Biskup tych kapłanów nie zaznał spokoju, poruszył niebo i ziemię i wkońcu udało się mu ułatwić im ucieczkę. Czytałem z tego powodu wyrzuty czynione przez pisma angielskie rządowi, że nie mógł czy nie chciał dla swoich, przez tegoż Mahdiego porwanych obywateli zrobić tego, czego dokazał ubogi i nieznany biskup katolicki dla swych kapłanów.

Innym znowu razem przyszła karawana pielgrzymów francuskich (opowiadał już br. Łukasz, który wtenczas mieszkał w Nazarecie) jak zwykle głośna, pełna entuzyazmu, ruchliwa; na szarym końcu siadała zwykle młoda panna Angielka, o którą Francuzi nie troszczyli się wcale; trzymała się i ich towarzystwa tylko dla bezpieczeństwa. Była to córka bogatej protestanckiej rodziny, która wyrzekła się jej dlatego, że została katoliczką; krewni oddali nawróconej część majątku, należącą się z prawa, ale znać jej nikt ze swoich nie chciał. Przyjechała do Ziemi św. mając przy sobie 60.000 franków, które przeznaczała na jakąś fundacyę pobożną; życie prowadziła pokorne i umartwione, z kościoła wychodziła ostatnia, a gdy się modliła, wyglądała jak święta; hojnie obdarzała wszystkich proszących i to bodaj było powodem, że się rozeszła pogłoska o jej wielkich bogactwach. Zabawiwszy czas jakiś w Nazarecie, pielgrzymi, i ona w ich liczbie, ruszyli do Taboru i do jeziora Genezaret, z Tyberyady zaś, gdzie był ostatni przystanek, wrócili po kilku dniach nad wieczorem do Nazaretu. Przy kolacyi gwardyan witając gości, zobaczył, że brakowało Angielki. Francuzi tak mało o nią dbali, że dopiero teraz spostrzegli jej nieobecność. (Dobrych miała towarzyszy!) Zaczęto rozpytywać się, badać i przypomniano sobie nareszcie, że ostatni raz widziano ją w Tyberyadzie, w kościółku św. Piotra, a co się z nią później stało, nikt nie wiedział. Poczciwy gwardyan, pełen niepokoju, wziął drugiego księdza, dwóch żołnierzy i co koń wyskoczy popędził na całą noc do Tyberyady, ale i tam nieznajomej nie było. Udał się do władz, rozpoczęło się śledztwo i dopiero rzecz cała wyjaśniła się. Kiedy owa panna wyszła z kościoła, ostatnia jak zwykle, pochodziła trochę nad jeziorem i usiadła nad brzegiem jego na dużym kamieniu dla odpoczynku. Wtenczas opadli ją chłopcy tureccy i żydowscy, prosząc o *bakczysz;* obdarzeni hojnie, rozbiegli się uradowani do do-

mów swoich. Po chwili z niedalekiej chaty wyszły dwie stare, obdarte żydówki, a zbliżywszy się do Angielki, zaczęły ją usilnie prosić, by wstąpiła na chwilę do ich domu i zobaczyła całą nędzę, w jakiej zostają. Nieopatrzne i niewinne stworzenie zgodziło się; weszła z niemi do środka i więcej jej nie widziano. Tyle dowiedziano się od muzułmańskich chłopców, którzy o niej z entuzyazmem mówili. Zarządzono poszukiwania, zarzucono sieci do jeziora i wydobyto wreszcie zwłoki nieszczęśliwej ze zgniecionem gardłem i sińcami na szyi. Skoro próg przestąpiła, żydzi ją zadusili, a w nocy wrzucili do wody, zabrawszy pieniądze. Wezwano mieszkającego wówczas w Tyberyadzie doktora Polaka dla zrobienia obdukcyi ciała; gdy otwarto suknię pokazało się, że nieboszczka miała pod spodem włosiennicę, na piersiach zaś nosiła krucyfiks żelazny z kolcami, które w czasie duszenia weszły jej całkiem w ciało. Staruszek doktor, gdy o tym wypadku opowiadał, płakał z rozrzewnienia — i nic dziwnego. Na mnie ta historya zrobiła także wrażenie; widziałem potem nieraz pobożną Angielkę, siedzącą nad wodą na kamieniu, rozmodloną i litościwą, i żal mi było biednej opuszczonej od wszystkich dziewczyny, która tak tragicznie, zdala od swoich, w cudzej ziemi, z rąk zbrodniczych zginęła.... A jednak, patrząc po bożemu, śmierć jej była szczęśliwą! W zaraniu życia, w blaskach świeżo poznanej prawdy, w pierwszym ogniu nadprzyrodzonej miłości, po krótkich goryczach samotnego wygnania, po chwilowej męce agonii, mogła zanurzyć się odrazu w oceanie miłości i szczęścia, i u stóp oblubieńca złożyć wieniec dziewictwa, umartwienia i męczeństwa. »Podobała się Bogu dusza jej i dlatego pospieszył wyprowadzić ją z pośrodka nieprawości«. Szczęśliwa i święta!

ROZDZIAŁ III.

Karmel.

Nazaret był najdalszym i ostatnim punktem mojej podróży, od niego rozpoczął się powrót. 31 października odprawiłem raz jeszcze Mszę św. w grocie Zwiastowania, dziękując za łaskę zwiedzenia miejsc świętych i prosząc o drugą, bym mógł szczęśliwie i cało dostać się do domu. Około 10 godziny ks. T—ski powrócił z Taboru; pożegnałem nasze towarzystwo, które miało dążyć dalej do jeziora Genezaret pożegnałem zacnych braci Jana i Łukasza — tego ostatniego na zawsze, i wsiadłem do powozu z ks. T. i bratem Witalisem, który jechał do Jaffy, na zastępstwo brata Piotra. Rozpocząłem więc powrót i dziwnie sprzeczne uczucia panowały w mem sercu, gdyśmy teraz we trzech wyjeżdżali z Nazaretu. Krok każdy koni zbliżał mnie do domu, za którym tęskniłem, do odpoczynku, którego skołatane siły na gwałt się dopominały, ale ten sam krok oddalał mnie od miejsca, o których lat tyle marzyłem, a które zobaczyć raz drugi nie miałem i nie mam nadziei. Znowu więc przejeżdżałem przez te same miejsca, znowu piliśmy wodę u tego samego źródła, na tem samem wzgórzu pod dębem jedliśmy obiad, a o 5-ej z południa stanęliśmy w Kaifie. Tam rozstał się z nami brat Witalis, we dwóch więc tylko, po krótkim wypoczynku pojechaliśmy do klasztoru XX. Karmelitów, na szczyt góry Karmelu.

Wspomniałem już na początku niniejszych wrażeń, jak to naczytawszy się entuzyastycznych opisów Ziemi św., zdobiłem ją w piękności natury, jakich ona nie ma w rzeczywistości. Trzy zaś były miejsca, które wyobrażałem sobie nadewszystko piękne i jakby stwo-

rzone dla dusz miłujących ciszę, samotność i modlitwę wśród zieleni drzew i pięknego otoczenia. Były niemi grota św. Jana w wąwozie terebintów, (za Ain-Karem) góra Tabor i Karmel. Pierwszej nie widziałem wcale, drugą widziałem tylko z daleka, postanowiłem więc wynagrodzić sobie na trzeciej i zabawić tam przynajmniej dwie doby, żeby trochę odpocząć i nasycić się pustelnią. Tak też zrobiłem i przyznać muszę, że Karmel najbliższym okazał się ideału, o jakim marzyłem, to też pozwolę sobie rozpisać się *con amore* o miejscu, dla którego dawną predylekcyę zachowałem [1]).

Trzeba wiedzieć, że dwa były Karmele w państwie żydowskiem: pierwszy leżał w pokoleniu Juda, na południe od Hebronu; była tam nietylko góra ale całe terytoryum z miastem tegoż imienia. Vigouroux utrzymuje, że o tym właśnie Karmelu mowa w XII. rozdziale księgi Jozuego, gdzie wyliczone są królestwa chananejskie, podbite przez niego. Tu potem chronił się Dawid przed gniewem Saula i ożenił się z mądrą Abigail, gdy jej mąż umarł ze strachu (I król. XXV.) Tutaj także król Ozyasz miał swoje winnice. Wspomniałem o tym małym Karmelu, żeby go nikt nie mięszał z wielkim, do którego teraz przechodzę. Wielki Karmel jest to łańcuch gór zaczynający się w Samaryi i dążący ku morzu śródziemnemu w kierunku północno-zachodnim. Kończy się przylądkiem tuż nad morzem, niedaleko od miasta Kaify; przylądek ten stanowi południowy kraniec zatoki Ptolomaidy. Długość tego łańcucha wynosi jakie trzydzieści wiorst, a największa szerokość nie dochodzi piętnastu. Wysokość także nie jest zbyt wielką; najwyższy szczyt Esfiah dosięga tylko 651 metrów nad powierzchnią morza; przylądek zaś, na którym znajduje się klasztor i latarnia morska zaledwo 150 metrów, tj. mniej niż 75 sążni. Nie wysokością też swoją imponował Karmel, ale korzystnem położeniem, urodzajną ziemią i pięknością. Leży on niby ogromny wał graniczny między dwiema najżyźniejszemi częściami Palestyny: doliną Ezdrelońską i Sarońską; jego wapienne skały pokryte są grubą warstwą urodzajnej ziemi, z gór tryskają źródła nie-

[1]) Źródła: X. Hołowiński. *Pielgrzymka do Ziemi św.* X. Pelczar, *Ziemia św. i islam*, t. I. Mann, *Podróż na Wschód* t. 3-ci. Guthe und Ebers, *Palästina in Bild und Wort* 2-ter B. Fr. Liévin de Hamme, *Guide indicateur etc. 3-me partie.* F. Vigouroux, *Dictionaire de la Bible-Carmel.*

raz tak obfite, że formują małe potoki i mogą obracać młyny, więc też i roślinność jest tu bogatszą niż gdzieindziej w Ziemi świętej. Stoki i szczyty pokrywały, a nawet dość często pokrywają dotąd karłowate dęby, sosny, drzewa mastykowe, dzikie gruszki, laury; nie mówiąc o mnóstwie krzewów i ziół lekarskich, wśród których przeważa piołun i melisa. Ks. Hołowińskiemu opowiadali zakonnicy, że w czasie deszczów wiosennych, góra wydaje im się rajem, takie na niej mnóstwo kwitnących róż, tulipanów, narcyzów, anemonów, fijołków itp. Za czasów judzkich żyzne wśród gór doliny były uprawiane i Karmel słynął ze swych owocowych sadów i winnic. Utrzymują też, że Karmel po hebrajsku znaczy jedno i drugie. W jaskiniach i gąszczach leśnych kryły się dzikie zwierzęta, jak pantery, tygrysy, dziki, szakale, a także gazele, zające i wszystkie rodzaje ptaków. Dla tych przymiotów Karmel stał się u żydów synonimem piękności, powodzenia, wspaniałości; Nabuchodonozor, zbliżający się w blasku swej potęgi i mocy, jest jako Tabor i Karmel (Jer. XLVI. 18); ziemia judzka błogosławiona przez Boga i napełniona dobrami, będzie jaśnieć jako Karmel (Iz. XXXV. 2); obrażona i spustoszona, będzie jako Karmel pozbawiony swej ozdoby (Iz. XXXIII. 9. Jer. IV. 26. Amos I. 2. Nahum I. 4). Salomon w pieśniach nad pieśniami porównywa głowę oblubienicy do Karmelu (VII. 5) [1]).

Przypomnijmy teraz sobie historyę tych gór pięknych. Po podboju żydowskim Karmel służył za granicę między pokoleniami Manassesa z zachodu a Issachara i Zabulona ze wschodu; po rozpadnięciu się królestwa przeszedł pod władzę królów izraelskich. Kiedy ci dla politycznych widoków wprowadzali w swem państwie poganizm, czciciele prawdziwego Boga zbierali się na Karmelu; można to wnosić z tego, że Eliasz poprawił tu »ołtarz Pański, który był zepsowany« i z tego także, że kiedy Sunamitka, której syn umarł, chciała iść na Karmel, by szukać Elizeusza proroka i powiedziała o tem mężowi, ten zapytał ją: Dlaczegóż idziesz do niego? Dziś nie jest nów, ani sabbat? (IV. król. IV. 23). Prorok Eliasz obrał Karmel za ulubione miejsce swego pobytu; tutaj to odbyła się owa sławna walka jego z 850 fałszywymi prorokami w obliczu całego Izraela, który ich po-

[1]) Chociaż nie brak tłómaczących to miejsce inaczej, mianowicie przez wyraz *Karmil,* purpura, wiadomo, że u żydów włosy czerwone uchodziły za bardzo piękne.

tem nad brzegami Kizonu wszystkich wymordował. (III. kr. XVIII). Po tej egzekucyi Eliasz wrócił »na wierzch Karmelu i nachyliwszy się ku ziemi, włożył twarz swoją między kolana swoje. I rzekł do sługi swego: wstąp, a pojrzyj ku morzu, który gdy wstąpił, a obejrzał, rzekł: niemasz nic. I zasię rzekł mu: wracaj się po siedmkroć. A za siódmym razem, alić obłoczek mały, jako stopa człowiecza występował z morza, który rzekł: idź i mów Achabowi: zaprzęgaj wóz twój, a ujeżdzaj, aby cię deszcz nie zastał. A gdy się obracał i tam i sam, alić się niebo zaćmiło i obłoki i wiatr i stał się deszcz wielki«. Ten obłoczek, który zrosił obfitym deszczem ziemię, spaloną prawie czteroletnią posuchą, często uważanym bywa za symbol N. Panny, która przyniosła na świat pogaństwem i grzechem spalony źródło życia i błogosławieństwa; wśród XX. Karmelitów utrzymuje się legenda, że obłoczek ten miał nawet zarysy Jej postaci. Twierdzą też, że wypadek z trzema rotmistrzami Ochozyana, którzy mieli rozkaz przyprowadzić proroka do króla, tutaj się także zdarzył. Po wzięciu Eliasza na ognistym wozie, uczeń jego Elizeusz zamieszkał na Karmelu; stałe podanie utrzymuje, że obaj oni mieli tu tak zwaną szkołę proroków, tj. uczyli młodzieńców i starszych zasad wiary, obrzędów i śpiewów religijnych, bynajmniej jednak nie prorokowania, bo to był dar wprost i wyłącznie od Boga pochodzący. Miejsce takiej szkoły dotąd pokazują w obszernej grocie u stóp góry. Po wprowadzeniu Izraela do niewoli assyryjskiej, Karmel przeszedł pod władzę królów judzkich, jak to można wnosić z epizodu Judyty i z tego, że król Jozyasz chciał przeszkodzić królowi egipskiemu Nechao przejść przez Galileę, walczył z nim i został zwyciężonym na równinie Ezdrelońskiej. Wówczas na Karmelu kwitnęły liczne miasta, do których posyłał król assyryjski, żądając poddania się (Judyt I. 8). Sława tego świętego miejsca doszła aż do pogan. Jamblicus opowiada w życiu Pytagoresa, że mędrzec ten nieraz udawał się na Karmel »miejsce święte pomiędzy wszystkiemi« dla rozmyślania, skąd powracał skupiony, nie oglądając się wstecz, nie zważając na przepaści i na żadne przeszkody. Wespazyan przed wojną żydowską ofiarował na tej górze, a kapłan Bazylides poradziwszy się wnętrzności ofiar, miał mu przepowiedzieć, że najambitniejsze jego zamysły będą spełnione. Tacyt opowiada, że na Karmelu był czczony

Bóg tegoż imienia, nie mający świątyni ani posągu, lecz ołtarz tylko. Bardzo być może, że Tacyt coś zasłyszał o ołtarzu prawdziwego Boga, któremu nadał imię góry. Czy ołtarz, przy którym ofiarował Wespazyan stał na miejscu dawnego ołtarza Eliasza, czy też gdzieindziej, nie wiadomo, jak również nie można na pewno powiedzieć, czy wyznawcy różnych religii nie wznosili na tej górze jednocześnie swoich ołtarzy. Jakkolwiekbądź, zawsze mieli na niej mieszkać pustelnicy, naśladowcy esseńczyków, rehabitów i terapentów. Z przyjściem Zbawiciela nowa era zawitała dla Karmelu. Podług podania św. Anna miała na niem trzody i dom dla pasterzy, z tego powodu nawiedzała czasami wraz z córką swoją tę górę, co jednak z powodu wielkiej od Nazaretu odległości wydaje się mało prawdopodobnem, natomiast prawdą być może, że w powrocie z Egiptu N. Panna przechodziła tędy i zatrzymała się dla odpoczynku w grocie szkoły proroków, ponieważ tędy właśnie wypadała droga św. Rodzinie. Góra ta miała się stać wkrótce ogniskiem szczególnej czci św. Dziewicy, pustelnicy bowiem z Karmelu przyjęli chrześcijanizm i w 83 r. wznieśli tutaj pierwszy na świecie kościół poświęcony N. Pannie; przejęci Jej miłością pielgrzymowali do Jerozolimy, by nawiedzić grób Jej i zbierać się na nabożeństwo w grocie, w której narodzić się miała; nieraz też łączyli się z Apostołami i opowiadali Ewangelię w Samaryi i Galilei. Ze skalnych pieczar Karmelu wyszło w owych czasach kilku głośnych świętych, jak w I. wieku św. Narcyz, biskup jerozolimski, w III. św. Spirydyon, biskup Tremythontu na Cyprze, w IV. św. Eutymiusz, założyciel laury koło Jerycho, w VI. święci Cyryak i Jakób i inni.

Już w 412 roku czterdziesty czwarty biskup jerozolimski, Jan, nadał pustelnikom regułę; jaką ona była, niewiadomo dokładnie; w każdym razie zachowywali oni wtenczas obrządek wschodni. Około roku 1155 podeszły już i świątobliwy kapłan Bertold, Kalabryjczyk, (inni mówią, że Francuz z Limoges i brat patryarchy Emeryka) zamieszkał w Karmelu, twierdząc, że prorok Eliasz w widzeniu nakazał mu zbudować tam klasztor. Święty, chcąc spełnić rozkaz, udał się do Emeryka z Limoges, patryarchy antyocheńskiego, który uciekł był przed księciem swoim Renaud de Chatillon i bawił w Jerozolimie. Bogaty ten prałat chętnie dopomógł Bertoldowi, który wzniósł klasztor

przy grocie Eliasza (więc na szczycie góry, bo szkoła Eliasza jest na dole) i mieszkał tam spokojnie z nielicznymi braćmi. Po zwycięstwie Hattinskiem (1187 r.) wojska Saladyna zalały kraj cały, zniszczyły klasztor, wymordowały pustelników, z których kilku zaledwo uciekło, kryjąc się po grotach i gęstwach. W ich liczbie był św. Bertold, który umarł na Karmelu w 1200 r., mając lat 115. Wkrótce po rzezi i klęsce, nieustraszeni pustelnicy zaczęli się znowu zbierać do swej ukochanej pustelni i przewodnictwo nad nimi objął Brokard. Nowy przełożony uważał za lepsze obrać inne miejsce na klasztor, jaki zamiast zburzonego wznieść zamierzał; w tym celu zajął żyzny wąwóz, leżący o 3 wiorsty ku południowi, w którym ze skały wypływa źródło, wywołane jakoby przez modlitwę proroka Eliasza. Osiedlił się więc tam, zbudował klasztor i zebrał zakonników; wtenczas to ułożył regułę i dał ją do aprobaty i przepatrzenia św. Albertowi, patryarsze jerozolimskiemu i legatowi Stolicy Apostolskiej. Reguła została przez niego zatwierdzoną w 1207 roku i od tego właściwie czasu zaczyna się zakon braci N. Panny Maryi z góry Karmelu, zwanych Karmelitami; wtenczas też dopiero przyjęli oni obrządek łaciński. Później nieco reguła została zatwierdzoną przez papieża Honoryusza III.; była ona surową ale krótką i prostą; składała się z 18 artykułów; bracia obowiązani byli mieszkać w osobnych celach, nie mieli osobistej własności, zachowywali surowe posty, wstrzymywali się od mięsa, z wyjątkiem pewnych dni i czasu podróży, zachowywali milczenie od nieszporów do tercyi dnia następnego, trudnili się ręczną pracą itp. Wiadomą jest powszechnie rzeczą, że Karmelici nie chcieli, a bodaj dotąd jeszcze nie chcą poprzestać na tej bardzo zresztą już szanownej starożytności swego zakonu, lecz początek jego wywodzą od Eliasza proroka, który miał być podług nich pierwszym Karmelitą. W XVII. wieku powstał z tego powodu zawzięty spór między Karmelitami belgijskimi a Jezuitą Papenbroeck'iem, który z dokumentami w ręku dowodził bezsadności podobnych roszczeń. Spór ten tak się zaognił, że aż papież Innocenty XII. musiał się wdać do sprawy. Teraz powszechnie przyjętą jest teorya Papenbroeck'a, że reguła Karmelitów datuje od Brokarda, a zakon od św. Bertolda, pierwszego przełożonego Karmelitów;

św. Eliasz zaś, Elizeusz i inni pustelnicy z góry Karmelu byli tylko ich poprzednikami i wzorami.

Jakkolwiek klasztor Brokarda, położony między Akorą i Atlitem należącemi jeszcze do chrześcijan, mógł od biedy istnieć, jednak ciężko było żyć zakonnikom, w bezpośredniem prawie sąsiedztwie muzułmańskiem, więc też nieraz emigrowali, rozszerzając w taki sposób zakon swój po Europie. W pierwszych latach po powstaniu zakonu mieszkał na Karmelu św. Szymon Stock, który w widzeniu otrzymał polecenie od N. Panny ustanowienia szkaplerza. Później ten święty przeniósł się do Europy, gdzie w 1245 na pierwszej kapitule generalnej został obrany generałem zakonu.

Kiedy w 1291 roku została przez muzułmanów wzięta Ptolomaida, a w kilka tygodni później Atlit, a z niemi zniknął ostatni ślad panowania krzyżowców w Ziemi św., niekrępowani niczem zdobywcy napadli na klasztor Brokarda, zburzyli go, a nielicznych zakonników wymordowali. Odtąd ten wąwóz nazywa się u chrześcijan doliną męczenników. W czasie rzezi zakonnicy śpiewali spokojnie *Salve Regina*, ostatnim aktem ich życia była pieśń na cześć Maryi, skończona z ostatniem tchnieniem; od tego czasu modlitwa chrześcijańska i chwała Bogarodzicy na długo opuściła to urocze ustronie, bo Karmel stał pusty przez trzy wieki i pół; dopiero w 1631 roku ojciec Prosper od św. Ducha, przy pomocy Francyi, wyrobił sobie pozwolenie odbudowania klasztoru, który przeniósł na dawne miejsce, tj. tam, gdzie jest dzisiaj. Tu jednak nastręcza mi się wątpliwość, w jakiem mianowicie miejscu go zbudował, oprócz bowiem szkoły proroczej Eliasza u stóp góry i groty jego na jej szczycie, jest jeszcze trzecie miejsce, prawie w połowie wysokości, gdzie są groty i niewielkie ruiny. Br. Liévin utrzymuje, że tam właśnie osiedlił się ojciec Prosper, mnie się to jednak nie zdaje prawdziwem dlatego, że klasztor Prospera trwał do początku XIX. wieku i był zburzony przez Abdallah'a baszę, który z ruin zbudował sobie kiosk, tj. pałacyk, pewną zaś jest rzeczą, że zburzony przez niego klasztor był na szczycie góry, gdzie dotąd stoi kiosk jego. Czytałem przed laty historyę Karmelu przez miejscowego zakonnika napisaną, gdzie ta kwestya była rozwiązaną, że jednak nie mam jej pod ręką, więc też i wątpliwości powyższej rozwiązać nie potrafię. O ile pamiętam z tego com czytał i co mi

mówiono, w tych środkowych grotach miał mieszkać św. Szymon Stock i on też przybudował ów maluśki, obecnie zrujnowany klasztorek. W ostatnich latach urządzono wśród ruin kaplicę tego świętego.

Pod koniec XVIII. wieku klasztor znajdował się w opłakanym stanie; zakonników było mało, a cały zakład był zadłużony; niejaki kupiec maltański Lahella, mający na nim dług 500 skudów, chciał górę i klasztor sprzedać Grekom; uratował je konsul austryacki Catafago, lecz nie na długo. W 1799 r. Bonaparte obległ Akrę, klasztor napełnił się chorymi i ranionymi; gdy generał musiał się cofnąć, Turcy wpadli do klasztoru, wszystkich chorych wyrznęli, powyłamywali drzwi i okna, mnichów rozpędzili, a zostawiwszy trupy niepogrzebane, odeszli. Zakonnicy wprawdzie wrócili i pogrzebali pomordowanych, ale utrzymać się nie mogli, bo ich prześladował krwawy Dżezar basza Akry. Pozostały więc samotne i opuszczone mury na górze i jedyny zakonnik, chroniący się w Kaifie.

Wtedy to, bo w roku 1819, braciszek Jan Chrzciciel, Rzymianin z familii Cassini, rodem z Frascati, otrzymał od generała Karmelitów rozkaz udania się do Karmelu, aby się przekonał o stanie gospody Bożej i rozpatrzył w sposobach, jakimiby ją znów podnieść można [1]).

Chwila zaiste była źle wybrana. Abdallah basza rządził Syryą w imieniu Porty, a głęboką nienawiść, jaką zawsze pałał ku chrześcijanom, podniecało jeszcze szerzące się wówczas powstanie Greków. Abdallah napisał do Padyszacha, że mury klasztoru na Karmelu mogłyby posłużyć nieprzyjaciołom jego za fortecę i żądał pozwolenia, aby je zniszczyć. Otrzymał je z łatwością, zaczem cały budynek minami podkopać kazał, a mnich wysłany z Rzymu ujrzał wkrótce wysadzone w powietrze ostatnie szczątki klasztoru, który odnowić zamierzał. Od tej chwili wszystko zdziczało naokoło Karmelu: uprawne łany chwastem zarosły, drapieżne zwierzęta, płoszone widokiem ludzi, wróciły, skoro ślady stóp ludzkich zniknęły, Arabowie poczuli na Karmelu pustynię i rozbili swe namioty, szakale założyły nory swoje wpośród gruzów niegdyś domu Bożego. Tam, gdzie od wieków panowała gościnność i miłość chrześcijańska, ginęli marnie podróżni

[1]) Cały następujący ustęp o zbudowaniu klasztoru przez brata Jana z Frascati wyjęty jest dosłownie z »Podróży na Wschód« M. Manna.

lub padali łupem chciwości Beduinów. Wszystko to działo się w roku 1821. Brat Jan Chrzciciel przekonał się, że niema co rozpoczynać w tej chwili na Karmelu i wrócił do Rzymu.

Zwiedzając jednak górę Karmelu z towarzyszem swoim, owym starym zakonnikiem, ostatnim wielkości klasztoru świadkiem, który mieszkał w Kaifie i żył z tureckiej gościnności, powziął zamiar, którego już więcej nie porzucił. Zdawszy sprawę w Rzymie z misyi swojej, otrzymał pozwolenie od generała, aby rozpoczął olbrzymie dzieło.

W roku 1826 udał się do Konstantynopola i z pomocą posła francuskiego otrzymał od sułtana Mahmuda firman upoważniający odbudowanie klasztoru na Karmelu. Popłynął z tym firmanem co prędzej do Kaify. Przybywał na czas: ostatni stróż Karmelu, ów staruszek zakonnik już nie żył... Karmel osierociał.

Bez towarzysza więc, sam jeden wdrapał się brat Jan Chrzciciel na świętą górę — usiadł na odłamie bizantyńskiej kolumny i tam na tem miejscu spustoszenia, architekt wybrany ku odbudowaniu domu Bożego kreślił z ołówkiem w ręku plan nowego klasztoru, wspanialszego od tych wszystkich, jakie przedtem istniały, plan którego koszta na 350.000 franków najmniej wypadały. A skreśliwszy plan i obrachowawszy kosztorys, cudowny architekt, który już zaczął budować myślą, nie troszcząc się o przyszłość, zeszedł z góry, udał się do pierwszego lepszego domu, zapukał i prosił o kawałek chleba na wieczorny posiłek i o pozwolenie noclegu.

Nazajutrz zaczął przemyśliwać nad wyszukaniem tych 350.000 franków, potrzebnych do wykonania świętego dzieła. Zupełną miał wolność w wyborze środków: wszystkie projekta stały mu otworem — bo nie miał ani grosza: miał zaś w ręku początek do wszystkiego — bo miał bojaźń Bożą.

Zwrócił swą myśl naprzód: jakimby sposobem można stworzyć dochód zgromadzeniu, które jeszcze nie istniało? Spostrzegł był w odległości pięciu godzin od Karmelu a trzech od Nazaretu dwa młyny wodne, opuszczone, bądź to wskutek wojen, bądź dlatego, że wodę, która je poruszała, przypadek odwrócił. Począł więc szukać w okolicy tych młynów wody, a szukał tak dobrze, że o milę stamtąd znalazł źródło, które zapomocą mało kosztownych wodociągów można

było z łatwością na koła rzeczonych młynów sprowadzić. Zapewniwszy się, że z młynów użytkować potrafi, zajął się ich nabyciem.

Rodzina, do której się udał w przedmiocie tych młynów, składała się z dwudziestu członków. Nie chciano ustąpić gruntu, chociaż żadnej z niego nie ciągniono korzyści, lecz pozbycie się spuścizny po przodkach wydawało jej się bezbożnością. Brat Jan ofiarował się wtedy na dzierżawcę. Naczelnik rodziny przystał na tę propozycyę. Stanęła ugoda pod warunkiem, że dochód z młynów podzielonym będzie na trzy części. Jedna dla właściciela, dwie drugie dla dzierżawców.

Bo naturalnie dwóch musiało być dzierżawców: jeden dający swą pracę i przemysł, a tym był brat Jan; drugi zaś, coby dostarczył potrzebnych pieniędzy na koszta odnowy młynu i budowy wodociągu. Tego drugiego znaleźć trzeba było.

W czasie pierwszej swojej podróży do Karmelu, poznał się był brat Jan z Turkiem, który uchodził za człowieka dostatniego. Znajomość z nim odnowił, kiedy drugi raz przypłynął do Kaify. Udał się więc do niego i zażądał poprostu 9.000 franków na tę pracowitą spekulacyę. Turek zaprowadził go do skrzyni, bo na Wschodzie po dziśdzień chowają pieniądze w beczkach lub skrzynich jak owe skarby w »Tysiąc i jedna noc« — brat Jan sięgnął do skrzyni, wziął z niej sumę jakiej potrzebował, wyznaczył na spłatę tej pożyczki trzecią część zysku jaki owe młyny przynieść miały, i dzięki tym pierwszym funduszom przez muzułmanina dostarczonym, architekt, któregoby można nazwać bajecznym, gdyby nie był cudownym, rzucił pierwszą podstawę niesłychanego swego przedsięwzięcia. O procentach nie było nigdy mowy, a jednakowoż dwadzieścia lat upłynęło, zanim ów dochód chrześcijański z młyna pokryć zdołał pożyczkę wyznawcy Proroka. Kogóż nie uderzy sprzeczność środków użytych przez Opatrzność, a do jednego wielkiego spływających celu? Ów chrześcijanin zakonnik, żądający poprostu pieniędzy od Turka na odbudowanie domu Bożego i ów Turek, dający je poprostu z wiarą, że mu zwrócone zostaną....

Brat Jan, powierzywszy wykonanie wodociągu i reparacyę młynów zdatnemu nowowiercy, puścił się wkrótce na pierwszą swoją kwestę. Odjeżdżając z Kaify, napisał do Rzymu, aby wszyscy, coby

się chcieli połączyć z przełożonym Karmelitów na Wschodzie przybywali, albowiem w krótkim czasie wzniesie się klasztor na ich przyjęcie. Brat Jan przebiegł brzegi Azyi mniejszej, wyspy Archipelagu i ulice Stambułu, żebrząc o jałmużnę w Imię Boga; i w sześć miesięcy powrócił z sumą 20.000 franków, która na pierwsze koszta budowy wystarczyć musiała. Jakoż w dzień Bożego Ciała, siedm lat data w datę od chwili jak Abdallah basza wysadził w powietrze ostatni odłam murów dawnego klasztoru, brat Jan założył kamień węgielny nowego Pańskiego przybytku. Z końcem roku wyczerpnęła się suma, pojechał po raz wtóry; przebiegł Grecyę i Włochy, a zebrawszy znaczną sumę, wrócił znowu z ową pomocą ludzką potrzebną do dzieła Bożego, które wznosząc się coraz bardziej, było już w tej epoce, tj. w roku 1829 tak daleko posunięte, że celowi odpowiedzieć mogło. Zwiedzali Karmel w tej epoce pp. Lamartine, Taylor, później zaś marszałek Marmont. W ich dziełach można się przekonać o postępie budowy na Karmelu.

Brat Jan, ciągle i bez przestanku uważając się za narzędzie Opatrzności Bożej, bez znużenia, silny wiarą, ożywiony nadzieją, pałający miłością, ów prawdziwy ojciec nowego Karmelu, czternaście razy opuszczał swoją pracę i czternaście razy do niej powracał. Przez szesnaście lat kwestował ów wielki żebrak Boży. Zwiedzał całą ziemię. Był w Jerozolimie, w Damaszku, w Bejrucie, w Tyrze i Sydonie, w Jaffie, Rozecie, Aleksandryi, Kairze, w Ramleh i Tripolis syryjskiem, na górze Libanu, w Smyrnie, w Malcie, Atenach i w Stambule, w Tunis i Tripolis afrykańskiem, w Syrakuzie i Palermie, w Tarencie, w Algierze, w Tunis, w Gibraltarze; kwestował nawet w Maroku. Wszędzie znanym był brat Jan Chrzciciel. Przebiegł całe Włochy, Korsykę i Sardynię, całą Hiszpanię i część Anglii, i w tej najdłuższej jego podróży, bo sześć lat trwającej, w r. 1837 udał się do Francyi, a wróciwszy z niej 24 października 1838 do Karmelu, zebrał był wogóle 230.000 franków.

Wielka to była zaiste suma, ale jak wiadomo było to dopiero dwie trzecie zakreślonego kosztorysu, a brat Jan miał dopiero lat 60. To też zaraz na rok przyszły pojechał znów do Stambułu i Egiptu i powrócił w r. 1840. W czerwcu 1841 udał się do Rzymu dla widzenia się z Głową Kościoła; odwiedził raz jeszcze Włochy i Francyę

i zaledwie z tej pielgrzymki powrócił — bo Europa była to pielgrzymka dla brata Jana a ojczyzną był Karmel — jak wypadło mu znowu udać się do Konstantynopola, Aten i Aleksandryi.

Gdy ujrzał Karmel za powrotem, spodziewał się, jak sam to mówił ów niezmordowany pracownik w winnicy Pańskiej, że już więcej klasztoru swego nie opuści. Lecz zdaje się, jeżeli o takim człowieku sądzić można, że mu jeszcze kilka gałązek do korony, jaka go oczekiwała w życiu przyszłem, brakowało. Bóg zanadto umiłował architekta swego, aby mu wypocząć pozwolił. Mnóstwo cudzoziemców, pielgrzymów wymagało koniecznie nowego na Karmelu gmachu; napady złych ludzi i dzikich zwierząt zmuszały do otoczenia całego zakładu murem; wyczerpały się pomału wszystkie fundusze, a obowiązki zakonników na tej górze nie cierpią przerwy, gościnność zatrzymać się nie może. Zaczem przeżywszy ośmnaście miesięcy we wzniesionej przez swą pracę budowie puścił się brat Jan po raz ostatni do Europy w r. 1844. Po złożeniu hołdu papieżowi Grzegorzowi XVI i po konferencyach z kardynałem Lambruschini i Fransoni prefektem propagandy, tudzież z jenerałem Karmelitów, otrzymał rozkaz nowej kwesty. Udał się do Belgii, Holandyi, Niemiec, gdzie wszędzie nawet u dworów znalazł jak najlepsze przyjęcie. Panujący Austryi, Prus, Bawaryi, Saksonii, Holandyi, Belgii, wszyscy dowiedli wysokiej sympatyi dla tego nadzwyczajnego braciszka i hojnymi poparli datkami dzieło czci Boga i ludzkości poświęcone.

Kiedy ks. Hołowiński był na Karmelu (1839) zastał kościół już zbudowany, ale jeszcze niewykończony i mszę odprawiał w zakrystyi. Brat Jan Cassini (którego mylnie nazywa Frascati, gdyż on był tylko stamtąd rodem), bawił wówczas w klasztorze i krzątał się w najlepsze. »Może myślisz, powiada nasz pielgrzym, że w swoim klasztorze, który sam z niczego stworzył, przybiera jaką powagę? Bynajmniej, bo on tylko jeden nie widzi uszanowania, które go wkoło otacza i pełni z pokorą najniższe posługi; sam widziałem, jak drwa piłował i nosił wodę. Kiedym ubierał się na mszę św., którą odprawić miałem w grocie Eliasza proroka, wtedy ten poważny i czcigodny starzec zlewał mi wodę na ręce, ubierał i zginał się do ziemi dla obciągania alby; nie uwierzysz, jaki mnie wstyd i pomięszanie ogarnęły, że ten mąż świątobliwy mnie obsługiwał, mnie, com się

czuł niegodnym jemu usługiwać, ale wszystko musi ustąpić jego silnej pokorze«.

Założyciel nowego klasztoru umarł w 1850 r., zostawiwszy jedno skrzydło jeszcze nieskończone, dzieło jego przeprowadzili dalej bracia Karol i Mateusz, nawrócony Bulgar Muzułmanin, obaj towarzysze i pomocnicy brata Jana. Maurycy Mann, zwiedzając świętą górę w 1853 r. był przyjmowany przez brata Karola, którego uprzejmości nachwalić się nie może. Opowiadał on mu różne przygody ze swych wędrówek po świecie, jednę z nich, jako osobliwą, przytaczam: »Byłem ja wszędzie, mówił mi razu jednego, tam nawet, gdzie stopa mnicha nigdy być nie powinna. Wystaw sobie naprzykład brata Karola występującego na teatrze paryskim! — Jakto, na teatrze? — spytałem zdziwiony. — No tak, na teatrze, na deskach, na scenie, gdzie grają aktorzy. — A to jakim sposobem? — Ot takim. W roku 1844 d. 1-go lipca dawano koncert w Odeonie na korzyść budowy naszego klasztoru. Hr. Fernig, który się najwięcej do tego przyłożył i był wielkim moim dobrodziejem, kazał mi koniecznie pójść ze sobą i umieścił mnie naturalnie nie w sali, ale jak to nazywacie *za kulisami.* Siedziałem sobie tam, słuchając muzyki i śpiewów, gdy nagle przychodzi hrabia, bierze mnie za rękę i mówi: pójdźno bracie za mną. Wstaję, przechodzę jakiś ciasny korytarzyk między płóciennemi ścianami i nagle widzę się na scenie, wśród tysiąca świateł i podobnoś tysiąca ludzi, których nie widziałem, bo mi się ze strachu w oczach zaćmiło, a hałas taki był okropny, że mię całkiem ogłuszył. To publiczność tak klaskała, a mnie się zdawało, jak gdyby się złe duchy w głębi ziemi śmiały, widząc mnicha na scenie. Pokłoniwszy się raz i drugi, cofnąłem się, a wróciwszy na miejsce, wymawiałem hr. Fernig, że mnie tak podszedł. — Wybacz bracie Karolu — rzekł hrabia, nie znasz publiczności paryskiej. Jej trzeba koniecznie emocyi. Widzieć przed sobą zakonnika, który życie pędzi na Karmelu w towarzystwie szakali, panter i beduinów, zelektryzowało ją niezawodnie, a tego mi trzeba było dla kwesty, którą między oddziałami koncertu zrobić zamierzyłem. Darujesz mi zdradę, gdy zobaczysz jej rezultat. Przyniesie więcej niż koncert. Franki padać będą na tacę, jak brawa, któremi cię obsypano... I miał słuszność poczciwy hra-

bia, ale to wszystko nie przeszkadzało, żem się potężnie zawstydził i przestraszył — dodał brat Karol z uśmiechem« [1]).

Obecnie wszystko już oddawna skończone i zakonnicy chwalą Boga w spokoju, modlitwą za dobrodziejów i serdeczną, bezpłatną gościnnością spłacając dług ludziom, który po całym świecie potroszę zaciągnęli.

Takie są dzieje Karmelu od najdawniejszych czasów do dni naszych. Dziś na przylądku, nad grotą Eliasza, wznosi się klasztor wspaniały, ale 2000 pieczar i jaskiń stoją oddawna pustkami, a kości ich cichych mieszkańców spoczywają gdzieś na grobach nieznanych i tylko wyobraźnia pielgrzyma, czuwającego w noc jasną na tarasie klasztornym, widzi, jak z pieczar i lasów powstają cienie siwowłose i mkną na promyku księżyca do znanego im miejsca, do mieszkania proroka, gdzie dziś ich następcy śpiewają te same psalmy i hymny, które oni przed wiekami nucili. Dziś pusty wał Karmelu leży po dawnemu między dwiema pustemi dolinami Jakóbowego dziedzictwa, a nad jego samotnymi wierzchołkami unoszą się i panują dwa wielkie imiona, dwie święte postacie. Na przylądku, gdzie kopuła kościoła, gdzie świeci w nocy latarnia zakonna, panuje pełna miłosierdzia słodka Gwiazda morska, szkaplerzem swym gasząca płomienie czyścowe, a dalej na wysokim szczycie, gdzie niegdyś skakały i »rzezały się« setki sług Baala i Astarby, stoi wyniosła, ognista postać wielkiego proroka Eliasza — stoi z płomiennym mieczem w dłoni i patrzy na puste pola izraelskie, których mieszkańców nawet jego gorliwość i cuda nie mogły uchronić od bałwochwalstwa i zguby. Dziś jak przed wiekami u stóp Karmelu kłębi się i szumi zawsze cudowne, szafirowe morze, a dalej ku południowi w dolinie męczenników sączy się powoli źródło Eliasza i wśród głuszy leśnej sterczą żałobne resztki klasztoru Brokarda; czasami drzewa dzikie załopocą i zaszeleszczą, jakby chciały kontynuować modlitwę *Salve Regina*, która przed sześciu wiekami skonała wraz z życiem na ustach ostatniego męczennika — po chwili znowu cisza i oczekiwanie — i kto wie kiedy pierś ludzka w tem miejscu podejmie pieśń przerwaną, a nawet, czy ją kiedy podejmie?

---

[1]) Podróż na Wschód 3 t. 99 str.

Żeby skończyć z historyą Karmelu, powiem jeszcze, że około 1820 roku na stokach jego mieściło się 17 wiosek przez Druzów zamieszkanych, w czasie wojen jednak późniejszych, ludzie wyginęli lub uciekli, domy zniszczono, pola zaniedbano; pozostały tylko duże wioszczyny. W nowszych czasach przybyła trzecia, z chrześcijan i Druzów złożona, a ku Południowi założono na górze kwitnącą żydowską osadę Zemmetin pod patronatem Rothschilda. Więcej teraz jest na Karmelu miejsc uprawnych i ogrodów, ale za to coraz mniej lasów; mówiłem już wyżej, że całą godzinę trzeba jechać, nim się je spotka, chociaż dawniej dochodziły aż do morza. W jarach i wąwozach rosną jeszcze krzaki i karłowate drzewka, ale i te Arabi pilnie niszczą. Gdym wyjeżdżał z Karmelu, widziałem z bólem serca leżące wzdłuż drogi całe stosy świeżo zrąbanych krzewów, które jeszcze przed dwoma dniami zdobiły parowy, a w głębi kilku barbarzyńców operowało dalej, wyrywając nawet korzenie. Wskutek tak radykalnej gospodarki Karmel pustoszeje, a zwierzęta, jeśli jeszcze jakie pozostały, cofają się do resztek lasu, pokąd i stamtąd nie będą zmuszone ustąpić.

Poznajmy teraz bliżej klasztor, którego zajmujące dzieje opowiedziałem. Żeby sobie dobrze przedstawić rozkład klasztornych budynków, trzeba wiedzieć, że od grzbietu góry idą ku morzu, prawie w regularnych odstępach, ramiona czy odnogi, niby palce szeroko rozstawione, między którymi są wąwozy, zarzucone głazami i zarośnięte krzewami. Ile jest takich odrośli, nie pamiętam, ale nam potrzebne są tylko trzy ostatnie, podzielone dwoma jarami. Otóż po brzegu najbardziej południowej odnogi, nad samym jarem, idzie nowa droga do klasztoru, droga szkaradna, po której jednak noga za nogą może powóz przejechać. Dostawszy się na górę, mijamy zabudowania gospodarcze i stojącą wśród nich kaplicę św. Teresy, zajmujące szczyt drugiego ramienia; potem podjeżdżamy do klasztoru zwróconego frontem do morza (ku zachodowi) i stojącego naprzeciwko drugiego jaru, nad samym brzegiem, którego ciągnie się wązki a długi ogródek, tak że między nim a klasztorem jest tylko dość szeroka droga. Dopiero minąwszy klasztor, znajdziemy się na właściwym dziedzińcu otoczonym murem i zajmującym trzecią i ostatnią północną odnogę. Na końcu jej znajduje się pałacyk Abdallah'a,

który on sobie na letnie mieszkanie z ruin dawnego klasztoru był wybudował; teraz należy do zakonników.

Otóż około godz. 6-ej wieczorem 31 października stanęliśmy pode drzwiami klasztornemi, prosząc o gościnność. Przyjął nas brat Feliks, Francuz, ze zwykłą tutaj uprzejmością, i wprowadził odrazu do *dywanu*. Bardzo to miły, po europejsku umeblowany, sklepiony salonik, malowany jaskrawo i bez gustu, ale skąd na pustyni wziąć dobrego malarza? Zdobiły go za to portrety braci Jana z Frascati, Karola, i stojące pomiędzy nimi, popiersie br. Mateusza. Z lewej strony przytykały pokoje dla dygnitarzy przeznaczone (jeśli się nie mylę) z prawej sala jadalna; oczywiście zaraz nas do niej zaproszono. Byłem już bardzo chory, nie mówiąc o zmęczeniu, to też jechałem do Karmelu ze słodką nadzieją, że znajdę jakąś radę »w sławnej na całą Syryę aptece«, jak o niej czytałem. Dopraszałem się więc zaraz o lekarza, powiedziano mi, że nie masz go tutaj; — to dajcież mi choć aptekarza; — chory, leży w łóżku. — Rzeczywiście dręczył go reumatyzm, lecz posłyszawszy, że go potrzebuję, wstał i przyszedł do mnie. Dowiedziałem się od niego, że chociaż jest aptekarz, ale apteki niema; lekarz i apteka w Kaifie, tutaj tylko jest woda z melisy, likier miejscowego wyrobu i zwyczajna domowa apteczka. Na szczęście znalazło się w niej dla mnie lekarstwo, które zażywane co kilka dni, dało mi siłę dowlec się do domu.

Klasztor i zabudowania na Karmelu.

Ponieważ nikogo z gości oprócz nas nie było, więc mogliśmy rozłożyć się wygodnie. Mnie dano cały salon, ks. T-kiemu drugi. Okno moje wychodziło na morze, nad którem sklepiło się pogodne, syryjskie niebo, nabijane gwiazdami.

Nazajutrz, po odmówieniu pacierzy kanonicznych, oczywiście pierwszą rzeczą było zwiedzenie kościoła i odprawienie mszy św. Kościół ten niewielki i niczem nadzwyczajnem nieodznaczający się, wydał mi się najmilszym ze wszystkich widzianych w Palestynie,

dla swej prostoty, harmonii architektonicznej i również harmonijnego wewnętrznego urządzenia. Plan jego bardzo prosty. Środek stanowi koło, nad którem wznosi się kopuła, z czterech zaś stron przytykają do niego półkola, czy też kwadratowe ramiona, już dobrze nie pamiętam, formując takim sposobem grecki krzyż. W pierwszem ramieniu jest wejście i chór z organami, naprzeciwko prezbyteryum, z prawej i lewej strony po jednym bocznym ołtarzu — ot i wszystko, ale jak to harmonijnie zrobione! Do wrażenia harmonii przyczynia się niemało jednolitość oświetlenia; okna bowiem są tylko w kopule i bardzo łagodnie a dostatecznie oświetlają kościół. Ściany pomalowane nie jaskrawo, jak tu wszędzie, ale dwoma dopełniającymi się, bladymi kolorami. Presbyteryum podniesione znacznie nad posadzkę, gdyż się znajduje nad grotą Eliasza, trzeba więc na nie wstępować po schodach z obydwóch stron groty. W wielkim ołtarzu ładny drewniany posąg N. Panny Szkaplerznej; po prawej stronie na ścianie bardzo piękny obraz, komunia św. Ludwika króla. Grota Eliasza jest tą samą, w której prorok zwykle przemieszkiwał; zstępuje się do niej po 5 schodkach. Jest tam ołtarz urządzony na ławie kamiennej, która służyła za łoże świętemu; nad ołtarzem jego posąg. Szerokość wynosi około 5 metrów, wysokość mało co większa od wzrostu zwykłego człowieka. W kościele, w bocznym ołtarzu, po prawej stronie, bardzo ładny obraz bł. Szymona Stocka, po lewej zaś św. Józefa. Warto też wspomnieć o stacyach męki Pańskiej; malarzowi ich udało się znaleźć dziwnie piękny typ Zbawiciela. — Dobrze mi było w tym kościele — nikt nie przeszkadzał, nie pędził, nie słyszałem tego utrapionego *presto*, mogłem się modlić, ile chciałem.

Front klasztoru.

Po kawie poszliśmy zwiedzać bliższe okolice klasztoru, więc

najpierwej ów kiosk Abdallah'a, stojący, jak wiemy, na samym końcu ostatniego górskiego rozgałęzienia, stanowiącego zarazem przylądek. Jest on teraz własnością klasztoru i służy dla gości z krajowego pospólstwa; wygląda wskutek tego bardzo nieszczególnie; w jednej tylko sali zauważyłem resztki malowanych ozdób na suficie i na ścianach. Do kiosku przypiera latarnia morska. Przez furtkę w murze wyszliśmy na północną pochyłość góry i zaczęliśmy zstępować po dość stromej ścieżce. Dawniej była to podobno jedyna droga do klasztoru, którą oczywiście tylko konno albo pieszo można było przebyć; nic dziwnego, że mogły się na niej zdarzać takie wypadki, jak te, które ks. Pelczar opisuje. Mniej więcej w połowie góry opatrywaliśmy ruiny jakiegoś dawnego klasztoru; opowiadano mi, że w grotach tych mieszkał bł. Szymon Stock, że tu miał widzenie N. Panny o szkaplerzu, ponieważ jednak nie mam, jak wspomniałem źródeł pod ręką, więc się nad tym przedmiotem rozwodzić nie będę. Czyjekolwiek to były mieszkania, zawstydzają nas swoją ciasnotą, ubóstwem i tą miarą umartwienia, jaka konieczną była dla ich mieszkańców. Nieco niżej, u stóp spadzistej skalnej ściany, tuż nad samą drożyną, zobaczyłem grotę tak dobrze zachowaną, jak gdyby jej właściciel wczoraj dopiero z niej wyszedł. Miała ona kilka kroków długości i szerokości, wewnątrz wykończona ręką ludzką, w głębi po prawej stronie wykute kamienne łoże, z lewej przy wchodzie ławka do siadania, była tam także podobno i framuga niewielka na potrzebniejsze sprzęty. Zewnątrz nad wejściem widać wyżłobienie w skale, w które wpuszczony był daszek, by woda z góry nie dostawała się do środka; musiał to być rodzaj drewnianego ganeczku ze drzwiami,

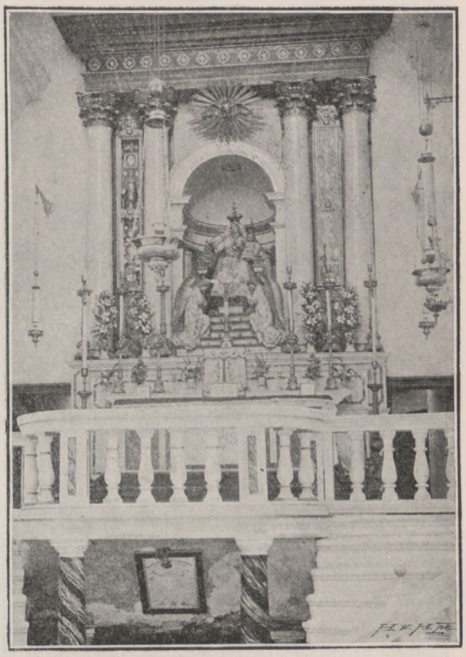

Ołtarz N. Panny Szkaplerznej i wejście do groty Eliasza.

chroniącemi od najścia dzikich zwierząt w nocy. Na ten widok, przed oczyma ducha mego stanął jak żywy dawny tego miejsca mieszkaniec. Zdawało mi się że widzę podeszłą postać o siwej długiej brodzie, poważną, milczącą, z gołębią prostotą w sercu; uprzytomniłem sobie jej życie, zajęcia, myśli. Gdy słońce wstawało za górami, a ptaszęta w okolicznym lesie wesołym szczebiotem witały dzień nowy, pustelnik już czuwał i witał go także modlitwą. Widziałem go potem,

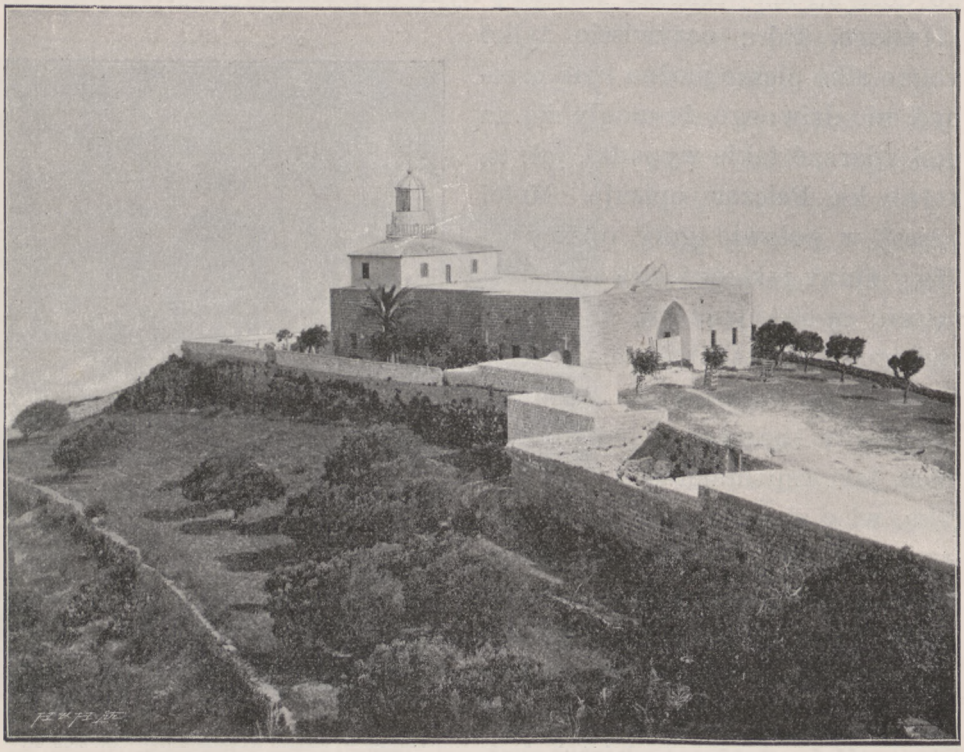

Były kiosk Abdallaha i latarnia morska.

jak szedł ze dzbankiem do dalekiego źródła, jak zbierał drewka po lesie, gotował skromną swą strawę, chodził koło swych nielicznych potrzeb, jak modlitwę przeplatał ręczną pracą, której zyski rozdawał potem ubogim; widziałem go zwłaszcza zatopionego w rozmyślaniu rzeczy niebieskich. Rozmyślanie i to jeszcze o rzeczach przyszłych, o prawdach wiary, jest rzeczą dzisiaj dla wielu wierzących nawet niezrozumiałą; pogrążeni w życiu ruchliwem, kłopotliwem, a nadewszystko powszedniem i pospolitem, ludzie nie umieją rozmyślać, nie

mają najdalszego nawet przeczucia o niezmiernym jego pożytku i o potokach szczęścia, jakie do serca ludzkiego sprowadza. Kiedy Archimedes, rzuciwszy się do wody, odkrył jedno z praw fizycznych, pełen radości, nagi leciał do domu, krzycząc: *eureka!* Uniesienia jego nie zrozumie ten, kogo prawda nic nie obchodzi, albo bardzo mało. Kto nie lubi muzyki i nie doznawał nigdy owego rozkosznego rozszerzania się piersi i całego jestestwa przy dźwiękach instrumentów lub głosu ludzkiego, temu też nigdy tej rozkoszy wytłómaczyć nie można, jak obojętnym nie można wyobrazić miłości, tęsknoty, porywów żalu, poświęcenia i t. p. Tak samo tłum pospolity a płytki nigdy nie pojmie, nie wyobrazi nawet sobie, jakie światło promienne spływa na rozmyślających długie godziny nad prawdami Bożemi, jaka miłość i rozkosz napełnia serca tych szczęśliwych, którzy »najlepszą cząstkę sobie obrali« i mogli lub mogą pozostawać sam na sam z Bogiem. Jak na galeryi okrętu wciąż stoi oficer marynarki i patrzy w dal, by statek jego szedł prosto przed siebie, tak ci ludzie kontemplacyjni, przez całe życie mają wzrok wytężony wprost do celu, do którego wszyscy ludzie stworzeni, dążą i zbliżają się, choć tak niewielu o tem pamięta. Tłum ich nie rozumie, próżniakami nazywa, prześladuje często; cóż to im może szkodzić, kiedy już w tem życiu osiągają nagrodę o wiele przewyższającą wszelkie prześladowania i szyderstwa.

Takim był zapewne mieszkaniec tej groty i jego następcy; gdy po dziennej pracy usiadł dla wypoczynku na ławie kamiennej u wejścia, miał przed oczyma widok, jakby z krainy czarów wyjęty; widział jak u stóp jego fale morskie biegły jedna za drugą i konały na brzegu, niby dni żywota ludzkiego, tonące bez śladu w przeszłości; widział słońce ogniste, ginące w szafirowej topieli, a gdy wkrótce zgasły zapalone przez nie pożary na niebie, gdy noc cicha okryła ziemię swym płaszczem chłodnym i ciemnym, gdy na niebie zapaliły się gwiazdy niezliczone, starzec wracał do groty i długo jeszcze w nocy modlił się i chwalił Boga za siebie i za tych, którzy Go chwalić nie umieli, lub nie chcieli. Tak sobie uprzytomniałem życie w tej pieczarze, opierając się na mnóstwie znanych mi opisów pustelniczego żywota; przeplatały go święta i nabożeństwa w kaplicy lub w kościele, rzadkie odwiedziny i rozmowy z towarzyszami, częst-

sze z pobożnymi, szukającymi rady, oświecenia w wierze, modlitwy. A gdy nadszedł ostatni dzień bojowania, przyszedł kapłan, zebrali się starcy sąsiedni i, klęcząc ze świecami w ręku, modlili się, aż duch towarzysza, niby słońce w szafirowem morzu, pogrążył się w lazurach nieśmiertelności i szczęścia. Wtenczas odprawiono modły, a kości złożono w grobie ocienionym krzyżem; po latach i wiekach spróchniały kości, znikł krzyż i mogiła, pozostał tylko wielki, niezmącony pokój — *pax aeterna.*

Zstępowaliśmy coraz niżej i niezbyt już daleko od stóp góry zawróciliśmy na prawo. Znaleźliśmy się na wielkim dziedzińcu, na którym stały niedokończone budynki, palma i mieszkanie dla stróża tego miejsca. Dawniej był nim santon t. j. niby zakonnik muzułmański, dzisiaj funkcye te spełnia dymisyonowany żołnierz. Przed nami była szkoła Eliasza albo szkoła proroków, zawarta drzwiami, jakiemi u nas chlewy się zamykają. Po uiszczeniu bakczyszu, stróż wpuścił nas do groty czworokątnej, bardzo obszernej i ręką ludzką wykutej a przynajmniej powiększonej. Ma ona do 7 sążni długości, 4 szerokości i około 3 wysokości. Z lewej strony jest wgłębienie, niby celijka; w niej miała czas jakiś odpoczywać św. Rodzina, w powrocie z Egiptu. Wzdłuż ścian idą ławy kamienne, niby nasze przyźby przy chatach, na nich to siadali prorocy i uczniowie proroków w czasie nabożeństw i nauk. Piękne to były czasy dla tego miejsca, gdy zdala od świata i jego hałasów, w jaskini zakrytej drzewami zbierali się mężowie i młodzieńcy, by karmić się modlitwą i nauką wiary prawdziwej. Dzisiaj panuje tu istna »brzydkość spustoszenia«. Od połowy XVII wieku zawładnęli grotą Muzułmanie i utrzymują ją tak, jak to oni umieją. Drzwi najordynarniejsze, wewnątrz powietrze wskutek ciągłego zamknięcia stęchłe, cuchnące; naprzeciw wejścia jest framuga, w której Muzułmanie palą świece na cześć proroka; lichtarzy przy tem nie używają wcale, lecz przyklejają światło wprost do skały. Pozostaje po niem łój, albo wosk brudny i przepalony wraz z czarnym ostatkiem knota; nikt nie myśli o uprzątnięciu tych pozostałości — stróż jest przecie tylko od bakczyszu — więc na starych brudach przyklejają się nowe świeczki i cała warstwa niewypowiedzianych obrzydliwości napełnia tę nieszczęśliwą framugę. Z obrzydzeniem i wstrętem odwróciłem się od niej.

Godziny płynęły mi szybko i przyjemnie; gdyby nie niezdrowie i nie konieczność rychłego powrotu, zabawiłbym z przyjemnością na Karmelu jaki tydzień; tak tam było dobrze, spokojnie, takie wszystko miłe, tacy gościnni gospodarze i taka niezrównana samotność i cisza. Do towarzystwa mieliśmy br. Feliksa, który, zdawało się, myślał tylko o uprzyjemnieniu nam pobytu, arcysympatycznego młodzieńca *Pietro*, który nam usługiwał, przychodził też często i przełożony, który ma tytuł wikaryusza, ponieważ przeorem tego klasztoru liczy się sam generał Karmelitów, mieszkający w Rzymie. Nad wieczorem schodziliśmy z ks. T-skim na dół i kąpaliśmy się w morzu. Była to także swego rodzaju osobliwość dla nas mieszkańców stałego lądu i w dodatku mieszczuchów ta kąpiel na brzegu bezludnej pustyni. Pierwszego dnia miałem prawdziwą pociechę z mego towarzysza, który po raz pierwszy używał takiej kąpieli; spotykały go przytem rozmaite zabawne niespodzianki, przy których było śmiechu, a i krzyku, niemało. Przed zachodem słońca wracaliśmy do klasztoru. Jest to gmach ogromny, zbudowany w podłużny czworobok. Oprócz dołu czy suteren, ma dwa piętra; w suterenach składy i laboratorya, część pierwszego piętra zajmują pokoje gościnne, drugie całe zamieszkują zakonnicy. Miałem rzeczywistą przyjemność przypatrywać się, jak wszystko doskonale zbudowane z ciosanego kamienia, bez tynku na zewnątrz; jeśli jakiś nadzwyczajny kataklizm nie przeszkodzi, to klasztor ten powinien przetrwać chyba tysiąc lat albo i więcej. Wnętrze czworoboku, podzielone przecznicami, jest tak obszerne, że mieści się w niem nietylko kościół ale jeszcze trzy niewielkie kwadratowe dziedzińce. Dachu oczywiście niema, są zato tarasy, otoczone murem najmniej na $1^1/_2$ łokcia wysokim. Można po nich spacerować dowoli, używając przytem wspaniałego widoku. W ogródku, o którym już wspominałem, że ciągnie się naprzeciwko klasztoru, nad samym wąwozem, stoi niewielka piramida nad grobem francuskich żołnierzy, pomordowanych tutaj w 1799 roku. Od wschodu t. j. z odwrotnej strony klasztoru, góra podnosi się nieco tak, że zasłania sobą widok. Część tej pochyłości włączona do zagrody klasztornej i otoczona wałem z kamieni. Jest tam bodaj cmentarz zakonny, a pośrodku stoi kapliczka; z wielkim trudem doszedłem do niej, tak grunt jest zasypany mniejszymi i większymi kamieniami. Wewnątrz klasztor urzą-

dzony porządnie, dość nawet czysto, jak na Włochów, utrzymany, ubóstwo oczywiście wszędzie ścisłe. Korytarze wysokie i szerokie; od strony północnej, wolnej od słońca, korytarz jest dwa razy szerszy i służy do spaceru w czasie słoty lub upału; z okien mają zakonnicy niezrównany widok na Akrę, zatokę i Libańskie góry. Zaglądnąłem do jednej celi — obszerna, wysoka, powietrza dosyć, ale nic w niej nie było oprócz łóżka, przykrytego wełnianą kołdrą, stolika z krucyfiksem i kilku książkami i stołka. Zato w celi ojca wikarego istny sklep norymberski; tak zarzucony przeróżnymi gratami, że nie wiem, gdzie sam gospodarz sypiał. Książki, seksterny, rachunki, blaszanki, piły, dłuta, leżały na oknie i stołach, na sofce, na krzesłach; w dodatku pełno obrazów, farb, pędzli, mocny zapach terpentyny i olejków. O. wikary był malarzem i restauratorem starych obrazów; pokazywał mi próbki swej sztuki. Obrazy nowe mogły wcale nie widzieć świata Bożego, a stare pozostawać w dawnym stanie zaniedbania i zniszczenia, bo restauracya warta była malowania, a oboje nic nie warte, ale że na szczęście i obrazy restaurowane były jakieś mazibogi częstochowskiej szkoły, a poranie się koło nich dostarczało właścicielowi wielkiej estetycznej przyjemności, więc — niech tam sobie. W klasztorze oczywiście jest biblioteka, nawet dość liczna i w przykładnym porządku; książki z półkami zapełniają wszystkie ściany od dołu do góry. Zanotowałem Historyę Byzancyum wydaną w Wenecyi w XVIII wieku, *Imitatio Christi* z 1470 r., jako autor podany Gerson, słownik arabski Menińskiego, czy Mencińskiego, rysunki starożytności Hauranu, wydane przez Lessepsa. Siedzieliśmy właśnie z O. wikaryuszem przy stole, rozpatrując różne ciekawości, gdy przez drzwi otwarte zobaczyliśmy przygarbionego zakonnika staruszka, widocznie ociemniałego, bo idąc macał przed sobą kijem. Przełożony wstał szybko i poszedł się z nim przywitać. *Come sta, fratello, come sta?* A ten mu odpowiadał starym, piskliwym głosem: *sto bene, sto bene, grazie tante.* Na rozstanie przełożony poklepał go po ramieniu, mówiąc: *coraggio, coraggio,* i powrócił do nas. Zapytałem, coby zacz był on staruszek i dowiedziałem się, że to był dawny żuaw papieski, który odbył wszystkie kampanie z Piusa IX, a gdy masońskie Włochy wlazły do Rzymu przez otwór przy Porta Pia, złożył broń i wstąpił do Karmelitów. Mój Boże, jak to starość

i kalectwo zmienia ludzi! Ten zgarbiony, siwy, niedołężny starzec stał tyle razy wyprostowany z bronią u nogi i patrzył odważnie śmierci w oczy, walczył jeden przeciwko dziesięciu pod Castelfidardo, bronił Rzymu do ostatka, choć wiedział, że nie obroni... a teraz! Stanął mi przed oczyma mnich Melrosu, w pieśni ostatniego minstrela, co to patrząc na Delorraine'a:

. . . . . westchnął głęboko,
Bo i on kiedyś był wojownik śmiały,
I w świecie słynął szeroko.
I wspomniał siebie, gdy w zbroi promiennej,
Z krzyżem na piersiach, wesoły,
Na morzu z fali urągał bezdennej,
Lub koniem ścigał sokoły.
Wspomniał — i kijem podpierając kroki
Schylony, drżący, pokorny,
Wiódł gościa, kędy krużganek wysoki
Otaczał ogród klasztorny.

Czy też 84-letni zakonnik wspomina siebie kiedy z owych czasów, gdy walczył za krzyż i za papieża przeciwko kielni masońskiej?... I nie wiem dlaczego przyszła mi na myśl matka tego staruszka. Czy ona przed laty, gdzieś w dalekich Włoszech, pieszcząc i całując swego *bambino*, mogła przeczuwać, jaki los będzie nim miotał, aż go rzuci w końcu na samotną skałę, za morze dalekie, na której dzielny niegdyś żołnierz, będzie krążył po omacku »schylony, drżący, pokorny« aż go śmierć ukoi i z królem kapłanem u stóp Przedwiecznego połączy. Dobrze to jednak, że matki nie znają przyszłości swych dzieci, że nie wiedzą »jaką wodą w świat popłyną, I od jakiej broni zginą«. (W. Pol). Zainteresował mnie staruszek, więc dalej o niego pytałem i dowiedziałem się oprócz innych rzeczy, że co dnia od północy do południa nie wychodzi z oratoryum, lecz modli się bezustannie. Ten szczegół utkwił mi w pamięci i widziałem potem nieraz w wyobraźni starca tego, jak siedząc lub klęcząc we framudze okna, zwraca ku N. Sakramentowi mgłą zakryte oczy, w cichej modlitwie, lub niemem rozmyślaniu. Człowiek światowy, tembardziej niewierzący, rzuciłby na niego okiem i przeszedł obojętnie, w najlepszym razie mruknąwszy: »biedny stary» i nie przy-

szłoby mu nawet do głowy, że w tej ciemności i ciszy grają cudowne struny, dźwięczy harmonia nieziemska, świecą i mienią się wszystkie kolory tęczy i drogich kamieni, bo między starcem ociemniałym i ukrytym w *tabernaculum* Bogiem zadzierżgnięte są nici miłości o tyle wyższej i piękniejszej nad wszystką miłość znaną na świecie, o ile niebo wyższem jest od ziemi. Choćbyśmy nie wiedzieli skądinąd, to czujemy wszyscy, żeśmy do szczęścia stworzeni, a szczęście, to nic innego, tylko miłość. Ludzie to doskonale czują, i doskonale wiedzą, że prawdą jest, co o niej powiedział Salomon, że mocną jest jako śmierć, że wody oceanu jej nie zatopią, że całe góry złota i bogactwa świata całego, są przy niej jako odrobina błota. Szukają też ludzie miłości i biegną za nią, jak owady na płomień, ale cóż to z niej oni zrobili! Jeśli nie zbrukali tego wielkiego imienia w plugastwach chuci nieczystych, jeśli serca swego nie umieścili w płytkich i błahych drobnostkach, to niezmiernie rzadko podnieść je zdołali do słońca i źródła miłości rzeczywistej, niezmiennej, wiekuistej, poprzestając na płomykach przeprowadzonej, uczciwej i dobrej, ale przechodzącej jak cień, opadającej jak listki kilkudniowej róży. Nieraz czytając płomienne wylewy poetów, słuchając opowiadań o różnych wypadkach mniej lub więcej szczęśliwego kochania, uśmiechałem się pobłażliwie, myśląc: I wartoż to było tylu zachodów, rozpaczy, boleści, a choćby i radości? Gdy nie można posiąść Laury, Beatryczy, Maryli — rozpacz i narzekanie; gdy się ten skarb posiędzie — zobojętnienie, w najlepszym razie cicha, powszednia przyjaźń (co bez wątpienia jest rzeczą bardzo piękną) ale ostatecznie gdzież się podziewają owe zapały, ów ogień, owo pożądanie? Czyż człowiek, starzejąc się, tracąc siły i piękność, już tylko patrzeć musi, jak coraz bardziej zawadza na świecie i powinien zrezygnować na wieki z tego pięknego ognia, którego słodyczy zaznał przez chwilkę i musi zapadać do wieczności smutny, zużyty, zapomniany, zdala od piękna i życia, które daje miłość? Na świecie, niestety, najczęściej tak bywa, ale dlatego tylko, że ludzie znać nie chcą źródła miłości, wiecznie młodej, wiecznie bijącej, owszem bijącej nieraz tem silniej, im słabiej krew tętni w żyłach, im bardziej człowiek opuszczony od wszystkich, brzydki, stary, niedołężny. Wtenczas, jeśli tylko zechce, ściślej się on łączy z Bogiem swoim, a Ten go otacza miłosierdziem, od-

mładza miłością, odradza łaską; i mówią do siebie wzajemnie: »jękami niewymownymi« ognistym językiem miłości, a długie godziny na tej rozmowie schodzą jak chwile, jak one trzy minuty, które podług starej legendy mnich średniowieczny spędził w lesie na słuchaniu niebiańskiego ptaszka, a które w rzeczywistości były wiekiem całym.

Rozpisałem się o miłości, ale nic dziwnego; jesteśmy przecie w rozsadniku, z którego wyszły całe legiony wielkich miłośników Bożych, a wśród nich takie kochające serca jak św. Teresa i św. Jan od Krzyża, oboje reformatorowie i zaszczyt Karmelu; to też na zakończenie tej materyi przytoczę tu kilka strof z mistycznej »Pieśni Duszy i Oblubieńca«, napisanej przez św. Jana, gdy w więzieniu zostawał. Muszę tylko czytelnika, nieobeznanego z pismem świętem uprzedzić, że ten wysoce poetyczny utwór jest naśladowaniem Salomonowych Pieśni nad Pieśniami, skąd też są zapożyczone obrazy i retoryczne figury.

(Dusza śpiewa). Gdzieżeś się ukrył mój miły i mnieś w żałościach opuścił? Uciekłeś jak jeleń, głęboką ranę zadawszy, a ja wybiegłam za tobą, wołając, lecz ciebie już dla mnie nie było. Pasterze wszyscy, gdy za chaty do pagórka pójdziecie, jeśli przypadkiem ujrzycie Jego, którego nad wszystko miłuję, powiedzcie mu, że tęsknię, cierpię, umieram. Pójdę szukać mego kochania po pagórkach i po wybrzeżach, nie będę uważała na kwiaty, ani na zwierzęta okrutne, przejdę wpośród mocnych i poza granice. O lasy i gęstwiny, które ręka miłego sadziła, o łąko zawsze zielona i zawsze kwiecista, powiedźcież czy On tędy nie przechodził?

(Stworzenia odpowiadają). Sypiąc darów tysiące, On szybko przeszedł przez lasy, a spojrzeniem swojem i wdziękiem oblicza, wszystko wdzięcznem uczynił.

(Dusza śpiewa dalej). Niestety, któż mnie wyleczy! Ach daruj mi siebie istotnie i nie posyłaj zwiastunów, którzy tego, czego pragnę, nie zdołają wymówić. Czemuś serce to zranił, a nie leczysz? Serceś mi porwał, a przecieś zostawił; czemu zdobyczy swojej nie weźmiesz? Uśmierz moje boleści, których prócz Ciebie nikt uśmierzyć nie może. Na ciebie niech patrzą me oczy, boś ty ich światło jedyne i tylko dla ciebie chcę je zachować.....

(Oblubieniec odpowiada). Wracaj gołębico moja, już zjawił się na pagórku jeleń raniony (t. j. oblubieniec raniony miłością) i przyciąga chłodny powiew lotu twojego.

(Dusza śpiewa). Mój miły jest jako góry, jak doliny samotne i cieniste, jako wyspy mórz dalekich, jako hucznie płynące wód strumienie, jak dech lubych powiewów, jak noc pogodna, gdy się zbliża świt jutrzenki, jak śpiew przyciszony, jak ustronia brzemienia pełne, jak wieczerza, która posila i miłość przyzywa... Jemu jednemu służę całkowicie, o trzodzie zapomniałam i nie innego czynić nie będę, bo jego miłować jest wszystką moją czynnością. Kiedy mnie nie będą widzieć i nie znajdą na łąkach, powiedźcie, żem się zgubiła, bo wrzącej pełna miłości, zgubić się chciałam lecz odzyskaną zostałam... Ucichnij wietrze północny, śmiercionośny, zaszum wietrze południowy, co miłość przyzywasz, powiewaj po moim ogrodzie i roznoś zapachy kwiatów, dla rozkoszy mego miłego...

(Oblubieniec mówi). Pod jabłonią zaślubiłem cię, tamem ci rękę oddał i tam chlubę odzyskałaś, kędy ją matka twoja straciła. Ptastwo lekkolotne, lwy, jelenie, daniele, góry, doliny, wybrzeża, strumienie, wody, wiatry, upały i wy strachy strzegące nocy, zaklinam was przez lubość lutni i śpiewy syren, niech się gniewy wasze uśmierzą i nie tykajcie się murów, ażeby bezpieczniej spała oblubienica moja..... Biała gołębica wróciła z gałązką do arki i czysta synogarlica na zielonych wybrzeżach złączyła się z pożądanym towarzyszem. W samotności żyła, w samotności zbudowała swe gniazdo i do samotności prowadzi ją samotny jej oblubieniec, miłością zraniony.....[1]).

Przyjętą jest rzeczą wśród świata domyślać się pod zakonnymi habitami różnych desperacyi, strasznych zawodów, ciężkich zgryzot sumienia i t. p. okropności; coś podobnego rzeczywiście znalazłem na Karmelu, odkryłem tam boleść ogromną, dowiedziałem się o prawdziwej tragedyi, ale bohaterem jej nie był zakonnik, a powód jej zupełnie inny, niżby kto myślał. Do posługi pielgrzymom przeznaczony był młody chłopak, (ów Pietro, o którym wspominałem) lat

[1]) Wyjęte z 3 tomu Podróży na Wschód M. Manna.

może 20, nadzwyczaj sympatyczny, średniego wzrostu, brunet; odrazu mi przypadł do serca, taką miał poczciwą, sympatyczną twarz, taki był ochoczy, grzeczny i prawdziwie pokorny. Zdawało mi się jednak ciągle, że on nie był służącym dawniej i nie powinien nim być teraz. Jego układ, sposób obchodzenia się mówiły o tem lepiej, niż piękne i delikatne ręce, widocznie do grubej pracy nie przyzwyczajone. Po włosku mówił jak Włoch rodowity, po francusku jak Francuz; słyszałem razy kilka, że ktoś grał na fisharmonii; dowiedziałem się, że to on; przechodząc koło jego pokoiku, widziałem nieraz, że siedzi zagłębiony w grubej książce, więc zapytałem kiedyś: a co to Mr. Pierre tak studyuje? — Historyę wojen krzyżowych, przez Michaud — odpowiedział mi. Wszystko to stwierdzało moje domysły. Ponieważ go lubiłem, więc gwarzyłem z nim chętnie i tak się jakoś stało, że mi swą historyę opowiedział. Jego ojciec, Maltańczyk, był ożeniony z Francuzką i mieszkali w Konstantynopolu, gdzie mąż dawał lekcye muzyki, a żona języków; dzieci mieli dwoje, syna i córkę. Mieszkali na Perze, podobno nawet przy głównej ulicy, ale aż na 6 czy 7 piętrze. Byli ubodzy, lecz na życie im wystarczało; kochali się wszyscy bardzo i byli z losu zadowoleni. Razu jednego ojciec wyszedł na lekcye, syn do jakiegoś zajęcia; gdy wrócił, zastał matkę i siostrę leżące na podłodze, w strugach krwi z przerzniętem gardłem, a całe mieszkanie ograbione. Stało się to w biały dzień, w ogromnym i pełnym ludzi domu. Biednego chłopca ledwo ocucono. Co się stało z ojcem, już nie pamiętam, ale Piotr nie mógł znieść Konstantynopola i uciekł z niego. Zajmował potem jakiś czas miejsce przy kolei żelaznej »lecz — ciągnął dalej — nie mogłem pogodzić ustawicznego szumu, huku, gwaru i widoku ludzi, z boleścią, jaką nosiłem w sercu; uciekłem więc znowu i zamieszkałem na Karmelu, wypłacając się służbą za kąt i chleba kawałek«. Dwa lata już przeszło od tego wypadku, a biedny młodzieniec, gdy mi o nim opowiadał, drżał cały, zaczął nerwowo wymachiwać rękoma, wargi mu się trzęsły; więc żeby nie wybuchnął, zwróciłem rozmowę na inny przedmiot. No i jakże, zapytałem, nie nudno panu w klasztorze? — O nie, odpowiedział, mam trochę zajęcia, uczę się, gram, modlę się; mam tu ciszę spokój, ojcowie traktują mnie jak syna. — Długoż tu pan zabawi? — Nie wiem, muszę się pierwej uspokoić i trochę zapomnieć. — I jak

tu było nie polubić tego chłopca, który umiał tak poczciwie kochać i tak po chrześcijańsku cierpieć?

Muszę także wspomnieć o zwyczaju tutejszym wpisywania swych nazwisk i sentencyi do książki. Przepatrywałem ją z zajęciem; istna to wieża Babel; tylu tam gości we wszelkich znanych językach zostawiło pamiątkę po sobie — niestety, niezawsze dobrze o podpisanym świadczącą. Niezmierna większość wyrażała jak umiała cześć dla świętego miejsca i wdzięczność dla gospodarzy, niektórzy pisali rzeczy obojętne; było jednak kilku pielgrzymów, którzy zapisali — niegrzeczność lub obelgi dla gospodarzy. Pamiętam, że jakiś Francuz zostawił po sobie maleńką rozprawę na temat, że cześć oddawana w tem miejscu Eliaszowi, jest takiem samem bałwochwalstwem, jak cześć Baala na innych wzgórzach; że ze czci proroka wyrosła wiara w Jehowę, a z tej chrześcijanizm. Oddawna już przestałem dziwić się nieuctwu bezwyznaniowców w rzeczach religii, ale podziwiałem brutalność, nawet między nimi dość rzadką. Czasami zdarzyły się humorystyczne ustępy. Tak np. jakiś mieszkaniec Kaify napisał po francusku bardzo niemądrą sentencyę, w rodzaju następującej: »Przebacz o N. Panno, że ja mieszkaniec Twego świętego grodu, leżącego u stóp Twej góry, śmiem zapisać się w księdze, między świętymi Twymi«. Nie było w tem sensu, ni prawdy, bo Kaify nikt i nigdzie świętem miastem nie nazywał (bo i za co?), a do księgi wpisywali się nie święci, ale kto w Boga wierzył, a nawet i kto nie wierzył, więc grzechu pychy ów skromny człowiek nie popełnił i przebaczenia nie potrzebował. Nie przeszkadzało to wszystkim mieszkańcom Kaify, którzy w ciągu dwóch lat po nim do księgi się wpisali, powtórzyć tej modlitwy, czy apostrofy, co do słowa. Wniosłem stąd, że jeśli pokora kwitnie w Kaife, to pomysłowość nie tak znowu bardzo.

Oprócz klasztoru i bliższych pamiątek są jeszcze na Karmelu dwa godne zwiedzania miejsca, mianowicie owa góra, na której ofiarował Eliasz i prorocy Baala i dolina męczenników z ruiną klasztoru Brokarela i niedalekiem polem skamieniałych owoców, zwanem ogrodem Eliasza. Nie miałem już siły do tych dalszych wycieczek, więc i powiedzieć nic o wymienionych miejscowościach nie mogę.

W wigilię wyjazdu wyszedłem na taras klasztoru i z jego wy-

sokości podziwiałem po raz ostatni jeden z najpiękniejszych i najobszerniejszych widoków, jakie w życiu oglądałem. Na północ ciągnął się łańcuch Libanu bezleśny i płowy, a z poza niego wyglądał i tonął w błękitach wielki Hermon, najwyższy szczyt Antylibanu, słusznie przez Arabów nazwany Dszebel-es-Szech, t. j. królem gór tutejszych. Olbrzymia jego masa widną była dokładnie, chociaż ją kilkadziesiąt wiorst w prostej linii ode mnie dzieliło; śnieżny wierzchołek otaczała mgła w kłębach tajemniczych i nierozwikłanych, niby myśli potężne, wzniosłe, a dla tłumu niezrozumiałe, rojące się w głowie geniusza. U stóp Libanu, na drugim końcu zatoki, leżała jak na dłoni Akra, albo Ptolomaida; wydawała się malutką mieściną, ale ile to sławnych walk, heroicznych wysiłków widziały jej mury; jakimi tłumami rycerstwa ze wszej Europy roiły się okoliczne równiny za czasów wojen krzyżowych, jakie homeryczne zapasy staczali z sobą, tak stosunkowo niedawno, okrutny Dżezar i młody Bonaparte! Dalej zaś wszędzie, jak okiem sięgnąć bezgraniczne lazurowe morze, spokojne i zlekka tylko pomarszczone, jakby na to, by słońce miało się więcej w czem odbijać. Cisza dokoła głęboka, gdzieś daleko na krańcu horyzontu przemknął parowiec, zostawił na chwilę czarną smugę dymu za sobą i zginął w błękitach; bliżej przesunęła się samotna łódka o jednym żaglu, mała, jakby zabawka dziecinna. Słońce jasne, pałające, sunęło po błękicie bez chmury i zbliżało się coraz bardziej do morza, w którem za chwilę utonąć miało. W ślad za niem pobiegła myśl moja na zachód i północ, tak daleko, że zdało mi się w tej chwili, że chyba nigdy tej przestrzeni nie przebędę. Jak tam u nas inaczej teraz zupełnie! Pewno niebo pochmurne, ołowiane, wiatr dmie co siły, zjawiają się przymrozki takie zdrowe, przyjemne; a jeśli pogoda służy, to w polu zieleni się ozimina, spadają z drzew po cichu ostatnie pożółkłe liście, z chat słomą krytych dym wznosi się ku niebu, ludzie wyciągają kożuchy, gwarzą przy ogniskach — jak tam zdrowo, jak dobrze, jak pięknie! I przypomniał mi się wiersz Lenartowicza, który ja do swojej rzeki i okolicy stosowałem:

Po szerokiem polu modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią na dolinie,
Nad wodą zgarbiony stary dąb żylasty,
Kędy bielą płótna wesołe niewiasty;

Po łące stąpają bociany powolne,
W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze polne,
A z borów cienistych leśnej okolicy
Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy,
Po niebie obłoki, jak bieluchne runo,
Słoneczkiem przeciekłe pod błękitem suną.
. . . . . .
I czystsza tam woda i powietrze zdrowsze
I sosny roślejsze i dziewki kraśniejsze,
I ludzie mocniejsi i niebo jaśniejsze.

Za temi dymiącemi chatami, za swoimi ludźmi, za niebem pochmurnem, za sosnowymi lasami, za zieloną runią, za chłodną jesienią, gnębiła mnie i pożerała tęsknota.

ROZDZIAŁ IV.

Z Karmelu do Jaffy przez równinę Sarońską.

Dni odpoczynku rychło przeszły i trzeba było ruszać dalej, by trafić na okręt rosyjski, mający mnie zawieźć do Odessy. Wyliczałem sobie, że jeśli 3 listopada wyjadę z Karmelu, to nazajutrz wieczorem będę w Jaffie, odpocznę tam dzień jeden, a 6-go wsiądę na statek. Bałem się wprawdzie niemało burz morskich, zwłaszcza na niespokojnym »Poncie euxyńskim«, ale chęć i potrzeba rychłego powrotu i tę nawet obawę przemagała. Prosiłem tylko, by na moją intencyę 6-go listopada odprawiono Mszę św. przed Matką Boską Szkaplerzną, a tymczasem odmawiając po ostatniej tutaj Mszy mojej obyczajem pielgrzymów *Te Deum laudamus*, jednocześnie sam polecałem bardzo usilnie Gwiaździe morskiej moją przyszłą po wodach peregrynacyę. Stojąc u kresu pielgrzymki, mogłem powtarzać śliczną, poetyczną modlitwę do N. Panny, którą Dante swoją podróż po piekle, czyśćcu i niebie zakończył.

Vergine madre, figlia del Tuo Figlio,
Umile ed alta piu che creatura,
Termine fisso d'eterno consiglio;
Tu se' colei che l'umana natura
Nobilitasti u, che il suo Fattore
Non disdegno di farsi sua fattura.
Nel ventre Tuo si raccese l'amore,
Per lo cui caldo nell' eterna pace
Cosi è germinato questo fiore

Qui se'a noi meridiana face
Di caritade, e giuso, intra imortali,
Se' di speranza fontana vivace.
Donna, se' tanto grande, e tanto vali
Che qual vuol grazia, ed a te non ricorre
Sua disianza vuol volar senz'ali [1].

Ja oddawna wiedziałem o tem, że kto pragnie łaski a przez Maryę o nią się nie stara, to jakby chciał latać bez skrzydeł, prosiłem więc i otrzymałem więcej niż się spodziewać śmiałem.

Wyjechałem z Karmelu 3-go listopada o 2-ej po południu z tem, żeby przenocować w Zemmerinie. Do niedawna jeszcze z Judei do Galilei były dwie tylko drogi. Kto zaczynał pielgrzymkę od północy, wysiadał na ląd w Kaifie, zwiedzał Karmel, potem Nazaret, a stamtąd środkiem kraju przez dolinę Ezdrelońską, Dżennin i Napluzę (Sichem) stawał w Jerozolimie, w Jaffie siadał na okręt i wracał do domu, albotеż podróżował w odwrotnym kierunku, jeśli pielgrzymkę zaczynał od Jaffy. To była jedna droga; druga zaś wiodła morzem z Jaffy do Kaify, dla tych, którzy chcieli ominąć uciążliwą, czterodobową podróż na koniu. Tak właśnie i ja dostałem się do Galilei. Od lat kilkunastu może mniej nawet, przybyła trzecia — przez równinę Sarońską. Najpierwej zaczęli tędy chodzić pielgrzymi piesi lub konni; wreszcie

[1]) Dziewico Matko, córko Syna Twego,
Korna i wyższa nad stworzenia wszelkie,
Przedwiecznej myśli niewzruszony celu,
Tyś to jest, któraś tak uszlachetniła
Naturę ludzką, że najwyższy Twórca
Sam nie pogardził zostać jej utworem.
W żywocie Twoim znowu się zatliła
Miłość pod której żarem się rozwinął
Kwiat ten tak cudny w tym pokoju wiecznym.
Ty miłosierdzia południowem słońcem
Jesteś tu dla nas, a dla śmiertelników
Jesteś tam żywą nadziei krynicą.
Niewiasto! jesteś tak wielka, tak można,
Że ten kto łaski pragnie, a do Ciebie
Się nie ucieka, ten zaiste pragnie,
By żądza jego bez skrzydeł latała.
(Tł. Stanisławskiego).

Niemcy z Kaify urządzili komunikacyę kołową, dość drogą jednak dotąd. Jeśli się zbierze towarzystwo liczniejsze, a mniej wybredne, może nająć szaraban, o którym wspominałem; cena jego mniejsza, a przytem może być rozdzieloną na większą liczbę płacących. My z ks. T-skim zamówiliśmy powóz zaprzężony trzema końmi, co nas kosztowało 120 franków, t. j. 45 rubli. Ponieważ kraj jest pusty, a mieszkańcy niepewni, więc bojaźliwsi, jeśli jadą w małej liczbie, najmują straż turecką z jednego lub dwóch żołnierzy. Chociaż ta droga jest używaną od lat może 10 i chociaż kraj, przez który przechodzi, znany był i dawniej uczonym i badaczom, zdaje mi się, że z polskich pielgrzymów ja bodaj pierwszy o nim wspominam, trzeba więc oczywiście wspomnieć obszerniej nieco.

Część ta kraju judzkiego jest prawie zupełną równiną (bo nieliczne i niewysokie pagórki lub skały postaci jej ogólnej nie zmieniają) ujętą od wschodu w ramy gór, od zachodu zaś ograniczoną przez morze Śródziemne. Zaczyna się ona u przylądka Karmelu na północy i ciągnie się ku południowi aż za Jaffę, ku granicom filistyńskim. Ziemia ta należała do połowy pokolenia Manasesa, a w części południowej do Efraima. Za czasów żydowskich prawie nie miała historyi. Wspominają o niej parę razy prorocy z powodu jej żyzności; za Dawida i Salomona pasły się na jej wybornych pastwiskach liczne stada królewskie, o żadnych jednak wypadkach historycznych księgi święte nie wzmiankują, oprócz chyba tego, że Jozue zwyciężył i podbił króla Saronu. Przyczyną tego było położenie kraju i natura ludu żydowskiego. Wiadomo, że nie był on do żeglugi skłonnym, więc też morze stanowiło dla żydów przeszkodę do zawiązania stosunków z ludami zamorskimi. Swoją drogą wybrzeża były niegościnne, pozbawione wygodnych portów. To też żydzi obojętnie patrzyli, że w niewielu miastach nadmorskich, jakie tu istniały, siedzieli Fenicyanie bardzo długo. Przyjaciele i nieprzyjaciele ludu izraelskiego mieszkali od strony lądu; dlatego też wszystkie stosunki były nawiązane ze wschodem, południem i północą, a w górach tkwił rdzeń Izraela, tam było serce jego. Jeśli jaka nawałnica nawiedziła pola sarońskie, przechodziła jak wiatr po kłosach zboża i opierała się o góry, gdzie znajdowała opór, zwyciężała lub bywała zwyciężoną. Dzieje tego kraju, dzieje smutne i krwawe, zaczynają się na lat kilkanaście przed

narodzeniem Chrystusa, najsilniejszy zaś rozkwit życia historycznego wypadł na czas wojen krzyżowych i królestwa łacińskiego. W końcu XIII wieku chrześcijanie pobici i wyrzuceni zewsząd, ustąpili, a kraj zamienił się w pustynię trwającą aż do dni naszych. Dzisiaj na całej przestrzeni od Kaify do Jaffy niema nietylko żadnego miasta, lecz ani nawet miasteczka; jadąc półtora dnia, przejeżdżałem przez jedną wieś arabską, dwie osady żydowskie i dwie niemieckie; w książkach i przewodnikach znalazłem wzmianki o różnych wsiach i osadach, naliczyć ich jednak można kilkanaście zaledwo. Stoki gór dostarczają wielkiej ilości wody, liczne też tu są strumyki i rzeki, ale że dawne wodociągi i regulacye wodne popsuły się i niewszystkie strumienie mogą swą zawartość swobodnie oddawać morzu, więc rozlewają się w niezdrowe bagniska i moczary. Na wiosnę zwłaszcza pełno tu bagien kilkumilowych, pokrytych trzciną, szuwarami, zaroślami, w których roją się nieprzeliczone płazy, kryją się drapieżne zwierzęta mnoży się ptastwo błotne i oczywiście niezliczone miliardy owadów. Nad brzegami morza sterczą smutnie resztki miast niegdyś kwitnących, czasami na wzgórku widać rozpadającą się ruinę rycerskiego zamku, gdzieniegdzie w skale muzułmanin czci grób swego świętego, kiedy niekiedy spotka się wieś z meczetem i minaretem, samotną w polu albo czarne namioty beduinów; zresztą — pustynia. Ponieważ jednak więcej tu wilgoci, więc też więcej paszy dla bydła; spotykaliśmy też razy kilka niewielkie stada bardzo małych krów i wołów. Zdarza się też widzieć częściej niż gdzieindziej drzewa, a nawet jest jeden las mający 14 kilometrów obwodu. Do takiego to kraju mam zaprowadzić czytelnika mego i rozpowiadać mu o dawnych ruinach i obecnej pustce.

Zaledwośmy zjechali z Karmelu, nasz woźnica prosił o pozwolenie zabrania młodego Niemca, który ze srogą rusznicą i małym mantelzakiem czekał na przydrożnym kamieniu. Zgodziliśmy się bardzo chętnie. Süss na tem skorzystał, bo dostał od młodzieńca parę złotych, skorzystał młodzieniec, że tylko tyle zapłacił i myśmy także skorzystali, bo nic nie zapłaciliśmy, a mieliśmy straż uzbrojoną przez całą drogę. Jechaliśmy nad brzegiem morza, z którego powstawały niewielkie skały, aż rosnąc ciągle, zamieniły się w wał kamienny, pokryty miejscami krzakami; zakrył on nam wkrótce zupełnie widok

na morze. Mieliśmy więc z prawej strony ów wał skalisty, z lewej zaś coraz bardziej oddalające się ku wschodowi bezleśne prawie stoki Karmelu. U stóp ich widać wioskę El-Tireh, otoczoną sadami. Ujechawszy wiorst kilka, stanęliśmy przed tak wązkiem przejściem, wyciętem w skale, że trzeba było wyprządz trzeciego konia, a i tak z wielką ostrożnością musiał powozem kierować p. Süss, nim stanęliśmy po drugiej stronie onego wału. Było to znane w czasach krzyżowców przejście, zwane *petra incisa* (skała przecięta). Korzystając z wązkości, czaili się tu nieraz na pielgrzymów złodzieje i rozbójnicy; nawet król Baldwin został w tem miejscu ciężko raniony, gdy od oblężenia Ptolomaidy wracał do Jerozolimy. Skoro wydostaliśmy się na drugą stronę, znowu zobaczyliśmy morze, a nad niem ruiny baszt, murów i różnych budynków. Były to resztki fortecy *Atlit*, w średnich wiekach zwanej *Castellum peregrinorum*. Miejscowość nadawała się wybornie na średniowieczny gród obronny. Ląd w tem miejscu wchodzi w morze na $^1/_2$ kilometra skalistym przylądkiem, mającym z północy i południa niewielkie i niegłębokie zatoki, z których jednak można było zrobić wygodne porty dla ówczesnych niewielkich okrętów. Templaryusze zajęli to miejsce już po upadku jerozolimskiego państwa, bo w 1218 roku i przy pomocy Gautier'a des Avesnes zbudowali fortecę niezdobytą. Uzbroili brzegi półwyspu, pośrodku którego wznosił się zamek obronny; od strony lądu wykopali szeroki i głęboki kanał łączący obie zatoki, a nad nim wznieśli mur wysoki, przerywany groźnemi basztami. Przy budowie natrafili na stare fundamenty i znaleźli mnóstwo monet, lecz napisów ich wyczytać nie mogli. Były to prawdopodobnie ślady miasta fenickiego, zburzonego tak dawno, że pamięć o niem zaginęła. Owoczesna sztuka wojskowa nie mogła sobie dać rady z nową fortecą. W rok po skończeniu oblegał ją sułtan Melek-Moadham, lecz nic sprawić nie mógł; w 1229 kusił się napróżno o jej zdobycie cesarz Fryderyk II; templaryusze bronili się zawzięcie. Po upadku Akry w 1291 r. *Castellum peregrinorum* trzymało się jeszcze kilka tygodni, lecz wkońcu zdobył je i zburzył Melek-el-Aszraf. Od tego czasu Atlit jest ruiną, w której przytuliło się 50 muzułmańskich mieszkańców, jest kopalnią gotowych kamieni dla wszystkich budynków w okolicy i jedyne statki, jakie zawijają jeszcze do jego opuszczonego portu, zatrzymują się w nim tylko dla zabrania

kamieni. Dziś z muru obwodowego pozostały jeszcze sterczące gdzieniegdzie resztki i jedna baszta; fosa prawie zupełnie zasypana. Wewnątrz trochę więcej pozostałości; jest długi na 90 metrów budynek, zamieniony przez dzisiejszych mieszkańców na oborę i magazyn, jest połać muru z resztkami sklepień i trzema głowami ludzkiemi z kamienia, na których się one opierały, fundamenty kościoła, sala dość dobrze zachowana i t. p. W porcie są ślady grobli, w wielu jednak miejscach skała służąca za podstawę jest już całkiem naga.

Opuściwszy Atlit, kierujemy się ku południowi po prostej i monotonnej równinie, mijamy kilka studni, w oddaleniu trzy czy cztery wioski na niewielkich wzgórzach i po dziesięciu wiorstach takiej drogi znajdujemy się przed Tanturą. W starożytności było tu miasto Dor albo Dora, stolica królestwa chananejskiego, które podbił Jozue. Zapewne z całem królestwem izraelskiem przeszło potem Dor pod władzę Assyryi i Babilonii, a następnie Persów; w VI wieku przed Chrystusem w imieniu króla perskiego rządzi nią Abazar. Gdy na ruinach państwa Cyrusa wyrosło syryjskie królestwo Seleucydów, Antyoch Wielki dał Dor w posagu swej córce Kleopatrze, żonie króla egipskiego Ptolomeusza. Za Machabeuszów Dor uznaje zwierzchnictwo żydów, ale jest im stale wrogiem z powodu ciężkich podatków. W 64 r. przed Chr. Pompejusz z całą Judeą poddał miasto Rzymowi; w tym czasie ktoś je musiał choć częściowo zburzyć, bo prokonsul Gabinus w 8 lat później odbudował Dorę. Za czasów św. Hieronima Dora była już pustą i św. Paula podziwiała tylko jej wspaniałe ruiny; musiały jednak pozostać jakieś resztki dawnej wielkości, bo w V i VI wieku spotykają się jeszcze wzmianki o biskupach tutejszych. Krzyżowcy wznowili biskupstwo, które upadło wraz z nimi. Dawne mury obwodowe są dziś zupełnie zniesione, chociaż ślady fundamentów w wielu miejscach widoczne, wewnątrz za to nic już dojść nie można; znaczna część starego miasta zamieniona na pole uprawne, gdzieindziej pełno jam i dołów po fundamentach powyjmowanych; czasami tylko można spotkać jakiś głaz obrobiony lub złamaną kolumnę. Najwięcej pamiątek zostało przy porcie — ślady grobli na morzu, resztki ścian fortecznych; wieża mocno u dołu nadszarpana, wybrzeże wyłożone dużemi kamiennemi taflami, fundamenty magazynów i obalone kolumny. Na wschód można oglądać kamieniołomy, skąd

brano materyały do budowy miasta; tam także był cmentarz, ale wszystkie groby są dziś spustoszone.

Obok starego miasta wyrosła nowa wieś, zwana Tantura, zamieszkana przez 1500 muzułmanów. W ostatnich czasach Rothschild założył tam fabrykę szkła, widną zdaleka.

O godzinę drogi na południe od Tantury spotykamy rzekę Nahr-es-Zerha, o której później jeszcze będzie mowa; przy ujściu jej do morza na piaszczystem wzgórzu miało stać fenickie miasto Crocodilopolis, które jednak już w I wieku naszej ery było zrujnowane, dziś śladów nawet jego niema. Ujechawszy jeszcze wiorst kilka ku południowi, spotykamy ruiny największego w tych stronach i głośnego w historyi miasta Cezarei. Niegdyś była w tem miejscu osada fenicka, Józef Flawiusz wspomina o stojącej tu wieży Stratona; zapewne była to fortyfikacya przeznaczona do obrony brzegów. Król Herod w 25 r. przed Chr. chcąc na swych wybrzeżach dać statkom choć jedno miejsce ucieczki, postanowił zbudować tu port i miasto. Jakoż nie szczędząc kosztów, wziął się do dzieła z właściwem sobie zamiłowaniem. Urządził port, jak na owe czasy doskonały i wspaniały. Chroniły go od morza dwie ogromne groble, na których były chodniki dla przechodniów; ponieważ morze było głębokie, więc rzucano w nie kamienie, mające czasami po 50 stóp długości; na jednej z tych grobli były mury z basztami; do portu przytykał zamek i więzienie. Miasto zajmowało przestrzeń około 6 wiorst w obwodzie, otoczone murami, zapełnione wspaniałymi gmachami, wśród których odznaczała się świątynia poświęcona żyjącemu jeszcze Augustowi, teatr, amfiteatr, cyrk i pyszny pałac królewski. Ku czci Cezara Augusta, miasto wyrosłe w ciągu lat 12, nazwanem zostało Cezareą. W niem to mieszkał ów setnik Korneliusz, którego cudowne powołanie do wiary chrześcijańskiej opowiadają Dzieje apostolskie (roz. X). Wraz z nim ochrzciła się pewna liczba pogan, którzy stanowili pierwociny wezwanych poza »domem jakóbowym«. Utrzymują, że Korneliusz był później biskupem Cezarei po Zacheuszu, który pierwszy piastował tę godność.

Cezarea stała się ulubionem miejscem pobytu wielkorządców rzymskich, którzy tutaj w mieście przeważnie pogańskiem swobodniej oddychali niż w Jerozolimie, gdzie w powietrzu czuli nienawiść ku

sobie. Lubił tu także odpoczywać Herod Agryppa i tutaj też umarł, właśnie w chwili, gdy dworzanie nazywali go bogiem, a on temu w sercu swem uwierzył. W 58 r. św. Paweł wracając z Małej Azyi zatrzymał się w Cezarei, w domu Filipa Dyakona; tu Agab proroczym duchem natchniony, przepowiedział apostołowi, że w Jerozolimie będzie pojmany i związany, nie wstrzymało to jednak Pawła. Gdy się przepowiednia sprawdziła, trybun rzymski wyrwał go z rąk rozjuszonych rodaków i pod silną strażą znowu przystał do Cezarei, gdzie przebył dwa lata w więzieniu. W tym czasie bronił się przed prokonsulami Feliksem a potem przed Testusem i w skutek apelacyi do Cezara, został odesłany do Rzymu (Dz. Ap. roz. 24, 26).

Przeważną część mieszkańców Cezarei stanowili poganie, którzy żydów znieść nie mogli; otóż razu jednego w r. 65 grek pewien na urągowisko żydom przededrzwiami ich synagogi zabił na ofiarę jakiemuś bożkowi parę ptaków. Powstało zamieszanie, a potem bunt, zamordowano pewną ilość żydów, wtenczas starsi z nich zabrawszy księgi święte, uciekli ze skargą do Jerozolimy, gdzie znowu przyszło do zamieszek, a tymczasem poganie w Cezarei rzucili się na pozostałych izraelitów i wyrznęli ich 20.000. Oczywiście taka straszna rzeź nie mogła ujść płazem, nienawiść i odwety rosły coraz bardziej, aż przyszło do wojny z Rzymem, która skończyła się pogromem żydów, zburzeniem Jerozolimy i spaleniem świątyni. Takim sposobem ów złośliwy żart greka przed synagogą stał się kamyczkiem lub garścią śniegu rzuconą z góry, która staczając się coraz niżej, zamienia się w straszną lawinę niszczącą lasy, wsie i miasteczka. Nikomu z pewnością wówczas do głowy nie przyszło, że poganin znieważający synagogę (który z pewnością życiem obelgę przypłacił), będzie taką garścią śniegu, narzędziem przeznaczonem do spełnienia przepowiedni Chrystusowej i wymierzenia kary na zatwardziały, bogobójczy naród.

W Cezarei armia syryjska ogłosiła Wespazyana cesarzem 69 r. Tutaj też po zdobyciu Jerozolimy Tytus, *deliciae generis humani*, obchodził dzień urodzin brata swego Domicyana. Niestety, główny koszt zabaw łożyli jeńcy żydowscy. W amfiteatrze jedni z nich musieli walczyć z dzikiemi zwierzętami, drudzy bić się z sobą na wzór gladyatorów i mordować wzajemnie dla uciechy pogan, inni zresztą byli

spaleni żywcem. W taki sposób zginęło ich 2500 — to się nazywało świetną uroczystością.

Od pierwszych zaraz początków chrześcijaństwa Cezarea była stolicą biskupstwa; w 195 r. odbył się tu sobór, zalecający obchodzenie Wielkiej nocy w niedzielę. Miała też Cezarea swoich męczenników chrześcijańskich. Na początku IV wieku (316—340) był tu biskupem sławny Euzebiusz, najuczeńszy ze współczesnych, przyjaciel Konstantyna W. i »ojciec historyi kościelnej«. Zarzucają mu tylko dworactwo i zbyt wielką słabość dla aryanizmu. Stąd także pochodził Prokop, historyk Justyniana. Za czasów tego cesarza żydzi i Samarytanie urządzili w tem mieście rzeź chrześcijan, ograbili i spalili kościoły, a nawet zamordowali gubernatora. Wódz cesarski Amantius przyszedł z wojskiem i surowy wziął odwet na buntownikach.

Później syn cesarza Herakliusza nie mógł obronić Cezarei od muzułmanów, którzy ją zajęli pod dowództwem Jezida i Moawii. W r. 1102 odebrał ją Baldwin, została więc znowu chrześcijańskiem miastem i w połowie XII wieku znajdowała się w stanie kwitnącym dzięki handlowi i strategicznemu położeniu. Niedługo to trwało, bo w 1187 zajął ją Saladyn i zburzył fortyfikacye. Odtąd zaczęła Cezarea przechodzić z rąk do rąk, na czem najgorzej oczywiście wychodziła. Krzyżowcy odebrali ją w 1191 roku, ale wkrótce wpadła w ręce muzułmanów, którzy znowu mury obalili, w 1217 roku jednak przeszła do krzyżowców i Gautier des Avesnes wznowił fortyfikacye. W rok potem Konradyn zdobył miasto i mury obalił, ale św. Ludwik w 1251 znowu je umocnił i znowu nie na długo, w 14 lat później wielki niszczyciel Palestyny sułtan Bibars zdobył gród nieszczęsny i zburzył, a Melek-el-Aszraf dzieła zniszczenia dokonał. Odtąd Cezarea nie podniosła się i nic dziwnego, najsilniejszy organizm nie wytrzymałby takich zmiennych i krwawych kolei. Po sześciuset z górą latach opuszczenia i ciągłego niszczenia przez czas i ludzi, Cezarea jest teraz zbiorem rumowiska. Nie można nawet już dośledzić kierunku starych Herodowych murów, stoją jeszcze w znacznej części ściany fortecy krzyżowców, która jednak zajmowała zaledwo dziesiątą część dawnego miasta. Najlepiej może dochował się jeszcze port Heroda, którego grobli widać kawałek znaczny, niedaleko od niej resztki budowy uchodzącej za więzienie, uświęcone pobytem św. Pawła.

Niedaleki i niewielki przylądek pokryty jest cały zwaliskami obronnego zamku, niema za to śladu królewskiego pałacu; z kościoła Augusta przerobionego na świątynię chrześcijańską, potem na meczet, a za czasu krucyat znowu poświęconego prawdziwemu Bogu, pozostały małe resztki ściany i dwie czy trzy szkarpy; kilka kolumn zagrzebanych do połowy w piasku wskazują miejsce teatru, z amfiteatru nie pozostało nic — słupy kamienne i leżący obelisk z różowego granitu wskazują *spinę* cyrku; oto bodaj wszystko, co z dawnej Cezarei zostało. Nad ulicami, placami, teatrami, w których przed wiekami wrzało życie, cisza śmiertelna; miejsca, na których z rozpaczą w sercu umierali żydzi, gdzie brzmiał głos Pawła, gdzie za Chrystusa ginęli męczennicy, dziś piasek zasypuje i wiatr zamiata, a morze niszczące powoli leżące w niem całe rzędy kolumn, obalając pocichu nagromadzone głazy, zdaje się wciąż powtarzać słowa proroka: »Wszelkie ciało trawa, a wszelka chwała jego, jako kwiat polny. Uschła trawa i opadł kwiat, bo duch Pański wionął nań.... Uschła trawa i opadł kwiat, lecz słowo Pana naszego trwa na wieki« [1]).

Od niejakiego jednak czasu ożywiła się nieco Cezarea (zwana dziś Kajsarya). W r. 1884 obecnie panujący sułtan pozwolił muzułmańskim emigrantom z Bośnii osiedlać się w tem mieście i darował im pewną część ziemi, a także jaką się im podoba ruinę, byle z niej wybudowali sobie porządny dom i obejście, więc też podług Liévin'a więcej niż 40 domostw powstało w obrębie murów przez krzyżowców wzniesionych.

Za Cezareą ku południowi aż do Jaffy jedzie się prawie zupełną pustynią; przebyć trzeba parę rzeczek, niczem się nie odznaczających, oprócz wzmianki chyba o potyczce lub obozowisku z czasów krucyat; po 6 lub 7 godzinach jazdy staje się przed ruinami fortecy Arsuf. Dawniej była w tem miejscu warownia Apollonia, poprawiona przez prokonsula Gabinusa w 57 r. przed Chr. Godfryd de Bouillon oblegał Arsuf, ale nie mógł go zdobyć; wtenczas to zdarzył się znany wypadek z rycerzem Gerardem des Avesnes. Wpadł on w ręce muzułmanów, którzy chcąc zasłonić się od pocisków chrześcijan, przywiązali Gerarda do pala i wystawili w najniebezpieczniej-

[1]) Izaj. XL. 6—8.

szem miejscu. Wtenczas sam Godfryd upominał rycerza, żeby poniósł śmierć męczeńską, mniej ważąc życie własne, niż sprawę wspólną. Jakoż krzyżowcy szturmu nie zaprzestali i des Avesnes padł, otrzymawszy dziesięć ran z rąk braci, później jednak, jak twierdzi Guthe, miał dostać się ciężko ranny do obozu chrześcijańskiego, gdzie przyszedł do zdrowia. W rok potem Baldwin I przy pomocy floty genueńskiej opanował fortecę. Przy niej to w 1191 r. Saladyn z 200.000 armią napadł na Ryszarda Lwie serce, przyczem stracił 8000 żołnierzy i 32 emirów; chrześcijan padło 1000, a w tej liczbie Jakób des Avesnes. Pominę dalsze koleje, by wspomnieć tylko, że w 1265 roku obległ Arsuf sułtan Bibars i zdobywszy po 40-dniowych szturmach, oczywiście swoim zwyczajem zburzył. Przez wyrafinowane okrucieństwo zmusił chrześcijan, by sami własne domy niszczyli. Dziś pozostały z miasta i fortecy niewielkie i bezkształtne ruiny.

Niedaleko od Arsufu na małej wyniosłości nad morzem znajduje się święte miejsce mośleminów zwane Haram Sicli-Ali-Ibn-Alejm, jest to meczet otoczony krużgankami, posiadający grób derwisza noszącego niegdyś powyższe imię. Był to podług legendy bardzo świątobliwy mąż, towarzyszący w 1265 roku armii Bibarsa oblegającej Arsuf. Znudzony długim oporem chrześcijan, sławny derwisz wynalazł bardzo prosty sposób uporania się z nimi. Wziął rynkę czy garnek gliniany i rzucił z całej siły na mury fortecy, które natychmiast upadły, a prawowierni weszli bez przeszkody do środka.

Od Sicli-Ali dwie drogi prowadzą do Jaffy; krótsza ($3^1/_2$ godziny) idzie wzdłuż brzegu, druga o godzinę dłuższa, przez most na rzeczce Nahr-el-Audża, my jednak nie pójdziemy po żadnej z nich, lecz zwrócimy się wstecz aż do Tantury, a stamtąd skierujemy się w głąb kraju, co nam da sposobność poznać okolice mniej wprawdzie historyczne, ale za to trochę więcej mające życia, bo więcej zaludnione.

Otóż przed Tanturą zwracamy się ku tym skalistym pagórkom, które nam towarzyszyły od samego Karmelu i zdążyły tymczasem dojść wcale przyzwoitej miary. W tem miejscu znowu skałę przecięto, ale tym razem przejście zrobiono znacznie szersze; że jednak i ono nie było dawniej bezpiecznem, świadczą wycięte w skale komory dla straży. My nie spotkaliśmy ani przyjaciół, ani nieprzyjaciół, przejechaliśmy spokojnie i znaleźliśmy się znowu na obszernej pła-

szczyźnie, ograniczonej od wschodu grzbietem Karmelu; ku niemu teraz skierowała się nasza droga. Niech jednak czytelnik nie myśli, że była to droga podobna choćby do naszych wiejskich; najgorsza polska drożyna wygląda jeszcze jak trakt bity przy palestyńskich ścieżkach. Z początku koło Karmelu było trochę drogi utartej, bo tam Niemcy wozami jeżdżą; w pobliżu wiosek i osad zjawiały się ścieżki, a dalej jechaliśmy na przełaj gdzie oczy poniosą. Trafił się kamień, tośmy go objechali, rzeczka — tośmy się do niej spuszczali jak z pieca (te przejazdy szczególnie martwiły mego towarzysza) musiały jednak być jakieś ślady i znaki, któremi się Süss kierował, bo jechał z taką pewnością, jak nasi furmani po wyraźnych kołowych drogach. Tak samo przed laty odbywały się zapewne podróże po ukraińskich, chersońskich i besarabskich stepach. Ściemniać się już zaczęło i mrok, jak zwykle na południu, szybko zapadał, gdyśmy nareszcie dotarli do Karmelu. Wjechaliśmy jakby w olbrzymie, nadzwyczajnie wspaniałe wrota. Skały rozstąpiły się na jakie pół kilometra i stały z obydwóch stron jak surowa, majestatyczna ściana, środkiem szła szosa, prawdziwa, europejska szosa, po obydwóch stronach rowy, a za nimi zagrodzenie z drutu kolczastego, dalej zaś najprawidłowiej urządzona winnica. Oczom swoim nie wierzyłem. Co to takiego? pytam Süssa. — To są winnice Zimmeryńskie. — I to żydzi tak je utrzymują? — A żydzi. — Gdybym był panem Gwoździckim z powieści Werytusa (Na oślep) niechybniebym zawołał: Osobliwość! Osobliwości takich zresztą czekało na mnie jeszcze dużo. Zimmerin do niedawna był nędzną osadą arabską; przed kilkunastu laty żydzi za pieniądze pożyczone przez »pana barona« (Rothschilda) zakupili ziemię, zbudowali miasteczko, założyli winnice. »Pan baron« okazał się naprawdę wspaniałomyślnym dla swych rodaków, włożył w to przedsięwzięcie kilka milionów i bez procentu czeka, aż winnice zaczną dochód przynosić; wtenczas rozpocznie się spłata należności. W Zemmerinie osiadło 150 żydowskich rodzin z Rumunii (około 800 dusz); dawniejsi mieszkańcy nie wyemigrowali, ale mieszkają w swych nędznych chałupach i bywają wynajmowani do robót w polu. Gdy nam to opowiadał woźnica, wjechaliśmy na most kamienny nad łożyskiem strumyka zupełnie nowy i cały, bo zauważyłem tylko jeden kamień z niego może przypadkiem oderwany leżący na drodze. Za

mostkiem wciąż po szosie zaczęliśmy jechać pod górę. Mniej więcej w połowie wysokości Süss zatrzymał się przy obfitem źródle dla napojenia koni, a bodaj także dla poprawienia podkowy, bo zdaje się i kuźnia była w tem miejscu. Wysiadłem z powozu, żeby użyć trochę przechadzki. Wieczór był prawdziwie prześliczny, jedyny może taki w tym kraju. Ściemniło się już zupełnie, a księżyc na młodziku, wyglądając z za góry, rzucał niepewne, tajemnicze światło na wszystko. Z lewej strony w wąwozie widocznie było źródło czy moczary, bo sterczały stamtąd całe kępy ogromnej trzciny; zdało mi się nawet, że obok było coś na kształt młyna, z prawej za ogrodzeniem z drutu ciągnął się szpaler akacyi u nas nieznanej, mającej kwiaty żółte, kuliste, mocno a nadzwyczaj przyjemnie pachnące. Właśnie o tej porze napełniały one powietrze swym aromatem. Dalej cała pochyłość góry aż do szczytu była pokryta roślinnością; widać było drzewa, niby sady i laski nasze, powietrze było miłe, łagodne i ciepłe jak u nas w początku czerwca, kiedy to jeszcze upały nie dokuczają. W dodatku świerszcze w najlepsze śpiewały na wszystkie strony. Zdało mi się, że jestem gdzieś w Europie, a to złudzenie wprawiło mnie w tak dobry humor, że sam zaczepiałem arabów wracających z roboty i witałem ich: *salem alejkum!* Zresztą i oni z łopatami i grabiami na ramionach wyglądali po nocy niby nasi wieśniacy, gdy idą z pola do domu. Süss skończył swoje i pojechaliśmy dalej. W miasteczku nowe osobliwości. Przy świetle księżyca widzę domy murowane, porządne, bruk równy, widzę ogródki przed domami, drzewa — ani jednej kałuży, słowem formalna Europa. Zajechaliśmy do jedynego na całem wybrzeżu zajazdu, należącego do pana Katza, oczywiście żyda. Pokoje dla gości w osobnym domku — wchodzimy i znowu zdaje się, żeśmy w jakiemś *gemütlich* niemieckiem miasteczku. Pokój czysty, umieciony, porządnie umeblowany, dwa łóżka z białemi mustyzierami; przyniesiono pościel i bieliznę — bez zarzutu, nawet wyprasowana *arte*. Czosnku, cebuli i specyalnego zapachu (?) naszych żydowskich mieszkań — ani śladu. Pan Katz, przyzwoity, średnich lat żyd, o sprytnych, mądrych oczach, zapewnił nas, że możemy mieć wszystko, co zapotrzebujemy. Prosiliśmy o herbatę i samowar. — *Tszaj?* Czemu nie, zaraz będzie, każę nastawić samowar. Gdy on wyszedł, wzięliśmy się z ks. T-kim do ogromnego kosza,

w który nas brat Feliks zaopatrzył. Czego tam nie było! Wino, ciasta, kury, pieczeń wołowa, owoce. Będąc w szkołach, z domu nie wyjeżdżałem tak obficie zaopatrzony, gdy się szczęśliwe dni wakacyi skończyły. Posililiśmy się regularnie, tymczasem nadszedł gospodarz, za nim służąca wniosła samowar, a następnie przygotowała do herbaty. Znowu osobliwość — wszystko błyszczało i świeciło, jak nie w każdym szlacheckim domu i gdyby przy tym samowarze postawić samowar z naszych żydowskich zajazdów, to nie wątpię, żeby się ze wstydu zapadł w ziemię tak głęboko, jak zajazd sterczy wysoko. Zaczęliśmy gawędę, ale niezawsze mogliśmy się zrozumieć; ja mówiłem po niemiecku z polska, a Katz z rumuńska, więc też on wezwał do pomocy swoją *Fräulein* jak córkę nazywał. Weszła — i znowu osobliwość — to rzeczywiście *Fräulein.* Nietylko piękna, ale zaczesana, czysto i elegancko ubrana, ręce czyste i ani trochę tej nieznośnej arrogancyi, rozrzucania się, pozowania i chwalenia się, przymiotów w tak wysokim stopniu posiadanych przez nasze cywilizowane żydowskie *Fräuleiny.* Panna mówiła po francusku, prawda, że z rumuńska, ale złożywszy trzy nasze języki, rozumieliśmy się doskonale. Chwaliłem tedy Zimmerin, chwaliłem żydów zimmerińskich, chwaliłem i porządek u pana Katza, a Katz rósł jak na drożdżach i jaśniał z »kontentacyi« jak słońce, oczy mu błyszczały, zapewniał, że stara się o porządek, bo zadaniem jego życia, żeby przejezdnym dogodzić. — *Ich bin zufrieden, wenn meine Gäste zufrieden sind,* powtarzał ustawicznie. (Ja jestem zadowolony, gdy moi goście są zadowoleni). To mniej mi się podobało: już on mi jakowąś podrywkę obmyśli przy obrachunku, że niekoniecznie będę *zufrieden* — ale mniejsza o to. Poszedł wreszcie Katz i *Fräulein* Katzówna, zabraliśmy się do pacierzy; ledwo je skończyłem, niedaleko okna odezwały się skrzypce — ktoś grał biegle, pociągnięcie smyczka miał czyste i miękkie, a tony w ciszy nocnej płynęły łagodnie i słodko, niby marzenia cichej, sielskiej młodości, spadały w kaskadach jak deszcz majowy, ciepły; śpiewały i świegotały jak ptaszęta na wiosnę. Od dwóch miesięcy nie słyszałem prawie »uczciwej« muzyki, a zwłaszcza skrzypiec, więc też z rozkoszą zasłuchałem się w niej. Położyłem się wreszcie, nie bez obawy zdradliwych napadów, ze strony niewidzialnych, ale dokuczliwych nieprzyjaciół. Nazajutrz o 5-ej już byliśmy na nogach — obawy

wieczorne okazały się płonnemi, bo ani jeden nieprzyjaciel nie ukazał się; była to nowa naprawdę bardzo osobliwa osobliwość. Wkrótce podano *tszaj*, zjawił się też p. Katz i nastąpiła krytyczna chwila obrachunku. Ileż tedy, pytam, każe nam pan zapłacić, za przyjemność noclegu w tak zacnym zajeździe? — 20 franków (7 rs. 50 kop.) odpowiada Katz bez zająknienia. — Zmiłuj się pan, za co? za jeden pokój i dwa »tszaje?« I chcesz pan, żebyśmy byli *zufrieden?* Rozpoczyna się targ; w tym czasie nadchodzi Süss, zwracam się więc do niego: Słuchajno pan, jak pański przyjaciel ze skóry nas obdziera — a Süss kręci głową zgorszony i upomina: *nein, nein, Herr Katz, Sie sollen nicht so viel nehmen* — ale Herr Katz upiera się. Ponieważ byłem z powodu tylu osobliwości w doskonałym humorze, więc porozumiawszy się z towarzyszem, daję gospodarzowi 20 franków. Bierz pan — powiadam — ale wiedz, że my nie jesteśmy *zufrieden.* Wybieramy się i już mamy wyjeżdżać, gdy wchodzi Katz i oddaje mi dobrowolnie 4 franki z owych dwudziestu — to wydało mi się już »najosobliwszą osobliwością« ze wszystkich, jakie tu widziałem. Oddaje i pyta z tryumfem: *Nun, jetzt sind Sie zufrieden?* — Oczywiście wyraziłem mu zupełne zadowolenie, nic już przez grzeczność o zdziwieniu nie wspominając.

Wyjeżdżamy z miasteczka, kiedy zaledwo świtać zaczyna, mogę jednak już rozróżniać przedmioty; oczywiście kierujemy się w stronę przeciwną tej, z której przybyliśmy wczoraj. Wkrótce znajdujemy się za miasteczkiem na drodze coraz bardziej przybierającej charakter palestyński, t. j. coraz gorszej. Gdyśmy stanęli na pochyłości góry, na której leży Zimmerin, rozwinął się przed nami widok obszerny i majestatyczny. Ku południowi i wschodowi ciągnęła się bez końca równina, od wschodu zaś wznosiły się góry Samaryi nagie, surowe i dziwnie poważne; nad niemi z poza drobnych chmurek przebijała się różowa jutrzenka i światło dzienne tryskało. Zjechaliśmy z góry i wkrótce znaleźliśmy się przed murowanym mostem, nad niewielkim ruczajem, który, o dziwo, był pełny prawie po brzegi, pięknie z obydwóch stron przystrojone trzciną, tatarakiem i inną roślinnością. Była to Nahr-es-Zerka, zwana inaczej rzeką krokodylową. Źródło swe ma ona w niedalekich moczarach, zasilanych wodą z gór; na wiosnę cała okolica wygląda jak morze, ale i przez lato błota nie

wysychają, dlatego też łożysko było pełne, pomimo 7-miesięcznej posuchy. Rzeczka owa jest głośną z tego, że są w niej krokodyle; skąd się one wzięły, niewiadomo; jedni utrzymują, że rozmnożyli je koloniści egipscy, inni — że rzymscy żołnierze — faktem jest, że istnieją dotąd i że, jak utrzymuje Guthe, żadna wiosna nie obejdzie się bez straty w ludziach, szczególnie zaś w dzieciach, o zwierzętach niema co mówić. Zobaczywszy wodę, nie mogłem oprzeć się pokusie i postanowiłem użyć kąpieli. Wynalazłem sobie piękne miejsce wśród krzaków i trzciny i dalej rozkoszować się. Rzeczka była nie szeroka, miała na parę łokci wody, ale tak mętnej, że nic w niej nie można było rozróżnić. Kiedy tak sobie pływam w najlepsze, przypomniało mi się przejście Sienkiewicza przez rzekę Wami, obfitującą w krokodyle i ten ustęp jego »Listów z Afryki«: Miła rzecz, stojąc na podwodnym głazie, szukać nogą przed sobą gruntu z tą nadzieją, że może w dziurze siedzi jakie licho, które ułapi za łydkę. A prawda, pomyślałem, toć to »licho« szczególnie właśnie lubi siedzieć »w oczeretach« jak tutejsze naprzykład, a w tak mętnej wodzie może jak nic ułapić i zjeść; dopierożbym się miał zpyszna od redaktora »Roli«, gdybym mu nie dostarczył obiecanych wrażeń z pielgrzymki. Popływałem więc z parę minut i rejterowałem się z honorem na suchy ląd; miałem jednak do zanotowania aż trzy osobliwości: kąpałem się przed wschodem słońca, na swoje imieniny i w rzece z krokodylami.

Jechaliśmy teraz bardzo długo na przełaj, po równinie pokrytej kępami wysokiej, błotnej trawy; zapewne była to część owych moczarów, z których Nahr-es-Zerka wypływa. Dość często zdarzały się też drzewa tak, że widok kraju był wcale przyjemny. Minąwszy ową równinę, nic już szczególnego nie spotkaliśmy. Raz na pustym, piaszczystym stepie zobaczyliśmy obóz beduinów, złożony z nizkich namiotów. Starsi widocznie gdzieś się oddalili, bo pusto było dokoła. W śmieciach grzebały kury, para psów wylegała się przed namiotami, ukazało się kilkoro dzieci. Byłem już wtenczas bardzo zrażony do Wschodu, ale i bez tego widok obozowiska beduinów bynajmniejby we mnie nie obudził tego entuzyazmu, jakiego doznawali niektórzy pielgrzymi, gdy pierwszy raz na pustyni nocowali pod namiotem. Zapewne lepiej tak, niż pod gołem niebem, ale wolę najmniejszą naszą chatę o słomianej strzesze wśród jabłoni i wisień, niż najpoety-

czniejszy namiot najgościnniejszego beduina na pustyni. Jak pod temi płachtami ciasno, duszno, brudno być musi — tylko owadów wszelkich można mieć ile dusza zapragnie, a nawet troszkę więcej.

Na odpoczynek południowy stanęliśmy przed nędzną wioszczyną tubylców, niedaleko od studni. Zeszło się tam trochę bydła, które pojono, kobiety brnąc po błocie zabierały wodę w skóry kozie. My i podróżni z drugiej bryki, którąśmy już zastali, rozłożyliśmy się pod cieniem dwóch czy trzech drzew rosnących na uboczu. Widok był smutny; licha studnia i błoto koło niej, odrapani i obdarci ludzie, drobne bydło, z jednej strony grunt skalisty, z drugiej stare, powykręcane kaktusy, zasłaniające wioskę, w której zresztą nic nie było do widzenia, oprócz zwykłej nędzy i niechlujstwa.

Opuściwszy tę wioszczynę przebywaliśmy monotonne, puste równiny i zaledwo para miejsc została mi w pamięci. Na wzgórku nad rzeczką Audżą czyli raczej źródłami jej, rozlewającemi się szeroko, stoją ruiny starego zamczyska krzyżowców; obecnie miejsce to nazywają Arabi Ras-Ain; jak dawniej zwano tę warownię, napewno niewiadomo; podobno Mirabel. Dziś znajdują resztki marmurów, kolumn i mozaik wśród ruin, do których mieszkańcy zapędzają na noc bydło. W parę godzin po popasie przebywszy kilka takich rzek, których nie było, zatrzymaliśmy się w drugiej kolonii żydowskiej, tak samo osobliwej jak Zimmeryn — ten sam porządek i czystość. I tutaj także dopomógł żydom p a n b a r o n, tylko że większa część ich już dług spłaciła i gospodaruje na swojem. Gdy Süss zatrzymał sie dla napojenia koni, ja rozpytawszy się o drogę poszedłem na przechadzkę; spotkałem wkrótce kilka wozów naładowanych, a jeden drabiniak powracał próżny. Powozili żydzi, wozy były doskonałe i kute, konie wypasione i rosłe, nawet uprząż skórzana — pokazuje się więc, że jak polski szlachcic potrafi handlować, tak żyd gospodarować, byle szczerze zechcieli.

Za tą kolonią kraj widocznie już więcej zamieszkany; w wielu miejscach widzieliśmy zieloność, rolę pooraną, uschłe łodygi kukurydzy; przypomniały mi się nasze strony; tembardziej, że i pogoda była taką, jak u nas. Od rana lekkie chmurki zakrywały słońce, które się dopiero na parę godzin przed zachodem ukazało, więc już nie paliło, tembardziej, że wciąż powiewał lekki wietrzyk od morza. Był to

najlepszy dzień do podróży w ciągu całego pobytu mojego w Ziemi świętej. Spotykaliśmy coraz częściej ludzi, tylko tak dziwnie ubranych, że nie można było na razie rozpoznać, kto idzie; mężczyźni bowiem chodzili w długich po kostki koszulach, a na głowach mieli rozpuszczone szeroko chustki czy zasłony, wyglądali więc zdaleka jak kobiety, gdy znowu niewiasty nosiły się po męsku w kurtkach i szerokich »niegodnych wspomnienia«. Dopiero ks. T-ski zwrócił moją uwagę na znak, po którym niezawodnie zdaleka można było poznać kto idzie; kobiety zawsze coś dźwigały, gdy mężczyźni szli wolni. Takto tutaj kobiety używają w całej pełni prawa, którego usilnie się dobijają feministki na zachodzie — prawa współzawodniczenia w pracy z mężczyzną na każdem polu; mężczyzna nic przeciwko temu niema, owszem całą swoją część włożył na barki kobiety — tylko że to jest niewola, nie wyzwolenie. Na kilka wiorst przed Jaffą przejeżdżaliśmy przez kolonię niemiecką, czystą, ukrytą w zieleni, pełną kwiatów. Tym ostatnim zbytkiem przewyższyli Niemcy żydów, którzy na kwiaty jeszcze zdobyć się nie zdołali.

W Jaffie stanęliśmy już o zmroku; na placyku, na którym zatrzymują się powozy, z powodu wązkości dalszych ulic, czekał na mnie Zacharyasz, uwiadomiony przez br. Witalisa o czasie mego przyjazdu. Z Süssem rozrachowaliśmy się zgodnie i rozstali przyjaźnie; podał mi on na pożegnanie swą szeroką, uwalaną w smole dłoń, którą też bez wahania uścisnąłem. Zauważyłem na Wschodzie, że służba pomimo całego posłuszeństwa i szacunku dla swych chlebodawców, zachowuje się względem nich z pewną poufałością, jakby młodsi członkowie jednej rodziny. Ta pozostałość patryarchalna przyjemne na mnie robiła wrażenie, a miałem nieraz sposobność jej doświadczyć. Kiedym np. w kilka dni później stanął w Port-Saidzie, zobaczyłem na pokładzie araba w jednej koszuli, sięgającej do kolan i w zawoju na głowie; ponieważ na ramieniu miał blachę z herbem Ziemi św. więc domyśliłem się, że zostawał na służbie klasztoru XX. Bernardynów i powierzyłem się jemu. Wyszedłem na tem najlepiej, bo choć muzułmanin, okazał się bardzo uczciwym i usłużnym. Kiedy miał mi potem towarzyszyć na dworzec kolejowy, zapytałem gwardyana, ile mu dać trzeba za fatygę. — Niech mu ks. kanonik, zapewnia mnie gwardyan, da ze dwa franki, a będzie zadowolony Przy rozstaniu tedy daję memu arabowi

pięć franków, a klepiąc go po ramieniu, powiadam: kontent z ciebie jestem, masz tu *buona mancia*. Arab zobaczywszy pięć franków, uśmiechnął się od ucha do ucha i mnie tak samo klepiąc, mówi: ja z ciebie także bardzo kontent jestem, *grazie molte*.

Dzień 5 listopada przeszedł mi na wypoczywaniu i niespokojnem oczekiwaniu dnia jutrzejszego, powiał bowiem z południa chamsin i przepowiadano burzę. To też zaledwo 6-go listopada obudziłem się, rzuciłem okiem na okno i zobaczyłem jak dwa maszty stojących u brzegu rybackich statków, to się zbliżały ku sobie, to oddalały, jakby chwiały głowami i mówiły do siebie: niewiadomo, niewiadomo, czy temu księdzu z przeciwka uda się dzisiaj wyjechać. Przypadam do okna i widzę — arcysmutne rzeczy. Niebo zachmurzone, wiatr zawodzi, morze brudno-zielone, pokryte bałwanami, a wzdłuż skał przybrzeżnych wszystko wre i kipi; nie widać zgoła kamieni tylko olbrzymi wał białej piany, a za każdem silniejszem uderzeniem fali wznoszą się fontanny wysokie jak piątrowe domy. Zasmucony, ale nie tracąc jeszcze nadziei idę do kościoła, a brat zakrystyan wręcz mi powiada: Więc signor canonico zostaje u nas. — A dlaczego mam zostawać? — Bo okręt rosyjski jest, ale nie może się zbliżyć. Po mszy tedy biegnę coprędzej na dół i do binokli; prawda, o jakie 5 wiorst ledwo widzialny wśród mgły i bałwanów stoi okręt i haniebnie tańcuje. Ruszam na naradę do agenta rosyjskiego. — Panie, co to będzie? — *Skwierno, skwierno*, powiada, zdaje się, że nic nie będzie, a szkoda, chciałem dziatkom w Odessie posłać pakę świeżych pomarańcz. Tyleby biedy było, myślę sobie, na pomarańcze dzieci mogą poczekać, ale mnie tak koniecznie trzeba wracać. Godzina czy dwie przechodzą na oczekiwaniu, wreszcie widzę, że okręt zbliża się, więc radość wielka i znowu biegnę do agenta, ale ten kręci głową i wątpi, tembardziej, że żadnej łodzi przewozowej nie widać. Przed rokiem bowiem czy dwoma na oczach całego miasta utopiło się 38 ludzi dążących na okręt austryacki w podobną pogodę, więc teraz władza portowa nie pozwala ryzykować. Tymczasem »Odessa« (tak się nazywał okręt) lawiruje, a ja śledzę za nią z biciem serca; trwało to do południa, wreszcie okręt zwrócił się na pełne morze — i zniknął »z nim reszta nadziei«. Już go nie widać było, a ja jeszcze stałem w oknie i patrzałem na rozszalałą naturę; wzdłuż skał woda i wre i huczy i kipi i tryska, całe morze

pokryte mętnemi, spienionemi falami, za skałami czerwony handlowy okręt włoski chwieje się wściekle na kotwicy, chwieją się i huśtają wszystkie łodzie przy brzegu, chmury pędzą gwałtownie, a wiatr wyje i huczy; słowem, zamęt, rzucanie się, niepokój wszędzie. Wtem o kilkanaście sążni odemnie przeleciał cicho, spokojnie, równo śliczny biały bocian o różowych, pięknych skrzydłach i takich samych nogach. Sprzeczność między jego spokojem a wzburzoną naturą była tak wielką, że dotąd stoi mi przed oczyma, ten ptak białoróżowy płynący spokojnie w powietrzu na tle brudno-zielonych fal i szarych obłoków.

Stało się tedy, zostaję, ale na pociechę znowu idę męczyć poczciwego agenta (dokuczyłem mu nieźle tego dnia); pocieszał mnie jak umiał, wreszcie radzi: niech ksiądz poczeka tutaj tydzień, wtenczas będzie szedł okręt do Aleksandryi, proszę wsiąść na niego, a tam będzie czekał wielki okręt prostej linii. Pewnie, pewnie, będę czekał tydzień, a gdy trzeba będzie jechać, zerwie się burza i zamiast płynąć, znowu będę patrzał na różowe bociany! Dziękuję za łaskę; jeśli nie umknę stąd na pierwszym statku, jaki się nawinie, pozwolę sobie turecką modą... Tak, tak; chwyciłem się tej myśli, jak deski zbawienia, że ucieknę jak tylko się morze uspokoi; mniejsza o to dokąd; do Bejrutu, czy do Aleksandryi, byle się wyrwać z tej dziury, byle się wyrwać! Około godziny drugiej »Odessa« znowu ukazała się przed miastem; ujrzałem ją właśnie w chwili, gdy zawracała, przyczem formalnie położyła się na boku; lżej mi się trochę na sercu zrobiło, gdym to zobaczył i pomyślałem, że może nie jest tak bardzo źle, że mnie tam niema. Rzeczywiście dobrze się nawet stało; opowiadano mi później w mieście Odessie, że przez całą tę dobę podróżni byli między życiem a śmiercią, tak gwałtowną była burza; dopiero w Aleksandrecie uspokoiła się, ale znowu potem Czarne morze szalało. Ostatecznie tedy okręt odpłynął, a ja zostałem — w najgorszem usposobieniu, a hałasem, burzą i wiatrem, który świstał, huczał i zawodził, do najwyższego stopnia zdenerwowany. Ku wieczorowi chamsin zmniejszył się nieco i mówiono, że gdyby wypadł deszcz, toby się morze zaraz uspokoiło, a ponieważ 8-go miał przybyć statek egipski, więc mógłbym na nim uciec z Jaffy. Można sobie wyobrazić, jak tego deszczu wyglądałem; na

szczęście nie zawiódł mego oczekiwania i padał prawie przez cały dzień 7-go listopada; morze naprawdę uspokajało się, a ja chodziłem po dachu klasztornym i patrzyłem na nie mniej więcej z takiem uczuciem, jak matka na chore dziecko, gdy się gorączka przesila.

ROZDZIAŁ V.

W Egipcie.

8—16 listopada.

Położyłem się pełen niespokojnych myśli o tem, co będzie jutro i czy uda mi się wymknąć ze zbyt gościnnej Jaffy. Dzień 8 listopada wstał mglisty i dżdżysty, lecz spokojny; fale wprawdzie były, ale niewielkie, więc kiedy zjawił się okręt egipski, kupiłem co prędzej bilet do Port-Saidu i zaledwo doczekawszy południa, zacząłem wybierać się na statek, choć on dopiero po czwartej miał odejść. Ktoś z księży Franciszkanów zachęcał mnie, bym co rychlej przebył skały, gdyż potem mógłby znowu wiatr silniejszy powstać; rada była dobrą, ale zupełnie zbyteczną, nie potrzebowałem napędzania. Jakoż pożegnawszy się ze wszystkimi, przebywszy raz jeszcze przez celną komorę, powierzyłem się znowu ramionom kilku barkarzy. Co prawda, dość trudna była przeprawa między skałami i na morzu, mało mnie to jednak obchodziło, byłem zdecydowany na wszystko, byle już raz dostać się na okręt. Dostałem się nań wreszcie i odetchnąłem spokojnie; okręt niewielki i chociaż na kotwicy stoi, buja się wcale nieźle, ja jednak jakoś nic złego nie czuję, siedzę lub spaceruję po pokładzie, przypatrując się Jaffie rozłożonej na pagórku. Wyglądała szaro, bo deszczyk mrzył niewielki; były to dopiero początki jego; w parę tygodni po mym wyjeździe, jak się z gazet dowiedziałem, spadły tak gwałtowne ulewy, że podmyły kilka domów zupełnie, a kilkanaście uszkodziły, przy czem i ludzi trochę zginęło.

Po czwartej podniesiono kotwicę i popłynęliśmy ku Egiptowi; Jaffa i brzegi ziemi Świętej zniknęły wkrótce z oczu moich, prawdopodobnie na zawsze. Niestety, nie mogłem czynić żadnych z tego powodu rozmyślań, nie czułem żalu, ani tęsknoty, dlatego, że czułem coś zupełnie innego. Im bardziej »Rahmanieh« (tak się zwał okręt) wypływał na szerokie morze, tem nieznośniej pogrążał się z tyłu na przód, to znowu odwrotnie. Nie było sposobu wytrzymać na pokładzie, więc uciekłem do kajuty, a tam rozpoczęły się znowu szare i smutne chwile mojej podróży. Leżę tedy, a raczej nie mogąc miejsca znaleźć, kręcę się i wiję na mojem łożu boleści i tylko z utęsknieniem spoglądam na zegarek. Statek, regularnie jak wahadło pogrąża się i podnosi, a w tej męce przechodzi kwadrans, pół godziny, godzina — jeszcze piętnaście godzin takiej rozkoszy. Znowu minęło półgodziny, więc tylko $14^1/_2$, jak tu je wytrzymać? Powoli jednak, uważam to z radością, coraz mi lepiej, spokojniej — robi się nawet wcale znośnie i zasypiam.

A jakie miłe sny miałem! Śniło mi się, że byłem w naszym statecznym, na skale zbudowanym Żytomierzu, chodziłem sobie statecznie, jak statecznemu człowiekowi przystoi, po jego granitowych chodnikach, a chodziłem krokiem pewnym, drwiłem z fal i burz, było mi bardzo dobrze. Ponieważ jednak każda przechadzka skończyć się kiedyś musi, więc i moja się skończyła. Budzę się — noc, ciemno zupełnie, tylko przez otwór u góry, trochę światła przedziera się z sąsiedniego salonu, a dokoła Sodoma i Gomora. Na dworze — raczej na morzu — formalna burza. Deszcz leje jak z wiadra, pioruny biją, i widać przez okienko raz po raz migotanie błyskawicy, fale grzmocą o ściany okrętu, który się poprostu skandalicznie prowadzi. To się podnosi, to znowu zapada tak, że śruba okrętowa wynurza się z wody, a wskutek tego przy ruchu z przodu na tył, nadaje jeszcze wstrząśnienie z lewego boku na prawy i odwrotnie. Wszystko trzeszczy, jakby się miało rozpaść na kawałki. Leżę więc sobie wśród tego rozgardyaszu i rozmyślam, jakie to jednak dziwne bywa czasami położenie człowieka; ot i teraz np. niema nigdzie jednego miejsca spokojnego, i żadnego, ale to literalnie żadnego na to ratunku; trzeba leżeć i czekać. Kiedy potem, chcąc się rozebrać, powstałem, dostałem nowego ataku, który wkrótce przeszedł, gdym się natychmiast poło-

żył. Już też więcej nie probowałem wstawania, pokąd około 9-ej z rana nie zawinęliśmy do portu. Udało się nam szczęśliwie, bo tylko o godzinę spóźniliśmy się; tej samej nocy płynął z Bejrutu do Jaffy inny jakiś okręt, który powinien był przyjechać po nas w kilka godzin, a ledwo wieczorem, czy nawet w nocy dopiero dowlókł się do Port-Saidu i o mało nie zginął — taka to była noc burzliwa.

Zaledwośmy się zatrzymali, wnet pokład nasz zniknął pod mrowiskiem ludzkiem, pstrem, wrzeszczącem, miotającem się; stałem wśród niego i upatrywałem jakiego księdza, któryby mi pomógł dostać się do miasta. Księdza żadnego nie było, ale dostrzegłem owego Araba, o którym wyżej mówiłem, odzianego w siną koszulę do kolan i mającego herb Ziemi św. na ramieniu. Temum się powierzył; przeprowadził on mnie szczęśliwie przez nieuchronną komorę celną i zaprowadził do klasztoru OO. Franciszkanów. Nie mają tu oni hospicyum, ale zacny O. Barnaba przyjął mnie jako już znajomego, a może więcej jeszcze dlatego, że widział moje zmęczenie i wynędznienie wielkie. Zabawiłem u nich dzień cały i mogłem się przypatrzeć lepiej ich życiu, klasztorowi i kościołowi. Kościół jest nowy i duży, zapamiętałem z niego dotąd tylko posąg drewniany Zbawiciela upadającego pod krzyżem, bardzo dobre i przejmujące wywierający wrażenie. Po obiedzie w refektarzu z zakonnikami razem, i po niejakiem wypoczynku, wybrałem się na spacer po mieście i nad morzem, po tej samej szosie, którą przed kilku tygodniami poznałem. Teraz spacer daleko był przyjemniejszy, bo przez czas mej niebytności korzystna zaszła zmiana w klimacie. Upały przeszły, a powietrze było tak miłe i łagodne, pełne wiośnianej słodyczy i miękkości, że oddychało się niem z rozkoszą. Szczególnie przyjemnym był wieczór. Poszedłem do maluśkiego ogródka klasztornego i spacerowałem między palmami. W powietrzu było jakieś dziwne ukojenie; po upałach Palestyny wydawało mi się ono tak lekkie, łagodne i błogie, jakby wypoczynek po trudnych wysiłkach, jakby powrót do zdrowia, młodości i wesela. Z nieba migotały gwiazdy, świecił łagodnie księżyc, zbliżający się ku pełni, pod kościołem przechadzał się powoli, pogrążony w modlitwie zakonnik, a z rogowego okna dochodziły głosy tenora i basa, przy fortepianie powtarzające mszę w stylu Mozarta. Głosy były przyjemne, a gra biegła, więc napawałem się muzyką, pokąd chłopiec, widocznie

miejscowego pochodzenia, nie zaczął wrzeszczeć partycyi sopranowej przez nos i przez gardło. Czar zniknął odrazu.

Księża Franciszkanie wcześnie wstają, więc i spać idą wcześnie, a ponieważ byłem zmęczony, więc z ochotą zastosowałem się do ich reguły i poszedłem po 9-tej do mej celi samotnej. Mogę ją tak nazwać, choć słyszałem brzęczenie kilkunastu komarów, widziałem muchy senne po ścianach i jednego nietoperza, który się schował w szparę pułapu. W drodze nie sposób na takie drobnostki zważać; zapuściłem mustikierę, a nietoperzowi pozwoliłem polować na jedne i na drugie. Nim jednak zasnąłem, wysłuchałem koncertu i to jednego z najosobliwszych; niedaleko od mojej celi musiał być jakiś klub niemiecki, czy sala dla śpiewów, bo właśnie z niej dochodził mnie bardzo wyraźnie śpiew ze dwudziestu dobranych męskich głosów, śpiewających unisono zdaje się po niemiecku. Melodya i sposób śpiewania były tak szczególne, że nic podobnego nigdy nie słyszałem, nie potrafię też powiedzieć, coby to być mogło, bo rodzaj zupełnie mi nieznany, ale że ładny, więc mi przykrości nie sprawił, owszem, słuchałem z zajęciem i przyjemnością. A może to masoni, których tu jest kilka lóż, śpiewali hymny na cześć swego boga — Lucyfera lub szatana?

Nazajutrz trzeba było ruszać dalej, do Kairu. Przed samym wyjazdem brat kanaparz poczęstował mnie na drogę specyałem niezwykłym tutaj — talerzem gorącego prawdziwego mleka. Skąd on go dostał na tych piaskach, niewiem, ale to wiem, że nektar olimpijskich bogów nie smakowałby mi tak, jak owo mleko; zdało mi się, że życie i zdrowie z niem piłem. Wspominam o tej drobnostce, by przypomnieć, że mnóstwo jest rzeczy, które jak smakują, dowiadujemy się dopiero wtenczas, gdy się popsują, albo gdy je stracimy.

Kolej z Port-Saidu do Izmailii zostaje w ręku Francuzów; wagony niewielkie lecz eleganckie, usługa grzeczna, towarzystwo bardzo mieszane. Z prawej strony mieliśmy bardzo długo morze, dochodzące niekiedy aż za słupy telegraficzne, prawie pod koła pociągu. Nie było to jednak prawdziwe morze, lecz słone jezioro Menzaleh, które słusznie możnaby nazwać zatoką morską. Z lewej strony mieliśmy sławne i głośne dzieło Lesseps'a, ów kanał łączący Śródziemne i Czerwone morze; wygląda dość skromnie. Za nim pustynia, między nim zaś a koleją, ciągnie się wązki kanał wody słodkiej, od Nilu tu prze-

prowadzony. Brzegów jego tu i owdzie uczepiła się roślinność, a domki strażnicze formalnie toną w zieleni, dziwnie i ładnie odbijającej od żółtego piasku, ciągnącego się do koła, zaraz za ogrodzeniem. W Izmailii dłuższy przystanek, bo trzeba przesiąść się na kolej egipską i zjeść obiad, mówiąc mimochodem, szkaradny i drogi. Służba też w restauracyi nadawałaby się raczej do prowadzenia wielbłądów, niż do noszenia talerzy.

Od Izmailii zawróciliśmy ku zachodowi i wkrótce wjechaliśmy do kraju, który wydał mi się rajem po pustej, spalonej, kamienistej Palestynie. Pociąg nasz biegł szybko między polami, czasami jeszcze pokrytemi wodą — były to ostatnie dni zalewu Nilowego — przeważnie jednak świeża, wiosenna zieloność, radowała i bawiła oko. Najwięcej widzieliśmy bawełny; w jednem miejscu była ona jeszcze nizką, gdzieindziej już kwitła, na którejś stacyi jeden z podróżnych przyniósł kilka pęków ze świeżym, białym puchem we środku i porozdawał nam na pamiątkę. W rowach przydrożnych lśni tłuste błoto, zupełnie jak u nas na wiosnę, a w niem używają wczasu garbate bawoły o złem spojrzeniu, po drogach widać ludzi idących pieszo, jadących na osiołkach; słowem — jesteśmy w kraju zamieszkanym i uprawianym. Bardzo przyjemnego doznaję wrażenia. W wagonach wieża Babel. Gadają wszelkimi językami i wszyscy coraz częściej wymawiają Tel-el-Kebir, bo też zbliżamy się do niego. Wiadomo, że w r. 1882 w tem miejscu skończyły się nader smutnie usiłowania Arabi'ego baszy, wyemancypowania się z pod opieki angielskiej; armia egipska po pierwszej salwie najhaniebniej uciekła z pola bitwy, a głównodowodzący wzięty do niewoli, dotąd pokutuje na dalekim Cejlonie. Jakiś Francuz ogromnego wzrostu, a twarzy zużytej i wytartej, głośno dowodzi, że to zrobiły pieniądze angielskie; na razie nie wierzyłem temu, później jednak z bardziej poważnego źródła słyszałem, że naprawdę Egipcyanie byli przekupieni. Stajemy w Tel-el-Kebir; tuż prawie przy drodze, niedaleko od dworca, maleńki, zielony jak najpiękniejszy ogródek, cmentarz żołnierzy angielskich, poległych w tej potyczce. Bardzo takich było niewiele, bo zaledwo kilkanaście białych krzyżów i pomników widać z pomiędzy krzewów i drzew. Potem na dłużej nieco zatrzymujemy się w Zagazigu, mieście prowadzącem znaczny handel bawełną i liczącem 25,000 mieszkańców. Wy-

trzymujemy tu napad różnego rodzaju natrętów i wydrwigroszów; utwierdzam się też coraz bardziej w mniemaniu mojem o mieszkańcach Wschodu, w mniemaniu, które wbrew zdaniu malarzy, że obraz składa się ze świateł i cieni, złożone było z samych tylko cieni. Mieliśmy już rychło stanąć w Kairze, a ja zostawałem w nielada kłopocie, gdzie się tam zatrzymać i jak dać sobie radę na dworcu wśród Arabów. Gdy się tak biedzę z myślami, siada naprzeciwko mnie bardzo przyzwoity gentleman, zaczyna gawędę w poprawnej francuzczyznie, a gdym się do niego z moją troską zwrócił, odpowiedział mi, jak ongi poczciwy Le Douix przed Jerozolimą: *je m'en charge*. Poradził mi stanąć w hotelu angielskim, którego on właśnie był dragomanem i przewodnikiem; obecnie wracał z półwyspu Synai, gdzie wodził karawanę angielską aż do klasztoru św. Katarzyny. Doskonale się stało, żem tego czlowieka napotkał, bo nie dałbym sobie rady, a przynajmniej z wielką trudnością, na dworcu w Kairze, gdziem wpadł w trudny do opisania chaos. Mój przewodnik wydobył mnie z niego i wraz z pakunkami zawiózł do *hôtel d'Angleterre*; po drodze umówiliśmy się, że pojutrze pojedziemy do piramid, dnia zaś jutrzejszego miałem, swoim zwyczajem, sam spacerować po Kairze, nie zapuszczając się zbyt daleko.

Już po zachodzie słońca stanęliśmy w hotelu, który był sobie zwyczajnym, dużym, bodaj że dwupiątrowym budynkiem, w zwyczajnym hotelowym stylu; osobliwością można w nim było chyba nazwać wysoki taras przed całym frontem gmachu, wyłożony białym marmurem i taką samą otoczony baryerą, i ogromnych murzynów w długich, białych sukniach, podobnych do szlafroków, którzy pełnili niższe posługi. Nic tam zresztą osobliwego nie było, a jednak lżej mi się na duszy zrobiło, gdym wszedł do środka; budynek urządzony z europejskim komfortem, posadzki, elektryczne oświetlenie, czystość i porządek angielski wszędzie, służba we frakach i rękawiczkach. To już nie muzułmańskie porządki, nie wstrętne śmietniska i odory Wschodu. Powtarzam raz jeszcze, że dopiero gdzieś wśród dziczy i pustyni nauczymy się cenić rzeczy u nas najzwyklejsze i za nic miane. Przy obiedzie znalazłem się wśród jakich trzydziestu Anglików płci obojej, wystrojonych jak na raut. Co do mnie, nie miałem czasu przebrać się, więc w mojej zapylonej i wyszarzanej sutannie wyglądałem wśród

nich jak szurgot. Wszyscy oni gadali między sobą, szypiąc i świszcząc, a ja, nie umiejąc po angielsku, siedziałem gorzej niż na niemieckiem kazaniu i z nudów przypatrywałem się współjedzącym, robiąc po raz nie wiem który uwagę, że Anglicy są narodem bardzo brzydkim. Spotykałem ich bardzo często i dużo, a nie widziałem jednej pięknej twarzy. Jeszcze prędzej mężczyźni bywali do czegoś podobni, ale kobiety... A co to za niezgrabne i bez wdzięku postacie! (mówię o płci obojej). Mężczyźni w dodatku jeszcze nadymają się, że mało nosem o chmury nie zaczepią.

Po obiedzie znalazłem w czytelni moc dzienników i rzuciłem się na nie oczywiście z ciekawością, w Palestynie bowiem polityka, ekonomia i t. p. sprawy pozostają na boku. Jeśli czytane bywają czasopisma, to tylko religijne i to spóźnione; raz więc tylko w oberży niemieckiej w Kaifie spotkałem się z gazetą, więc teraz czytałem je chciwie; zwłaszcza, że w Europie działy się rzeczy bardzo ważne i zajmujące.

W dniu 11 listopada wypadała niedziela, wybrałem się więc rano do kościoła. Kiedym wyszedł z hotelu, ulice były jeszcze prawie puste; pierwszą spotkaną osobą był murzyn, niosący na sprzedaż bukiety najpiękniejszych róż i kwiatów, jakich u nas na wiosnę nawet niema. W powietrzu też była istna wiosna i to nie nasza z podmuchami Boreasza, z podejrzanymi chłodami w nocy, ale taka, jaką poeci kładą na karb maja, chociaż on nigdy w naszych czasach i stronach do tych pochwał przyznać się nie chce. Wkrótce doszedłem do niedalekiego kościołka św. Józefa, który wraz z przyległym klasztorkiem jest filią wielkiego tutejszego klasztoru XX. Franciszkanów. Nabożeństwo już się odprawiało i pełno było we środku, wszyscy ubrani po europejsku, ani jednego turbanu; uderzyła mnie wielka liczba młodzieży męzkiej, klęczącej i modlącej się bardzo przykładnie; w powietrzu zapach europejskich perfum. Doznałem takiego uczucia, jakbym się znalazł wśród rodziny. Zresztą rodzina, przynajmniej jej członkowie duchowni, niekoniecznie czułymi okazali się na mój entuzyazm. Gwardyan nie chciał mnie zaraz puścić do ołtarza, dlatego, że miał wyjść ze mszą angielski kapelan, a po mszy miał mieć kazanie do żołnierzy, więc mógłbym mu przeszkadzać. Kiedym z tego powodu w zakrystyi staczał małą, a zwycięzką utarczkę, wszedł jakiś

oficer, starannie ogolony, w mundurze, z pikielhaubą w ręku, ukłonił mi się grzecznie, ja jemu i myślę: może jaki konsul angielski, czy oficer katolik przyszedł na mszę. Odmawiam na klęczniku modlitwy przede mszą, gdy ktoś do mnie zagadał. Odwracam się i widzę ze zdumieniem, że mój oficer naciągnął albę i do mszy się ubiera. Był to właśnie oczekiwany kapelan. Coby jednak pobożne dusze żytomierskie powiedziały, gdyby zobaczyły księdza w mundurze i w kasku? Różnie bo bywa na tym Bożym świecie, a co kraj, to obyczaj inny. Wyszliśmy obaj ze mszą św. Ja swoją odprawiałem po cichutku, żeby nie przeszkadzać, zwyczajnie jak obcy. Anglik recytował głośno i wygadywał niestworzone rzeczy, czytając łacinę po angielsku. *Sanctus* np. wymawiał *senctus*, ale było i daleko gorzej. Po mszy rzeczywiście miał naukę do 20-tu może żołnierzy. Byłem zbudowany tolerancyą Anglii, która trzyma kapelana dla tak małej liczby katolików. Posiliwszy się, poszedłem przyglądać się miastu. Krótko mówiąc, prześliczne. Nie pamiętam już, czy widziałem jakie gmachy wspaniałe i znakomite, ale pozostało dotąd wspomnienie szerokich ulic, doskonale brukowanych wybornych chodników, domów ukrytych w istnych gajach drzew egzotycznych, mnóstwa kwiatów, pięknych skwerów, wielkiego porządku, ba, zbytku nawet. Kair wydał mi się takim, jakim nam przedstawiają Wschód piękne rysunki, piękne poezye i optymistyczne opisy. Architektura tylko była inna, gdyż europejska, zlekka zastosowana do wymagań klimatu i zabarwiona trochę miejscowym kolorytem. Wszystkie bowiem pochwały moje odnoszą się do dzielnicy europejskiej. Tu widzę rozczarowanie niejednego miłośnika oryginalności, a szczególnie Wschodu i słyszę pytanie: Jakto, a dzielnice arabskie, a groby Kalifów, a minarety El-Azar, a cytadela, a skok Mameluka? Wartoż było jechać do Kairu, żeby patrzeć na domy europejskie? Może i nie warto, ale że mi widok ich robił przyjemność, więc na nie patrzałem, zresztą w Kairze nęciły mnie najwięcej wspomnienia i pamiątki starego Egiptu. Arabi ze wszystkiem, co do nich należało, tak mi już byli obrzydli, Wschód tak mi już był dokuczył, że kiedym łażąc po mieście, zaszedł na jakąś ulicę, gdzie już sklepy były muzułmańskie, a ludność miejscowa, uciekałem, jakby mnie kto gonił. Nie poszedłem do cytadeli, nie widziałem alabastrowego meczetu, ani skoku Mameluka, ani rozpadających się w gruzy grobów

Kalifów. Gdybym podróż moją rozpoczął od Egiptu, albo gdybym tu dłużej bawił, byłbym tam z pewnością, zwiedziłbym okolice i pamiątki chrześcijańskie; bawiąc tylko dwa dni, nie miałem na to sił

Minarety meczetu El-Azar w Kairze.

ani czasu i zadowoliłem się patrzeniem zdaleka, od stóp piramid, przez binokl.

Nad wieczorem znowu spacer po mieście. Trafiłem na bulwar Clotbeja i widziałem zwykły tam dosyć pochód — przenosiny bogatej muzułmańskiej panny młodej do domu małżonka. Orszak był liczny, uwagę moją zwracały zwłaszcza trzy pysznie ubranie wielbłądy, na grzbiecie jednego z nich siedział ciemnej twarzy jegomość w turbanie i różne ewolucye wyrabiał dzidą; były tam i dzikie okrzyki, bito w bębny o suchym, drewnianym dźwięku, niesiono pannę młodą w lektyce, a na końcu szedł tłum gawiedzi, krzycząc i hałasując. Europejczycy przypatrywali się widowisku z uśmiechem ironicznym. Widziałem także wystawy przeróżnych towarów i wyrobów wschodnich i południowych; były tam bardzo ciekawe okazy, ale pewność, że brak mamony nie pozwoli na kupno żadnej z tych osobliwości, uczyniła serce me zupełnie obojętnem na silne ich barwy i oryginalne formy. Spotykałem też sławne kairskie osiołki — niezmiernie sympatyczne stworzenia. Znacznie silniejsze i roślejsze od palestyńskich, mają minę zadzierżystą i z wielką fantazyą trzymają do góry swą głową zdobną w parę potężnych, przysłowiowych uszu. Spacerując tak, znalazłem się w Ezbekieh. Jest to prześliczna oaza zieleni wśród miejskich gmachów, ogród tak piękny, że i Armida na swej zaczarowanej wyspie, piękniejszego pewno nie miała, a jeśli czego mu brakuje, to tylko położenia i widoków na okolicę. Jest on formy owalnej, otoczony żelazną balustradą, w której są cztery bramy od czterech stron horyzontu, obwodu mieć może około wiorsty, potrzebowałem bowiem 14 minut żeby go obejść dokoła; wewnątrz zielone, przepyszne trawniki i moc przeróżnych krzewów i drzew. Były więc tam ścieżki wysadzane krzewem, który często we Włoszech spotykałem, o ciemnych, błyszczących liściach (bodaj że to rodzaj bukszpanu), były laury, mirty, inne znowu krzaki mające duże, szerokie liście jak *justitia*, szczególne kaktusy; w wilgotnych miejscach nad wodą rosły papirusy i olbrzymia trzcina bambusowa; niestety, lichy ze mnie botanik, więc tylko podziwiałem nieznane mi okazy, nie wiedząc najczęściej, co to takiego. Bez porównania jednak ciekawsze były drzewa, a przedewszystkiem rozmaite gatunki palm; pamiętam całą ich grupę o pniach białych i wydętych jak wrzeciona, pamiętam także ogromny

klomb z *latania burbonica*, przy której gasły najpiękniejsze okazy widziane w Europie. Tu także pierwszy raz zobaczyłem sykomorę, świętą figę indyjską. Z gałęzi jej zbiegają korzenie do ziemi, zagłębiają się w niej i formują podpory; zdaleka drzewo stare i grube otoczone takiemi podpórkami, wygląda nadzwyczaj oryginalnie. Pośrodku ogrodu duża sadzawka, a po niej pływają łabędzie, wdzięcznie wygiąwszy swe długie szyje; woda odchodzi szerokim, zręcznie pokręconym kanałem, który gubi się w rogu ogrodu, wśród grot sztucznie ułożonej i dość wysokiej skały. Do grot tych nie radziłbym nikomu na dłużej zaglądać, a kobietom to już wcale nie, dowiedziałem się bowiem z miejscowych gazet, że rozmaite bóstwa olimpijskie lubią w nich cześć odbierać — to też domagano się, żeby policya częściej te chłodne pieczary odwiedzała.

Rozkoszowałem się długo pięknym ogrodem, a gdy się ściemniło, wróciłem do hotelu. Obiad dawano o 7 dopiero, więc było jeszcze trochę czasu, siadłem tedy na marmurowym tarasie i huśtając się zlekka w fotelu na biegunach, zapadłem w zadumę. Koło mnie był cichy, śliczny wieczór iście wiosenny, księżyc świecił łagodnie, dokoła rozchodził się zapach kwiatów, i osrebrzone księżycem wznosiły się zewsząd olbrzymie akacye, mimozy, figi, rozłożyste palmy, rzucając czarne cienie na ulicę i na ściany; na tarasie nie było nikogo, tylko we drzwiach, czekając rozkazu, stał wysoki murzyn, cały w bieli, milczący i nieruchomy jak posąg — a tam gdzieś dalej płynął Nil odwieczny, stały piramidy, drzemały mumie Faraonów, zmarłych przed tysiącami lat — takie to wszystko było dziwne, takie niezwyczajne i takie przyjemne. Rozmyślałem tedy, patrząc w niebo gwiaździste i niewiem już jakim sposobem, przyszedł mi na myśl rosyjski dyakon z permskiej czy jarosławskiej gubernii, którego pielgrzymkę do Ziemi św. kiedyś czytałem. Autor jej był człowiekiem ubogim i prostym, widocznie jednak wrażliwym na piękno natury, a jeszcze więcej na wspomnienia historyczne, które, o ile tyczyły się historyi świętej, znał doskonale. To też ile razy znalazł się w jakiem głośniejszem miejscu, gdy towarzysze spali w najlepsze, on przechadzał się, rozmyślał i nie chciał wierzyć, że się naprawdę w tem sławnem miejscu znajduje. Tak było np. na brzegach jeziora Genezareth, u stóp góry Synai — dyakon chodził, dziwował się sam sobie, a podziw swój stale wyrażał

jednym sposobem: »i czy myślał kiedy mój ś. p. ojciec, że synek jego będzie oto spacerował nad jeziorem, gdzie... i t. d., u góry Synai, gdzie... i t. d.« Uśmiechnąłem się i zapytałem siebie: a mój ś. p. ojciec czy myślał kiedy, wówczas, gdyśmy razem, spokojnie i szczęśliwie mieszkali w piaszczystej wioszczynie nad brzegami Ikwy, że »synek« jego, najmniej ze wszystkich ruchliwy, zajedzie aż tam... gdzie pieprz rośnie, gdzie Nil płynie, i gdzie w listopadzie piękniej niż u nas w maju? Z pewnością nie przeszło mu to i we śnie przez głowę... Przeraźliwy głos gong'u przerwał moje dumania i wezwał na obiad. Nic o nim szczególnego napisać się nie da; zwyczajny sobie obiad angielski z niedopieczonym rostbefem, ale warto wspomnieć o prawdziwym specyale, t. j. wodzie Nilowej. Filtrują ją razy parę i podają w dzbanuszkach o szyi wydłużonej, zrobionych z gliny ciemnej i pozwalającej przesączać się wodzie; są też zawsze z wierzchu pokryte jakby rosą i trzymać je trzeba w głębokich miseczkach. Woda zaś jest tak czystą i tak smaczną, że lepszej chyba niema na świecie — nawet głośne źródło cesarskie w Schönbrunie nie może się z nią równać.

Nazajutrz o 9-ej zjawił się mój przewodnik i zwiastował, że wszystko gotowe i że jedziemy do piramid. Wyszedłem na taras — u stóp schodów czekał powóz, para czarnych jak kruki koni, niecierpliwie grzebała kopytami, na koźle siedział równie czarny woźnica, któremu czerwony fez kipiał na kędzierzawej czuprynie; murzyn odźwierny z przewodnikiem sprowadzili mnie pod ręce, jakby jakiego niedołęgę albo wielką figurę ze schodów i ruszyliśmy wyciągniętego kłusa. Jechałem sobie z fantazyą wielką, niby udzielny książę (nb. bez świty) i rozglądałem się wesoło po mieście. Przewodnik wymieniał mi gmachy i pałace różnych książąt i księżniczek krwi, mijaliśmy prześliczne ogrody; na ulicach, a zwłaszcza na chodnikach, tłok coraz większy, im więcej zbliżamy się do mostu nad Nilem. Ale otoż i jeden i drugi; mostu strzegą cztery lwy z bronzu, a on sam należy zapewne do lepszych i trudniejszych prac w swoim rodzaju, bo niełatwą było rzeczą zbudować go nad tak wielką rzeką; całą jednak uwagę pochłania Nil, o którym się słyszało od dzieciństwa. Oto płynie pod nami pełnem, ogromnem korytem, na nim statków moc niezliczona,

przy brzegach mnóstwo daabii [1]). Przypomniałem sobie przygody w nich Maurycego Manna i nie znęciłyby mnie wcale swoją oryginalnością — wolę statki parowe. Woda w rzece żółta i mętna, niktby nie pomyślał, że to ta sama, którą pijaliśmy z czarnych dzbanków. Czyż i z duszą ludzką nie jest tak samo? W stanie samorodnym mętna i brudna, po długiem »filtrowaniu« może się stać czystszą od najczystszej wody. Za mostem zaczyna się dzielnica El-Gezireh (El-

Widok brzegów Nilu.

Dżezire), jest to miejsce modnych spacerów wielkiego świata, a zarazem niezmiernie ożywiona i ciekawa dzielnica. Drogi w niej jak i ulice w mieście, wysadzane drzewami, najczęściej olbrzymiemi akacyami, tworzą istny labirynt; mnóstwo gajów, lasków, ogrodów, kanały, sadzawki, pałace, wille, mieszają się z kramami, hotelami i pla-

[1]) Daabia, rodzaj statków żaglowych, właściwych Nilowi; zbudowane są nakształt domków na łodzi; oczywiście dachu nie mają, malowane są olejno i zdaleka wyglądają bardzo zachęcająco.

cami publicznymi. Wszędzie ludność tłoczy się jak mrówisko, a jaka niesłychana rozmaitość, jaki gwar, nawoływania, śmiechy, kłótnie! Żeby mieć o tem wyobrażenie, trzeba samemu zobaczyć ten tłum o cerze ogorzałej, o najrozmaitszych, a zawsze wyrazistych rysach, ubrany jaskrawo, rozprawiający głośno, i przesuwający się na tle oryginalnego afrykańskiego otoczenia. Nie jestem ja wielkim wielbicielem Wschodu, ale bawił moje oko widok, jaki miałem przed oczyma, a przytem byłem w dobrym humorze, i w prześliczny ranek jechałem do piramid i do sfinxa. Droga długa, bo prawie półtorej godziny, a bardzo przyjemna i w doskonałym stanie; urządził ją i drzewami wysadził w 1869 r. Izmael pasza dla cesarzowej Eugenii, odtąd drzewa rozrosły się wspaniale i jedzie się wciąż najpiękniejszą aleją. Minąwszy Giseh (Dżise) zwróciliśmy się na zachód i zostawiliśmy za sobą miasto; przed nami roztoczył się widok nadzwyczaj oryginalny. Droga niby grobla wysoka szła pośrodku, a z obydwóch stron, jak okiem sięgnąć, woda albo błoto, przerywane zaroślami, chatkami i domkami na podwyższeniach lub na palach. Przez rozmaite kanały i śluzy woda spływała wciąż ku Nilowi, a że to były okolice najbliższe, więc było jej tu więcej niż gdzieindziej. W jednem miejscu widzimy wśród topieli niewielki pagórek, a na nim maleńka wioseczka; chaty cisną się do siebie, jakby się bały nogi zamoczyć w otaczającej je wodzie; gdzieindziej fellah brodzi po kostki w rzadkiem jak zupa błocie i rzuca do niego ziarna; bawoły wylegają się w zaroślach, pod każdem drzewem wygrzewają się całe dziesiątki szczurów, a gdy nadjedziemy, uciekają do wody, wlokąc za sobą długie, nagie ogony. Przed nami, tuż za urodzajną równiną, wznosi się bez żadnego przejścia, stromy, smutny, kamienisty brzeg, a z za niego widać szczyty piramid. Podjeżdżamy; na dole kilka hoteli dla suchotników, brukowana droga prowadzi na górę; murzyn zacina konie i po chwili jesteśmy u celu. Zbliżyłem się do najbliższej i największej piramidy Cheopsa, i jak nędzny atom zniknąłem w obec jej ogromu. Przedemną olbrzymie głazy piętrzyły się regularnymi schodami coraz wyżej i wyżej, wydawały się coraz mniejszymi, stawały się coraz węższymi i niknęły gdzieś pod błękitami. Właśnie z przeciwnej strony pomaleńku płynęły po niebie białe obłoczki, niby wełniste baranki, chodzące po polu i zdało się mnie, że szczyt piramidy roztrąca je i roz-

Piramidy Cheopsa i Chefrena; widziane zdaleka.

dziela. Sienkiewicz twierdzi, że »sfinx stanowczo większe czyni od piramid wrażenie. Piramidy są to bądź co bądź, geometryczne bryły. Niema w nich duszy, natomiast jest coś suchego, jak w matematyce. Tymczasem sfinx to olbrzymia istota« [1]). Trudno się o to zdanie spierać, bo każdy ma sobie właściwą wrażliwość; gdybym napotkał skałę naturalną tej wielkości, możebym obojętnie na nią patrzył, ale wobec piramid nie sposób rozstać się z myślą, że to jednak dzieło rąk ludzkich, ogrom pracy, wysiłków i życia, potrzebny do wzniesienia takich olbrzymów, może nie mniej przemawia do wyobraźni, od samej tej masy. Żeby zaś dać niejakie o niej wyobrażenie — chociaż wyobrażenie nigdy nie zastąpi rzeczywistości — przypomnę łaskawemu czytelnikowi, że ta czworokątna piramida, tak dobrze znana mu z tysiącznych rysunków, jest wysoką na 480 stóp, że każdy bok jej podstawy liczy 746 stóp (dawniej była wyższą jeszcze i szerszą) i że powierzchnia podstawy zajmuje 548,000 stóp kwadratowych, t. j. 21 morgów, podczas gdy cała objętość przenosi 90 milionów stóp sześciennych. Z kamieni trzech wielkich piramid możnaby całą Francyę otoczyć murem szerokim na stopę, a 10 stóp wysokim, albo z jednej tylko piramidy zbudować 66 katedr kolońskich. Cały Watykan z kościołem św. Piotra, lub cały Eskurial z 22 dziedzińcami, klasztorem i pałacem swoim zmieściłby się we środku, a wieża strasburska nie dosięgłaby szczytu [2]).

Łatwo zrozumieć, że trudno mi było oderwać się od widoku, jaki miałem przed sobą i od myśli, jakie nasuwał, znaleźli się jednak dobrzy ludzie, którzy mi to zadanie ułatwili. Jak bowiem latem są muchy i bąki dla trzeźwienia marzycieli, chcących się upajać naturą, tak przy wszystkich pomnikach i arcydziełach czuwa rodzaj »cziczeronów«, by zatruć każdą chwilę samotnego rozkoszowania się i smakowania. Przy piramidach »cziczeronami« są Beduini — to dosyć. Jakoż opadli mnie jak rój ós jadowitych, z rozmaitemi propozycyami, ponieważ chciałem być sam, więc prosiłem przewodnika, by ich energicznie — przeprosił. Nie na wiele to się zdało, i zdaleka wciąż szli za nami.

Płaszczyzna, na której wzniesiono piramidy, była nierówną, bo

[1]) Listy z Afryki. I. 34.

[2]) Podług X. Pelczara. Ziemia święta i Islam. T. II.

wznosiła się nieco ku wschodowi, więc ją zrównano i wskutek tego z dwóch stron jest ona ograniczoną pionowo ściętą skałą, niezbyt zresztą wysoką. W ścianach tych wyżłobiono mnóstwo grobów, jaskiń, lochów; chowano tam zapewne kapłanów i wysokich dygnitarzy. Dzisiaj wszystkie groby puste; zwiedzałem niektóre. Widać miejsca, gdzie leżały mumie, pełno kamieni grobowych, gdzieniegdzie pozostawały hieroglify. Widok ten napełniał mnie coraz większym smutkiem i nieokreśloną tęsknotą. Idziemy do następnej piramidy Chefrena; spojrzałem pod nogi i widzę, że przedemną gramoli się w piasku żuk jakiś, patrzę lepiej i poznaję: to *scarabeus*, symbol królewskości i bóstwa Faraonów, którzy jego obrazem zdobili czoła swoje i piersi, a bodaj i sam on cześć boską odbierał. Gdzie to te czasy? Mumie Faraonów leżą w niedalekiem muzeum, lub gdzieś się kryją pod ziemią, Egipt kilka razy zmienił panów i mieszkańców, a scarabeus po dawnemu — bez pretensyi do bóstwa i królewskości — pełza sobie spokojnie u stóp grobowca boskiego Cheopsa. I zdało mi się, że słyszę owo źródło, które

> . . . . . perłowe łzy sącząc, woła przez pustynie:
> Gdzież jesteś o miłości, potęgo i chwało?
> Wy macie trwać na wieki, źródło szybko płynie;
> O hańbo! Wyście przeszły, a zródło zostało![1]).

Opatrzywszy i trzecią piramidę (najmniejszą z trzech wielkich) Menkera, zwróciłem się znowu ku pierwszej i oglądałem ruiny jakiejś świątyni, blizko niej leżące. Fundamenty, a zatem i rzut poziomy, jeszcze widoczne, pozostały nawet resztki ścian z olbrzymich głazów zwietrzałych i podziurawionych. (Niektóre bryły były tak wysokie jak ja, a długie na 8 kroków). Poprosiłem mego »gida« żeby sobie gdzie w cieniu odpoczął, usiadłem na jednym z głazów owej świątyni i pozostałem sam jeden »z dumami mojemi«. W ich towarzystwie spędziłem najmilszą półgodzinę. Siedziałem oto na krańcu pustyni, obok grobowców z niczem niezrównanych, na południu daleko ciemniał las palmowy, kryjący dalsze piramidy, podemną za równiną wodą zalaną, płynął jak przed wiekami Nil płowy, za nim zieleniły się pola i ogrody, rozłożyło się miasto ogromne, sięgające aż do

[1]) Sonety krymskie. Bagczesaraj.

pustych wzgórz Mokattamu, w błękitnej atmosferze pływały przedemną drzewa, pola, pałace, a jeśli oko sięgało dalej, widziało wszystko przesłonięte mgłą jakąś srebrzystą, niezrównanej subtelności. Od wody ciągnął orzeźwiający wietrzyk i wywoływał wspomnienia i obrazy prawdziwie niezliczone. Na tej oto wązkiej równinie od 6000 lat żyją i ruszają się ludzie, a kogo i czego nie widziały te mętne wody Nilu, te prastare piramidy i ten sfinx olbrzymi, co tam niżej wciąż patrzy na dolinę i uśmiecha się zagadkowo? Mknęły przedemną chorowody ogolonych kapłanów, procesye Aspisa, widziałem tryumfy Ramzesów. Tędy szły hordy Hyksonów i Persów, na tej równinie jęczeli żydzi, tam oto niżej wskazują miejsce, gdzie w Nilu wyłowiono Mojżesza; przemknęła tędy cicho Najświętsza Rodzina, a dalej wśród piasków i skał rozpalonych, kryli się pustelnicy i stamtąd wyszły zakony chrześcijańskie, co postać świata z czasem przemieniły. Kambyzes, Alexander Macedoński, Ptolomeusze, Cezar i Kleopatra, Rzymianie i Grecy Bizancyum, Arabowie i Napoleon, wszyscy oni tędy przechodzili, tutaj żyli, walczyli, wznosili się, panowali — i przeszli. Teraz Nil po dawnemu ciche toczy nurty, i wiatr cichy po dawnemu trąca kamienną pierś piramid — a oni przemknęli dawno po falach życia i nie powrócą — przebrzmiały ich głosy i nie zabrzmią więcej. Cała ta kilkotysiącletnia przeszłość mówiła do mnie ze wszech stron i słyszałem głosy, które wprawdzie słyszeć można, ale nie wiem, czy kto powtórzyć potrafi, a zeznanie i pewność, że człowiek ze wszystkiem co ma, nietylko wobec wieczności, lecz nawet wobec historyi, jest jakimś niepochwytnej małości i nicości pyłkiem i atomem, napełniło mnie dziwnym smutkiem i upokorzeniem i zdało mi się, że zrozumiałem życzenie wielkiego poety, gdy zmęczony życiem pisał:

Chciałbym spokojnie, cicho, bez boleści
Rozsnuć do ziemi wiążące mnie nici,
Zginąć bez śladu i zniknąć bez wieści,
Jak kropla w morzu, jak mgła na błękicie.

Bo czemże my w rzeczy samej jesteśmy, jeśli nie kroplą, nie mgłą, na chwilę zjawiającą się i niknącą bez śladu?

Przewodnik powrócił i wskazywał mi Anglików na szczycie piramidy, nie mogłem ich gołem okiem dopatrzyć i dopiero przez bi-

nokle zobaczyłem kilka postaci wielkości lalek dziecinnych. Oprócz trzech wielkich piramid jest tu jeszcze pewna liczba małych; były to grobowce królów, którzy krótko panując, nie mieli czasu wybudować sobie większych. Wszystkie one prawie są mocno nadwerężone. Gdyśmy zbliżali się do jednej z nich, wyskoczyła z niej hyena i uciekła piorunem; we wnętrzu pełno szpar i dziur, to też przewodnik nie pozwolił mi w niem stać dłużej nad kilka sekund, utrzymując, że to właśnie główne siedliska gadzin i wężów bardzo jadowitych. Brnąc po piasku i drobnych kamykach, zeszliśmy trochę niżej do sławnego wielkiego sfinxa. Jeszcze do niedawna był on zasypany piaskiem i tylko głowa sterczała na wierzchu, teraz piasek odrzucono i całe olbrzymie cielsko wraz z podstawą jest widoczne. Jest to skała wyciosana w kształt fantastycznego zwierzęcia — długość ciała wynosi $172^1/_2$ stóp (prawie 25 sążni) nadto, wyciągnięte przednie łapy z pazurami są długie na 65 stóp, wysokość od nóg do czoła 74 stóp; w uchu może się zmieścić słuszny mężczyzna. Nie wielkość jednak jego największe robi wrażenie, lecz wyraz twarzy; jest ona mocno zniszczoną przez czas, więcej jeszcze przez mameluków, którzy do niej jak do celu strzelali, nos prawie zupełnie odbity, ale pozostały usta, a na nich uśmiech jakiś taki zagadkowy, taki nieokreślony, a jednocześnie tak przyciągający i przykuwający, że nie można się od niego oderwać. Ten dziwny potwór kamienny, leży na granicy pustyni i żyznej doliny, na progu grobów i ciągłego życia i nikt nie pamięta, nikt nie wie, jak on tu powstał i kiedy, ale zato patrzącemu na jego uśmiech zagadkowy zdaje się, że sfinx wszystko zrozumiał, bo wszystko widział i dlatego uśmiecha się dziwnie i patrzy gdzieś w dal nieokreśloną. Lepszego uosobienia zagadki nie może już być chyba pod słońcem. Zdaje się, jakby od stóp cmentarza milczącego patrzał on na arenę dziejów ludzkich i miał tak zagadkową minę, jak zagadkową jest historya człowieka. Tak, bo to naprawdę zagadka, która w całości zostanie rozwiązaną wówczas, gdy Syn człowieczy zasiądzie w majestacie swoim; sądzić żywych i umarłych — wtenczas wszyscy wszystko zrozumieją, a Pan usprawiedliwi się w mowach swoich i zwycięży, gdyż bywał posądzany.

Bardzo niedaleko od sfinxa jest świątynia bardzo niedawno

odkopana i oczyszczona. Kiedym jeszcze był małem chłopięciem i do szkół nawet nie chodził, dorwałem się do historyi Egiptu, w której była ona opisaną z podań czy opisów starożytnych i było dodano, że teraz jest zasypaną piaskiem. Wówczas zupełnie zrozumieć nie mogłem, jak piasek mógł taki wielki budynek zasypać, dlaczego ludzie na to pozwolili, ale ów tajemniczy przybytek był dla mnie tematem do rozmaitych, bardzo fantastycznych obrazów i przypuszczeń.

Sfinx.

Teraz wchodziłem do niego, niby do dawnego znajomego. Nie wiem jakie bóstwo tu czczono; świątynię wykuto w skale, ale dach czy strop był na równi z ziemią i zapewne miał okna, oświecające wnętrza; dziś stropu niema, ściany i filary stoją bez pokrycia, widno więc we środku i jasno; pomimo tego, jakieś dziwne, tajemnicze uczucie przejmuje wędrowca, gdy zwiedza te miejsca i kryjówki dziś puste, niegdyś pełne tajemnic. Rozkład gmachu nieregularny — podziwiałem filary z ciemnoczerwonego polerowanego granitu. Niektóre

są z jednej bryły kamienia, tak ogromnej, że wewnątrz możnaby zrobić maleńką celkę. W bocznej nawie po prawej stronie wykuto w skale kilka pokoików, niezbyt wysokich, szerokich na jakie 5 - 6 kroków, ściany wyłożone są takim samym polerowanym granitem, a strop zastępują płyty z tegoż kamienia. W innych celach składa się on z dwóch płyt (co już jest czemś niezwykłem) ale w jednej, cały strop długi 11 kroków, nakryty jest jednolitą płytą na jakie $1^1/_2$ stopy grubą i kilka kroków szeroką. Przerażenie ogarnia na widok czegoś podobnego; ile to pracy i wysiłków kosztować musiało!

W ostatniej komorze świątyni usiedliśmy dla zjedzenia śniadania, któreśmy z hotelu zabrali; otoczyła nas natychmiast cała banda Arabów, sprzedających różne drobne rzeczy, poznajdywane w grobach; najgorzej dokuczał mi jakiś starzec, mający jednego tylko szakala z żółtego kamienia, wielkości breloka — ten mi tchnąć nie dawał, gdzie się zwrócę, stary już przykucnął przedemną i pokazuje swój kamyk, mówiąc: kup szakala — wstanę, to mi z boku zachodzi — kup szakala. Kupiłem kilka figurek ciekawych bardzo u innych Arabów, on stale ukazywał się z za każdego: kup szakala. Oczywiście nie kupiłem.

Proponowano mi, bym się fotografował na miejscu (bo już jest tu zakład fotograficzny) i to siedząc na wielbłądzie, z prawdziwemi piramidami na dalszym planie, ale już byłem zmęczony i wolałem powrócić do domu, albo raczej do hotelu. Tymczasem, gdyśmy przyjechali do mostu, pokazało się, że był podniesiony dla puszczenia statków, trzeba więc było czekać jaką godzinę; żeby czasu nie tracić pojechaliśmy do hotelu El-Gesireh, ale jaki to hotel! W bajkach tysiąc nocy i jedna podobnego niema, nietylko dlatego, że wówczas jeszcze nikt o hotelach nie słyszał, ale że i na przepych podobny nieumianoby się zdobyć. Był to bowiem jeden z pałaców Izmaela paszy, w którym on trzymał swój harem; obecnie konsorcyum francuskie nabyło go i urządziło hotel dla »śmietanki« całego świata. Jako niemieszkający w nim, nie mogłem wszystkiego oglądać, ale i to, co widziałem przekonało mnie, że były chedyw miał gust, a pieniędzy nie żałował. To też dzięki jego pałacom i innym zbytkom, Egipt wlazł w długi, a z długami do Egiptu wleźli Anglicy — czy kiedy zostaną wyproszeni, oczywiście nie wiem, ale że ich wszędzie tam

pełno i że gospodarują jak szare gęsi, to odrazu dla każdego widoczne. Zresztą pobyt ich w Egipcie, jak każda rzecz bodaj, ma dobrą i złą stronę. Nie jestem ja zwolennikiem angielskiego charakteru, a polityka i historya angielska wstręt we mnie i oburzenie budzą, trzeba jednak przyznać, że sprężystą ich rękę widać tu na każdym kroku — wszędzie ład i porządek. Ale wracam jeszcze na chwilkę do hotelu, a raczej dawnego pałacu; jest on otoczony bardzo ładnym parkiem, a ten znowu napełniony całym tłumem marmurowych posągów, wśród których — ani jednego męskiego. Widocznie stary chedyw nie chciał swoim niewiastom nasuwać niepotrzebnych myśli i pokus. Przy bramie tylko zauważyłem posąg staruszka, wyobrażającego zimę — ten nie był niebezpiecznym. Przetrąciwszy trochę, powróciłem znowu do mostu i nim ruch przywrócono, przypatrywałem się ludności, której się mnóstwo zebrało. Z wielkiem politowaniem patrzyłem na kobiety z ludu; chodzą one w siwych koszulach do ziemi i w zasłonach, pozostawiających tylko oczy odkryte. Wierzchnia część zasłony połączona jest z dolną, za pomocą rzemyka, czy paska idącego przez czoło i nos, a ozdobionego kółkami mosiężnemi, zupełnie jak u nas w uprzęży końskiej — i to podobieństwo do jucznego, zapracowanego bydlęcia, przejmowało mnie współczuciem dla tych biednych istot; bo i czem one są naprawdę, jeśli nie bydlętami? Widziałem także sporo żołnierzy egipskich; wyglądają okazale, słusznego wzrostu, odziani czysto i porządnie, mają minę magnatów przy nędznie ubranym, drobnym żołnierzu tureckim. Tymczasem ten bije się do ostatka, a oni pierzchają po pierwszym wystrzale; nie mogłem im zapomnieć Tel-el-Kebiru.

Nad wieczorem znowu spacer do Esbekieh; kiedym wchodził do ogrodu, spotkałem kilkudziesięciu muzykantów wojskowych egipskich z nutami i instrumentami. No, ci mnie dopiero uraczą kakofonią, pomyślałem sobie; tymczasem pomyliłem się. Pod przewodnictwem Niemca kapelmistrza grali bardzo równo, czysto, poprawnie; za to już bez śladu jakiegoś zapału i przejęcia się. Zebrał się koło nich tłum prawie wyłącznie europejski i mogłoby mi się zdawać, że jestem gdzie w Medyolanie lub Wiedniu, gdyby nie to, że niekiedy przewinęła się postać egipska, albo zgoła nawet murzyńska i że miałem przed sobą grupy palm, sykomory i bambusy. Siedziałem nad brze-

giem sadzawki; w oddali *cornet à piston* płakał pieśnią Violetty. *Addio, del passato bei sogni ridenti...* Ogród pogrążał się w cieniach nocy, księżyc zaglądał przez gałęzie mimozy, a senne łabędzie płynęły powoli do swoich domków na nocny spoczynek.

Odprawiwszy mszę św. 13 listopada w znanym już nam kościółku św. Józefa, wybrałem się z moim przewodnikiem do wielkiej ciekawości Kairu, do muzeum w Gizeh. Mieści się ono w byłym pałacu Izmaela paszy, większym jeszcze niż w El-Gezireh, tylko że wszystkie jego przepychy przeniesiono gdzieindziej, a zamieniono je bez porównania cenniejszemi, umieszczono tu bowiem muzeum starożytności egipskich z Bulaku i wzbogacono nowymi zbiorami. Jest to dla uczonego i dla każdego zresztą myślącego człowieka prawdziwe miejsce rozkoszy; można w niem odtworzyć sobie życie starego Egiptu, a wędrując po kilkudziesięciu salach pałacu, można w końcu uledz złudzeniu, że się przeniosło wstecz o kilka tysięcy lat. Czego bo tam niema! Więc np. drewniane wyobrażenia rzemieślników, modele łódek i barkarzy odkopane gdzieś w zwaliskach, posągi przeróżne i napisy — przepatruję je dość powierzchownie, bo i czasu mam niewiele i ciągnie mnie do sali sławnych mumii królewskich. I oto stoję przed trumną Ramzesa II, wielkiego Sezostrisa Greków. Ta długa, ciemna, wyschła, na poły obnażona mumia, to zwycięzca Chetów pod Kadeszem, to wielki budowniczy i ciemięzca ludu; jego to opiewał Pentaur, jego świat cały miał długo za największego z królów Egiptu, a właśni poddani za boga »wielkiego, prawdziwego i dobrego«. I przypomniałem sobie tę chwilę, gdy leżący przedemną król, otoczony wrogami, sześć razy wypuszczał wóz swój, druzgocąc wszystko, co mu stanęło na drodze »ogromny lew biegł obok jego rumaków, wściekłość rozpalała wszystkie jego członki i ktokolwiek się zbliżał, padał powalony...« Potem tryumfalny powrót do stolicy, gdzie bóg Ammon powitał go temi słowy: »Bądź pozdrowiony Ramzesie, synu nasz ukochany, udzielamy ci niezliczonych lat życia! Pozostań na zawsze na tronie ojca twego Ammona i niechaj barbarzyńcy będą zdruzgotani pod sandałami twoimi«. Wyobraziłem go sobie »zasiadającego na wielkim pozłacanym tronie, uwieńczonego koroną z dwoma piórami i obmyślającego sposoby ułatwienia karawanom dostępu do kopalni złota, które leżą między Nilem a mo-

rzem Czerwonem... Doradcy korony zjawiają się przed oblicze dobrego boga z podniesionemi do góry rękoma, w postawie pełnej uwielbienia, i padając na twarz, leżą podczas przedstawienia sprawy. Krótko i dokładnie opisuje im Faraon stan owej miejscowości i pyta, czy trzeba kopać studnię na drodze karawanowej czy też nie. Na odpowiedź radców nie trzeba długo czekać. »Tyś jest jak Ra we wszystkiem, cokolwiek czynisz, niechaj się więc spełnią życzenia twego serca. Jeżeli czegokolwiek zażądasz z wieczora, będzie to już gotowe o świcie. Widzieliśmy wiele cudów, których dokonałeś od czasu, kiedy raczyłeś zostać władcą świata i uszy nasze nie słyszą, oczy nasze nie widzą gdzieindziej czegoś podobnego. Wszystko, co z ust twoich wychodzi, jest jakby słowa Harmachisa, język twój waży, wargi twoje mierzą słuszniej, aniżeli najsprawiedliwsza waga Thota; czy jest co, czego nie znasz? Czy jest więc kto doskonalszy od ciebie?... Ponieważ jesteś wieczny, działać należy według twoich zamiarów i słuchać wszystkiego, co ty mówisz, władco, Panie nasz [1]). I oto ten zwycięzca, ten »wieczny« ten »bóg dobry« leży przedemną — suche, długie ręce złożył na piersiach, na brzuchu widać długą ranę, przez którą wyjęto mu jelita przed balsamowaniem... »Gdzież jesteś o miłości, potęgo i chwało?«

Obok Ramzesa II spoczywa ojciec jego Seti I, wielki król, wielki wojownik i wielki budowniczy — on to wzniósł ową sławną kolumnową salę w Karnaku, która dotąd podziw budzi w przechodniu, dalej Ramzes III, Tutmes II i III i wielu innych. W jednej z sal niezmiernie przykre wrażenie zrobiła na mnie mumia kapłanki Thota. Z pod resztek ubrania wystawały nagie, wyprężone kości nóg, głowa zaś, na której pozostała skóra, a nawet czarne, karbowane włosy, zwrócona była ku poduszce. Zdawało się, jakby ta młoda kobieta skonała w okropnych jakichś mękach i wyraz boleści dotąd na jej ciele pozostał. W dalszych salach, obok hieroglifów i napisów, zauważyłem mnóstwo kamiennych posągów pisarzy publicznych, siedzących zawsze w jednakowej pozycyi. Pamiętam dwie duże łodzie, odgrzebane gdzieś w mule rzecznym; drzewo ich nabrało pięknego brunatnego koloru *brun Vandyck*. Na piętrze dalszy ciąg tegoż sa-

[1]) Maspero. Opowiadania historyczne. Egipt i Assyrya, str. 65.

mego, a także ogromna liczba kobiecych ozdób ze złota i kamieni, pieczęcie, narzędzia, instrumenty, papirusy, dawne stroje i ubiory; jest też para sal poświęconych Egiptowi chrześcijańskiemu. W jednej z nich z szacunkiem patrzyłem na uczonego, spisującego niezrozumiałe dla mnie znaki koptyjskiego napisu. Są całe sale zastawione mumiami, sarkofagami z bazaltu, drewnianemi, jaskrawo malowanemi trumnami i t. p. jest także bardzo ciekawa sala zapełniona mumiami zwierząt. Święte psy, koty, ibisy, bociany, siedzą, leżą i stoją na pułkach i na ziemi; środek zajmują trzy krokodyle. Jeden z nich ma długości 10 kroków (bom go zmierzył) t. j. 9 łokci — 3 sążnie. Proszę sobie wyobrazić, jak to straszydło wyglądało za życia. Głowa jak kufer, paszcza okropna, zęby mało nie piędź wielkie z niej wyłażą, a cała postać jest uosobieniem ślepego, nieubłaganego okrucieństwa. Niema co mówić, pięknego sobie boga wybrali starożytni Egipcyanie. Opuściłem muzeum, jak zwykle w podobnych razach bywa, z bólem głowy i ze szczerym żalem, że mogłem w niem zabawić tylko parę godzin; sądzę, że dla dokładnego poznania wszystkich zawartych w niem skarbów, trzebaby chyba przez miesiąc po kilka godzin w niem zostawać, dla studyów zaś głębszych — choćby lata całe.

Nad wieczorem wyjechałem do Aleksandryi. Mój sympatyczny dragoman odprowadził mnie do wagonu i zalecał, bym się dopytywał o hotel Abbat'a. Po trzygodzinnej drodze stanąłem szczęśliwie u celu; pierwszy człowiek, którego przez szybę wagonu zobaczyłem, miał wyhaftowane na kołnierzu wyrazy: *hotel Abbat.* Wcale to dobry naprawdę hotel, a ma tę jeszcze wygraną, że stoi tuż obok klasztoru Bernardynów i wielkiego ich kościoła św. Katarzyny, będącego razem i katedrą. Korzystałem z tego i przez dwa dni mego tutaj pobytu, mogłem mszę św. odprawiać. O Aleksandryi nic już memu czytelnikowi nie powiem, choćby dla tego jednego powodu, że sam o niej wiem niewiele. Duże to, handlowe i prawie zupełnie europejskie miasto, starożytności w niem żadnych niema, a nowych ciekawych rzeczy także bodaj niewiele. Choćby jednak były, nie mógłbym ich widzieć, bo byłem chory; zrozumiałem wtenczas dziwne na pozór żądanie ludzi, chorujących lub umierających daleko od swoich, by umrzeć w domu, a przynajmniej by kości ich złożono we własnej

ziemi. Byłem wyczerpany, myślałem jednak tylko o powrocie i powtarzałem sobie w duszy, tylko jedno słowo: jechać, jechać. Czułem też, że gdybym napewno wiedział, że umrę w drodze, bez chwili wahania siadłbym na statek i płynął. Rosyjski okręt, który miał mnie zabrać, powinien był przyjść zrana jeszcze; nie mogłem wytrzymać i po obiedzie pojechałem do portu, czyli jak tu mówią na *marinę*, by się naocznie przekonać, jak rzeczy stoją. Okręt był na miejscu — okręt ogromny (para do Czichaczewa) piękny, mocny; odetchnąłem swobodniej, gdym go zobaczył i powtórzyłem sobie nasze ulubione: jakoś to będzie. Stamtąd pojechałem do ogrodu Antoniadesa (Greka) gdzieś aż za miastem i po raz ostatni lubowałem się bujną roślinnością afrykańską. Choć to był raz ostatni, bez wielkiego jednak żalu spoglądałem na palmy i pomarańcze obciążone owocami i dałbym wiele, gdybym zamiast nich patrzeć już mógł na nasze sosny i brzozy pokryte śniegiem. Jutro miał się rozpocząć nareszcie najdłuższy, najtrudniejszy, ale też ostatni etap mojej podróży.

ROZDZIAŁ VI.

Powrót do domu i zakończenie.

16—28 listopada.

Kto czytał Sienkiewicza »Listy z Afryki«, pamięta zapewne, z jaką to gorączkową niecierpliwością oczekiwał on okrętu, który go miał do Europy przywieźć; czegoś podobnego, lubo może w mniejszym nieco stopniu i ja doświadczałem. Opanowała mnie dziecinna prawie trwoga, żeby »Królowa Olga« nie odpłynęła bezemnie. Nie ciekawy też był sen mój tej nocy, a ledwo szarzało na dworze, ja już zerwałem się na nogi i dalej składać manatki i zapinać tłómoczki. Z wielką to przyjemnością robiłem. O 7-mej godzinie już byłem w porcie; jeden z pierwszych, jeśli nie najpierwszy, dostałem się na pokład i dopierom się uspokoił, kiedym zajął kajutę i rozłożył się w niej; wtenczas wyszedłem znowu na górę, by się przypatrzyć miastu, żegnanemu bez żalu i ogromnemu ruchowi w porcie, zapchanym nieprzeliczonem mnóstwem wielkich i małych statków. Podjęto kotwicę, rozległ się potrójny ryk parowej gwizdawki, okręt zatrząsł się — płyniemy. Przeżegnałem się wielkim krzyżem, jak przed każdą podróżą zmówiłem »Pod Twoją obronę« i ucieszyłem się w duchu — teraz tylko cała rzecz, żeby gdzie nie utonąć po drodze, ale jakoś to będzie. I oto znowu jesteśmy na otwartem morzu; brzegi afrykańskie skryły się i znikły, dokoła nic nie widać prócz szafirowej toni pod nami i takiegoż nieba nad nami, często już poplamionego białemi chmurkami. Ciepło i pięknie; wiatr wieje z boku i okręt nieco się chwieje, ale niebardzo i nic to nikomu nie szkodzi. I znowu prze-

siaduję na ławach przy burcie, znowu rozmyślam, spacerując po pokładzie, ale teraz dumy moje bardzo różne od dawniejszych; czasami przemknie w oddali parowiec, majtkowie zaraz poznają jaki i czyj, a my odbieramy wizyty — powietrznych gości. Raz po raz spadają na pokład i maszty biedne ptaki, lecące na południe; tak są pomęczone, że nie mogą podlecieć, gdy się kto zbliży, lecz chowają się za paki i pudła. Przyjmujemy je gościnnie, stawiając wodę i rzucając okruchy. Raz przeleciała koło mnie mała ptaszyna tak zmęczona, że wysiłek w machaniu skrzydełkami był widoczny, nie zatrzymała się jednak i poleciała dalej; czy też biedactwo doleciało, bo już byliśmy o dobę prawie oddaleni od Egiptu. W miarę posuwania się ku północy robiło się coraz chłodniej i ja wyciągałem coraz jakiś kawałek cieplejszego przyodziewku, z niemałem zadowoleniem przerabiając się na człowieka z północy. Rankiem 17 listopada płynęliśmy wzdłuż brzegów Kandyi, spokojnej jeszcze wówczas; nie przypuszczałem nawet, że były to ostatnie dni spokojne na tej wyspie i w całem zresztą państwie tureckiem. Mamy przed sobą całą jeszcze dobę nudnej drogi, nim staniemy w Pireusie; dla skrócenia jej zapoznam czytelników, jak i na początku pielgrzymki, z towarzyszami, jakich mi los nadarzył. Niedużo nas było; jeszcze druga i trzecia klasy były więcej zapełnione, ale w pierwszej były prawie pustki — niewięcej nad 12—14 osób; mogliśmy też wybierać w kajutach, których było 40. Najmniej da się powiedzieć o dwóch tłustych, dobrodusznych kupcach z Lipska; siedzieli oni zwykle w »fiumoarze« w jedwabnych czapeczkach na głowie, z cygarem w zębach, butelką piwa przy każdym i po całych dniach i wieczorach w obłokach dymu grali z sobą w karty. Bardzo dystyngowaną damą była wdowa po pułkowniku gwardyi, który umarł w Kairze i którego ciało ona teraz wiozła do Petersburga czy do Moskwy; jechał z nią jej syn, może lat 12 chłopak, i jego nauczyciel muzyki, najosobliwszy okaz, jaki spotkać można. Był to młody jeszcze mężczyzna, około lat 30, blady i pozujący na stoika, dużo rozprawiał o mocnej woli i twierdził, że za jej pomocą człowiek wszystko z sobą może zrobić, nawet stłumić ból fizyczny. Urodzony z Francuza i Niemki, a wychowany w Petersburgu, mówił trzema językami tak doskonale i z właściwym każdemu akcentem, że nie można było zgadnąć, jakiej był narodowości. O sobie, trzeba mu oddać sprawiedliwość, zbyt skro-

mnie nie trzymał; kiedym zaczął z nim rozmowę o muzyce, przyznał mi się, że jego *fort* nie jest wirtuozostwo, lecz kompozycya. W jakim rodzaju pan komponuje i czy już co wydał? — Mój rodzaj dramatyczny i napisałem już mniejszych i większych z 240 opusów, odpowiedział skromnie. Rety, pomyślałem sobie, jak pan Jowialski, to jakiś wielki człowiek, więc pytam nieśmiało: jakże godność, jeśli łaska? — N. N. — Spłonąłem ze wstydu, bo choćby mi głowę urwano, nie mógłbym sobie nikogo podobnego przypomnieć. Daruje maestro, — mówię zaambarasowany — nie wiem jak to sobie wytłómaczyć, ale znam wszystkie główniejsze nazwiska muzyczne, pańskiego jakoś nie słyszałem, siedząc w naszym zakątku. — O, widzi M. l'abbé, to nic dziwnego, ja jeszcze moich oper nie drukowałem, mam je w tece. — A no, chyba tak — odetchnąłem. Najciekawszym jednak był ten człowiek ze względu na chaos pojęć religijnych i filozoficznych, panujących w jego głowie; gdyby ją publicznie pokazywać za biletami, możnaby sporo zarobić. Człowiek bardzo skądinąd dorzeczny, uprzejmy i dobrego serca, biegły dosyć muzyk (później się o tem przekonałem), kiedy zaczął rozprawiać o religii i filozofii, prawił takie rzeczy, że siedzący przy stole oficerowie, marynarze i inni bynajmniej nie teologowie, oczy jeno ze zdziwienia rozszerzali. Twierdził on np., że w świecie rozsypane są niewidzialne elementa wszech rzeczy i że myśl ludzka ma siłę i moc skupienia ich, a zatem i stwarzania, że siedząc długo przed pustą szklanką i myśląc o tem, żeby ją wodą zapełnić, można tego dokazać i w szklance znajdzie się woda (dobrze, że miłośnicy wódki o tej sztuce nie wiedzą). Święcie wierzył w spirytyzm i w objawienie się duchów. W Pireusie wsiedli na nasz okręt trzej oficerowie rosyjskiej pancernej eskadry, otóż siedzieliśmy raz z nimi w pięciu przy stole i gawędzili; niewiem z jakiej racyi zgadało się o Mojżeszu i pentateuchu; kiedym się zaczął rozwodzić z zachwytem nad cechami boskości objawienia mojżeszowego, muzyk przerwał ze zgryźliwym uśmiechem: jak ksiądz może nawet tak mówić o takim niegodziwym człowieku jak Mojżesz! — Jakto — pytam zdziwiony — a w czemże to i dlaczego był on niegodziwym, skąd pan o tem wiesz? — Skąd? — odpowiada mi — przecież duch Richardsona powiedział, że Mojżesz był taki oszust (żulik), że.... nie dokończył, bo oficerowie rozśmiali się na całe gardło z takich dowodów, a później

mi mówili: ten Niemczyk ma zupełnego szusta w głowie, a ja ze smutkiem myślałem o słowach św. Pawła: »Będzie czas, gdy zdrowej nauki nie ścierpią, ale według swoich pożądliwości nagromadzą sobie nauczycielów, mając świerzbiące uszy, a od prawdy słuchania odwrócą, a ku baśniom się obrócą (V Tym. IV.). Smutny to objaw nad wyraz; iluż jednak jest ludzi, dla których objawienie chrześcijańskie niema żadnej podstawy, ale za to gotowi przysięgać na ducha Richardsona, na możność napełnienia próżnej szklanki za pomocą myśli i na tym podobne p r a w d y i dlatego uważają siebie za wyzwolonych z więzów przesądu, za umysły krytyczne, a nas wierzących — za naiwnych prostaczków.

Wielką ciekawością całego statku i prawdziwą na nim sprawiającą sensacyę, była osoba, o której teraz mam mówić, a którą miałem na myśli, gdym wspominał o drugiem, powiększonem wydaniu owej ekscentrycznej Angielki, co to tak dokazywała w Nazarecie. Była to sucha, nizkiego wzrostu, około 60 lat mogąca mieć kobieta, mówiąca piskliwym głosikiem, z wyrazem dziwnej złości na twarzy i błyskami rozzłoszczonej gadziny w stalowo błękitnawych oczach. Właściwie niewiem, kto ona była, jakie zajmowała stanowisko społeczne — pozowała na wielką damę, mówiła po francusku, a miała nazwisko niemieckie. Trudno wyobrazić sobie, co to był za impertynencki, egoistyczny i niedelikatny charakter. To też zawieruszyło się na naszym okręcie, skoro się na nim znalazła; jeszcześmy stali w aleksandryjskim porcie, gdy kazała służącemu kupić sobie gazetę; ten wręczając ją zażądał 10 centymów, dama owa daje 8, służący mówi: nie mogę, proszę pani, bo chłopiec sprzedający żąda 10. Daj mu w gębę odemnie, brzmiała odpowiedź. W pół godziny po wypłynięciu z portu, już troje ze służby przyszło do kapitana na skargę; służącą wyszturchała, stewarta, bardzo poważnego Maltańczyka, zwymyślała od omentrów i per *ty* itd. Szczególniejszą jednak nienawiść czuła do Niemców i do katolickich księży. Siedząc przy kapitanie, Niemcu z nad Baltyku, powiedziała, że dopiero byłoby dobrze w jej kraju, gdyby wszystkim Niemcom urządzono — nieszpory sycylijskie. Struchlałem na taką brutalność, na szczęście kapitan nie rozumiał po francusku. Wieczorem przy herbacie wszedł nasz muzyk i powiedział, że czuje jakiś ostry ból w muszkułach, potem zaczął mówić

o czem innem. Ja, że siedziałem przy Niemcach, więc z nimi kaleczyłem niemczyznę, z innymi zaś mówiłem po rosyjsku, do francuskiej rozmowy nie mięszałem się wcale. Nasza imość tymczasem zaczyna rozpowiadać o nadużyciach katolickiego duchowieństwa w Jerozolimie: »Co oni tam wyrabiają, co oni tam wyrabiają — *des choses terribles*“ itd. Ja wysłuchałem wszystkiego cierpliwie, a gdym skończył herbatę i miał wychodzić, zwróciłem się do muzyka i dałem mu po francusku radę, jak się onego bólu muszkułów ma pozbyć. Zerknąłem na staruszkę — minę miała arcyniemądrą. Upodobanie czuła przy stole wyciągać wszelkie możliwe, a najbardziej drażliwe kwestye religijne i narodowościowe; trzeba oddać sprawiedliwość moim towarzyszom, że ich to niezmiernie drażniło, a najwięcej kapitana, który jej robił delikatne i żartobliwe uwagi — nic nie pomagało. W ciągu kilku godzin staruszka zrobiła się rarogiem całej załogi, a gdy wyszła na pokład, wszyscy przychodzili popatrzeć na nią zdaleka. Nazwano ją też »złaja barynia« (zła pani). Długoby było, a mało zajmującem, o wszystkiem rozpowiadać; skończyło się na tem, że na drugi dzień przy śniadaniu, gdy dama znowu siadła na swego konika, kapitan przemówił do niej »jako władzę mający«, inni pomogli i nastąpiło »poskromienie złośnicy« bez takich scen, jak w komedyi Szekspir'a. Babina zamilkła, jakby wody w usta nabrała; tak jej to milczenie jednak dokuczało, że choć miała z nami płynąć do Rosyi, zdecydowała się wysiąść w Konstantynopolu. Poczciwy kapitan, opowiadając mi o tem postanowieniu, dodał z westchnieniem ulgi: »Chwała Bogu! Gdy mi to powiedziała, ażem się przeżegnał z radości.... gdyby się baba nie uspokoiła, kazałbym ją w Pireusie na ląd wysadzić, z jej manatkami razem«.

W takiem towarzystwie po dwóch dobach stanęliśmy w Pireusie zrana 18 listopada. Prawie wszyscy podróżni pierwszej klasy i wielu z drugiej pojechali do Aten; czasu było dosyć, bo jedzie się koleją 18 minut, a mieliśmy stać do pierwszej po południu. Ja nie pojechałem, taka mnie opanowała chorobliwa obawa, że może się stać jaki przypadek, mogę się spóźnić i okręt odjedzie bezemnie. Zostałem więc i patrzałem, jak w ciągu kilku godzin niezmierne paki i moc beczek ogromnych znikały we wnętrzu naszego statku. Nareszcie godzina odjazdu nadeszła. Już dopływając do Pireusu, czuliśmy, że coś

niedobrego nas czeka; coraz chłodniejszy i silniejszy wiatr dochodził nas z północnego wschodu, morze coraz się stawało niespokojniejszem, a okręt coraz znaczniej pochylał maszty, niby w poważnej zadumie zapytując i rozważając: co to będzie? Jeszcze pokąd płynęliśmy wzdłuż zachodniego wybrzeża Attyki, nic nadzwyczajnego nas nie spotkało, ale zaledwośmy okrążyli południowy jej cypel, wypadł na nas wściekły wicher, morze ukazało się mętne, prawie czarne, a jak okiem sięgnąć, pokryte było ciągle zapadającymi się pagórkami i ustawicznie wznoszącemi się przepaściami. Rozpoczął się taniec na dobre; burze, które przebywałem dotąd, były zabawkami wobec teraźniejszej, na szczęście ja już obyłem się z morzem i dość dobrze ów taniec znosiłem. Wiatr wył przeraźliwie, szarpał i rzucał wszystkiem, co się ruszało, a był tak silny, że, gdy chciałem obejść z przodu kajuty nie mogłem kroku jednego zrobić naprzód. Największe wrażenie wywierał na mnie ten, nie dający się opisać ani opowiedzieć, szum, czy huk, jaki wydają ścierające się, zapadające i powstające bałwany — taka w nim niesłychana siła i potęga. Co żyło, oprócz służby, pochowało się i po większej części chorowało w kajutach, na pokładzie zostałem tylko ja i jakiś Francuz; wcisnęliśmy się w kącik więcej zakryty od wiatru, objęliśmy rękoma komin doprowadzający powietrze do środka okrętu (podobno nazywa się wentylatorem) i patrzymy na burzę. Wzmogła się ona szczególnie w cieśninie Andro-d'Oro; tam właśnie rozminął się z nami okręt żaglowy, płynący z wiatrem do Aten, a ledwo widzialny z pomiędzy fal; wskazał mi go Francuz: — *regardez, regardez le voilier, il file comme le tonnere du bon Dieu.*

Rzeczywiście pomykał, jeśli nie jak piorun, to z pewnością jak strzała. Tymczasem zciemniło się zupełnie, burza szalała w najlepsze, pokład był całkiem już mokry, trzeba było i nam pójść za ogólnym przykładem i zejść na dół. Jak łatwo zgadnąć, znalazłem wszędzie pustkę i ciszę; jedni leżeli w kajutach i nudzili się, drudzy chorowali W »fiumoarze« zastałem tylko moich dwóch Niemców w jedwabnych czapeczkach; pić i grać w karty nie mogli, bo by im wszystko pospadało ze stołu, więc nadąwszy się siedzieli w kłębach dymu i gawędzili. Ja wcisnąłem się do jakiegoś kąta — i zasnąłem spokojnie. Gdym się obudził, ciemno było, pusto i cicho, tylko zewnątrz szalała burza; rzucany w jedną, to w drugą stronę, chwytając się ścian, po-

ręczy i przyśrubowanych do posadzki mebli, dostałem się do kajuty, gdzie mnie znowu Morfeusz w dobroczynne ujął objęcia, pomimo tego, że właśnie o moją ścianę uderzały bałwany z takim hukiem, jakby za nią ze trzydziestu armat dawało ognia odrazu. Nad ranem pogoda polepszyła się nieco, a w Smyrnie mogliśmy odpocząć i przyjść nieco do siebie; wychodziły też jedna po drugiej blade i zmęczone postacie i rozpowiadały o swoich nocnych wrażeniach. Gdyśmy tak rozprawiali o przebytych udręczeniach i możliwych jeszcze przygodach na Czarnem morzu, marynarze żartowali i z nas i z naszych obaw. Kapitan, który całą noc oka nie zmrużył i stał na tym szalonym wichrze, wyglądał tak, jakbym ja wyglądał po zrobieniu np. pięciu albo sześciu wiorst spaceru. Czerwony, wesoły, jadł w najlepsze, gawędził i żartował. Dotrzymywali mu placu owi trzej morscy oficerowie z Pireusu, którzy wsiedli na nasz okręt i jechali na kilka tygodni do domu; jeden z nich, okrętowy inżynier, szczególnie był sympatyczny, a przytem piękny młodzieniec, co się zowie. Najstarszy z tych panów, słuchając naszych rozpraw, pokiwał pobłażliwie głową i uśmiechając się, powiada do kapitana: bodaj to profani! Ci państwo, jak zwykle wszyscy pasażerowie, troszczą się o fale i huśtanie się okrętu, choć od tego jeszcze żaden jednak statek nie zginął, ale jeśli kiedy mgła i kiedy śmierć w każdej chwili grozi wszystkim, oni w najlepsze bawią się i śmieją, byle okręt szedł spokojnie. Opowiadał też, że niedawno, prowadząc statek wracający z Japonii, miał taką przygodę w zatoce bengalskiej. Trzeba wiedzieć, że marynarze przyszli do przekonania, że zmniejszanie szybkości biegu w czasie mgły do niczego nie doprowadzi, bo jeśli się dwa okręty zetkną, to w każdym razie przedziurawią się i pójdzie któryś na dno; dlatego rosyjskie okręty idą wtenczas nie o wiele powolniej niż w zwykłym czasie, angielskie zaś pędzą jednakowo. Otóż właśnie napadła ich w tej zatoce mgła taka nieprzejrzana, płynęli jednak z szybkością 10 węzłów na godzinę (około 18 wiorst). Opowiadający stał na galeryi, gdy raptem posłyszał silny szum z boku i dojrzał okręt angielski, mijający ich w całym pędzie, o jakie dwadzieścia kroków. Zimno mu się zrobiło, bo to śmierć przeszła obok niego, a oprócz innych podróżnych, wiózł on bardzo wysoką osobę na swoim statku.

Ze Smyrny wyjechaliśmy po siódmej wieczorem; gdyśmy wypły-

nęli z zatoki, znowu porwały nas fale wzburzone, ale już nie tak jak wczoraj. Pomimo tego znowu pusto było i w salonie i w jadalnej sali. Leżałem w mej kajucie, gdy posłyszałem dźwięki fisharmonii, dochodzące z tej ostatniej. To natchnienie muzyczne zstąpiło na naszego muzyka, który zaczął improwizować; przeszedłem do sali i słuchałem. Dziwnie to był oryginalny koncert. Przede mną ciągnął się długi korytarz, oświecony elektrycznemi lampami, odbijającemi się w zwierciadłach; zdawało się, że końca ich niema; zapadał on się powoli i podnosił razem z okrętem, wiatr huczał i szumiały fale, a tu obok płynęły fantastyczne improwizacye, przeplatały się melodye znane i nieznane; to smutna i tęskna piosnka z nad Oki i Kamy, to sentymentalny romans niemiecki, to dalekie echo aryi operowej. Trwało tak długo dosyć, wreszcie słyszę znajome dźwięki i po różnych przejściach z pod palców muzyka popłynął kujawiak Wieniawskiego. Z ostatnim jego akordem skończył się koncert, Niemiec wstał, otrzymując aplauzy i podziękowania publiczności, którą ja jeden nie wiem czy godnie przedstawiałem. Tymczasem gdyśmy się tak obaj delektowali muzyką, sprawiała ona boleść komuś tuż obok. Uczeń muzyka, a syn pułkownika, którego ciało leżało na spodzie okrętu, płakał w swej kajucie jak bóbr, bo przypomniał sobie ojca, który grywał właśnie na fisharmonii. Poczciwy Niemiec bardzo sobie nazajutrz wyrzucał, że o tem zapomniał i odtąd grał tylko na pianinie stojącem w salonie na górze.

W takich samych warunkach upłynął nam i dzień następny; w nocy z 20 na 21 stanęliśmy naprzeciwko historycznego San-Stefano i dopiero, gdy dzień zaświtał, mogliśmy zawinąć do portu stambulskiego. Ponieważ mieliśmy się zatrzymać do połowy dnia następnego, więc zwiedziłem raz jeszcze Konstantynopol — jakże jednak zastałem go zmienionym. Błoto wszędzie, szaro, smutno, z drzew zwisają resztki liści – nie było tu co robić. Wpadłem jeszcze raz na pół godziny do św. Zofii, zatelegrafowałem do Odesy, zrobiłem trochę sprawunków, zaglądnąłem do »Byzancyum« i z powrotem na okręt, gdzie mi było najlepiej. We czwartek 22 listopada nad wieczorem »królowa Olga« podniosła kotwicę; bez żalu patrzyłem na odsuwający się gród Konstantyna. Niebo było pochmurne, wszystko dokoła szare, morze stalowe, ale kiedy przy wejściu do Bosforu rzuciłem okiem

na ogromną zatokę, wtenczas właśnie rozjaśnioną chwilowym bladym promykiem słońca, musiałem przyznać, że bądź co bądź jest ona zawsze niewypowiedzianie piękną i wspaniałą. Wkrótce deszcz zaczął padać; pospędzał nas z pokładu, najprozaiczniej więc przebywaliśmy Bosfor, prawie go nie widząc. Morze Czarne wbrew złej sławie swojej okazało się dla nas nadzwyczaj uprzejmem. Jeszcze z początku przez kilka godzin podrzucało trochę okrętem, ale gdyśmy przebyli przybrzeżne prądy »królowa Olga« płynęła spokojnie, jak po stawie. Cicho było zupełnie, niebo zachmurzone, morze jak daleko okiem sięgnąć koloru jasnej stali; widok pełen melancholicznej poezyi.

Port Stambułu.

Zbliżaliśmy się coraz bardziej do swoich stron; na wysokości Warny powiał łagodny, mroźny wietrzyk z północy — zaraz się zdrowszym poczułem. Dla rozerwania nudów podróży mój młody znajomy, ów oficer inżynier, poprowadził mnie do przedziału machin. Nigdy nic podobnego nie widziałem, więc z zadziwieniem i niejaką trwogą patrzyłem na tłoki, koła, śruby, walce i t. p. — wszystko to huczało, stukało, tłukło, więc też pilnowałem dobrze sukni, żeby gdzie o jaki ząb albo hak nie zaczepiła. Myślałem też i o nieboszczyku Wulkanie, jakby się zapłonił ze wstydu, gdyby go z jego cyklopami razem tutaj postawiono — nic podobnego do głowy im nigdy nie przyszło. Przestawszy kilka godzin nocy na kotwicy przed portem odeskim, wpłynęliśmy do niego 24 listopada, gdy zaledwo świtać zaczęło. Mój poczciwy znajomy Z. W., który mnie wyprawiał w drogę, teraz już czekał na wybrzeżu i zawiózł do proboszcza, gdziem znowu zamieszkał w uprzednio zajmowanym pokoiku, prosząc o gościnność na kilka dni, nim trochę przyjdę do siebie. Potrzebowałem tego bardzo; kiedym się pozbył brody i wąsów i ujrzał siebie w źwierciadle, sam się przestraszyłem siebie — wyglądałem jak »spectrum na cmentarzu«. To też przeleżałem całe trzy dni, wychodząc tylko na krótkie spacery,

by się nacieszyć przymrozkiem i widokiem miasta niewschodniego. 26 listopada wyjechałem nocnym pociągiem i zrana już byłem w Koziatynie. Ponieważ pociąg do Berdyczowa odchodził dopiero za sześć czy siedm godzin, więc miałem czasu dosyć do odpoczynku i do spaceru; nie mogłem bowiem oprzeć się pokusie pochodzenia wśród naszych pól i przypatrzenia się jak też wyglądają. Śniegu jeszcze nie było, tylko może trzy stopnie mrozu i mgła dość gęsta. Wyszedłem w pole i nie mogłem nacieszyć się tem wszystkiem, co widziałem, choć mówiąc prawdę, niewiele widziałem; najdrobniejsza jednak rzecz wydawała mi się dziwnie miłą. I droga kołowa, po której mogłem chodzić bezpiecznie, nie bojąc się rabunku i wieśniak, który widząc księdza błądzącego samotnie wśród mgły po polu, zatrzymał wóz i uprzejmie zapraszał, by przysiąść się na nim i mroźne, zdrowe powietrze, które z rozkoszą wciągałem do piersi. Zachwycałem się uschłemi trawkami i ziołami, pokrytemi szronem, suche »bodiaki« wydawały mi się dziwnie wspaniałymi obsypane białym puchem; posłyszałem gdzieś w dali turkot niewidzialnego wozu i przypomniało mi się, jak to w czasie podobnej mgły, tylko letniej

W środku, na snopie zboża ekonom usiadłszy,
Nudzi się, kręci głową, roboty nie patrzy,
Pogląda na gościniec, na drogi rozstajne,
Kędy działy się jakieś rzeczy niezwyczajne,

latały chłopskie furmanki, turkotały szlacheckie bryki, goniły kuryery i posłańcy, gotując się, jak wiadomo, do »hajże na Soplice!«

Chodziłem tak po polu przypominając sobie mnóstwo rzeczy, aż wkońcu mgła się rozemknęła i ujrzałem jasno te same okolice, o których mogę ze Słowackim powiedzieć:

Gdzie moja Ikwa po dolinach płynie,
Gdzie moje góry błękitnieją w dali.

Zobaczyłem Ikwę i rodzinną wioskę i siebie i swoich — choć ich już dawno nie stało. Czułem się u siebie i ze swoimi.

Nad wieczorem byłem już w Berdyczowie, gdzie na drugi dzień 28 listopada, lubo z wielkim trudem i wysiłkiem, odśpiewałem mszę dziękczynną przed tym samym ołtarzem cudownej Matki Boskiej, przed którym na początku mej pielgrzymki polecałem się Jej opiece.

I miałem za co dziękować; prawda, że wracałem wycieńczony, ale Bóg mnie zachował od strasznych palestyńskich chorób, że wspomnę tylko uderzenie słońca i febrę tamtejszą, które wielu bez porównania silniejszych odemnie wyprawiły na inny świat; wszelkie trudności jakby same przedemną znikały, w trudnych razach zawsze znalazł się ktoś, kto mi rękę podał, nie spotkał mnie żaden zły wypadek, a nawet raz, kiedym przez nieuwagę i nieświadomość naraził się na niebezpieczeństwo mogące najfatalniej się skończyć, nadarzył się,

Kościół N. Panny w Berdyczowie; dawniej XX. Karmelitów.

jakby umyślnie przysłany, człowiek, który mnie z niego wyratował. Wyświadczyłem mu grzeczność, a on mi oddał usługę daleko większą, lubo w danej chwili obaj nie wiedzieliśmy, co nas czekało po godzinie. Opłaciła mi się uprzejmość sowicie. Wreszcie rozpoczęła się ostatnia przeprawa do domu, którą raczej przejażdżką nazwaćby należało, bo co mogło znaczyć 40 wiorst wobec przebytych już kilku tysięcy? Witałem z radością znajome pola, wioski, gaiki; nad drogą stał niewielki lasek brzozowy. Drzewa pokryte obfitą białą okiścią, wyglądały jakby olbrzymie, niezrównanej piękności strusie pióra. —

Jakie one śliczne, pomyślałem sobie, czy to palmom równać się z niemi! Przed wieczorem wjechałem na dziedziniec naszego seminaryum. Zostało mi tyle właśnie siły, że mogłem od biedy wygramolić się z powozu i o własnej mocy wejść do mego mieszkania. Położyłem się zaraz, ale mniejsza o to. Turcya, Azya, Egipt, morze, burze, okręty, drogi żelazne, hotele zostały daleko, a ja byłem w domu — i dziękowałem Bogu.

Teraz kiedy kończę przydługą gawędę moją i pożegnać muszę

Seminaryum katolickie w Żytomierzu.

cierpliwego czytelnika, pozwolę sobie jeszcze na parę ogólnych uwag o zwiedzanych przezemnie krajach. Wschód jest dziś tak znanym, że nie potrzebuję rozszerzać się o nim, ani tłómaczyć zbyt długo, dlaczego wywarł na mnie wrażenie ujemne. Miejscowości głośne wydały mi się bardzo przechwalonemi (oprócz nielicznych wyjątków) przyroda nic pociągającego dla mnie nie miała. Nie mogłem się przyzwyczaić do braku wody i zieloności, do nagich gór, a nawet najczęściej skał pozbawionych nietylko roślinności lecz nawet ziemi, na którejby się przyjąć mogła. Najfatalniej jednak wydali mi się ludzie;

niezmierną przykrość sprawiały mi miejscowe stosunki, prawa, zwyczaje, stykanie się z ludźmi dzikimi prawie. Co do ziemi świętej, to trzeba się na nią dwojako zapatrywać: pod względem przyrody i cywilizacyi, jest ona chyba najuboższą i najnędzniejszą prowincyą, tak ubogiego i nędznego państwa, jak teraźniejsza Turcya. Zupełnie inaczej przedstawia się z punktu widzenia religijnego. Więc najpierwej ma najświętsze na ziemi miejsca i pamiątki, a pielgrzym zwiedzając je, może uczynić zadość pobożnej chęci swojej; posiada liczne klasztory, świątynie, zakłady dobroczynne, świadczące o rozbudzeniu się w chrześcijańskim świecie ducha miłości dla miejsc świętych — widok taki napełnia serca patrzących niewymowną pociechą i radością. Posiada wreszcie liczne i świątobliwe duchowieństwo zakonne — było ono dla mnie przedmiotem ciągłego zbudowania, bom patrzał ustawicznie na żywe wzory życia chrześcijańskiego, jakiem być powinno, życia nadprzyrodzonego. Kto potrafi patrzeć i widzieć, dozna tego samego wrażenia.

Muszę też wspomnieć o jednym zarzucie, który mnie doszedł w czasie długiego pisania i ogłaszania tych wrażeń moich. Miano mi czasami za złe, że w sposób zbyt sceptyczny zapatrywałem się na wszystko, że przez to mogłem niejednego zniechęcić do pielgrzymki i że taki sposób opowiadania byłby może właściwym w ustach człowieka świeckiego, lecz nie księdza. Szczególny zaprawdę zarzut; widzę w nim odbicie przekonań pewnych sfer czy ludzi, że ksiądz powinien wszystko, co ma jakikolwiek związek z religią, przedstawiać w najpiękniejszych barwach nie dlatego, że prawda tego wymaga, lecz że jest niejako obowiązkiem stanu jego, wszystko chwalić. Jest to duch koteryi i stronnictwa przeniesiony do stosunków duchownych. Ja znajduję, że taki sposób postępowania jest zupełnie niegodnym kapłańskiego pióra, bo któż już powie całą i szczerą prawdę, jeśli nie kapłan? Co widziałem dobrego i pięknego, to pochwaliłem, ale właśnie miłując prawdę, nie chciałem malować różowemi barwami ziemi, która jest pustynią. Wreszcie i to jest rzeczą najważniejszą, człowiek wierzący powinien dążyć do Grobu Pańskiego nie dla pięknych widoków, jakie może spotkać po drodze, lecz dla pobudek religijnych; zrażałbym do pielgrzymki, gdybym obalał autentyczność miejsc świętych, którą jednak najzupełniej przyjmuję, której nawet

bronię. Życzyłbym, żeby każdy, kogo na to stać, odbył pielgrzymkę do Ziemi świętej, uczcił miejsca święte i modlił się przy nich, żeby trud dalekiej drogi, możliwe fatygi i przykrości ofiarował na zadośćuczynienie za grzechy, na zasługę dla żywota przyszłego; jeśli jednak kto z moich czytelników wybierał się w tamte strony jako turysta, a przeczytawszy moje »Wrażenia«, przekonał się, że nie znajdzie, czego chciał szukać i pozostał w domu, nietylko nie będę miał sobie tego za złe, lecz owszem, za zasługę poczytam. Zresztą nie mam siebie za nieomylnego, owszem jestem przekonany, że każdy mniej odemnie wrażliwy na ludzkie poniżenie i upadek albo też doskonalszy odemnie i lepiej umiejący je znosić, każdy mający dobre zdrowie i młodość, każdy kto mniej widział odemnie, dla którego Wschód może mieć urok nowości, że każdy z tych dozna obok uczuć czysto religijnych i wielu także wrażeń przyrodzonych, miłych i bardzo przyjemnych; miałem tego przykłady i dowody na swoich towarzyszach. Zresztą nie myślę zbytecznie bronić się przeciwko zarzutom, bo nikt od nich nie wolny; opowiedziałem jak umiałem pielgrzymkę moją, oby opowieść taka posłużyła ku dobremu pożytkowi, a jeśli można, to i przyjemności czytelników moich.

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Str.

Przedmowa 1

ROZDZIAŁ I. Z domu do Konstantynopola 7

» II. Ośm dni w Konstantynopolu 30

» III. Skutari — Wyspy Książęce — Kościoły 88

» IV. Z Konstantynopola do Jerozolimy 119

CZĘŚĆ DRUGA.

ROZDZIAŁ I. Jeruzalem, Trochę topografii, historyi i statystyki 167

» II. Haram-esz-Szerif, meczety Omara i El-Aksa. — Miejsce płaczu Żydów. Dzielnica ormiańska. — Cytadela. — Patryarchat grecki 189

» III. Patryarchat katolicki. — Kościół i klasztor N. Zbawiciela. — Kościół Ecce Homo. — Kaplica Biczowania. — Kościół św. Anny. — Via Dolorosa 226

» IV. Kościół Grobu Pańskiego 252

» V. Po za murami Jerozolimy 285

» VI. Stosunki i życie w Jerozolimie 318

» VII. Betlejem i jego okolice. — Miasto św. Jana in Montanis. — Betania 342

CZĘŚĆ TRZECIA.

ROZDZIAŁ I. Z Jerozolimy do Nazaretu 381

» II. Nazaret 400

» III. Karmel 422

» IV. Z Karmelu do Jaffy przez równinę Sarońską 453

» V. W Egipcie 474

» VI. Powrót do domu i zakończenie 500

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

338078
150.—
MMNZ5/91183

Biblioteka Główna UMK
300044347290

Biblioteka Główna UMK
300044347290